

· A · D · A · M ·
P R Z E C H R Z T A



NAMIESTNIK

Samarin dopadł lekarza tygrysim skokiem i potrząsnął jak terier szczurem.

– Gdzie następca tronu?!

– Na spacerze – wyjąkał przestraszony medyk. – Z hrabią von Schwartzem. Ostatnio widziałem ich obok fontanny.

Generał odepchnął Włocha i wypadł na korytarz.

– Może zdążymy – wymamrotał. – Za pięć minut będzie tu pluton alarmowy, a za kwadrans kompania. Żeby tylko zdążyć...

Samarin sięgnął po rewolwer, a złowrogi szczęk stali świadczył, że i żołnierze przygotowywali się do walki. Rudnicki wydobył butelkę z homunkulusem.

– Tam są! – zawołał Samarin.

Von Schwartz rozmawiał z robotnikami pracującymi przy fontannie, carewicz stał kilkanaście metrów dalej, wywijając kijkiem jak szablą.

– W tyralierę! – szczechnął oficer. – Aleks, do mnie!

Chłopiec popatrzył na nich zdziwiony, ale po chwili porzucił zaimprovizowaną broń i ruszył szybkim krokiem w kierunku żołnierzy. Von Schwartz obejrzał się przez ramię i uczynił ruch, jakby chciał go zatrzymać.

– Ognia! – zawył Samarin.

Arystokrata cofnął się wystraszony salwą, nieoczekiwanie uskoczył za fontannę.

– Co się dzieje? – zapytał carewicz. – Dlaczego strzelacie? *Gospodin gieniera!*

– To taka zabawa – wyjaśniła Anastazja. – Lubisz bawić się w wojnę?

Zanim chłopiec zdążył odpowiedzieć, z pałacu wybiegła grupa kilkunastu uzbrojonych mężczyzn, odcinając im odwrót, a w rękach symulujących pracę przy fontannie robotników pojawiły się karabiny. Rudnicki bez namysłu cisnął cienkościenną butelkę w drzewo.

– Zabijaj! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

„Namiestnik” – fragment

Spis treści

Karta tytułowa

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· I

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· II

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· III

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· IV

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· V

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· VI

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· VII

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· VIII

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· IX

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· X

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· XI

Zwroty obcojęzyczne i ciekawostki

Adam Przechrzta

Cykl Wojenny Adama Przechrzty

Pozostałe książki autora

Długi sprint

Karta redakcyjna

Okładka

· A · D · A · M ·
P R Z E C H R Z T A

NAMIESTNIK

— CYKL MATERIA PRIMA —

CZEŚĆ I
ADEPT

CZEŚĆ II
NAMIESTNIK

CZEŚĆ III
CIEN

Ilustracje
Przemysław Truściński

fabryka słów[®]
Lublin – Warszawa

Poświęcam Ojcu

I

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Dźwięk tramwajowego dzwonka wyrwał Rudnickiego z zamyślenia, mężczyzna skrzywił się, czując odór potu i nieprzetrawionej wódki, najwyraźniej stojący obok tragarz pokrzepił się po pracy najtańszym sprzedawanym na bazarach bimbrem. Nie bacząc na protesty współpasażerów, alchemik przecisnął się do drzwi. Niedługo przystanek. Za oknem przesuwały się oblepione ogłoszeniami słupy, fantazyjne polsko-niemieckie szyldy, czasem przez ulicę przejechała dwukółka ciągnięta przez zgarbionych z wysiłku mężczyzn. Okupujący Warszawę Niemcy znieśli co prawda większość antypolskich zarządzeń, ale jednocześnie prowadzili brutalne rekwizycje na potrzeby armii. Ich łupem padały nie tylko konie i bydło, lecz nawet miedziane rondle. Cóż, wiosną tysiąc dziewięćset szesnastego roku widać było wyraźnie, że wszelkie plany szybkiego zakończenia wojny należy włożyć między bajki.

Rudnicki, potrącony przez przysadzistą, woniejącą czulentem i kugłem babinę, zatoczył się na stojącą przed nim kobietę. Ta syknęła gniewnie i odwróciła się z niewróżącym niczego dobrego wyrazem twarzy. Wiktoria...

– Widzę, że korzystasz z okazji i tulisz się nieskromnie do niewinnych panienek – zauważyła z lekką kpina.

Rudnicki odchrząknął niepewnie – nie widzieli się od czasu pamiętnego spotkania przed Zamkiem Królewskim, i to nie dlatego, że jej unikał. Wiktoria zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię. Prawda, że i nie szukał jej specjalnie, pamiętając o konszachtach dziewczyny ze sztyletnikami. A tymi lepiej było się nie interesować.



- Przepraszam – wymamrotał. – To ten tłok. Niemniej jednak...
 - Tak?
 - Przyjemniej przytulić się do ciebie niż do niektórych towarzyszy podróży.
 - Jestem ładniejsza? – poddała prowokacyjnie.
 - To także, ale przede wszystkim zdecydowanie lepiej pachniesz.
- Jego rozmówczyni parsknęła śmiechem, pokazując równe, białe ząbki. Ot, zdawałoby się, jeszcze jedna młoda, bezpretensjonalna dziewczyna, jedna

z tych, które aż chciałoby się złapać za rękę albo i za kolanko. A to przecież Wiktoria, prawa ręka naczelnika sztyletników. Urazisz taką, a będziesz miał szczęście, jak zdążysz spisać testament.

Tramwaj zatrzymał się na placu Teatralnym, niedaleko Pałacu Jabłonowskich, i Rudnicki przesunął się do wyjścia, uprzejmie skłoniwszy się na pożegnanie. Ku jego zdumieniu Wiktoria podążyła za nim.

– Jak interesy? – spytała, biorąc go pod rękę.

– Tak sobie – odparł niechętnie. – I skąd to pytanie? Mam wrażenie, że rozliczyłem się z twoimi... przyjaciółmi.

– Och, nie ma powodu do niepokoju, pytam wyłącznie w swoim imieniu – zapewniła.

– Połowę hotelu zajęli Niemcy na kwatery dla oficerów sztabowych. Żaden z nich oczywiście nie płaci.

– A apteka?

– Też nienadzwyczajnie, straciłem wielu klientów z braku *materia prima*. Najskuteczniejsze lekarstwa wymagają, niestety, tego składnika, a obecnie nikt nie odwiedza enklawy.

– Przecież nie ma zakazu – zdziwiła się dziewczyna.

– Niby tak – przyznał Rudnicki. – Tylko że wyprawa bez ochrony to samobójstwo. Niestety, warszawski generał-gubernator Jego Ekscelencja Hans von Beseler uznał, że dostęp do enklawy przysługuje jedynie, cytując: „licencjonowanym członkom gildii i ich pomocnikom w liczbie nie więcej niż trzech”.

– A to z jakiej racji?

– Boją się – mruknął alchemik. – Co prawda do tej pory nikt nie odkrył sposobu na bojowe zastosowanie *materia prima* na większą skalę, ale w przyszłości kto wie? To mogłoby zmienić losy wojny. Niemcy bardzo się pilnują, żeby nie naruszać praw, których przestrzegali nawet Rosjanie, ale i nie chcą ryzykować.

– Idziesz do urzędu?

Rudnicki potwierdził nieartykułowanym pomrukiem. Od roku w Pałacu Jabłonowskich mieściły się niemieckie urzędy, a niedawno stał się on siedzibą Rady Miejskiej.

– Mają mnie ukarać – wyjaśnił, widząc pytający wzrok dziewczyny. – W zeszłym tygodniu wywaliłem z hotelu takiego jednego... Niby tylko kapitan, jeden z wyższych oficerów pozwolił mu korzystać ze swojego apartamentu, ale główniarz okazał się pociotkiem jakiegoś arcyksięcia czy innego grafa. No i oskarżono mnie o sabotaż zarządzeń generała-gubernatora.

– Co ci mogą zrobić?

– A bo ja wiem? – wzruszył ramionami Rudnicki. – Dobrze, jak tylko wlepią grzywnę, bo mogą i zabrać hotel.

– Żartujesz?

– W żadnym wypadku! – zaprzeczył posępnie alchemik.

– Może nie będzie tak źle, Beseler stara się zjednać sobie Polaków.

– Niby tak, ale wątpię, żeby przedłożył warszawskiego aptekarza nad niemieckiego oficera, w dodatku spokrewnionego z arystokracją.

– Co zrobisz, jak zabiorą ci hotel?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie dojdzie do najgorszego.

Alchemik sięgnął do kieszeni płaszcza: miny pilnujących wejścia wartowników wskazywały wyraźnie, że nie wpuszczą nikogo bez odpowiednich dokumentów. Po chwili żołnierz z dystynkcjami feldfebla dał Rudnickiemu znać ruchem dłoni, że może przejść.

– Poczekam na ciebie – zadeklarowała Wiktoria.

Podziękował smętnym uśmiechem i otworzył masywne drzwi. Po wiodących w górę podwójnych schodach nieustannie przesuwał się strumień interesantów. Dominowali ubogo ubrani cywile, choć nie brakowało też wojskowych mundurów. Rudnicki wszedł na pierwsze piętro i rozejrzał się po korytarzu. Pokój pięćdziesiąt siedem, referent Schlatze. Wnioskując po nazwisku, Niemiec. Cóż, mimo rozmaitych obliczonych na pozyskanie poparcia warszawiaków gestów wiadomo było, kto rządzi...

Wbrew przypuszczeniom Rudnickiego, który spodziewał się kogoś w rodzaju zasuszonego mola książkowego, Schlatze okazał się młodym, energicznym mężczyzną o przyjaznym sposobie bycia i nienagannych manierach. Niestety, w niczym nie zmieniało to wymowy pisma, jakie mu wręczył. *Herr* Rudnicki zobowiązany był w ciągu tygodnia opuścić hotel wraz z obsługą, placówkę przejmowała w całości intendentura wojskowa.

– Może się pan odwołać do generała-gubernatora – powiedział Schlatze poprawną polszczyzną z niemal niedostrzegalnym niemieckim akcentem.

– I co mi to da? – rzucił gorzko Rudnicki. – To już Rosjanie mniej kradli... – urwał, uświadomiwszy sobie, co i do kogo mówi.

Jednak urzędnik nie wyglądał na urażonego.

– Jego Ekscelencja ma związane ręce – poinformował. – Niemniej jednak sytuacja nie jest beznadziejna. Oficer, który złożył na pana skargę, skorzystał z przyspieszonego trybu orzekania, właściwego dla tego typu spraw. W dodatku jest dalekim krewnym generała Ludendorffa, więc...

– No tak – przerwał mu alchemik. – Kolejny pociotek arystokraty. W takich chwilach człowiek ma ochotę zostać socjalistą!

– Jakiego tam arystokraty! Ludendorff to syn drobnego urzędnika z Pomorza. Tyle że obecnie w łaskach u Jego Wysokości.

Rudnicki zmarszczył brwi, zaalarmowany tonem rozmówcy. Wyglądało na to, że Schlatze chce mu przekazać coś poza protokołem.

– Więc co miałbym zrobić? – zapytał.

– Poprosić o audiencję u generała-gubernatora – powtórzył cierpliwie Niemiec.

– I co dalej?

– Jestem pewien, że Jego Ekscelencja podsunie panu rozwiązanie tego problemu.

– Czyżby? Wątpię, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z mojego istnienia. Prywatna audiencja? Akurat! Słyszałem, że adiutant arcyksięcia Józefa Ferdynanda czekał dwa tygodnie, zanim Jego Ekscelencja znalazł czas, żeby go przyjąć...

– Adiutant tego bufona i bawidamka? – powiedział z pogardą Schlatze. – I nic dziwnego! Ale pana to nie dotyczy.

Rudnicki jeszcze raz przyjrzał się mężczyźnie, dzięki szkoleniu u Ankwicza wiedział, czego szukać: swobodna, wyprostowana postawa, twarz zwrócona ku rozmówcy, ale ciało ustawione bokiem, tak aby jak najmniejsza powierzchnia narażona była na ciosy, prawa dłoń w okolicy pasa. Schlatze gestykułował tylko lewą...

– Jeśli jest pan referentem, to ja baletnicą – oznajmił z namysłem. – Co to za

gra?

– Zapewniam pana, że jestem kimś w rodzaju referenta, choć istotnie nie w tym urzędzie. Gra? Teraz wszystko jest grą, a my figurami na szachownicy...

– Bardzo głęboka myśl – wycedził ironicznie alchemik. – A prościej?

– Proszę zgłosić się jutro do kancelarii Jego Ekscelencji. Gwarantuję, że zostanie pan przyjęty przez generała-gubernatora.

Rudnicki odpowiedział skinieniem na ukłon Niemca i ruszył do wyjścia. Nie zachwycała go perspektywa rozmowy z Beselerem, było oczywiste, że okupanci czegoś od niego chcą. Kwestia hotelu była w najlepszym razie marginalna, w najgorszym stanowiła jedynie sposób zwrócenia uwagi niejakiego Olafa Arnoldowicza, byłego wielkiego mistrza warszawskiej gildii alchemicznej i – według słów Anastazji – adepta. Taaak, sytuacja zdecydowanie się komplikowała...

– I co? – spytała Wiktoria. – Jakie wieści?

Rudnicki zrelacjonował jej w kilku zdaniach rozmowę z tajemniczym referentem.

– *Abteilung drei b* – orzekła bez wahania.

– To znaczy? Co to za wydział?

– Wywiad wojskowy – wyjaśniła. – Zainteresował się tobą wojskowy wywiad kajzera. Dziw, że dopiero teraz.

Alchemik zacisnął zęby, nie wypadało kląć w obecności damy. Nagle sprawa hotelu wydała się mało ważna.

– I co mam teraz robić?!

– Skoro chcą z tobą rozmawiać, sytuacja nie wygląda najgorzej.

– Nie mieszam się w politykę!

– Czasem nie mamy wyboru – zauważyła spokojnie Wiktoria. – Tak czy owak, nie ma co się denerwować. Porozmawiasz z Beselerem, a później zobaczymy.

– Zobaczymy? – zaakcentował Rudnicki. – Czymże takim zwróciłem twoją uwagę? A może jednak uwagę sztyletników? – dodał ściszym głosem.

– Tylko moją – zapewniła, patrząc mu twardo w oczy. – Jeśli nie chcesz mnie widzieć, powiedz, a odejdę. Więc?! – rzuciła ostro.

Rudnicki pierwszy opuścił wzrok, nie wyglądało, żeby dziewczyna kłamała, z drugiej strony do tej pory nic nie wskazywało, aby był szczególnie atrakcyjny

dla płci pięknej. A tu proszę, jaka atencja ze strony panny Wiktorii...

– Czego ode mnie chcesz? – spytał otwarcie. – Nie mam pieniędzy ani wpływów, no i nie mam urody amanta filmowego.

– Pozwól, że sama osądzę twoją aparycję. Wpływy? Nie doceniasz się. Wszyscy są przekonani, że twoje odejście ze stanowiska mistrza gildii zniszczyło Srebrny Zamek. Jesteście legendą, Olafie Arnoldowiczu – dodała figlarnie.

– Rozumiem, że chcesz... zainwestować we mnie towarzysko, zanim inne panie zorientują się, jaki skarb przeoczyły?

– Coś w tym rodzaju – przyznała z udawaną powagą. – Przyjemnie się z tobą rozmawia, ale muszę już iść. Może spotkamy się jutro? Moglibyśmy zastanowić się nad żądaniami Beselera.

Alchemik przytaknął: nie ulegało wątpliwości, że generał-gubernator czegoś od niego chce, a dziewczyna nie raz i nie dwa udowodniła swoją przydatność. Na przykład ratując mu życie w czasie ataku na hotel. Taaak, z panną Wiktorią lepiej żyć w zgodzie. No i nie ma co ukrywać, dziewczyna była nad wyraz sympatyczna. Może to błąd, pomyślał smętnie Rudnicki, ale jestem tylko mężczyzną i widok ładnej buźki sprawia mi przyjemność. Cóż, jeśli chodzi o Wiktorię, być może nawet więcej niż przyjemność...

– Oczywiście, zapraszam – zadeklarował.



Generał Hans Hartwig von Beseler, średniego wzrostu, korpulentny mężczyzna o mięsistej twarzy ozdobionej zawadiackim, podkreślonym wąsem, nie sprawiał groźnego wrażenia. Niczym niemaskowana łysina i podkrążone ze zmęczenia oczy nadawały mu z lekka komiczny wygląd, jednak Rudnicki miał się na baczności: powszechnie uważano, że generał-gubernator należy do najbardziej kompetentnych niemieckich oficerów, to właśnie on zdobył twierdze antwerpską i modlińską, uważane za jedne z najpotężniejszych w Europie.

Niepokój alchemika pogłębiło zachowanie Beselera, generał przywitał się uściskiem dłoni i uprzejmie czekał, póki Rudnicki nie zajmie miejsca w wygodnym, obitym skórą fotelu. Co prawda generał-gubernator miał opinię

porządnego człowieka, a niemieccy nacjonaści oskarżali go wręcz o nadmierną sympatię wobec Polaków, jednak było wątpliwe, czy w normalnych okolicznościach okazałby podobne względy komuś stojącemu dużo niżej w hierarchii społecznej. Najwyraźniej jednak okoliczności nie były normalne...

– Herr Rudnicki – rozpoczął bez wstępu generał – zobligowano mnie do przekazania panu prośby od wysoko postawionej osobistości...

– Myślałem, że chodzi o mój hotel – wtrącił nerwowo alchemik.

– Porozmawiamy i o hotelu – uspokoił go Beseler. – Jednak ta pierwsza sprawa jest ważniejsza. Prawdę mówiąc, dużo ważniejsza.

– Słucham, ekscelencjo.

– Jego Wysokość imperator Wszechrusi Mikołaj Drugi przesłał na moje ręce prośbę o umożliwienie panu wyjazdu do Petersburga. Jak wynika z listu, ma to związek ze stanem zdrowia następcy tronu, carewicza Aleksego. Jego Wysokość pisze, że Aleksy już wcześniej był pańskim pacjentem i zobowiązał się pan wówczas do udzielenia konsultacji na każde żądanie... – Beseler przerwał, najwyraźniej czekając na komentarz.

– Istotnie – przyznał, przetykając ślinę, Rudnicki. – Leczyłem już następcę tronu i obiecałem, że w razie komplikacji zdrowotnych będę do dyspozycji carewicza.

– W takim razie rozumiem, że nie będziemy dyskutować o tym, czy pojedzie pan do Petersburga, tylko zajmiemy się kwestią, kiedy i jak?

– Oczywiście, ekscelencjo – wymamrotał alchemik.

– Cóż, przyznam się panu, że pozwoliłem sobie skonsultować ten problem ze Sztabem Generalnym i Jego Wysokością cesarzem Wilhelmem. Wiedząc, że jest pan człowiekiem honoru, ani przez chwilę nie wątpiłem, że wypełni pan swoje zobowiązania.

Rudnicki podziękował skinieniem głowy, z trudem powstrzymując się przed połużnieniem kołnierzyka. Jeszcze wczoraj był zwykłym hotelarzem – prawda, że z problemami! – za to dziś stał się pionkiem w grze o nieznanym mu regułach.

– Myślałem, że cesarstwo prowadzi wojnę z Rosją – zauważył niepewnie.

– Prowadzi – potwierdził generał-gubernator. – Ale przecież nie z dziećmi. Oczywiście w czasie walk giną i cywile, w tym dzieci, jednak na skutek

tragicznego zbiegu okoliczności, a nie celowych działań! Wracając do rzeczy: otrzyma pan specjalne dokumenty umożliwiające przejazd przez strefę przyfrontową, natomiast po przekroczeniu linii frontu będzie na pana czekał wysłannik cara, który zapewni panu bezpieczeństwo na terytorium Rosji.

– Rozumiem... – wymamrotał alchemik.

– Żeby przyspieszyć wszelkie formalności, w czasie przejazdu przez nasze terytorium będzie panu towarzyszył *Herr Schlätze*.

– *Etot łże-czinownik?! – wyrwało się Rudnickiemu mimo woli.*

Jak większość mieszkańców Warszawy, alchemik potrafił porozumieć się po niemiecku, jednak w chwilach napięcia zdarzało mu się mylić jednego okupanta z drugim i przechodzić na rosyjski.

Usta generała drgnęły w powstrzymany uśmiech, sugerując, że oficer zrozumiał obco brzmiący zwrot.

– *Ja... Herr Schlätze* rzeczywiście jest kimś w rodzaju urzędnika – potwierdził.

– Jednak przede wszystkim jest wysłannikiem cesarza, osobą o ogromnych uprawnieniach. Jego obecność powinna panu uświadomić, jaką wagę Jego Wysokość Wilhelm przywiązuje do pańskiej misji. Co do wyjazdu: będzie pan gotowy na jutro? Specjalny pociąg zostanie podstawiony około południa.

– Postaram się.

– Nie bardzo rozumiem – zmarszczył brwi Beseler. – Jeśli chodzi o hotel...

– Z całym szacunkiem – przerwał mu zirytowany Rudnicki. – Nie chodzi o hotel! Nie mam zamiaru wykorzystywać sytuacji. To problem natury medycznej.

– A konkretnie?

– Brakuje mi *materia prima* – poinformował alchemik. – Tymczasem charakter prośby cara sugeruje, że sytuacja jest poważna. Oczywiście przypuszczam, że Rosjanie mi ją udostępnią, jednak jeśli będzie potrzebna nagła interwencja... – Rozłożył wymownie ręce. – Wytworzenie leku metodą spagiryiczną potrwa przynajmniej kilkanaście, o ile nie kilkadziesiąt godzin.

– *Ja, natürlich* – przytaknął Beseler z namysłem. – A gdyby otrzymał pan tę substancję już teraz? Ile pan potrzebuje?

– Bo ja wiem? Dwa, może trzy łuty. W gramach to będzie...

– Nieważne – wszedł mu w słowo generał-gubernator. – Dostanie pan

wszystko, co konieczne, żeby sporządzić lekarstwo dla carewicza. Kiedy tylko skończymy rozmawiać, mój adiutant zaprowadzi pana do magazynu. Teraz co do hotelu... Kapitan Hoffmann nie po raz pierwszy inicjuje bezsensowną awanturę, z tego właśnie powodu dwukrotnie przenoszono go do innej jednostki. Jest, jak to wy, Polacy, mówicie... fiut na dupie?

– Wrzód na dupie – poprawił z kamienną twarzą Rudnicki.

– Frzut na dupie – powtórzył z upodobaniem von Beseler. – Teraz dobrze?

– Wasza Ekscelencja ma znakomity akcent – pochwalił alchemik.

– Jak przypuszczam, miał pan ważny powód, żeby go wyrzucić?

– Uporczywie zakłócał spokój innym gościom. Cygańska orkiestra o piątej nad ranem to jednak przesada.

– Tak też myślałem – zaznaczył z satysfakcją generał. – W takim razie wystarczy, jeśli przesłucham innych oficerów. Zanim pan wróci, sprawa powinna być wyjaśniona i otrzyma pan z powrotem swój hotel. Niestety, chwilowo przyjdzie się panu wyprowadzić, rozumie pan: przepisy.

Rudnicki ponuro skinął głową.

– A kto będzie nim zarządzał pod moją nieobecność?

– Kapitan Hoffmann zgłosił swoją kandydaturę, jednak fakt, że jest stroną w sporze, skłania mnie do odrzucenia tej propozycji.

– Stanowczo rekomendowałbym powierzenie mu czasowego nadzoru nad hotelem – powiedział alchemik. – Ze względu na magiczne zabezpieczenia wymaga to głębokiej wiedzy. Wiedzy, której kapitan z pewnością nie posiada. Stąd przypuszczam, że moja nieobecność spowoduje pewne... perturbacje.

– Jak silne perturbacje? – spytał wprost Beseler. – Proszę pamiętać, że kwaterują tam cesarscy oficerowie!

– Nic nieodwracalnego – zapewnił Rudnicki.

– Cóż, zatem dam kapitanowi szansę, żeby się wykazał. A teraz wybaczy pan, obowiązki. *Herr* Rudnicki...

– Ekscelencjo... – skłonił się alchemik.



Sprowadzona z hotelu pokojówka podała herbatę i wypieki pod baczynym

spojrzeniem kucharki, po czym dygnęła i wyszła pospiesznie z salonu. Kucharka, potężnej postury matrona w białym fartuchu, jedna z nielicznych Rosjanek, które pozostały w Warszawie, śledziła z niepokojem reakcje stołowników, dopóki Rudnicki nie wyraził głośno aprobaty. Nie żeby udawał: Tatiana Olegowna Aristowa była prawdziwą mistrzynią w swoim fachu, wcześniej służyła u księcia Oboleńskiego.

– Wszystko jak zwykle znakomite! – pochwalił alchemik, kosztując ciężkiego, pachnącego rumem ciasta.

– *Na zdrowie, rodimyj!* – rozpromieniła się kucharka. – To ja już pójdę.

– Cała twoja służba odnosi się do ciebie tak familiarnie? – spytała ze zdziwieniem Wiktorja.

– Nie, tylko Tatiana Olegowna – odparł sucho Rudnicki. – Ale czuję się usprawiedliwiony, ona i Oboleńskiemu mówiła „kochaniutki”.

– Utalentowana kobieta – przyznała dziewczyna, sięgając po oblany czekoladą biszkopt. – Skąd się u ciebie wzięła? Przecież w czasie ewakuacji Oboleńskiemu podstawili specjalny pociąg. Nie sądzę, żeby zabrakło miejsca.

– Wróciła do pałacu po utensylia kuchenne, okazało się, że zapomniała ich spakować, a tymczasem nad miastem pojawiły się niemieckie zeppelin – wyjaśniła Anastazja. – No i pociąg odjechał. Ale mamy do omówienia ważniejszą sprawę. Powiedziałaś wcześniej, że masz dla nas propozycję?

Rudnicki skinął na lokaja i poczekał, aż tamten zamknie drzwi, pewne tematy lepiej było omawiać bez udziału postronnych.

– Więc? – zachęcił Wiktorję.

– Chodzi o enklawę...

Niewykazujący do tej pory zainteresowania rozmową Ankwicz podniósł czujnie głowę. Fechmistrz od dłuższego czasu namawiał alchemika na wyprawę do enklawy, ale Rudnicki niezmiennie odmawiał.

– Tak?

– Mogłabym do was dołączyć – poddała Wiktorja. – Wówczas mielibyśmy szansę wrócić cało. Nie chciałbyś odnowić zapasów *materia prima*? – dodała, zwracając się do alchemika.

– A jaki ty masz interes w wycieczce do enklawy? – rzucił nieufnie Rudnicki.

– Biblioteki. Chciałabym wejść do biblioteki i wyjść stamtąd w jednym

kawałku. Wiem, że tobie i Anastazji się udało...

Ankwicz skinął energicznie głową.

– To ma sens – powiedział. – Pan i Anastazja zajęlibyście się magiczną stroną problemu, a ja i panienska Wiktorja skoncentrowalibyśmy się na fizycznych zagrożeniach.

– Jasne! A po powrocie po drugiej stronie muru czekałaby na nas hołota z całego miasta! Bo dobry rok nie mieli okazji obrobić żadnego alchemika!

– Oczekiwaliby nas też moi ludzie – zripostował fechmistrz. – Więc?

Rudnicki westchnął ciężko: nie uśmiechała mu się wyprawa do enklawy, jednak uprawianie alchemii wymagało posiadania *materia prima*. A jeśli na domiar złego mimo obietnic Beselera zabiorą mu hotel? Albo dokwaterują kolejnych oficerów? Nawet obecnie zyski ledwo pokrywały koszty.

– Kuzynko?

Nikt poza Samarinem nie wiedział, kim w rzeczywistości jest kobieta podająca się za krewną alchemika, stąd też Rudnicki podtrzymywał publicznie wygodną dla siebie wersję.

– Cóż, to ciekawa propozycja – przyznała Anastazja. – Jesteś pewien, Zygmunco, że dacie radę we dwójkę?

Jeszcze jedna zagadka, pomyślał markotnie alchemik. Ciekawe, kiedy panienska Anastazja i Ankwicz zbliżyli się na tyle, by mówić sobie po imieniu. A przecież żadne nie miało skłonności do spoufalania się z otoczeniem.

– Oczywiście, widziałem panienkę Wiktorję w akcji. Podobnie jak i pan Rudnicki – zaznaczył Ankwicz z lekką kpina.

Alchemik odsunął nerwowym gestem filizankę, sapnął gniewnie.

– Niech wam będzie! – burknął. – Ale o konkretach porozmawiamy po moim powrocie z Petersburga. Daj Boże, szczęśliwym, bo ostatnio ledwo uszedłem z życiem!

– Nic ci nie grozi – zapewniła Wiktorja. – W tej rozgrywce jesteś dla obu stron zbyt cenną figurą, żeby cię narażać.

– Akurat! Nie wiem nawet, o co chodzi, bo trudno mi uwierzyć w nagły przyływ humanitaryzmu kajzera.

– I słusznie, Niemcy mają w tym swój interes – przyznała dziewczyna. – Tyle że nie zmienia to w niczym twojej sytuacji.

- Nie lubię, jak ktoś wciąga mnie w jakieś mętne historie. Wiktoria przyjrzała mu się z autentycznym zdziwieniem.
- Naprawdę nie wiesz, o co chodzi? – spytała.
- Naprawdę! Może mnie oświecisz?
- Sprawa jest oczywista, Niemcy chcą zawrzeć separatystyczny pokój z Rosją, a później przerzucić wszystkie siły na zachód, żeby rozstrzygnąć losy wojny – powiedziała obojętnie.
- Przecież Rosjanie zebrali straszne baty.
- I tak, i nie. Rzeczywiście przegrali kilka ważnych bitew i musieli się wycofać, ale właśnie wycofać, a nie uciec. Ich armia nie poszła w rozsypkę i nadal może sprawiać kłopoty. Jest kiepsko zaopatrzona, bo rosyjski przemysł nie był przygotowany do wojny, ale to ulega nieustannej poprawie, poza tym Rosjanie mogą uzupełniać braki u sojuszników. Natomiast ogromne rezerwy ludnościowe Rosji stawiają ją w rzędzie groźnych przeciwników.
- Oni naprawdę myślą, że car, wzruszony postawą Niemców, rozpocznie rozmowy pokojowe? – wtrąciła Anastazja z niedowierzaniem w głosie.
- Skąd! Chodzi raczej o zachowanie kanałów łączności. Pewnego... bo ja wiem...? pozytywnego nastawienia. Rosja jest nadal zbyt silna, żeby poważnie rozważyć wycofanie się z wojny, jednak kolejne klęski mogą to zmienić. A jeśli Niemcy obiecaliby oddanie zabranych ziem? Kto wie?
- Świetnie! Czyli mam być nieoficjalnym ambasadorem kajzera? – mruknął z niezadowoleniem Rudnicki.
- Bez przesady, Rosjanie doskonale zdają sobie sprawę, że nie mieszasz się do polityki. Naprawdę nic ci nie grozi – powtórzyła Wiktoria. – No chyba że od strony zawodowej...
- Nie rozumiem.
- Wiesz, gdybyś nie był w stanie pomóc carewiczowi...
- Jeśli chodzi o hemofilię, to dam radę.
- Nie masz *materia prima* – zauważyła Anastazja. – Gdybyśmy zaryzykowali... Rudnicki powstrzymał ją gwałtownym gestem.
- Zaryzykowali? W trójkę albo z jakimś gamoniowatym konfratrem na dokładkę? Wolne żarty! Znam przyjemniejsze sposoby popełniania samobójstwa. Co do *materia prima*, to ten problem został już rozwiązany,

Niemcy dali mi trzy łuty.

– No proszę, to znaczy, że naprawdę zależy im na powodzeniu misji – odezwała się z namysłem Wiktoria. – Ciekawe...

– Nie widzę w tym niczego ciekawego, będę musiał pracować całą noc, bo lekarstwo samo się nie zrobi.

– Pamiętaj, żeby wziąć te nowe karty wizytowe – przypomniała Anastazja.

Alchemik przytaknął z cierpiętniczą miną.

– Co za karty? – zainteresowała się Wiktoria.

– Pokażę – powiedziała Anastazja, wstając zza stołu. – Kosztowało nas to dobrą ryzę papieru i miesiąc eksperymentów, ale produkt finalny robi wrażenie.

– Karty wizytowe? – zdziwiła się dziewczyna. – Takie z nazwiskiem i tytułami? Nie mogłeś zamówić w drukarni?

– Sama zobaczysz – mruknął Rudnicki zażenowany. – Z jednej strony to głupota, z drugiej może rzeczywiście warto...?

Anastazja wróciła, niosąc niewielką metalową tacę, podeszła do Wiktorii i zademonstrowała prostokątny kawałek papieru.

– Tu nie ma żadnego tekstu.

– Dotknij jej.

Wiktoria ostrożnym gestem musnęła kartę. Na wizytówce pojawiła się podkowa z krzyżem na błękitnym tle, ponad nią wzlatujący jastrząb. Po chwili herb zniknął, a niewidzialne pióro wytrawiło ogniem imię i nazwisko alchemika. Wreszcie spod śnieżnej bieli wychylnęło słowo ADEPT, po czym rozpadło się na setki wirujących, nieznanymi geometrii figur. Dziewczyna wzdrygnęła się i odwróciła wzrok.

– Jeszcze chwila i bym zemdląca – wymamrotała oszołomiona. – Jak to zrobiliście?

– To nic wielkiego, wystarczyła kropla krwi Olafa i słowo mocy. To samo, dzięki któremu cała Warszawa ujrzała nad Zamkiem Królewskim polską flagę – wyjaśniła obojętnie Anastazja.

– A te dziwne wzory? I ile słów poznaliście? Przecież zanim Rosjanie się wycofali, byliście na pewno nie raz w enklawie?

Anastazja wymownym gestem scedowała pytanie na alchemika.

– To dość osobista sprawa. Żeby nie powiedzieć: intymna – wycedził

Rudnicki. – Tak więc wybacz, ale nie zaspokoję twojej ciekawości.

– A te karty? Po czorta ci coś takiego? Czy to też tajemnica?

– Ależ skąd! – zapewniła Anastazja. – To akurat żaden sekret. Po ostatniej wizycie na carskim dworze Olaf narobił sobie wrogów. Ci zaś uznali go za płotkę, prawda, że irytującą, ot, prowincjonalnego polskiego aptekarza. Jednym słowem, kogoś, kogo łatwo się pozbyć. Te karty wizytowe mają im uświadomić, że popełnili błąd w ocenie. Błąd, który może ich drogo kosztować...

– A jeśli zobaczy to ktoś wtajemniczony? Inny adept? Nie zdemaskuje tej sztuczki?

– Sztuczki? – Anastazja parsknęła pogardliwie. – Żaden z tych szarlatanów tego nie powtórzy! Inny adept? Wolne żarty! Wiesz, ilu wariatów próbowało wejść do bibliotek? Każdy chce zostać nadczłowiekiem.

– Masz na myśli te pamiętniki?

– Owszem, chodzi mi o książkę Klujewa.

Rudnicki odchrząknął z rozbawieniem: historia *gospodina* Klujewa od ponad roku stanowiła pożywkę dla prasy na równi z doniesieniami z frontu. W czasie jednej z wypraw do enklawy Klujew, zwykły moskiewski alchemik, trafił przez przypadek do biblioteki i co ważniejsze, przeżył. Poznane przez niego słowo mocy pozwalało mu oddziaływać na psychikę bliźnich, co też natychmiast wykorzystał, wyciskając ze stołecznych banków absurdalnie wysokie i niczym niezabezpieczone kredyty oraz emablując miejscowe piękności. Sielankę – Klujew żył w iście sułtańskim stylu – przerwał zazdrosny mąż jednej z uwiedzionych przez alchemika ślicznotek, umieściwszy w sercu rywala kilka gramów ołowiu. Tyle że tamten zdążył wcześniej wydać pamiętniki.

Anastazja miała rację, przypadek Klujewa bardziej niż cokolwiek innego, w tym wysoce specjalistyczne dywagacje na temat znaczenia enklaw, zachęcił do odwiedzania bibliotek. Mimo koszmarne bilansu – większość śmiazków ginęła w czasie poznawania symboli, inni umierali niedługo potem, nie mogąc powstrzymać się przed nadużywaniem nowych znaków – ochotników nie brakowało.

– A ja? – spytała cicho Wiktoria. – Czy ja przeżyję?

– Nikt z wchodzących do biblioteki nie ma stuprocentowej gwarancji – odparł bez ogródek Rudnicki. – Jednak zajmiemy się tobą. Tak czy owak, masz spore

szanse.

Wiktoria zachęciła go gestem do kontynuowania tematu, jednak alchemik pokręcił przecząco głową.

– Znowu jedna z tych spraw, o których nie rozmawia się z postronnymi? – stwierdziła z niesmakiem.

– Coś w tym rodzaju. A teraz wybacz, muszę wracać do pracy.

– W takim razie zobaczymy się po twoim powrocie.

– Chwileczkę! – wtrącił Ankwicz. – A co z hotelem? Naprawdę odda go pan Niemcom bez walki?

– Niezupełnie. Przede wszystkim mam słowo Beselera, że zanim wrócę z Petersburga, załatwi tę sprawę...

– Mogę wyjść – zaproponowała Wiktoria, widząc minę alchemika.

– Nie trzeba – machnął ręką Rudnicki. – Przecież nie polecisz z donosem do Hoffmanna.

– Dziękuję, łaskawco, za zaufanie!

– Nieważne. Jutro rano cały personel musi opuścić hotel – polecił alchemik, zwracając się do Ankwicza. – Dopilnuje pan tego. Tymczasem ja dopilnuję, żeby Niemcy pożałowali swojej decyzji.

– A to w jaki sposób? – uniósł brwi fecht mistrz.

– Cóż... Umieściłem w paru miejscach pewien symbol. Ta struktura zacznie działać dopiero za kilka dni i obejmie swoim zasięgiem cały budynek. W zasadzie rzecz jest nieszkodliwa, jednak mogą wystąpić pewne ciekawe efekty.

– A konkretnie?

– Nadmierne rozluźnienie. Nieustanna senność i brak chęci do pracy, osłabienie mięśni, w tym szkieletowych, a nawet...

– Jakich, do licha, mięśni?! Pamiętaj, że nie każdy jest lekarzem – rzuciła z irytacją Wiktoria.

– To mięśnie pozwalające na ruch i utrzymanie wyprostowanej pozycji. Krótko mówiąc, hotelowi goście mogą ni stąd, ni zowąd potknąć się o własne nogi, zaślinić albo i zanieczyścić jak małe dzieci.

Usta Ankwicza drgnęły w powstrzymywanym uśmiechu, wreszcie mężczyzna zarechotał na cały głos.

– Podoba mi się ten pomysł! – zawołał. – A ci niemieccy sztabowcy! „Wytrzymał pod Verdun, nie dał rady w hotelu »Azyl«” – zadeklamował ze złośliwą uciechą.

Ankwicz miał specyficzne poczucie humoru. Rudnicki westchnął bezradnie, po czym odprowadził Wiktorię do wyjścia. Najwyższy czas zająć się lekarstwem dla carewicza, pomyślał. Bo jeśli środek nie zadziała, nie pomogą mi żadne, nawet najbardziej wymyślne karty wizytowe...



Alchemik pochylił się nad potężną retortą i zerwał okrywającą naczynie płachtę. Homunkulus z błogim wyrazem twarzy pływał w czerwonym winie zaprawionym eliksirem z mandragory. Po chwili otworzył oczy i czarne, nieludzkie źrenice, o kilka tonów ciemniejsze od antracytu, napotkały wzrok Rudnickiego.

– Tata! – wykrzyknął, siadając. – Tata!

Poruszone gwałtownym ruchem hybrydy naczynie zakołysało się niebezpiecznie.

– Spokój! – polecił gniewnie alchemik.

– Ja grzeczny! – zadeklarował stwór natychmiast. – Jeździmy? – spytał z nadzieją w głosie.

Z niewiadomych przyczyn jakiegokolwiek podróże, a w szczególności jazda pociągiem, niezmiernie ekscytowały hybrydę. Rudnicki nie raz i nie dwa łapał się na myśli, że homunkulus przypomina zachowaniem kilkulatka. No, może poza jedną kwestią: to akurat dziecko uwielbiało zabijać jeszcze bardziej, niż podróżować...

– Wyjeżdżamy – poprawił odruchowo alchemik.

– Wyjeżdżamy?

– Tak.

Rudnicki postawił na stole niewielką, pokrytą magicznymi symbolami butelkę i odwrócił się plecami do retorty. Z jakichś względów nie znosił momentu, kiedy homunkulus przenosił się do mniejszego naczynia. Proces trwał mgnienie i był niemal niewidoczny – ot, lekkie falowanie powietrza; gdyby

człowiek mrugnął, toby nie zauważył.

Powietrze zapachniało ozonem i alchemik schował butelkę do specjalnej sakiewki przy pasie. Mimo że wszyscy go uspokajali, wołał sam zatroszczyć się o swoje bezpieczeństwo.

Rudnicki skrzywił się boleśnie, słysząc klakson, najwyraźniej Schlatze się niecierpliwił. Niemiec czekał na niego za kierownicą najnowszego modelu mercedesa. Automobil zaopatrzono nie tylko w wygodne siedzenia i rozkładany dach, ale nawet elektryczne reflektory. Podobno samochód mógł rozwijać prędkość ponad stu kilometrów na godzinę, choć w to akurat alchemik niespecjalnie wierzył. Kupa żelaza poruszająca się szybciej niż wyścigowy wierzchowiec? Koń by się uśmieł...

– Widzę, że nie obciąża się pan bagażem – zauważył Niemiec, mierząc wzrokiem niewielką walizkę alchemika i podręczną torbę z medykamentami. – Na pewno zabrał pan potrzebne lekarstwa?

– Na pewno – skwitował sucho Rudnicki.

– To co, możemy jechać na dworzec?

– Mamy jeszcze trochę czasu, chciałbym wstąpić na chwilę do hotelu.

– Jak pan sobie życzy – wzruszył ramionami Schlatze.



Rudnicki rozejrzał się: w holu zebrali się niemal wszyscy hotelowi goście, w tym i niemieccy oficerowie. Nic dziwnego, skoro właściciel zaproponował darmowe trunki...

– Szanowni państwo – rozpoczął bez wstępu Rudnicki – spotykamy się dzisiaj po raz ostatni, od jutra hotel przechodzi czasowo pod zarząd władz niemieckich. Dlatego czuję się w obowiązku uprzedzić, że nie mogę wam zagwarantować pod moją nieobecność należytego komfortu. Stąd rekomendowałbym natychmiastowe opuszczenie „Azylu”. Jako właściciel przepraszam bardzo za te kłopoty i w ramach rekompensaty zwalnim wszystkich z opłat, niezależnie od czasu, jaki państwo spędzili w hotelu. Mam nadzieję, że będę miał przyjemność gościć państwa w przyszłości – zakończył z lekkim ukłonem.

Tak jak się spodziewał, jego przemowa wywołała zaniepokojenie nawet

u niemieckich sztabowców.

– Co znaczy ta dziwna uwaga na temat komfortu? – wycodził przez zęby pułkownik von Trosch.

Postawny mężczyzna z krzyżem orderu Pour le Mérite na mundurze i monoklem w oku wyglądał jak archetyp pruskiego oficera-arystokraty.

– Zabezpieczenie tego typu obiektu wymaga sporej wiedzy – wyjaśnił chłodno Rudnicki. – Specjalistycznej wiedzy. A z tego, co mi wiadomo, na funkcję tymczasowego zarządcy zostanie powołany kapitan Hoffmann.

Niemiec skrzywił się, jakby skosztował cytryny, także pozostali oficerowie nie wyglądali na zachwyconych: ze względu na kastową solidarność nie było mowy o otwartej krytyce, ale wszyscy zdążyli poznać Hoffmanna i wiedzieli, co sobą reprezentuje pupilek Ludendorffa.

– Ktoś o mnie wspominał?

Kapitan Gregor Hoffmann nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Afektowany sposób bycia sprawiał, że przypominał kiepskiego aktora, któremu przyszło grać rolę oficera, wrażenie pogłębiał niedopięty mundur, brak jakichkolwiek odznaczeń na piersi i krągłe, różowe policzki pozbawione nie tylko wojennych, ale i burszowskich blizn.

Von Trosch zmierzył go zniesmaczonym spojrzeniem, po czym ponownie zwrócił się do Rudnickiego:

– Jak duży dyskomfort ma pan na myśli?

– Nic, co mogłoby zagrozić życiu czy zdrowiu – zapewnił natychmiast alchemik. – I nie od razu. Niestety, magiczne zabezpieczenia, które chronią ten hotel, wymagają co jakiś czas korekty. – Rozłożył bezradnie ręce.

– A pan nie mógłby...

– Przykro mi, jestem zmuszony udać się do Petersburga – wszedł mu w słowo Rudnicki. – Za godzinę odjeżdża mój pociąg.

– Do Petersburga?! To zdrada! Aresztuję pana w imieniu cesarza! – wrzasnął Hoffmann, nerwowo grzebiąc przy kaburze.

Von Trosch złapał go żelaznym chwytem za nadgarstek, zmuszając do wypuszczenia rękojeści pistoletu.

– Milcz, gówniarzu, i nie przerywaj starszym! – warknął.

Kilku oficerów niepostrzeżenie podeszło do awanturującego się młodzieńca.

Rudnicki roześmiał się mimo woli: otoczony przez sztabowców Hoffmann wyglądał jak prosiaczek, który niespodziewanie zetknął się z watahą posiwiałych, pokrytych szramami i śmiertelnie niebezpiecznych wilków.

– Powiedziałem coś zabawnego? – zapytał zwodniczo łagodnym tonem pułkownik.

– Przepraszam najmocniej – wykrztusił alchemik, ocierając łzy. – Nie pan... Proszę wybaczyć, nerwy.

– W takim razie w czym rzecz?

– Pro... prosiątko i wilki – wyjąkał Rudnicki, wskazując Hoffmanna.

Przez moment von Trosch wyglądał na zdezorientowanego, jednak później w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia i po krótkiej heroicznej walce Niemiec wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. Po chwili zawtórowali mu inni oficerowie.

– To niedopuszczalne! Ja... Żądam satysfakcji! – rozległ się piskliwy głos Hoffmanna.

Rudnicki uniósł dłoń, ku jego zdumieniu wrzawa ucichła jak ucięta nożem.

– Gdyby ktoś poczuł się urażony moim zachowaniem, udzielię mu satysfakcji po powrocie – oznajmił alchemik, rzucając na stół kartę wizytową.

– A tak z ciekawości, w jakim celu udaje się pan do Petersburga?

W głosie von Troscha nie było agresji ani nawet nalegania, a ręce pułkownik trzymał zaplecione za plecami, jednak alchemik poczuł suchość w ustach.

– Myślę, że lepiej wyjaśni to mój towarzysz – wymamrotał.

Schlatze podszedł do oficera i podał mu dokument z wyraźnie widoczną pieczęcią przedstawiającą czarnego cesarskiego orła.

– Z rozkazu Jego Wysokości! – powiedział krótko.

Na twarzy von Troscha odbiło się zdumienie, pułkownik kilkakrotnie przestudiował pismo, po czym oddał je, kłaniając się z szacunkiem.

– Czy zaspokoilem pańską ciekawość? – upewnił się Schlatze.

– W zupełności, hrabio! – zaręczył oficer. – Życzę panom powodzenia.

– Niektórym będzie bardzo potrzebne! – stwierdził buńczucznie Hoffmann, odzyskując pewność siebie.

Młodziak podniósł wizytówkę alchemika i zacisnął palce, zapewne zamierzając zmiąć ją pogardliwie. Niespodziewanie pobladł, wydawało się, że

oczy wyjdą mu z orbit, wreszcie runął na podłogę niczym worek cementu.

– I jak mamy wygrać wojnę z takimi żołnierzami? – westchnął cierpiętniczo pułkownik. – Podnieście go! – polecił. – Trzeba jakoś ocucić tego obrońcę Vaterlandu, a za hotelem widziałem basen przeciwpożarowy...

Schlatze wymownym gestem pokazał zegarek, więc Rudnicki niechętnie ruszył do wyjścia. Trzeba było pogodzić się z myślą, że hotel nie należy już do niego. Mimo obietnic Beselera alchemik miał świadomość, że odzyska go tylko wtedy, jeśli Niemcy będą zadowoleni z wyników jego misji.



Koła pociągu stukały w monotonnym rytmie, a luksusowo urządzonego wagon oferował wszelkie wygody, ale Rudnicki nie mógł zasnąć, ani nawet zapaść w zwyczajne dla podróży koleją odprężenie. Może sprawiały to odgłosy żołnierskiej krzątania bądź echa prowadzonych półgłosem rozmów: za drzwiami czuwali oficerowie cesarskiej gwardii. Wszyscy rośli, uzbrojeni po zęby, o rzucającym się w oczy doświadczeniu bojowym. Najwyraźniej obowiązek zapewnienia bezpieczeństwa Olafowi Rudnickiemu traktowano nadzwyczaj poważnie. Tylko przed kim mieli go strzec gwardziści kajzera? Bo przecież nie przed Rosjanami.

Alchemik przewrócił się na drugi bok, po chwili namysłu zapalił umieszczoną nad łóżkiem lampkę i ostrożnie sięgnął do walizki. Może lektura pozwoli mu się odprężyć? Przewornie zabrał w podróż reklamowaną ostatnio w warszawskich pismach literackich powieść Andrzeja Struga.

– Nie może pan spać? – odezwał się Schlatze.

– Nie mogę – przyznał Rudnicki.

– To może porozmawiamy? Co było na tej karcie wizytowej? Trucizna?

– Nic z tych rzeczy!

– To dlaczego Hoffmann zemdlął jak nerwowa pensjonarka?

Alchemik spróbował dojrzeć twarz rozmówcy, ale Schlatze trzymał się poza zasięgiem światła. O dziwo, w jego głosie nie było potępienia, a jedynie chłodna ciekawość.

– Proszę samemu sprawdzić – zaproponował Rudnicki, sięgając po

wizytówkę.

Schlatze zapalił swoją lampkę i ostrożnie ujął kartonik w dłonie. Na jego czole pojawiły się krople potu, ale odwrócił wzrok dopiero po dobrej chwili.

– Imponujące! Gdzie ja miałem rozum? Powinienem od razu się domyślić, że nie jest pan zwykłym alchemikiem. W końcu tych nie brakuje i w Rosji. Co oznacza ten termin? Kim jest adept? Ilu zna pan sobie podobnych?

Pytania padały z szybkością karabinu maszynowego, widać było, że Schlatze naprawdę jest wstrząśnięty.

– Odpowiedź za odpowiedź – odparł Rudnicki.

– Tak?

– Skąd te środki bezpieczeństwa, skoro chwilowo jestem w łaskach i u kajzera, i u cara?

Schlatze zacisnął usta, jego prawa ręka zniknęła poza kręgiem światła, kiedy mężczyzna sięgnął pod poduszkę. Alchemik mógłby się założyć, że agent trzyma tam broń. Ten nerwowy gest zupełnie nie pasował do opinii, jaką Rudnicki wyrobił sobie o Niemcu.

– Więc? – ponaglił.

– To nie takie proste. Poza państwami zaangażowanymi w konflikt jest jeszcze wielu innych, pomniejszych graczy.

– Może bez tych szachowych analogii – poprosił Rudnicki.

– Kiedy to bardzo precyzyjny opis sytuacji – zaprotestował Schlatze. – Wszyscy sądzili, że wojna potrwa w najgorszym wypadku kilka miesięcy, tymczasem ciągnie się już drugi rok, a zwycięstwo nadal pozostaje poza zasięgiem którejkolwiek ze stron. W tej sytuacji zaktywizowały się rozmaite grupy interesów, często pozostające na marginesie polityki i bez żadnego poparcia w społeczeństwie. Teraz mają argument, który może przysporzyć im zwolenników: natychmiastowe przerwanie działań wojennych. Wreszcie o zaistniałą sytuację obwinia się władców i rządy. I te oskarżenia znajdują coraz większy odzew...

– Przecież nie bez powodu – zauważył Rudnicki.

Niemiec zbył argument machnięciem ręki.

– Niech pan nie będzie dzieckiem! – burknął. – Im chodzi wyłącznie o władzę. Tyle że w odróżnieniu od obecnych decydentów nie będą zawracali

sobie głowy moralnością, zasadami prawa czy choćby zwykłą przyzwoitością. Niech mi pan wierzy, to zupełnie inna jakość.

– I co w związku z tym?

– Część z nich uważa, że wystarczy zaczekać, a wzrastające niezadowolenie spowodowane brakiem rozstrzygnięcia na frontach i pogarszającymi się warunkami życia sprawi, że ludzie poprą tych, którzy obiecują zakończyć tę krwawą awanturę. A oni oczywiście przyrzekną wszystko, żeby tylko dorwać się do władzy. Niestety, inni są zdania, że można przyspieszyć zmiany.

– Krwawą awanturę? – powtórzył ze zdziwieniem alchemik. – Myślałem, że pan, jako przedstawiciel cesarza...

– ...będzie mniej krytyczny wobec tego, co się dzieje? – dokończył z ironią Schlatze. – Nie jestem idiotą, *Herr Rudnicki!* I niech mi pan wierzy, nikt nie chciał takiej jatki. Rzeczywistość nas przerosła. Obie strony – zaznaczył z naciskiem.

– No dobrze, a co z tymi „niecierpliwymi”?

– Jeszcze parę lat temu nie mieliby wielkich szans, ale teraz, z tą całą magią, alchemią i pierwotną materią...

– Tak więc obawia się pan zamachu?

– Czegóż w tym rodzaju – odparł niechętnie Niemiec. – I dość o tym! Nie mam prawa ujawniać panu pewnych informacji.

Rudnicki skinął głową i poprawił się na łóżku.

– Teraz moja kolej – przypomniał Schlatze.

– Słucham.

– Kim jest adept?

– To ktoś, kto poznał magiczny symbol, odpowiadający mu dźwięk i potrafi się nimi posłużyć – wyjaśnił zwięźle alchemik.

– Taką wiedzę zdobywa się w bibliotekach?

– Owszem.

– Czy można poznać kilka symboli? To znaczy poznać i przeżyć?

– Słyszałem o takich przypadkach – przyznał niechętnie Rudnicki.

– Ile zna pan symboli?

– Tego panu nie powiem.

Schlatze wpił się wzrokiem w alchemika, Rudnicki zrozumiał, że poprzednie

pytania były tylko przygrywką, być może testem na prawdomówność. To, na które chciał otrzymać odpowiedź, miało paść dopiero teraz.

– A te istoty z enklaw? Czy naprawdę można się z nimi dogadać? Albo je kontrolować? Podobno w czasie rosyjskiej okupacji w Warszawie miały miejsce pewne incydenty...

– I tak, i nie. Co prawda istnieją pewne magiczne procedury, ale ich efekt przypomina próbę skrępowania tygrysa w sytuacji, kiedy sznur rwie się w oczach.

– A homunkulusy? Czy rzeczywiście...

Alchemik powstrzymał Niemca ruchem dłoni.

– Wydaje mi się, że jesteśmy kwita – zauważył spokojnie.

Schlatze zacisnął zęby, ale po chwili niechętnie skinął głową.

– Niech będzie – powiedział. – Niemniej jednak zdaje sobie pan sprawę, że docenilibyśmy pańską pomoc? Pod każdym względem. Nie tylko materialnym. Także jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Bo prędzej czy później ktoś wpadnie na pomysł, żeby wykorzystać pańską wiedzę nawet wbrew pana woli...

Rudnicki poczuł ciarki pełzające wzdłuż kręgosłupa, ale zaraz potem przemożny, hamujący oddech gniew.

– To nic nowego – wycedził, starając się opanować. – Jeszcze za czasów, kiedy Warszawę okupowali Rosjanie, kilka osób chciało mnie zmusić do tego czy owego, a nawet zabić. Tylko wie pan co, Schlatze, czy jak tam panu? Wszyscy, którzy czegoś takiego spróbowali, uznali to za bardzo kiepski pomysł. Tyle że poniewczasie. I dla większości z nich była to ostatnia pomyłka.

Rudnicki obawiał się, że głos mu zadrży – w końcu rozmawiał z przedstawicielem cesarza – jednak wręcz przeciwnie, usłyszał w nim tylko groźbę popartą dziwnym, łamiącym wolę tonem. Tak jakby każda wypowiedziana fraza niosła w sobie echo poznanych w bibliotece słów mocy.

– Ja... Proszę przestać! Zrozumiałem! Proszę...

Alchemik zamrugał ze zdziwieniem. Schlatze zakrył twarz trzęsącymi się dłońmi, jego skóra przybrała odcień porcelanowej bieli, a na czole i skroniach pulsowały gwałtownie sine żyły. Czegoś takiego nie można udawać, Niemiec był na granicy omdlenia.

– Przepraszam – wymamrotał Rudnicki. – Już nie będę. Proszę się położyć.

Schlatze posłusznie wykonał polecenie, a alchemik zgasił światło. Sam także nie czuł się najlepiej, serce tłukło mu się w piersi jak po wielkim wysiłku, szum w uszach niemal zagłuszał odgłosy jazdy. Zapadł w sen, ledwo przyłożył głowę do poduszki.



Wymiana nastąpiła w Dźwińsku, dawnym Dyneburgu. Schlatze pożegnał się z Rudnickim oschle i z widoczną ulgą przekazał go pod opiekę Rosjan. Nie ulegało wątpliwości, że Niemiec doszedł już do siebie, jasne było też, że nie może darować alchemikowi ostatniej rozmowy. Jeszcze jeden wróg, jakby innych było mało, jesteście urodzonym dyplomata, Olafie Arnoldowiczu, pomyślał niewesoło alchemik.

Odeskortowano go do innego, na oko dużo mniej luksusowego pociągu, na szczęście niemal od razu dostrzegł wśród rosyjskich żołnierzy znajomą twarz. Matuszkin nie zmienił się specjalnie, tylko na pagonach oficera pojawiły się gwiazdki oznaczające stopień podpułkownika, a zmęczenie w oczach świadczyło, że ostatni rok nie należał do najłatwiejszych.

Przywitali się serdecznym uściskiem dłoni, po czym Matuszkin zaprowadził Rudnickiego do wygodnego, choć urządzonego bez specjalnego przepychu wagonu sztabowego.

– Czym chata bogata – zaprosił do obficie zastawionego stołu.

– Co słyszeć? – zapytał alchemik, częstując się szynką.

– Wszyscy zdrowi – zapewnił Matuszkin. – Saszkę niedawno odwołano z frontu, dostał przydział do sztabu generała Aleksiejewa. Tydzień temu widziałem się z Baturinem, ten drał jest już pułkownikiem.

– A co z Marią Pawłowną?

– O ile mi wiadomo, wszystko w porządku, ale sam pan rozumie, że to nie mój poziom. Słyszałem, że księżna bryluje w Petersburgu.

– Widzę, że szrama niemal zniknęła.

– Owszem, dzięki pańskim lekom – odparł z wdzięcznością oficer.

Rudnicki zbył podziękowanie machnięciem ręki, nie skomentował też faktu, że Matuszkin, wspominając Samarina, użył imienia, a nie tytułu lub stopnia.

Wspólna wojaczka zbliża ludzi, a błyskawiczny awans Matuszkin – rok wcześniej był jeszcze kapitanem – świadczył, że ten nie zasypiał gruszek w popiele.

– Co z carewiczem? Dlaczego mnie wezwano?

– Nie znam detali, ale nie jest dobrze. Leki, jakie pan zostawił, nie działają, co jest o tyle dziwne, że przez długi czas błyskawicznie likwidowały wszelkie skutki hemofilii. Następca tronu nieustannie cierpi na krwawienia do mięśni i stawów.

– Jak często?

– Raz, dwa razy w tygodniu.

Rudnicki zagryzł wargi, rzecz była zastanawiająca. Takie ataki zdarzały się i wcześniej, ale z dużo mniejszą częstotliwością, a przecież zostawił carewicza w dobrym stanie zdrowia. Przez cały tysiąc dziewięćset piętnasty rok Aleks tylko raz miał większy krwotok. Coś musiało się stać, ale co? Na pewno nie chodziło o zaniedbania, chłopiec był nie tylko oczkiem w głowie rodziców, lecz i następcą tronu. Niepodobieństwo.

– Zobacz pan na miejscu – powiedział Matuszkin jakby w odpowiedzi na myśli alchemika. – Tu i tak niczego nie wymyślimy.

– A ten szarlatan, jak mu tam? Rasputin? Podobno wcześniej potrafił powstrzymać ataki u carewicza?

– To prawda, jednak od kilku miesięcy może jedynie złagodzić ból. Chłopiec bardzo cierpi – dodał ciszej oficer.

– Ale co się stało?! – wybuchnął Rudnicki. – Niemal przez rok otrzymywałem z dworu informacje, że następca tronu ma się lepiej. Car prosił mnie nawet o przesłanie dodatkowych lekarstw, chociaż tych, które zamówił wcześniej, wystarczyłoby na dobre parę lat.

– Nie mam pojęcia. – Matuszkin bezradnie rozłożył ręce. – Wiem, że sprowadzano lekarzy z całego świata, dwóch przyjechało nawet z Ameryki. Znaczący ze Stanów Zjednoczonych – doprecyzował. – I nic. Niczego nie osiągnęli. Ani oni, ani wszelkiej maści *jurodiwi*. Być może jesteście ostatnią nadzieją monarchii, Olafie Arnoldowiczu – powiedział ze śmiertelną powagą w głosie.

– *Jurodiwi*?! Ma pan na myśli tych szaleńców?

– Cesarska para jest bardzo... religijna. Podobni ludzie gościli i wcześniej na

dworze. Niestety, tak czy owak ich modlitwy nie pomogły.

Alchemik siłą woli powstrzymał się od kontynuowania tematu, Matuszkin z pewnością nie przyjąłby dobrze krytyki cara.

– A jak sytuacja na dworze?

– Nie mam pojęcia, nie bywam tam, za wysokie progi.

– Pytam o nastawienie tej całej arystokracji. Czego mam się spodziewać? Pamiętaj pan, jak skomentowano moją ostatnią wizytę?

– Ach, o to chodzi...

– Owszem. Więc? Wolałbym wiedzieć, czy muszę chodzić z plecami przy ścianie.

– Trudno mi cokolwiek gwarantować, tym bardziej że to nie moje sfery, jednak z tego, co mówił Saszka, wynika, że pańska sytuacja nie jest najgorsza. Nawet najwięksi fanatycy poczekają na efekty leczenia, bo carewicz jest obecnie jedyną gwarancją ciągłości monarchii. Na pewno pana nie pokochają, nawet jeśli odniesie pan sukces, ale przynajmniej wstrzymają się od nieprzyjaznych działań. Liberałowie i część umiarkowanych są po pańskiej stronie, bo poprzednio upokorzył pan Rasputina. A to chyba najbardziej zniechęcony człowiek na dworze. Jeśli pomoże pan następcy tronu, stanie się pan ich idolem i nie będzie się mógł opędzić przed wyrazami wdzięczności.

– Ma pan na myśli gratyfikację finansową?

– Skąd! Raczej tabuny młodych i nie takich znowu młodych arystokratek, które zechcą panu osobiście podziękować za wyleczenie carewicza – wyjaśnił Matuszkin z szelmowskim błyskiem w oku. – Ja bym to potraktował jako dodatkową motywację. W końcu pieniądze nie są najważniejsze...

Rudnicki przewrócił oczyma, ale nie skomentował, najwyraźniej Matuszkin rzeczywiście niewiele się zmienił: jego warszawskie konkiety przeszły do legendy.

– Wódki? – zaproponował oficer.

Alchemik zamrugnął z zaskoczeniem, patrząc na oszronioną karafkę, która ni stąd, ni zowąd pojawiła się na stole.

– Nie wypada rozmawiać z carem po alkoholu – powiedział ostrożnie.

– Do Petersburga jeszcze ponad pięćset wiorst – poinformował niedbale Matuszkin. – Będziemy dopiero na jutro rano. To co, Olafie Arnoldowiczu? Po

jednym?

Rudnicki machnął ręką w przyzwalającym geście. Przyda mi się coś na nerwy, pomyślał.



Alchemik wyszedł na korytarz i gwałtownym szarpnięciem otworzył okno. Mżyło. Wilgotne powietrze przyjemnie chłodziło czoło, zmniejszając nieco łupanie w skroniach. Niestety, decyzja, aby napić się wódki z wracającym z frontu oficerem, była oczywistą pomyłką. W dodatku po drugiej, a może i trzeciej karafce Rudnicki dał się wciągnąć w wir toastów, które pili za historycznie zasłużone osoby Polski i Rosji.

Wrócił do przedziału i ciężko usiadł przy rozbebeszonej torbie z medykamentami. Nie da rady, trzeba będzie skorzystać z tego środka, pomyślał, patrząc na złowrogo połyskującą fiolkę. Nie mogę w takim stanie badać carewicza.

Zgrzytnęły drzwi i w progu pojawił się Matuszkin dzierżący wypełniony po brzegi kufel.

– Wypij – polecił, stawiając naczynie na stole.

Alchemik zacisnął zęby ze złością: Rosjanin sprawiał wrażenie wypoczętego, jakby przespał całą noc. No i wyglądało na to, że są już po imieniu...

– Co tam jest?! – warknął niegrzecznie.

– Kwas chlebowy. Myślę, że ci nie zaszkodzi. Chyba trochę przesadziłeś z wódką.

– I kto to mówi?

– Ja się nie skarżę – zauważył oficer. – Mimo że co do kilku toastów mam poważne wątpliwości. Nigdy nie byłem prymusem z historii, ale wydaje mi się, że królów o imieniu Zygmunt mieliście nie więcej niż trzech. Tymczasem wypiliśmy i za Zygmunta Piątego...

Rudnicki jęknął bezradnie i rozmasował skronie.

– Nie pamiętam – wymamrotał.

Odkorkował ampułkę i przełknął mętną ciecz. Przez dobrą chwilę męczyły go mdłości i dreszcze.

– Co to jest? – zainteresował się Matuszkin.
– Lekarstwo na kaca.
– Żartujesz?
– A wyglądam ci na żartownisia?
– Skuteczne?
– Owszem, tyle że obrzydliwe. No i ma skutki uboczne.
– A konkretnie?
– W dobę po zażyciu nie można pić alkoholu. Ani kropli.
– Bo co?
– Bo rzygasz dalej, niż widzisz – odparł zniecierpliwiony Rudnicki. – Godzinami.
– Nieprzyjemne – zgodził się Rosjanin. – Niemniej...
– Co?
– Masz jeszcze trochę tego specyfiku?
Alchemik sięgnął do torby i podał oficerowi kilka fiolek.
– Trzymaj! – burknął. – Na zdrowie! A teraz wybacz, muszę się trochę ogarnąć.
– Jeszcze godzina – zauważył Matuszkin. – Kazałem przygotować ci kąpiel i odprasować ubranie. Zdążymy.
Rudnicki przytaknął niemrawo i z wysiłkiem podniósł się z kanapy. Ból głowy nieco zelżał, ale nadal czuł słabość jak po długiej chorobie.
– Dziękuję – powiedział z wdzięcznością. – Gorąca kąpiel powinna postawić mnie na nogi.
– Tylko nie próbuj sam się golić – uprzedził Rosjanin. – Zrobi to mój ordynans. W cywilu był fryzjerem – dodał wyjaśniająco. – *Nasze wam pocztienije, s kistoczkoj, s palcem diewiat', s ogurcom piatnadcat'* – zawołał śpiewnie, udatnie naśladując ulicznych golibrodów.
Alchemik roześmiał się mimo woli – głowa nadal bolała – i pomaszerował do wagonu kąpielowego.



Sankt Petersburg Warszawski niewiele się zmienił od czasu ostatniej bytności

Rudnickiego, tyle że do dworca doprowadzono linię tramwajową, a na peronach zamiast dostatnio ubranych podróżnych widać było rannych i urlopowanych żołnierzy. Cóż, wojna. Dawniej większość wagonów na linii Warszawa – Petersburg przeznaczona była dla pasażerów podróżujących pierwszą klasą.

Alchemik rozejrzał się nerwowo i jeszcze raz sprawdził tabliczkę z numerem peronu, niby wszystko w porządku, a jednak nigdzie nie widać oficera, który miał mu towarzyszyć w drodze do Carskiego Sioła. Tymczasem pociąg z Matuszkinem i dotychczasową eskortą odjechał w stronę dal.

Rudnicki podszedł do najbliższej ławki i umieścił na niej bagaż, jednak sam nie siadał, mając w pamięci nauki Ankwicza. Dużo łatwiej zaatakować z zaskoczenia siedzącego niż stojącego przeciwnika. Tylko gdzie ta ochrona? Czyżby Rosjanie zlekceważyli zagrożenie? A może ktoś specjalnie odwołał eskortę, żeby pozbyć się „polskiego aptekarza”?

Jeszcze raz zlustrował otoczenie, teoretycznie rzecz biorąc, dworzec nie był najlepszym miejscem dla dokonania zamachu: zbyt wielu żołnierzy, zbyt wiele patroli. Ale w praktyce? Kto wie? Najlepiej chyba zgłosić się do kierownika stacji czy innego *naczalnika*.

Rudnicki skinął na mężczyznę w mundurze kolejarza, ale zanim ten zareagował, alchemika otoczyli żołnierze z oznakami *Sobstwiennogo Jego Impieratorskogo Wielichestwa Konwoja* na mundurach. Nareszcie.

– Co was zatrzymało?! – rzucił gniewnie Rudnicki. – Drepczę tu już dobre dziesięć minut!

– I ja się cieszę, że cię widzę – odparł mężczyzna w galowym generalskim mundurze.

Aleksander Borysowicz Samarin nie wyglądał na zdziwionego reakcją alchemika, w jego zachowaniu nie sposób było też dopatrzeć się skruchy za spóźnienie. A przecież, było nie było, opieszałość *jego priewoschoditelstwa* naraziła na atak człowieka, którego wezwano, aby uleczył następcę tronu. Coś tu nie pasowało.



– Saszka! Wykorzystałeś mnie jako przynętę, gadzino!

– Istotnie, pozwoliłem sobie – przyznał oficer bez ogródek. – Niestety, sytuacja tego wymagała – dodał posepnie. – Ale wierz mi, miałem wszystko pod kontrolą. To co? Może się przywitamy?

Rudnicki wyciągnął rękę, jednak Samarin zignorował gest i zamknął Polaka w niedźwiedzim uścisku.

– Zupełnie nie wiem dlaczego, ale trochę mi cię brakowało – wymamrotał. –

Jak tam nasza... kuzynka? Dziś nie będziesz miał czasu, ale jutro albo pojutrze musisz koniecznie odwiedzić Marię Pawłównę.

– Anastazja ma się dobrze. Co z carewiczem?

– Wyjaśnię ci po drodze. A teraz chodź, musimy się spieszyć! Automobil czeka.

Żołnierze *Konwoja* z niedbałą fachowością utworzyli krąg wokół alchemika i poprowadzili do wyjścia.

Rudnicki przełknął z wysiłkiem ślinę i mocniej ścisnął uchwyt torby z lekarstwami. Decydująca rozgrywka dopiero się zaczynała; jeśli nie będzie w stanie pomóc choremu na hemofilię chłopcu, sprawy mogą się skomplikować. Mocno skomplikować...

II

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Rudnickiego zakwaterowano niedaleko apartamentów zajmowanych przez carską rodzinę, w komnatach godnych udzielnego władcy. Wszystkie pomieszczenia kapały od złota, podłogi pokryte były bajecznie kolorowymi dywanami z Isfahanu, a meble zastawione cennymi bibelotami.

Rudnicki usłyszał pukanie, ledwo zdążył rozpakować bagaże. Natychmiast przypomniał sobie starszego, niepozornego mężczyznę w siwym uniformie: hrabia von Schwartz, zaufany cara.

– Jego Wysokość was wzywa – poinformował sucho arystokrata.

Alchemik zmierzył go uważnym spojrzeniem, ale nie ruszył się ani o krok.

– Powiedziałem, że...

– Słyszałem – przerwał mu bezceremonialnie Rudnicki. – Po prostu czekam, aż pan dokończy zdanie. Na wypadek gdyby pan zapomniał, jak się nazywam, oto moja karta wizytowa.

Von Schwartz odruchowo zerknął na wizytówkę, po czym schował ją z widocznym na twarzy obrzydzeniem.

– Jak pan sobie życzy... Olafie Arnoldowiczu – wycedził. – Teraz możemy już iść?

– Oczywiście.

Totumfacki cara skierował się prosto do prywatnego gabinetu władcy. Po drodze minęli kilka posterunków obsadzonych przez uzbrojonych po zęby żołnierzy w mundurach elitarnych pułków. Najwyraźniej mimo opanowania sytuacji w Moskwie i Petersburgu – zamieszki skończyły się dobre dwa lata wcześniej – ochrona carskiej rodziny pozostawała nadal w stanie podwyższonej gotowości. Rudnicki zauważył też, że i przy jego apartamentach wystawiono wartę. Być może z troski o bezpieczeństwo Olafa Arnoldowicza, niewykluczone

też, że ktoś chciał mieć na oku kłopotliwego gościa. Bo postawa von Schwartza świadczyła wyraźnie, że nie wszyscy są zachwyceni jego wizytą. Tylko w czym rzecz? Rudnicki zapamiętał go jako bezbarwnego, bezgranicznie oddanego carowi urzędnika. A i Samarin wspominał, że zaufany władcy nie bierze udziału w żadnych dworskich intrygach. Coś musiało się stać. Ale co? A może miejscowi traktowali go jako kolejnego szarlatana? Według relacji Matuszkińskich przez pałac przewinęła się cała plejada wszelkiej maści „cudotwórców”. Z drugiej strony przecież Rudnicki już raz pomógł następcy tronu, o czym wiedział każdy dworzanin...

Alchemik otrząsnął się z zamyślenia. Von Schwartz odprawił z irytacją kolejnego wartownika, zapukał, po czym krótko zaanonsował Rudnickiego.

Gabinet cara nadal urządzony był w tym samym spartańskim stylu, jaki Rudnicki pamiętał z czasów swojej poprzedniej wizyty. Przybyło tylko map upstrzonych niezrozumiałymi dla laika, różnokolorowymi znaczkami. Na twarzy władcy pojawiły się bruzdy, a podkrążone oczy świadczyły o zmęczeniu. Także mundur Pułku Preobrażeńskiego, jaki nosił tego dnia car, sprawiał wrażenie zbyt luźnego.



– Wasza Wysokość. – Alchemik zgiął się w ukłonie.

– *Gospodin* Rudnicki...

Alchemik zajął miejsce w fotelu, zachęcony uprzejmym gestem. Przez chwilę w komnacie panowało niezręczne milczenie, zgodnie z protokołem Rudnicki nie mógł odezwać się pierwszy, a po minie imperatora widać było, że rozważa, jak rozpocząć rozmowę.

– Rozumiem, że zna pan sytuację? – powiedział wreszcie car, z wyraźnym

wysiłkiem formułując myśl.

– W ogólnych zarysach – odparł ostrożnie alchemik.

– Mój syn... Aleks...

– Wasza Wysokość, czy mógłbym coś zaproponować?

– Słucham pana.

– Chciałbym ocenić stan Jego Imperatorskiej Wysokości.

– Dopiero pan przyjechał i zapewne jest zmęczony – zauważył władca. – Poza tym Aleks śpi, lekarz podał mu laudanum. Być może jutro rano... – urwał, widząc minę rozmówcy. – Tak?

– Wasza Wysokość, martwię się o carewicza – powiedział szczerze Rudnicki.

– Dziękuję za troskę, ale oficerowie Waszej Wysokości zadbali o moją wygodę w podróży. Wreszcie w takich wypadkach liczy się przede wszystkim dobro chorego i nie widzę powodu, dla którego miałbym odkładać badanie na później. Zapewniam, że zrobiłbym to dla każdego swojego pacjenta. A jeśli chłopiec śpi, tym lepiej, nie poczuje bólu, bo badanie może być nieprzyjemne.

Władca pokręcił głową, na jego wargach pojawił się wątyły uśmiech.

– Widać, że nie jest pan dworakiem – stwierdził z rozbawieniem.

– Proszę o wybaczenie, jeśli uraziłem Waszą Wysokość – wymamrotał Rudnicki.

– Ależ skąd! Taka szczerść jest... budująca. Nie mówiąc o tym, że rzadko spotykana. A teraz proszę za mną. Jeszcze jedno: przypominam, aby nie używał pan tytułów dzieci. To niepotrzebne.

Rudnicki skłonił się w milczeniu i podążył za władcą. Pokój carewicza znajdował się tuż obok, za załomem korytarza. Powietrze w pomieszczeniu przesiąkło zapachem leków i laudanum, podszytym ledwie uchwytną wonią zakrwawionych bandaży. Przy łóżku chorego czuwał wysoki, łysy mężczyzna z przyciętą w szpic bródką. Niedbale piastowany stetoskop identyfikował go jako lekarza. Na niewielkim stoliku, w zasięgu ręki medyka, umieszczono aparat telefoniczny.

– Doktor Guerini ze szpitala Bambino Gesù w Rzymie, *gospodin* Rudnicki – monarcha dokonał szybkiej prezentacji. – Może pan zaczynać – dodał, zwracając się do alchemika.

Rudnicki odsunął kołdrę i ostrożnie obejrzał kończyny chłopca – carewicz

spał w koszuli nocnej. Stawy kolanowe i łokciowe były mocno opuchnięte, a widoczne w kilku miejscach siniaki świadczyły o wewnętrznych wylewach. Dziecko poruszało się niespokojnie, jęcząc z cicha.

– Co mu pan podaje? – spytał szeptem lekarza. – Dla znieczulenia?

– Laudanum – odparł z urazą medyk. – W niewielkich ilościach, żeby nie doprowadzić do uzależnienia – dodał łamaną ruszczyzną.

Rudnicki rzucił mu wściekle spojrzenie i wyprostował się gwałtownie.

– Przepraszam na moment, potrzebuję swojej torby – poinformował. – Zaraz wracam.

– Myślę, że doktor Guerini może posłać po nią lokaja. Wychodząc – odparł spokojnie, ale z naciskiem władca.

Rudnicki przysiadł na brzeжку łóżka, a Włoch w okamgnieniu zniknął za drzwiami.

– *Gospodin* Rudnicki? Jak pan ocenia stan mojego syna?

Alchemik odchrząknął niepewnie: w głosie cara słycać było napięcie, nieledwie strach.

– Gdyby chodziło o kogoś innego, uznałbym, że sytuacja jest poważna, ale nie tragiczna. Jednak wygląda na to, że... Aleks nie reaguje na leki. Tak czy owak, trzeba mu podać środki znieczulające.

– A konkretnie?

– Morfinę.

– Mój syn jest następcą tronu! Nie może popaść w nałóg!

Rudnicki zacisnął zęby, powstrzymując się od riposty. Strofowanie imperatora Wszechrusi w jego własnym pałacu nie było najlepszym pomysłem.

– Postaram się, żeby do tego nie doszło – powiedział, wzięwszy głęboki oddech. – Jednak obecnie najważniejsza jest walka z bólem.

– Doktor Guerini zapewnił mnie, że opuchnięcie stawów, jakkolwiek nieprzyjemne, nie powoduje jednak wielkiego dyskomfortu. A i Aleks nieczęsto się skarży.

– Wasza Wysokość naprawdę w to wierzy? – spytał zimno Rudnicki. – Proszę spojrzeć, dziecko męczy się nawet we śnie. Bo nie mówimy o dyskomforcie, tylko cierpieniu niemal przekraczającym ludzką wytrzymałość.

Władca zmarszczył brwi, najwyraźniej zastanawiając się nad tym, co

usłyszał.

– Doktor Guerini jest lekarzem światowej sławy – powiedział po chwili. – Czyżby podważał pan jego kompetencje?

– Nie kompetencje. Jedynie uczciwość i zdrowy rozsądek.

– Nie rozumiem...

– Wnioskując po używanych w terapii medykamentach, uważam, że leczenie carewiczka przebiega prawidłowo – wyjaśnił Rudnicki, widząc pytającą minę cara. – To zarówno klasyczne, jak i spagiryczne środki – dodał, wskazując zastawiony lekarstwami stolik. – Sam zastosowałbym podobne. Jednak... – urwał z zakłopotaniem.

– Jednak? – ponaglił władca.

– Rezygnując z morfiny, doktor Guerini lekceważy dobro pacjenta na rzecz życzenia Waszej Wysokości. Zapewne oczekiwał stosownej gratyfikacji...

– Ocenianie lepszych od siebie i rzucanie gołosłownych oskarżeń nie zapewni panu mojej przychylności!

Polak wzdrygnął się, kiedy usłyszał ostry ton władcy, lecz nie spuścił wzroku. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, rozległo się pukanie i do pokoju wszedł von Schwartz z torbą lekarską alchemika.

– Moją diagnozę potwierdzi każdy lekarz – zapewnił Rudnicki.

Car nie odpowiedział, nadal wpatrując się w niego z gniewem.

– Jaki szpital uchodzi za najlepszy w Petersburgu? – spytał alchemik von Schwartz.

– To zależy – odparł tamten ostrożnie.

– Chodzi o zasięgnięcie niezależnej opinii medycznej.

– Tydzień temu przyjechał do Petersburga profesor Bunde, uczeń Sklifosowskiego. Obecnie wykłada w Cesarskiej Wojskowej Akademii Medycznej.

– Mógłby pan do niego zadzwonić? – poprosił Rudnicki.

Von Schwartz posłusznie podszedł do aparatu, ponaglony niecierpliwym gestem władcy.

– Czego mam się dowiedzieć? – rzucił w przestrzeń.

– Chodzi o postępowanie w przypadku wylewu krwi do stawów.

Starszy mężczyzna połączył się z Akademią, przedstawił krótko i zażądał

rozmowy z doktorem Bundem. To wszystko z beznamiętnym wyrazem twarzy, ale szybkie, kanciaste ruchy arystokraty świadczyły o niepokoju. Starannie ukrywanym niepokoju. Tylko czego mógł się obawiać totumfacki cara? Być może martwił go stan zdrowia następcy tronu, doszedł do wniosku Rudnicki.

Tymczasem monarcha podszedł do osłupiałego ze zdumienia urzędnika i wymownym gestem wyciągnął rękę.

– Będzie z panem rozmawiał *gosudar' impierator* – zaanonsował nerwowo von Schwartz.

Konwersacja nie trwała długo, car zapytał jedynie o intensywność bólów w przypadku zaawansowanej hemofilii i sposoby ich zwalczania. Mina władcy sugerowała, że nie był zadowolony z otrzymanych odpowiedzi.

– Miał pan rację, *gospodin* Rudnicki! – stwierdził, odkładając z trzaskiem słuchawkę. – Jestem panu winien przeprosiny. Profesor Guerini...

Mimo że car nie dokończył zdania, nie ulegało wątpliwości, że akcje Włocha spadły grubo poniżej poziomu bezpieczeństwa.

– Od początku mówiłem, że ten *italiaszka* nie powinien zajmować się Aleksem – wtrącił von Schwartz. – Mało mamy swoich lekarzy? Oddanych ojczyźnie i monarchii patriotów? Nie potrzeba nam przybłę...

– Dość tego! – przerwał monarcha. – Zapominasz się, Rudolfie! Wracaj do swoich zajęć!

Hrabia bez słowa wykonał polecenie, ale na jego twarzy nie sposób było dostrzec skruchy.

– Proszę nie brać tego do siebie, wszyscy jesteśmy dziś zdenerwowani – usprawiedliwił podwładnego car. – Wracając do rzeczy, co pan zamierza?

– Podać morfinę i roztwór alchemicznego złota w płynie. Opracowałem tę recepturę ponad rok temu i do tej pory zawsze się sprawdzała. Morfina likwiduje ból, a złoto działa na wszelkie stany zapalne.

Rudnicki przygotował strzykawkę i wyciągnął z torby niewielką szkatułkę zawierającą kilka szklanych fiolek. Każda z nich promieniowała delikatną błękitną poświatą.

– Ten dziwny efekt to skutek alchemicznych procedur?

– Nie do końca. Na każdej ampułce znajduje się symbol, który zwiększa skuteczność leku.

– To bezpieczne?

– Całkowicie – zapewnił Rudnicki. – Stosowałem go na wielu poważnie chorych pacjentach.

– A to w jaki sposób? O ile pamiętam, nie wydano panu dyplomu.

– Od chwili wybuchu wojny jakość opieki medycznej w Warszawie znacznie się pogorszyła, dlatego do pomocy w kilku hospicjach i dwóch czy trzech szpitalach dopuszczono alchemików, a nawet magów. Rzecz jasna, wszyscy musieli przejść stosowną weryfikację.

– Czy dobrze zrozumiałem? Ma pan na myśli działalność charytatywną?

– Coś w tym rodzaju – przyznał niechętnie Rudnicki.

Car zacisnął usta, widząc, jak alchemik wbija igłę w kolano chłopca.

– Kiedy ten środek podziała?

– Trudno powiedzieć, jednak pierwsze efekty powinny być widoczne za około pół godziny.

– A konkretnie?

– Zsinienia i obrzęki powinny się nieco zmniejszyć.

Rudnicki umoczył kłopotliwy ołówek w karafce z wodą, po czym obrysował opuchnięte stawy śpiącego Aleksa i kilka największych siniaków.

– To pomoże nam zauważyć zmiany – powiedział.

Car zaaprobował wyjaśnienie niemal niezauważalnym skinieniem i położył na stole ciężki kieszonkowy zegarek ze złotą dewizką.

– Pół godziny? Cóż, poczekamy – oznajmił.

Alchemik przysunął sobie fotel i usiadł wygodnie, starając się nie okazywać zdenerwowania. Pół godziny to nie tak długo, pomyślał. Szczególnie jeżeli lekarstwo podziała. Gorzej, jeśli nie...



Rudnicki wtarł w kolano carewicza brunatną, nieprzyjemnie pachnącą maź, pokręcił z namysłem głową.

– Coś jest nie tak – mruknął.

– Opuchlizna się zmniejszyła – zauważył car.

Władca siedział tuż przy łóżku chorego syna i obserwował z napięciem

poczynania alchemika.

– Owszem, ale to efekt mojego preparatu, a ten tutaj nie jest gorszy. A jednak nie działa.

– Profesor Guerini twierdził, że przesłane przez pana medykamenty również okazały się nieskuteczne, dlatego zamówił nowe – powiedział car, wskazując porcelanowy słoik ozdobiony znakiem słonecznego kręgu.

– Tak, to symbol gildii z Nowonikołajewska – przytaknął Rudnicki.

– Nie wiem nawet, czy mówił prawdę! – wybuchnął władca. – Ufałem mu! Jeśli okaże się, że pańskie leki mogły pomóc Aleksowi...

– Nie mogły – odparł z roztargnieniem alchemik. – One rzeczywiście nie działają. Te, które Wasza Wysokość zamówił u mnie dwa lata temu – doprecyzował. – Sprawdziłem. Tymczasem preparaty, które przywiozłem, zaczynają likwidować obrzęki, mimo że są gorszej jakości.

– Dlaczego gorszej?

– Niemcy praktycznie uniemożliwili odwiedzanie enklawy, dlatego trudno uzupełniać zapasy pierwotnej materii, a bez tej substancji tworzenie zaawansowanych preparatów jest prawie niemożliwe. Co prawda generał Beseler przydzielił mi niewielką ilość *materia prima*, jednak ze względu na pośpiech musiałem skrócić pewne procedury, co sprawiło, że medykamenty mają mniejszą moc niż te, na które mogłem poświęcić więcej czasu.

– A jednak działają, w odróżnieniu od innych, w tym i zamówionych przez profesora Gueriniego.

– Istotnie. To właśnie mnie niepokoi.

– Dlaczego? Być może po dwóch latach straciły świeżość? Albo pojemniki, w których je przechowywano, były nieszczelne?

– W żadnym wypadku! Sprawdzam takie rzeczy bardzo starannie. No i lekarstwa profesora także okazały się nieskuteczne. Trudno przypuścić, żeby i one zwietrzały albo zostały nieodpowiednio zapakowane.

– I do jakich wniosków pan doszedł?

Rudnicki rozłożył bezradnie ręce.

– Nie wiem, co o tym myśleć – przyznał. – Jednak rekomendowałbym Waszej Wysokości dokonanie pewnych zmian, jeśli chodzi o opiekę nad carewiczem.

– Co tylko pan zechce. Po raz pierwszy od miesiący widzę poprawę w stanie

Aleksa. Nawet gorączka mu spadła – powiedział car, muskając czułym gestem czoło chłopca. – A signorem Guerinim zajmę się osobiście – obiecał złowrogo.

– Niezupełnie o to mi chodziło.

– A zatem w czym rzecz?

– W mojej ocenie profesor robił, co mógł, żeby wyleczyć syna Waszej Wysokości. Tak, popełnił błąd, ale jestem pewien, że więcej go nie powtórzy. Natomiast sugerowałbym, żeby w pokoju następcy tronu zawsze ktoś czuwał. Oprócz personelu medycznego – zaznaczył Rudnicki, starając się opanować drżenie głosu. – Najlepiej któryś z oficerów *Konwoja*. Dzień i noc...

Na twarzy władcy nie drgnął nawet jeden mięsień, ale to, co pojawiło się w jego oczach, było więcej niż gniewem.

– Uważa pan, że to sabotaż?

– Mam nadzieję, że nie i cała ta sprawa znajdzie jakieś naturalne wyjaśnienie. Jednak dodatkowe środki ostrożności nie zaszkodzą. Najważniejsze jest zdrowie carewicza.

– Nie wierzę! To jakiś absurd!

– Tylko dodatkowa asekuracja...

– I jak pan to sobie wyobraża? Komu mógłbym powierzyć życie syna, skoro podaje pan w wątpliwość lojalność ludzi z mojego najbliższego otoczenia?! *Konwoju*? To setki żołnierzy, spośród których znam osobiście zaledwie garstkę.

– Wasza Wysokość nie wątpi chyba w wierność generała Samarina?

– Mam obrazić ludzi, którzy bez wahania oddaliby za mnie życie, na podstawie przypuszczeń polskiego alchemika?!

– Decyzja należy do Waszej Wysokości, ja wyraziłem jedynie swoje zdanie.

Zdawało się, że władca ponownie da upust złości, jednak opanował się gigantycznym wysiłkiem woli, koncentrując całą uwagę na Polaku. Wrażenie nie należało do przyjemnych, we wzroku monarchy nie było ani odrobiny ciepła. Cisza dusiła i tężała, Rudnicki odniósł wrażenie, że w pomieszczeniu zaczyna brakować powietrza. Wreszcie car poruszył się i znużonym gestem roztarł skronie.

– Dziękuję panu – oznajmił suchym, oficjalnym tonem. – Gdyby chciał pan opuścić pałac, proszę uprzedzić hrabiego von Schwartz.

Zdaje się, że komuś właśnie pokazano miejsce w szeregu, pomyślał cynicznie

Rudnicki. Czas odwiedzić Marię Pawłównę, bo jeszcze trochę i zamkną mnie w areszcie domowym. No i trzeba uprzedzić Saszkę, bo kto wie czy nie zaszkodziła mu rekomendacja „polskiego alchemika”...



Rudnicki wysiadł z dorożki i zapłacił fiakrowi. Być może w Petersburgu przeprowadzono jakieś konfiskaty, ale na pierwszy rzut oka nie było tego widać. Po ulicach jak dawniej krążyły powozy, mknęły elektryczne tramwaje, czasem przejechał automobil. Tylko ludzie zachowywali się mniej swobodnie niż dawniej, za to przybyło knajp z wyszynkiem i nocnych lokali. Nic dziwnego: wojna. Mieszkańcy stolicy pragnęli rozrywki i zapomnienia.

Rezydencja księżnej Samarin znajdowała się na Newskim Prospekcie, niedaleko mostu Aniczковского. Utrzymany w neobarokowym stylu pałacyk ozdabiały figury brodatych atlantów, a okna na parterze zabezpieczały gięte w fantazyjne wzory, solidne kraty. Budowla wyróżniała się wśród innych nawet na głównej, zamieszkałej przez towarzyską elitę ulicy miasta.

U wejścia powitał go starszy wiekiem, znany jeszcze z Warszawy lokaj. Służący natychmiast poprowadził go do księżnej. Czyżby Maria Pawłowna wydała instrukcje, na wypadek gdyby pojawił się w Petersburgu?

– Olaf Arnoldowicz – zaanonsował famulus, otworzywszy drzwi do salonu.

Alchemik zauważył z ulgą, że starsza pani znajduje się w dobrej kondycji, zwawe ruchy i naturalny rumieniec na twarzy świadczyły, że nic jej nie dolega. Księżnej towarzyszyły dwie młode, elegancko ubrane damy i – jakżeby inaczej! – hrabia Samarin...

– *Ma tante* – skłonił się ceremonialnie Rudnicki. – *Moje panie, gospodin graf.*

– Olaf, ty łobuzie! Nie widziałam cię ponad rok!

Księżna zerwała się z krzesła i podbiegła, aby go uściskać. Generał Samarin był mniej wylewny i ograniczył się tylko do podania dłoni i przyjacielskiego klepnięcia po ramieniu.

– Nadia Trubecka i Luda von Kries, Olaf Arnoldowicz Rudnicki – gospodyni dokonała pospiesznej prezentacji.

Zanim ponownie zajęli miejsca za stołem, pokojówka podała świeżo wyjęte

z pieca, jeszcze ciepłe ciasteczka i dodatkową filiżankę.

– Trudno dziś o dobrą służbę, ale w domu Marii Pawłowny jak zwykle wszystko jest na najwyższym poziomie – zauważyła Nadia Trubecka.

Księżna zbyła komplement lekceważącym gestem, po czym naląła alchemikowi herbaty.

– Opowiadaj! – poleciła, zwracając się do Rudnickiego. – Jak ci się wiedzie? Na długo przyjechałeś? Oczywiście musisz zatrzymać się u mnie!

– Niestety, przyjąłem już gościnę w Carskim Siole. Rozumie ciocia: lepiej, żebym przebywał w pobliżu następcy tronu, przynajmniej dopóki mu się nie polepszy.

– Jest pan lekarzem? – spytała ciekawie Trubecka.

Zgrabna szatynka o łagodnych, klasycznych rysach twarzy i przepastnych ciemnych oczach stanowiła kontrast dla swojej jasnowłosej towarzyszki. Panna von Kries przypominała walkirię: włosy w odcieniu przygaszonego złota z domieszką miedzi, zielone oczy i gibka, kusząca kobiecymi krągłościami figura sprawiały, że przyciągała męskie spojrzenia w nie mniejszym stopniu niż Trubecka. Wnioskując po poufałym sposobie przedstawienia obu pań – księżna użyła zdrobnień, a nie pełnych imion – i przestraszonej minie Samarina, Maria Pawłowna nie bez przyczyny zaprosiła do siebie obie ślicznotki...

Rudnicki przygryzł wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem.

– W pewnym sensie – odpowiedział. – Przede wszystkim zajmuję się alchemią.

– Jak twój hotel? – kontynuowała księżna.

– Nie najlepiej – przyznał Rudnicki. – Połowę zajęli Niemcy, do tego wdałem się w spór z pewnym fircykiem z koneksjami... Ale wszystko jest na dobrej drodze – dodał pospiesznie.

– Opowiadaj!

– Ależ, ciociu, to naprawdę nic poważnego. Ani interesującego.

– Olafie Arnoldowiczu!

– Nie wiem, jak inni, ale ja chętnie dowiem się, w jakie tarapaty wpadł tym razem wielki mistrz warszawskiej gildii – wtrąciła nieoczekiwanie Ludmiła von Kries.

Alchemik o mało nie zakrztusił się herbatą, w głosie panienki von Kries

brzmiało autentyczne zainteresowanie.

– Od razu pana poznałam – wyjaśniła dziewczyna. – Po pojedynku z monsieur Poturinem gazety zamieściły pańską podobiznę.

– Już wiem! To pan wyleczył carewicza i uratował Moskwę i Petersburg! – wykrzyknęła nagle Trubecka.

– To gruba przesada – zaprotestował Rudnicki. – Ja tylko...

– Żadna przesada – wszedł mu w słowo Samarin. – Olaf jest stanowczo zbyt skromny.

Na ustach generała pojawił się złośliwy uśmieszek, widać oficer uznał, że uda mu się skierować uwagę pańienek w stronę alchemika.

– Czekamy! – ponagliła Maria Pawłowna.

Rudnicki westchnął i przedstawił okrojoną i nieco ocenzurowaną wersję wypadków.

– Te symbole, które tam zostawiłeś – odezwał się z namysłem Samarin. – Jak myślisz, mogą mieć zastosowanie bojowe?

– Wątpię. Raczej medyczne.

– Medyczne?

– Chorzy często bezwiednie napinają mięśnie, co utrudnia prawidłowe krążenie krwi. Coś takiego mogłoby im pomóc. Skutki uboczne, o których wspomniałem, wynikają wyłącznie z długotrwałego oddziaływania symboli czy dźwięków.

– Sądzisz, że odzyskasz hotel? – spytała z troską księżna.

– Na pewno. Mam słowo generała Beselera.

Dalszą rozmowę przerwała Trubecka, spojrzawszy ostentacyjnie na zegar ścienny.

– Muszę wracać do domu – oznajmiła. – Inaczej *maman* będzie się martwić.

Dziewczyna uściskała serdecznie Marię Pawłownę, po czym z wyraźnym ociąganiem ruszyła do wyjścia. Ponaglony groźnym grymasem księżnej Samarin zerwał się z miejsca.

– Odwiozę panią – zadeklarował szarmancko, choć bez specjalnego entuzjazmu.

– I ja muszę się zbierać – powiedziała z uśmiechem Luda von Kries. – Pewnie mój powóz już czeka.

Ku zdziwieniu alchemika Maria Pawłowna wymownym gestem nakazała mu zająć się drugą z pańienek.

– Wrócisz moim, jest wygodniejszy – zadysponowała nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Mój wnuk będzie ci towarzyszył.

Dopiero po chwili Rudnicki uświadomił sobie, że o nim mowa.

– Naturalnie. Z przyjemnością – oświadczył zbyt oszołomiony, żeby protestować.

Określenie, jakiego użyła księżna, niosło za sobą daleko idące konsekwencje, i nie tylko dla niego. Alchemik przypuszczał, że Samarin nie będzie zachwycony deklaracją ciotecznej babki. Co innego niezobowiązująca wzmianka o dalekim pokrewieństwie – często sami arystokraci nie orientowali się zbyt dobrze w rodzinnych koligacjach – a co innego publiczne oświadczenie potwierdzające więzy krwi z „polskim alchemikiem”. Trzeba to będzie wyjaśnić, postanowił Rudnicki. Później. W tej chwili miał inne problemy: *barysznia* Ludmiła wsparła się na jego ramieniu, demonstrując oszołamiający dekolt, a woń perfum i wyczuwalne z bliska ciepło ciała dziewczyny nie nastrajały do poważnych rozmyślań.

Wykonana z przepychem, lecz przeznaczona jedynie dla dwóch osób karetka księżnej zmuszała do zajęcia miejsc tuż obok siebie, co krępowało alchemika, ale jak się wydawało, w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało panie von Kries. Dziewczyna podała kuczerowi adres, po czym w lekki, dowcipny sposób zaczęła opowiadać o sobie i swojej rodzinie. Rudnicki starał się śledzić tok opowieści, nieustannie rozpraszany przez jakiś gest czy przypadkowy dotyk atrakcyjnej współpasażerki. Alchemik nie uważał się za znawcę kobiet, było jednak oczywiste, że z sobie tylko wiadomych powodów *barysznia* Luda postanowiła mu udowodnić, iż posiada nie tylko rozum, ale i walory pozaintelektualne... Tylko dlaczego? Rudnicki wątpił, aby powodem była wzmianka o pokrewieństwie – niechby i bliskim! – ze starszą panią. Ludmiła von Kries musiała należeć do śmietanki towarzyskiej Petersburga, inaczej nie znalazłaby się w domu słynącej ze snobizmu nawet na carskim dworze Marii Pawłowny, a arystokracja nie zadawała się ze zwykłymi, choćby nie wiadomo jak wprawnymi w swoim rzemiośle alchemikami. I tę zagadkę trzeba będzie rozwiązać, pomyślał Rudnicki. Później...



Alchemik odkorkował kolejną butelkę z ciemnego szkła, nabrał na palec brunatnej mazi i posmarował nadgarstek. Kolejny niewypał, zero efektu. Nie odczuł na skórze żadnego mrowienia czy chłodu, ani nawet charakterystycznego zapachu, maść była bezużyteczna.

– Nie sprawdzałem wszystkich butelek – usprawiedliwił się Guerini. – W końcu są ich setki! Ale nie znalazłem ani jednej z aktywnym preparatem. Dlatego zamówiłem lekarstwa w tej gildii... jak jej tam?

– Blask Słońca – odpowiedział Rudnicki.

Nazwa łoży z Nowonikołajewska nawiązywała do tajemniczego szesnastowiecznego traktatu alchemicznego pod tytułem „Splendor Solis”.

– O właśnie! Blask Słońca. Rekomendowano mi ich jako godnych zaufania, a jednak w tydzień po tym, jak otrzymałem zamówione środki, wszystkie spagiryczne medykamenty przestały działać!

– Trzymał je pan w tym magazynie?

Włoch potakująco skinął głową.

– Pomieszczenie jest zamknięte na klucz i znajduje się w tym samym skrzydle co apartamenty carskiej rodziny – wyjaśnił obronnym tonem. – Mają tu dostęp jedynie zaufani imperatora.

– Nie licząc służby i ochrony – wtrącił posępnie Rudnicki.

– To już nie leży w moich kompetencjach. Ani pańskich, *dottore* – zauważył Guerini. – Jestem niezmiernie zobowiązany za to, że wstawił się pan za mną u Jego Wysokości, jednak uważam, że nie ma pan racji. Sabotaż? Wykluczone! Proszę spojrzeć, wszystkie zabezpieczenia są w idealnym stanie.

Alchemik potwierdził nieartykułowanym pomrukiem. Każdy z setek szklanych pojemników był zapieczętowany i opatrzony symbolem gildii lub alchemika, który sporządził lekarstwo. Nawet gdyby hipotetyczny złoczyńca potrafił poradzić sobie z pieczęciami, zajęłoby mu to całe godziny. Tymczasem magazynu dzień i noc pilnowali żołnierze carskiej gwardii. Niepodobieństwo. Do tego lekarstwa nie zostały zatrute, testy nie wykazały obecności żadnych obcych substancji, medykamenty po prostu nie działały.

– Wariactwo! – przyznał z westchnieniem Rudnicki. – Ma pan jakieś

hipotezy, profesorze?

– Niestety nie. Niemal wszystkie leki to preparaty spagiryczne, nie znam się na tym – wyznał Guerini, wzruszając ramionami. – Gdyby chodziło o zwyczajne lekarstwa, pomyślałbym, że może zwietrzały. Chociaż może i tutaj...

– Wykluczone! – uciął Rudnicki. – Przy sporządzaniu większości z nich użyto *materia prima*, a to niemal gwarancja wiecznotrwałości. Miałyby się zepsuć po roku czy dwóch? Niemożliwe! Zresztą, jak sam pan zauważył, niektóre traciły skuteczność już po tygodniu.

– Istotnie, jest w tym coś dziwnego – zgodził się Włoch. – Gdyby to jeszcze jedna czy dwie, no, niechby i dziesięć buteleczek od konkretnego dostawcy, ale dziesiątki albo setki wytworzone przez różnych alchemików? W dodatku najwięcej nieaktywnych preparatów jest pańskiego autorstwa, a przecież przywiezione przez pana leki działają. Jako jedyne...

Rudnicki obrzucił rozmówcę ostrym spojrzeniem, ale nie wyglądało na to, by Guerini chciał mu coś zarzucić, lekarz po prostu myślał na głos.

– Także te zamówione przeze mnie początkowo pomagały carewiczowi – kontynuował Włoch. – Dopiero później ich skuteczność zaczęła maleć.

– Stopniowo czy z dnia na dzień? – spytał szybko alchemik.

– Wydaje mi się, że stopniowo – odparł z namysłem Guerini. – Przez dwa, trzy dni zdrowie następcy tronu poprawiało się w oczach, później było gorzej, a wreszcie medykamenty przestawały działać. I tak w kółko, bo co rusz kupowałem nowe.

– Na pewno wszystkie lekarstwa trzymał pan w magazynie? – powtórzył Rudnicki.

– Prawie. Część znajdowała się w pokoju pacjenta, żeby były pod ręką.

– I te także przestały działać?

– Niestety. To co? Kończymy inwentaryzację? Gdyby powiedział mi pan, czego szukać, poszłoby nam prędzej – zaproponował Guerini.

– Wystarczy nałożyć odrobinę preparatu na skórę. Maść działa przeciwbólowo i zwęża naczynia krwionośne, tak więc powinna wywoływać lekkie odrętwienie i uczucie chłodu – wyjaśnił zwięźle Rudnicki.

Włoch podwinął rękaw i posmarował wewnętrzną część przedramienia.

– Nic nie czuję – poinformował. – W tym miejscu skóra jest bardziej wrażliwa

niż na nadgarstku – powiedział, widząc pytający wzrok alchemika.

– Nie przypuszczam, żebyśmy znaleźli choć jeden dobry preparat, ale musimy sprawdzić wszystkie – odparł ze znużeniem Rudnicki. – Obiecałem to Jego Wysokości.

Włoch odpowiedział pełnym rezygnacji gestem. Obaj w milczeniu kontynuowali pracę. Dźwięczało szkło, a na podłodze rósł stos porzuconych niedbale fiolek i buteleczek. Wszystkie zawierały jedynie bezużyteczną maź w różnych odcieniach zieleni i brązu.



Strumienie gorącej wody zmywały z niego znużenie – inwentaryzacja zajęła dobre cztery godziny – na równi z resztkami zaschniętych maści i eliksirów. Alchemik przymknął oczy i pozwolił sobie na chwilę relaksu, wreszcie niechętnie zakręcił ozdobne złocone kurki. Pomieszczenie spowijały kłęby pary, więc Rudnicki na oślep sięgnął po ręcznik. Niespodziewanie do łazienki wdarła się fala chłodnego powietrza i w drzwiach stanął Samarin.

– Co znowu?! – warknął alchemik. – Może dałbyś mi się spokojnie wykąpać?

Samarin bez słowa rzucił mu szlafrok, po czym pomaszerował do salonu. Rudnicki, chcąc nie chcąc, poczłapał za nim.

– Co tu robisz? – spytał. – Przecież w tym skrzydle mieszka tylko carska rodzina.

– Jak widać, także niektórzy alchemicy – odburknął Samarin. – Jestem oficerem *Konwoja* – przypomniał zgryźliwie. – No i Jego Wysokość rozkazał mi wzmocnić ochronę pałacu, a po wskazówki zgłosić się do ciebie. Tak więc słucham uprzejmie, Olafie Arnoldowiczu, jakie zastrzeżenia macie do pracy moich ludzi?

W głosie generała słychać było chłodny, nieprzyjazny ton.

– Och, przestań się dąsać, nie chodzi o twoich ludzi!

– W takim razie o co?

Rudnicki zwięźle przedstawił mu sytuację i wnioski, do jakich doszedł.

– Naprawdę myślisz, że to sabotaż?

– To najbardziej prawdopodobna wersja – odparł ostrożnie alchemik. – Nie

widzę innego wytłumaczenia, bo przecież swego czasu leczyłem już carewicza tymi samymi preparatami, a i Guerini nie wypadł sroce spod ogona.

– Jesteś pewien, że wasze medykamenty nie straciły właściwości leczniczych w sposób naturalny?

Rudnicki obrzucił przyjaciela zniesmaczonym spojrzeniem i pokręcił przecząco głową.

– Niemożliwe! – stwierdził krótko. – *Materia prima* jest wieczna. To coś, co przetrwało do dzisiaj od początku świata. Jak myślisz, dlaczego żyjące w enklawach stworzenia są nieśmiertelne? Podpowiedź dla nieszczególnie bystrych i rosyjskich generałów: ponieważ ich ciała zawierają pierwotną materię! Tłumacząc jeszcze prościej, gdybyś dosypał do zupy szczyptę *materia prima*, zakonserwowałbyś ją na wieczność. Te preparaty nie miały prawa się zepsuć!

– No dobrze, założmy przez moment, że masz rację – powiedział zirytowany Samarin. – Czego mam pilnować? Komnaty carewicza? Ale tam i tak nie wchodzi nikt poza rodziną i lekarzami. Magazynu z lekami? Biorąc pod uwagę wyniki inwentaryzacji, nie ma już czego chronić.

– Przede wszystkim moich apartamentów – odparł po chwili milczenia Rudnicki. – Dzień i noc. Nikt nie może tu wejść bez mojego zezwolenia. Żaden służący, żołnierz, dworak czy inny ober-kamenger! Nikt! Bo trzymam tu medykamenty, które przywiozłem z Warszawy. A one na razie działają...

– Zgoda. To ma sens. Ale komnaty carewicza? Przecież tam i tak stoi warta przed drzwiami. Po co niepokoić chłopca?

Alchemik zamilkł znowu, wreszcie poprawił nerwowo pasek szlafroka.

– Jeśli mam rację, to sabotażu dokonuje ktoś z wewnątrz. Ktoś ze swoich...

– Powiedzmy – skrzywił się Samarin. – Co prawda służba jest dokładnie sprawdzana, ale teoretycznie wszystko możliwe. Tylko jak to się ma do pilnowania pokoju carewicza?

– Jeszcze nie rozumiesz? Moje leki mu pomagają. W ciągu kilku dni chłopak stanie na nogi. Jeżeli ktoś chce zaszkodzić następcy tronu, a zauważy, że Aleks odzyskuje zdrowie, może wpaść w desperację i... – Rudnicki zawiesił wymownie głos.

Samarin zerwał się z fotela.

– Niemożliwe! – krzyknął ze wzburzeniem. – Nikt by się nie odważył – dodał

już mniej zdecydowanym tonem.

– Chcesz zaryzykować? I co to komu szkodzi? Ktoś posiedzi sobie przy łóżku carewicza i tyle. Z tego, co słyszałem, dzieciak nie jest kłopotliwym pacjentem.

Rosjanin spuścił wzrok, jakby nagle zainteresował się wzorami na dywanie.

– Nie rozumiesz – mruknął. – To polityka.

– A co tu jest do zrozumienia?

– Sama myśl, że ktoś mógłby celowo zaszkodzić następcy tronu, jest niemalże zdradą. W dodatku rzecz miałaby dotyczyć osób z bliskiego otoczenia władcy. Niepodobieństwo! Jego Wysokość...

– Rozmawiałem z carem – przerwał mu Rudnicki. – A on posłał po ciebie. Najwyraźniej moje argumenty zrobiły na nim wrażenie.

– Zdajesz sobie sprawę, że niełaska to najmniejsze, co może cię spotkać, jeżeli okaże się, że nie było nijakiego spisku?

– A co mam robić?! – warknął alchemik ze złością. – Udawać, że nic się nie dzieje, jak ten włoski konował? A łaska imperatora nie jest mi do niczego potrzebna. Nie mam żadnych interesów w Rosji.

– Czyżby? – spytał sardonicznie oficer. – A zapis Marii Pawłowny? Opała uniemożliwi ci przejęcie majątków.

– Jakich, do licha, majątków?!

– Tych, które nagle i niespodziewanie zapisała ci moja babka cioteczna. I nie bez przyczyny, jak sądzę. Zapewne przez ostatni rok poznałeś kilka słów mocy? Użytecznych słów mocy – uściślił z zimną furią Samarin.

Rudnicki zamarł, zaskoczony oskarżeniem, po czym rzucił się naprzód i zdzielił Rosjanina w twarz. To było potężne uderzenie, poparte ciężarem całego ciała, jakiego nie powstydziliby się zawodowy bokser. Generał runął na podłogę, przewracając się razem z fotelem. Nie tracąc nawet sekundy, oficer wykonał przewrót przez bark i po chwili stał już gotowy do walki.

– Powiedz jeszcze raz coś takiego, a zatłukę cię na miejscu, sukinsynu! – wycedził alchemik. – Nie prosiłem się do rodziny Samarinów i nie mam zamiaru przyjmować od was żadnych pieniędzy! I tak mam dług u Marii Pawłowny. Dług, którego nie pozwala mi oddać!

– Ząb mi się rusza. Jak go stracę, to przemodeluję ci szczękę, parszywcu – powiedział ponuro Samarin. – Masz tu coś do picia?

Rudnicki podszedł do barku, wyciągnął butelkę wódki i rozlał alkohol trzęsącymi się ze zdenerwowania dłońmi. Generał wpatrywał się w niego gniewnie, ale już bez poprzedniej wrogości.

– To może wytłumaczysz, o co chodzi? Wczoraj wieczorem Maria Pawłowna oświadczyła mi, że uwzględniła cię w swoim testamencie jako jednego z dwóch głównych beneficjentów.

– Znaczą oprócz ciebie?

– Tak. Jestem jej jedynym żyjącym krewnym. No, pomijając parę osób na prowincji, ale to dziesiąta woda po kisielu. Zrozum, nie zależy mi na pieniądzach, ale nie chcę, żeby... – urwał, nie kończąc zdania.

– Nie chcesz, żeby wykorzystywał ją jakiś polski alchemik – dopowiedział z ironią Rudnicki.

– Żebyś wiedział! Przecież to jakaś bzdura! Już w Warszawie odnosiła się do ciebie jak do ulubionego wnuczka. A teraz to...

– Zazdrosny?

– Nie, idioto! Podejrzliwy!

– Ona ci nie powiedziała, prawda? Ani Józef Andriejewicz?

– O czym?

– Masz rację, Maria Pawłowna traktuje mnie jak krewniaka, tyle że nie wnuczka, ale syna.

– Chodzi ci o jej wiek? Rzeczywiście, jest najmłodsza z rodzeństwa i ledwo dziesięć lat starsza od mojej matki. Bywa. Na upartego i ja mógłbym być jej synem, tylko co z tego?

– Nie zrozumiałeś, ona знаła mojego ojca. Z relacji Józefa Andriejewicza wynika, że obaj rywalizowali o jej względy, tyle że ojcu się nie poszczęściło...

Samarin zamarł, wpatrując się w alchemika, jakby zobaczył go pierwszy raz w życiu.

– Twój ojciec?

– Spotkali się w sześćdziesiątym trzecim. Uratował ją. Razem z Józefem Andriejewiczem.

– Więc Józef Andriejewicz...

– Tak, on także walczył w powstaniu.

Oszołomiony generał nawet nie próbował protestować przeciwko określeniu

wydarzeń tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku jako „powstania”.

– Jak cię rozpoznała?

– Ponoć jestem bardzo podobny do ojca. – Rudnicki wzruszył ramionami. – Teraz rozumiesz? Oczywiście nie wezmę od niej żadnych pieniędzy, możesz być spokojny o swój spadek.

– Och, zamknij się!

Samarin ukrył twarz w dłoniach, zerwał się i pobiegł do łazienki. Po chwili wrócił z mokrą głową i zachlapanym mundurem.

– Nie będę przepraszał! – rzucił ze złością. – To wasza wina, pieprzeni konspiratorzy! A i ciotka też dobra. Musiała się nieźle bawić, stara lisica!

Rudnicki zamaskował śmiech, udając atak kaszlu.

– Teraz wszystko jasne...

– Co takiego? – zmarszczył brwi alchemik.

– Pamiętasz te panienki, które spotkałeś u cioci?

Rudnicki potwierdził nieartykułowanym pomrukiem.

– Nadia Trubecka uchodzi za największą plotkarę w Petersburgu. Pewnie cała socjeta już wie, że Maria Pawłowna uznała cię za wnuka.

– To ta dziewczyna, z którą wyszedłeś?

– Owszem. I pomyśleć, że ciotka chce mi ją wyswatać – dodał z niesmakiem oficer.

– Teraz ja czegoś nie rozumiem – powiedział Rudnicki. – Co do ciebie, to sprawa oczywista, jesteś arystokratą i panienka Trubecka pasuje ci jak robiona na miarę rękawiczka, ale ja...

– Wielkie dzięki! – przerwał mu z irytacją Samarin. – Co ty?

– Nawet gdybym był nie wiadomo jak bogaty, to przecież nie posiadam żadnego tytułu. A *barysznia* Luda nie wyglądała mi na taką, która wyszłaby za aptekarza.

– A co to ma do rzeczy?

– Kiedy wracaliśmy, bo Maria Pawłowna poleciła mi odwiedzić ją do domu, panienka von Kries zachowywała się... dość swobodnie. Powiedziałbym wręcz, że flirtowała ze mną.

– Fakt, że uprawiasz alchemię, to żadna przeszkoda, ostatnio zajmują się tym nawet koronowane głowy. Ale co do tytułu, masz rację, rodzina von Kries nigdy

nie zaakceptowałyby drobnego szlachcica. Wiesz, oni są bogaci. Linie kolejowe, jakieś kopalnie, majątki ziemskie. Może po prostu spodobałaś się jej i chce nawiązać romans? To jedna z największych piękności Petersburga i choć jest bardzo dyskretna, chodzą plotki, że miała kilka przygód...

– W tym wieku?! Ile ona ma lat?

– Dokładnie trzydzieści, niedawno obchodziła urodziny.

– Dałbym jej co najwyżej dwadzieścia.

– Rzeczywiście, wygląda jak pensjonarka – przyznał Samarin. – Może się zamienimy? – zaproponował. – I następnym razem odwieziesz do domu Nadię?

– Cóż, po zastanowieniu stwierdzam, że panna von Kries podoba mi się bardziej niż twoja chuda diuszesa – wycedził Rudnicki.

Oficer pogroził mu pięścią i sięgnął po wódkę, po czym przepłukał usta alkoholem, krzywiąc się niemiłosiernie.

– Boli jak cholera – oznajmił z pretensją w głosie. – Nawiasem mówiąc, Nadia nie jest księżną, a jedynie hrabianką. A propos nowych słów mocy, poznałeś jeszcze jakieś po moim wyjeździe? Poza tym „rozluźniającym”?

Alchemik spojrzał na Samarina ostro, jednak twarz przyjaciela wyrażała tylko ciekawość.

– Jeszcze jedno, ale bezużyteczne. – Wzruszył ramionami. – Oznacza tyle co „śmierć” albo „umrzyj”, choć jestem pewien, że kryją się w nim nieznanne mi jeszcze niuanse. I nie, nie ma zastosowania bojowego! – dodał, uprzedzając pytanie generała.

– Dlaczego? Toż to marzenie każdego żołnierza! Teoretycznie...

Rudnicki wycelował w niego palec i wyszeptał kilka sylab. Słowo niosło w sobie złowrogi pogłos, przywodziło na myśl burzę połączoną z trzęsieniem ziemi.

– Zwariowałaś?! – wzdrygnął się Samarin.

– Robi wrażenie, prawda? Niestety, to jedyny efekt.

Oficer nerwowym gestem sięgnął po szklanekę i wychylił jednym haustem resztę alkoholu.

– Naprawdę nie działa?

– Przecież widziałeś. Oczywiście każde słowo można wzmocnić *materia prima* – dodał ze złośliwym uśmiechem alchemik.

– I co?

Rudnicki rozejrzał się po pokoju i wskazał lampę.

– Widzisz tę muchę?

– No widzę. Co chcesz zrobić?

– Popatrz.

Alchemik wyciągnął fiolkę wypełnioną czarnym proszkiem, wysypał na dłoń odrobinę i cisnął pyłem w stronę owada.

– DASZ' DANTHAR!

Mucha padła jak rażona gromem.

– Imponujące, prawda? Zniszczyłem obiekt latający, wykorzystując tyle *materia prima*, ile ważyła ta mucha – skomentował ironicznie Rudnicki. – A teraz pomyśl, ile trzeba by jej było, żeby zabić człowieka? O ile to w ogóle możliwe. Bo nie ulega wątpliwości, że z tym słowem coś jest nie tak.

Zanim Samarin zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie i do pokoju wpadł Guerini.

– Znowu się zaczęło! – zawołał. – Leki nie działają, a carewicz dostał wylewu!

– Gdzie?! – warknął Rudnicki.

– Lewe kolano. Proszę za mną, *dottore!*

Samarin pierwszy znalazł się na korytarzu. Alchemik podążył za Włochem, zawiązując w biegu szlafrok.

– Kiedy to się stało? – spytał.

– Niedawno. Jeszcze godzinę temu wszystko było w porządku. Sprawdzałem – zapewnił Guerini.

Następca rosyjskiego tronu powitał alchemika drżącym uśmiechem, choć zaciśnięte pięści dziecka świadczyły, że zмага się z bólem.

– Dlaczego nie poinformował mnie pan, że Aleks się ocknął?! – wysyczał wściekle Rudnicki.

– Nie zdążyłem, badałem pacjenta – zakwilił Włoch.

– Jego Wysokość! – zaanonsował lokaj.

Alchemik zacisnął zęby: najwyraźniej wdzięczność, jaką deklarował Guerini, nie przeszkodziła mu w próbie przypisania sobie wszelkich zasług. Gdyby nie nieoczekiwane komplikacje, pan profesor chwaliłby się właśnie, jak to uleczył następcę tronu. Rzecz jasna, samodzielnie, bez pomocy „polskiego aptekarza”,

pomyślał cynicznie Rudnicki.

– Aleks? Jak się czujesz?

Car przysiadł na brzegu łóżka i wziął syna za rękę.

– Dobrze, papo.

– Jest mu lepiej, prawda? – rzucił monarcha, wpatrując się w przestrzeń pomiędzy alchemikiem a Guerinim.

Rudnicki westchnął z rezygnacją, Włoch stał z otwartymi ustami niczym królik zahipnotyzowany przez węża, nie przejawiając najmniejszej ochoty, aby zaspokoić ciekawość cara.

– W zasadzie tak – odparł alchemik neutralnym tonem. – I przepraszam za mój strój – powiedział, zauważywszy zdziwiony wzrok rozmówcy. – Ja...

– Nieważne! – przerwał mu władca. – Co z Alekssem?

Alchemik odrzucił kołdrę, było tak, jak powiedział Guerini – lewe kolano chłopca puchło w oczach.

– Saszka!

– Tak?

– Weź kilku żołnierzy i przenieście carewicza wraz z łóżkiem do moich apartamentów – polecił.

– Wasza Wysokość? – Samarin spojrzał pytająco na cara.

Oficer trzymał dłoń na kaburze.

– *Gospodin* Rudnicki? – zmarszczył brwi władca.

– To naprawdę konieczne – zaręczył alchemik. – Gwarantuję, że za kilka godzin nie będzie śladu po wylewie.

Car przyzwalająco skinął głową i żołnierze ostrożnie wynieśli łóżko z komnaty.

– Skąd ten pomysł? Co się stało?

Alchemik przygryzł wargi: profesor Guerini skorzystał z okazji i wymknął się wraz z żołnierzami, pozostawiając na barkach Polaka wszelkie wyjaśnienia.

– W tym pomieszczeniu musi być coś, co negatywnie działa na leki, a może i na chorego. Trudno powiedzieć, co to za czynnik, ale wiem, z kim mógłbym się skonsultować. Jeśli mam rację, kolano carewicza błyskawicznie wróci do normy.

– I gdzie znajduje się ta dobrze poinformowana osoba?

– W Warszawie.

Car wymownym gestem wskazał telefon.

– Proszę natychmiast się tym zająć – rozkazał.

Rudnicki podniósł słuchawkę i zamówił połączenie z Warszawą. Po chwili podał swój adres i poprosił do aparatu Anastazję, na szczęście dziewczyna była w domu. Alchemik krótko opisał jej sytuację i przedstawił swoje podejrzenia.

– Sigile – orzekła bez namysłu. – To coś w rodzaju magicznych pieczęci, dziwię się, że sam na to nie wpadłeś.

– Ciekawe, skąd miałem...

– Przecież zastosowałeś je w hotelu – przerwała mu bezceremonialnie.

– Po pierwsze, nie wiedziałem, że tak się nazywają, wpadłem na ten pomysł zupełnym przypadkiem, po drugie, te znaki widać na kilometr! Gdybym nie umieścił ich w kotłowni lub spiżarni, Niemcy zaraz domyśliliby się, o co chodzi. I wymazali je natychmiast.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Tego typu symbole widzi tylko ich twórca. A żeby je zniszczyć, potrzeba *materia prima*, tak jak i przy ich kreśleniu.

– Czyli nie można ich zetrzeć, zanim się ich nie zobaczy? – upewnił się Rudnicki.

– Dokładnie tak.

– Co to mogą być za symbole?

– Nie mam pojęcia. Kto wie co pojawiło się ostatnio w bibliotekach? Nie odwiedzaliśmy ich niemal rok. Do tego świetnie zdajesz sobie sprawę, że przyswojenie każdego nowego symbolu to ryzyko. Coraz większe ryzyko, więc i tak nie mógłbyś się ich uczyć jak leci! Wreszcie istnieją i takie, które pojawiają się jedynie na mgnienie. I tylko raz.

– Czyli teoretycznie ktoś może poznać w bibliotece znak jako jedyny na świecie?

– Owszem. Do tego dochodzi kwestia interpretacji. Znaczenie niektórych symboli jest tak skomplikowane, że na ich poznanie trzeba poświęcić dziesiątki lat. I udaje się to jednemu adeptowi na stu.

Rudnicki odetchnął głęboko, starając się opanować, sytuacja wyglądała na skomplikowaną, o ile nie beznadziejną.

– Czyli w żaden sposób nie mogę pomóc carewiczowi? Bo przecież nie znajdę tych znaków.

– Dlaczego nie? Mogę się mylić, ale podejrzewam, że one mają bardzo ograniczony zasięg. Kilka, góra kilkanaście metrów. Bo to zależy od mocy adepta, który je wykonał, a nie słyszałam o żadnym mistrzu magii działającym w Petersburgu.

– Może się maskuje?

– Wątpię. Bardziej prawdopodobne, że to jakiś słabeusz, który co prawda przeszedł inicjację w bibliotece, może nawet otrzymał wskazówki od silniejszego maga, dzięki czemu mógł wykonać sigile, ale to szczyt jego możliwości. Pamiętaj, że to musi być osoba z bliskiego otoczenia cara, przebywająca stale na dworze. Ktoś taki nie miałby czasu ani na buszowanie po enklawie, ani na magiczny trening.

– Kłopot w tym, że mało kto wierzy w moje teorie...

– Znam pewien rytuał, który prawdopodobnie pozwoli ci znaleźć i zniszczyć te symbole, ale musiałabym do ciebie przyjechać.

– Przecież mówiłaś, że pieczęci nie może zobaczyć nikt poza ich autorem.

– Bo tak jest! Jednak ty to co innego. Twoje oko zostało skażone krwią Przeklętego, dzięki czemu widzisz więcej niż inni. Zapomniałaś? Mogę uczynić je jeszcze wrażliwszym. Na jakiś czas.

– Nie wiem, czy dam radę zdobyć dla ciebie zaproszenie...

– A to już nie mój kłopot – odparła chłodno Anastazja.

Rudnicki pożegnał się krótko z dziewczyną i odłożył słuchawkę.

– Wasza Wysokość, chciałbym...

– Kim jest osoba, z którą pan rozmawiał? – spytał ostro car.

Mina władcy świadczyła, że nie potrzebował tłumacza, aby zrozumieć, o czym mówiono.

– To moja... kuzynka.

– Naprawdę jest pan spokrewniony z księżną Samarin?

Rudnicki westchnął bezradnie, plotki rozpowszechniane przez Marię Pawłównę zataczały coraz szersze kręgi.

– Wątpię – przyznał szczerze. – Choć łączą mnie z nią szczególne relacje. Księżna знаła mojego ojca, dlatego traktuję ją jak kogoś bliskiego – dodał tytułem wyjaśnienia. – Podobieństwo herbów spowodowało, że najpierw generał Samarin, a później Maria Pawłowna wpadli na pomysł, żeby przedstawić mnie

jako krewnego.

– A pańska kuzynka?

– Wolałbym nie kontynuować tego tematu.

– Chyba jednak będzie pan musiał – zripostował władca. – Nie pozwolę, żeby w otoczeniu mojego syna znalazł się ktoś, kogo nie znam!

Alchemik niechętnie skinął głową, w końcu sam nakłaniał władcę do ostrożności.

– Jej pokrewieństwo ze mną jest tak samo fałszywe jak moje z rodziną Samarinów – powiedział po chwili namysłu. – Znalazłem ją raną w enklawie, kiedy szukaliśmy ocalałych z grupy, która weszła tam z radcą Bragimowem. Okazało się, że jest wybitnym magiem, kilkakrotnie uratowała mi życie. Podobnie jak i generałowi Samarinowi. W jakimś sensie rzeczywiście traktuje nas jak rodzinę. Ponieważ straciła pamięć, pozwoliłem jej używać swojego nazwiska, a imię wybrała sobie sama. Anastazja – dodał, widząc pytający wzrok cara. – Maria Pawłowna wymyśliła jej otczestwo: „Aleksandrowna”.

– Z tego, co słyszałem, osoby towarzyszące radcy w wyprawie do enklawy nie należały do najwyższych kręgów.

– Istotnie – przyznał Rudnicki zimno. – Tyle że Anastazja nie miała z nimi nic wspólnego.

– Mimo wszystko trudno mi uwierzyć, że ktoś taki uzyskał akceptację Marii Pawłowny.

– Mnie także – roześmiał się alchemik. – Jednak...

– Syn Waszej Wysokości czuje się lepiej – zameldował Samarin, stając w progu.

– Dzięki Bogu!

– Jak opuchlizna? – rzucił niespokojnie Rudnicki.

– Niknie w oczach. Guerini zrobił carewiczowi zastrzyk i natarł kolano jakąś maścią. Aleks twierdzi, że już nie czuje bólu.

– Niemniej jednak trzeba coś zrobić z tymi sigilami – zauważył Rudnicki. – Kto wie? Może nawet uda mi się zidentyfikować osobę odpowiedzialną za to wszystko?

– Generale, proszę zorganizować przyjazd... kuzynki – polecił władca.

– Wasza Wysokość ma na myśli...

- Anastazję Aleksandrownę – wszedł mu w słowo car. – I jak najszybciej.
- Za pozwoleniem Waszej Wysokości, ale nie sądzę, żeby to był najlepszy pomysł – zaprotestował Samarini. Oficer pobrał, jego czoło w jednej chwili pokryło się potem.
- Czy dobrze pana zrozumiałem? Podaje pan w wątpliwość dobrą wolę *baryszni* Rudnickiej?
- Nie tyle dobrą wolę, co oddanie Waszej Wysokości. Anastazja nie poczuwa się do lojalności wobec imperium.
- Podobnie jak *gospodin* Rudnicki, a przecież pomógł mojemu synowi. Bo chyba nie podejrzewa jej pan o złe zamiary?
- Nie – wycedził z wysiłkiem Samarini.
- W takim razie proszę wykonać rozkaz.
- *Słuszajus', Wasze Wieliczesstwo!*



Dworzec Warszawski spowijała biała jak mleko poranna mgła. Nowoczesny w kształcie budynek z ogromnymi przeszklonymi oknami wylaniał się powoli z oparu, niczym pływak wychodzący z morza. Wyraźnie widać było tylko wieżę zegarową i zatkniętą na jej szczycie, targaną wiatrem rosyjską flagę. Stopniowo szum motorów – podjeżdżali do dworca w trzy samochody – zagłuszyły pokrzykiwania tragarzy, gwizd parowozów i gwar kłębiącego się wokół tłumu.

– Kolejny transport rannych – wyjaśnił sucho Samarini. – Normalnie nie ma tu takiego tłoku.

Rudnicki skinął głową i nerwowym gestem skontrolował skórzany pas wyposażony w specjalne kieszonki. Największa z nich kryła butelkę z homunkulusem.

– Pociąg Anastazji powinien przyjechać za pięć minut – rzucił neutralnym tonem oficer.

Alchemik przytaknął, ale nie podjął dyskusji, poprzedniego dnia kłócili się do późnej nocy. Rudnicki nie winił Samarini, wizyta Anastazji była koszmarem dla ochrony pałacu: w otoczeniu cara miała się znaleźć jedna z Przeklętych... Fakt, że generał nie mógł nikomu zdradzić tożsamości „kuzynki”, jeszcze pogłębiał

jego frustrację.

Kierowca zatrzymał się tuż przy wejściu i po chwili grupa żołnierzy pod dowództwem Matuszkińca weszła do środka. Wszyscy ubrani byli w mundury polowe, bez żadnych oznak wskazujących na przynależność do *Konwoja*.

– Mam nadzieję, że ta cała awantura dobrze się skończy – westchnął Samarin.

– Nie mamy wyjścia – przypomniał Rudnicki. – Bez Anastazji nie odkryjemy, kto chce zaszkodzić następcy tronu.

Oficer wymownym gestem wyprosił z samochodu szofera, sięgnął do kieszeni.

– Nawet jeśli tak jest, przypomina to wypędzanie diabła szatanem – powiedział ściszym głosem. – Chcesz? – spytał, wyciągając papierośnicę.

– Nie, dziękuję. Naprawdę nie masz o co się martwić, Anastazja nas nie zdradzi.

– A to dlaczego? Bo nas lubi? – rzucił gorzko Samarin, zapalając papierosa. – Taki z ciebie ekspert w dziedzinie uczuć u *theokatáratos*?

– Bo przysięgła mi wierność.

– Jak mam to rozumieć?

– Dosłownie. Naprawdę myślisz, że wypuściłbym na wolność kogoś z Przeklętych, nie mając pewności, że nie skoczy mi do gardła przy pierwszej okazji? A *theokatáratos* nie mogą złamać danego w dobrej wierze przyrzeczenia. Nie są w stanie. Nigdy i w żadnych okolicznościach. To część ich natury.

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś? W Warszawie?

– Bo wolałem, żebyś się nie zastanawiał, co możesz od niej uzyskać, naciskając na mnie. I jeszcze jedno: ani słowa na ten temat. Nikomu. Nawet carowi!

Generał przyjrzał się przyjacielowi z namysłem, wreszcie skinął głową.

– Niech będzie. Warunkowo.

– Nie rozumiem...

– To proste. Jeśli kuzyneczka coś wywinie, będę musiał zameldować o wszystkim swoim przełożonym, a później strzelić sobie w łeb. I to nie jest przenośnia – uprzedził pytanie alchemika. – Zatajenie tak istotnych informacji, a przecież je zataję! nie licuje z honorem oficera.

– Nie zawieziemy cię – zapewnił Rudnicki. – Ja... – urwał, widząc wracających żołnierzy. Jeden z nich otworzył drzwi przed Anastazją.

Dziewczyna, jak zwykle w czerni i srebrze, powitała Samarina siostrzanym pocałunkiem, po czym objęła i alchemika. Rudnicki zauważył, że wszyscy Rosjanie traktują ją z uprzedzającą uprzejmością. Pewnie Matuszkin szepnął im to i owo albo uważają ją za krewną generała, pomyślał.

– Jedziemy! – zarządził Samarin. – Po przyjeździe do pałacu zaprowadzę cię do twoich apartamentów, żebyś się mogła odświeżyć, a później...

– Wytrzymam bez odświeżania – przerwała mu bezceremonialnie Anastazja. – Nie ma chwili do stracenia, bo jeśli tamci wiedzą o moim przyjeździe, to mogą zdecydować się na załatwienie sprawy w inny sposób. Bardziej bezpośredni...

– Skąd niby mają cię znać? Nigdy nie uczestniczyłaś w dworskich intrygach.

– A jeśli to coś większego? Na przykład spisek naszych przyjaciół z Amici Mortis? Zaryzykujesz życie carewicza?

Przez moment Samarin wyglądał jak ogłuszony.

– Amici Mortis? – wymamrotał. – W najbliższym otoczeniu cara? Niemożliwe!

– Jak uważasz. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Z pewnością wiesz lepiej ode mnie, co dzieje się na dworze imperatora Wszechrusi – dodała z lekkim, niemal niewyczuwalnym akcentem ironii.

Na policzkach oficera zagrały mięśnie, prawa dłoń spoczęła na kaburze.

– Szybciej! – polecił kierowcy. – Dodaj gazu!



Anastazja musnęła palcem czoło alchemika i wymówiła trzy dziwnie brzmiące sylaby. O dziwo, Rudnicki zapamiętał je bez trudu. Na twarzy poczuł smagnięcie żaru, w uderzenie serca później nadeszła fala bólu. Miał wrażenie, że czuje smród palonego mięsa, a w oczodoł wkręca mu się rozpalony do czerwoności stalowy świder. Otoczenie zawirowało, wzrok poraziła eksplozja barw poza granicami ludzkiej percepcji i rozumienia. Krzyknął w męce i zachwiał się, zakrywając oczy. Czyjeś silne ramiona złapały go i pomogły utrzymać równowagę. Samarin...

– Nic ci nie jest? Olaf? Olaf?!

– Już lepiej – wyszeptał drżącym głosem alchemik.

– Otwórz oczy! – rozkazała Anastazja. – Najgorsze za tobą.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że będzie bolało?!

– A co by to zmieniło? Przecież cię nie oszukałam, nigdy nie twierdziłam, że rytuał jest przyjemny. No, dalej! Bo to nie potrwa długo!

Rudnicki otworzył oczy: komnata carewicza pełna była dziwnych kształtów i kolorów, dla których nie znalazł nazwy w żadnym znanym mu języku. Stopniowo z chaosu wyłaniały się drażniące zmysły wzory i znaki, po pewnym czasie zdominował je ślad mroku. Coś, co z braku innych określeń można było nazwać czernią, plamiło podłogę, ściany i stół z lekarstwami, otaczało kręgiem miejsce, gdzie stało łóżko carewicza.

– Co to za cholerstwo? – wymamrotał, opadając na kolana.

Drgająca plama mroku przyprawiła go o mdłości, uszy drażnił suchy szelest przypominający ocieranie się pokrytych łuskami węzowych splotów.

– Dajcie *materia prima*!

Rudnicki zaczerpnął szczyptę mialkiego proszku i sypnął w kierunku centrum wywołującej odrazę skazy. Szelest urwał się jak ucięty nożem, zastąpiony przez odgłos podobny do pękającego lodu. Czerń zniknęła, odsłaniając dziwny pajęczny wzór w odcieniu zaschniętej krwi.

– Widzę go! – oświadczył z napięciem alchemik. – Co teraz?

– Musisz go zniszczyć – poinformowała spokojnie Anastazja.

– Jak?!

– Normalnie, procedura jest identyczna jak przy tworzeniu sigilu: wystarczy rozmieszać wodę z *materia prima* i potraktować roztwór jak farbę. Musisz zakłócić symetrię wzoru. To wszystko.

Rudnicki zanurzył palec w podsuniętej pospiesznie miseczce z ciemnym, lekko opalizującym płynem i powoli, starannie przekreślił symbol. Mdłości ustąpiły.

– Już – zameldował.

– Teraz wystarczy podążać śladem człowieka, który wykonał pieczęć. Nie wiem, jak to postrzegasz, ale powinieneś dać radę określić, skąd przyszedł. Tylko pospiesz się, nie mamy czasu!

Alchemik mruknął potakująco: smuga ciemności znaczyła kosztowne dywany

niczym czarny atrament.

– Idziemy! – rzucił. Podniósł się z klęczek i wyszedł z pomieszczenia.

Trop prowadził po schodach na wyższe piętro. Po drodze minęli dwa posterunki, ale żołnierze rozstąpili się bez protestu, ponagleni szorstkim rozkazem Samarina. Rudnicki skręcił za załom korytarza, kiedy oślepił go rozbłysk światła.

– To by było tyle – wycedził, trąc gorączkowo oczy. – Szlag! Nic nie widzę!

– Za chwilę wszystko wróci do normy – uspokoiła go dziewczyna. – Gorzej, że nie wiemy, gdzie kończy się ślad.

– Nie jest tak źle – odparł nieswoim głosem generał. – W tym skrzydle znajdują się tylko dwa apartamenty, reszta to pomieszczenia dla służby. A żaden służący nie ma swobodnego dostępu do carewicza.

Rudnicki sięgnął po chusteczkę, aby osuszyć łzawiące oczy, zaklął, ujrawszy krwawe plamy na białej tkaninie.

– Co to ma znaczyć? – warknął. – Ta krew?

– To nic strasznego – stwierdziła beztrąsko Anastazja. – Czasem tak się dzieje, wasze organizmy nie są przystosowane do używania magii.

– Mam rozumieć, że teraz będę cierpiał na hemolakrię?

– Raczej nie, myślę, że i to minie.

– Wielkie dzięki! Ja...

– Może wrócimy do tematu? – zaproponował napiętym tonem Samarin. – Drzwi po lewej wiodą do pokoiów doktora Gueriniego, po prawej do apartamentów von Schwartza. A teraz zastanówcie się, który z nich mógł stworzyć ten symbol w komnacie Aleksa.

– Skąd mam wiedzieć? – odburknął Rudnicki. – Nie jestem detektywem!

– Zrozum, Olaf, mogę w każdej chwili zażądać rozmowy z carem, ale jeżeli okaże się, że oskarżyłem niewinnego, nie dostanę drugiej szansy. Wygnają mnie z dworu, a ciebie razem ze mną i kto wówczas zatroszczy się o carewicza? Myśl! – ponaglił generał.

– Najwięcej czasu spędza z dzieciakiem Guerini – powiedział alchemik z wahaniem. – Z drugiej strony z tego, co zauważyłem, to tchórz, unika wszelkiej konfrontacji, jak tylko może. Chyba że udawał...

– Von Schwartz jest zaufanym imperatora od niepamiętnych czasów, miałby

zwrócić się przeciwko następcy tronu? Bzdura!

– Może odłożmy na bok kwestie moralne – wtrąciła Anastazja. – Rozważmy lepiej, który z nich dałby radę zrobić coś takiego? Bo winowajca musi być adeptem.

– No właśnie – przytaknął oficer. – Jakoś nie widzę w tej roli von Schwartza. Tymczasem Guerini jako medyk z pewnością interesował się magią i alchemią, choćby ze względu na swoją profesję.

– Niby racja – przyznał Rudnicki. – Co prawda odniosłem wrażenie, że nasz drogi doktor nie ma zielonego pojęcia ani o magii, ani o alchemii, ale możliwe, że umyślnie demonstrował ignorancję w tej dziedzinie.

– Jasne! Zaraz zawołam...

– Czeka! – krzyknął Rudnicki. – Wizytówka!

– O czym ty bredzisz? Jaka, do cholery, wizytówka?! Nie ma chwili do stracenia, musimy natychmiast zawiadomić Jego Wysokość! Guerini pewnie jest przy carewiczu!

– Dałeś von Schwartzowi swój bilet wizytowy? – domyśliła się dziewczyna. – I co? Nie zareagował?

– No właśnie! Żadnych mdłości czy zawrotów głowy. To on jest adeptem!

– Możecie wytłumaczyć mi, o co chodzi? – wycedził przez zaciśnięte zęby Samarin.

Alchemik bez słowa podał mu wizytówkę.

– Spójrz na nią – poleciła Anastazja.

– No widzę! – parsknął nieelegancko oficer. – Jakieś wirujące wzorki. Co ma do tego von Schwartz?

– To iluzja wzmocniona krwią Olafa – wyjaśniła dziewczyna. – Nic nie poczułeś, bo jesteś adeptem, ale na normalnego człowieka działa jak uderzenie młota. Wystarczy sekunda, żeby poczuć zawroty głowy, co wrażliwsi mogą nawet zemdleć.

– Akurat!

– Zawołaj jakiegoś żołnierza.

Samarin obrzucił ją złym spojrzeniem, ale skinął na stojącego opodal wartownika.

– *Soldat, ko mnie!*

Żołnierz natychmiast rzucił się do biegu.

– *Słuszajus', wasze priewoschoditelstwo!* – wyskandował.

– Popatrz na to – rozkazał Samarin, podając mu wizytówkę.

Barczysty mężczyzna w mundurze *Konwoja* posłusznie wziął w dłoń bilecik i niemal natychmiast upuścił. Jego twarz przybrała odcień świeżo pobielonej ściany; gdyby nie pomoc alchemika, runąłby na podłogę.

– Teraz nam wierzysz? – zapytała Anastazja.

– Niech was szlag! Za mną!

Zbiegli po schodach, po drodze dołączali do nich kolejni żołnierze *Konwoja*. Samarin wpadł pierwszy do apartamentów Rudnickiego i zaklął z wściekłością: łóżko carewicza było puste.

– Pewnie Guerini zabrał chłopaka na spacer – rzucił alchemik, ciężko dysząc.

– Bo odkąd Aleksowi się poprawiło, marudził, że chce wyjść do parku.

– Burmanow! – krzyknął generał. – Leć po naszych i później do parku! I zadzwoń do koszar!

Wysoki sierżant z wąsami i brodą à la Skobielew skinął potakująco głową, po czym pospieszył do wyjścia. W drzwiach zderzył się z Guerinim. Samarin dopadł lekarza tygrysim skokiem i potrząsnął jak terier szczurem.

– Gdzie następcą tronu?!

– Na spacerze – wyjąkał przestraszony medyk. – Z hrabią von Schwartzem. Ostatnio widziałem ich obok fontanny.

Generał odepchnął Włocha i wypadł na korytarz.

– Może zdążymy – wymamrotał. – Za pięć minut będzie tu pluton alarmowy, a za kwadrans kompania. Żeby tylko zdążyć...

Samarin sięgnął po rewolwer, a złowrogi szcęk stali świadczył, że i żołnierze przygotowywali się do walki. Rudnicki wydobyl butelkę z homunkulusem.

– Tam są! – zawołał Samarin.

Von Schwartz rozmawiał z robotnikami pracującymi przy fontannie, carewicz stał kilkanaście metrów dalej, wywijając kijkiem jak szablą.

– W tyralierę! – szcęknał oficer. – Aleks, do mnie!

Chłopiec popatrzył na nich zdziwiony, ale po chwili porzucił zaimprovizowaną broń i ruszył szybkim krokiem w kierunku żołnierzy. Von Schwartz obejrzał się przez ramię i uczynił ruch, jakby chciał go zatrzymać.

– Ognia! – zawył Samarin.

Arystokrata cofnął się wystraszony salwą, nieoczekiwanie uskoczył za fontannę.

– Co się dzieje? – zapytał carewicz. – Dlaczego strzelacie? *Gospodin gienierał?*

– To taka zabawa – wyjaśniła Anastazja. – Lubisz bawić się w wojnę?

Zanim chłopiec zdążył odpowiedzieć, z pałacu wybiegła grupa kilkuset uzbrojonych mężczyzn, odcinając im odwrót, a w rękach symulujących pracę przy fontannie robotników pojawiły się karabiny. Rudnicki bez namysłu cisnął cienkościenną butelkę w drzewo.

– Zabijaj! – wycodził przez zaciśnięte zęby.

Tym razem nie było powolnej przemiany, homunkulus od razu pojawił się w postaci potwornego kilkuletniego dziecka. Jeden z żołnierzy wziął na cel hybrydę, ale Samarin machnięciem ręki nakazał mu opuścić broń.

– To swój! Nie strzelać! – rozkazał.

Alchemik pociągnął carewicza na ziemię, żołnierze otoczyli ich kołem, zasłaniając własnymi ciałami. Przez chwilę Rudnicki miał nadzieję, że sam homunkulus rozstrzygnie walkę: kilku nieprzyjaciół uciekło, a inni rozpierzchli się na wszystkie strony, wszczynając chaotyczną palbę, jednak nie trwało to długo. Znienacka potwora otoczył krąg płomieni, a spiskowcy ruszyli do ataku ponaglieni rozkazem von Schwartza.

– Bagnet na broń! – zakomenderował oficer.

Zakotłowało się, napastnicy w mgnieniu oka przemieszali się z żołnierzami. Łysy drab o pokrytej oparzelinami twarzy zamierzył się na carewicza i w tym samym momencie padł na murawę z paskudnie rozchlastanym barkiem.

– Olaf! Bierz dzieciaka i uciekaj! – krzyknął z rozpaczą Samarin.

Alchemik poderwał się z ziemi i zanurkował w ciżbę walczących, ciągnąc za sobą carewicza. Ktoś złapał go za rękę, spróbował unieruchomić. Rudnicki odpowiedział kopniakiem w krocze, poprawił, uderzając z całej siły kantem dłoni w szyję. Nieprzywykły do zadawania śmierci, stracił sekundę, nie więcej, łowiąc spojrzenie gasnących oczu, ale i to wystarczyło, żeby drogę zagroziło mu kolejnych kilku przeciwników.

– TCHAAANG!

Słowo mocy zahuczało niczym grzmot, Rudnicki poczuł w ustach smak krwi.

Zmiażdżył pięścią krtąń drągala w wystającej spod roboczego kombinezonu pasiastej koszulce, dwóch następnych roztrącił jak kręgle, aby stanąć naprzeciw wymierzonego w pierś karabinu. Dzierżący go mężczyzna ubrany był w równie wytworny strój co totumfacki cara, ale choć sprawiał wrażenie dworaka, widać było, że potrafi posługiwać się bronią.

– To już koniec, *gospodin* Rudnicki – oznajmił z satysfakcją von Schwartz. – Teraz mój przyjaciel zakończy...

Alchemik nie zauważył, jakim sposobem u jego boku pojawiła się Anastazja. Podobnie spiskowcy. Jej drogę znaczyły walące się na ziemię trupy i suchy chrzęst łamanych kości. Arystokrata urwał nagle, patrząc z osłupieniem na krew plamiącą nieskazitelnie biały gors. Zanim upadł, dziewczyna zwróciła się już ku jego towarzyszowi i ruchem tak szybkim, że niemal niezauważalnym, pozbawiła go broni.

– Na co czekasz?! – zawołała. – Ucie...

W ręku nieznanego zniemacka pojawiło się ostrze i czarna suknia Anastazji pociemniała jeszcze bardziej.

– Dalej! Zajmę się nim! – ponagliła, zrzucając z nóg pantofelki.

Alchemik pobiegł w stronę najbliższej kępy zarośli, aby jak najszybciej zniknąć z oczu prześladowcom. Na szczęście przerażony jatką carewicz bez słowa sprzeciwu wykonywał wszystkie polecenia.

– Tam jest labirynt – powiedział Aleks, spazmatycznie łapiąc powietrze. – Możemy się schować.

Twarz chłopca pokryta była rześzystym potem. Nie ulegało wątpliwości, że jest u kresu sił.

– Znasz ten labirynt?

– Tak, często bawię się tam z siostrami.

– Idziemy – zdecydował Rudnicki.

– Co z nami będzie? – spytał cichutko Aleks. – Żli ludzie nas zabiją?

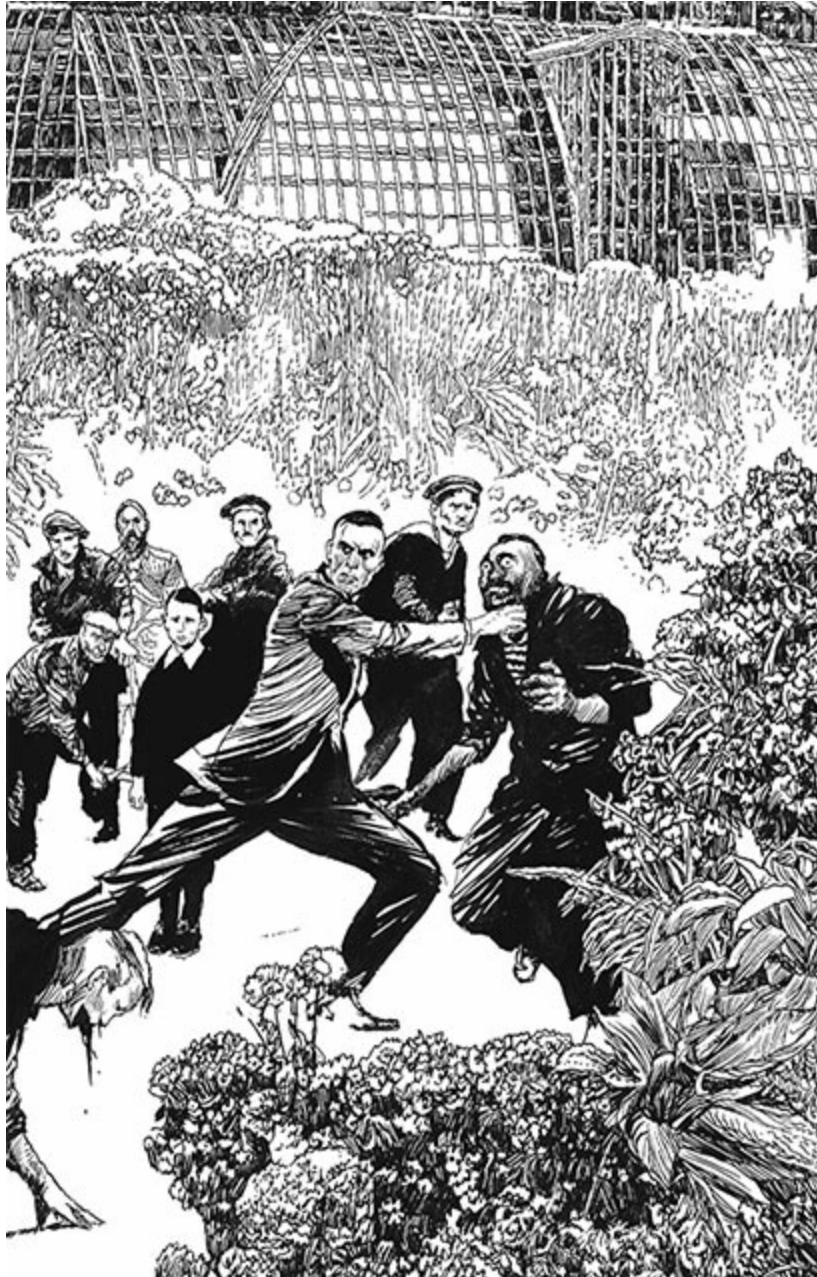
– Skąd! Lada moment przyjdą nam na pomoc żołnierze. Generał Samarin posłał po nich. Musimy tylko schować się na chwilę.

Labirynt nie wyglądał na duży, ale uformowane z przyszczyżonych drzew ściany przewyższały wzrost człowieka. Rudnicki mruknął z zadowoleniem, widząc gęszcz splecionych ze sobą gałęzi: przedarcie się przez roślinne bariery

bez użycia narzędzi było niemożliwe.

– To graby – poinformował carewicz. – Najlepiej nadają się do tworzenia labiryntów.

Chłopiec drżał ze zdenerwowania, ale starał się nie okazywać strachu.



– Jesteś bardzo odważny – powiedział poważnie alchemik. – Imperator będzie z ciebie dumny. A teraz prowadź. Musimy oddalić się od wejścia,

później...

– Po drugiej stronie labiryntu jest wozownia – przerwał mu Aleks.

– Świetnie! Podsadzę cię i przejdiesz na drugą stronę. Tam powinni być jacyś ludzie, a może nawet wartownicy.

– Nie zrobię tego!

– Ściany są dość wysokie – przyznał Rudnicki. – Będzie dwa metry, to znaczy ze trzy arszyny, ale...

– Nie o to chodzi – ponownie wszedł mu w słowo carewicz. – Jestem następcą tronu! Nie będę umykał jak szczur!

Alchemik zacisnął zęby, widać było, że dzieciak zaczyna wstydzić się ucieczki i robi wszystko, żeby zasłużyć na uznanie ojca. No i nic dziwnego, wszyscy wiedzieli, że władca nie rozpieszcza swoich dzieci: księżniczki mieszkały w pokojach bez specjalnych udogodnień i zaczynały dzień od zimnej kąpeli, a Aleks często rezygnował z posiłków przygotowywanych dla carskiej rodziny na rzecz zwykłych żołnierskich racji, które przynosił mu z koszar adiutant. To wszystko oczywiście ku nieskrywanej satysfakcji cara.

– Kim jestem? – spytał Rudnicki, kładąc dłoń na ramieniu chłopca.

– Moim lekarzem – odparł Aleks ze zdziwieniem.

– Z czyjego poruczenia?

– Taty.

– Co to znaczy?

– Nie rozumiem...

– Imperator powierzył mi twoje zdrowie i życie, co oznacza, że jesteś zobowiązany wykonywać wszystkie moje polecenia, gdyż w innym wypadku sprzeciwiłbyś się nie mojej, tylko jego woli! Dlatego nie będziesz ze mną dyskutował, a jedynie wykonywał rozkazy. Bez wahania i dyskusji, jak żołnierz komendy oficera! Czy to jasne?

Po chwili namysłu chłopiec skinął głową, najwyraźniej przyjmując do wiadomości argumenty alchemika.

– Czekam na odpowiedź – upomniał zimno Rudnicki.

– Będę was słuchał, Olafie...

– Arnoldowiczu.

– Będę posłuszny, Olafie Arnoldowiczu – powtórzył carewicz.

– A teraz idziemy! Najwyższy czas wydostać się z labiryntu. Jestem pewien, że *Konwoj* zatrzymał już wszystkich spiskowców.

– To była zasadzka, prawda? Oni chcieli mnie zabić?

– Trudno powiedzieć – odparł wymijająco Rudnicki. – Teraz najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo, na wyjaśnienia przyjdzie czas później.

– Kim była ta pani, która powaliła hrabiego von Schwartza?

– To moja... kuzynka.

– W takim razie także i generała Samarina? Kiedy wczoraj graliśmy w szachy, graf Samarin powiedział mi, że jesteście spokrewnieni. Jak to możliwe, przecież jest pan Polakiem?

– To długa i skomplikowana historia.

– Opowie mi pan?

– Innym razem.

Dotarli do centrum labiryntu, otaczające niewielką polanę zielone ściany kuśliły prowadzącymi w niewiadomym kierunku ścieżkami.

– Którędy teraz?

– W lewo. Zaraz za zakrętem... – Carewicz urwał, widząc wychodzących zewsząd uzbrojonych ludzi.

– Kiedy dam ci znak, pobiegiesz z powrotem – powiedział nieswoim głosem Rudnicki. – Spróbuj odszukać generała Samarina albo kogoś z żołnierzy *Konwoja*.

– Żywcem! – rozkazał niewysoki, szczupły mężczyzna ze złotym amuletem na szyi.

– Teraz! – zawołał alchemik.

Rudnicki uniknął ciosu uzbrojonej w kastet pięści i uderzył czołem w twarz przeciwnika. Błyskawicznie sięgnął do pasa, wydobył fioletową fiołkę z *materia prima*, jednak zanim zdążył zrobić coś więcej, precyzyjne kopnięcie trafiło go w nadgarstek, a wybita z dłoni buteleczka zniknęła w trawie.

– Żywcem! – powtórzył nieznajomy.

Alchemik zawył wściekle: ktoś podciął mu nogi i unieruchomił za pomocą bolesnej dźwigni na łokieć.

– TCHAAANG!

– Załóżcie mu knebel!

Napastnicy powalili go na ziemię, wciskając twarz w murawę. Rudnicki nagłym ruchem przekręcił głowę i sam nie wiedząc dlaczego, wykrzyczał:

– DASZ' DANTHAR!

Nieoczekiwanie zawirowało mu w głowie, z ust bluznęła fala czarnej krwi. Poczuł, jak stalowe pazury szarpią mu trzewia, powodując ból, jakiego nie zaznał jeszcze nigdy w życiu. Gdzieś z oddali dochodził przeraźliwy, nieludzki skowyt, kolejny spazm pozbawił Rudnickiego przytomności i alchemik zapadł w miękką, przytulną ciemność.

III

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Tym razem nikt nie zaanonsował cara, Mikołaj II, samowładca Wszechrusi, wszedł do gabinetu jak zwykły śmiertelnik. Ale i sytuacja nie była normalna: niedawny atak na następcę tronu i zdrada von Schwartza wykazały, że nawet w najbliższym otoczeniu imperatora znajdują się wrogowie.

Widząc monarchę, Samarin zerwał się z fotela, szef ochrony, generał Głobaczow, powstał w ułamek sekundy później.

– Siadajcie, panowie! – rzucił niecierpliwie władca. – Nie ma czasu na ceremonie. Generale Głobaczow, poproszę o raport!

Szczupły oficer o pociągłej, ozdobionej wąsikiem twarzy przełknął z wysiłkiem ślinę i nerwowym gestem poprawił kołnierzyk galowego żandarmskiego munduru.

– Zidentyfikowaliśmy kilku zabitych spiskowców – poinformował. – Wszyscy są... byli członkami partii bolszewików.

– Dlaczego ochrona nie uprzedziła mnie o zagrożeniu? Przecież niedawno zapewniał mnie pan, że ma agenta w bezpośrednim otoczeniu Lenina!

– Niestety, Wasza Wysokość, muszę przyznać, że moja agentura nie wiedziała nic o spisku. Ja... podejrzewam, że Lenin nie ma z tym nic wspólnego.

– Jak to możliwe?! Wyrażam najwyższe, słyszy pan?! najwyższe niezadowolenie z pańskiej pracy! Gdyby nie *Konwoj* i *gospodin* Rudnicki, mój syn zostałby zamordowany bez litości!

Samarin poruszył się niespokojnie, widząc błagalny wzrok żandarma.

– Hrabio? – odezwał się car zupełnie innym tonem.

– Czy Wasza Wysokość pamięta zabójstwo generała Skałona?

– Oczywiście.

– Zabójcy co prawda należeli kiedyś do PPS, ale jak się okazało w toku

śledztwa, utworzyli własną frakcję, która odrzuciła przywództwo dotychczasowych liderów. Podejrzewam, że mamy tu do czynienia z podobnym przypadkiem. Inwigilacja kierownictwa partii bolszewickiej nic nie dała, bo i dać nie mogła, taki atak nie jest w ich stylu. Oni dążyliby raczej do zbrojnego powstania. To muszą być jacyś odszczepieńcy.

– Nawet jeśli tak, ochrana powinna wiedzieć, co dzieje się wśród wrogów państwa!

– *Winowat, Wasze Wysoczestwo!* – wyskandował Głobaczow, stając na baczność.

– Och, niech pan już siada! Co z zatrzymanymi?

– Trwają przesłuchania, ale z tego, co udało nam się do tej pory ustalić, to szeregowi członkowie partii albo zwykli najemnicy. Niewiele wiedzą o planach przełożonych, po prostu wykonywali rozkazy. Za pieniądze albo...

– Tak?

– Dwóch twierdzi, że zostali uzdrowieni. Jeden miał gruźlicę w zaawansowanym stadium, drugi syfilis. To oczywiście mogą być brednie...

– W żadnym wypadku! – wtrącił Samarin. – Ci ludzie mają takie możliwości. Niestety, zwiększa to zagrożenie do niespotykanych wcześniej rozmiarów. Bo łatwiej odmówić pieniędzy niż uzdrowienia z nieuleczalnej choroby. I żeby tylko! Kto nie zrobiłby wszystkiego dla chorej żony czy dziecka? W sytuacji, kiedy pomógłby im tylko cud?

– Jak możemy temu przeciwdziałać?

– Trzeba nowego podejścia – stwierdził Samarin. – Policja i ochrana muszą zająć się nie tyle niezadowolonymi z aktualnego stanu rzeczy politykami, co raczej magami i alchemikami. Bo bez nich nikt nie dałby rady przeprowadzić takiego ataku jak wczoraj. No i trzeba jeszcze raz sprawdzić pałacowy personel, tym razem także pod kątem ewentualnej podatności na wpływy buntowników. Nie tylko na pieniądze czy idee polityczne, ale także obietnice uzdrowienia lub też innych magicznych manipulacji.

– To znaczy? – zmarszczył brwi żandarm.

– Bo ja wiem? Likwidacji zmarszczek u kobiet? Poprawienia figury? Możliwości jest wiele.

– No dobrze – powiedział car. – Ochrona zajmie się tym natychmiast, jak

tylko skończymy naradę. Wracając do tematu: co z przywódcami spisku? Von Schwartz i baron Kurakin nie żyją, zatroszczyła się o to... krewna generała Samarina, ale to przecież nie wszyscy. Mój syn wspominał o jakimś magu obwieszonym złotymi amuletami.

– Słowa Jego Imperatorskiej Wysokości potwierdziło kilku innych świadków, w tym żołnierze *Konwoja* – odparł przy pochlebnym tonem Głobaczow. – Niestety, niewielkiej grupie buntowników udało się wydostać z pałacu. Moi ludzie prowadzą intensywne poszukiwania.

– Rozumiem, że jak dotąd bez skutku?

– Niestety, jednak...

– Generale Samarin, a co pan o tym sądzi?

Oficer westchnął ciężko, nie miał ochoty na konfrontację z ochroną czy samym Głobaczowem, ale władca nie pozostawił mu wyboru.

– Obawiam się, że same poszukiwania nie wystarczą – stwierdził. – Kto wie co potrafi ten mag? Dlatego proponowałbym zasięgnąć opinii innego eksperta magii.

– Świetny pomysł! – rzucił z rozdrażnieniem żandarm. – Jest tylko jeden problem: komu możemy zaufać?

– Mojej kuzynce.

– Myślałem, że jest ciężko ranna – powiedział zaskoczony władca.

– Na szczęście obrażenia Anastazji okazały się dużo mniej poważne, niż się zdawało na pierwszy rzut oka – wyjaśnił Samarin. – Obecnie odpoczywa w apartamentach Olafa, ale poza osłabieniem nic jej nie jest, odwiedziłem ją z samego rana.

– To zbyt ryzykowne! – zaprotestował Głobaczow. – Uważam, że niezależnie od pokrewieństwa z grafem Samarinem ta osoba powinna zostać natychmiast usunięta z pałacu. Gdyby nie ona...

– Gdyby nie ona i *gospodin* Rudnicki, spiskowcy zabiliby Aleksa! – wtrącił gniewnie car. – Jak nikt inny dokazała swojej lojalności. Widziałem ją zaraz po walce, wyglądała, jakby wykąpała się we krwi. I była to krew wrogów imperium i mojej rodziny!

– Ja...

– Dziękuję panu, generale, proszę kontynuować poszukiwania zbiegów –

uciał zimno władca.

Głobaczow skłonił się i wyszedł bez słowa.

– *Dorogoj graf*, byłby pan uprzejmy poprosić kuzynkę?

Samarin uchylił drzwi i wydał polecenie jednemu z pilnujących gabinetu żołnierzy.

– Pokrewieństwo z Anastazją to bardziej kwestia umowy niż realnych więzów krwi – przyznał z zakłopotaniem generał. – Moja babka cioteczna...

– *Gospodin Rudnicki* wyjaśnił mi wszystko – uspokoił go car z uśmiechem. – Inna sprawa, że nawet gdyby cała rzecz była prawdą, tacy krewni przynieśliby panu chlubę.

Samarin podziękował, ale nie kwapił się z siadaniem.

– Czy ma pan jeszcze jakieś grzechy na sumieniu, generale?

– Księżna postanowiła uwzględnić Olafa Rudnickiego w testamencie – wyznał oficer.

– Nie zgadza się pan z decyzją ciotki?

– W żadnym wypadku! Wręcz przeciwnie: z przyjemnością będę obserwował ten spektakl.

– Nie rozumiem...

– *Gospodin Rudnicki* odmawia przyjęcia zapisu, a jestem pewien, że ciotka zrobi wszystko, żeby go do tego nakłonić. To będzie starcie tytanów. Nie chciałbym tylko, żeby do Waszej Wysokości doszły plotki, jakoby majątek jednego z najstarszych rosyjskich rodów zamierzał przejąć jakiś polski parweniusz.

– Nie będzie żadnych plotek – zapewnił władca. – A i ja sam chętnie zobaczę, kto wygra. Maria Pawłowna jest kobietą o żelaznej woli, ale i pańskiemu... kuzynowi nie brakuje uporu – dodał z rozbawieniem.

– *Barysznia Rudnicka!* – zaanonsował wartownik.

Suknia Anastazji miała barwę letniej nocy, jedynymi jaśniejszymi elementami były srebrna riuszka i białe koronkowe mankiety.

– Wasza Wysokość. – Ukłoniła się z nieporównaną gracją.

– *Sudarnia...*

Car odwzajemnił ukłon i podsunął Anastazji fotel, to wszystko z wyrazem oszołomienia na twarzy.

Dobrze, że imperator ma swoje lata, bo w innym wypadku monarchia miałaby poważniejszy problem niż paru spiskowców, pomyślał zgryźliwie oficer. Najwyraźniej kuzyneczka zrobiła na nim wrażenie nie mniejsze niż kiedyś Krzesińska...

– Zaczynam rozumieć Marię Pawłownę – wymamrotał władca.

Anastazja odpowiedziała przelotnym uśmiechem przypominającym wybuch magnezji.

– W czym mogę być pomocna Waszej Wysokości?

– Znakomicie mówi pani po rosyjsku.

– Dziękuję.

– Jest pani Rosjanką?

– *Je ne sais pas, sire* – odparła dziewczyna.

– Ma pani paryski akcent, bez śladu naleciałości – skomentował z namysłem car. – Taaak, nie sędzę, żeby Maria Pawłowna się pomyliła. Ale przede wszystkim chciałem pani podziękować za ocalenie syna. Jestem pani dłużnikiem.

– Główny ciężar walki wzięli na siebie żołnierze *Konwoja* i Saszka – powiedziała Anastazja, wskazując generała. – Ja tylko trochę pomogłam.

– Jak się pani czuje?

– Znakomicie.

– *A gospodin* Rudnicki?

– Jest bardzo osłabiony, ale przeżyje – poinformowała. – Potrzebny mu tylko odpoczynek.

– Gdybym mógł w czymkolwiek pomóc...

– Wolałabym, żeby przeniesiono go ze szpitala do pałacu. W ten sposób łatwiej będzie mi przy nim czuwać.

– Oczywiście! Za chwilę wydam dyspozycje. Wracając jeszcze do wczorajszego napadu, jak pani sądzi, co zrobią spiskowcy? Czy w najbliższym czasie grozi nam kolejny atak?

– Na pewno nie.

– Mogłabyś to rozwinąć? – poprosił Samarin.

– Wśród napastników było dwóch, a raczej trzech adeptów. Tymczasem...

– Skąd to wyliczenie? – spytał szybko oficer. – Ochrana nie była w stanie

potwierdzić nawet statusu von Schwartz!

– To, że był adeptem, nie ulega najmniejszej wątpliwości – zapewniła. – Jego reakcja na kartę wizytową Olafa potwierdziła ten fakt w sposób bezapelacyjny. Być może warto pokazać ją jeszcze kilku osobom?

– Co za karta? – zainteresował się władca.

Samarin udzielił pospiesznych wyjaśnień.

– Ona naprawdę tak działa na wszystkich poza adeptami? – odezwał się car z akcentem wątpliwości. – Chciałbym to zobaczyć.

– Wykluczone! Nie możemy narażać Waszej Wysokości – odparła stanowczo Anastazja, łagodząc sprzeciw uśmiechem. – Chyba że za zgodą Olafa i w jego obecności. Jestem magiem, nie lekarzem – dodała. – Nie wiedziałabym, co robić w razie ewentualnych komplikacji.

Ku zdziwieniu oficera car przytaknął zgodnie, bynajmniej nie rozgniewany faktem, że poznana kilka minut wcześniej kobieta dyktuje mu, co ma robić.

– Proszę kontynuować – zachęcił.

– Ten przyjaciel von Schwartz, baron...

– Kurakin – odpowiedział władca.

– Właśnie, Kurakin. Widziałam, jak rzucił czar na hybry... Użył magii – poprawiła się pospiesznie. – To już drugi adept. No i wreszcie mag, którego Olaf i syn Waszej Wysokości spotkali w labiryncie.

– Mag? Jest pani pewna? Oczywiście Aleks mógł czegoś nie zauważyć, ale według jego relacji w czasie starcia w labiryncie magią posłużył się tylko *gospodin* Rudnicki.

– Rzeczywiście. Jednak gdyby ów nieznajomy nie był adeptem, zginąłby razem z innymi. A wiemy przecież, że nie tylko przeżył, ale i uciekł z pałacu.

– Logiczne – przyznał monarcha. – À propos Olafa Arnoldowicza: co takiego zrobił, że kilkunastu chłopów w ułamku sekundy padło trupem? W dodatku lekarz, który badał zwłoki, twierdzi, że na ciałach nie ma żadnych oznak sugerujących przyczynę zgonu. Żadnych oparzeń, siniaków, uszkodzeń organów wewnętrznych, nic. Ot, jakby ktoś wyrwał z nich duszę.

– To może wiedzieć tylko Olaf. Nie było mnie tam.

– Tymczasem pytam panią – stwierdził car z zauważalnym chłodem w głosie.

– I pana, generale. W końcu jesteście rodziną...

Samarin zaczerwienił się pod baczny spojrzeniem władcy, a dziewczyna zacisnęła z niezadowoleniem wargi.

– Czyżby miał pan jakieś opory przed odpowiedzią na proste pytanie?

– Ja...

– Możemy tylko przypuszczać – wyręczyła oficera Anastazja. – Olaf musiał użyć słowa mocy, ale nie wiem jakiego. Żadne znane mu do tej pory nie dawało takich efektów.

– A jakie znał?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Nie zna pani odpowiedzi czy nie chce jej udzielić?

– Wasza Wysokość, to kwestia... etykiety.

– Etykiety?!

– Owszem, swego rodzaju etykiety. Taką wiedzę przekazuje się tylko najbliższym, bo pytanie jest bardzo osobiste, wręcz intymne. I nie chodzi tylko o kwestie bezpieczeństwa: przecież powierzając komuś takie informacje, oddajemy swoje życie w jego ręce, kłopot również w naturze samej magii. To, jakie słowa mocy znamy, określa nas w dużo większym stopniu niż wygląd czy pozycja społeczna.

General zmarszczył brwi, uświadomiwszy sobie, że wszystko, co mówi dziewczyna, jest prawdą. A zatem dlaczego Rudnicki bez chwili namysłu wyznał mu, jakie zna symbole? Czyżby okazał mu w ten sposób zaufanie?

– To tylko bardzo przybliżone porównanie, ale przecież dżentelmen nie spytałby mało znanej mu damy, jakiego koloru bieliznę nosi – kontynuowała Anastazja, marszcząc zabawnie nosek.

– Rzeczywiście – przyznał car z rozbawieniem. – Przyjmuję pani wyjaśnienia. Kontynuując zaś wątek bezpieczeństwa...

– Jeśli chodzi o grupę, która zaatakowała pałac, nic nam nie grozi. Stracili większość ludzi i dwóch adeptów, a trzeci, o ile żyje, bo przecież Olaf mógł go ranić, myśli teraz, jak uciec przed ochroną i policją. Nie w głowie mu spiski!

Władca skinął z namysłem głową.

– No dobrze – powiedział. – A jak ocenia pani szanse ochrony? Dadzą radę temu magowi?

– Na pewno. O ile go zidentyfikują.

- Generale?
- Pracujemy nad tym – odparł krótko Samarin.
- W takim razie dziękuję, *sudarnia*, za konsultację. Wydałem już polecenie, aby przydzielono pani lokum w przeciwległym skrzydle.
- Za pozwoleniem Waszej Wysokości...
- Tak?
- Nie chciałabym sprawiać kłopotu, ale jeśli to możliwe, wolałabym mieszkać bliżej apartamentów Olafa. Przez jakiś czas trzeba będzie się nim opiekować.
- *Gospodin graf*?
- Tuż obok znajdują się komnaty ambasadora Stanów Zjednoczonych – pospieszył z wyjaśnieniem oficer.
- Przenieście tego kowboja – zdecydował car.



Samarin zapłacił kuczerowi i machnięciem dłoni odprawił dorożkę. Z Nikołajewskiej do Fontanki były dobre dwie wiorsty, a do mostu Aniczkowskiego jeszcze dalej, ale oficer postanowił rozprostować nogi. Tym bardziej że dzień był ciepły, prawdziwie wiosenny.

Niespiesznym krokiem przemierzał wilgotną od porannego deszczu ulicę, od czasu do czasu odpowiadając na salut przechodzącego mimo żołnierza albo uśmiech spacerującej kobiety. Ze względu na porę – dochodziło południe – na chodnikach nie tłoczyli się jeszcze wracający z fabryk robotnicy, a uliczni sprzedawcy omijali go onieśmieleni paradnym generalskim mundurem.

Trzeba częściej wychodzić z domu, doszedł do wniosku, kłaniając się w odpowiedzi na pełne podziwu spojrzenie ślicznej, smukłej jak młoda brzoźka dziewczyny. Może warto poświęcić trochę uwagi życiu towarzyskiemu? W końcu nie samą wojną człowiek żyje... Niespodziewanie przyszła mu na myśl Anna Ostrowska. Gdzie jest? Co robi? Czy jeszcze żyje? Przez moment niemal poczuł zapach jej perfum, dotyk dłoni.

Wychodząca zza rogu grupa barwnych niczym kwiaty Cyganek otoczyła go, śpiewając i zachęcając do wróżby. Oficer z pobłażliwym uśmiechem sięgnął do kieszeni, cisnął najstarszej złotą pięćdziesiątkę.

Siwowłosa kobieta o ogorzalej, pooranej zmarszczkami twarzy łagodnym gestem ujęła jego dłoń.

– Wróciłeś niedawno z frontu – powiedziała łamaną ruszczyzną, przeciągając śpiewnie słowa. – Będiesz miał szczęście w miłości i na wojnie, a twoja ukochana... – Nagle urwała, wpatrując się w Samarina rozszerzonymi ze strachu oczyma. – Nie ścigaj bestii! – zawołała z naciskiem, oddając mu monetę. – Pamiętaj! Nie ścigaj bestii, bo zginiesz!

Zanim zdążył zareagować, Cyganki uciekły, ponaglone szorstkim rozkazem starej. Oficer obrócił w palcach złotą monetę, po czym podszedł do ulicznego grajka i rzucił ją na stos dziesięcio- i piętnastokopiejków. Odszedł, nie słuchając podziękowań. Mimo absurdalności sytuacji, bo nie wierzył w cygańskie wróżby, dobry humor przepadł bez śladu.

Maszerując wzdłuż Fontanki, usiłował uwolnić się od ponurego nastroju, nie wychodziło. Nie pomogła nawet kupiona w taniej jadłodajni setka wódki. Kiedy dotarł do domu ciotki, nadal otaczała go posępna aura. Stojąca przy bramie, ubogo ubrana kobieta złożyła ręce jak do modlitwy.

– Dajcie dwadzieścia rubli – poprosiła błagalnie.

Nie zatrzymując się, oficer odprawił ją gniewnym gestem i użył staromodnej brązowej kołatki.

– Aleksandrze Borysowiczu. Tylko dwadzieścia rubli! – powtórzyła łamiącym się głosem.

Samarin zignorował zgiętego w ukłonie lokaja i odwrócił się rozzłoszczony bezczelnością żebraczki.

– Aleksandrze Borysowiczu? – zapytał z cierpkim sarkazmem. – A kiedy się to poznaliśmy?

– W lecie osiemdziesiątego pierwszego – odpowiedziała natychmiast.

Oficer przyjrzał się żebraczce uważniej. Nie mogła mieć więcej niż pięćdziesiąt lat, choć cienie pod oczyma i widoczne na twarzy znużenie postarzały ją ponad miarę.

– Jak się nazywasz?

– Wiera Frołowa. Nie pamiętasz? Nie pamiętacie? – poprawiła się natychmiast. – Córka Agafii Frołowej.

Samarin zamarł. Agafia Frołowa, ciocia Agasza, jak ją nazywał, była jego

ukochaną nianią. Kiedy rodzice zginęli w katastrofie kolejowej, zastępowała mu matkę. Jak przez mgłę pamiętał też jej córkę, starszą o kilka lat, roześmianą dziewczynę, z którą bawił się całe lato, zanim wysłano go do szkoły z internatem.

– Wierka, to ty?! – krzyknął, ujmując ją za rękę.

– Ja. – Uśmiechnęła się przez łzy.

– Co tu robisz? Dlaczego... – urwał, nie wiedząc, jak dokończyć zdanie.

– Rok temu mama zachorowała. Rak. Wszystkie pieniądze poszły na lekarzy, a później sprzedałyśmy mieszkanie. – Wzruszyła bezradnie ramionami. – Wczoraj umarła. Nie mam za co jej pochować.

– Nie stójmy na ulicy – wymamrotał Samarin. – Wejdz, zobaczysz się z ciocią.

– Nie chciałabym robić kłopotu...

Bezceremonialnie pociągnął kobietę za sobą; wyręczając lokaja, odebrał niemodny kapelusz i liche paletko.

– Śniadanie na dwie osoby do małego salonu! – zadysponował.

Słyszając ton jego głosu, służący wzdrygnął się jak smagnięty batem i natychmiast popędził wykonać polecenie. Zanim usiedli za stołem, pokojówka przyniosła herbatę i słodycze.

– Jedz. Kucharka piecze migdałowe ciasteczka według przepisu niani – zachęcił generał. – Widzę, że ledwo trzymasz się na nogach.

– Chciałam pożyczyć pieniądze na pogrzeb u dawnych podopiecznych mamy – wyjaśniła, częstując się posłusznie.

Samarin przytaknął z roztargnieniem: Agafia Frołowa była rozchwytywana przez rodziny z wyższych sfer szukające opiekunki dla dzieci.

– I co?

– Wczoraj byłam u Stiepana Szuwałowa i Paszki Kislicyna, ale nie zastałam ich w domu. A dzisiaj...

– Tak?

– Chciałam zobaczyć się z Wiktorem Nowikowem, ale jego żona wyrzuciła mnie z domu – powiedziała, spuszczaając głowę.

– Żanna Nowikowa zawsze miała maniery nadwołżańskiej chłopki! – stwierdziła księżna, wchodząc do salonu. – Nie, nie wstawaj! – uprzedziła. – Gdzieś ty się podziewała, kochana?

Onieśmielona Wiera zerwała się z krzesła i chciała dygnąć niczym pokojówka przed surową pracodawczynią, jednak starsza pani objęła ją w serdecznym uścisku.

– Dzień dobry, ciociu – przywitał się Samarin.

Maria Pawłowna nadstawiła wnukowi policzek do pocałunku, ale jej mina świadczyła o niezadowoleniu.

– Jak mogłeś od razu nie poznać Wieroczki?!

Oficer westchnął bezradnie, zapewne służący opisał ciotce scenę przed wejściem.

– Moja wina – przyznał.

– Twoja, twoja, hultaju!

– Oddam pieniądze najszybciej, jak będę mogła – wtrąciła niepewnie Wiera.

– Nie ma mowy o żadnej pożyczce! – stwierdził stanowczo Samarin. – Ciocia Agasza nie pracowała dla pieniędzy, ona naprawdę mnie kochała. Pozwól mi się odwzajemnić.

– Wiktor Nowikow nie jest może zbyt błyskotliwy, ale to porządny człowiek. I wspomina do dziś twoją matkę. Pomógłby ci, jak i każdy z tych urwisów, których wychowywała Agafia – poparła wnuka księżna.

– Ja...

– Siadaj – polecił Samarin. – Pewnie przyszłaś piechotą?

– Nie miałam pieniędzy na dorożkę...

Generał zaklął pod nosem, a księżna zacisnęła usta.

– Chyba będę musiała udzielić *sudarni* Nowikowej małej lekcji – powiedziała złowrogo. – Już ja nauczę tę dziewczuchę dobrych manier. A ty nie stój jak słup! – zwróciła się do oficera. – Zorganizuj pogrzeb, nabożeństwo żałobne, no i zawiadom wszystkich.

– *Oui, ma tante!* – odparł natychmiast Samarin.



Cztery kare konie ciągnęły powóz z okrytą kirem trumną, w ślad za karawanem podążali żałobnicy: w pierwszym szeregu Wiera i wspierająca się na ramieniu wnuka Maria Pawłowna. Obecność księżnej Wołkońskiej sprawiła, że na

ceremonię zwróciła uwagę petersburska socjeta, tym bardziej że w pogrzebie wzięli też udział byli podopieczni Agafii Frołowej. Rzecz jasna, wraz z rodzinami. Dwóch admirałów, sześciu generałów, wiceminister, kilku wysokich rangą urzędników... Jak zauważył Samarin, zjawiała się nawet Żanna Nowikowa, choć jej mina świadczyła wyraźnie, że nie z własnej woli. Cóż, pozycja Marii Pawłowny w stolicy była od dawna ustalona i niepodważalna. Jedno jej słowo i *sudarnia* Nowikowa – skądinąd zwykła szlachcianka! – przestanie być zapraszana przez elitę Petersburga, a otwarte do tej pory drzwi zamkną się przed nią raz na zawsze. Wyższe sfery nie wybaczały złamania etykiety, nigdy i w żadnym wypadku. No a przynajmniej tego, co osoby w rodzaju księżnej Wołkońskiej uznały za złamanie etykiety...

Powóz zatrzymał się i Wiera złapała Samarina za rękę: przy świeżo wykopanej mogile czekali grabarze. Do karawanu podeszli poważnie wyglądający mężczyźni w czarnych garniturach – Samarin wynajął najlepsze biuro pogrzebowe w Petersburgu – a duchowny zaintonował „Otcze nasz”. Oto koniec ziemskiej drogi Agafii Frołowej.

Oficer poczuł wilgoć na policzkach, jakby znowu miał kilka lat i musiał rozstać się na święta z ulubioną nianią. Tylko że to pożegnanie było ostateczne...

– Poczekajcie! – zawołał.

Skonsternowany pop przerwał modlitwę, zapadło milczenie. Samarin uwolnił delikatnie dłoń z uścisku Wiery i podszedł do powozu.

– Był czas, kiedy Agafia Konstantinowna nosiła nas na rękach, teraz my ją poniesiemy!

Pierwszy podszedł admirał Nowikow w galowym mundurze, z czarną opaską na ramieniu, za nim podążyli inni. Dźwignęli trumnę na ramiona, ruszyli w stronę grobu.

– *Otcze nasz, iże jesi na niebiesiech, da swiatitsia imia Twoje...*

Grabarze ostrożnie opuścili trumnę pod surowym spojrzeniem Samarina, o wieko zadudniły grudy ziemi. Wstrząsana szlochom Wiera przypadła ponownie do ramienia oficera.

– *Gospodnia ziemia i ispołnienije jeja, wsielennaja i wsi żywuszczyi na niej* – powiedział diakon, czyniąc znak krzyża.

Po chwili zaczęto składać Wierze kondolencje, stojąca obok księżna Wołkońska zapraszała wybranych żałobników na stypę; w ceremonii wzięło udział kilkaset osób, większość z nich nie znała zmarłej i potraktowała pogrzeb jedynie jako atrakcję towarzyską.

Oficer zmarszczył brwi, widząc Żannę Nowikową w towarzystwie męża. Widać było, że żona admirała najchętniej znalazłaby się daleko stąd, ale ten nieubłaganie prowadził ją do Wiery.

– Współczuję i przepraszam za swoje zachowanie – wyszeptała kobieta, kłaniając się pokornie.

Nowikow nie był tak oficjalny, bez słowa zamknął Wierę w objęciach i trwał tak przez moment, wreszcie skierował pytający wzrok na księżnę.

– Oczekuję cię za godzinę – poinformowała Maria Wołkońska. – Oczywiście możesz przyjść z żoną – dodała po krótkiej, lecz wymownej pauzie.

– Dziękuję – powiedział admirał, po czym wymienił z Samarinem krótki uścisk dłoni. – Musimy porozmawiać – mruknął, zniżając głos. – To ważne.

Samarin skinął głową, starając się nie okazywać zdziwienia, to nie był czas ani miejsce, żeby żądać wyjaśnień. Bo i o cóż mogło chodzić? Co prawda kilka lat wcześniej zostali sobie przedstawieni na jakimś raucie czy balu, ale ich kontakty nigdy nie wyszły poza ramy luźnej znajomości. Generał nie wiedział nawet, że i Nowikow był podopiecznym Agafii Konstantinowny.



Samarin upewnił się że Wiera jest pod opieką ciotki, po czym wstał od stołu. Księżna zarządziła, by na stypie nie podawano alkoholu, ale nie miała nic przeciwko, żeby panowie po posiłku przeszli do palarni, gdzie czekały na nich cygara i koniak.

Generał uprzejmie przepuścił w drzwiach mężczyznę w szamerowanym złotem mundurze ze znakami rzeczywistego radcy stanu. Tamten pewnym krokiem zmierzał do palarni, zapewne nie pierwszy raz gościł w domu Marii Pawłowny. No i nic dziwnego, *diejstwitielnyj sztatskij sowietnik* należał do urzędniczej elity, jego tytuł był odpowiednikiem stopnia generała-majora w armii albo kontradmirała we flocie.

W palarni panował gwar, w powietrzu unosiły się kłęby tytoniowego dymu, a rozstawione na stolikach na wpół opróżnione butelki świadczyły, że goście nie wylewali za kołnierz. Samarina powitano ze zdumiewającą serdecznością, mimo że znał tylko kilka osób, a przynajmniej połowa obecnych przewyższała go rangą.

– No, wreszcie jesteście w komplecie! – rzucił głośno Nowikow. – Wypijmy za spokój duszy Agafii Konstantinowny!

Nieznajomy, postawny oficer w mundurze generała artylerii podał Samarinowi napełniony po brzegi kieliszek.

– Trzymaj Saszka-Miłaszka!

Samarin podziękował przez ściśnięte gardło, dawno zapomniane przezwisko przypomniało mu beztróskie dziecięce lata.

– Za spokój duszy Agafii Konstantinowny! – powtórzył wraz z innymi.

– Powinniśmy założyć klub – powiedział Nowikow. – W końcu wszyscy się znamy.

– A to skąd? – zdziwił się Samarin.

– Z opowiadań ciotki Agafii – wyjaśnił admirał. – Pamiętasz jej bajki? Wymyślała nam przezwiska, a później wplatała w historyjki nasze przygody i psoty. I opowiadała innym dzieciom, żeby je zabawić.

– Rzeczywiście! – wymamrotał oszołomiony Samarin. – Nigdy nie przyszło mi do głowy, że te opowieści mogą być prawdziwe. Najbardziej lubiłem bajki, w których występował Iliucha-Dwa Ucha, i te ze Stiepanką-Obiezianką!

– Iliucha nie żyje – powiedział posępnie Nowikow. – Poległ dziesięć lat temu na Kaukazie.

– A Stiepanka-Obiezianka?

– To ja – odparł wysoki, szczupły mężczyzna w eleganckim fraku.

Samarin odchrząknął niepewnie, poznał szefa jednego z departamentów Rady Państwa, Szuwałowa. Ten jednak wcale nie wyglądał na obrażonego przezwiskiem „małpka”.

– Naprawdę wszedłeś na drzewo w czasie burzy, przywiązałeś się liną do gałęzi i powiedziałeś, że przetrwasz każdy sztorm? – spytał Nowikow niedowierzająco.

– Naprawdę – przyznał Szuwałow, hamując rozbawienie. – To było zaraz po

tym, jak matka przeczytała mi na dobranoc książkę o piratach. Musieli wzywać straż pożarną. Dostałem później niezłe lanie i przez trzy dni nie mogłem wychodzić z pokoju. Ciocia Agafia przynosiła mi ukradkiem cukierki, żeby mnie pocieszyć.

W pomieszczeniu rozległ się gromki śmiech, mężczyźni zaczęli przekrzykiwać się nawzajem i przypominać zapamiętane z dzieciństwa opowieści niani. Korzystając z zamieszania, Nowikow wezwał Samarina gestem, usiedli w fotelach przy kominku.

– Słucham – odezwał się neutralnym tonem Samarin.

– Podobno masz coś wspólnego z ochroną pałacu i tymi ostatnimi... wydarzeniami – zaczął admirał.

– Wiesz, że nie mogę rozmawiać na ten temat.

– Rozumiem, ale nie chcę z ciebie wyciągać żadnych sekretów, a wręcz przeciwnie, tyle że muszę wiedzieć, czy zgłosiłem się pod właściwy adres.

– To znaczy?

– Wystarczy, że odpowiesz „tak” lub „nie”.

– No dobrze, załóżmy, że twoja sugestia jest mniej więcej zgodna ze stanem faktycznym – odparł niechętnie Samarin. – W czym rzecz?

– Słyszałem, że nie wszyscy sprawcy napadu na pałac zostali schwytani – powiedział poważnie Nowikow. – Wiesz, ludzie plotkują...

Generał westchnął ciężko, informacja o tym, że ochrona nadal ściga kilku zamachowców, była traktowana jako ściśle tajna. Jednak z racji swojego stanowiska Nowikow miał dostęp do czort wie jakich sekretów, nie mówiąc już o doniesieniach wywiadu marynarki wojennej. Teoretycznie wszystkie służby specjalne powinny współpracować, jednak Samarin zdawał sobie sprawę, że praktyka daleka była od ideału, a poszczególne agendy często ze sobą rywalizowały.

– Powiedzmy – wycodził. – I co?

– Wczoraj na Mitrofanowskiej doszło do potyczki. Został zaatakowany patrol marynarki, rozumiesz, mamy tam swoje składy. Sprawcy zbiegli.

– Mitrofanowska? To niedaleko Ochty?

– Tak, niemal przy samej rzece – potwierdził Nowikow.

Zaniepokojony generał pochylił się w stronę rozmówcy, rzeka Ochta od

południa i wschodu graniczyła z petersburską enklawą.

– I co? – powtórzył niecierpliwie. – Dlaczego mi to mówisz? Przecież patrol powinien złożyć raport dowódcy bazy floty bałtyckiej, a ten...

– Nie będzie żadnego raportu – przerwał mu Nowikow. – Dowódcą patrolu był, a raczej powinien być, niejaki Popow. Kapitan Popow. Ze względu na bliskość enklawy patrole w tej okolicy zawsze są wzmocnione i dowodzi nimi oficer.

– Tak?

– Popow jest zięciem admirała Wiersajewa, dowódcy kronsztadzkiej bazy. I tego dnia, a raczej nocy, obchodził hucznie urodziny teścia. Nie było go na miejscu zdarzenia, co wykazałoby każde dochodzenie. Dlatego Wiersajew nie prześle raportu wyżej.

Samarin zaklął wściekle.

– Przecież to może zagrozić bezpieczeństwu imperatora i jego rodziny!

– Dlatego ci to mówię – odparł Nowikow, nie spuszczać wzroku. – Nie mam władzy, żeby przeskoczyć Wiersajewa, za wysokie progi. Jeśli zamelduję o tym w admiralicji, miną tygodnie, zanim ktoś podejmie decyzję, co robić z tym fantem. A ty masz bezpośredni dostęp do Jego Wysokości...

Samarin zacisnął usta, ale nie zaprzeczył, nie było sensu przejmować się faktem, że istniejąca od niedawna Sekretna Służba jest nieco mniej tajna, niż wynikałoby to z nazwy. Miał ważniejsze problemy. Trzeba było jak najszybciej porozmawiać z Wiersajewem i jego zięciem. Gdyby informacja o zajściu dotarła do admiralicji, ta zapewne dopilnowałaby przede wszystkim, aby obaj winni zrobili użytek ze służbowej broni. W imię honoru marynarki. A z trupów niewiele się wyciągnie...

– Dziękuję – powiedział, ocknąwszy się z zamyślenia. – Możesz uznać, że twoje informacje dotarły tam, gdzie trzeba.

– A co sądzisz o tym pomysle z klubem? – zapytał Nowikow, zmieniając temat.

– Z jakim, do licha... Ach, no tak. Jeśli większość będzie za, i ja się przyłączę – odparł, wzruszając ramionami. – W sprawach finansowych zwróć się do mojego plenipotenty. A teraz wybac, obowiązki.

Korzystając z zamieszania, Samarin wysliznął się z palarni i popędził do

telefonu. Musiał natychmiast skontaktować się z kancelarią imperatora. Jeśli miał przesłuchać Popowa, nie mówiąc o Wiersajewie, potrzebne mu były odpowiednie pełnomocnictwa, a biorąc pod uwagę stanowisko tego drugiego, udzielić mógł ich tylko car.



Samarin wpatrywał się w bladą, zastygłą w zdumieniu twarz kapitana pierwszej rangi Zaltersa, dowódcy ochrony sztabu twierdzy Kronsztad. Konsternacja oficera nie dziwiła: właśnie studiował pismo zezwalające generałowi na aresztowanie Wiersajewa.

– Wszystko jasne? – rzucił niecierpliwie Samarin.

– Tak jest, *wasze priewoschoditelstwo!* – odpowiedział tamten niepewnie. – Czekaam na rozkazy!

– Matuszkin, dyżurka! – polecił krótko generał, nie zwracając uwagi na marynarza.

Podwładny skinął głową i stanął przy telefonie, kładąc wymownym gestem dłoń na kaburze. Lepiej, żeby nikt nie uprzedził admirała o nieoczekiwanej wizycie.

Samarin wspiął się na piętro w towarzystwie kilku żołnierzy *Konwoja*, po czym pomaszerował długim, kiepsko oświetlonym, ale na szczęście pustym korytarzem. Z tego, co udało się naprędce ustalić, Wiersajew cieszył się szacunkiem podwładnych. Generał nie chciał ryzykować starcia z lojalnymi wobec admirała matrosami.

Zapukał do drzwi gabinetu Wiersajewa i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

Mężczyzna o czerwonej, apoplektycznej twarzy, okolonej białymi jak mleko bokobrodami, siedział za masywnym biurkiem, studiując jakieś dokumenty, w brązowej popielniczce tliło się cygaro.

– Kim pan jest?! – warknął na widok intruza. – Co pan tu robi?

Nie czekając na odpowiedź, podniósł słuchawkę telefonu.

– Dyżurnego do mnie! – rozkazał gniewnie.

Samarin bez słowa położył na blacie dokument opieczętowany przez

kancelarię imperatora.

– Proszę się z tym zapoznać – polecił sucho. – A dyżurny nie przyjdzie, moi ludzie kontrolują budynek sztabu.

Wiersajew obrzucił go chmurnym spojrzeniem, ale po chwili sięgnął po pismo.

– Jest pan z *Konwoja*?

– O tyle, o ile. Sekretna Służba.

Admirał wzdrygnął się nerwowo, działania niedawno powstałej agencji wywiadu otoczone były tajemnicą, choć nietrudno było odgadnąć, że jej zainteresowanie nie wróży niczego dobrego.

– O co chodzi? – spytał nieprzyjaźnie. – Znowu jakieś pałacowe intrygi? Już miesiąc temu przesłałem admiralicji pełne rozliczenie...

– Nie chodzi o rozliczenia – bezceremonialnie przerwał mu Samarin. – To sprawa kwatermistrzostwa. Ja nie zajmuję się takimi głupstwami. Dlaczego nie zameldował pan o ataku na patrol?

– Zwariował pan? Taki drobiazg...

– Żaden drobiazg! – generał ponownie wszedł mu w słowo. – Słyszał pan o napadzie na pałac?

– Owszem, gazety rozpisują się o tym od paru dni, ale co to ma do rzeczy?

– Nie wszyscy napastnicy zostali schwytani albo zabici, część uciekła – wyjaśnił zwięźle Samarin. – Gdyby nie pańskie zaniedbanie, być może byłiby już pod kluczem. Bo pańscy ludzie napotkali ich tuż przy rzece, łatwo się domyślić dlaczego. Być może gdyby patrolem dowodził pański zięć, przeszkodziłby im w dotarciu do enklawy. A teraz terroryści, którzy podjęli próbę zamordowania następcy tronu, są poza naszym zasięgiem...

– Prawidłowym sposobem tytułowania oficera w randze admirała jest zwrot *wasze wysokopriewoschoditelstwo* – zauważył zimno Wiersajew, ignorując zarzuty.

– Nie dotyczy to osób, wobec których wszczęto dochodzenie – zripostował generał. – Obecnie jest pan tylko aresztantem, nikim więcej.

– Jak pan śmie! Natychmiast poinformuję Jego Wysokość o pańskiej...

Przerwało mu pukanie i w drzwiach stanął jeden z żołnierzy *Konwoja*.

– Przyjechał – zameldował zwięźle.

– Dawaj go tu!

– Co to ma znaczyć?! – krzyknął wściekły Wiersajew, podrywając się z biurka. – Ja panu...

– To znaczy, że jestem tu z rozkazu Jego Wysokości – powiedział z naciskiem Samarin. – Imperator osobiście polecił mi pana przesłuchać. I uprzedzając kolejne pytanie: znane mu są wszystkie okoliczności sprawy.

Admirał przesunął dłońmi po poręczach fotela niczym ślepiec i usiadł powoli, jakby w jednej chwili przybyło mu ze dwadzieścia lat. Samarin odwrócił wzrok, starając się opanować przyptyw współczucia – oto koniec kariery bohatera walk o Port Artur. Koniec w niesławie, bo przecież od tej pory nazwisko Wiersajewa będzie zawsze wspominane przy okazji zamachu na następcę tronu. I przeklinane...

Rumor w drzwiach obwieścił przybycie kolejnego bohatera afery. Kapitan Popow, trzydziestolatek o wodnistych, bladoniebieskich oczach i cwaniackim wyrazie twarzy, ledwo trzymał się na nogach.

– Sso się zijeje? – wybełkotał. – Michale Piotrowiczu? So tu robi ten wojak?

Ale Wiersajew milczał i do otępiąłego od alkoholu mózgu Popowa powoli zaczynało docierać, że coś jest nie tak.

– Opijaliśmy awans Griszy, po służbie mamy prawo – mamrotał kapitan, potrząsając głową.

– Krijenko, Martow, doprowadźcie go do przytomności! – polecił Samarin.

– *Słuszajus', wasze priewoschoditelstwo!*

Żołnierze złapali Popowa pod ręce i wyprowadzili na korytarz. Po chwili rozległ się przeraźliwy krzyk. Najwyraźniej podwładni Samarina nie przebierali w środkach.

Kiedy Popow ponownie pojawił się w gabinecie, wyglądał na niemal trzeźwego, tyle że trząśł się z zimna, a jego mundur ociekał wodą.

– Chciałem stanowczo zaprotestować...

– Zamknijcie się, kapitanie! Dlaczego trzy dni temu nie było was na patrolu?

– Jak to nie było?! – krzyknął z udanym oburzeniem Popow. – Michale Piotrowiczu? Powiedzcie mu!

– Oni wszystko wiedzą – odparł bezdźwięcznym, wypranym z wszelkich emocji głosem Wiersajew. – Patrol, którym miałeś dowodzić, przepuścił

terrorystów zamieszanych w napad na Carskie Sioło. Teraz zamachowcy pewnie siedzą w enklawie.

Twarz Popowa w jednej chwili przybrała kolor świeżo pobielonej ściany.

– Jak to? Jak tak... – powiedział bezradnie. – To twoja wina! – zawył nagle. – Twoja!

Wiersajew skrzywił się ze wstrętem, ale nie zaprotestował.

– Nie gubcie niewinnego! – krzyknął kapitan, padając przed Samarinem na kolana. – On jest admirałem! Musiałem go słuchać!

– Proszę się zachowywać jak oficer! – ofuknął go Samarin. – I wstać!

Popow podniósł się niezgrabnie, popatrując z nienawiścią na admirała.

– Będę zeznawał! – zawołał. – Wydam wszystkie jego łajdactwa!

– Milczeć! – warknął Samarin. – Interesuje mnie tylko skład patrolu. Przeglądałem dziennik rozkazów, ale chcę mieć pewność, że niczego tam nie sfałszowano. Niczego poza pańskim nazwiskiem – doprecyzował.

– Skład patrolu? Nie mogę tak z marszu. Nie pamiętam...

– Tichonow, Runge, Wierzbicki, Rybałkin, Kuprianow, Mironowicz, Leino, Bergmann, Ałałkin, Bażenow – wyrecytował bez namysłu Wiersajew. – Tak jak w oficjalnym wykazie. Kazałem dopisać tylko nazwisko zięcia. Słowo oficera!

Samarin przyjął zapewnienie lekkim, niemal niezauważalnym ukłonem.

– Co z nami będzie? – zapytał admirał.

– O tym zadecyduje Jego Wysokość. Osobiście.

Wiersajew skinął głową, jakby niczego innego się nie spodziewał, po twarzy kapitana spływały grube krople potu.

– To wszystko przez ciebie! – powtórzył głucho Popow, zwracając się do teścia. – I przez twoją córeczkę! Nie pociągniecie mnie na dno! Ja...

– Jest pan wolny, kapitanie! – przerwał mu Samarin. – Przynajmniej na razie. Dlatego radziłbym panu uporządkować swoje sprawy.

Przez moment wyglądało, jakby Popow chciał coś powiedzieć, jednak w końcu zacisnął tylko zęby i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Naprawdę ma pan zwyczaj tak hucznie obchodzić urodziny?

– W moim wieku? Było tylko kilka osób z rodziny. No i ten... – admirał urwał w pół słowa. – Przyplątał się, bo nie chciało mu się wychodzić na patrol, wiedział, że nie będę przy córce robił awantury. Rozumie pan, to nie pierwszy raz. Kiedy

dowiedziałem się o ataku na patrol, od razu zrozumiałem, że taki przypadek jest mało prawdopodobny, i zaproponowałem mu, żeby przyznał się do winy, ja sam zamierzałem złożyć dymisję.

– I jak zareagował kapitan Popow?

– Roześmiał mi się w twarz. Jak moja córka mogła wybrać takiego... – Wiersajew po raz kolejny nie dokończył zdania. – Jeśli chodziło tylko o mnie, nie wahałbym się ani chwili, ale Aniuta nie przeżyłaby, gdybym oskarżył jej męża.

– Znalazł się pan w sytuacji nie do pozazdroszczenia, niemniej jednak jestem zmuszony prosić pana o pomoc. Jak oficer oficera. Teraz najważniejsze jest bezpieczeństwo rodziny imperatora, wszelkie inne względy muszą odejść na dalszy plan.

Admirał westchnął ciężko, ale gestem przyznał Samarinowi rację.

– Mogę oszczędzić panu czasu – powiedział. – Rozmawiałem z żołnierzami z patrolu. To dobrzy ludzie i zrobili, co mogli. Proszę nie pomyśleć, że próbuję się usprawiedliwiać, ale nie sądzę, żeby obecność mojego zięcia cokolwiek zmieniła. Przynajmniej na lepsze... – dodał ciszej. – Podejrzanych było pięciu i patrol wylegitymował ich przepisowo. Oni mieli dokumenty podpisane przez oberpolicmajstra Petersburga, teraz jasne, że podrobione, ale żołnierze nie mogli tego stwierdzić.

Samarin przytaknął ze zrozumieniem: nie było sensu szukać kozła ofiarnego wśród prostych marynarzy.

– Patrol ich przepuścił i nie doszłoby do żadnego starcia, gdyby Wierzbicki nie zauważył, że jeden z nich utyka – kontynuował Wiersajew. – To Polak, chyba najbardziej inteligentny z nich wszystkich – dorzucił tytułem wyjaśnienia. – Słyszał o ataku na Carskie Sioło i postanowił na wszelki wypadek sprawdzić, czy utykający mężczyzna nie jest ranny. Kiedy zawołał, żeby się zatrzymali, tamci odpowiedzieli ogniem. Była noc, w pobliżu jest kilka opuszczonych, na wpół rozwalonych domów i ta piątka zdołała się ukryć. Dowodzący patroliem pod nieobecność mojego zięcia, gardemarin Tichonow, podjął decyzję, żeby ich nie ścigać, i wezwał posiłki. Kiedy na miejsce zdarzenia przybył pluton alarmowy, podjęto poszukiwania, niestety, bezskuteczne.

– Rozumiem – powiedział sucho Samarin.

– Dzisiaj wiemy, że to błąd, jednak wówczas Tichonow miał podstawy uznać, że podjął prawidłową decyzję.

– Być może.

– Nikt nie przypuszczał, że terroryści dostaną się do enklawy – odezwał się znękanym tonem admirał. – Otaczający ją mur jest chroniony w dzień i w nocy. Dlatego miałem nadzieję...

– Musieli przekupić wartowników – odparł z roztargnieniem generał. – Nic nowego. Wracając do rzeczy: czy jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

– Tak. Tichonow ma znakomitą pamięć. Ejdetyczną czy, jak to określa od niedawna prasa, fotograficzną. Zapamiętuje wszystko, zawsze i wszędzie. Między innymi dlatego wrócono mu błyskotliwą karierę... Być może będzie w stanie panu pomóc.

Samarin odchrząknął, założył nogę na nogę. Chwilę wcześniej usiadł w fotelu dla interesantów, nie pytając Wiersajewa o pozwolenie: to już nie był gabinet admirała. Teraz poczuł wstyd, widząc, że stary oficer pomaga mu ze wszystkich sił.

– Proszę się nie martwić o Tichonowa i pozostałych żołnierzy, postaram się, żeby nie osądzono ich zbyt surowo – obiecał.

Wiersajew podziękował skinieniem, na jego twarzy odbiła się ulga.

– Jestem aresztowany? – zapytał.

– Nie – odparł po namyśle Samarin. – Ale nie wiem, jaką decyzję podejmie Jego Wysokość, stąd rekomenduję, ekscelencjo, żeby i pan uporządkował swoje sprawy. I jeszcze jedno, proszę nie robić głupstw.

– Nie rozumiem...

– Rozumie pan, rozumie! O ile znam się na ludziach, pańska córka niebawem straci męża, bo przypuszczam, że kapitan Popow jak najszybciej postara się o rozwód. Teraz znajomość z panem nie tylko nie ułatwi mu awansu, ale może wręcz zaszkodzić. Proszę mi wybaczyć, jednak pański zięć nie wygląda mi na człowieka, który stawiałby wyżej małżeństwo niż karierę...

Admirał skrzywił się, jakby rozgryzł coś wyjątkowo niesmacznego, ale nie zaprotestował przeciwko analizie Samarina.

– I co z tego?

– To, że będzie potrzebowała pomocy – powiedział generał poważnie. –

A oparcie może jej zapewnić tylko żywy ojciec.

Wiersajew nie odpowiedział, wpatrywał się w jakąś sobie tylko znaną dal, jakby ściana nie była przeszkodą dla jego wzroku. Może przypominał sobie tryumfalne powitanie, jakie zgotowano mu po powrocie z wojny rosyjsko-japońskiej? To właśnie Wiersajew był autorem koncepcji, aby podjąć aktywną walkę minową, co zaowocowało zatopieniem dwóch japońskich pancerników próbujących zaatakować Port Artur. Tyle że teraz nie miało to żadnego znaczenia, każda chwila minionego tryumfu podszyta była palącą goryczą ostatecznej klęski. Klęski wywołanej przez nędzną, zapijaczoną kreaturę, w której nieszczęśliwym zbiegim okoliczności zakochała się jego córka. Ot i żywot żołnierza...

– Żegnam, ekscelencjo – powiedział Samarin, przerywając długotrwałe i cokolwiek krępujące milczenie.

Zrobiłem, co mogłem, pomyślał. Być może teraz Wiersajew zastanowi się, zanim sięgnie po broń, aby znaleźć wyjście z sytuacji. Ostateczne wyjście. A może i nie...



Pokojówka podała gorące, dopiero co wyjęte z pieca bułeczki. Samarin chrząknął z aprobatą, służba ciotki jak zwykle uprzedzała życzenia. Generał łyknął herbaty i poczęstował się chrupiącym pieczywem, księżna nie życzyła sobie, aby na nią czekano. Bywało, że Maria Pawłowna opuszczała poranny posiłek, jednak nie tym razem: oficer usłyszał głos Józefa Andriejewicza, a gdzie on, tam i Jej Wysokość...

– Mam wrażenie, że tworzę nowy rytuał – powiedziała cierpko Maria Pawłowna. – Niemal przy każdym naszym spotkaniu pytam, gdzieś ty się podziewał, łobuzie?

Księżna nadstawiła wnukowi policzek do pocałowania, jednocześnie obrzucając go krytycznym spojrzeniem.

– Znowu masz podkrążone oczy – zauważyła. – Powinieneś więcej sypiać, nie jesteś już młodzieniaszkiem.

– Nic nie poradzę, to służba, a nie hulanki – odparł znużonym głosem

Samarin.

Przez ostatnie dwa dni odpoczywał co najwyżej kilka godzin, śledztwo było więcej niż wyczerpujące. W dodatku naraził się ochranie, a Głobaczow pewnie złożył już na niego skargę, o ile nie doniósł osobiście carowi o karygodnym zachowaniu pewnego generała *Konwoja*...

– To cię nie tłumaczy! – fuknęła gniewnie księżna. – Doprowadzisz mnie kiedyś do ataku serca!

– Daj spokój – nieoczekiwanie wziął go w obronę Czerski. – Widzisz, że Saszka ledwo trzyma się na nogach.

Ku nieopisanemu zdumieniu Samarina ciotka usłuchała Polaka bez słowa sprzeciwu. Przez chwilę przy stole panowała cisza, przerywana tylko dyskretnym szcękaniem sztućców.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – odezwał się Czerski. – Bo pytała o ciebie jakaś panienka – dodał z lekką, niemal niedostrzegalną ironią.

– Nadia Trubecka – doprecyzowała starsza pani.

– Niestety, będzie musiała poczekać, imperator mnie wzywa – odparł niecierpliwie Samarin.

– Mam nadzieje, że nie planujesz żadnego głupstwa! Odwiedziłam wczoraj Olafa, lepiej się czuje, może już siadać, ale nadal jest bardzo słaby. Dobrze, że chociaż Anastazji nic się nie stało!

Samarin przewrócił oczyma: księżna wiedziała o ataku na pałac i puchła z dumy, opowiadając przyjaciółkom o wyczynach obu wnuków (z jakichś niejasnych powodów nazywanie Rudnickiego wnukiem Marii Pawłowny przestało go drażnić), co nie przeszkadzało jej strofować ich jak małe dzieci. O dziwo, panienka Anastazja nie otrzymała reprimendy za nieostrożność, pomyślał złośliwie generał.

– Za dwie godziny muszę stawić się w pałacu – odpowiedział Czerskiemu. – Nie wiem, kiedy wrócę, tym bardziej że... – urwał, nie kończąc zdania.

– Co tym bardziej? – natychmiast podchwyciła księżna.

– Ochrań – wyjaśnił niechętnie Samarin. – Wydłubałem z więzienia w Moskwie aresztanta, który podlegał ich jurysdykcji, i jak znam życie, Głobaczow polecał już na skargę do Jego Wysokości.

– Głobaczow, mówisz? Niech tylko się dowiem, że ten parweniusz donosi na

mojego wnuka – powiedziała złowrogim tonem Maria Wołkońska. – Już ja mu pokażę jego miejsce w systemie... Jak to nazywa monsieur Darwin?

– Ewolucji? – podpowiedział Czerski.

– Miałam na myśli raczej kolejność dziobania. Najpierw Olaf, a teraz uczepił się Saszki!

– Co z Olafem? – Samarin zmarszczył brwi.

– Nie mówiłam ci? Głobaczow protestował przeciwko przyjazdowi, jak to określił, „prowincjonalnego polskiego alchemika związanego z terrorystami”. Napisał coś w rodzaju memorandum, wyrażającego rzekomo zdanie ochrony. No, teraz Jego Wysokość może ocenić, na ile przepowiednie tego żandarma były trafne – zauważyła z zadowoleniem.

– Ale car mimo wszystko wezwał Olafa?

– Głobaczow w końcu wycofał swoje zastrzeżenia – wyjaśniła Maria Pawłowna. – Po rozmowie ze mną...

Generał ukrył uśmiech, symulując atak kaszlu. Cokolwiek by się stało, zostaną pomszczony, skonstatował z rozbawieniem. Głobaczow może być zaufanym imperatora, ale jeśli podpadnie ciotce, jego życie pozasłużbowe stanie się jednym wielkim pasmem nieszczęść. Tym bardziej że w oczach rosyjskiej arystokracji żandarm rzeczywiście był parweniuszem, dopiero jego dziadek uzyskał szlachectwo. A Maria Pawłowna w sztuce subtelnej manipulacji nie miała sobie równych.

– Cóż, muszę się zbierać – westchnął ciężko. – Do pałacu kawałek drogi.

Księżna rozkazującym gestem nakazała mu się schylić i nieoczekiwanie pogładziła go po policzku.

– Nie martw się – powiedziała. – Jakby co, wezmę twoje wiaderko i wyrównam rachunki.

Generał przyklęknął i położył ciotce głowę na kolanach, jakby znowu miał cztery lata.

– Wiem – odparł cicho.

Pewnego razu w parku zaczął go starszy, przez nikogo niepilnowany chłopiec. Widząc perypetie wnuka obsypywanego piaskiem przez chuligana, Maria Pawłowna bez słowa weszła do piaskownicy i opróżniła wiaderko prosto na głowę agresora.

– Wiem – powtórzył.



Żołnierze pilnujący gabinetu cara poprosili go, aby poczekał na wezwanie imperatora. Ustawione przezornie na korytarzu wygodne krzesło świadczyło, że decyzję podjęto, zanim generał dotarł do pałacu.

Samarin usiadł, starając się zdusić zniecierpliwienie. Wolałby osobiście wysłuchać raportu szefa petersburskiej ochrony, ale najwyraźniej ktoś postanowił inaczej. Tylko kto? Czyżby Głobaczow wystraszył się konfrontacji? A może to car uznał, że lepiej porozmawiać z nimi osobno? Jednak dlaczego? Koordynacja działań *Konwoja* i ochrony była niezbędna, aby wyjaśnić, kto stał za spiskiem, i schwytać terrorystów.

– Jego Wysokość prosi – poinformował po dobrym kwadransie jeden z wartowników.

Samarin powitał cara ukłonem, po czym dyskretnie się rozejrzał: w gabinecie nie było Głobaczowa.

– Przepraszam za zwłokę, generale – odezwał się władca. – Właśnie studiowałem akta, które dostarczyła mi dzisiaj ochrona. Zidentyfikowali jednego z zamachowców. Jak rozumiem, nie bez pańskiego udziału?

Samarin zajął miejsce w fotelu, zachęcony uprzejmym gestem cara.

– Istotnie – przyznał. – Udało mi się sporządzić coś w rodzaju portretu pamięciowego trzech podejrzanych.

– Z pomocą tego więźnia?

– Tak, Novotny bardzo dokładnie przedstawił rysy zamachowców tylko na podstawie relacji żołnierzy, którzy ich legitymowali.

– Będzie panu jeszcze potrzebny? Bo generał Głobaczow proponuje przenieść go do „Głównego”. Na wszelki wypadek...

Samarin zacisnął usta, tylko jedno więzienie w Rosji nosiło nazwę „Głównego”, zbudowana jeszcze przez Katarzynę II *Centralnaja Tiurma* we Włodzimierzu. Miejsce, gdzie przetrzymywano szczególnie niebezpiecznych wrogów monarchii. Sam Novotny niewiele Samarina obchodził, ale rozzłościła go sugestia Głobaczowa. Co prawda niczego nie obiecywał najemnikowi, jednak

było oczywiste, że ten w zamian za pomoc ma prawo oczekiwać zmiany na lepsze, a nie kary. Generał podejrzewał, że żandarm zaproponował to z czystej złośliwości, ot tak, żeby pokazać Novotnemu, a przy okazji i Samarinowi, kto tu rządzi. Pomogłeś *Konwoju*? No i co z tego? A teraz wsadzimy cię do pierdła, przy którym poprzednie więzienie wyda ci się rajem. My, ochrana!

– Gdyby nie Novotny, nigdy nie zidentyfikowalibyśmy tego maga – zauważył, starając się zachować neutralny ton. – Nie wiadomo też, czy ten człowiek nie przyda nam się w przyszłości. Jest inteligentny, ma niebagatelne talenty plastyczne, które nie pierwszy raz okazały się przydatne, i co równie ważne, jego lojalność nie podlega dyskusji. Tylko my możemy ocalić mu życie. Gdyby wpadł w ręce swoich poprzednich mocodawców, trudno sobie nawet wyobrazić, co by z nim zrobili. Tymczasem nie wiadomo, jak długo przeżyłby we Włodzimierzu.

Mina cara świadczyła wyraźnie, że władca nie jest zachwycony sugestią, jakoby *Centralnaja Tiurma* różniła się od innych więzień. On nie chce o tym wiedzieć, zrozumiał nagle Samarin. Odrzuca wszystko, co wprowadziłoby go w zakłopotanie, tak jak to mają we zwyczaju słabi i niepewni siebie ludzie. To dlatego pozycja Głobaczowa jest taka silna: car pogardza nim w głębi duszy, ale potrzebuje go do brudnej roboty. Szlag...

Generał nigdy nie zastanawiał się nad charakterem imperatora, Bogiem a prawdą, nie miał jak go poznać, do niedawna widywał cara jedynie podczas uroczystości państwowych. Odkrycie, że jego suweren jest niedoskonały, wstrząsnęło nim bardziej, niż się spodziewał.

– No dobrze, co pan proponuje?

– Chciałbym zabrać go do enklawy – oznajmił Samarin.

– Jak to?

– Będę musiał odwiedzić enklawę, bo wątpię, żeby ochrana wysłała tam swoich agentów w pogoni za terrorystami. Zresztą to operacja typu wojskowego.

– A ten... jak mu tam?

– Novotny – odpowiedział oficer.

Car machnął ręką, jakby nazwisko najemnika nie było warte zapamiętania.

– Jego obecność naprawdę panu pomoże? – zapytał z akcentem niedowierzania w głosie.

– Owszem – odparł stanowczo Samarin.

– W takim razie jest pański – zdecydował władca. – Jeszcze dziś moja kancelaria wystawi dokumenty upoważniające pana do dysponowania więźniem, tak że nikt nie będzie mógł się skarżyć, że wchodzi pan w jego kompetencje.

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

– To drobiazg. I proszę na siebie uważać tam, w enklawie. Nie chciałbym, żeby coś się panu stało. Ach, jeszcze jedno. Proszę, oto akta „Bestii”.

– Słucham?

– Nie mówiłem panu? Ten mag, którego udało się zidentyfikować, ma pseudonim Bestia. I nadali mu go nie wrogowie, tylko swoi. Proszę naprawdę uważać – powtórzył car.

Oszołomiony Samarin skłonił się jak automat i wyszedł na korytarz, ściskając w dłoni szarą tekturową teczkę. W uszach huczało mu jak po ostrym strzelaniu, krew tętniła w skroniach. A jednak przyjdzie mi ścigać bestię, pomyślał. Cóż, widać taki los...



Zwiadowca ponaglił ich ruchem dłoni, ciężkie, podkute buciory zadudniły o bruk i żołnierze pokonali kolejne skrzyżowanie, wyszli na niewielki skwer. Samarin obejrzał się przez ramię, automobil z medykamentami i amunicją podążał za nimi.

– Ech, żebyśmy mieli choć jeden samochód pancerny – powiedział smętnie Baturin. – Pokazalibyśmy, kto tu rządzi!

Generał przyznał mu rację nieartykułowanym pomrukiem, ale nie podjął dyskusji, cały czas obserwował niespokojnie otoczenie. Przepowiednia Cyganki nie dawała mu spokoju, a instynkt krzyczał o zagrożeniu, mimo że jak dotąd nie spotkali żywej duszy.

– Novotny! – warknął. – Jak myślisz, gdzie oni poszli? Bo przecież nawet ten mag musi się strzec miejscowej fauny.

– A czort go wie! – odburknął najemnik. – Fakt, że schronił się w enklawie, świadczy o desperacji. Gdyby miał pomocników, spróbowałby wydostać się z miasta. Z drugiej strony może właśnie tutaj czuje się bezpieczny? O ile ma

jakiś układ z miejscowymi...

– Wątpię – powiedział po namyśle generał. – Gdyby potrafił dogadać się z demonami, atak na pałac wyglądałby inaczej.

– Pewnie tak – skrzywił się Czech. – Pewność zyskamy, jak ich dorwiemy. O ile przeżyjemy...

Samarin zgrzytnął zębami: od momentu wejścia do enklawy Novotny snuł ponure wizje, a wszelkie argumenty odbijały się od niego jak od kamiennej ściany. Pesymizm najemnika powodowało nie tyle znalezienie się, było nie było, w niebezpiecznej strefie, co fakt, że nie dano mu broni.

Zwiadowca, jeden z oficerów *Konwoja*, podniósł zaciśniętą pięść, znaczący kontakt z wrogiem. Generał długo się zastanawiał, czy nie wmaszerować do enklawy na czele batalionu, a niechby i kompanii ciężko uzbrojonych żołnierzy, jednak ostatecznie doszedł do wniosku, że nieprzyzwyczajeni do walki z demonami ludzie będą tylko przeszkadzać. I ginąć. Tak więc towarzyszyli mu jedynie ochotnicy z *Konwoja* pod dowództwem Baturina. Matuszkin został w pałacu, aby pilnować Rudnickiego. Na wszelki wypadek.

Żołnierze bez rozkazu rozsypali się w tyralierę, kierując broń w stronę, z której nadbiegał zwiadowca. U wylotu prowadzącej na skwer ulicy ukazały się dwa szare, niemal zlewające się z tłem cienie. Wilki. Albo coś bardzo podobnego do wilków. Samarin zaklął, momentami demony były prawie że niewidzialne.

– *Pli!* – krzyknął, wyciągając szablę.

Jak się okazało, niepotrzebnie: oba stwory padły niemal natychmiast, skoszone celnym ogniem.

– Szkoda, że nie ma z nami Rudnickiego, mógłby im wyciąć serca czy inne podroby – zauważył wesoło Baturin. – Pewnie by mu się przydały.

– I nam by się przydał ktoś z jego wiedzą – odburknął Novotny.

– To prawda, warto mieć za plecami *gospodina alchimika* – zgodził się olbrzymi oficer.

Samarin dał znak i ruszyli dalej, ubezpieczani przez kilkusobową szpicę.

– Nie ma powodów do radości – powiedział gniewnie Novotny, patrząc na rozluźnionych zwycięską walką żołnierzy. – Pomyślcie, jak wyglądałoby to w nocy, nawet teraz ledwo widzieliśmy te bestie!

General wzdrygnął się na dźwięk słowa „bestia”. Cóż, wilkopodobne monstra na pewno nie były najgroźniejszymi potworami w enklawie...

– Nie martw się! – uspokoił najemnika Baturin. – Ze mną nic ci nie grozi. W Warszawie jest taka wróżka, Esmeralda. Chodziłem do niej trzykrotnie i za każdym razem trafnie przepowiadała mi przyszłość. Nawet tę ranę. – Wskazał bliznę na twarzy. – Jakiś Szwab z oddziału szturmowego walnął mnie kastetem. No, więcej nikogo już nie uderzy – dodał z ponurą satysfakcją.

– I co ci powiedziała ta cała Esmeralda? – zainteresował się Samarin.

– Tuż przed wyjazdem na front zapewniła mnie, że wrócę cało do Petersburga, a umrę, leżąc wygodnie w otoczeniu przyjaciół.

– To wszystko bzdury! Wróżby, też coś! – prychnął pogardliwie Novotny, ale już bez poprzedniej irytacji w głosie. – Tak czy owak, trzeba opracować jakiś plan, na wypadek gdybyśmy musieli się wycofać.

– Niedaleko jest stacja kolejowa. Jakby co, schronimy się w budynku dworca – odparł Samarin.

– A co dalej?

– W samochodzie mamy klatkę z gołębiami. Góra godzina i powrócą do petersburskiej wojskowej stacji gołębi pocztowych – wyjaśnił Baturin. – W razie czego wezwiemy pomoc.

– No, to już coś – przyznał niechętnie Czech.

Kolejny atak nastąpił bez uprzedzenia, żaden ze zwiadowców nie zdążył nawet wystrzelić. Wilkopodobne demony pojawiły się znikąd, jak za sprawą magii. Od razu doszło do walki wręcz, żołnierze błyskawicznie ustawili się plecami do siebie, dźgając bagnietami napierające stwory.

– Z góry! – ryknął Baturin. – Skaczą z dachów!

Samarin cięciem szabli przerąbał kręgosłup najbliższego potwora, sięgnął po rewolwer.

– Strzelać! – zawył.

Odpowiedziała mu palba, żołnierze otrząsnęli się z zaskoczenia.

– Pod ścianę! – rozkazał, opróżniając magazynek.

Niespodziewanie na barki zwałił mu się ogromny ciężar i oficer opadł na kolana. W ułamek sekundy później poczuł na karku coś mokrego.

– Wstawaj! – rzucił szorstko Novotny, pomagając mu się dźwignąć.

Najemnik wprawnie przeładował karabin zabrany komuś z poległych, pod jego stopami leżało zwaliste cielsko z wyszczerzonymi w okrutnym grymasie kłami. Samarin poczuł, jak po plecach ściekają mu strużki potu: gdyby nie Czech, byłby już martwy.

– Dziękuję – wymamrotał.

Novotny wzruszył ramionami, bez ceremonii obszukał najbliższe zwłoki, przywłaszczył sobie pas z ładownicą.

– Mogę to zatrzymać? – spytał.

– Oczywiście.

– Uciekają! – zawołał Baturin.

Samarin rozejrzał się: na ziemi leżało kilka ciał, dwóch żołnierzy podążyło ostrożnie za rejterującymi demonami, po chwili wrócili z ponurymi minami.

– Co ze zwiadowcami?

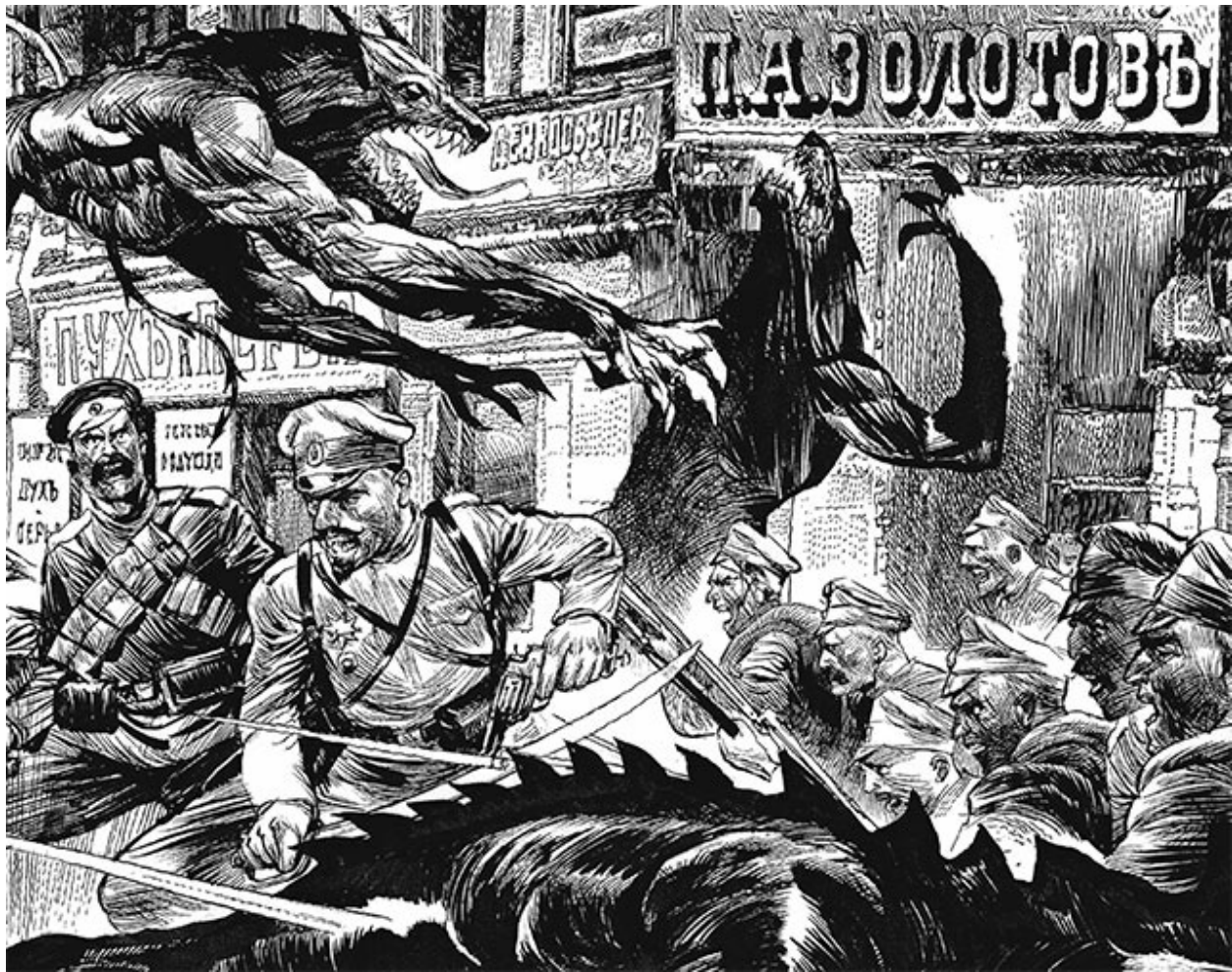
– Wszyscy nie żyją – odpowiedział szczupły mężczyzna z oznakami porucznika na pagonach. – Ale nie zabiły ich te wilki, na ciałach nie ma żadnych śladów.

– Magia! – zawołał zaniepokojony Novotny. – Musimy natychmiast wracać! Zaraz będzie ich tu więcej!

– *Wasze priewoschoditelstwo?* – ponaglił porucznik. – Nikogo nie widzieliśmy, ale miałem wrażenie, że tam ktoś jest. I obserwuje nas...

– Wycofujemy się na skwerek – zdecydował Samarin. – Tu nie mamy jak rozwinąć szyku, ulice są za wąskie.

Generał nawet przez chwilę nie wątpił, że zwiadowca mówi prawdę. Do służby w *Konwoje* trafiali tylko najlepsi z najlepszych.



– No! – wysapał zdyszany po biegu Baturin. – Teraz to co innego: mamy możliwość manewru, a i nikt nie skoczy nam niespodziewanie na głowę.

– Niby tak – mruknął nieprzekonany Novotny. – Ja bym jednak wycofał się na dworzec.

– A to dlaczego?

– Chodzi o te niby-wilki, one nigdy...

– Szybciej! – krzyknął Samarin.

Żołnierze wydobyli z samochodu lekki karabin maszynowy Lewisa i sprawnie ustawili go na ziemi.

– Te wilkopodobne demony nigdy nie atakują w dużych grupach – dokończył myśl Novotny. – O ile nie rozkazuje im jakiś mag albo Przekłęty.

Generał poczuł, jak wokół serca zaciska mu się zimna stalowa łapa. Najemnik miał rację. Jednak nie było czasu na ucieczkę, krwiożercze wycie

oznajmiło nadejście następnej fali potworów. Tym razem były ich dziesiątki.

– *Tows!* – zakomenderował Samarin.

Żołnierze błyskawicznie ustawili się po bokach kulomiotu, przy czym pierwszy szereg klęczał, żeby umożliwić kolegom strzelanie ponad swoimi głowami.

– *Pli!*

Suchy grzechot lewisa zagłuszył wściekle ujadanie niby-wilków, a grad ciężkich srebrnych pocisków zmasakrował atakujących. Zawtórowała mu salwa żołnierzy pierwszego szeregu. Nie wszystkie demony zginęły od razu, niektóre, brocząc krwią, nadal czołgały się w stronę Rosjan.

– *Żywotne gadziny!* – burknął Baturin z kolbą przy policzku.

– *Wtoraja szerienga, pli!*

Żołnierze z zimną fachowością dobijali ranne potwory kiedy umilkły echa strzałów, na skwerze nie pozostał ani jeden żywy demon.

– Tam ktoś jeszcze jest, w wylocie ulicy – powiedział niespokojnie Novotny. – Przez moment mignęła mi jakaś sylwetka. I to nie było zwierzę.

Generał postąpił krok naprzód, pod nogami zachrzęściły łuski.

– Być może – odparł niepewnie. – Coś się kotłuje, jakby mgła.

– Rzeczywiście mgła – przyznał Baturin. – Zbliża się do nas.

– Wycofujemy się!

Wyszły z białego jak mleko oparu, stanęły naprzeciwko żołnierzy. Nagie i nieludzko piękne, otoczone aurą obcości i zagrożenia.

– Już nie zdążymy – stwierdził z mrozącym krew spokojem Novotny. – To nie są nasi uciekinierzy, nadzialiśmy się na kogoś innego, dużo silniejszego.

Zanim ktokolwiek zdążył nacisnąć spust, kobiety wyskandowały unisono kilka sylab i połowa żołnierzy padła na bruk. Pozostali odpowiedzieli ogniem, srebrne kule zaczęły rozrywać ciała demonów.

– Budynek z lewej! – krzyknął rozpaczliwie Novotny.

Samarin odwrócił się z szablą w ręku, akurat żeby sparować zadane z niewiarygodną szybkością uderzenie. Pokryta srebrem szaszka odrąbała w nadgarstku smukłą kobiecą dłoń, uzbrojoną w budzące grozę pazury. Nie zatrzymując się, oficer potężnym cięciem pozbawił napastniczkę głowy i zablokował wyjście z flankującej skwer kamienicy. Jednak było za późno, szyk

prysnął, a ludzie przemieszali się ze stworami enklawy.

– *Ko mnie, riebiata! Ko mnie!* – zawołał, broniąc się szaleńczym młyńcem przed napierającymi demonami.

Po trwającej, zdawało się, wieczność chwili dołączyli do niego inni, w kilku zamknęli bramę. Samarin wy dobył rewolwer, ale zwycięskie okrzyki zwiastowały koniec potyczki.

– Uciekli – powiedział z niedowierzaniem Novotny. – Myślałem, że już po nas.

– Wróć – odparł słabym głosem Baturin. – To było tylko rozpoznanie bojem.

Olbrzymi oficer leżał na zwłokach kobiecego demona, przyciskając ręce do brzucha, wokół rosła kałuża krwi.

Samarin zamrugnął, jakby chciał obudzić się z koszmaru.

– Medyka! – zawołał, klękając przy rannym.

– Nie trzeba. Ta suka rozpruła mnie jak puszkę konserw, a i z kręgosłupem coś nie tak. Nie czuję nawet bólu. Zabieraj ludzi i znikaj. Ja ich tu jeszcze zatrzymam.

– Zwariowałaś! Trzymaj się, Kola! Zaraz ci...

Baturin złapał go za mundur okrwawioną dłonią, przyciągnął do siebie.

– Nie słyszałeś? Gdybym nie zaciskał rany, deptałbyś po moich flakach! – wyszczał. – Zdechnę tak czy owak, a wy macie jeszcze szansę. Zbieraj się stąd! Już!

Samarin rozejrzał się po poboju: przy życiu zostało nie więcej niż dziesięciu żołnierzy, a zdemolowana lufa kulomiotu świadczyła, że oddział właśnie stracił najskuteczniejszą broń. Także samochód zamienił się w kupę pogiętej blachy. Nie ocalała nawet klatka z gołębiami.

– Wycofujemy się na dworzec – oznajmił generał drewnianym głosem. – Zabierzcie tyle amunicji, ile dacie rady.

– Jednak wróżka nie skłamała – wyszeptał Baturin z uśmiechem. – Umieram, leżąc wygodnie i w towarzystwie przyjaciół.

Samarin uściskał mu dłoń, poczuł wilgoć na policzkach.

– Znikaj już! – burknął Baturin, odwracając wzrok. – A ja zademonstruję naszym magom możliwości nowoczesnej techniki – dodał, sięgając po granaty.

Generał podniósł karabin zabitego żołnierza i gestem dał sygnał do

wymarszu. Za plecami usłyszał odgłos zwalnianych zawleczek.

Człowiek może zrobić, co zechce, nawet zostawić na śmierć rannego przyjaciela, pomyślał. To tylko kwestia siły woli, trzeba skoncentrować się na czymś innym. Na przykład liczyć kroki. Jeden, dwa, trzy...

Wybuch usłyszał przy siedemdziesiątym piątym.

IV

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



O biad podano *à la russe*, wystarczyło lekkie uniesienie dłoni i służba natychmiast wymieniała naczynia albo podawała nowe danie. Rudnickiego posadzono obok Anastazji, alchemik niemal natychmiast zorientował się, że nie było to miejsce, o które walczyliby inni biesiadnicy: księżniczka marudziła przy każdej potrawie, natomiast wykazywała nadmierny entuzjazm wobec słodyczy, ku ledwie skrywanej konsternacji rodziców. Drugą sąsiadką Rudnickiego była młoda, ładna kobieta z dwuletnią na oko córeczką na kolanach. O ile dobrze zapamiętał, żona jakiegoś angielskiego arystokraty. Ten jednak siedział naprzeciwko, pomiędzy starszymi córkami cara, co stawiało go w dużo korzystniejszej sytuacji, gdyż nie musiał słuchać utyskiwań rozpaskudzonej nastolatki ani bronić się przed karesami zaślinionego brzdąca.

Rudnicki drgnął, panienska Anastazja po raz kolejny raczyła szturchnąć go w łokieć. Nie żeby specjalnie, dziewczynka z ponurą miną wiosłowała łyżką w zupie, jakby spodziewała się, że ta w końcu sama zniknie.

– *Anastasio!* – upomniała ją surowym tonem caryca.

Dziewczynka z cierpiętniczą miną skosztowała potrawy, po czym wróciła do poprzedniej czynności.

– Może skończyłabyś wreszcie zupę? – nie wytrzymał alchemik.

– Nie chcę – odburknęła.

– Kiedy grymasiłem jak ty, moja niania recytowała mi wierszyk o Michasiu.

– O Michasiu? Nie znam.

– Szkoda. Jak poznasz, może być za późno – skwitował Rudnicki sucho.

– Może przytoczyłby pan ten wiersz? – zaproponował car, przerywając rozmowę z żoną.

Rudnicki odchrząknął z zakłopotaniem, zaproszenie do stołu było wyrazem

wdzięczności za uratowanie następcy tronu, ale alchemik czuł się niepewnie w obecności carskiej rodziny: ni to gość, ni to medyk, a więc ktoś ledwo o poziom wyżej niż służący. Niespodziewanie poczuł przypływ irytacji, w końcu nie znalazł się tu z własnej woli.

– Proszę o wyrozumiałość, jeśli coś pomylę, ostatni raz słyszałem go niemal trzydzieści lat temu.

Siłą woli powstrzymał się przed połużnieniem kołnierzyka, teraz wpatrywali się w niego już wszyscy biesiadnicy.

*Michaś był tłusty, zdrów najzupełniej,
z buzią okrągłą jak księżyc w pełni,
jędrną jak orzech, śliczną, rumianą,
jadł i pił wszystko, co na stół dano.*

*Raz, gdy mu zupę stawia służąca,
on stąd, ni zowąd talerz odtrąca,
mama go łaje, a Michaś w sprzeczki:
„Nie chcę i nie chcę ani łyżeczki!”*

*Nazajutrz Michaś tak schudł niebożę,
że go nikt w domu poznać nie może,
dają do stołu, on znowu w sprzeczki,
Nie chce jeść zupy ani łyżeczki.*

*Na trzeci dzionek bieda nie żarty,
i schudł, i osłabł Michaś uparty,
lecz znów przy stole krzyki i sprzeczki,
Nie chce jeść zupy ani łyżeczki.*

*Nie słuchać starszych, rzecz bardzo brzydka,
w czwartym dniu Michaś wychudł jak nitka,
w piątym coś w piersiach i w gardle dusi,*

kto nie je zupy, ten umrzeć musi.

*Tak też z Michasiem, był zdrow i tłusty,
pięć dni nic nie jadł, umarł na szósty.*

Przez moment przy stole panowało milczenie, wreszcie dorośli wybuchnęli śmiechem.

– Bardzo na czasie – zawyrokował car. – Anastazja powinna nauczyć się go na pamięć.

– Przecież to niemożliwe – zaprotestowała dziewczynka. – Żeby umrzeć z powodu niejedzenia zupy?

– Nie wiem, nie jestem lekarzem – odparł władca z udawaną powagą. – W odróżnieniu od pana Rudnickiego.

Anastazja zerknęła podejrzliwie na alchemika, ale po chwili na twarzy dziewczynki odmalowała się obawa i sięgnęła po łyżkę.

– Bhawo! – pochwaliła go łamaną ruszczyzną sąsiadka. – Widacz, że umie pan posztampowacz z dziećmi. My od dawna szukamy niania dla naszej dziewczynki. Byli już dwie, ale nie wytrzymali.

– Ciekawe dlaczego? – rzucił ironicznie Rudnicki, patrząc na wijące się jak wąż dziecko.

– Nasza kruszinka jest bardzo żywa.

– Istotnie – przyznał alchemik. – Daje się zauważyć.

– To źle? – zaniepokoiła się młoda matka.

– Wręcz przeciwnie. Takie zachowanie jest oznaką doskonałego zdrowia i temperamentu.

– Jak dopsze siedzieć przy stole z doktorem – powiedziała figlarnie. – Można otrzymać darmowe konsultacje.

Rudnicki odpowiedział uśmiechem, nie bardzo wiedząc, jak zareagować na żart arystokratki.

– Gdyby mógł pan w folnej chwili zbadacz Matyldę...

– Jestem do pani dyspozycji, choć wydaje mi się, że dziecku nic nie dolega.

– Ale ona tak się fierci i nic a nic nie słucha!

– Po prostu się nudzi. Gdyby ją czymś zainteresować, byłaby dużo grzeczniejsza.

– Zaintereszowacz? Ona nie chce się bawicz lalkami. Ona nie chce bawicz się niczym. Interesują ją tylko żywe zwierzątka. *Och, non!* Paszkuda, paszkuda! – zbeształa córkę.

Dziecko, korzystając z chwili nieuwagi opiekunki, przewróciło kieliszek z winem. Lokaj natychmiast przyniósł nowy i nakrył płamę serwetą.

– Naprawdę uważa pan, doktorze, że to tylko kwestia nudy? – odezwała się caryca.

– Owszem – odparł ostrożnie Rudnicki.

Jego stosunki z władczynią były skomplikowane: Aleksandra Fiodorowna wyraźnie go nie lubiła, ale wydawało się, że docenia to, co zrobił dla Aleksa. Stąd i nieprzysługujący mu przecież tytuł.

– Nie wierzę, że można wpłynąć na zachowanie dziecka w tym wieku – oznajmiła, wydymając usta.

Ponownie uwaga wszystkich obecnych skierowała się na Rudnickiego i alchemik przeklął w duchu swoją gadatliwość. Trzeba było trzymać gębę na kłódkę, pomyślał ze złością.

– Dobra niania potrafi kierować uwagą dziecka. Nawet małego – powiedział.
– A i mnie zdarzało się uspokajać takich pacjentów.

– W takim razie czekamy na demonstrację.

Rudnicki poczuł, jak krew uderza mu do głowy, najwyraźniej caryca postanowiła pokazać mu miejsce w szeregu. Publicznie. Nic dziwnego, że jest powszechnie znienawidzona, pomyślał. Cóż, może czas przypomnieć współbiesiadnikom, z kim mają do czynienia?

– Jak Wasza Wysokość sobie życzy – powiedział spokojnie.

Tym razem tylko wyszeptał słowo mocy, iluzja miała mieć niewielki zasięg, i na stole między talerzami pojawił się żywy królik. Alchemik lekkim ruchem dłoni skierował go w stronę dziecka.

Dziewczynka zapiszczała radośnie i pogłaskała zwierzątko. Ku zdziwieniu Rudnickiego – nigdy wcześniej nie próbował takich sztuczek – małe rączki nie przeniknęły przez majak, wydawało się, że królik jest materialny.

– *Wonderful!* – pierwszy otrząsnął się z zaskoczenia ojciec dziewczynki.

– Nie ma niebezpieczeństwa?

– Ależ skąd! – zapewnił alchemik. – To tylko złudzenie.

– Bardzo dobre złudzenie – pochwaliła Anastazja, głaskając królika.

Dwulatka krzyknęła groźnie i objęła zaborczo zwierzaka.

– Adny! – zawołała. – Mój!

– Uczymy Matyldę roszyjskiego – powiedziała z dumą matka. – Ona chce powiedzieć, że królik jest ładny.

– Rzeczywiście, przestała się wiercić – zauważył car z uśmiechem. – Widać, że *gospodin* Rudnicki skrywa wiele talentów.

– Ja też mogę dostać króliczka? – poprosiła Anastazja.

Alchemik wymownie spojrział na talerz dziewczynki: na dnie zostało trochę zupy. Anastazja pospiesznie opróżniła naczynie.

– Już! – oznajmiła z satysfakcją.

– A może coś innego? – zaproponował. – Na przykład smoka?

– Tak! Smoka! – wykrzyknęła dziewczynka, klaszcząc głośno.

Smok bardziej przypominał zabawkę niż budzącego grozę potwora, za to latał w powietrzu i od czasu do czasu ział nawet ogniem. Co prawda nikt nie zgłaszał zastrzeżeń, a widok zastygłej w zdumieniu twarzy carycy sprawił Rudnickiemu niemałą przyjemność.

– Czo jeszcze można zrobić w taki sposób?

– Teoretycznie wszystko – odparł alchemik.

– Teoretycznie? – podchwyciła władczyni. – Istnieją jakieś granice?

– Zależy dla kogo. Magia, a raczej to, co z braku innych określeń nazywamy magią, jest tylko narzędziem. I jak każde narzędzie może być użyta zarówno w dobrym celu, jak i wręcz przeciwnie.

– Biblia potępia wszelkie gusła!

Car chrząknął ostrzegawczo, a władczyni zacisnęła usta, być może uświadomiwszy sobie, że owym gusłom zawdzięcza życie syna.



– Obawiam się, że ktoś wprowadził Waszą Wysokość w błąd – odparł chłodno Rudnicki. – Magia, prawdziwa magia nie polega na recytowaniu zaklęć. W rzeczywistości mag wykorzystuje dźwięki i symbole, których nauczył się w bibliotece, a te z kolei stanowią odpryski Słowa, za pomocą którego On stworzył świat. Ta moc nigdy nie była przeznaczona dla ludzi, stąd efekty bywają różne, niekiedy tragiczne. Natomiast ich wykorzystanie zależy już od woli adepta. Tak nazywamy każdego, kto przeży... potrafi je sobie przyswoić –

poprawił się szybko.

– I uważa się pan za godnego używania tych słów?

– W żadnym wypadku! Nikt nie zasłużył, aby dostąpić takiego zaszczytu. Jednak jeśli zrobię coś dobrego, czuję się częściowo usprawiedliwiony.

– A ten krórik? – odezwała się zaniepokojona sąsiadka Rudnickiego. – Ta zabawa. Czy to nie naduszycie?

– W pewnym sensie każde zastosowanie słów mocy jest nadużyciem – przyznał alchemik. – Z drugiej strony nie sądzę, żeby Bóg był podobny do surowego wiejskiego proboszcza i miał mi za złe, że sprawiłem radość dziecku.

– Dobrze powiedziane – zakonkludował car. – Ale dosyć tych poważnych tematów. Panie napiją się herbaty, a panów zapraszam do palarni.

Rudnicki posłusznie skierował się do wyjścia, w drzwiach dogoniła go Anastazja.

– Olafie Arnoldowiczu, ile jeszcze przetrwa to złudzenie? I czy mogłabym pogłaskać tego smoka? – wyrzuciła jednym tchem.

Alchemik zatrzymał się zaskoczony, mała księżniczka słynęła z lekceważenia konwenansów i chuligańskich wybryków, a tu proszę: nie dość, że zapamiętała jego imię, to jeszcze użyła go wraz z patronimikiem, co było wyrazem szacunku.

– Oczywiście. Wyciągnij do niego rękę – powiedział.

Dziewczynka wykonała polecenie, a smok przysiadł jej na ramieniu.

– On ma prawdziwe łuski! – zawołała zachwycona.

– Staralem się. Ile przetrwa? Myślę, że nie więcej niż dwie, góra trzy godziny. Później zniknie.

– Zrobi mi pan drugiego? Jutro?

– Dość tego, Anastazjo! – interweniował car. – Wracaj do mamy.

– Tak, papo – powiedziała pokornie dziewczynka.

– *Gospodin* Rudnicki, zapraszam – ponaglił władca.

Alchemik skłonił się i podążył za monarchą. Konwersacja w palarni miała dziwny przebieg, wypytywano go o herb i pochodzenie. Wariactwo, doszedł do wniosku Rudnicki. Wśród jego przodków nie było wybitnych osobistości, a sam fakt przynależności do stanu szlacheckiego nie mógł zaimponować ludziom posiadającym nieskończenie wyższą pozycję społeczną. Niemniej jednak i car, i angielski arystokrata wydawali się żywo zainteresowani tematem. Czyste

wariactwo...



Rudnicki obserwował w lustrze, jak ostrze z błękitnej stali przesuwają się po namydlonej skórze. Cichemu chrzestowi likwidowanego zarostu wtórował dochodzący zza okna śpiew ptaków, fryzjer – na szczęście nietowarzyski – wykonywał swoją pracę w milczeniu, co pozwalało alchemikowi zagłębić się w myślach. Nurtowało go kilka spraw, przede wszystkim kwestia cudownego ocalenia w czasie napadu na pałac. Jakim sposobem słowo mocy, które bez użycia *materia prima* nie potrafiło zabić nawet muchy, raptem położyło trupem kilkunastu przeciwników? Co prawda Anastazja twierdziła, że z biegiem czasu każdy adept staje się silniejszy, w miarę jak odkrywa głębsze znaczenie znanych mu symboli i dźwięków, ale to nie był ten przypadek. Rudnicki nie czuł się ani trochę mądrzejszy niż wcześniej, a w dodatku słowo nadal nie działało. To znaczy nie działało w normalnych warunkach. Co zatem było czynnikiem, który zainicjował cały proces? Alchemik nie miał wątpliwości, że to ważne pytanie, być może najważniejsze w jego życiu, o ile nie na wagę życia, bo przecież trudno sobie wyobrazić, że los nagle odsunie od niego wszelkie zagrożenia. Samo wyleczenie carewicza, nie mówiąc o udziale w odparciu zamachu na następcę tronu, ściągnie na niego zemstę spiskowców. I żeby tylko! Jeśli doliczyć do tego niezadowolonych kolegów po fachu, bo przecież odniósł sukces tam, gdzie oni zawiedli, tajemniczego prześladowcę z ochrony i magów z *Amici Mortis*, bezpieczniej by mu było w nadamazońskiej dżungli. Co prawda homunkulus zmaterializował się już w zastępującej mu dom butelce, ale choć groźny, nie był przecież niezwyciężony. Walka w pałacu wykazała to ponad wszelką wątpliwość.

Pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia, niemal jednocześnie fryzjer chrząknięciem dał znak, że zakończył na dzisiaj.

– Proszę! – zawołał Rudnicki, dziękując golarzowi skinieniem głowy.

Anastazja przepuściła w drzwiach nieco zaskoczonego tym gestem służącego, po czym przysiadła na poręczu fotela.

Alchemik uniósł w zdziwieniu brwi: „kuzynka” była ostatnią osobą, którą posądziłby o takie poufałości. Coś musiało się stać.

– Musimy porozmawiać – szepnęła mu do ucha. – Natychmiast!

– Słucham – odparł zaniepokojony.

– Ciszej! – syknęła. – Kto wie ilu szpicli nas śledzi?

– No mówże!

– Saszka i Baturin wybrali się do enklawy.

– To wiem – odszepnął alchemik. – Chcieli dorwać terrorystów, którzy napadli na pałac. I co z tego?

– Nie wrócili.

– Nie ma ich dopiero trzy dni.

– Wzięli ze sobą gołębie pocztowe, rozumiesz, żeby kontaktować się z garnizonem. Bo telefony i radio tam nie działają. W kilka godzin po wejściu do enklawy gołębie wróciły. Bez żadnego meldunku.

– Dlaczego nikt mnie o tym nie powiadomił?

– Bo car nie wie, co robić. Najpierw postanowił cię odseparować od tego wszystkiego, jak się wydaje, za poradą niejakiego Głobaczowa, naczelnika miejscowej ochrony.

– Co za Głobaczow? Nawet nie znam człowieka!

– On chyba nic do ciebie nie ma, za to wolałby, żeby Saszka został w enklawie na zawsze.

– A co na to car? Nic nie zrobił, usłyszawszy o tych gołębiach?

– Ależ zrobił! Wysłał kolejny oddział wojska. Tyle że nie było w nim ani jednego adepta. Nic dziwnego, że i ci zaginęli. Wracając do rzeczy: dwa dni temu wykwaterowano mnie pod pretekstem remontu, a żołnierze nie puszczali mnie do tego skrzydła. Dziś rano bez żadnych wyjaśnień pozwolono mi wrócić do siebie.

– I co to niby ma znaczyć?

– Najwyraźniej car zmienił decyzję. Przecież wiedział, że pierwsze, co zrobię, to poinformuję cię o losie Saszki. Pewnie chce, żebyś zorganizował ekspedycję ratunkową, tyle że nieoficjalnie. Bo nie wypada mu wysłać na śmierć człowieka, któremu zawdzięcza życie syna. Do tego dochodzą knowania ochrony, Głobaczow przekonał imperatora, że wszyscy żołnierze *Konwoja* potrzebni są teraz na miejscu. Oczywiście wyłącznie ze względu na bezpieczeństwo carskiej rodziny. Konkludując, nie możemy liczyć na ludzi Saszki.

– Przecież sami nie damy rady!

– Może nie będzie tak źle, musimy porozmawiać z Matuszkinem, on jest tu, w pałacu. Pewnie też nie dopuszczali go do ciebie.

– Ale car...

– Car to słaby, niezdecydowany człowiek – przerwała mu bezceremonialnie dziewczyna. – W niczym nam nie pomoże.

Rudnicki skinął głową: i on zauważył, że w obliczu trudności władca ma problem z podejmowaniem samodzielnych decyzji i często zdaje się na innych. Dlatego tak długo bezskutecznie leczono carewicza, dopiero w ostateczności imperator zdecydował się postąpić wbrew woli otoczenia.

– No dobrze – powiedział. – Poszukaj Matuszkina. Spotkamy się u mnie, wątpię, żeby w skrzydle, gdzie mieszka carska rodzina, ktoś odważył się podsłuchiwać.

– Obyś miał rację – mruknęła Anastazja. – I skąd te cienie pod oczyma? – spytała, przyjrzawszy mu się krytycznie. – Nie mogłeś spać?

– Spałem jak zabity. To zmęczenie – wyjaśnił alchemik. – Wczoraj stworzyłem kilka iluzji. Prawie realnych iluzji – dodał z zadowoleniem. – Mam wrażenie, że poczyniłem postępy.

– To nie ulega wątpliwości – przyznała sucho. – Inaczej byś się nie obudził.

– Nie rozumiem...

– Widzę, że nie rozumiesz. Co cię podkusiło do użycia tego akurat symbolu? I to więcej niż raz dziennie? Zwariowałeś?!

– Przecież to tylko złudzenie.

– Jakie, do licha, złudzenie?! Zapomniałeś, skąd biorą się słowa mocy? Bóg nie tworzył iluzji.

– Chcesz powiedzieć, że... – Rudnicki nie dokończył, wpatrując się z osłupieniem w dziewczynę.

– Tak! To słowo kreacji. Nikt, żaden mag czy Przeklęty nie jest w stanie powołać do istnienia nawet najmniejszej rzeczy, powołać na stałe, ale czasowo i owszem. Tylko że w przypadku tego akurat symbolu cała energia konieczna do materializacji żądanej rzeczy musi pochodzić od adepta.

– To niebezpieczne?

– Bardzo. Pewnie starałeś się, żeby efekt trwał jak najdłużej?

Alchemik przytaknął.

– Idiota! Wszyscy magowie skracają czas, jak mogą, ty jeden rozciągasz! I po czorta? Wystarczy kilka sekund.

– Kilka sekund? A co przez ten czas można zrobić?

Anastazja wyszeptała magiczną formułę w taki sposób, że poszczególne sylaby zlały się w jeden krótki syk, jednocześnie z dźwiękiem w jej dłoni pojawił się nóż. Zanim Rudnicki zdążył zareagować, dziewczyna wbiła ostrze w oparcie fotela. Na oczach osłupiałego alchemika broń rozwiała się w powietrzu, tylko głęboka dziura w fotelu przypominała, że wszystko wydarzyło się naprawdę.

– Wystarczy? – rzuciła.

– To dość... praktyczne zastosowanie tego słowa.

– A czego się spodziewałeś?

– Kiedy zdążyłaś się go nauczyć?

– Przypomnieć – poprawiła Anastazja. – Niedawno.

– Ja też mógłbym tak, z tym nożem?

– Nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz. Ale nie dzisiaj.

– A coś bardziej skomplikowanego? Bo ja wiem, na przykład rewolwer?

– Nie. Nie sądzę.

– Ale dlaczego?

– Co wczoraj stworzyłeś? – odpowiedziała pytaniem.

– Królika – wyszeptał alchemik, odwracając wzrok.

– Co takiego?!

– No przecież mówię, królika – odburknął.

Anastazja przewróciła oczyma, widać było, że ma ochotę skomentować, ale w końcu machnęła ręką.

– Co ten królik robił?

– No jak to co? Był.

– Kicał? Ruszał nosem? – doprecyzowała ze zniecierpliwieniem.

– Nie – odparł z namysłem alchemik. – Raczej nie. Żeby się ruszył, potrzebowiałem wysiłku woli.

– Żeby dokonać aktu stworzenia, trzeba wyobrazić sobie daną rzecz taką, jaka jest. W najdrobniejszych detalach. Ty skoncentrowałeś się na samym kształcie. Dlatego królik nie skakał i nie zanieczyścił dywanu – dodała złośliwie. –

Wracając do rzeczy: nóż to tylko kawałek stali, rewolwer to już mechanizm. Potrafisz przedstawić sobie jego wygląd i sposób działania?

– Nie.

– Więc masz odpowiedź na swoje pytanie – skonkludowała. – Na przyszłość może skonsultuj się ze mną, zanim wpadniesz na jakiś genialny pomysł?

Rudnicki przytaknął ruchem głowy.

– Idź po Matuszkina – polecił. – A ja zamówię śniadanie na trzy osoby.

– Mam ochotę na mięso – poinformowała go dziewczyna. – Krwiste mięso.

– Na śniadanie?!

– A co za różnica?

– To może coś żywego? – zaproponował z ironią. – Będzie krwawiło i piszczęło.

– Chyba lepiej pomińmy tę opcję – odparowała Anastazja, mierząc Rudnickiego zimnym spojrzeniem. – Bo jeszcze mnie namówisz.

– W porządku, zamówię ci stek. Krwisty!

Dopiero po wyjściu dziewczyny uświadomił sobie, że po czole spływają mu krople potu.

– I pożartuj tu z taką – wymamrotał.



Stwierdzenie, że Matuszkin jest nie w humorze, byłoby grubym niedopowiedzeniem: oficer ledwo panował nad rozpierającą go wściekłością.

– To ten żandarm! – wywarczał przez zaciśnięte zęby. – To wszystko jego wina! Chcieli mnie wysłać do jakiegoś zapyziałego garnizonu na drugim końcu kraju, żebym czasem nie zorganizował wyprawy ratunkowej. Na szczęście zdążyłem wziąć zaległy urlop.

– Rozumiem, że na władze nie możemy liczyć? – upewnił się Rudnicki.

– Nie. Ochrana przekonała cara, że sprawa jest beznadziejna i nie ma sensu osłabiać *Konwoja*. – Generał Malutin chciałby pomóc, ale nie może zignorować bezpośredniego rozkazu Jego Wysokości.

– Co za Malutin?

– Dowódca *Konwoja*. Saszka zastępował go przez pewien czas ze względów

zdrowotnych, teraz wrócił do służby.

– A wasi?

– Jacy, do cholery, nasi?!

– No wiesz. – Rudnicki wykonał nieokreślony gest.

Matuszkin zmierzył go spojrzeniem spod namarszczonych brwi, nerwowo zamieszał kawę.

– Nie chcę się nawet zastanawiać, co masz na myśli i skąd to wiesz – odpowiedział po chwili. – Powtarzam: oficjalnie nikt nam nie pomoże.

– A nieoficjalnie? – wtrąciła Anastazja.

– Kilkunastu żołnierzy i oficerów jest na urloпах. Mógłbym ściągnąć z tuzin. Także w garnizonie znają i lubią Saszkę, być może zebrałbym pluton z ochotników. Dwadzieścia parę osób – wyjaśnił, widząc wyraz twarzy alchemika. – To maksimum, jeśli chcemy się pospieszyć. A musimy się spieszyć, prawda?

– Musimy – potwierdził Rudnicki. – Ale to za mało. Potrzebujemy przewagi ognia. Nie wiem, na co narwał się Saszka, ale jeśli ma kłopoty, znaczy, że karabiny nie wystarczą.

– Możliwe – przyznał Matuszkin. – Oni wzięli nawet karabin maszynowy Lewisa. Najlepiej byłoby załatwić samochód pancerny, ale to prawie niemożliwe.

– Prawie? – podchwycił alchemik.

– Obecnie na terenie Petersburga znajdują się trzy wozy Nakaszidze-Charron uzbrojone w ciężkie kulomioty systemu Maxima. Problem w tym, że zarządzający wojskowymi garażami pułkownik Turgieniew ma opinię strasznego służbisty. Z drugiej strony wiem, że walczył na Kaukazie w tym samym pułku, co Saszka.

– Trzeba złożyć mu wizytę. I propozycję – oznajmiła z namysłem Anastazja.

– Nie dam rady ganiać za żołnierzami i jednocześnie negocjować z Turgieniewem – zauważył Matuszkin. – Ktoś musi mi pomóc.

– Ja zajmę się samochodami – postanowił alchemik. – À propos, ten pułkownik to jakiś krewny pisarza Turgieniewa?

– Tak, podobno nawet bliski. Przypuszczam, że stąd jego służbistość, pisarz Turgieniew nigdy nie cieszył się u nas poparciem władz, a nawet był aresztowany. Pułkownik całe życie stara się wyjść z jego cienia, ale chyba nie za

bardzo mu się udaje, inaczej byłby już generałem.

– Warto wiedzieć – mruknął Rudnicki. – To do roboty, zanim car się rozmyśli i wyda rozkaz, żeby nie wypuszczać nas z pałacu.

Matuszkin skrzywił się niechętnie, widać było, że uwaga na temat władcy niespecjalnie mu się spodobała, ale nie zaprotestował.

– Lepiej będzie, jeśli wyjdziemy osobno – powiedziała Anastazja. – Ja pierwsza. Spróbuję załatwić trochę *materia prima*.

– Tylko dyskretnie i bez ekscesów! – ostrzegł zaniepokojony alchemik.

– Jestem uosobieniem dyskrecji i delikatności – zapewniła, klepiąc go po policzku.

– A jakże! – przytaknął ponuro Rudnicki. – Jestem pewien, że baron Kurakin poparłby tę tezę w całej rozciągłości.

Dziewczyna pogroziła mu palcem, po czym zniknęła za drzwiami.

– Co za Kurakin? – zainteresował się Matuszkin.

– Zranił ją w czasie walki w pałacu. Anastazja połamała mu wszystkie kości, a później skrzyła kark – wyjaśnił zwięźle alchemik.

– Ale załatwi nam tę *materia prima*?

– Na pewno. Kilka łutów jest w szafie pancерnej w pokoju carewicza. Problem w tym, że aby otworzyć sejf, potrzeba dwóch kluczy. Jeden mam ja, drugi Guerini.

– I uważasz, że...

– Uważam, że profesor Guerini będzie miał dzisiaj ciężki dzień – dokończył Rudnicki. – Mniejsza z tym, moja kolej. Na ciebie nie zwracają uwagi, dlatego pójdziesz ostatni.

Kiedy znalazł się na korytarzu, od razu podążył w stronę schodów, chcąc jak najprędzej opuścić pałac. Jeśli temu żandarmowi rzeczywiście tak zależy na śmierci Saszki, z pewnością nie będzie przyglądał się beczynnie organizowaniu wyprawy ratunkowej, pomyślał.

Wychodząc z za zakrętu, o mało nie potracił młodej, wytwornie ubranej kobiety.

– Dzień dobry, Olafie Arnoldowiczu – powitała go Luda von Kries. – Gdzie pan się tak spieszy?

– Ma pani tu swój ekwipaż? – odpowiedział pytaniem.

– Mam coś lepszego: automobil. Stutz bearcat – dodała tytułem wyjaśnienia.

– Szybki?

– Bardzo. Ponad sto wiorst na godzinę.

– Mam nadzieję, że pani szofer potrafi prowadzić tę machinę – mruknął Rudnicki. – Muszę jak najprędzej zobaczyć się z ciotką. Użyczy mi pani samochodu?

– Niestety, to konstrukcja dwuosobowa. Sama prowadzę, jestem automobilistką, nie wiedział pan? – odparła słodko Luda von Kries.

Rudnicki usiłował zachować obojętny wyraz twarzy, ale najwyraźniej mu nie wyszło, bo jego rozmówczyni roześmiała się serdecznie.

– Nie zna pan zbyt wielu nowoczesnych dziewcząt, prawda?

– Istotnie.

– To co, idziemy? Podobno pan się spieszy.

– Idziemy.

– Niech pan nie będzie taki smętny, jazda autem tej klasy to niezapomniane przeżycie. Nigdy nie miał pan ochoty prześcignąć wiatru?

– Raczej nie.

– A teraz?

– Teraz mam ochotę się przeżegnać.

Dziewczyna ponownie wybuchnęła śmiechem i pociągnęła go za rękę, nie przejmując się zdziwionymi spojrzeniami służby i wartowników.

– Bedzie pan ze mną bezpieczny. Obiecuję.

Alchemik nie odpowiedział, dżentelmenowi nie wypadało przeczyć damie.



Księżna Wołkońska nie wyglądała na zdziwioną, widząc Rudnickiego w towarzystwie panny von Kries, a pobłażliwy uśmiech świadczył, że nie miałyby nic przeciwko pogłębieniu ich znajomości. Niestety, powód, dla którego odwiedził Marię Pawłownę, nie miał nic wspólnego z osobą młodej arystokratki.

– Ciociu – odezwał się, przerywając powitalne uprzejmości. – Musimy porozmawiać. Natychmiast. To sprawa niecierpiąca zwłoki.

Maria Pawłowna zmarszczyła brwi, zaalarmowana zarówno tonem

alchemika, jak i użytym przez niego zwrotem. Mimo kilkakrotnie wyrażanego przyzwolenia Rudnicki, zwracając się do niej, niemal zawsze używał imienia i patronimiku, aby unikać wszelkiej familiarności.

– Wybaczysz nam, Luda? Odejdziemy na chwilę, a tymczasem służba poda herbatę i ciasteczka.

– Może będę w stanie wam pomóc – powiedziała dziewczyna. – Bo z zachowania Olafa Arnoldowicza wnioskuję, że problem jest poważny.

– Olaf? – księżna scedowała odpowiedź na alchemika.

– Podejrzewam, że wolałaby pani pewnych rzeczy nie wiedzieć – odparł niecierpliwie Rudnicki. – Być może będziemy musieli podjąć działania na granicy prawa. Albo i poza jego granicami – dodał ciszej.

– Chyba pomylił mnie pan z jakąś swoją znajomą – odpaliła złośliwie Luda. – Od kilku lat stopniowo przejmuję kontrolę nad interesami rodziny, mam swoich ludzi na trzech kontynentach i choć nie jestem najbogatszą osobą w Rosji, to na pewno znajduję się w pierwszej dziesiątce. To wszystko oddaję do pańskiej dyspozycji. A działania poprawne nie spędzają mi snu z powiek.

Księżna Wołkońska przytaknęła, potwierdzając słowa panienci von Kries.

– Znałam dziadka Ludy – powiedziała. – W młodości zajmował się handlem dalekomorskim, a przy okazji także... – urwała, nie wiedząc, jak dokończyć zdanie.

– Piractwem – dopowiedziała spokojnie dziewczyna. – To co, mam się pożegnać?

– Och, siadajże już! – odburknął alchemik. – Tylko żebyś później nie żałowała.

Luda von Kries pokręciła lekko głową, ale jej mina pozwalała się domyślać, że nie jest niezadowolona z nieoczekiwanej poufałości. Za to księżna Wołkońska rzuciła Rudnickiemu groźne spojrzenie.

– Słuchamy – ponagliła starsza pani, odprawiając gestem stojącego w progu lokaja.

Postawny mężczyzna skłonił się lekko i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Chodzi o Sazkę...

Rudnicki wziął głęboki oddech i zwięźle, bez owijania w bawełnę opisał sytuację.

– Co... co chcesz zrobić? – spytała Maria Wołkońska. Krew odpłynęła jej

z twarzy, siedziała blada jak ściana, trzymając się za serce. – Że też Saszka zawsze musi w coś się wplątać! – zawołała z bezsilną złością.

Rudnicki zaklął pod nosem i użył niewielkiego srebrnego dzwoneczka. Pokojówka pojawiła się jak za skinieniem czarodziejkiej różdżki.

– Lekarstwa księżnej – zadysponował. – Natychmiast!

– Nic mi nie jest – zaprotestowała słabo Maria Wołkońska.

– Pewnie!

Alchemik bezceremonialnie wziął ją za rękę i zmierzył puls.

– Prawie sto dwadzieścia – oznajmił z niezadowoleniem. – Musisz się położyć, a przynajmniej usiąść wygodniej.

– Ależ nie wypada, mamy gościa.

– Jestem pewien, że wnuczka pirata zniesie jakoś ten widok – oznajmił sucho.

Pomógł księżnej przenieść się na sofę, podparł plecy poduszką.

– Masz ten mój medalion? – spytał.

– Tak, cały czas go noszę. Naprawdę już mi lepiej – powiedziała Maria Wołkońska dużo silniejszym głosem. – To była tylko chwilowa słabość.

Nieładna, puciołowata kobieta w białym, pachnącym krochmałem fartuszką podsunęła mu pospiesznie flakonik napełniony rubinowym płynem i szklanekę wody. Rudnicki starannie odmierzył siedem kropel i podsunął naczynie starszej pani.

– Jeszcze dam radę utrzymać szklanekę! – ofuknęła go gniewnie.

– Nie dzisiaj. Pij.

– Nie potrzeba mi żadnych leków!

– Pij! – powtórzył groźnie.

– Olafie Arnoldowiczu!

– Wie ciocia, miewałem i krnąbrnych pacjentów. Muszę jednak uprzedzić, że procedury pozwalające napić takiego chorego są dość krępujące.

Księżna wzdygnęła się, zaskoczona stanowczością bijącą z tonu alchemika, i posłusznie opróżniła szklanekę.

– To szantaż! – burknęła. – Luda świadkiem!

Panienka von Kries odchrząknęła dyplomatycznie, zdawało się, że całą uwagę dziewczyny pochłania kontemplacja jedwabnych tapet.

– Gdzie jest Józef Andriejewicz? – rzucił Rudnicki.

– Pracuje w bibliotece – odparła posłuszna skinieniu Marii Pawłowny pokojówka. – Nie lubi, jak mu przeszkadzać.

– W porządku – powiedział z namysłem Rudnicki. – Niech sobie pracuje. Księżna powinna odpocząć przynajmniej godzinę, później może wstać i zjeść lekki posiłek. Przed spaniem powinna zażyć kolejną porcję tego preparatu, ale jeśli nie będzie pogorszenia, tylko cztery krople. Czy to jasne?

– Tak, proszę pana. – Służąca dygnęła z szacunkiem.

– Gdyby księżna wstała wcześniej niż za godzinę, powiadomisz o tym Józefa Andriejewicza i zapoznasz go z moją diagnozą. Nawet jeśli będzie to wymagało przeszkodzenia mu w pracy.

– Oczywiście.

– Olaf! To przechodzi wszelkie pojęcie!

– Nie denerwuj się, ciociu, odpoczywaj. Dzień, dwa i wrócę tu z Saszką.

Rudnicki pochylił się i pocałował staruszkę w policzek.

Nieoczekiwanie w oczach Marii Wołkońskiej pojawiły się łzy.

– Uważaj na siebie – poprosiła.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił.

Odwrócił się w progu, księżna pobłogosławiła go znakiem krzyża. Alchemik z trudem opanował nerwowy grymas. Przez pewien czas, na studiach, zwracał się ku modnemu wśród intelektualnych elit ateizmowi, ale ostatecznie odstręczyło go powszechne w tym środowisku, zabawne w swoim zadufaniu przekonanie o wyższości argumentów naukowych nad wiarą w sytuacji, kiedy nowe odkrycia z regularnością metronomu rozbijały w pył uznane wcześniej za absolutnie pewne prawdy naukowe. Nie żeby był specjalnie pobożny, przyjmował istnienie absolutu, ale dywagacje religijne pozostawiał teologom, a wszelkie formy kultu ignorował z zimną krwią, uznawszy, że walka o zdrowie i życie pacjentów znaczy w oczach Boga więcej niż coniedzielna wizyta w kościele. Jednak od czasu kiedy poznał pierwsze słowo mocy i ujrzał Przeklętych, Bóg z abstrakcyjnej idei stawał się coraz bardziej i bardziej realny. I nie było to miłe uczucie. Siłą rzeczy wypadało się zastanowić, czy wykorzystanie okruchów boskiej mocy nie wzbudzi Jego niezadowolenia? A jeśli tak, czy nie okaże go tu i teraz?

Cóż, dowiem się tego prędzej czy później, byle nie za szybko, pomyślał z wisielczym humorem Rudnicki.



Wojskowe garaże, a zarazem i warsztaty samochodowe znajdowały się niedaleko koszar Pułku Preobrażeńskie. Wbrew obawom Rudnickiego warta przepuściła ich bez żadnych problemów, wystarczyła wizytówka alchemika. Rzecz jasna, normalna wizytówka, bo Rudnicki nie miał zamiaru cucić z omdlenia pułkownika Turgieniewa, nie mówiąc o tym, że pozbawienie go przytomności nie wydawało się najlepszym sposobem na rozpoczęcie negocjacji.

Turgieniew, istotnie podobny z wyglądu do słynnego pisarza, tyle że bez brody, przyjął ich bez zwłoki, okazując szczególną uwagę Ludmile von Kries, i – jak się wydawało – nie z powodu niezaprzeczalnej urody dziewczyny. A przynajmniej nie tylko dlatego.

– Jedna z moich firm dostarcza wojsku silników i pancerzy – szepnęła mu dyskretnie Luda.

Pułkownik zadośćuczynił towarzyskim wymogom, zonglując przez chwilę grzecznościowymi formułkami, jednak w końcu zapytał wprost o cel ich wizyty.

Rudnicki przełknął nerwowo ślinę, po czym bez ogródek przedstawił sytuację.

Turgieniew wysłuchał go bez słowa, półprzymknięte powieki sprawiały wrażenie, że drzemie, jednak kiedy podniósł wzrok na alchemika, jego spojrzenie było twarde i przytomne.

– Więc chce pan ratować generała?

Rudnicki przytaknął.

– Niepodobieństwo! – ocenił oficer. – Zginie pan w ciągu kwadransa, a co gorsza, pociągnie za sobą innych. Był pan kiedyś w enklawie?

– Wielokrotnie – wycedził alchemik. – A pan?

– Monsieur Rudnicki jest wybitnym alchemikiem i adeptem magii – pospieszyła mu z pomocą Luda von Kries. – Niedawno został wezwany na dwór Jego Wysokości i uleczył następcę tronu.

- Zaraz! To pan brał udział w walkach w pałacu?!
 - Owszem – potwierdził sucho Rudnicki.
 - Przepraszam, że od razu nie skojarzyłem nazwiska. Tak, być może ma pan szansę. Niestety, ja wręcz przeciwnie.
 - Nie rozumiem?
 - Jeśli pozwolę panu zabrać samochody pancerne, stanę przed sądem wojennym i najmniejsze, co mi grozi, to relegowanie z armii. A niewykluczone, że twierdza lub stryczek.
 - Myślę, że nie będzie tak źle – powiedział bez przekonania Rudnicki.
 - Być może, w dużej mierze zależy to od rezultatów pańskiej ekspedycji. Jeżeli uratuje pan Samarina, zostanie pan bohaterem, a ci, którzy panu pomagali, zasłużą na wyrozumiałość Jego Wysokości. Niestety, w przypadku fiaska poszukiwań albo jeśli pan nie wróci, zostanę osądzony z całą surowością. Proszę wybaczyć, ale nie mogę sobie pozwolić na takie ryzyko. Już i tak ze względu na nazwisko moja kariera stoi pod znakiem zapytania.
- Rudnicki zacisnął zęby, ale zanim cokolwiek powiedział, Luda złapała go za nadgarstek.
- Rozumiemy pańskie stanowisko – zapewniła. – A jednak właśnie okazana nam pomoc mogłaby zmienić niekorzystny dla pana układ. Powstała sytuacja w dużej mierze jest wynikiem działań ochrony, a wie pan świetnie, jaki stosunek do *ochrannogo otdielenija* ma generalicja. Stanie się pan ulubieńcem armii!
 - O ile całe przedsięwzięcie zakończy się pomyślnie.
 - Istotnie, wydaje się, że to decydujący czynnik – przyznała ostrożnie dziewczyna. – Jednak szanse są duże, w poszukiwaniach generała weźmie udział dwoje magów, znakomici żołnierze, a jeśli dodamy do tego siłę ognia kilku pańskich maszyn, sukces jest niemal gwarantowany.
 - To chyba jednak zbyt optymistyczne założenie – mruknął Turgieniew.
- Rudnicki rozluźnił napięte mięśnie, mimo ostentacyjnie wyrażanego sprzeciwu wyglądało na to, że oficer zastanawia się nad propozycją.
- Czy jest coś, co w pana opinii mogłoby zminimalizować ryzyko? – spytał ostrożnie.

– Najpierw chciałbym wiedzieć, dlaczego pan to robi?

Alchemik wykonał gest świadczący o irytacji, nie miał ochoty wtajemniczać

dopiero co poznanego człowieka w swoje motywy, ale nie sądził, aby Turgieniew pozwolił się zbyć. No i od okazanej szczerości mogło zależeć powodzenie akcji ratunkowej, a co za tym idzie – życie Samarina i jego żołnierzy.

– Jesteśmy spokrewnieni – odburknął niechętnie. – W zasadzie ten głupek niewiele mnie obchodzi, ale ciocia się martwi, że nie wraca z enklawy.

– Księżna Wołkońska – doprecyzowała Luda von Kries.

Na twarzy oficera odbiło się zdumienie.

– Proszę mi wybaczyć, myślałem, że jest pan Polakiem.

– Jestem. To długa historia – dodał Rudnicki, uprzedzając kolejne pytanie.

– Księżna ma ogromne wpływy wśród arystokracji – powiedział z namysłem Turgieniew. – Zapomniałem, że Saszka jest jej wnukiem. Władze nie będą mogły sobie pozwolić na nagłośnienie faktu, że zostawiły go na pastwę losu. A i generalicja... – urwał, postukując nerwowo w poręcz fotela.

– Więc? – ponaglił Rudnicki.

– Dziesięć tysięcy rubli – wypalił Turgieniew. – Teraz. Jeśli wyprawa się powiedzie, oddam wszystko co do grosza. Jeżeli nie, ta suma pozwoli mi na spokojne życie w cywilu.

– Zgoda! – odparł pospiesznie Rudnicki. – Nie mam przy sobie tylu pieniędzy, ale...

– Ja mam – przerwała mu dziewczyna, sięgając do torebki.

Rudnicki zamrugął z zaskoczeniem, plik banknotów nie porażał rozmiarem, ale i nie musiał: każdy opiewał na pięćset rubli.

Turgieniew bez liczenia cisnął je do szuflady biurka.

– W takim razie chodźmy – rzucił energicznie. – Pokażę wam nasze stalowe potwory.

Alchemik przepuścił go przodem, poczekał na Ludę.

– Dlaczego to zrobiłaś? – szepnął.

– Czy to nie oczywiste? Chciałam, żebyś został moim dłużnikiem – odparła z figlarnym błyskiem w oku.

– Oddam ci te pieniądze!

– Oczywiście. Ale i tak będziesz mi wdzięczny, prawda?

Rudnicki obrzucił ją gniewnym spojrzeniem, dalszą rozmowę przerwał im zgrzyt otwieranych drzwi garażu.

– Oto żelazna pięść naszej armii! – oznajmił z dumą Turgieniew.

Rozległ się trzask przełącznika i obszerną halę zalała jasność. Doskonale widoczne w świetle elektrycznych żarówek potężne sylwetki opancerzonych wozów przypominały przedpotopowe gady. Budziły grozę.

Może jednak mamy szansę, pomyślał alchemik. Może.



Mężczyźni sprawiali wrażenie weteranów, wśród zebranych nie było nikogo poniżej trzydziestki, a dwóch mimo rzucającej się w oczy sprawności fizycznej na pewno przekroczyło pięćdziesiątkę. Rudnicki odwołał gestem Matuszkiną.

– Kiedy ruszamy? – zapytał.

– Ty decyduj.

– Zwariowałeś? Jestem aptekarzem, a nie żołnierzem!

– Oni wszyscy są oficerami, a jeden przewyższa mnie stopniem. Jeśli mamy wyjść z tego cało, musi dowodzić ktoś, kogo zaakceptują. Zaaakceptują bezwarunkowo! – dodał z naciskiem Matuszkin. – Zwróć uwagę na mundury: kawaleria, piechota, jeden artylerzysta, trzech marynarzy. Nigdy nie zgodzą się, żeby rozkazy wydawał im ktoś z *Konwoja*. Rozumiesz, między poszczególnymi rodzajami wojsk występują pewne... animozje.

– Zwariowałeś – powtórzył bezradnie alchemik. – Wyśmieją mnie!

– Tylko jeśli na to pozwolisz, walka o pałac przeszła już do legendy. Wszyscy wiedzą, że uratowałeś carewicza. Wreszcie jesteś magiem, a oni świetnie zdają sobie sprawę, że w enklawie mogą spotkać istoty, które ciężko będzie zabić nawet za pomocą srebrnych pocisków. To dobrzy żołnierze, innych nie brałem, ale potrzebują dowódcy.

– Mam wydawać rozkazy oficerom?!

– Jeżeli chcesz uratować Saszkę i wrócić żywy. Naprawdę nie ma innego wyjścia – zapewnił Matuszkin.

– Co z obsługą samochodów pancernych? Mamy aż trzy wozy.

– Bez obaw, w grupie jest kilku kierowców, a każdy żołnierz da sobie radę z karabinem maszynowym.

Rudnicki jeszcze raz przyjrzał się ludziom, z którymi miał za chwilę wejść do

enklawy, i musiał przyznać rację Matuszkinowi, już teraz wśród ochotników widać było podziały: kawalerzyści rozmawiali tylko ze sobą, podobnie piechurzy i marynarze.

– No dobrze. Zbierz ich. Wyjaśnimy sobie wszelkie niuanse.

– Znakomicie!

Alchemik drgnął, słysząc szorstką wojskową komendę, Matuszkin potraktował jego prośbę dosłownie. Jeszcze bardziej niepokojący był fakt, że ludzie, którzy w normalnych okolicznościach nie podaliby mu nawet ręki, teraz prężyli się przed nim w pozycji na baczność.

– Za chwilę wejdziemy do enklawy – rozpoczął Rudnicki. – To dla was nieznaną teren i obowiązują tam inne reguły. Zapomnijcie o swoich stopniach wojskowych i przydziałach, bo w tym momencie nie mają one żadnego znaczenia. Łańcuch dowodzenia przedstawia się następująco: ja, panienka Anastazja, Matuszkin. Jeśli cała nasza trójka zginie, kolejnego dowódcę wybieriecie sami. Wszystko będziecie robić w trzyosobowych zespołach, a utworzymy je w najprostszym sposobie: odliczycie do trzech.

Matuszkin, nie czekając na polecenie, wydał kolejną komendę i alchemik zauważył z zadowoleniem, że w żadnej z trójek nie widać mundurów tego samego koloru.

– Żyjących w enklawie demonów nie obchodzą wasze spory, one chcą zabić wszystkich, dlatego musicie się bronić i strzec nawzajem. Zdekompletowane zespoły nie będą łączone z innymi! Ktoś, kto straci towarzysza, będzie mógł liczyć tylko na siebie. A teraz do rzeczy: mamy trzy wozy bojowe, dwa Nakaszidze-Charron i jednego Russo-Bałta. To dostateczna siła ognia, aby zmieść wszystko, co stanie nam na drodze. No, prawie wszystko. To zadanie będzie spoczywało na was. Jeżeli zagrożenie wyjdzie poza skalę, zajmę się nim ja i Anastazja. Pytania?

– Mam słuchać rozkazów kobiety? – odezwał się niewysoki, krępy mężczyzna w marynarskim mundurze.

Rudnicki odetchnął z ulgą, najwyraźniej ochotnicy zaakceptowali jego przywództwo, a kłopot mieli jedynie z Anastazją. W sumie nic dziwnego, sytuacja kobiet w Rosji niewiele się zmieniła od czasów Iwana Groźnego i nikomu nie przyszłoby do głowy, że któraś z nich może pełnić funkcję lidera.

– Gazety piszą, że uratowałem następcę tronu, ale to niezupełnie prawda – odparł. – Pomogli mi w tym inni, wśród nich i Anastazja. Widziałem na własne oczy, jak gołymi rękoma zabiła kilku napastników, umożliwiając mi ucieczkę z carewiczem. Więc tak! Będzie pan słuchał rozkazów kobiety! Może pan też zrezygnować z wyprawy. Inna opcja, choć zdecydowanie bym jej nie polecał, to rzucenie wyzwania Anastazji. Tu i teraz. Tyle że w takim wypadku nasza grupa zmniejszy się o jedną osobę i z pewnością nie będzie to moja kuzynka.

Marynarz otaksował wzrokiem Anastazję, dziewczyna odpowiedziała wywołującym dreszcze uśmiechem.

– Wycofuję zastrzeżenia – mruknął.

Rozległ się stłumiony dla przyzwoitości i nieco nerwowy chichot. Widać oficerowie doszli do wniosku, że lepiej nie prowokować panienki Anastazji. Znaczący poszczęściło mi się, pomyślał Rudnicki. To rzeczywiście weterani.

– Do wozów! – zakomenderował. – Pozostali utworzą pieszą kolumnę.

Alchemik zerknął nerwowo na Matuszkińskiego, lecz ten tylko skinął lekko głową, jakby wydawanie rozkazów przez nie dość, że Polaka, ale do tego cywila było najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. Jednak satysfakcja zniknęła niczym kropla wody na rozgrzanej płycie, kiedy strzegący bramy żołnierze otworzyli wzmocnione srebrem wrota. Zawarczały silniki, o bruk zadudniły podkute buty i w chwilę później znaleźli się w innym świecie. W enklawie.



Rudnicki odkorkował niewielką buteleczkę i posmarował górną wargę mazidłem o zapachu mięty i rumianku. Specyfik miał likwidować mdłości. Oficerowie jednomyślnie uznali, że jako dowódca wyprawy powinien dołączyć do załogi najlepiej uzbrojonego Russo-Bałta. Potężny pancerny potwór już kilkakrotnie demonstrował swoją moc, grube stalowe blachy i trzy ciężkie karabiny maszynowe Maxima czyniły go podobnym do ruchomej twierdzy. Wspierany przez pozostałe wozy, torował drogę w przypadku zagrożenia przez faunę enklawy. Tyle że na skutek jakiejś konstrukcyjnej wady przedział dla załogi wypełniony był oparami benzyny. Na żołnierzach nie robiło to większego wrażenia, ale alchemik od początku podróży zmagiał się z nawracającymi

atakami nudności.

– Wjeżdżamy na plac – poinformował szpakowaty kierowca w mundurze majora. – To chyba Matrosskaja Słoboda. Zaraz będą koszary, dalej cmentarz i stacja kolejowa.

– Do koszar! – zadysponował Rudnicki. – Musimy odpocząć. Jeżeli będziemy mieli szczęście, może znajdziemy jakiś trop.

– Rozsądnie – przytaknął z aprobatą major. – W nocy wolałbym mieć jakiś dach nad głową.

Rudnicki skinął potwierdzająco, dopiero po chwili zorientował się, że zajęty jazdą oficer nie zauważył jego gestu.

– Tak. W budynku lepiej się bronić. Tak myślę – dodał, uświadomiwszy sobie, że każdy z załogantów przewyższa go o głowę doświadczeniem i wiedzą wojskową.

– Nie będziemy w stanie obsadzić całych koszar, nawet nie warto próbować. Tam stacjonował pułk artylerii i kompania balonowa – wtrącił wysoki, czarniawy kapitan nazwiskiem Korniejew.

– Co pan proponuje?

– Bywałem w tej jednostce. Najbardziej odpowiedni będzie chyba magazyn broni. Zmieścimy się tam bez trudu, a to najlepiej ufortyfikowany budynek w okolicy: pancerne drzwi, kraty w oknach, grube mury. Co prawda bez wygod, ale ostatecznie można się przespać i na podłodze.

– *Gospodin major?* – spytał Rudnicki.

– Może być – odparł kierowca. – Łóżka albo same materace ściągniemy z kazarmy, a samochody posłużą nam jako punkty ogniowe. Do tego może uzupełnimy zapasy amunicji, trochę jej dzisiaj poszło.

– Zwycięskie pociski nie przydadzą nam się na nic.

– W magazynie powinny być i srebrne – zapewnił major. – Niedużo, ale dla nas wystarczy. Zgodnie z przepisami, każda jednostka znajdująca się w odległości mniejszej niż sto wiorst od enklawy powinna dysponować srebrną amunicją. Na wszelki wypadek. Dawniej te koszary znajdowały się tuż przy murze, enklawa połknęła je dopiero w dziewięćset trzynastym.



Wjechali do koszar, major zatrzymał wóz przed jednopiętrowym, masywnym z wyglądu budynkiem z okratowanymi oknami. Ani chybi skład broni. Pozostałe samochody pancerne ustawiły się po bokach Russo-Bałta, tworząc formację obronną, której tyły zabezpieczał magazyn.

Rudnicki wygramolił się z automobilu i z ulgą odetchnął świeżym powietrzem. Ponaglani przez Matuszkińskich oficerowie natychmiast zajęli pozycje strzeleckie, tak jakby lada moment miał nastąpić atak. Do alchemika podszedł

jedynie major-kierowca, widocznie w grupie zdążyła się utworzyć niejasna na pierwszy rzut oka hierarchia.

– Mamy problem – oznajmił. – Drzwi są zamknięte na głucho, a nie wzięliśmy materiałów wybuchowych. Zresztą lepiej byłoby ich nie niszczyć. Może by tak wykorzystać jakieś... niekonwencjonalne metody?

Zanim Rudnicki zdążył odpowiedzieć, u wejścia do budynku pojawiła się Anastazja, stuknęła pięścią w pancerną płytę.

– Zastanowimy się nad tym – obiecała. – A teraz lepiej będzie, jeśli dołączy pan do kolegów.

Oficer oddalił się bez słowa sprzeciwu.

– I co z tym zrobimy? – spytał Rudnicki. – Wiesz, jak je otworzyć?

– Teoretycznie.

– Co znaczy teoretycznie?! – syknął. – Nie widzisz, że oni nas sprawdzają? Jak nam się nie uda, nasze przywództwo diabli wezmą!

– Uda się, uda. To nic trudnego. Pamiętaj, jak stworzyłeś królika?

– Owszem, i co z tego?

– Tu musisz zrobić to samo, tylko zamiast królika wyobraź sobie wytrych.

– Zwariowałaś?! Nie jestem włamywaczem! Zresztą tu są trzy zamki!

– I możesz otworzyć wszystkie naraz! To tylko kwestia idei. Przy użyciu prawdziwych wytrychów istnieje wiele ograniczeń, w magii nie ma żadnych.

– Mam wyobrazić sobie wytrych, który otworzy trzy zamki naraz?

– Dokładnie.

– A dlaczego ty się za to nie weźmiesz?

– Powinieneś ćwiczyć – odpowiedziała prędko dziewczyna.

Rudnicki zmarszczył brwi, w głosie Anastazji zabrzmiała jakaś fałszywa nuta.

– A jeżeli ci rozkażę?

Anastazja splotła nerwowo palce, skubnęła wystającą spod mankietu męskiej marynarki koronkę.

– Nie wiem, czy mi się uda – przyznała, spuszczając wzrok. – To wymaga sporej koncentracji, a ja nie jestem w stanie przywołać przedmiotu dłużej niż na kilka sekund. Jesteś w tym dużo lepszy.

– Ja? Lepszy od ciebie?

– Nie we wszystkim. Jedynie w wykorzystaniu tego akurat symbolu. A teraz lepiej zabierz się do roboty, zanim tamci stracą cierpliwość – dodała, odzyskując animusz.

– Więc mam wyobrazić sobie wytrych?

– Tak. Jego kształt nie ma znaczenia, liczy się twoje przekonanie, że może otworzyć wszystkie zamki.

Alchemik przymknął oczy i wyciągnął przed siebie rękę. Po chwili w jego dłoni pojawił się dziwnie wyglądający kawałek metalu.

– Teraz wsuń go w zamek.

Rudnicki zaklął, wytrych nie pasował do otworu.

– Pomniejsz go. Jeszcze raz!

Kilka kolejnych prób nie dało żadnego rezultatu, wreszcie alchemikowi udało się wsunąć wytrych w zamek.

– Przekręć go. Musisz jakoś aktywować zaklęcie.

– Nie mogę! Zablokował się.

Rudnicki usiadł wyczerpany wysiłkiem, otarł pot z czoła.

– To nie jest problem mechaniczny – pocieszyła go Anastazja. – Jedynie kwestia wyobraźni.

– Nie umiem wyobrazić sobie wytrychu otwierającego trzy zamki naraz.

– To wymyśl coś innego.

– Mówiłaś o wytrychu!

– Bo skojarzył mi się z zamkniętymi drzwiami. Ale to może być cokolwiek. Oczywiście w granicach rozsądku, magiczna, spełniająca życzenia kula odpada.

– A to dlaczego? Mówiłaś, że nie ma żadnych ograniczeń.

– W ramach praw wyższego rzędu – westchnęła Anastazja, jakby tłumaczyła coś wyjątkowo tępemu dziecku.

– Jakich praw?

– Tych, które On ustanowił. Dzięki magii można je naginać lub nawet chwilowo zawieszać ich działanie, ale nikt nie jest w stanie całkowicie zmienić zasad rządzących twoim czy moim wszechświatem. To kwestia nie tylko wiedzy i wyobraźni, ale też mocy. Weźmy choćby te drzwi: teoretycznie można je wysadzić w powietrze albo zniszczyć, bo ja wiem... taranem. Tylko że jedno i drugie wymagałoby stworzenia rzeczy o odpowiedniej masie, a w takim

wypadku cała energia musiałaby pochodzić od ciebie. Nie! Nawet nie myśl o tym! – powiedziała ostro. – Umarłbyś z wyczerpania.

– No tak, trzeba by stworzyć przynajmniej kilkanaście, o ile nie kilkadziesiąt kilogramów trotylu, a taran musiałby ważyć z tonę.

– Wreszcie zaczynasz pojmować.

– Stworzyłem wytrych, jednak nie zadziałał. Z jakiego powodu? Co prawda nigdy w życiu nie widziałem takiego przyrządu, ale przecież powiedziałeś, że wystarczy sama idea.

– Nie do końca. To moja wina – przyznała dziewczyna. – Zanim cokolwiek stworzysz, musisz mieć ogólne pojęcie, czym jest dana rzecz i na jakiej zasadzie działa. Dlatego twój królik kicał, a smok ział ogniem. Tyle że to było łatwe, te twoje zabaweczki mogły ważyć tyle co nic i pełniły jedynie funkcję rozrywkową. Tu sprawa jest trudniejsza, bo chcesz uzyskać określony efekt, a te drzwi są rzeczywiste i żeby pokonać opór zamka, trzeba wykonać konkretną czynność, na przykład przesunąć zapadki.

– Zapadki, zapadki – wymruczał Rudnicki. – Taaak. Zobaczmy.

Alchemik wymówił cicho słowo mocy i nagle w górnym zamku pojawił się klucz. Mężczyzna natychmiast go przekręcił.

– To jeden! – oznajmił, oddychając ciężko. – Dwa! – powiedział, powtarzając czynność przy kolejnym zamku. – I trzy!

Zachwiał się i gdyby nie Anastazja, upadłby na ziemię.

– Zawsze byłem dobry w mechanice – wymamrotał. – Sprawdź, czy podziałało – poprosił.

Dziewczyna pchnęła drzwi i pancerna płyta ustąpiła przy akompaniamencie zgrzytu zawiasów.

– *Gospoda oficery* – zaprosiła.

Ochotnicy natychmiast zaczęli wносить do budynku zapasy jedzenia i amunicji.

– Nic panu nie jest? – zapytał szpakowaty major.

Rudnicki zaprzeczył apatycznym ruchem głowy.

– To tylko zmęczenie – powiedział. – Muszę odpocząć.

– Ufortyfikujemy magazyn, samochody pancerne przesuniemy tak, żeby blokowały drzwi, a jednocześnie umożliwiały nam ewentualny kontratak. Co

pan na to?

– Zgoda. Na wypadek komplikacji słuchajcie poleceń Anastazji.

Oficer przytaknął bez wahania. Wyglądało na to, że kwestia przywództwa nie budzi już niczyich wątpliwości.



Rudnicki dokończył smaczną, choć nieco zbyt tłustą konserwę, zagryzł suszonymi owocami. Matuszkin bez pytania dołączył mu herbaty.

Siedzieli w trójkę wraz z Anastazją przy osobnym, oddalonym od innych stole. Jeszcze poprzedniego dnia oficerowie ściągnęli do magazynu materace i trochę mebli, co pozwoliło przystosować budynek dla potrzeb grupy.

– Trzeba zdecydować, jaki będzie nasz następny krok – powiedział Rosjanin.

– Proponowałbym też zaprosić na naradę Winniczuka.

– Który to? Ten szpakowaty major?

– Tak.

– Co za jeden?

Matuszkin skwitował pytanie gestem świadczącym o zniecierpliwieniu.

– Czy to ważne?

– Jak najbardziej – potwierdził alchemik. – Chcę wiedzieć, jakie ma kompetencje.

– Daleki zwiad – mruknął niechętnie pułkownik. – Rajdy na tyłach wroga i tym podobne.

– No dobrze, zawołaj go.

Nic w wyglądzie Winniczuka nie predestynowało go do roli zwiadowcy. Szczupła, żylasta sylwetka, wysokie czoło i okulary sprawiały, że przypominał raczej wykładowcę wyższej uczelni. Tylko bezbłędna koordynacja ruchów – przysiadł się do stołu, balansując napełnionym po brzegi kubkiem herbaty, nie uroniwszy nawet kropli – świadczyła, że pierwsze wrażenie niekoniecznie musi być trafne.

– *Sudarnia, gospoda...* – przywitał się uprzejmie.

– Zastanawiamy się, co dalej – zagaił rozmowę Rudnicki. – Bo na razie nie widzieliśmy żadnego śladu Saszki ani terrorystów.

– Jakieś dwie wiorsty dalej na północ, tuż za cmentarzem, znajduje się stacja Ohta. I budynek dworca. To drugi po koszarach oczywisty punkt oporu. Terrorysty niekoniecznie zwróciliby na niego uwagę, ale generał Samarin na pewno – odezwał się Winniczuk po namyśle.

– Dlaczego uważa pan, że mag by się tam nie zatrzymał? – wtrąciła Anastazja.

– Myślę, że raczej nie przeszedł szkolenia wojskowego, a więc patrzy na ten budynek jak cywil. Nie zainteresuje go fakt, że opanowanie dworca oznacza kontrolę jedynej w okolicy linii kolejowej. Co prawda pociągi w enklawie nie jeżdżą, ale oficer, tak czy owak, rozlokowałby się na dworcu, o ile nie w koszarach. Wreszcie Samarin ma tylu ludzi, że może obsadzić dworzec, a uciekinierów, włącznie z magiem, jest ledwo kilku. Lepiej dla nich byłoby zająć jakieś mieszkanie w zwykłej kamienicy, tam w razie czego bez trudu zablokują schody, a przecież muszą się liczyć z pościgiem, nie mówiąc o lokalnych zagrożeniach.

– Logiczne – przyznał Matuszkin.

– To, że musimy udać się na dworzec, raczej nie ulega wątpliwości – kontynuował Winniczuk. – Problem w czym innym. Najlepiej byłoby kontynuować umacnianie magazynu broni, a na dworzec wysłać patrol, bo w razie napotkania na silny opór zwiadowcy mieliby się gdzie wycofać. Gorzej z określeniem liczebności patrolu i przydzieleniem mu odpowiedniego wyposażenia, bo jeśli wyślemy zbyt małe siły, mogą zostać zniszczone, a jeżeli zbyt duże, pod ich nieobecność zagrożone będzie nasze dotychczasowe lokum.

– Co pan proponuje? – spytał Rudnicki.

– Wydaje mi się, że rozsądnym kompromisem będzie wysłanie na zwiad Russo-Bałta i jednego wozu Nakaszidze-Charron. Russo-Bałt dysponuje największą siłą ognia, drugi samochód pancerny zapewni mu wsparcie.

Matuszkin skinął głową, a Anastazja wzruszyła ramionami.

– W takim razie załatwione! – zdecydował alchemik.

– Jest jeszcze jedna kwestia – odezwał się niegłośno Winniczuk. – Dobrze by było, gdyby ktoś z państwa uczestniczył w zwiadzie. Na wypadek spotkania z tym magiem albo wyjątkowo niebezpieczną fauną enklawy.

Rudnicki zacisnął z chrzęstem pięści, ale po chwili rozluźnił je siłą woli.

Mimo że nikt nie wymienił jego nazwiska, było oczywiste, że major, a wraz z nim wszyscy inni spodziewają się, że to właśnie on zgłosi się na ochotnika. Jeżeli zaproponuje kandydaturę dziewczyny, jego z trudem budowana reputacja w tym samym momencie legnie w gruzach. A kto wie co jeszcze ich czeka? Lepiej, żeby nikomu nie przyszło do głowy kwestionowanie jego pozycji.

– W porządku – westchnął alchemik. – W takim razie...

– Panowie, mamy gości! – przerwał im Korniejew.

W głosie kapitana brzmiała troska, nieledwie panika, więc Rudnicki popędził do okna.

Na plac naprzeciwko magazynu wyszedł niewysoki, szczupły mężczyzna. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że jego sylwetkę otaczała gęstniejąca z każdą chwilą mgła. Biała jak mleko fala zatopiła część okolicznych budynków i zatrzymała się w miejscu niczym Morze Czerwone na gest Mojżesza.

– Wszyscy na stanowiskach. Czekamy na rozkaz otwarcia ognia – zameldował Matuszkin.

– Nie strzelać! – rzucił alchemik. – Oni chyba nie chcą walczyć.

– Oni? – podchwyciła Anastazja.

– W tej mgle ukrywa się przynajmniej kilkadziesiąt osób. I nie są to zwierzęta – doprecyzował Rudnicki.

– Może pan dostrzec, czy mają broń? – zapytał szybko Winniczuk.

– Nie, widzę za to linie pól magicznych – odparł ponuro alchemik. – To adepti albo stworzenia enklawy. Rozumne stworzenia...

– Kilkudziesięciu adeptów? Niemożliwe! – stwierdziła Anastazja. – A jeżeli to... – urwała, zagryzając wargi. – Na pewno więcej niż kilku? Nie mylisz się?

Rudnicki otarł załzawione oko i spiorunował ją wzrokiem.

– Trzydzieści, może czterdzieści osób – oświadczył stanowczo. – Nie mogę dokładnie policzyć, bo poruszają się bez przerwy.

– No to już wiemy, dlaczego Saszka nie wrócił – powiedziała dziewczyna. – Bo nie sądzę, żeby to był przypadek. Musimy porozmawiać – zwróciła się do alchemika. – Natychmiast. Matuszkin! W żadnym wypadku nie wolno wam strzelać, chyba że oni zaczną. Zrozumiałeś?!

– Tak jest! – odparł posłusznie Rosjanin.

Anastazja złapała Rudnickiego za rękę i poprowadziła do sąsiedniego pomieszczenia.

– To księżę – szepnęła mu na ucho. – Do enklawy przybył księżę.

– A dokładniej? Bo rozumiem, że nie chodzi o arystokrację w potocznym rozumieniu tego słowa?

Dziewczyna potwierdziła skinieniem głowy.

– My też mamy swoją hierarchię. Księżę to ktoś pomiędzy... takimi jak ja a Szepczącymi. Zawsze otoczony świtą zniewolonych wasali, potężny i śmiertelnie niebezpieczny.

– Na ile groźny dla nas? Mamy wozy pancerne i ciężkie karabiny maszynowe. Widziałas wczoraj, co potrafią.

– A ty widziałeś tę mgłę? Jakby co, będziemy mogli strzelać tylko na ślepo, nie dałabym też złamanego grosza, czy oni nie mają jakichś dodatkowych zabezpieczeń. No i na pewno potrafią posługiwać się słowami mocy. Na poziomie adeptów albo lepiej. A jeśli zaatakują? Kto wie jakie symbole znają?

– Co zrobimy?

– Musimy porozmawiać z księciem. Bo on najwyraźniej chce negocjować, inaczej dawno poszczułby na nas swoje suki.

– Kogo?!

Anastazja niecierpliwym gestem odgarnęła włosy, nerwowo splotła palce.

– Mówiłam ci, że naszym wszechświatem kieruje chęć dominacji. Pokonani w walce rzadko są zabijani, przeważnie muszą służyć zwycięzcy. Służyć pod każdym względem. Wolałabym nie wdawać się w szczegóły. To mężczyzna, więc jego orszak stanowią kobiety.

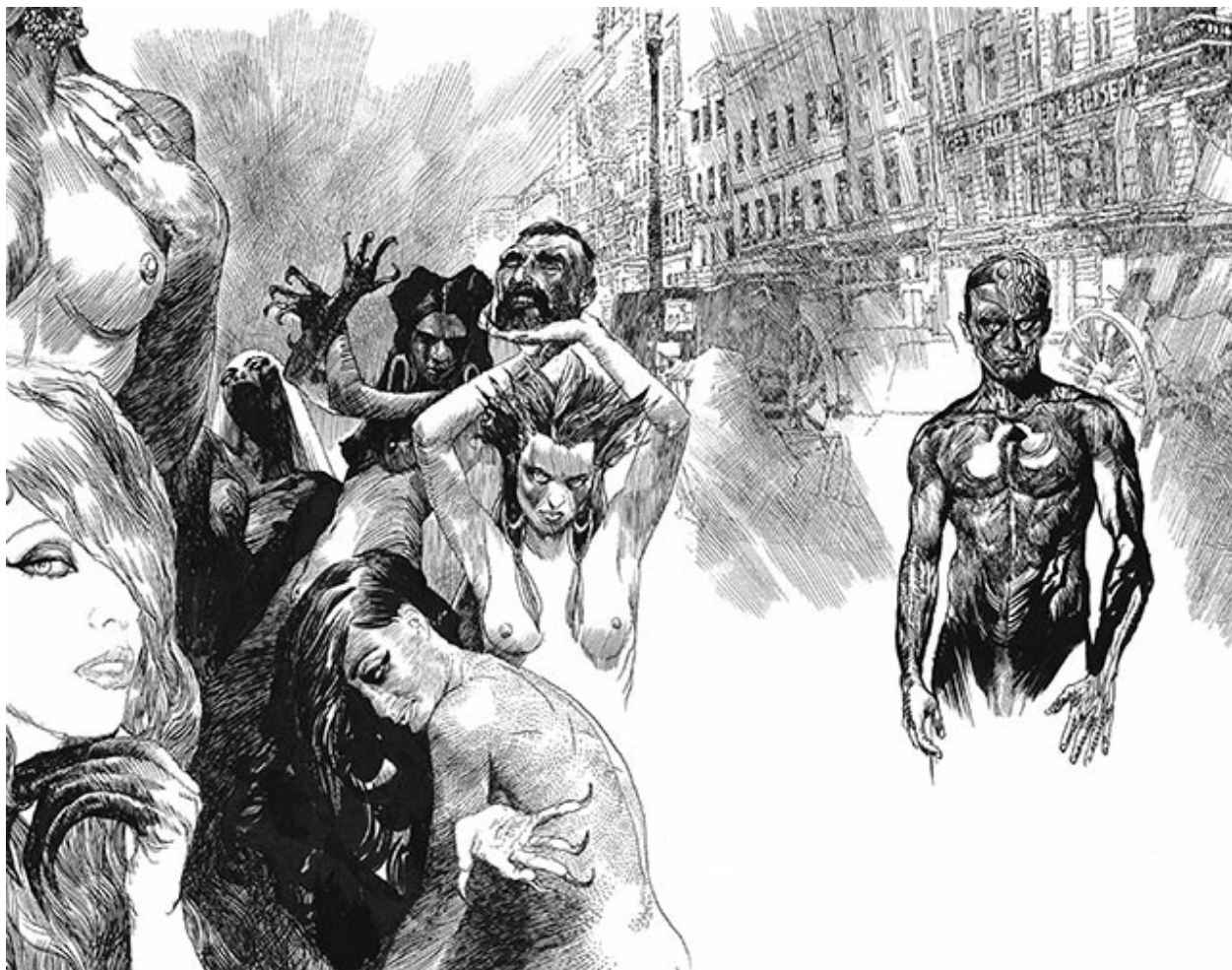
– Rozumiem, ale suka to chyba zbyt mocne określenie?

– Skąd! To całkowicie adekwatny termin. One wykonają każdy jego rozkaz i są mu absolutnie wierne. Księżę się nas boi, a przynajmniej czuje respekt, jestem pewna, że te wczorajsze ataki były tylko sprawdzianem naszych możliwości.

– I co teraz?

– A co ma być? Musimy z nim pogadać, dowiedzieć się, czego chce.

Dalszą rozmowę przerwało im dyskretne chrząknięcie, w drzwiach stanął Winniczuk.



– Przepraszam, że przerywam, ale on coś rzucił pod drzwi magazynu – powiedział. – Matuszkin pyta, jak zareagować. Nie wie, czy wysłać kogoś na plac, czy zignorować tę przesyłkę. Teoretycznie rzecz biorąc, samochody mogą osłonić zwiadowcę, chyba że w grę wejdzie magia...

– Wozy pozostają na stanowiskach, ale niech ktoś przyniesie tę paczkę – zdecydował Rudnicki. – Gdyby to był wstęp do ataku, lepiej stracić jednego człowieka, niż ryzykować wszystko – wyjaśnił, widząc minę Winniczuka.

Tamten po namyśle przyznał alchemikowi rację niechętnym pomrukiem.

– No dobrze – westchnął. – W takim razie nie ma na co czekać. Chodźmy.

Zdawało się, że mgła jeszcze zgęstniała, białe pasma wirowały wokół nóg nieznanego jak łaszące się psy.

– Kto przyniesie ten... prezent? – spytał alchemik.

– Ja – odparł sucho Winniczuk. – Otwórzcie!

Rudnicki przyczał się przy otwartym oknie, zacisnął palce na butelce z homunkulusem, ale zaklinający mgłę mężczyzna nie wykonał najmniejszego ruchu. Ponownie szczęknęły drzwi i do magazynu wrócił Winniczuk.

– *Gospodin alchimik*, powinien pan to zobaczyć. – Rosjanin położył na stole okrągły przedmiot owinięty w przesiąkniętą krwią tkaninę.

Rudnicki odwinął materiał, starając się nie okazać obrzydzenia, pod gardło podjechała mu fala żółci: wewnątrz znajdowała się głowa Baturina.

V

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Mięśnie na policzkach mężczyzny nieustannie falowały, jakby pod jego skórą znajdowało się kłębowisko węży. Rysy to wyrażały absolutną doskonałość, to przywodziły na myśl odrażającą maskę o zwierzęcych cechach.

Niespodziewanie w dłoni nieznanego pojawił się nóż, mężczyzna przejechał ostrzem po przedramieniu i na bruk kapnęło kilka kropel ciemnej, niemal czarnej krwi.

– Rób to, co on! – syknęła Anastazja.

– Nie mam noża.

– Więc go stwórz!

Alchemik sapnął ze złością, najwyraźniej rytuał – bo na pewno chodziło o rytuał – był znany wszystkim poza nim. A panienska Anastazja nie raczyła udzielić żadnych wyjaśnień w tej kwestii.

Użył symbolu, zmagając się z podświadomą obawą, czy słowo mocy zadziała, ale w tej samej chwili poczuł pod palcami solidny obły kształt. O dziwo, zamiast zwykłego ostrza pojawił się nóż sprężynowy, podobny do tego, którym pchnięto go w serce, kiedy polowała na niego banda Szabra.

Ukłuł się w palec i na ziemię upadła jeszcze jedna, tym razem purpurowa kropla.

– Co teraz?

– To Krąg – odparła Anastazja. – Miejsce, w którym nikt nie może użyć przemocy, bo zginie. Teraz będziemy rozmawiać.

– On zna rosyjski albo polski?

– Zaraz się przekonamy.

– Od czego to zależy?

– Od tego, kiedy ostatnio odwiedził wasz świat. Bo że odwiedził, nie ulega

wątpliwości, zbyt dobrze orientuje się w realiach.

Rudnicki zacisnął zęby, zgadzając się w duchu z oceną dziewczyny, podrzucenie głowy Baturina trudno było potraktować inaczej niż jako wyzwanie, być może też i próbkę możliwości Przeklętego.

– To co? Czekamy?

– Czekamy – potwierdziła.

Nie trwało to długo. Dźwięk oscylował na granicy percepcji, wznosił się i opadał w powolnych, majestatycznych kadencjach. Końcowy ton pobrzmiwał pytaniem. I gniewem.

Anastazja odpowiedziała, nie otwierając ust, jej twarz przybrała wyraz uduchowania, niemalże ekstazy.

– Co się dzieje? – spytał nerwowo Rudnicki.

– Tak jak mówiłam, to księżę. Przybył niedawno do tej enklawy i chce się z niej jak najszybciej wydostać. Trafił na ludzi, których ścigał Saszka, i wziął ich do niewoli. Spotkał też samego Saszkę, niestety, wynik starcia nie był korzystny dla naszego kuzyna. Teraz trzyma go w szachu.

– To znaczy?

– Blokuje budynek dworca, w którym zabarykadował się Saszka ze swoimi żołnierzami. Jeśli nie spełnimy jego żądań, grozi, że wszystkich zabije.

– Żądań?! Zabił Baturina i czort wie ilu ludzi!

– Chcesz, żeby to samo zrobił z Saszką i z nami?

– Gdyby wierzył, że nas pokona, nie negocjowałby. To nie ten typ! – zripostował gniewnie alchemik.

– Wręcz przeciwnie, on uważa, że dałby nam radę. I wiesz co? Niewykluczone, że ma rację. Tyle że jego priorytetem jest wydostanie się na wolność, a jeśli w walce z nami straci połowę swoich akolitek, jego szanse na opuszczenie enklawy gwałtownie spadną. A co do walki, to ciekawa jestem, ilu ludzi jesteś gotów poświęcić, aby dowieść swoich racji. Bo nawet jeśli wygramy, na pewno nie obejdzie się bez strat. Jesteś pewien, że nie zaraziłeś się od niego żądzą władzy?

Zanim Rudnicki zdążył odpowiedzieć, nieznajomy wydał śpiewny, wiercący w czaszce trel o zdecydowanie pytającym zabarwieniu.

Tym razem na reakcję Anastazji musiał poczekać dobrą chwilę, wydawało się,

że dziewczyna nie ma ochoty udzielać wyjaśnień, czegokolwiek by dotyczyły.

Alchemik wzdrygnął się, kiedy spoczęło na nim spojrzenie żółtych jak u kota oczu. O dziwo, we wzroku Przekłętego wyczytał niechętny szacunek.

– Co znowu? – wymamrotał.

– Spytał mnie o ciebie i musiałam mu powiedzieć, że jestem twoją niewolnicą – oznajmiła bezbarwnym tonem dziewczyna.

– Kim?!

– Niewolnicą. Bo przecież to właśnie oznacza przysięga, którą na mnie wymogłeś.

– Ja nigdy...

Anastazja przerwała mu znużonym gestem.

– Wiem, że nie zmuszałbyś mnie do... wielu rzeczy, ale on tego nie pojmuje. Dlatego bierze cię teraz za kogoś niemal dorównującego mu rangą.

– Trzeba to wszystko omówić z Rosjanami. Te jego warunki.

– W żadnym wypadku! To my i tylko my musimy podjąć decyzję. Rozumiesz, on postawił takie żądania, których lepiej nikomu nie wyjawiać.

– A mianowicie?

– Nie rozmawialiśmy o detalach, ale chce, żeby wypuścić go z enklawy. Wtedy pozwoli odejść Saszce i odda nam terrorystów, którzy napadli na pałac.

– Cóż...

– To nie wszystko. Jest jeszcze jeden wymóg. Muszę mu złożyć obietnicę krwi.

– Nie rozumiem. Jaką obietnicę?

– On ci nie zaufa. Nie zaufa nikomu. Dlatego mam być gwarantem umowy. Jeśli jej nie dotrzymasz, będę musiała cię zabić.

– Myślałem, że nie możesz mnie skrzywdzić.

– Owszem. Dlatego on żąda, żebyś mnie zwolnił z przysięgi wierności i zrezygnował z władzy nade mną.

– Czyli mam go wypuścić na swobodę wraz z całą ekipą? Pod groźbą śmierci?

– Tak.

– Zwariowałaś! Co go powstrzyma przed spaleniem połowy Petersburga?!

– Nic. I zrobi to z przyjemnością. W jego oczach jesteście zwierzętami pełzającymi po ziemi tylko dla satysfakcji takich jak on.

– Nie możemy się na to zgodzić!

– W takim razie Saszka zginie, a wraz z nim i my. On ma blisko pięćdziesiąt niewolnic tutaj i ponad dwadzieścia wokół dworca. A sam... – Dziewczyna przygryzła wargi. – Boję się go – wyznała.

– Może przesadza?

– Nie. Żaden *theokatáratos* nie może skłamać w Kręgu.

– Ale my dysponujemy samochodami pancernymi i umocnioną pozycją! Anastazja zbyła argument wzruszeniem ramion.

– W czasie przejścia do innego uniwersum tracimy większość mocy. Tu, na miejscu, musimy odbudowywać ją latami. Tylko dlatego daliście radę stworzyć enklawy, bo ci, którzy zjawili się jako pierwsi, byli zbyt słabi, żeby wam przeszkodzić. Księżę to inna sprawa...

– A to dlaczego?

– Istnieją metody, które pozwalają bezpiecznie pokonać korytarze łączące nasze wszechświaty. Na przykład niewolnicy mogą osłonić swojego pana kosztem własnego życia i zdrowia. Dlatego księżę dysponuje pełnią mocy, podobnie jak i niektóre z jego akolitek. Te ulubione. Reszta pozostaje na poziomie zwierząt i zanim odzyska świadomość, nie mówiąc o mocy, miną lata, o ile nie dekady. Niemniej jednak nawet pozbawione magii są śmiertelnie niebezpieczne. Na pewno spotkałeś podobne do nich w enklawie.

Rudnicki z trudem przełknął ślinę, rozluźnił spięte do bólu mięśnie.

– Spotkałem – wymamrotał. – Tak czy owak, musimy pogadać z Matuszkinem. Nie musimy mu wszystkiego mówić, ale sami nie damy rady. Żołnierze strzegący muru nie posłuchają mojego rozkazu.

– Pamiętaj, że umowy trzeba będzie dotrzymać literalnie, w każdym szczególe – uprzedziła dziewczyna.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł ponuro alchemik. – A teraz wracamy.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i pomaszerował w stronę magazynu broni. Nikt nie próbował go zatrzymać, a niebawem usłyszał za plecami stukot bucików Anastazji, ale wiedział, że nawet pod ochroną murów nie będzie bezpieczny. I nie tylko on. Enklawa była pułapką mającą zatrzymać obce, wrogie ludziom byty, tyle że każde okowy mają określoną wytrzymałość. Tymczasem w potrzask na wilki wpadł tygrys. Czy pęta oprą się jego sile? Alchemik w to

wątpił. A jeśli zostaną skruszone, w łańcuchu pokarmowym pojawi się jeszcze jedno ogniwo. Na samej górze.



Rudnicki przedstawił Matuszkinowi żądania Przekłętego, pomijając jedynie rolę, jaką miała pełnić Anastazja. Rosjanin wysłuchał relacji z uwagą, lecz ku zdziwieniu alchemika na jego twarzy odmalowało się nie wzburzenia, ale ulga.

– Najważniejsze, że Saszka żyje – powiedział. – Przyzwyczailem się do takich rzeczy na Kaukazie – dodał, widząc pytający wzrok rozmówcy. – Tam szantaż, porwania dla okupu czy branie zakładników to codzienność.

– Jak możesz być taki spokojny? Postawili nas pod ścianą!

– I tak, i nie, bo przecież możemy negocjować. Nie sądzę też, żebyśmy musieli dotrzymać danego im słowa. Ktoś, kto grozi śmiercią zakładnikom, zasługuje tylko na kulę w łeb!

Rudnicki roześmiał się bezradośnie, zabębnił palcami w stół.

– Musimy. Inaczej zginę. Magia – wyjaśnił krótko.

– W takim razie zrobimy, czego zażądatają, ale i oni będą musieli obiecać, że zaraz po odzyskaniu wolności nie zaczną mordować. To warunek *sine qua non*.

– A jeśli się nie zgodzą?

– W takim wypadku będziemy się bić. Saszka jest oficerem, zrozumie – odparł twardo Matuszkin.

– Co mam powiedzieć ludziom? Jak wyjaśnić wypuszczenie z enklawy stworzeń, które powinny w niej pozostać? Kto każe wartownikom otworzyć bramy?

– Nigdy nie byłeś w wojsku, prawda? – odpowiedział pytaniem Rosjanin. – Nie będziesz niczego tłumaczył, po prostu wydasz rozkaz. A oni go wykonają.

– Oszalałeś?! Kiedy dowiedzą się, że chcę uwolnić Przekłętych, zabiją mnie, zanim zdążę doliczyć do dziesięciu!

– Nie zabiją. Zasugeruję im, że masz plan.

– Jaki, do licha, plan?!

– Jakikolwiek. Żeby rozwiązać ten problem. Gorzej z tą drugą kwestią, tylko Saszka ma odpowiednie kompetencje, żeby wydać polecenie oswobodzenia

Przeklętych. Trzeba będzie go jakoś wyciągnąć z tej kabały.

Alchemik z trudem opanował chęć trzaśnięcia pięścią w stół: wyglądało na to, że będzie musiał lawirować między oczekiwaniami Przeklętych, Rosjan, Anastazji i czort wie kogo jeszcze, a do tego załatwić sprawę w taki sposób, aby w rezultacie nikt nie miał do niego pretensji. Inaczej zginie. Jak nie z rąk *theokatáratos*, to na szubienicy. Ot i wybór.

– Anastazja! Idziemy! *Gospoda!* – zwrócił się do oficerów. – Pełna gotowość bojowa! Teraz uwaga: jeżeli w trakcie rozmowy z tym... czymś sięgnę po chusteczkę i upuszczę ją na ziemię, natychmiast zaatakujecie, nie przejmując się mną czy panienką Anastazją. Czy wszystko jasne?

Odpowiedziało mu milczenie i zdumione spojrzenia.

– Pytałem, czy wszystko jasne?! – ryknął nabrzmiałym wściekłością głosem.

– *Tak toczno!* – szczeknął wyprężony na baczność Winniczuk.

Także pozostali nie wiadomo dlaczego przyjęli pozycję zasadniczą, jakby rzeczywiście górował nad nimi rangą.

Rudnicki bez słowa wyszedł z budynku i skierował się prosto ku Przeklętemu. Ten nadal stał w centrum placu z mlecznobiałym tumanem za plecami.

– Powiedz mu, żeby się przedstawił – polecił Anastazji. – I niech zlikwiduje tę cholerną mgłę!

Nie czekając, aż dziewczyna skończy tłumaczyć, alchemik włożył rękę do kieszeni, poczuł pod palcami śliski jedwab. Teraz wystarczy tylko upuścić chusteczkę.

Zatrzymał się w pół ruchu, zaalarmowany nowym dźwiękiem. Przeklęty przemówił. Rudnicki nie kojarzył tego języka, choć niektóre słowa wydały mu się znajome. Jak i imię.

– Samael – powtórzył mężczyzna. – Samael.

– To starohebrajski – powiedziała oszołomiona Anastazja.

– Dlaczego on mówi językiem Biblii?

– Bo tylko taki zna – odparła dziewczyna. – Kiedy ostatni raz odwiedził twój świat, Żydzi błagali Boga o wybawienie z niewoli babilońskiej.

– A to imię? Czy ma ono związek...

– Nie wiem – weszła mu w słowo Anastazja. – Naprawdę nie wiem.

Rudnicki nie znał hebrajskiego, ale pamiętał jeszcze lekcje religii, jakich

udzielał mu znajomy stryja, ksiądz Tomasz. Słowo „Samael” oznaczało tyle co „ślepy bóg”. Było też imieniem anioła śmierci i zniszczenia. Czy Przekłęty sam je sobie nadał? A może nazwał go tak ktoś inny? Tak czy owak, przyjdzie mu teraz negocjować z istotą, przed której potęgą drżała – niestrachliwa przecież! – Anastazja.



Rudnicki obserwował z napięciem Samaela, Przekłęty nie nauczył się jeszcze kontrolować mimiki i w jego twarzy można było czytać jak w otwartej księdze. Teraz jego rysy wyrażały gniew i zdecydowanie.

– On zgadza się wypuścić Saszkę, ale tylko jego. Reszta żołnierzy nadal pozostanie na dworcu. I jeszcze jedno: pozwoli mu opuścić enklawę, ale wraz z Samarinem będziemy musieli odesłać jeden samochód pancerny – powiedziała Anastazja.

– Chce nas osłabić – skonstatował ponuro alchemik.

– A czego się spodziewałeś? To wojownik i wszystko rozpatruje pod kątem walki.

– Przecież ma gwarancję! Jeśli nie dotrzymam słowa, zabijesz mnie!

– O ile ty nie zabijesz mnie pierwszy – zripostowała dziewczyna. – To najprostsze wyjście z sytuacji, gdybyś chciał złamać umowę. Bo on nie może nie dotrzymać słowa danego w Kręgu, a ty i owszem.

– Nie sądzisz chyba, że zrobiłbym coś takiego!

– Dlaczego nie? Mam rozumieć, że przedłożyłbyś moje życie nad życie ludzi, których Samael zgładzi, jeśli wyrwie się na swobodę?

– To nie tak – mruknął Rudnicki, odwracając wzrok. – Ale nie będziemy teraz o tym rozmawiać, to nie czas ani miejsce na takie dyskusje. Powiedz mu, że się zgadzam.

Anastazja bez słowa wykonała polecenie.

– Możesz wysłać człowieka do Szarki – poinformowała po chwili.

– Jednego?! Nie przejdzie stu metrów, jak go zabiją!

Dziewczyna westchnęła cierpiętniczo, pokręciła głową.

– Jeszcze się nie zorientowałeś? – spytała. – Odkąd tu przybył, Samael włada

tą enklawą. Posłaniec będzie całkowicie bezpieczny.

Rudnicki przywołał gestem stojącego przy Russo-Bałcie Matuszkina i przekazał mu instrukcje.

– No dobrze – powiedział. – A co potem? Kiedy wypuścimy ich z enklawy? Muszę mieć pewność, że nie poszczuje na nas tych swoich suk. Ani nie pośle ich w miasto.

– Zapytam. Jednak wątpię, czy się dogadamy.

– Nie ma wyboru. Inaczej nie pozwolimy mu wyjść z enklawy!

– Sam wyjdzie za miesiąc czy dwa. Nie uważałeś, co mówię? Słucha go wszystko, co żyje na tym terenie. A z każdym dniem przybywa *theokatáratos*, bo korytarze łączące nasze światy stają się coraz szersze. Wystarczy, że poczeka.

– To dlaczego z nami negocjuje?

– Bo to wojownik. Zdaje sobie sprawę, że jeszcze możemy go zniszczyć. Tyle że to teoria, bo nikt nie zgodzi się na szeroko zakrojoną operację wojskową w enklawie. Nie w sytuacji, kiedy każdy żołnierz potrzebny jest na froncie.

– Tak czy owak, zapytaj go o to.

Gardłowe, szeleszczące dźwięki dawno wymarłego języka nic Rudnickiemu nie mówiły, jednak nie trzeba było geniusza, żeby zinterpretować minę Samaela: twarz Przekłętego zastygła w wyrazie uporu.

– Odrzuca ten warunek – oznajmiła Anastazja. – Jednak mam wrażenie, że zaakceptowałby go, gdyby był ograniczony w czasie.

– Czyli co? Rozejm przez tydzień czy dwa, a później zacznie się zabawa?

– Coś w tym rodzaju. Nic więcej nie uzyskacie. Nie uzyskamy – poprawiła się natychmiast.

Alchemik nie skomentował przejęzyczenia. Sprawa była jasna: panienka Anastazja poczuła powiew swobody i coraz mniej identyfikowała się z ludźmi. Jak zareaguje, kiedy zwolni ją z przysięgi? Po czyjej stronie stanie? Jeśli poprze Samaela, nikt go nie powstrzyma. Może rzeczywiście najlepiej byłoby ją zabić? Ale kto to zrobi? Rudnicki nie wyobrażał sobie, że mógłby zamordować z zimną krwią kogoś, kto bezpośrednio go nie atakuje. Ba, żeby tylko! Od dawna traktował Anastazję jak członka rodziny. Podnieść na nią rękę? Niepodobieństwo!

– W porządku – powiedział. – Miesiąc.

Anastazja wymieniła z Przeklętym kilka zdań, po czym pokręciła przecząco głową.

– Dwa tygodnie. Na więcej się nie godzi.

– Trzy tygodnie!

– Nie – oznajmiła po chwili. – Dwa tygodnie i ani dnia dłużej.

– Zróbmy przerwę – zaproponował alchemik. – Muszę porozmawiać z Saszka, a później chcę go odesłać z enklawy. Zanim wznowimy rozmowy. Na dowód dobrej woli wyślę Samarina Russo-Bałtem. Powiedz Samaelowi, że to najlepiej uzbrojony wóz.

– Czy to rozsądne? On może to wziąć...

– Nie pytam cię o zdanie! – uciął zimno Rudnicki. – Po prostu przetłumacz.

Dziewczyna zacisnęła usta i ostrym, zdecydowanym tonem przekazała Przekłętemu słowa alchemika.

– On się zgadza.

– Znakomicie! Jeszcze jedno: jakiego słowa użył na określenie samochodu pancernego?

– To termin oznaczający maszynę wojenną.

– Rozumiem. W takim razie kończymy na dzisiaj. Spytaj go jeszcze, czy nie mógłby zabrać z placu tych swoich panienek. W celu uniknięcia incydentów.

Tym razem rozmowa trwała dłużej, ale ostatecznie Samael zaakceptował prośbę.

– Przypuszczam, że wiesz, co robisz – wymruczała Anastazja.

– Ja też mam taką nadzieję.

Kiedy wrócili do magazynu, oficerowie natychmiast otoczyli ich kręgiem.

– Co z Saszka? – rzucił niecierpliwie Matuszkin. – Dlaczego ten Przekłety zniknął?

Rudnicki ospałym gestem scedował wyjaśnienia na dziewczynę, a sam powlókł się na piętro, gdzie urządzono sypialnię.

– Obudźcie mnie, jak przyjdzie Samarin, i ani minuty wcześniej – rozkazał.

Kiedy tylko zdjął buty i wyciągnął się na materacu, zmęczenie zalało go niczym fala przyboju. Zasnął, ledwie przyłożywszy głowę do twardej wojskowej poduszki.



Rudnicki odetchnął głęboko, chłodne nocne powietrze pozwoliło mu wyzwolić się z oparów snu. Rozmawiali na dachu budynku – i dzięki Bogu! – bo Samarin w dość bezpośredni sposób wyrażał swoje niezadowolenie. A alchemik wołał, żeby oficerowie nie słyszeli jego wrzasków.

– Nie miałem innego wyjścia – powtórzył cierpliwie. – I nie chodzi tylko o ciebie. Nie wygramy z nim. Nie teraz. Sam dobrze o tym wiesz.

– Gdybyśmy podjęli walkę...

– To zginęlibyśmy wszyscy i nikt nie poinformowałby władz o nowym zagrożeniu – przerwał mu Rudnicki. – Znasz przecież tych urzędasów! Jeśli nikt z nas nie wróci, po prostu zamkną enklawę na cztery spusty, uznając, że rozwiązali sprawę. Tylko że za dwa, trzy miesiące enklawa wyjdzie do nich.

Samarin skrzywił się i poprawił temblak.

– Ciśnie – powiedział oskarżycielsko.

– Nie zachowuj się jak małe dziecko – ofuknął go Rudnicki. – Masz złamaną rękę. Jak skończymy rozmawiać, podam ci morfinę. Ciesz się, że przeżyłeś.

– Cieszę się – zapewnił generał. – Nawiasem mówiąc, gdyby nie twój amulet, któraś z tych suk by mnie dostała. On je powstrzymał na chwilę.

– Szkoda, że nie pomógł Baturinowi – westchnął alchemik.

– Pewnie pomógł, ale było ich zbyt wiele. Ten skurwysyn ma na swoje rozkazy wszystko, co żyje w enklawie! Cały czas atakowały nas niby-wilki i te dziwki. Nie wiem, jakim cudem ocaleliśmy.

– Natknął się na nas i musiał podzielić siły. – Rudnicki wzruszył ramionami. – Samochody pancerne nieźle przetrzebiły tutejszą faunę.

– Te wozy to znakomity pomysł – przyznał Samarin. – Głupi byłem, że sam nie wziętem kilku, ale chciałem jak najszybciej złapać tego maga, a formalności potrwałyby dobry tydzień. Może jednak spróbować? Mając trzy pancerki...

– Nie! – warknął alchemik. – Nie poprowadzę na śmierć ludzi, którzy mi zaufali!

– To intuicja, czy może tchórz cię obleciał?! – odpalił czerwony ze złości Samarin. – Sam mówiłeś, że wozy pancerne ich zmasakrowały.

– Drobnicę! Zwróć też uwagę, że do tej pory *theokatáratos* bardzo oszczędnie

używali magii, a przecież nie dlatego, że nie mogli. Samael sprowadził tylko tę cholerną mgłę, a mocno podejrzewam, że to nie jest szczyt jego możliwości. Nie dam się wciągnąć w walkę na jego terenie i na jego warunkach!

– Rozumiem, że masz jakiś plan?

– Żadnego – odparł bez ogródek alchemik. – Nie jestem żołnierzem. To twoja rola. Tylko pamiętaj, że musisz ściśle trzymać się wynegocjowanych ustaleń, inaczej wydasz na nas wyrok śmierci.

– Mam ich wypuścić na wolność?!

– To na początek – przytaknął spokojnie Rudnicki. – Przypuszczam, że pójdą za tym i inne żądania, choćby nakaz wycofania żołnierzy i machin wojennych z pobliza bramy, przez którą Samael wyjdzie z enklawy.

– Jakich, do licha, machin?!

– Samochodów pancernych. On je tak nazywa. Sądzę, że wiedza Samaela na temat współczesnej techniki wojskowej jest mocno niekompletna, bo kiedy ostatnio odwiedził nasz świat, nowinką były żelazne miecze...

– Ciekawe, na ile niekompletna – odparł z namysłem Samarin.

W oczach oficera zapłonęły złośliwe ogniki.

– Wnioskując z używanego słownictwa, bardzo – podkreślił z naciskiem alchemik.

– Postaraj się zostawić mi trochę luzu. Wiesz, z tymi ustaleniami, które będę musiał realizować.

– Zrobię, co będę mógł. Chyba czas na ciebie. Im prędzej znajdziesz się po drugiej stronie, tym lepiej.

Samarin odsłonił przegub i zerknął na zegarek wyposażony w chroniącą szkiełko siatkę. Od momentu wybuchu wojny naręczne czasomierze stawały się coraz popularniejsze wśród oficerów wszystkich walczących stron.

– Trzecia rano – mruknął. – Nie najlepsza pora na spacer po enklawie.

– Odprowadzą cię niewolnice Samaela. Będziesz całkowicie bezpieczny.

– Pewnie tak. Parszywie się czuję, już raz musiałem porzucić przyjaciela – wyznał generał.

– Nikogo nie porzucasz. Poza tym nie ma innego wyjścia, tylko ty możesz przekonać generalicję i cara, żeby wypuścili Przeklętych.

– Jak zwykle przypada mi najgorsza robota: jeśli coś pójdzie nie tak, przez

następne dwieście lat we wszystkich akademiach wojskowych imperium będą uczyć o „błędzie Samarina”.

– Dwieście lat? Myślę, że co najmniej trzysta – odparł kpiąco alchemik.

Rosjanin bez słowa kopnął go w kostkę. Jakiś czas siedzieli w milczeniu, wreszcie generał podniósł się ze stęknieniem.

– Idę – oznajmił.

– Czekał, podam ci morfinę.

– Może nie trzeba? Wytrzymam jeszcze godzinę czy dwie, a wy pewnie nie macie za dużo leków.

– Żartujesz? Zapomniałeś, kim jestem? Zabrałem pół apteki!

– No to dawaj ten zastrzyk – westchnął Samarin. – Bolało! – poskarżył się po chwili.

– Niestety, obawiam się, że nie otrzymasz rekompensaty za swoje męki – odparł cierpko Rudnicki. – Co bardziej mazgajowate dzieciaki częściej lizakami, ale nie wziąłem ich ze sobą. Pewnie zasugerowałem się, że będę miał do czynienia z żołnierzami.

Samarin uniósł groźnie pięść, a potem niespodziewanie objął alchemika.

– Uważaj na siebie – powiedział cicho. – Nie chcę tłumaczyć ciotce, dlaczego straciła wnuka.

Rudnicki przełknął ślinę, odpowiedział mocnym uściskiem.

– Nie będziesz musiał – obiecał. – A teraz znikaj!

Mimo kontuzji Rosjanin błyskawicznie ześliznął się po żelaznej drabinie, szczęknęły pancerne drzwi i po chwili alchemik dostrzegł sylwetkę przyjaciela na placu. Niemal natychmiast otoczyło go kilka masywnych cieni. Noc była ciemna, wąski sierp księżyca w nowiu wspomagało jedynie światło gwiazd.

– Niszczyciele – powiedziała Anastazja.

Dziewczyna pojawiła się u boku Rudnickiego niczym duch, bez najmniejszego szmeru.

– Niszczyciele?

– Istoty stworzone do zabijania – wyjaśniła. – Jak homunkulus. Tylko znacznie mniej rozumne. W naszym świecie częściej wykonują wyroki śmierci, niż kogoś pilnują.

– Trzy metry wzrostu, bycza głowa, brak płci?

– Tak, mogą tak wyglądać. Skąd wiesz?

– Spotkałem kiedyś jednego – odparł obojętnie alchemik.

– Żartujesz?

– Skąd! Oczywiście nie byłem sam. Myślałem, że Saszkę odeskortują niewolnice Samaela.

– To demonstracja siły – stwierdziła chmurnie Anastazja. – W podwójnym znaczeniu.

– Czyli?

– On próbuje zastraszyć i mnie, i ciebie. Każdy *destructor* powstaje w wyniku dość specyficznego... rytuału.

Rudnicki spojrział na dziewczynę czujnie: ostatnie słowo bardziej wypluła, niż wypowiedziała, a w jej głosie można było wyczuć mrozącą krew w żyłach nienawiści. I strach.

– *Destructor*? Tak je nazywają?

– W niektórych księgach. I nie przerywaj! Kobieta, która zostanie wykorzystana do stworzenia niszczyciela, nigdy nie będzie już sobą. To sygnał dla mnie, żebym opowiedziała się po właściwej stronie, kiedy uwolnisz mnie z przysięgi.

– I którą stronę wybierzesz?

– O tym będziesz musiał sam się przekonać, bo cokolwiek ci teraz powiem, i tak mi nie uwierzysz. Ale mniejsza z tym, są ważniejsze sprawy!

– Ciekawe jakie?! – odburknął Rudnicki.

– Korytarz – szepnęła mu do ucha. – Samael dopiero niedawno zjawił się w enklawie, a co za tym idzie przejście, którym dostał się do waszego świata, jest nie do końca zamknięte. Nikt już z niego nie skorzysta, ale zanim całkowicie zniknie, w okolicy mogą powstać inkluzje: miejsca, gdzie wasza rzeczywistość przenika się z naszą. Potrafię je odnaleźć.

– Przecież tak jest w każdej enklawie.

– Nie w takim stopniu. Tu nie chodzi o samonakręcający się patefon czy lampy świecące bez dopływu gazu. Mówimy o artefaktach z mojego świata, być może przedmiotach z waszej rzeczywistości, ale napełnionych mocą *materia prima*. Teraz rozumiesz? Taka szansa trafia się raz w życiu!

– Te artefakty pomogą nam w ewentualnej walce z Samaelem? – spytał

szybko Rudnicki.

– Nie – przyznała dziewczyna. – Zanim zorientujemy się, do czego służą, co w nich jest szczególnego, kłopot Samaela będzie już dawno rozwiązany. Albo też nie będzie komu zajmować się Samaelem...

– No dobrze – powiedział z irytacją alchemik. – Ale przecież Przekłęci kontrolują całą enklawę. Nie możemy ot tak wyjść sobie na wycieczkę!

– Dlaczego nie? Wystarczy, że uzyskasz pozwolenie Samaela. Jestem pewna, że on nie orientuje się, czym są inkluzje, bo inaczej nie spieszyłby się tak z opuszczeniem enklawy. Powiesz mu, że poszukujesz alchemicznych składników albo coś w tym stylu.

– O ile się zgodzi, co wcale nie jest przesądzone, na pewno zażąda czegoś w zamian. A co ja mu dam?!

– Och, masz wszystko, czego pragnie Samael. Czas. Wynegocjowałeś przecież dwutygodniowy rozejm – przypomniała, widząc zdziwienie na twarzy alchemika. – Skróć go o kilka dni, a zgodzi się na wszystko. Pamiętaj, że powoduje nim przymus dominacji, a władza absolutna to możliwość decydowania o życiu i śmierci. Samael jak najprędzej chce nam to zademonstrować i każda minuta rozejmu jest jak cierń w jego boku.

– A ludzie? Co z ludźmi, których zabije?

– Myślisz, że rozejm coś tu zmieni? – Roześmiała się gorzko. – Co za różnica, czy potrwa dwa tygodnie, czy dwadzieścia minut? On i tak poszczuje wszystkich *theokatáratos* na Sankt Petersburg, a my nie będziemy mogli go powstrzymać. Chyba że przed zawarciem ostatecznej umowy do enklawy wkroczy wojsko i załatwi sprawę.

– Nie wkroczy – odpowiedział apatycznie Rudnicki. – Nikt nie uwierzy, że jeden Przekłety stanowi aż takie zagrożenie.

– Więc?

– No dobrze, porozmawiam z Samaelem.



Rudnicki sprawdził magazynek mosina, wypełnił kieszenie nabojami. Na wszelki wypadek. Samael pozwolił mu poruszać się swobodnie po całym

obszarze enklawy z wyjątkiem ulic prowadzących w stronę wyjścia i zagwarantował bezpieczeństwo, ale alchemik nie potrafił przyzwyczać się do myśli, że znajdzie się wśród Przeklętych bez broni. Aby dobić targu, zmuszony był skrócić rozejm o cztery dni.

– Idziemy? – spytała Anastazja.

Dziewczyna obserwowała jego krzątanie z rosnącym zniecierpliwieniem. Sama nie wzięła nawet noża, choć przytroczyła do pasa woreczek z *materia prima*.

– Idziemy – odburknął niechętnie.

Muskularny marynarz nazwiskiem Korpanow otworzył przed nimi pancerne drzwi, poczekał, aż wyjdą na plac, i zatrzasnął je pospiesznie. Rudnicki wzdrygnął się, słysząc zgrzyt zasuwanych rygli. Byli w enklawie. We dwoje.

Petersburska enklawa nie należała do największych, obejmowała obszar między leżącą na północnym krańcu Issakowką a Matrosską Słobodą, od południa i wschodu oblewały ją wody Ochty, zachodnią granicę wyznaczało jedno z odgałęzień Newy.

Anastazja bez namysłu ruszyła w kierunku charakterystycznej, cebulowej kopuły. Alchemik westchnął, znajdowali się na peryferiach miasta, zabudowa miejscami bardziej przypominała wieś niż dumną stolicę imperium. Nikt rozsądny nie budowałby tu cerkwi. Chyba że razem z cmentarzem...

Nie musiał długo czekać na ziszczenie obaw: zza parkanu wyrzały mogiły oznaczone prawosławnym krzyżem. Dziewczyna pchnęła bramę z kutego żelaza, zgrzyt zardzewiałych zawiasów spłoszył stado kruków.

– Obrzydliwe ptaszyska – mruknął Rudnicki.

Odruchowo zarepetował karabin, Anastazja powstrzymała go gwałtownym gestem.

– Ani się waż! – ostrzegła. – Wystarczy, że zranisz coś albo kogoś, choćby przypadkiem, i Samael poczuje się zwolniony z umowy. Nic nam nie grozi – zapewniła.

– Te inkluzje są bezpieczne?

– Tak.

– Sprawdziłaś to osobiście czy tylko tak ci się wydaje? – spytał nieufnie.

– Sprawdziłam.

– Dlaczego uważasz, że Samael nic o nich nie wie?

– Moc nie zawsze idzie w parze z wiedzą. Poza tym, nawet gdyby orientował się, czym są inkluzje, raczej nie traciłby czasu na ich poszukiwanie. Jest panem enklawy, jego siła wzrasta z każdym Przeklętym, który zasili jego armię, kilka artefaktów niewiele by zmieniło. No i jest zajęty czym innym. Myślisz, że łatwo utrzymać w posłuszeństwie rzeszę opętanych na punkcie dominacji *theokatáratos*? Założę się, że nie ma dnia, aby ktoś nie rzucił mu wyzwania.

Grobowiec, do którego podeszła dziewczyna, zabezpieczony był metalową kratą. A za nią czaił się mrok.

– Wiesz, co masz robić – powiedziała Anastazja.

Rudnicki z ociąganiem zbadał zamek, po czym wypowiedział słowo mocy. Bez zdziwienia, a nawet z odcieniem satysfakcji poczuł w dłoni masywny klucz. Obrót nadgarstka i wejście stało się otworem.

– Pospiesz się – ponagliła dziewczyna. – Mamy czas do zmroku, a jeszcze trzeba wrócić do koszar.

Alchemik zapalił wojskową latarkę i ciemność cofnęła się o kilka kroków. Strome schody poprowadziły ich w dół, zdawałoby się, dalej niż do najgłębiej nawet umieszczonej krypty. W końcu dotarli do szerokiego korytarza zbudowanego z nieobrobionych, wilgotnych w dotyku kamieni.

– Daleko jeszcze?

– Nie, jesteśmy tuż-tuż.

Komnata wielkością przypominała salon, ale na tym kończyły się wszelkie podobieństwa: przede wszystkim nie widać było żadnych mebli, tak jakby korzystająca z niej istota nie potrzebowała odpoczynku ani nie czuła zmęczenia.

– Rozejrzyj się! – poleciła szorstko Anastazja. – I zgaś latarkę.

– Przecież tu nic nie ma! Gołe ściany i tyle.

– Nie. Patrz uważnie. Jak myślisz, po co wzięłam cię ze sobą? W inkluzji to, co zakryte przed jednym, czasem dostrzega kto inny.

Usiadła, krzyżując nogi, i wpatrzyła się w ścianę. Dopiero teraz Rudnicki zauważył, że z podłogi i sufitu sączy się delikatna poświata, bardziej przypominająca promienie księżyca niż blask elektrycznej czy gazowej lampy.

Alchemik skierował wzrok w dół, podłoga początkowo sprawiała wrażenie gładkiej i jednolicie czarnej, jednak stopniowo wyłaniały się z niej subtelne,

o ton jaśniejsze wzory. W miarę upływu czasu owa niby-mozaika nabierała głębi, Rudnicki miał wrażenie, że cała podłoga jest jedynie czymś w rodzaju drzwi, które wystarczy otworzyć, aby sięgnąć po niewyobrażalne. Ba, otworzyć! Tylko jak? Przecież nie nacisnę klamki, pomyślał. A może to wszystko złudzenie? Bo przecież stoję na tej mozaice, czuję pod stopami twardą, nieustępliwą powierzchnię.

Rudnicki zgiął kolana i przysiadł na piętach, ostrożnie dotknął podłogi. Jego palce przeniknęły barierę podobną do pajęczej sieci i zniknęły pod posadzką. Cofnął gwałtownie dłoń i obejrzał ją uważnie, na ile pozwalało mdłe światło. Nie zauważył żadnych zmian. Ponownie sięgnął w dół, tym razem zanurzając rękę w nicości aż po łokieć. Znienacka poczuł skurcz, jak gdyby poraził go elektryczny impuls, jednak i tym razem na dłoni nie było żadnych śladów.

– Mamy jeszcze pięć minut – odezwała się napiętym głosem Anastazja.

Alchemik desperacko zanurkował w ciemność, wykonując zagarniający ruch, jakby chciał schwytać rybę gołymi rękoma. Jego palce zacisnęły się na niewielkim obłym przedmiocie i Rudnicki wydobył go gwałtownym szarpnięciem. Srebrny walec pokryty był symbolami znajdującymi się w nieustannym ruchu. Lewe oko alchemika natychmiast zaczęło łzawić, ukazując wzory wykwitające niczym miniaturowe błyskawice.

– Mam coś – poinformował Rudnicki.

– Świetnie! W takim razie zbieramy się stąd – zdecydowała dziewczyna.

Nie czekając na odpowiedź, wybiegła z komnaty. Alchemik popędził za nią. Tym razem schody wydały mu się bardziej strome niż poprzednio, serce kołatało boleśnie, a płuca paliły żywym ogniem przy każdym oddechu, jakby były zmuszane do nie wiadomo jak wielkiego wysiłku.

– Nie mogę już – wysapał. – Zwolnij!

Anastazja bez słowa chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą z siłą niewyobrażalną u zwykłego człowieka.

– Prędzej!

Kiedy dopadli wyjścia, dziewczyna oddychała tylko nieco szybciej niż normalnie, za to Rudnicki zlany był potem i dyszał niczym miech kowalski.

– Zwariowałaś?! Dostałem ruptury w trzech miejscach, a zaraz serce mi pęknie!

– Nieważne! Grunt, że zdążyliśmy.

– Przecież do zachodu słońca zostały dobre dwie godziny, a do koszar kwadrans drogi.

Anastazja pokręciła głową, przez moment wyglądała jak dziecko przyłapanie na kradzieży słodyczy.

– Chodzi o inkluzję – powiedziała. – Kiedy przyszedliśmy, ona już się zamykała.

– Co to znaczy: zamykała?!

– Inkluzja to anomalia i pojawia się tylko na pewien czas. Kiedy znika, lepiej znajdować się gdzie indziej. I nie bij, bo kiedy zwolnisz mnie z przysięgi, to oddam! – ostrzegła.

Rudnicki rozluźnił zaciśnięte pięści.

– O ile pamiętam, nigdy cię nie uderzyłem – wycedził. – Ale chyba zaczynam rozumieć Samaela...

– Oj tam! Najważniejsze, że wszystko się udało. Co znalazłeś?

– A ty? – odbił pytanie.

Dziewczyna sięgnęła do kieszeni płaszcza i zademonstrowała sporych rozmiarów pierścień.

– Co to jest?

– Nie mam najmniejszego pojęcia, będę musiała zbadać ten artefakt.

– Ciekawe, w jaki sposób?

– Cóż, to skomplikowane.

– Gadaj! – warknął alchemik. – Natychmiast!

– Bywa, że zwykła obserwacja daje niezłe rezultaty – powiedziała niechętnie.

– Czasami.

– Co to znaczy: obserwacja? Mam siedzieć i wpatrywać się w to jak sroka w gnat? Tam są jakieś symbole i oko mi łzawi.

– Jakie symbole? Co znalazłeś? – powtórzyła.

Rudnicki bez słowa podał jej dziwny walec.

– Nic nie widzę – stwierdziła z żalem. – Tak, musisz wpatrywać się w ten przedmiot.

– Głowa mnie boli.

– Łyknij jakiś proszek – odparła obojętnie Anastazja.

– Nie rozumiesz, boli mnie od patrzenia na to coś.

– Niestety, tego nie da się uniknąć. Twoje zmysły nie są przystosowane do odbierania innej rzeczywistości. Musisz przywyknąć.

– To minie?

– Owszem. Z czasem.

– No dobrze, obserwacja. Co jeszcze?

– Eksperymenty.

– A konkretnie? Co mam z tym zrobić? Zanurzyć w kwasie? Potraktować elektrycznością?

– Co tylko zechcesz. Tego typu artefakty trudno zniszczyć, ale nie zaszkodzi odrobina ostrożności. I zdrowego rozsądku – dodała kąśliwie.

Rudnicki obrzucił ją taksującym spojrzeniem, nie ulegało wątpliwości, że panienka Anastazja coraz niechętniej dzieli się wiedzą. A co będzie, kiedy zwolni ją z przysięgi? Pół biedy, jeżeli tylko odmówi wyjaśnień. Gorzej, jeśli zacznie się mścić za wymaginowane krzywdy.

– Coś jeszcze? – rzucił sucho.

– To znaczy?

– Czy jest coś jeszcze, co powinienem wiedzieć w związku z naszą wycieczką do inkluzji? – wyjaśnił, wymawiając słowa z przesadną starannością.

Odpowiedziało mu milczenie. Czekał cierpliwie, wiedział, że Anastazja nie może go zignorować. Jeszcze nie.

– Obejrzyj swój ekwipunek – powiedziała w końcu. – Wasz świat jest zbudowany głównie z materii, nasz z energii. W przypadku zetknięcia obu rzeczywistości następuje coś w rodzaju efektu naczyń połączonych i właściwości przedmiotów wystawionych na działanie anomalii w rodzaju inkluzji mogą się zmienić.

– Czyli artefakty z waszego świata poddane oddziaływaniu naszego robią się bardziej materialne, a w odwrotnej sytuacji wzrasta poziom energii? Dobrze zrozumiałem?

– Tak. Stąd na przykład grające bez przerwy patefony w enklawie.

Rudnicki pokiwał głową.

– Czyli wystarczy intencja – wymamrotał. – Patefony wymyślono, żeby odtwarzać muzykę, więc energia skoncentrowana w enklawie uruchamia je, realizując cel, dla którego zostały stworzone.

Anastazja nie skomentowała wyводу alchemika, ale widoczne na jej twarzy napięcie świadczyło, że słucha go uważnie.

Kiedy tylko weszli na plac przed magazynem broni, natychmiast zauważyli zmiany: w oknach przybyło karabinów, a oba samochody pancerne zapuściły silniki.

– Coś jest nie tak – powiedział zaniepokojony Rudnicki.

– Spokojnie! Zwolnij! – syknęła dziewczyna. – Na razie mamy układ z Samaelem. Lepiej, żeby nie zaczął nas podejrzewać o jakiś podstęp.

Matuszkin stanął w drzwiach magazynu, ponaglił ich gestem. Widząc, że nie reagują, sam wybiegł im na spotkanie.

– Co się stało? – spytał Rudnicki.

– Przybył goniec ze sztabu – poinformował oficer, ciężko dysząc.

– I co?

– Saszka prosi o zwłokę.

Alchemik zaklął, umowa z Samaelem przewidywała, że w ciągu dwóch dni Rosjanie wyznaczą bramę, przez którą będzie mógł wyjść Przeklęty i jego świta. Poślaniec miał potwierdzić gotowość do rozpoczęcia operacji.

– Jedna z tych... kobiet wyszła na plac i dawała jakieś dziwne znaki. Myślę, że Samael chce się z tobą widzieć – dodał Rosjanin.

– Nic dziwnego – burknęła Anastazja. – Myśli, że za tydzień opuści enklawę.

– Ile czasu potrzebuje Saszka?

– Przynajmniej trzy dni. Co robimy?

– Będziemy negocjować – odparł nieswoim głosem Rudnicki. – I odwołaj ten alarm!

– Jesteś pewien? Przecież teraz...

– Jestem! – uciał alchemik.

Matuszkin niechętnie wykonał polecenie. W oknach pozostało tylko kilku obserwatorów, choć alchemik założyłby się o każde pieniądze, że żaden z oficerów nie odłożył broni, silniki samochodów zgasły.

– Musisz... – zaczęła Anastazja.

– Następny, który powie mi, co muszę, zarobi w pysk, niezależnie od płci – Rudnicki przerwał jej rwącym się z wściekłości głosem. – A teraz idź, umów mnie na spotkanie z Samaelem!

Dziewczyna wzdrygnęła się jak smagnięta batem i natychmiast popędziła przez plac. Matuszkin skrzywił się niechętnie, widać było, że ma ochotę zaprotestować, ale ostatecznie zrezygnował z komentarza. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że tu i teraz istnieją większe kłopoty niż brak galanterii wobec kobiet wykazywany przez pewnego polskiego aptekarza, pomyślał z ironią Rudnicki.

Na plac zaczęła powracać mgła.



Przodem jechały samochody pancerne, w ślad za nimi w idealnie sformowanej kolumnie czwórkowej maszerowali oficerowie i niedobitki z grupy Samarina. Mimo że wszyscy mieli broń, bardziej przypominali jeńców niż wracający z udanej akcji oddział. I nic dziwnego: otaczały ich niewolnice Samaela. Sam Rudnicki znajdował się w centrum grupy, z Anastazją u boku. I cieniutkim złotym łańcuszkiem na szyi. Nie żeby nagle odczuł pociąg do biżuterii, przypominającą obrożę błyskotką obdarzyła go Anastazja, i to bynajmniej nie z nadmiaru uczuć. Jak poinformowała Rudnickiego zaraz po zwolnieniu z przysięgi, ozdóbka była narzędziem dekapitacji. Jeśli Rosjanie nie dotrzymają warunków kontraktu, on umrze pierwszy.

Rudnicki nie miał złudzeń, żądania Samaela były nie do przyjęcia. W zamian za zgodę Przekłętego na kilkudniową zwłokę alchemik musiał zrezygnować nawet z pozorów rozejmu, władca enklawy obiecał, że nie zaatakuje nikogo, dopóki wszyscy ludzie nie znikną mu z oczu. Niestety, nie rozwiązywało to podstawowego problemu: jak zabezpieczyć Petersburg przed *theokatáratos*? Do tego Samael zażyczył sobie, aby w promieniu dwustu sążni od bramy nie było ani jednego żołnierza, działa czy samochodu pancernego. Nawet gdyby Samarin skoncentrował siły gdzieś poza strefą zdemilitaryzowaną, w żadnym wypadku nie zdążyłby powstrzymać Przekłętych przed ucieczką. Inna rzecz, że Samael nie wyglądał na kogoś, kto chce uciekać. Alchemik nie był w stanie policzyć akolitów władcy enklawy – większość z nich trzymała się poza zasięgiem wzroku – podejrzewał jednak, że *theokatáratos* stanowiłoby zagrożenie nawet dla pułku piechoty.

– Widać już wieże strażnicze – stwierdził Matuszkin. – Jesteśmy u celu.

Rudnicki przełknął z trudem ślinę, magiczna obroza nie sprawiała fizycznego dyskomfortu, jednak cały czas miał wrażenie, że łańcuch zaciska mu się na gardle.

– Samael – mruknęła Anastazja. – Idzie do nas.

Jednak Przeklęty obrzucił ich jedynie przelotnym spojrzeniem i wymownym gestem skierował kilka niewolnic w stronę bramy. Te natychmiast wykonały rozkaz, ale szły powoli, jakby musiały pokonywać opór niewidzialnej materii. No tak: srebro...

– Chce sprawdzić, czy po drugiej stronie wszystko w porządku – powiedział Rosjanin.

Rudnicki uśmiechnął się gorzko, zostało mu kilka minut życia. Miał nadzieję, że śmierć nie będzie zbyt bolesna.

Brama uchyliła się z lekkim skrzypieniem i pierwsi Przekłęci znaleźli się na wolności. Po chwili wrota otworzyły się na całą szerokość.

– Wychodzimy – powiedział z ulgą Winniczuk. – Wreszcie.

Mężczyzna, jak i inni oficerowie, ścisnął nerwowo karabin, ale alchemik wątpił, żeby zdołał – jakby co – zrobić z niego użytek: suki Samaela otaczały ich ciasnym kręgiem. Zanim uniesie broń i wyceluje, skończy z rozprutym brzuchem. Jak Baturin.

Któryś z Rosjan zaklął cicho, zawtórowali mu i inni. Wygląd dzielnicy graniczącej z enklawą zmienił się radykalnie, wyburzono wszystkie budynki w promieniu kilkuset metrów od bramy.

– Mądra decyzja – skomentowała Anastazja. – Samael nie będzie mógł nam nic zarzucić, widać, że w pobliżu nikt się nie ukrywa.

Przeklęty pojawił się przed nimi niczym za skinieniem czarodziejskiej różdżki, wymienił z dziewczyną kilka zdań w starohebrajskim.

– On przyznaje, że dotrzyaliśmy słowa, i przekazuje nam jeńców – poinformowała Anastazja. – Możemy odejść, ale Samael ostrzega, że dopóki nie znikniemy mu z oczu, każde naruszenie obszaru wokół bramy zostanie potraktowane jako zdrada.

Spojrzenie żółtych jak u tygrysa oczu uderzyło w alchemika z siłą kowalskiego młota. Rudnicki zacisnął zęby, lecz nie odwrócił wzroku.

– Idziemy! – rzucił.

Poszli. Tym razem oba samochody pancerne zamykały szyk, aby odeprzeć ewentualny atak *theokatáratos*. Skutych kajdanami więźniów odpowiedzialnych za atak na carewicza eskortowało kilku oficerów. Rudnicki zabawiał się zamianą sążni na metry, wyszło mu, że dwieście sążni to czterysta dwadzieścia sześć metrów. Biorąc pod uwagę, że pojedynczy krok liczy sobie około siedemdziesięciu centymetrów, do pierwszych zabudowań pozostało jakieś sześćset kroków. Alchemik postanowił liczyć je od końca. Kiedy dojdzie do zera, umrze.

Rachunki przerwało mu szarpnięcie. Anastazja chwyciła go za rękę i bez słowa wskazała w górę.

– Co znowu?

– Sterowiec! – wyszczała. – A jeszcze nie wyszliśmy z pola widzenia Samaela. Rudnicki poczuł, jak pot spływa mu po plecach.

– I co teraz?! – warknął przyciszonym głosem. – Zabijesz mnie?

Matuszkin zerknął na nich niespokojnie, Rosjanin nie był głupi i mimo że nikt nie wtajemniczał go w detale układu z Przekłętymi, instynktownie wyczuwał zagrożenie.

– Nie. Nie z powodu sterowca. Obszar wokół bramy nadal pozostaje pusty, a Samael nic nie mówił o tym, co może pojawić się nad jego głową – odparła ze złośliwym uśmiechem. – Jego błąd.

Nieoczekiwanie alchemik poczuł przyływ nadziei. Może Samarin wpadł na pomysł, jak wymanewrować władcę enklawy?

– Ciekawe, co Saszka wymyślił? – zawtórowała mu na głos dziewczyna.

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie, zza sterty gruzu, tuż przy krańcu oczyszczonej na żądanie Przekłętych przestrzeni, wyłonił się Samarin. Gest generała był jednoznaczny: mieli się zatrzymać. Dobre dwadzieścia metrów od zabudowań.

– Co on robi?! – zawołał Winniczuk. – Jeszcze nie zeszliśmy z placu.

Seria wybuchów niemal ich ogłuszyła, grupa Przekłętych zniknęła za chmurą dymu.

– Miny – stwierdził beznamiętnie Matuszkin. – Detonowane na odległość. Myślę, że za pomocą elektryczności.

– Nikt nie wszedł na puste pole! – zaznaczył szybko Rudnicki.

Anastazja skinęła głową.

– Rzeczywiście – potwierdziła. – Tylko co teraz? To chyba trochę za mało, żeby ich zabić.

Sterowiec majestatycznie przechylił się na burtę i wykonał ciasny skręt, tracąc jednocześnie wysokość. W dół poleciały ogromne szklane pojemniki, wiatr przyniósł zapach palonego mięsa i zgnilizny.

– Srebro – wymamrotał Rudnicki. – To musi być azotan srebra!

Oficerowie bez rozkazu utworzyli ochronny krąg, wieżyczki samochodów pancernych poruszały się nerwowo, szukając celu.

– Miny pewnie też były nafaszerowane srebrem – powiedziała dziewczyna. – Jednak Samael... – Pokręciła frasobliwie głową.

Sterowiec wykonał kolejny skręt i zaczął się oddalać, niemal w tym samym momencie rozległo się dziwne mechaniczne brzęczenie i znad dachu pobliskiego pałacyku wychynęła niezgrabna sylwetka podobna do gigantycznej ważki. W ślad za nią pojawiły się inne, mniejsze i bardziej zwinne.

– Ilia Muromiec – powiedział Winniczuk. – Bombowiec – wyjaśnił, widząc niezrozumienie na twarzy alchemika. – W eskorcie myśliwców.

– Będą zrzucać bomby? – spytał Rudnicki.

Zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć na jego pytanie, alchemik znalazł się w uścisku Samarina.

– Nie bomby – odparł Rosjanin, odsuwając przyjaciela na długość ramienia. – Pod kadłubem mają zamontowane specjalne kasety, a w nich stalowe strzałki. To niemiecki wynalazek, świetnie sprawdza się przy oczyszczaniu okopów.

– A jakże! – przytaknął ponuro Matuszkin.

– Kazałem pokryć je srebrem – kontynuował generał.

Rudnicki gwałtownym gestem zerwał z szyi obrozę i cisnął ją pod nogi Anastazji.

– Rozumiem, że temat Samaela i jego akolitów możemy uznać za załatwiony? – upewnił się.

– Tak myślę – potwierdził Samarin. – Patrzcie.

Dym nadal nie pozwalał dostrzec szczegółów, jednak przeraźliwy, świszczący dźwięk oznajmił rozpoczęcie ataku. Jeden z samolotów zniknął w ognistym

rozbłysku, a drugi spadł na ziemię, jakby strąciła go ręka Boga, jednak pozostałe nadal siały śmiercią.

– Żaden z warunków umowy nie został naruszony – powiedział wyzywająco Rudnicki, zwracając się do Anastazji.

Dziewczyna skwitowała to lekceważącym wzruszeniem ramion.

– Na twoim miejscu martwiłabym się Samaelem, a nie porozumieniem z *theokatáratos* – odpaliła.

– O to zatroszczył się już nasz kuzyn.

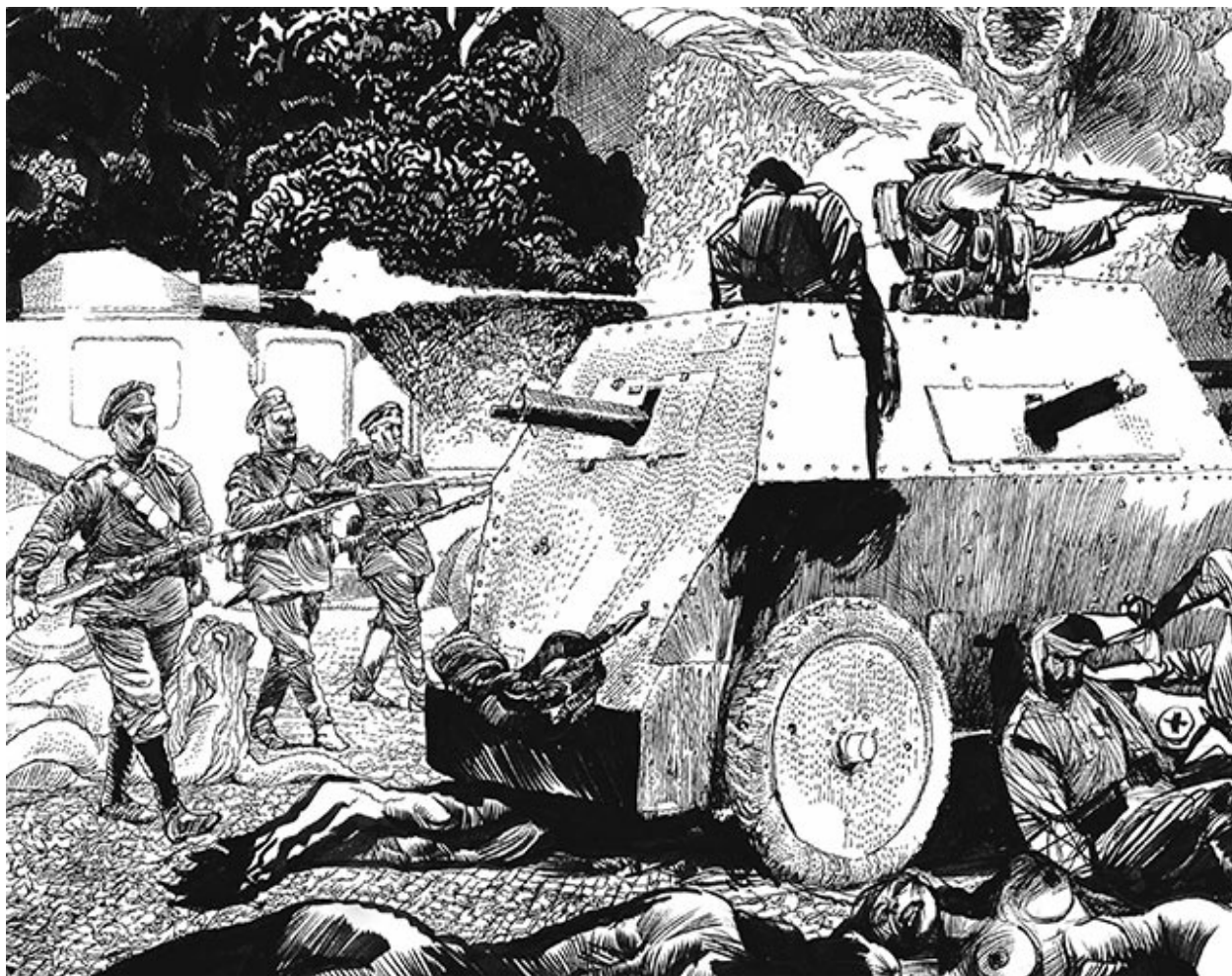
– Chyba nie do końca – wymamrotał oszołomiony Matuszkin.

Istota, która wynurzyła się z ognistego piekła, przypominała człowieka w takim samym stopniu jak topornie wykonana celuloidowa lalka. Miała ręce, nogi i głowę. Na tym kończyło się podobieństwo. Jej skóra schodziła płatami, odsłaniając mięśnie i napięte powróśla ścięgien. Kroczyła niezgrabnie, niczym kierowana przez nieudolnego sztukmistrza pacynka, przy każdym ruchu plamiła ziemię gęstą, ciemną posoką.

– *Pli!* – krzyknął Samarin.

Oba wozy natychmiast wyprysnęły do przodu, po chwili wszystkie odgłosy zagłuszył łoskot ciężkich karabinów maszynowych. Oficerowie błyskawicznie sformowali dwa szeregi i wsparli ogniem samochody pancerne. Sam Rudnicki także zarepetował swojego mosina i bez pośpiechu – wokół byli lepsi od niego – złożył się do strzału. Niespodziewanie oko, tym razem prawe, zaczęło mu łzawić, a kiedy skończył mrugać, ujrzał w detalach głowę Samaela, jakby zwykły wojskowy karabin zaopatrzony był w celownik optyczny. Zanim nacisnął spust, broń ukazała mu na czole Przekłętego dziwny czerwony punkt. Wystrzelił. I nagle władca enklawy, którego demoniczna żywotność zdawała się nie mieć granic, upadł na ziemię.

Samarin uniósł ręce, krzyżując je nad głową, i na placu pojawiło się kilku żołnierzy objuczonych dziwną aparaturą.



– Co to takiego? – spytał alchemik.

– *Kleif* – odpowiedział z roztargnieniem generał. – Inny niemiecki wynalazek, miotacz ognia.

Żołnierze ostrożnie podeszli do miejsca, gdzie leżało ciało Samaela, i po trwających dobrą chwilę manipulacjach uruchomili urządzenie. Rozległo się suche kasznięcie i z dyszy wytrysnął płomień.

Rudnicki wzdrygnął się, widząc, jak potraktowane ogniem zwłoki Przekłętego zmieniają pozycję.

– To tylko skurcz mięśni – skomentował niepewnie Matuszkin.

– Tak czy owak, spalimy go na popiół – stwierdził spokojnie generał. – Jakich by mocy mistycznych nie posiadał, raczej nie zmartwychwstanie. Prawda, kuzyneczko?

Anastazja skinęła głową z nic niemówiącym wyrazem twarzy.

– I dziękuję wam wszystkim – powiedział Samarin. – Gdyby nie wy, nie wróciłbym z enklawy.

Tymczasem na plac wmaszerował oddział wojska w pełnym rynsztunku bojowym, nie wyłączając masek przeciwgazowych, a pod bramę podjechała kolumna wozów pancernych.

– Co się dzieje? – spytał Winniczuk. – *Wasze priewoschoditelstwo?*

Major podszedł do nich z bronią trzymaną nonszalancko w zgięciu łokcia, jakby znajdował się na polowaniu.

– Aleksandrze Borysowiczu – poprawił go Samarin. – Postanowiliśmy wykorzystać sytuację i zaprowadzić porządek w enklawie. – Uśmiechnął się drapieźnie. – Bo przecież najgroźniejsi z Przeklętych zostali właśnie zlikwidowani. Została sama drobnica.

– My? – Anastazja uniosła brwi.

– Stawka – wyjaśnił niecierpliwie generał. – Za przyzwoleniem Jego Wysokości. Wymieciemy miejscową faunę z ulic i założymy posterunki.

– Wewnątrz enklawy?

– Właśnie tak. To pomoże kontrolować *theokatáratos* i ułatwi pracę magom i alchemikom – dodał, spoglądając wymownie na Rudnickiego. – Ale o tym porozmawiamy później, teraz mam jeszcze coś do zrobienia.

– No to wracajmy – westchnął Rudnicki. – Marzę o gorącej kąpieli.

– Nie martw się, będziesz miał swoją kąpiel. Ciotka na pewno postawiła na nogi całą służbę.

– Myślałem, że pojedziemy prosto do pałacu.

– Nie, Jego Wysokość spotka się z wami jutro.

Generał pożegnał ich niedbałym gestem i ruszył w stronę tłoczących się pod bramą żołnierzy.

– *Sudarnia, gospoda, proszę tędy.*

Młody, liczący sobie niewiele ponad dwadzieścia lat porucznik o wąskiej, ascetycznej twarzy skierował ich w niewyróżniającą się niczym uliczkę. Zaraz za zakrętem zaparkowano kilka samochodów.

– Co z tą obrożą było nie tak? – zapytał szeptem alchemik, kiedy usadowili się już na tylnym siedzeniu samochodu. – Bo przecież kiedy zdarłem ją z szyi, magia powinna zadziałać.

Dziewczyna prychnęła pogardliwie i ostentacyjnie odwróciła się w drugą stronę.

– Anastazja!

– Ciszej! I grzeczniej – skarciła go zimno. – Już nie jestem twoją niewolnicą, pamiętasz?

– Nieustannie – zapewnił. – A wracając do sprawy?

– Nie ma żadnej sprawy, nie odpowiadam na głupie pytania. A teraz przestań marudzić i odpocznij.

Rudnicki chciał zaprotestować. Choć dziewczyna nie użyła słowa mocy, nagle ogarnęło go przemożne zmęczenie, a powieki zaczęły ciążyć mimo desperackich wysiłków, aby nie ulec sugestii.

– Nie będę...

– Będziesz, będziesz – zapewniła Anastazja. – Mała drzemka dobrze ci zrobi.

Cichy szum motoru pozbawił go resztek woli i alchemik odpłynął w sen.



Rudnicki zawiązał pasek szlafroka w elegancką kokardkę i mimochodem zerknął w lustro. Nie zauważył żadnych zmian, nawet siwych włosów mu nie przybyło, a przecież nie dość, że dopiero co wrócił z enklawy, to na dodatek wziął udział w największej od lat akcji przeciwko Przekłętym. Nie ma sprawiedliwości na świecie, pomyślał melancholijnie. Srebro na skroniach z pewnością dodałoby mu dystynkcji w oczach dam.

Wyszedł z łazienki i ospałym krokiem powłókł się do salonu. Mimo że przespał niemal dobę, nadal odczuwał zmęczenie, ale wypadało przywitać się z Marią Pawłówną. Z poprzedniego dnia pozostało mu niewiele wspomnień, nie pamiętał nawet, jak dotarł do pałacyku księżnej Wołkońskiej.

Już w korytarzu usłyszał poirytowany głos gospodyni. Księżna czyniła wyrzuty Samarinowi co do „kochanej Wieroczki”.

Stojący w pewnej odległości od wejścia lokaj – najwyraźniej rozmowa należała do poufnych – otworzył przed nim drzwi i wrócił na swoje miejsce.

Alchemik klepnął Samarina w ramię i pocałował księżnę w nadstawiony policzek. Maria Pawłowna bez pytania naląła mu herbaty i podsunęła świeżo

upieczone ciasteczka.

– Pyszności – wymamrotał z pełnymi ustami.

– Jak się czujesz?

– Znakomicie – zapewnił staruszkę.

– Pytała o ciebie Luda von Kries – oznajmiła gospodyni z wesołym błyskiem w oku. – Chciała koniecznie cię zobaczyć. Oczywiście nie puściłam jej nawet na próg sypialni – dodała z wyraźnym rozbawieniem. – Odnoszę wrażenie, że zaprzyjaźniliście się ostatnio z panienką von Kries.

– Owszem. Pomogła mi ratować tego tutaj. – Wskazał ruchem głowy Samarina.

– Czyli tak naprawdę mogło jej chodzić o mnie, a nie o ciebie – ożywił się generał. – Zawsze wiedziałem, że Luda ma dobry gust.

Rudnicki odpowiedział pogardliwym prychnięciem, popił herbaty.

– Może jesteś głodny? – zatroszczyła się Maria Pawłowna.

– Nie, dziękuję, jadłem już śniadanie. To tylko łakomstwo. Rozumie ciocia: przez ostatni tydzień miałem do dyspozycji jedynie wojskowe konserwy.

– Tylko nie rozpędzaj się za bardzo z tymi słodyczami, bo za godzinę wyjeżdżamy do Carskiego Sioła – wtrącił Samarin. – Lepiej, żebyś nie dostał mdłości w najmniej odpowiednim momencie.

– My?

– Ja, ty i Anastazja – doprecyzował oficer. – Jego Wysokość chce was nagrodzić.

Rudnicki wyprostował się zaniepokojony, odstawił filiżankę.

– Masz na myśli gratyfikację finansową? – spytał ostrożnie. – Nie mogę przyjąć...

– Nie martw się, chodzi o tytuł, może jakieś odznaczenie – odpowiedział kpiąco Samarin. – Z nieznanym mi powodów Jego Wysokość sądzi, że nie wypada proponować ci pieniędzy.

– Wiesz, że nie przyjmę od cara żadnego odznaczenia, a tym bardziej tytułu!

– Uspokójcie się, chłopcy!

– To on zaczął! – powiedział ze wzburzeniem Rudnicki. – Słyszała ciocia! Odznaczenia, też coś!

Samarin zakrył twarz dłonią, próbując opanować rozbawienie, ale mimo

usilnych starań jego ramiona zaczęły drgać, a po chwili wybuchnął głośnym śmiechem.

– Ostatni raz naskarżył na mnie Wowa Diomin, pamięta ciocia? Trzydzieści parę lat temu, kiedy stuknąłem go w głowę łopatką. A teraz baron Rudnicki.

– Jaki, do licha, baron?!

– Olafie Arnoldowiczu – odezwała się złowrogim tonem księżna – jeszcze raz usłyszę, jak pan przeklina w obecności damy, a wymyję panu buźkę mydłem!

– Przepraszam – wybąkał alchemik. – Czy *gospodin gienierał* mógłby wyjaśnić, o co chodzi z tym tytułem? – poprosił z przesadną uprzejmością.

– Cóż...

– Nie drażnij go, Saszka! Przy okazji i ja chętnie dowiedziałabym się, w czym rzecz.

– No dobrze – odparł generał, poważniejąc. – Przede wszystkim nie masz powodów do niepokoju, bo Jego Wysokość doskonale zna twoje nastawienie do wszelkiego typu zaszczytów, jakimi mógłby cię obdarzyć. A gdyby jakimś cudem zapomniał, to ma przecież mnie – dodał cierpko. – Nikt nie życzy sobie skandalu w trakcie oficjalnej ceremonii.

– Jakiej ceremonii?

– Przecież mówię, oficjalnej, dworskiej. Nadanie tytułu barona to nie byle co. Podobnie jak i odznaczenie. Chodzi o Order Świętej Katarzyny Męczennicy.

Rudnicki odetchnął z ulgą, Order Świętej Katarzyny przyznawano tylko kobietom.

– Rozumiem, że to Anastazja zostanie odznaczona?

– Owszem. I żeby upредить kolejne pytanie: tak, nasza kuzyneczka nie ma nic przeciwko. Pytałem.

– Ale ten tytuł...

– Tytuł przyznał ci Jerzy Piąty, z bożej łaski król Wielkiej Brytanii, Irlandii i cesarz Indii – wyjaśnił zmęczonym tonem Samarin. – Skądinąd kuzyn Jego Wysokości Mikołaja Drugiego. Imperator jedynie go zatwierdził, dzięki czemu tytuł jest ważny także na terytorium Rosji. Czy to zaspokaja twoje poczucie przyzwoitości?

Alchemik bez słowa skinął głową.

– Jakże się cieszę! A do sprawy Wierki wrócimy później – generał zwrócił się

do księżnej. – Najpierw trzeba zająć się promocją pana barona.

– Co za Wierka? – zainteresował się Rudnicki. – Mogę w czymś pomóc?

– Wątpię – odburknął Samarin. – To przyjaciółka z dzieciństwa. Jej matka, Agafia Frołowa, była moją nianią. Ulubioną nianią – podkreślił. – Po śmierci rodzicielki Wiera wpadła w tarapaty finansowe, więc ciocia udzieliła jej gościny.

– W czym problem?

– Ciocia twierdzi, że niezamężna kobieta nie może w nieskończoność przebywać w domu, w którym mieszkają niezonaci mężczyźni – wyjaśnił, przewracając oczyma. – To także o was, Olafie Arnoldowiczu! – dorzucił złośliwie. – W końcu nocowałeś tu dzisiaj. Najlepiej, gdyby mogła podjąć pracę i przeprowadzić się do własnego lokum, ale niestety, nie mam zbyt wielu znajomości wśród młodych matek. Podobnie jak i ciocia. A Wiera nie chce przyjąć pieniędzy.

– Skąd tu młode matki?

– Wiera opiekuje się małymi dziećmi.

– Dzieci... – wymamrotał Rudnicki. – Coś mi to przypomina. Mam! Przecież ta angielska lady poszukiwała niani!

– Jaka lady? – Samarin zmarszczył brwi. – Masz znajomości wśród angielskiej arystokracji?

– Poznałem ją na obiedzie w Carskim Siole. Podobnie jak ja, była gościem Jego Wysokości.

– Czy to czasem nie żona earla Huntingdona? – spytała księżna.

– Owszem – przyznał obojętnie Rudnicki. – Tak przedstawiono jej męża.

– Earl jest ambasadorem pełnomocnym Jerzego Piątego, właśnie on przyznał ci tytuł barona – oświecił go Samarin.

– No dobrze, to mam dzwonić czy nie?

– Gdzie dzwonić?

– Do tej lady, żeby zarekomendować jej waszą podopieczną.

– Żona earla to hrabina – odezwała się pouczającym tonem Maria Pawłowna.

– Może przekartkuj jakiś podręcznik bon tonu, żeby nie musiała się za ciebie wstydzić. I oczywiście dzwoń!

Rudnicki sapnął ze złością, ale zrezygnował z polemiki, widząc, jak Samarin dyskretnie kręci głową. Wyglądało na to, że ten dzień i tak będzie pełen emocji,

nie było sensu dokładać do tego kłótni z księżną.



Zawiadowca zapowiedział odjazd pociągu, do wagonów wsiadali ostatni podróżni, w ślad za nimi podążali objuczeni sakwożażami bagażowi.

Rudnicki zerknął na zegarek, po czym odgonił energicznym machnięciem natrętnego sprzedawcę wojennych pocztówek. Tym razem alchemik miał podróżować w luksusie, do jego dyspozycji oddano salonkę wraz z kucharzem i służbą.

– Idzie – odezwała się Anastazja. – Już myślałam, że nie zdąży.

Na peronie panował tłok, ale ludzie bez słowa protestu ustępowali Samarinowi z drogi. Galowy generalski mundur onieśmiała większość cywilów, innym wystarczyło spojrzeć na twarz oficera i dłoń błędząca w okolicach kabury. Nie ulegało wątpliwości, że *jego priewoschoditelstwo* jest nie w humorze.

– Przepraszam – powiedział Samarin. – Ledwo się wyrwałem. Narada sztabowa – dodał wyjaśniająco.

– Wszystko w porządku? – spytał Rudnicki. – Bo wyglądasz, jakbyś chciał kogoś skrócić o głowę.

– To nic wielkiego, po prostu sztabowe pierdzistołki – odparł generał z wyraźnie wymuszonym uśmiechem. – Napiszcie od czasu do czasu. Najlepiej na adres cioci.

– A co, chcą cię wysłać na front?

– Co najwyżej w podróż inspekcyjną. No, bywaj!

Samarin ucałował Anastazję i objął serdecznie alchemika.

– Uważajcie na siebie – poprosił. – Czasy są niespokojne.

– Mieszkamy w Warszawie, a nie na linii frontu – odparł Rudnicki, odwzajemniając uścisk.

– Może przeprowadźcie się gdzieś dalej? Moim zdaniem...

Przeraźliwy gwizd oznajmił odjazd pociągu, a zawiadowca stacji grzecznie, choć stanowczo – w końcu nie co dzień spotyka się pasażera salonki! – poprosił alchemika o zajęcie miejsca w wagonie.

– Co on miał na myśli? – odezwał się ze zdziwieniem Rudnicki. – Gdzie front,

a gdzie Warszawa?

Anastazja nie odpowiedziała od razu, długo przypatrywała się niknącej w oddali sylwetce Samarina.

– Chodźmy do jadalni – zaproponowała. – Tam porozmawiamy.

Rudnicki posłusznie ruszył w ślad za dziewczyną, odruchowo wcisnął bakelitowy przełącznik: pomieszczenie wyposażono w elektryczne lampy. Jasne, choć nie jaskrawe, bo stonowane kloszami z mlecznego szkła światło rozjaśniło wieczorny półmrok.

– Zabrałeś ze sobą ten walec? – spytała bez wstępu.

Alchemik potwierdził skinieniem.

– A karabin?

– Karabin? – powtórzył bezmyślnie Rudnicki, chcąc zyskać na czasie.

Nikomu nie zwierzał się z wrażeń, jakich dostarczyło mu strzelanie ze zwykłego, zdawałoby się, mosina, ale pytanie świadczyło, że Anastazja coś zauważyła.

– Ten sam, z którego zabił pan Samaela, *monsieur le baron*!

Rudnicki westchnął ciężko, ceremonia obdarzenia go tytułem arystokratycznym nie była wspomnieniem, do którego wracałby z radością. Przede wszystkim dlatego, że posiadanie go sprawiało mu głęboką, wręcz podejrzaną w swej intensywności satysfakcję. Tak jakby dotychczasowa postawa niemieszania się do polityki wynikała nie tyle z przekonania, co z konieczności. Bo i kogo obchodziłoby zdanie zwykłego aptekarza? Co innego barona...

– Zabrałem karabin – przyznał, przerywając przedłużającą się ciszę.

– I co o nim sądzisz? Inkluzja bardzo go zmieniła?

– Nie miałem czasu go badać, bo i kiedy? Zajmę się tym, jak wrócimy do domu. Mam tylko nadzieję, że Niemcy oddadzą mi „Azyl”.

Dziewczyna mruknęła coś pod nosem, ale widać było, że kwestia hotelu niespecjalnie ją interesuje.

– Musimy znowu zacząć odwiedzać enklawę – stwierdziła kategorycznie. – Jeśli pomogą nam Ankwicz i Wiktor, damy radę. Nic nie zdziałamy bez *materia prima*.

– My? – podchwycił alchemik. – Właśnie, co z nami? Kim teraz będziemy dla siebie? Przecież jesteś już wolna...

Anastazja ukryła twarz w dłoniach, zmęczonym ruchem rozczesła włosy palcami.

– Ależ ty jesteś głupi – wymamrotała. – Nic się nie zmieni, o ile sam nie będziesz tego chciał. W momencie kiedy uznałam cię za kuzyna, stałeś się moją rodziną, tak jak i Saszka. Pamiętasz, co ci kiedyś mówiłam o *theokatáratos*? Nasze słowa tworzą rzeczywistość.

– Ale zgodziłaś się mnie zabić, jeśli nie wypełnię żądań Samaela!

– Okłamałam go. Nigdy nie zrobiłabym ci krzywdy. Nie byłabym w stanie. Przypominasz sobie, jak zerwałeś obrożę? Samael wziął mnie za dyszącą żądzą zemsty niewolnicę i nawet nie pomyślał, że mogę go oszukać. Dlatego nie zażądał, żebym złożyła przysięgę w Kręgu.

– Przecież nie darowałby ci tego!

– Owszem. Na szczęście zginął, zanim zorientował się, co i jak.

Alchemik zamrugał jak człowiek chcący otrząsnąć się ze snu, jednym szarpnięciem poluźnił kołnierzyk.

– Więc ty... Ja...

– Nic nie mów – poprosiła cicho. – Przytul mnie. Jeśli chcesz.

Rudnicki bez słowa przysunął się do dziewczyny, wyciągnął rękę. Stopniowo, jakby bez udziału woli Anastazja osuwała się w ramiona alchemika, aby w końcu spocząć z głową na jego kolanach. Pociąg mknął naprzód, żelazne koła wygrywały na spojeniach szyn odwieczną melodię podróży, a on nadal trzymał w objęciach przekłętą przez Boga kobietę-demona. I strzegł jej snu, dopóki nie nastał świt.

VI

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Samarin wylegitymował się wartownikowi, po czym wszedł do *sanctum sanctorum*, pokoju, w którym przygotowywano plany przyszłej ofensywy. Pokrywające ściany mapy nie pozostawiały cienia wątpliwości: Rosja zamierzała atakować.

Siedzący za stołem sztabowym oficerowie podnieśli głowy, ale w żaden inny sposób nie zareagowali na jego wejście. Tylko szczupły mężczyzna o pooranej zmarszczkami, ozdobionej siwym wąsem twarzy niecierpliwym gestem nakazał mu siadać. Aleksiej Brusilow nie imponował posturą, ale okazywany mu szacunek wyraźnie wskazywał, kto tu rządzi.

– *Gospoda* – zagaił bez wstępu – jesteśmy w komplecie, czas zacząć odprawę. Chciałem od razu zaznaczyć, że nasza narada będzie dotyczyła wyłącznie tego, jak najlepiej przeprowadzić uzgodnione z zachodnimi sojusznikami natarcie. Cały plan uzyskał już akceptację Jego Wysokości, tak więc nie będziemy się zastanawiać, czy ofensywa ma sens, a jedynie jak w najlepszy sposób wykorzystać nasze siły. Każdy z obecnych jest ekspertem w swojej dziedzinie, mamy wśród nas specjalistów od minowania, inżynierów, lekarzy, zwiadowców, artylerzystów i dowódców piechoty, a nawet przedstawicieli Cesarskich Sił Powietrznych. Moim specjalnym gościem jest też generał Samarin. Żeby nie przeciągać sprawy: generale Kutiepow, proszę zreferować, jak wygląda nasza sytuacja gospodarcza.

Samarin uniósł brwi, do niedawna nikt z decydentów, nie wyłączając rządu i Stawki, nie przejmował się gospodarką, co było efektem przedwojennych ustaleń, zakładających, że wojna potrwa co najwyżej kilka miesięcy. Na skutki nie trzeba było długo czekać, rosyjskiej armii brakowało nie tylko broni, ale nawet amunicji, którą trzeba było kupować u sojuszników po mocno zawyżonych cenach.

Kutiepow, niewysoki oficer z oznaczeniami generała-majora na pagonach, wstał z za stołu i nałożywszy binokle, potrząsnął trzymanymi w dłoni papierami.

– Najgorzej przedstawia się stan transportu – zaczął spokojnym, wyważonym tonem. – Możemy zapewnić fabrykom zaledwie około sześćdziesięciu procent potrzebnych materiałów, co utrudnia, a czasami wręcz uniemożliwia zwiększenie produkcji. Z drugiej strony poprawie uległo działanie większości zakładów pracujących na potrzeby wojska. Na przykład tulska fabryka broni zwiększyła produkcję karabinów maszynowych z siedmiuset rocznie do tysiąca miesięcznie. Wytwornie zapalników czasowych zamiast pięćdziesięciu tysięcy miesięcznie są w stanie wykonać siedemdziesiąt tysięcy dziennie, a Główny Urząd Artylerii zbudował piętnaście nowych fabryk, które już podjęły pracę. Konkludując, mimo pewnych trudności nasz przemysł jest w stanie zaspokoić potrzeby armii związane z przeprowadzeniem nowej ofensywy.

Brusiłow podziękował Kutiepowowi i skinął na kolejnego oficera, przedstawiając go jako generała Wierszyńskiego. Tamten pozdrowił obecnych lekkim ukłonem i podobnie jak poprzednik natychmiast przeszedł do konkretów.

– Panowie, musimy zdać sobie sprawę, że stanowiska oddziałów austriacko-niemieckich są dużo lepiej ufortyfikowane od naszych – powiedział szorstko, pomijając wszelkie grzecznościowe formułki. – Przeciętny odcinek składa się z dwóch, a bywa, że i trzech umocnionych pasów, oddalonych od siebie o kilka wiorst. Każdy pas ma głębokość wiorsty i w jego skład wchodzi dwie, trzy linie okopów i punktów oporu, zbudowanych w ten sposób, że mogą osłaniać się nawzajem ogniem artylerii i ciężkich karabinów maszynowych. Okopy pierwszej linii są głębokie na ponad pięć arszynów i zaopatrzone w stopień strzelecki. Zarówno okopy, jak i rowy łącznikowe wyłożone są deskami i zaopatrzone w kryte korytarze dla strzelców. Co czterdzieści, pięćdziesiąt sążni nieprzyjaciel rozmieścił żelbetonowe bunkry dla obserwatorów, karabinów maszynowych i lekkich dział, co pozwala z łatwością odpierać ataki naszej piechoty. Same okopy nigdy nie biegną w linii prostej i załamują się w taki sposób, aby umożliwić żołnierzom krzyżowy ostrzał sąsiednich odcinków, na wypadek gdyby te wpadły w ręce wroga. Bezpośrednio za pierwszą linią znajdują się schrony i ziemianki ze stropami umocnionymi żelbetonowymi belkami, co zabezpiecza

je nawet przed ogniem ciężkiej artylerii. Pierwsza linia okopów osłonięta jest kilkoma pasami zaskoków z drutu kolczastego, często podłączonego do prądu. Przed przeszkodami umieszczono miny pułapki i wilcze doły. Druga linia okopów znajduje się kilkaset kroków za pierwszą i łączy z nią za pomocą rowów komunikacyjnych. Jest dużo słabsza, ale także wyposażona w różnego typu przeszkody. Ma ona za zadanie powstrzymanie natarcia w przypadku zdobycia pierwszej linii. Wówczas zaczyna działać artyleria, nadal walczą bunkry i niezdobyte wstępnym atakiem punkty ogniowe, wróg podciąga rezerwy i... – Rozłożył wymownie ręce.

– A trzecia linia? – wtrącił Samarin.

– To tylko dodatkowe, dużo słabsze zabezpieczenie najbardziej zagrożonych rejonów – machnął ręką zapytany. – Kłopot w tym, że prawie nigdy nie udało nam się zdobyć dwóch linii okopów naraz, a to podstawa sukcesu.

– Czyli piechota musiałaby atakować falami, jedna za drugą – powiedział z namysłem Samarin.

– Owszem – przytaknął Brusilow. – Musimy też zapewnić sobie nie tylko przewagę w ludziach, ale i artylerii, przynajmniej na odcinkach, na które skierujemy główne uderzenia.

– Przecież wróg natychmiast wykryje, że ściągamy działa, i pozna kierunek natarcia! – zaprotestował Kutiepow.

– W żadnym wypadku! – zaprzeczył Wierszyński. – Dla niepoznaki skoncentrujemy artylerię w paru innych miejscach i przeprowadzimy tam pozorowane ataki. Jeśli połączymy to z odpowiednią dezinformacją, być może uda nam się nawet zmusić wroga do zredukowania sił na kierunku głównego natarcia.

– A co z jednostkami, które pójdą w pierwszej fali? – zapytał z troską w głosie korpulentny kawalerzysta. – Czy są odpowiednio zaopatrzone? Mają dość amunicji? Bo przy tego typu ofensywie nie da rady oszczędzać...

– Pułkownik Bragin. – Brusilow skinął na milczącego do tej pory, szczupłego oficera z monoklem w oku.

– Mamy pod dostatkiem amunicji, żywności i paszy dla koni – zapewnił Bragin. – To zapas na dwa miesiące walk. Zorganizowaliśmy też sprawnie działający system ewakuacji rannych i chorych. W tej dziedzinie nie powinno

być najmniejszych problemów.

– Co z morale? – chciał wiedzieć Samarin.

– Znakomite – odparł Brusilow. – Żołnierze rwą się do walki. Od pewnego czasu trenują na makietach przypominających austriackie i niemieckie umocnienia. Ćwiczą także współdziałanie z artylerią, zarządziłem, żeby w każdym batalionie znajdował się jeden obserwator-artyleryzista, mający bezpośrednie połączenie z tyłami, bo to właśnie nasze armaty będą musiały zniszczyć wszelkiego typu przeszkody terenowe i zdominować wrogie bunkry i punkty ogniowe.

– A jak stoimy z rozpoznaniem?

Tym razem zza stołu podniósł się oficer w błękitnym lotniczym mundurze.

– Posiadamy fotografie dokumentujące strukturę obrony przeciwnika – zameldował pewnym siebie głosem. – Zwiad lotniczy prowadzony jest na bieżąco, tak więc nie ma mowy o tym, żeby Austriacy czy Niemcy zaskoczyli nas nagłą dyslokacją swoich sił.

Samarin poprawił się w krześle, żeby lepiej widzieć lotnika, ale tamten skłonił się tylko na znak, że zakończył sprawozdanie.

– Jakież pytania? – odezwał się Brusilow.

Odpowiedziała mu cisza.

– *Waprosow niet* – podsumował drwiąco generał. – Wnioski? Jesteśmy znakomicie przygotowani, silni, zwarci i gotowi, a wróg nie ma szans.

Kilku oficerów poruszyło się niespokojnie, ale większość nadal siedziała z wyrazem zmieszania na twarzach, jakby chcieli jak najszybciej przejść do spraw bardziej oczywistych, a przez to zrozumiałych.

– Otóż ma szanse! – krzyknął Brusilow, waląc dłonią w stół. – Choćbyśmy nie wiadomo jak dobrze przygotowali ofensywę, jest rzeczą oczywistą, że prędzej czy później straci ona impet, i to bynajmniej nie ze względu na działania wroga! Wystarczy nam swoich Rennekampfów i Suchomlinowów! Wiecie, co powiedział mi Kuropatkin w czasie narady w Naczelnym Dowództwie, kiedy zadeklarowałem gotowość do ataku? Że dziwi się mojej chęci ryzykowania reputacji, na którą do tej pory sobie zasłużyłem! Oznajmił mi też, że będąc na moim miejscu, nigdy nie kusiłby losu, bo przecież mogę utracić wojenny nimb, jaki mnie otacza. Rozumiecie? Nie martwił się o kraj, o ofensywę, a jedynie

przejmował się pozycją na dworze! Z pewnością nie jest jedynym, który tak myśli, a przecież z takimi właśnie ludźmi przyjdzie nam współdziałać.

Żeby przerwać niezręczne milczenie, Samarin wyjął srebrną papierośnicę i uprzejmie poczęstował sąsiada, a widząc zainteresowanie w oczach towarzyszy, puścił ją w obieg.

– Znakomity tytoń – skomplementował po chwili Wierszyński.

– Myślę panowie, że przesadzam? – podjął temat Brusilow.

– Pewnie nie – odparł burkliwym, niemal aroganckim tonem Bragin. – I co z tego? Jego Wysokość nie zdymisjonuje Kuropatkina czy Ewerta tylko dlatego, że nie wykazują odpowiedniego entuzjazmu dla idei ofensywy. Jeśli już, to dopiero wtedy, kiedy narobią szkód. Być może nieodwracalnych.

Samarin wydmuchnął ze złością papierosowy dym, przyznając w duchu rację Braginowi. Odpowiedzialny za katastrofalny stan zaopatrzenia armii generał Suchomlinow, skądinąd faworyt cara, został oskarżony o zaniechania, fałszerstwo, łapownictwo i zdradę państwa. Niedawno osadzono go w Twierdzy Petropawłowskiej. Von Rennekampf, któremu udowodniono współodpowiedzialność za klęskę operacji wschodniopruskiej i defraudację pieniędzy wojskowych, nie został nawet osądzony, a jedynie zmuszono go do przejścia w stan spoczynku.

– Nie mamy wpływu na to, co zrobi Jego Wysokość, ale możemy sami podjąć pewne działania – powiedział Brusilow. – Dlatego zaprosiłem tu hrabiego Samarina. Generale, czy mógłby pan zademonstrować nam swoje... możliwości?

Samarin niechętnie podniósł się z krzesła, sytuacja coraz mniej mu się podobała. Nie trzeba było jasnowidza, żeby dojść do wniosku, że Brusilow postanowił wykorzystać w nadchodzącej ofensywie talenty pewnego oficera *Konwoja*. Tylko co mógł zdziałać w pojedynkę przeciwko dziesiątkom i setkom tysięcy wrogich żołnierzy?

– Pułkownik Bragin – poprosił, wybierając oficera najniższego stopniem – będzie pan uprzejmy zaatakować mnie szablą.

Wywołany niepewnym ruchem sięgnął do boku, Samarin wyczekał, póki tamten nie wysunął ostrza, i dopiero wówczas wypowiedział słowo mocy. Bragin zamarł w pół ruchu, niezdolny do odparowania pozorowanego ciosu.

– Tak to mniej więcej wygląda – skomentował oschle Samarin.

– Ciekawa sztuczka – przyznał Wierszyński. – Tylko czy przydatna na polu walki?

– Teoretycznie. – Samarin wzruszył ramionami.

– Niech pan nie będzie taki skromny – zaprotestował z dobrodusznym, choć niesięgającym oczu uśmiechem Brusilow. – W pańskich aktach wyczytałem, że zlikwidował pan w ten sposób obsługę karabinu maszynowego. Znaczący zatrzymał czas, po czym ich zastrzelił. Z odległości ponad dwustu sążni.

– To nie jest zatrzymanie czasu! – zaprotestował Samarin. – Raczej chwila dezorientacji.

– Jak znał, tak znał, grunt, że można tego użyć w walce – zripostował Brusilow. – Pewnie zastanawia się pan, po co zawracam mu głowę? Otóż chciałbym, żeby wsparł pan naszą operację w momencie, kiedy natarcie zacznie wytracać impet.

– Jak?! – wyrwało się Samarinowi.

– Nie sam! Od roku prowadzimy pewne działania w wybranych enklawach. To tajny program o kryptonimie „Magia”. Zebraliśmy przez ten czas około dwustu... adeptów. Tak nazywa się ludzi, którzy potrafią użyć tych symboli, prawda?

Samarin przytaknął.

– Wszyscy oni zostaną oddani pod pańską komendę. Chodzi o stworzenie czegoś w rodzaju oddziałów szturmowych składających się z adeptów i doborowych żołnierzy, które byłyby w stanie dokonać przełamania frontu na najtrudniejszych odcinkach, torując drogę piechocie. To nadałoby ofensywie nowego rozmachu, no i, rzecz jasna, podniosło morale. Co pan na to? Szef Sztabu Naczelnego Wodza, generał Aleksiejew, zaznaczył wyraźnie, że zostanie pan odkomenderowany do mojej dyspozycji wyłącznie na własną prośbę. Jego Wysokość zbyt pana ceni, żeby wysłać ot tak na front...

Samarin z trudem powstrzymał gniewną ripostę: Brusilow z rozmysłem sugerował obecnym, że mają do czynienia z kolejnym pupilem imperatora, którego udział w walkach był co najwyżej marginalny. Cel tego przedstawienia był oczywisty – zmusić go do uczestnictwa w ofensywie.

– Wie pan, generale, dopiero niedawno powróciłem z frontu – odparł z wykalkulowaną dezynwolturą. – Mam dwa miesiące zaległego urlopu,

z którego wykorzystałem dokładnie pięć dni, bo niemal od razu poproszono mnie, żebym przejął dowodzenie *Konwojem*. A ostatnie dwa tygodnie spędziłem w enklawie. Może zwrócił pan uwagę na odgłosy wybuchów i strzały? Właśnie skończyliśmy oczyszczać ten teren z Przeklętych.

– Zlikwidowaliście enklawę? – zmarszczył brwi Bragin.

– Nie do końca, nie wiem, czy to w ogóle możliwe. Niemniej jednak z pewnością ograniczyliśmy pogłowie *theokatáratos*. Szczególnie tych najgroźniejszych. Ustanowiliśmy też posterunki w enklawie. Myślę, że na długo zabezpieczyliśmy Sankt Petersburg przed atakami.

Nikt z obecnych nie zareagował na nazwę „Sankt Petersburg”, choć zaraz po wybuchu wojny miasto przemianowano na Piotrogród, chcąc odciąć się od wszelkich skojarzeń z Niemcami.

– Zaraz! – wykrzyknął Wierszyński. – To pan odparł atak na pałac i ocalił życie następcy tronu?

– Owszem, brałem udział w obronie pałacu, choć życie następcy tronu ocalił mój przyjaciel, baron Rudnicki.

– O ile mi wiadomo, Jego Wysokość odznaczył generała Samarina za męstwo Orderem Świętego Jerzego drugiej klasy – wtrącił Brusilow. – Wracając do rzeczy, jaką decyzję pan podjął, hrabio?

Samarin się rozejrzał: wszyscy oficerowie wpatrywali się w niego z takim napięciem, jakby miał zaraz zademonstrować sztukę lewitacji. Odpierając insynuacje Brusilowa, dał się złapać w pułapkę. Jeśli odmówi, osłabi morale najbliższych współpracowników generała i weźmie na siebie część winy za ewentualne fiasko natarcia. Bo nie ulegało wątpliwości, że wszyscy zebrani uważają go za bohatera i odżegnanie się od udziału w operacji wywrze na nich jak najgorsze wrażenie. Było też jasne, że Brusilow specjalnie go sprowokował, spodziewając się takiej, a nie innej reakcji. Kto wie? Może istotnie jest taki dobry, jak o nim mówią? Załatwił mnie jak dziecko, pomyślał ze złością Samarin. A wydawało mi się, że jestem zbyt ostrożny i doświadczony, żeby paść ofiarą jakiegoś intryganta. Tyle że to żaden dworski piesek, ale dowódca, którego nawet wrogowie uważają za geniusza. Szlag...

– Muszę choć trochę odpocząć – odezwał się wreszcie, czując miałość argumentu.

– Oczywiście! – rozpromienił się Brusilow. – Najbliższy miesiąc jest do pańskiej dyspozycji, ofensywa rozpocznie się dopiero na początku czerwca. Jedyne, co pan musi przez ten czas zrobić, to odwiedzić kilka odcinków frontu, żeby zapoznać się z sytuacją i przestudiować plany wykorzystania oddziałów Omega.

– Skąd ta nazwa?

– Cóż, to chyba odpowiada definicji magicznego myślenia – przyznał Brusilow. – Chcielibyśmy, żeby Omega miała ostatnie słowo w walce, która nas czeka. I jeszcze jedno, serdecznie witamy pana w naszym gronie!

Zanim Samarin zdążył odpowiedzieć, ludzie, których zobaczył dzisiaj pierwszy raz w życiu, otoczyli go, ściskając mu dłonie i poklepując po plecach. Nie zaprotestował, jego los został przesądzony w momencie, kiedy Brusilow zdradził mu datę rozpoczęcia ofensywy. Szach i mat. Niespodziewanie gniew i rozgoryczenie rozwiały się niczym rozegnane wiatrem chmury i Samarin poczuł przyływ dumy: Rosja znowu zaatakuje, a on będzie jednym z tych, którzy poprowadzą na zachód żołnierzy pod sztandarami z imperialnym orłem. Kiedy ordynans Brusilowa podał szampana, wzniosł toast jak inni, z uśmiechem i nadzieją. *Za wielikuju Rossiju!*



Samarin wbił widelec w kolejne faszerowane łososiem jajko i zanurzył je w smakowitym sosie. Józef Andriejewicz spożywał śniadanie z nieco mniejszym entuzjazmem, ale nie bez apetytu, za to księżna Wołkońska wyraźnie ociągała się z jedzeniem. Ściągnięte brwi i pionowa zmarszczka na czole sugerowały, że albo źle się czuje, albo jest nie w humorze.

– Wszystko w porządku? – spytał z troską oficer.

– Nic nie jest w porządku – westchnęła Maria Pawłowna. – Olaf i Anastazja wyjechali, a teraz ty ruszasz na front.

– To tylko podróż inspekcyjna – zaznaczył stanowczo Samarin. – Nic mi nie grozi.

– Oczywiście! Jakby prasa nie donosiła co dzień o ostrzale miast i wsi poza strefą walk. Hunowie bombardują nawet szpitale i pociągi Czerwonego Krzyża!

– To była pomyłka – zauważył Czerski. – I Niemcy za nią przeprosili.
Księżna zbyła argument lekceważącym gestem upięścienionej dłoni.
– Nawet Wieroczka wyjechała.

– Z twojej inicjatywy – przypomniał oficer.

Maria Pawłowna obrzuciła wnuka złowrogim spojrzeniem i z brzękiem odłożyła łyżeczkę.

– Całkiem zdziczałeś w tym wojsku! – burknęła. – Dżentelmen nigdy nie wypomina damie braku logiki!

– Istotnie – przyznał Józef Andriejewicz. – Poza wszystkim innym to strata czasu.

Księżna fuknęła gniewnie i pacnęła Polaka serwetką, ale wyglądało na to, że otrząsnęła się z przygnębienia.

– Przynajmniej udało nam się umieścić Wierę w dobrym domu – powiedziała.
– Żona earla Huntingdona, hrabina Sara, odwiedziła mnie specjalnie, żeby podziękować za znalezienie niani. Jest zachwycona Wierką – dodała z satysfakcją. – A jej maleństwo jest przesłodkie. Szkoda tylko, że żaden z moich wnuków nie pomyślał do tej pory o rodzinie i dzieciach. A czas nie stoi w miejscu!

Samarin przewrócił oczyma, księżna sprawiała wrażenie, jakby rzeczywiście wierzyła, że Olaf jest jej wnukiem. Co najdziwniejsze, zupełnie mu to nie przeszkadzało.

– Mamy wojnę – przypomniał. – To nie najlepszy czas na zakładanie rodziny.

– Niemniej jednak mógłbyś zacząć się rozglądać!

– Postaram się, ciociu – obiecał.

Józef Czerski parsknął śmiechem, po czym rozkaszał się ostentacyjnie, próbując nieudolnie ukryć wesołość.

– Co znowu?

– Cóż, może niech Saszka trochę poczeka z tym rozglądaniem? – zaproponował Polak. – Bo jeszcze jakaś wpadnie mu w oko, a kobiety kręcące się w strefie przyfrontowej to niekoniecznie damy...

Księżna odstawiła gwałtownie filiżankę, aż porcelana zabrzęczała nieprzyjemnie, po czym z zaciśniętymi ustami wyszła z jadalni. Samarin poderwał się z krzesła, ale Czerski niemal niedostrzegalnym ruchem pokręcił

głową.

– Daj jej ochłonąć – mruknął.

– Ale co się stało? Twój dowcip nie był może najwyższego lotu, ale przecież nie znalazło się w nim nic wstrząsającego czy obraźliwego.

– Nie chodzi o dowcip, problem w tobie.

– Dziękuję bardzo! I czymże takim zbulwersowałem ciotkę?

– Nie masz żony ani nawet narzeczonej.

– I co z tego? To przecież żadna nowina?

– Maria zawsze chciała mieć dzieci – odparł pozornie bez związku Czerski. –

Niestety, Bóg nam nie pobłogosławił.

Samarin niemal zakrztusił się gorącą herbatą: Józef Andriejewicz nigdy otwarcie nie przyznał, co łączy go z księżną. Do teraz.

– Chcieliśmy nawet adoptować jakiegoś malucha – kontynuował Polak.

– Rozmyśliliście się?

– Los sprawił, że nie było takiej potrzeby.

– Nie rozumiem?

– Wzięliśmy cię do siebie zaraz po śmierci twoich rodziców. Zawsze traktowaliśmy cię jak syna. Ja nie mogę wyobrazić sobie, że zginiesz. Nie jestem w stanie. Co innego Maria. Kobiety są praktyczne do granic okrucieństwa: jesteś wszystkim, co ma. Gdybyś poległ, nie miałyby po co żyć. Dlatego chce, żebyś dał jej wnuka.

– Józefie Andriejewiczu, ja...

Czerski powstrzymał Samarina znużonym gestem.

– Nic nie mów – poprosił. – Nie trzeba.

– Pójdę się z nią pożegnać – powiedział niepewnie Samarin. – Mój pociąg odjeżdża za dwie godziny, czas się zbierać. A i z wami...

Wstał od stołu, podszedł do Polaka. Czerski wyciągnął rękę, ale Samarin, zamiast ją uścisnąć, niespodziewanie pocałował starca w dłoń.

– Dziękuję za wszystko, Józefie Andriejewiczu – wyszeptał, schylając nisko głowę. – Dziękuję.

– Uważaj na siebie, synku – poprosił Czerski. – Bo obaj wiemy, że nie wyjeżdżasz w podróż inspekcyjną. Niech cię Bóg chroni.

Samarin wyszedł, czując na plecach spojrzenie Polaka. Z trudem przełknął

ślinę, coś dławilo go w gardle, czuł się tak, jakby znowu miał sześć lat. Jeszcze trochę i rozplącę się jak dzieciak, pomyślał z przerażeniem. Co się ze mną dzieje? Przecież to nie pierwsze pożegnanie, które mogło być ostatnim. A jednak wyostrzony latami wojaczki instynkt bił na alarm, mięśnie brzucha napięły się bez udziału woli, jakby w jego trzewiach grzebała zimna żelazna łapa. Coś nadchodziło i na pewno nic dobrego. W końcu Samarin rozpoznał objawy i opanował fizyczną słabość: w przededniu przełomowej ofensywy nawiedziło go widmo klęski, a może tylko przecucie śmierci?

– Cóż, każdy musi kiedyś umrzeć – wymamrotał już na schodach.

Stanął przed drzwiami apartamentu księżnej i zapukał energicznie. Niezależnie od tego, co go czekało w przyszłości, trzeba było się pożegnać. Czas na mnie, stwierdził. Najwyższy czas.



Samarin podszedł do umywalki, odkręcił kurek. Pocięło kilka kropli, zasyczało, wreszcie miedziana instalacja wypuła strumień wody, ochlapując oficera. Generał zaklął i podstawił pod kran złożone dłonie, zmoczył twarz. Matuszkin rzucił mu ręcznik i jednym szarpnięciem otworzył okno, żeby wpuścić do przedziału chłodne nocne powietrze.

– Niedługo świt – zauważył, przecierając oczy.

– Owszem – odburknął generał. – Zauważyłem. Ciekawe, dlaczego tylko ja muszę studiować te papiery. – Wskazał grubą teczkę z napisem „Ściśle tajne”.

– Jesteś dowódcą oddziału Omega – zauważył rozsądnie Matuszkin. – Ja nie. Poza tym ufam ci bezgranicznie – dodał kpiąco.

Samarin warknął gniewnie, przekazane mu osobiście przez Brusilowa dokumenty zawierały koncepcję wykorzystania oddziału złożonego z adeptów i żołnierzy. W teorii wszystko wyglądało znakomicie, wśród podwładnych generała znajdowało się wielu ludzi, których talenty mogły być wykorzystane w walce. Niektórzy umieli wywołać czasową dezorientację przeciwników, inni mogli ciskać ciężkie przedmioty na nieprawdopodobne odległości, byli wreszcie i tacy, których umiejętności nosiły czysto obronny charakter, na przykład potrafili zlikwidować nawet najbardziej masywny krwotok. Problem, jak zwykle,

tkwił w szczegółach. Rzut granatem na odległość kilkuset metrów rzeczywiście robił wrażenie, tylko co z tego, jeśli adept nie będzie w stanie trafić nim precyzyjnie w stanowisko wroga? Oszłomienie nieprzyjaciela na kilka sekund? Świetnie! Ale czy ta metoda zadziała na każdego? A na grupę ludzi? Bo co z tego, że adept ogłuszy celowniczego karabinu maszynowego, kiedy jego towarzysze pozostaną w pełni przytomni? Im bardziej Samarin wgłębiał się w wywody oficerów, którzy do tej pory zajmowali się szkoleniem „omegan”, tym więcej pytań pozostawało bez odpowiedzi. I nie były to przecież akademickie rozważania: za kilka tygodni wszelkie wątpliwości zostaną rozstrzygnięte w praktyce, a za pomyłki i złudzenia przyjdzie zapłacić krwią...

– Ten Lebiediński to twój znajomy?

– Prawdopodobnie – wzruszył ramionami Samarin. – Pamiętam go jak przez mgłę, uczyliśmy się razem w korpusie kadetów. Chyba że to zbieżność nazwisk. Niedługo się przekonamy.

– Mógłby nas chociaż zakwaterować w jakiejś chałupie bez dziury w dachu – powiedział cierpko Matuszkin.

Ostatni tydzień spędzili, obserwując przygotowania do ataku i badając umocnienia wrogich wojsk. Jak można się było spodziewać, warunki bytowe na linii frontu pozostawiały wiele do życzenia.

– Mamy wejść do walki, kiedy ofensywa straci impet, a tymczasem marnujemy czas na sprawdzanie, czy saperzy wykonali przyczółki do ataku – kontynuował gniewnie. – To zadanie oficerów inspekcyjnych, a nie nasze!

– Być może za miesiąc czy dwa sami będziemy potrzebowali takich przyczółków – stwierdził Samarin. – Przestań marudzić, lepiej pakuj nasze rzeczy, zaraz dojedziemy do Mołodeczna. Dalej już konno albo samochodem, o ile generał Lebiediński załatwi nam automobil.

Matuszkin bez słowa zaczął zbierać skromny dobytek obu oficerów. Generał uporządkował dokumenty, sprawdzając, czy nie brakuje żadnej strony, po czym włożył teczkę do raportówki i zajął się czyszczeniem broni. Po chwili wyciągnął dłoń po rewolwer przyjaciela.

– Zwróć uwagę na lufę – poinstruował go Matuszkin. – Strzelałem z niego wczoraj.

– Co się stało? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

– Nic się nie stało. Popisywałem się przed siostrzyczkami z Czerwonego Krzyża. Zabiłem na śmierć kilka butelek.

– Z jakim skutkiem? – zainteresował się Samarin.

– No przecież mówię: trafiłem wszystkie. Nic trudnego, na trzydzieści kroków.

– Mam na myśli siostrzyczki.

– Aaa... Też nic nadzwyczajnego, skradłem jednej całusa.

– Najwyraźniej nie była pod wrażeniem.

– Wręcz przeciwnie, po prostu zabrakło mi czasu.

Samarin prychnął pogardliwie i naoliwił mechanizm nagana. Przerażliwy gwizd oznajmił, że zbliżają się do celu. Generał umył ręce i wyjrzał przez okno, w oddali płonęła świetlista kula.

– Ki czort? – mruknął. – Nie wygląda na pożar.

– To chyba nasza stacja – odparł niepewnie Matuszkin. – Elektryczność. Oświetlili dworzec reflektorami.

– Po cholere? Niby front parę ładnych wiorst dalej, ale lepiej dmuchać na zimne.

Gwałtowny poryw wiatru przyniósł zapach spalenizny i strzępy jakiejś melodii. Po chwili Samarin rozpoznał znajome nuty. „Pola Galicji”... Jakiś wewnętrzny głos podłożył słowa pod muzykę.

*Brata russkaja brigada
galicyjskije pola,
i dostalis' mnie w nagrady
dwa żelieznych kostyia.*

*Iz siela my troje wyszli,
troje pierwych na sielie.
I ostalis' w Pieriemyszlie
dwoje gnit w syroj ziemi.*

– Mam nadzieję, że to nie omen – skwitował kwaśno Matuszkin, wyrывая

Samarina z zamyślenia.

Zazgrzytały hamulce i pociąg zatrzymał się na peronie naprzeciwko wojskowej orkiestry.

– Dla kogo ta uroczystość? – spytał ze zdziwieniem generał. – Czyżby wzięli mnie za oficera inspekcyjnego?

– Przekonamy się – stwierdził obojętnie Matuszkin. – Może chociaż zorganizowali nam samochód? Jestem piechurem, nie kawalerzystą, i tyłek mnie boli od jazdy na tych miejscowych pegazach.

Samarin przyznał mu rację chrząknięciem, ze względu na tajność operacji legitymowali się jedynie dokumentami uprawniającymi do lustracji linii frontu, bez możliwości wglądu do sztabowych planów i rozmów z oficerami, przez co brano ich przeważnie za pierdzistołków trzeciej kategorii i na wszelkie możliwe sposoby okazywano lekceważenie, także przydzielając najgorsze chabety. Specjalne pełnomocnictwa mogli ujawnić jedynie w sytuacji bez wyjścia.

Dowodzący orkiestrą oficer w stopniu majora zasalutował dziarsko i po krótkim powitaniu poprowadził ich do samochodu.

– Generał zaprasza panów na skromny posiłek – poinformował.

– O piątej rano? – zdziwił się Matuszkin.

– Zanim dojedziemy, będzie szósta. A my tu wstajemy razem z kurami, rozumieją panowie: front.

Samarin przyjrzał mu się uważnie, mężczyzna liczył sobie nie więcej niż trzydzieści, góra trzydzieści kilka lat. Mimo ostentacyjnie noszonej broni nie wyglądał na frontowca, starannie przystrzyżony zawadiacki wąsik i wypielęgnowane paznokcie świadczyły, że jeśli widział okopy, to tylko z daleka.

– Tym odcinkiem dowodzi Władimir Lebiediński? – upewnił się Samarin.

– Tak. Pamięta pana ze szkoły – przytaknął gorliwie major.

Matuszkin poruszył się niespokojnie, unosząc pytająco brwi. Generał odpowiedział mu zrezygnowanym gestem, najwyraźniej coś było nie tak, stąd i nadzwyczajna uprzejmość Lebiedińskiego. Żaden szanujący się oficer liniowy nie fetował wizytujących front sztabowców, o ile nie wysłał ich jego bezpośredni przełożony, co można było sprawdzić jednym telefonem. Chyba że toczyło się przeciwko niemu dochodzenie i możliwa była wizytacja inspektorów spoza systemu...

– Bardzo chętnie spotkam się z dawnym kolegą – zapewnił.

Major odpowiedział uśmiechem równie szczerym jak jego frontowa poza i zaczął wyliczać osiągnięcia Lebedińskiego. Samarin zapatrzył się pustym wzrokiem w przestrzeń, jeszcze jako kadet opanował umiejętność spania z otwartymi oczyma, co przydawało się podczas nudnych wykładów. Talentu nie przepijesz, pomyślał, zasypiając.



Sztab Lebedińskiego znajdował się w pałacu zbudowanym przez miejscowego króla herbaty, niejakiego Afanasjew, z pochodzenia Żyda. Major z ceglastym rumieńcem na policzkach oznajmił im, że co prawda sam nosi identyczne nazwisko, jednak nie ma nic wspólnego z, jak to określił, „judejskimi wyrodkami”.

– Brakuje nam tu tylko pogromów – burknął pod nosem Matuszkin.

Samarin szturchnął go karcąco łokciem – obaj szli za Afanasjewem, co pozwalało na pewną swobodę – i zapewnił oficera, że świetnie go rozumie. Po zamachu na Aleksandra II rozeszły się pogłoski, że wśród członków Narodnej Woli jest wielu Żydów. W efekcie pogromów część Żydów uciekła z kraju, inni zaczęli tworzyć oddziały samoobrony, a bywało, że i wspierać organizacje o zdecydowanie antypaństwowym nastawieniu. Ostatnie, czego potrzebował Brusilow, to zadrażnienia z Żydami w przeddzień ofensywy i tuż na zapleczu frontu. Trzeba będzie się temu przyjrzeć, pomyślał z niechęcią generał. Ale może to tylko Afanasjew jest idiotą.

– Proszę, jesteśmy u celu – oznajmił dziarsko major. – Generał Lebediński organizuje tu odprawy, a czasem spożywa posiłek z wyróżniającymi się oficerami. Jadalnia obliczona jest na kilkadziesiąt osób, tak więc nie zabraknie miejsca ani dla nas, ani dla zaproszonych pań – zachęcił z lekkim uśmiechem. – Zaraz zaanonsuję...

– Co to jest?! – przerwał mu bezceremonialnie Samarin. – Tu, na tablicy.

– To nasi bohaterowie – odparł oficer ze zdziwieniem w głosie. – Nagrodzeni za męstwo. Pan generał uważa, że umieszczenie ich fotografii w publicznym miejscu dobrze wpływa na morale.

Samarin podszedł do tablicy, wśród kilkunastu zdjęć i ołówkowych, wykonanych wprawną ręką portretów była tylko jedna kobieta. Anna Ostrowska.

– Ach, *sudarnia* Ostrowska – westchnął Afanasjew. – Ślicznotka, ślicznotka! Tyle że niedotykalska. Żołnierze ją uwielbiają, odkąd wyciągnęła jednego z nich spod ognia.

– Pozwalacie siostrom miłosierdzia uczestniczyć w walkach?!

– W żadnym wypadku! – zaręczył major. – Ostrowska samowolnie opuściła punkt medyczny, widząc na przedpolu rannych. Rozumie pan, chwilę wcześniej zginęli sanitariusze. Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, ona wyskoczyła już z okopu.

– Nic jej się nie stało?

– Wykpiła się paroma siniakami. Oczywiście natychmiast przedstawiliśmy ją do nagrody: otrzymała Order Czerwonego Krzyża dla Niewiast i Dziewcząt. Złoty.

– Gdzie można ją znaleźć?

– W noclegowni przy szpitalu polowym niedaleko stąd, jak i resztę siostrzyczek. To niewielka miejscowość, nazywa się...

– Pański szofer wie, jak tam dojechać? – ponownie wszedł mu w słowo Samarin.

– Oczywiście.

– W takim razie nie skorzystam chwilowo z zaproszenia pana generała, natomiast pozwolę sobie wypożyczyć wóz. Matuszkin!

– Słucham?

– Zapoznasz się z sytuacją na odcinku generała Lebiedińskiego, później złożysz mi raport.

– *Słuszajus', wasze priewoschoditelstwo!*

Kierowca przyjął ze zdziwieniem polecenie wyjazdu do szpitala, najwyraźniej spodziewał się, że obaj goście przedłożą rozrywkę nad obowiązki, ale posłusznie zawrócił na wąskiej, kiepsko brukowanej drodze i pomknął naprzód, sprawnie wymijając chłopskie furmanki.

– Na razie jeszcze nie ma tłoku, ale za godzinę byłoby gorzej – poinformował.
– Ostatnio dostajemy sporo furazu i zapasów żywności. Jak poprzednio, przed ofensywą...

Samarin zignorował wynurzenia szofera, w tym momencie zajmowała go tylko jedna osoba. Anna.



Widać było, że budynek znajdował się na linii frontu: zniszczony dach i potrzaskane kulami ściany mówiły same za siebie. Wąski, ciemny korytarz cuchnął medykamentami i czymś, co nieodparcie kojarzyło się z ludzkim cierpieniem. Nic dziwnego, szpital polowy.

Zapukał energicznie, nie zdejmując rękawiczek.

– Kto tam? – spytała.

Natychmiast poznał jej głos. Znaczy to nie pomyłka, *sudarnia* Ostrowska rzeczywiście mieszka przy szpitalu...

– To ja – odpowiedział ochryple.

– Saszka? – odezwała się niepewnie, stanąwszy w drzwiach.

– Tak.

Miała na sobie wyjściową suknię, skromną, ale zdecydowanie nienadającą się do pracy przy rannych. Czyżby gdzieś się wybierała? Podejrzeń potwierdzał porzucony niedbale na fotelu kłoszowy kapelusik ozdobiony stosowną w czasie wojny ciemną kokardą.

– Saszka, ja...

Nie dał jej dokończyć, zdusił słowa pocałunkiem. Jego dłonie bez udziału woli obrysowały jej talię, później piersi. Jęknęła, objąwszy go ciasno ramionami. Wodził ustami po jej szyi, wdychał zapach włosów.

– Oszaleję! Wyrzuć mnie natychmiast – wymamrotał. – Albo...

– Z „albo” będą problemy – wydyszała w przerwie między pocałunkami. – Mam bardzo wąskie i skrzypiące łóżko.

Porwał Annę na rękę, rozejrzał się po pokoju. Łóżko istotnie nienadzwyczajne. A i pokoik malutki. Tyle że podłoga z nieheblowanych desek pokryta była grubym, choć wyraźnie mającym swoje lata dywanem.

– Jeśli chcesz... – wyszeptała, przechwytyjąc jego spojrzenie.

Położył ją na ozdobionym fantazyjnymi wzorami kobiercu, wyswobodził z sukni. Jego dłonie przesunęły się od wąskiej stopy przez obleczoną śliskim

jedwabiem łydkę aż po złączenie ud. Drżące, niecierpliwe, zaborcze. Posmakował piersi dziewczyny, zacisnął delikatnie zęby na nabrzmiąłych brodawkach. Wybiegła mu na spotkanie, zakołysała biodrami, rozsuwając jednocześnie uda.

Wszedł w nią brutalnie, po żołniersku, niesiony czymś więcej niż namiętność, niemożliwym do przewyciężenia głodem. Przygryzła z bólu wargi, ale nie pozwoliła mu się wycofać. Ani zatrzymać. Oplotła go rękoma i nogami, wchłonęła w siebie.

– Jestem twoja? – rzuciła, znacząc jego plecy paznokciami. – Tylko twoja?

– Moja! – wydyszał.

Wpił palce w pośladki Anny, jakby i on chciał złączyć się z nią w jedno. Wlał się w nią gorącą falą, słysząc, jak gardłowe jęki dziewczyny przechodzą w dziki, niekontrolowany krzyk. Była jego.

Później leżeli w milczeniu, ze zmysłami wypalonymi rozkoszą, Samarin czuł pod wargami pulsowanie tętnicy tuż pod uchem dziewczyny, delikatny szmer jej oddechu. Anna poruszyła się pierwsza, podparła na łokciu.

– Jak długo możesz zostać? – spytała.

– Dzień, góra dwa – odparł z roztargnieniem oficer. – Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś... Że to twój pierwszy raz? Byłbym delikatniejszy.

– Nie chciałam delikatności. I nie wracajmy do tego, skoro właśnie pomogłeś mi zlikwidować ten drobny defekt, którym tak się przejmujesz – dodała, łagodząc sarkazm pocałunkiem.

– Wybierałaś się gdzieś?

– Owszem, na przyjęcie do generała. Wołałabym dłużej pospać, ale madame Trokina uwielbia takie fety. Podobno przyjechała jakaś ważna persona i Lebediński chce wyrzucić wrażenie na ekscelencji.

– Kto zacz ta Trokina?

– Nasza przełożona. Podejrzewam, że zaraz ją poznasz.

– A to w jaki sposób?

– W tym budynku mieszkają tylko siostry Czerwonego Krzyża. Jestem pewna, że zostałeś zauważony, a ja usłyszana... Czekają teraz na korytarzu, szykując się do udzielenia upadłej pielęgniarki odpowiedniej reprimendy. Cóż, najwyżej zabiorą mi order – powiedziała z udaną nonszalancją. – Rozumiesz, tego typu

odznaczenia przysługują tylko kobietom o nienaganej moralności. Twoje szczęście, że nikt w ten sposób nie rozlicza mężczyzn, bo pewnie straciłbyś wszystkie swoje medale – stwierdziła złośliwie.

Samarin podniósł się z dywanu i zaczął zbierać rozrzuconą odzież.

– Nie byłoby chyba tak źle – zapewnił z uśmiechem. – Ale rzeczywiście czas się zbierać, nie wypada kazać czekać Lebedińskiemu.

– Tak się tym przejmujesz?

– Obawiam się, że jestem tą ekscelencją, której oczekuje pan generał. Gdybym nie przyszedł, potraktowałby to jako lekceważenie. I tak naraziłem mu się, zabierając samochód i szofera, kiedy zobaczyłem twoje zdjęcie na tablicy chwały.

– Przynajmniej był z niego jakiś pożytek – wymruczała.

Samarin ubrał się pośpiesznie, zapiął pas z rewolwerem i szablą. Dochodzące z korytarza dźwięki potwierdzały słowa dziewczyny: szelest długich sukien, stukot damskich obcasików. Rzeczywiście komitet powitalny, pomyślał z rozbawieniem.

– Jestem gotowa – oznajmiła niespokojnie Anna.

Generał otworzył drzwi, przepuścił ją przodem. Padające z pokoju elektryczne światło wydobyło z mroku sylwetki kilku kobiet, większość przyglądała mu się z nietajoną ciekawością, na oburzoną wyglądała jedynie korpulentna jejmość pod pięćdziesiątkę, o nalanej twarzy przywodzącej na myśl ropuchę. Zapewne niesławna madame Trokina, doszedł do wniosku oficer.

– Moje uszanowanie paniom. – Skłonił się z galanterią. – Anno, kochanie, czy mogłabyś dokonać prezentacji?

– To oburzające! – wypaliła matrona. – Jak pan śmie pozwalać sobie na takie poufałości?! Ja...

Samarin spojrział na nią z góry, po raz pierwszy w życiu żalując, że nie nosi monokla, ale efekt i tak musiał być zadowalający, bo stojące w zbitej grupie pielęgniarzki cofnęły się o krok, a Trokina umilkła w pół słowa.

– Przepraszam, przez chwilę zdawało mi się, że ma pani zamiar instruować mnie, jak mogę zwracać się do narzeczonej – powiedział zimno.

– Narzeczonej? Wiedziałabym o tym! Kłamstwa nie poprawią pańskiej sytuacji! Ani jej! – Pogroziła palcem Annie.

– Może porozmawiamy w mieszkaniu, a nie na korytarzu? – zaproponował sucho Samarin.

Po chwili wahania kobiety skorzystały z zaproszenia. Trokina zamarła z otwartymi ustami, dopiero teraz ujrzała dwie gwiazdki i zygzak na pagonach oficera.

– Przedstawisz nas, Anno? – powtórzył prośbę generał.

– Madame Trokina, panienki: Rumiancewa, von Tolle, Marczenko i Woronina. Hrabia Samarin.

Oficer skłonił się ponownie, dziewczęta dygnęły, jedynie ich przełożona nadal stała jak słup soli.

– A teraz powróćmy do sprawy – zaczął Samarin cichym, złowrogim tonem. – Ma pani syna lub męża? – zwrócił się do przełożonej pielęgniarek.

– Syna – wyjąkała Trokina.

– W jakim wieku?

– Borys ma dwadzieścia siedem lat. Ale skąd to dziwaczne pytanie?

– Już wyjaśniam. Obraziła pani moją narzeczoną, jako oficer nie mam innego wyjścia, jak zażądać satysfakcji od mężczyzny, który jest pani opiekunem. Chyba że przeprosi pani Annę. Natychmiast! – dorzucił władczo.

Mięsiste, czerwone policzki kobiety przybrały barwę opłatka, przez moment zdawało się, że Trokina zemdleje. Ostrowska uczyniła ruch, jakby chciała ją podtrzymać, ale generał przecząco pokręcił głową.

– Czekam! – ponaglił.

– Proszę... proszę o wybaczenie.

Samarin skwitował przeprosiny niemal niedostrzegalnym skinieniem, po czym podał ramię Annie.

– Rozumiem, że wybierały się panie na bankiet? – powiedział.

– Owszem – potwierdziła nieśmiało jedna z pielęgniarek.

– Macie jakiś transport?

– Tylko sanitarkę – odparła dziewczyna. – Obecnie nie ma walk, więc woźnica obiecał zawieźć nas do sztabu.

– Generał Lebiediński oddał do mojej dyspozycji auto, myślę, że dwie z pań mogłyby zabrać się z nami. Jakoś się pomieścimy.

– Z przyjemnością! – zadeklarowała. – Idziesz, Tasza? – zwróciła się do

koleżanki.

Zapytana, smukła panienska o oczach koloru bezchmurnego nieba, natychmiast potwierdziła. Zawód na twarzach pozostałych pielęgniarek świadczył, że ostatecznie, na co mają ochotę, to podróż w towarzystwie przełożonej.

– Trokina to bestia – szepnęła mu do ucha Anna. – Poniżyłeś ją publicznie, więc teraz będzie się mścić. Nic mi nie zrobi przed twoim odjazdem, ale dziewczyny nieźle oberwą.

Szofer nawet nie mrugnął okiem na widok towarzyszących generałowi kobiet, najwyraźniej praca w sztabie uodporniła go na takie niespodzianki.

– Myślę, że będzie ci wygodniej na przednim siedzeniu – zdecydowała Anna z figlarnym uśmiechem.

Samarin niechętnie puścił jej dłoń i zajął miejsce obok kierowcy. Dobiegające z tyłu szepty i chichoty dowodziły, że i jego współpasażerki nie narzekają na komfort jazdy. Wykluczony z damskiej paplaniny, oficer zaczął zastanawiać się nad słowami Anny o jego odjeździe. Nie martwiła go Trokina, generał był pewien, że w razie potrzeby potrafi rozwiązać ten problem. Myślał o paniencie Ostrowskiej i ich wydumanym ad hoc narzeczeństwie. Co, jeśli zamienić fikcję w rzeczywistość? Pewnie niejednen uznałby taki związek za mezalians, ale czy warto było przejmować się opiniami socjety, mając w perspektywie miesiąc czy dwa życia? A gdyby nawet udało mu się wymknąć kostusze, to i cóż? Wizja oczekującej go w domu Anny bynajmniej nie przerażała Samarina, wręcz przeciwnie, wabiła niczym oaza na pustyni. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie wywarła na nim takiego wrażenia, myśl, że mógłby ją mieć przy sobie, budzić się i zasypiać w jej objęciach, oczekiwać, że po powrocie z frontu przywita go w progu, coraz bardziej kusila. Nieoczekiwanie poczuł przemożną potrzebę, aby upewnić się, że Anna naprawdę jest tuż obok i nadal należy do niego. Odwrócił się i wyciągnął rękę niecierpliwym, zaborczym, a jednocześnie proszącym gestem. Dziewczyna wtuliła policzek w jego dłoń, nie przejmując się obecnością towarzyszek.

– Musimy porozmawiać – powiedział.

– Chyba znajdę dla pana chwilę, hrabio – odparła Anna, wyraźnie napawając się zazdrosnymi spojrzeniami koleżanek.

Samarin odwrócił się, aby skryć uśmiech. Być może skłonienie *sudarni*

Ostrowskiej do małżeństwa nie będzie aż takie trudne, pomyślał. Każdy ma swoje słabostki. I dzięki Bogu...



Generał Lebiediński podniósł się z pewnym wysiłkiem – uczta trwała już dobrą godzinę, a alkohol lał się strumieniami – i wznosił toast za zwycięstwo. Po raz kolejny. Samarin siedział między Anną i Matuszkinem, co zmuszało go do prowadzenia dziwnej, szeptanej konwersacji z obojgiem sąsiadów. Zarówno informacje, jakie miał mu do przekazania podwładny, jak i to, co sam chciał powiedzieć Annie, wymagało dyskrecji, a pewne decyzje trzeba było podjąć tu i teraz.

– Ten idiota nawet nie rozpoczął prac nad pozycjami wyjściowymi do ataku! – wysyczał wściekle Matuszkin. – Na innych odcinkach frontu przesunięto linię okopów do przodu tak, że odległość między nami i wrogiem wynosi nie więcej niż czterysta kroków, a gdzieś tam dochodzi nawet do siedemdziesięciu! U Lebiedińskiego to nie mniej niż sześćset kroków. Każdy atakujący oddział zostanie zmasakrowany, zanim dotrze do zasieków! Do tego dochodzi rozbudowa naszych pozycji, a raczej brak takowej. Schrony można policzyć na palcach jednej ręki, brakuje stanowisk obserwacyjnych, latryn i odpowiedniego oświetlenia. Chodzą pogłoski, że Lebiediński zdefraudował pieniądze przeznaczone na umocnienie swojego rejonu.

– Skąd to wszystko wiesz? Przecież nie byłeś na linii frontu.

– Pan generał postanowił, że poczeka z rozpoczęciem zabawy na twój powrót, więc miałem czas, żeby pogadać z żołnierzami. Większość z nich go nienawidzi.

Samarin zaklął, po raz pierwszy natrafił na odcinek zupełnie nieprzygotowany do rozpoczęcia ofensywy. I pech chciał, dowodzony przez szkolnego kolegę. Jeśli rewelacje Matuszkina się potwierdzą, trzeba będzie skorzystać z nadanych mu przez Brusilowa pełnomocnictw i wysłać szyfrówkę do sztabu. Szlag...

– O czym chciałeś rozmawiać? – spytała Anna, przerywając mu smętne rozmyślenia. – Czuję się zaniedbywana, cały czas szepczesz tylko z monsieur Matuszkinem. Słyszałeś, co mówił generał? Wieczorem zorganizuje nam tańce.

Zauważyłeś, że Trokina nie przyjechała? Pewnie zatrzymała też dziewczyny. Dasza i Ksenia nigdy mi tego nie wybaczą.

– Ile wypijaś? – odpowiedział pytaniem.

– Dwa, może trzy kieliszki, nie więcej. A co? Wyglądam na pijaną?

– Nie, ale chciałbym mieć pewność, że rozumiesz, co mówię.

– Rozumiem, rozumiem – zapewniła, trącając go ramieniem. – No, mów.

– Może wyjdziemy na zewnątrz? – zaproponował. – Odrobina świeżego powietrza dobrze nam zrobi. No i nie będziemy musieli szeptać.

– Kiedy nie bardzo wypada. Jestem pewna, że Trokina i tak obgada mnie przed Lebedińskim.

– Staniemy tak, że będzie nas widać przez okna – rzucił uspokajająco Samarin. – Chodź!

Lekko zaniepokojona Anna podążyła w ślad za nim.

– Wyglądasz na zdenerwowanego – zauważyła. – Czyżbyś chciał mi zaproponować status utrzymanki? To niepotrzebne, ja...

Zniecierpliwiony Samarin zamknął jej usta pocałunkiem.

– Nie, ty głupia gąsko! – burknął po chwili. – Chcę cię prosić o rękę.

– Zwariowałeś! Nigdy nie zgodzę się na... Nie! Nie zbliżaj się, to nieuczciwe!

– Co takiego?

– Nie chcę, żebyś mnie całował. Nie w takim momencie. Jak mam podjąć racjonalną decyzję, kiedy nie mogę myśleć?

– Nikt jeszcze nie nazwał małżeństwa racjonalną decyzją. To ryzyko. Hazard.

– W tym wypadku bez możliwości wygranej – oznajmiła stanowczo dziewczyna. – Rozumiem, że chciałeś mnie bronić przed Trokiną, ale trzeba będzie jak najszybciej odkręcić tę całą historię z naszym narzeczeństwem. Zanim plotki dotrą do Petersburga.

– Wiesz, jaki jest największy problem z nauczycielkami? One zawsze wszystko wiedzą najlepiej. Myślisz, że robię ci łaskę, prosząc o rękę, albo że kieruje mną honor? Nic z tych rzeczy! To ty zrobisz mi łaskę, jeśli się zgodzisz.

– Nie rozumiem...

– Niedługo rozpocznie się wielka ofensywa. Wezmę w niej udział, to już przesądzone. Niezależnie od tego, kto wygra, jedno jest pewne: to będzie rzeź, jakiej nie widział świat. Do momentu, w którym znajdę się w okopach, zostało

półtora miesiąca, może trochę więcej. Chcę się nacieszyć życiem. I tobą – dodał cicho.

– To chyba tajna informacja?

– Owszem, ale jeśli nie mogę zaufać przyszłej żonie, to komu?

– To nie jest podstęp, żeby skłonić mnie do przyjęcia twojej propozycji?

– Przysięgam, że nie!

– Ja... Nie wiem, co powiedzieć. Saszka, na litość boską, przecież jesteś generałem! Jakie okopy?!

Samarin zdjął szynel i okrył ramiona Anny, dziewczyna wyszła z ogrzewanej sali bez palta i teraz drżała z chłodu.

– Wolałbym o tym nie mówić – odparł. – Zresztą detale nie są ważne.

– A twoja rodzina i przyjaciele? Przecież wezmą mnie za parweniuszkę, która złapała podstępem arystokratę! A co powie księżna Wołkońska?

– Znasz moją ciotkę? – spytał ze zdziwieniem.

– Skąd! Czasem czytam o niej w gazetach. Ale piszą, że jest... – zawahała się, nie wiedząc, jak dokończyć.

– Wyniosła? – podpowiedział z uśmiechem. – Dumna? Arogancka? To wszystko prawda, ale przy tym wszystkim mnie kocha.

– Tym bardziej nie mogę cię narażać na spory z rodziną.

– Nie mogę zagwarantować, że ciotka cię zaakceptuje, ale czy to naprawdę jest najważniejsze? Chcę spędzić z tobą te dwa miesiące, rozpieszczać cię i składać nieprzyzwoite propozycje, a później je realizować. A co ty mi proponujesz? Kilka ukradkowych spotkań w jakimś wynajętym mieszkaniu czy prowincjonalnym hotelu? A jeśli urodzisz moje dziecko? Ma zostać bękartem tylko dlatego, że jego matka była zbyt dumna, żeby przyjąć oświadczyńny Moskala?!

Uderzenie w twarz nie zważyło Samarina z nóg – bywało, że obrywał mocniej – ale zaciekły cios tak go zaskoczył, że musiał cofnąć się o krok, aby utrzymać równowagę.

– Zasugeruj jeszcze raz, że mam cię za Moskala, a nie ręczę za siebie! – warknęła Ostrowska z wściekłością.

Generał z westchnieniem rezygnacji przejechał językiem po zębach – ostatnio zaczynało mu to wchodzić w nawyk – i z ulgą skonstatował, że nic mu

nie dolega poza rozciętą wargą.

– A jednak dobrze, że nie noszę monokla – wymamrotał pod nosem. – Pewnie straciłbym oko.

– Co tam mruczysz?!

– Nic takiego. Mam nadzieję, że jeszcze raz to rozważysz – powiedział pokornie.

Anna schowała twarz w dłoniach, pokręciła z rezygnacją głową.

– Jak mogę odmówić? Kocham cię, ale...

Samarin nie dał jej skończyć, wziął ją w objęcia, nie zwracając uwagi na coraz większą liczbę widzów w oknach.

– No, to jedna rzecz załatwiona! – stwierdził z ulgą.

– Cóż za romantyczne oświadczenia!

– Będą i romantyczne, jak tylko kupię pierścionek – zapewnił. – No i kiedy znajdziemy się sam na sam.

Anna uniosła wzrok i spłonęła rumieńcem, widząc, ile osób ich obserwuje.

– Trokina mnie zabije!

– Nie żartuj, jeszcze dziś wieczorem wyjedziesz ze mną do Petersburga. Mamy mnóstwo spraw do załatwienia, trzeba będzie uzyskać specjalne zezwolenie na ślub, nie mam zamiaru czekać, aż skończą odczytywać zapowiedzi! No i kupić jakiś skromny pałacyk. Do tej pory zawsze zatrzymywałem się u ciotki.

– Kupić pałacyk? Jestem biedna jak mysz kościelna!

– Już nie. Przed chwilą stałaś się jedną z bogatszych kobiet imperium. Wybacz, że poruszam ten temat, to takie wulgarne, ale i tak zorientowałabyś się, podpisując papiery.

– Jakże, do licha, papiery?!

– Kontrakt przedślubny. Nie możesz liczyć na wsparcie rodziny, więc ja zadbam o twoje interesy.

– Nie chcę żadnego kontraktu!

– Rozumiem, niemniej jednak go podpiszesz. Pokłócimy się kiedy indziej – powiedział pospiesznie, widząc minę dziewczyny. – Ludzie patrzą. A teraz przejdźmy do drugiej kwestii: żołnierze cię lubią?

– Żołnierze? – powtórzyła oszołomiona rozwojem wypadków Anna.

– Te ludziki w okopach! – rzucił niecierpliwie Samarin.

– Chyba tak. Zawsze byli dla mnie mili, pytali, czy mogą w czymś pomóc, a nawet...

– Tak? – ponaglił generał.

– Cóż, miałam mały problem z tym majorem Afanasjewem. Był nieco natrętny. Zauważył to jeden z wartowników i obiecał, że zwróci mu uwagę. Od tej pory Afanasjew omija mnie szerokim łukiem.

– Ot, tak sobie? – spytał z niedowierzaniem Samarin. – Pogadał z nim i już? Wartownik?!

– Owszem. A może to przez ten wypadek?

– Jaki wypadek?

– Jakoś zaraz potem Afanasjew nieszczęśliwie spadł z konia i przeleżał dwa tygodnie w szpitalu. Dlaczego tak dziwnie się uśmiechasz?

– Dziwnie?

– Masz taki zimny, paskudny uśmiech. – Wzdrygnęła się.

– Wydaje ci się – zbagatelizował Samarin. – W takim razie jedziemy na front. Obejrzymy umocnienia i pogadamy z twoimi wielbicielami.

– Lebediński nam pozwoli?

– Pozwoli. Idź do wozu, przyniosę ci palto, żebyś się nie przeziębila.

Samarin poczekał, aż dziewczyna zniknie mu z oczu, po czym wrócił na salę. Zabawa trwała w najlepsze, Afanasjew drzemał z twarzą w na wpół opróżnionym talerzu, kilku sztabowców śpiewało na głosy kozacką kołysankę, a Lebediński szeptał coś do ucha wydekoltowanej blondynce. Jedyne Matuszkin siedział za stołem z posępną miną, nie zwracając uwagi na szczebiot wyraźnie zainteresowanych nim dziewcząt.

– Wyjeżdżam z Anną na front – poinformował go Samarin bez wstępu. – Muszę sam zobaczyć, jak wygląda sytuacja.

– Zwariowałaś?!

– Przecież nie puszczę jej do okopów! Zostawię ją w jakimś schronie na tyłach, ale bez niej żołnierze nic mi nie powiedzą, a nie mam czasu przekonywać ich, że nie jestem kolejną sztabową mendą czy koleżką Lebedińskiego. Kiedy wrócę, pan generał ma być trzeźwy jak świnia.

– Znaczą ujawniamy się?

Oficer przytaknął ponuro.

– Już ja go wprowadzę na wąską ścieżkę cnoty – obiecał złowrogo Matuszkin.

Samarin klepnął przyjaciela po ramieniu i skierował się do wyjścia. Najwyższy czas zakończyć inspekcję i wrócić do Petersburga, pomyślał. Z Anną.



Generał Lebediński oczekiwał go w gabinecie za niewielkich rozmiarów, idealnie pustym biurkiem. Widać było, że raczej nie przemęcza się studiowaniem dokumentów. Wyglądał na trzeźwego, jedynie podpuchnięte oczy wskazywały, że ostatnia zabawa nie przeszła bez śladów.

– Słucham! – zagaił krótko.

Najwyraźniej sposób, w jaki potraktował go Matuszkin, niespecjalnie mu się spodobał. Samarin usiadł bez zaproszenia, zapalił papierosa, nie częstując gospodarza.

– Byłem na linii frontu – poinformował. – Oceniałem stan umocnień i rozmawiałem z żołnierzami. Sytuacja na twoim odcinku jest katastrofalna, ale przecież świetnie zdajesz sobie z tego sprawę.

– Wolnego! – warknął Lebediński. – O ile mi wiadomo, służyłeś w *Konwoje*, co nie daje ci nijakich kompetencji w zakresie oceny przygotowania pola walki! Chyba że panienka Ostrowska jest twoim ekspertem – dodał złośliwie.

– Radziłbym ci zostawić w spokoju moją narzeczoną – odparł spokojnym, wyważonym tonem Samarin. – To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

Mięśnie na policzkach Lebedińskiego napięły się, upodabiając jego twarz do wyciętej z drewna maski, ale generał powstrzymał się od komentarza.

– Tak lepiej – kontynuował Samarin. – Pewnie wydaje ci się, że jestem jednym z tych inspektorów, którzy niemal od roku donoszą o machlojkach w twoim okręgu? Nic z tych rzeczy! Wizytuję front z upoważnienia Sztabu Generalnego, sprawdzając przygotowania przed kolejną ofensywą. Zastanawiasz się, dlaczego przekazałem ci ściśle tajną informację? Cóż, upoważniono mnie do tego. Rozmawiałem dzisiaj z generałem Brusilowem. Mam ci przekazać polecenia Stawki.

– Nie jesteś moim przełożonym! Gdyby Stawka chciała mi coś powiedzieć,

rozmawiałaby bezpośrednio ze mną!

Samarin przyjrzał się oficerowi z obrzydzeniem, zdusił niedopałek w popielniczce.

– Nie masz żadnych wyrzutów sumienia, prawda? Nic cię nie obchodzi, że przez ciebie ofensywa może się posypać? Najważniejsze, że się obłowiłeś.

– Wypraszam sobie! Ja...

– Milcz! – krzyknął Samarin. – Mówisz, że Stawka rozmawiałaby z tobą? Otóż nie, nikt nie chce już z tobą rozmawiać. Generał Aleksiejew zapoznał się ze wszystkim raportami, które twoi koledzy tak usłużnie zablokowali, oraz z moimi spostrzeżeniami. I podjął decyzję. Za aprobatą Jego Wysokości. Nikt nie stanie po twojej stronie. Zostałeś sam.

Lebiedziński z zaciśniętymi ustami sięgnął po telefon, połączył się ze sztabem armii, rzucił w słuchawkę nazwisko. Samarin nie usłyszał odpowiedzi, ale mina generała mówiła sama za siebie.

– Nikt nie będzie z tobą gadał – powtórzył. – Jesteś pariasem.

Lebiedziński szarpnął kołnierzyk, na blat posypały się guziki.

– Jakie polecenia? – spytał chrapliwym szeptem.

– Masz tydzień, żeby posunąć prace naprzód. Tydzień i ani dnia dłużej! Przyczółki do ataku, stanowiska obserwatorów, umocnione żelbetonowymi belkami schrony. To program minimum. Twój odcinek zwizytuje osobiście Brusilow. I on ostatecznie zadecyduje o twoim losie. I nie! Nie miej złudzeń! To ostateczny koniec twojej kariery. Być może pozwolą ci się samemu zwolnić. Jeśli nie dołożysz wszelkich starań, oficerski sąd honorowy oskarży cię o defraudację i wygna z armii.

Po skroniach Lebiedzińskiego spływały grube krople potu, oficer doskonale wiedział, że jeśli zostanie wydalony z armii wyrokiem sądu honorowego, znajdzie się na marginesie społeczeństwa. Nikt już nie poda mu ręki, nie zagra z nim w karty, nie przyjmie do klubu. Większość oficerów w podobnej sytuacji szukała rozwiązania w lufie rewolweru, uznając to za lepsze wyjście niż życie w hańbie.

– Nie wiem, czy wystarczy mi funduszy – wyjąkał Lebiedziński. – Kurs srebra...

– Módl się, żeby ci wystarczyło – uciął Samarin. – A teraz zegnaj. Czas na mnie.

Anna czekała na niego przy wynajętym powozie, Samarin nie chciał korzystać z samochodu Lebedińskiego. Dziewczyna rozmawiała z Matuszkinem i jakimś mężczyzną w żołnierskim szynelu.

– Może nas przedstawiś? – zaproponował, całując Ostrowską w policzek.

– To Wiaczesław Umiński. Pamiętasz? Opowiadałam ci, jak pomógł mi pozbyć się tego natręta.

Oficer skinął głową, podał rękę Umińskiemu, tamten uścisnął ją po chwili wahania.

Szeroka twarz o wyrazistych rysach mogła należeć do chłopca, ale jarzące się inteligencją oczy zadawały kłam pierwszemu wrażeniu.

– Jestem pańskim dłużnikiem – oznajmił Samarin, wręczając Umińskiemu wizytówkę. – Nie mam teraz czasu, ale jeszcze zdążymy porozmawiać. Przede wszystkim zapraszam pana na nasz ślub. Razem z kolegami – dodał znacząco. – Proszę tylko podać mi nazwiska, a załatwię wszelkie formalności.

– Jeśli panią Anna zechce – odparł Umiński.

– Oczywiście, że tak! Że też sama o tym nie pomyślałam!

Po krótkim pożegnaniu wsiedli do powozu i Samarin ponaglił woźnicę niecierpliwym gestem. Nie miał ochoty zostawać w Mołodecznie ani chwili dłużej.

– Kochany jesteś, że go zaprosiłeś – powiedziała Anna. – Ale o jakich kolegów ci chodzi? Nie znam bliżej nikogo z żołnierzy. Nawet tego dzieciaka, którego wyciągnęłam z leja po bombie. Wiem tylko, że miał na imię Ilia.

– Podejrzewam, że twój przyjaciel nie ściągał Afanasjewa z konia w pojedynkę.

– Proszę?!

– Naprawdę jeszcze się nie domyśliłaś? Żołnierze dali mu łupnia i obiecali dokładkę, jeśli nie zostawi cię w spokoju. Wiesz, to front i bywa, że można zarobić zabłąkaną kulą. Kto by się przejmował... Stąd i zmiana w zachowaniu pana majora – wyjaśnił obojętnie Samarin.

Anna zdjęła kapelusz i powachlowała zaczerwienione z emocji policzki.

– Ależ ze mnie idiotka – wymamrotała. – Nawet im nie podziękowałam.

– Będziesz miała okazję na weselu – uspokoił ją.

– Macie przy sobie alkohol? – rzuciła nagle.

- Źle się pani czuje? – zaniepokoił się Matuszkin.
- Skąd! Tylko pytałam.
- Wynająłem przedział pierwszej klasy, w barku powinno coś być – odparł generał.
- A cygara albo papierosy?
- A po co ci one?
- Nigdy nie paliłam tytoniu, rozumiesz, nie wypadało. Podobnie z alkoholem: kosztowałam tylko wina i szampana, no, nie licząc tego epizodu z listopadówką. Teraz chciałabym spróbować mocniejszych trunków. Zdaje się, że ktoś wspominał o nieprzystojnych propozycjach.
- Kiedy niezupełnie to miałem na myśli...
- Tchórzysz? – spytała prowokacyjnie dziewczyna.
- Proszę spróbować moich. – Matuszkin podsunął Ostrowskiej papierośnicę.
- To łagodny turecki tytoń, dobry na pierwszy raz.
- Oszalałeś!
- Nie wypada odmawiać damie – zripostował pułkownik.
- Samarin wzniósł oczy ku niebu: na twarzy Matuszkina malował się czysty, nieskażony żadną myślą zachwyty.
- Anna zaciągnęła się ostrożnie, zakaszła i spróbowała znowu.
- Widziałam, jak nasz kuczer formował z dymu takie kóleciska, ale mnie jakoś nie wychodzi – oznajmiła z żalem.
- Nauczę panią.
- W żadnym wypadku! Jeśli już, to ja się tym zajmę – warknął Samarin. – Co w ciebie wstąpiło? Przecież jesteś nauczycielką.
- Owszem. I przez te wszystkie lata, kiedy karałam dziewczęta za podobne przewinienia, zastanawiałam się, czy czegoś nie tracę. Teraz zamierzam to sprawdzić.
- Prawdziwa z pani łobuzica! – pochwalił Matuszkin.
- Ostrowska rozpromieniła się, jakby właśnie ofiarowano jej cesarską koronę.
- Papierosy to jedno, ale koniak czy wódka dla damy? Jesteś pewna, że chcesz zaczynać nasze narzeczeństwo od mdłości i kaca?
- Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie – odparła beztrąsko dziewczyna.

Samarin jęknął bezradnie, wyglądało na to, że jego przyjaciel i świeżo upieczona narzeczona znaleźli wspólny język.

– No dobrze – powiedział ponuro. – Jakby co, potrzynam ci miskę.

Ciekawe, na co przyjdzie jej ochota, kiedy spróbuje alkoholu? Wyścigi samochodowe? A może pojedynki o świcie? Co by o tym nie mówić, życie z Anną z pewnością nie będzie nudne, pomyślał.



Samarin ledwo poczuł, że karetka stanęła – pojazd, wykonany w paryskiej firmie Bingera, wyposażony był w znakomite amortyzatory, niwelujące wszelkie nierówności bruku. Woźnica rzucił się do drzwi i wyćwiczonym ruchem rozłożył harmonijkowe schody.

– Boję się – szepnęła Anna.

– Wyglądasz prześlicznie – zapewnił oficer, podając jej ramię.

– Gdyby twoja ciocia była rozpustnym ułanem, może miałyby to znaczenie. Niestety, obawiam się, że wygląd będzie ostatnią rzeczą, na którą zwróci uwagę.

– Trzymasz się naprawdę nieźle. Widziałem, jak panie z towarzystwa mdlały, kiedy przyszło im stawić czoła księżnej.

– To pewnie miało mnie uspokoić? Dziękuję bardzo!

Lokaj powitał ich w progu ukłonem i zabrawszy okrycia, zaprosił na pokoje. Samarin zacisnął zęby i siłą woli opanował odruch, aby wyprzedzić Annę, w końcu salon księżnej nie był podejrzaną spelunką, w której kobiety czułyby się zagrożone. No a przynajmniej nie groziło im tam fizyczne niebezpieczeństwo...

Wbrew jego obawom Maria Pawłowna powitała Annę życzliwie, choć bez specjalnego entuzjazmu, w czym naśladował ją Czerski, tym razem – dzięki Bogu! – ubrany w normalny garnitur zamiast błazeńskiej liberii.



- Kiedy ślub? – zapytał Polak, ledwo zasiedli do herbaty.
- Pojutrze – odparł natychmiast generał. – Mam specjalne zezwolenie. Józef Andriejewicz skinął głową, jakby nie spodziewał się niczego innego.
- Będzie ciężko, ale zdążymy – stwierdził.
- Z czym? – Samarin zmarszczył brwi.
- Trzeba jakoś zorganizować wesele. Ty tego nie potrafisz, a Anna nie ma jeszcze odpowiednich znajomości.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek będę miała – mruknęła dziewczyna. – Jestem tylko prowincjuszka znikąd.

– Jesteś przyszlą hrabiną Samarin! – skarciła ją Maria Pawłowna. – Najwyższy czas wyzbyć się tej dziwnej manieri sugerującej, że jesteś gorsza od innych! Ale tym będziemy się martwić później, teraz muszę się zająć uroczystością. Wybaczcie, zobaczymy się na kolacji.

Ostrowska wzdrygnęła się, słysząc odgłos energicznie zatrząskiwanych drzwi.

– Uraziłam czymś Jej Wysokość? – rzuciła niespokojnie.

– Skąd! Saszka ją zdenerwował tym niespodziewanym ślubem, to wszystko – zapewnił Czerski. – I daj spokój tytułom, praktycznie jesteś już członkiem rodziny.

– Będą się ze mnie śmiali, prawda? – spytała, spuszcżając głowę.

– A to z jakiego powodu?

– Saszka jest arystokratą, ja tylko córką drobnego szlachcica.

– To akurat najmniejszy problem – machnął ręką Czerski. – Ale lepiej uważaj na weselu i nie daj się wciągnąć w rozmowę o rodzinnych koligacjach. Później to załatwimy.

– Jak?

Polak przyjrzał się Ostrowskiej ze zdziwieniem, podsunął filizankę. Dziewczyna napełniła ją pospiesznie.

– Normalnie. W ostateczności kupimy ci jakiś tytuł. Nic specjalnego, w takich sprawach nie można przesadzać, coś skromnego, ale z gustem. A może nie będzie trzeba? Niemal w każdej rodzinie krążą legendy o pokrewieństwie z możnymi tego świata, bywa, że uzasadnione. Taka już ludzka natura. A jak z tym w rodzinie Ostrowskich?

– Cóż, swego czasu dziadek twierdził, że moja cioteczna prababka była kuzynką Julii Hauke – odezwała się z powątpiewaniem w głosie Anna.

– Hauke? – wymamrotał starzec. – Czy to nie ta dziewczyna, która wyszła za mąż za księcia heskiego, brata carycy Marii Aleksandrowny? O ile pamiętam, jej synowie pożenili się później z córkami królowej Wiktorii?

– Tak, Ludwik Battenberg i jego brat Henryk – potwierdził po namyśle Samarin.

– No widzisz? A ty martwisz się swoim pochodzeniem. Istnieją firmy, które za odpowiednią opłatą znajdą potrzebne dowody.

– A jeśli to nieprawda? Z tym pokrewieństwem? Co wtedy?

– Nic specjalnego, po prostu przyjdzie zapłacić drożej za te same dokumenty – odparł z zimną krwią Czerski.

– Mimo wszystko odniosłem wrażenie, że ciocia nie jest specjalnie zachwycona sytuacją – odezwał się z pretensją w głosie Samarin. – Czyżby przykładała aż taką wagę do pochodzenia Anny?

– Maria bywa przewrażliwiona na punkcie swojej pozycji, ale nie jest małostkowa. Owszem, martwi ją wasze małżeństwo, ale z zupełnie innego, dużo bardziej racjonalnego powodu.

– A mianowicie? – spytała Ostrowska, zaciskając nerwowo dłonie.

Czerski wzruszył ramionami, zapatrzył się w dal, dopiero po chwili ponownie zwrócił się do dziewczyny:

– Jesteś Polką, a Saszka Rosjaninem. To podstawowy problem.

– Jaki problem?! – nie wytrzymał Samarin. – Nie mamy z tym żadnego kłopotu! Anna jest lojalną poddaną Jego Wysokości. Ewakuowała się z Warszawy wraz z Instytutem Aleksandryjsko-Maryjskim, a później na ochotnika zgłosiła do opieki nad rannymi. Odznaczono ją Orderem Czerwonego Krzyża dla Niewiast i Dziewcząt!

Starzec wysłuchał tej tyrady w milczeniu, ale nie widać było, żeby argumenty oficera trafiły mu do przekonania. Obserwował gwałtownie gestykującego Samarina z odcieniem wyrozumiałej cierpliwości, jakby miał do czynienia z dzieckiem.

– Nie wiesz, co mówisz – stwierdził wreszcie. – Ja znam to z własnego doświadczenia. To tak nie działa. Chyba że panienka Anna wyparła się wszystkiego, co związane z Polską, i nienawidzi rodaków jak swego czasu Karolina Sobańska.

– Józefie Andriejewiczu! – Samarin poderwał się z krzesła oburzony.

– Czyli jednak pozostała Polką? – podsumował starzec. – W takim razie powtarzam: macie kłopot. Inna sprawa, że gdybyś nie był taki głupi, sam doszedłbyś do tego i nie musiałbym teraz zdzierać sobie gardła.

– Dziękuję uprzejmie!

– Nie zapytałeś jej nawet, dlaczego przyjechała do Rosji, prawda? Po prostu uznałeś za oczywiste, że uciekła z Warszawy przed Niemcami.

Ku zdumieniu Samarina na policzkach Anny pojawił się ceglasty rumieniec i dziewczyna skryła twarz za wachlarzem.

– Powiedz mu – polecił starzec.

– Ja...

– Chciała cię odszukać – wyręczył ją Czerski. – Nie uciekała przed Niemcami, tylko gonila za tobą – doprecyzował z ironią.

Panienka Ostrowska strzepnęła gniewnie wachlarzem, ale nie zaprzeczyła rewelacjom Polaka.

– Chyba muszę trochę ochłonąć – wymamrotał Samarin. – To dość niespodziewane.

Czerski wyczarował skądś butelkę koniaku i rozlał do dwóch kieliszków.

– Wypij – zaproponował. – Dobrze ci to zrobi. Nawet o tym nie myśl – dodał, zwracając się do Anny. – W tym domu nie będziesz ani pić, ani palić. Tak, wiem o twoich wyczynach!

– A to skąd? – zainteresował się Samarin.

– Służba mi donosi. Ścisłej mówiąc, donosi Marii.

Anna wzdrygnęła się pod rozbawionym spojrzeniem starca.

– Więc księżna wie o moich... – Zagryzła wargi.

– Jak najbardziej – potwierdził Czerski, uśmiechając się złośliwie. – W zasadzie to było nawet dość zabawne, jednak proponuję, żebyś poszukała innej rozrywki, choćby ze względu na zdrowie. Jeśli chcesz, mogę nauczyć cię strzelać – zaproponował.

– Ciocia będzie się dąsać? – zapytał Samarin. – Nie chciałbym żadnych niespodzianek na ślubie.

– Nie będzie – zapewnił Czerski. – Z oczywistych względów wołałaby, żebyś ożenił się z Rosjanką, ale przeżyła nasze małżeństwo, przeżyje i wasze.

– Co takiego?!

Samarin wpatrywał się w Józefa Andriejewicza, jakby Polakowi wyrosła druga głowa.

– Więc jesteście...

– Jesteśmy – przyznał ze zniecierpliwieniem Czerski. – Nie rozgłaszamy tego

wszem wobec, ale wzięliśmy jak najbardziej legalny ślub. Dawno temu. A propos tytułów, kupiłem sobie hrabiowski.

– Dlaczego tyle lat trzymaliście to przede mną w tajemnicy?!

– Cicho! – Ostrowska szturchnęła przyszłego małżonka wachlarzem. – Są ważniejsze sprawy. Józefie Andriejewiczu, poprowadźcie mnie do ołtarza?

– Oczywiście, córeczko. – Czerski uściśnął jej dłoń. – My, Polacy, musimy trzymać się razem.



Samarin wyjrzał przez okno powozu, plac przed Soborem Zmartwychwstania Pańskiego wypełniał odziany odświętnie tłum. Dwa, może trzy tysiące ludzi, ocenił. Petersburska śmietanka towarzyska, koledzy i znajomi z wojska, kompania honorowa *Konwoja*, wreszcie zwykli gapie, chcący zobaczyć na własne oczy ludzi, o których na co dzień mogli jedynie poczytać w gazetach.

– Dlaczego ich tak dużo? – spytała Anna.

Przestraszona mina dziewczyny świadczyła, że bynajmniej nie napawa się sukcesem towarzyskim.

– Połowa to żałobnice – odparł Czerski.

– Słucham?

– Rozczarowane panie – wyjaśnił Polak z uśmiechem. – Nie znam aktualnego rankingu na małżeńskim rynku, ale Saszka z pewnością znajduje się w pierwszej dziesiątce najbardziej pożądanых kawalerów imperium. Przybyły pożegnać się z marzeniami.

– Znajdował się – poprawiła z naciskiem dziewczyna. – I lepiej, żeby wszyscy o tym pamiętali – dodała, grożąc palcem przyszłemu mężowi.

– Nie słuchaj go – powiedział Samarin. – Większość pewnie chce ujrzeć „polską księżniczkę”.

– To także – przytaknęła z powagą Maria Pawłowna. – Wysiadamy – rzuciła rozkazującym tonem.

Samarin westchnął głęboko, niemal cały poprzedni dzień poświęcili na repetycję poszczególnych elementów ceremonii pod bacznym nadzorem księżnej, besztani surowo za najmniejszy błąd. Ostatni raz oficer przeżył coś

podobnego dobre dwadzieścia lat wcześniej, w czasie nauki musztry.

Okrzyki i wiwaty pod adresem panny młodej świadczyły, że umiejętnie rozpuszczane przez ciotkę pogłoski o arystokratycznym pochodzeniu Anny znalazły szeroki oddźwięk.

Zatrzymali się w przedsionku cerkwi, gdzie odziany w uroczyste szaty kapłan wręczył im świeczki, symbol płomiennej miłości, i poprowadził obrzęd zaręczyn. Po chwili ruszyli w głąb świątyni, aby stanąć na białym płótnie. Mijając miejsce, gdzie Hryniewiecki śmiertelnie ranił Aleksandra II – stąd inna nazwa soboru, „Cerkiew na krwi” – Samarin skłonił głowę. Anna zamarkowała ukłon, po czym przesłała mu spojrzenie mówiące: „robię to tylko dla ciebie”.

General ucałował krzyż, nie spuszczać oczu z dziewczyny. Józef Andriejewicz miał rację, pomyślał ponuro. Prędzej czy później coś nas poróżni. A może wystąpić z wojska? Nie teraz, rzecz jasna, ale po zakończeniu ofensywy? Dość się już nawojowałem. Dlaczego by nie spędzić reszty życia w jakimś spokojnym mająteczku na wsi?

Kiedy batiuszka podsunął mu czarkę z winem, był już zdecydowany. Po skończonej ofensywie pożegna się z armią. O ile przeżyje.

Anna przełknęła łyk wina, dopełniając obrzędu. Duchowny związał ich dłonie białą chustą, po czym nakrył stulą. Zostali poślubieni.

Tłum powitał ich radosnymi okrzykami i deszczem kwiatów, ubrani w paradne mundury żołnierze sprezentowali broń, po czym utworzyli szpaler, umożliwiając młodej parze przejście do karety. Tym razem mieli powóz tylko dla siebie, księżna i Czerski wsiedli do innego ekwipażu. Samarin zaborczym gestem przyciągnął dziewczynę do siebie. Była jego. Jasne majowe słońce zatańczyło na żołnierskich bagnietach, ozłociło włosy Anny.

– Ruszaj! – krzyknął do woźnicy.

W wyobraźni zamajaczył zegar odliczający czas do rozpoczęcia natarcia, ale tym razem oficer nie przejął się złowieszczą wizją. Czekają go wiele dni i nocy. Z Anną.

VII

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Melodyjny dźwięk zamontowanego u drzwi dzwonka oznajmił przybycie kolejnego klienta. Rudnicki podniósł wzrok znad papierów – przeglądał rachunki za ostatni tydzień – i ponaglił gestem czuwającego za kontuarem barmana. Odkąd odzyskał hotel, każdy nowo przybyły częstowany był darmowym drinkiem.

Dwie solidne walizy dźwigane przez ordynansa pułkownika von Troscha świadczyły, że oficer ma zamiar zatrzymać się w „Azylu”. Tym razem w charakterze zwykłego gościa. Niemieckie dowództwo z niewiadomych przyczyn wycofało się z przepisu pozwalającego przymusowo kwaterować żołnierzy w budynkach będących własnością prywatną. Na skutki nie trzeba było długo czekać, hotel zaczął przynosić zysk. Prawda, że nie brakowało chętnych: pod nieobecność alchemika przez Warszawę przetoczyła się fala zagadkowych zabójstw, które, słusznie czy niesłusznie, przypisywano Przeklętym. A „Azyl” oferował nie tylko gościnę, ale też poczucie bezpieczeństwa.

– *Herr Baron*, mogę się przysiąść? – zapytał von Trosch.

Dopiero po chwili Rudnicki uświadomił sobie, że Niemiec zwraca się do niego.

– Oczywiście – przyzwolił, obserwując z zadowoleniem, jak chłopcy hotelowi zajmują się bagażami gościa.

Oficer podziękował lekkim skinieniem i usadowił się w wygodnym, obitym skórą fotelu. Jednym z kilku rozstawionych w holu.

– Widzę, że zmienił pan wystrój – zauważył.

– Odrobinę – przyznał alchemik ostrożnie.

– Nie żałował pan kosztów – stwierdził von Trosch, wskazując na wkomponowane w marmurową posadzkę symbole.

– Dbam o swoich gości.

Kelner w czarnym uniformie ze srebrną literą A na piersi postawił na stole butelkę koniaku i dwa kryształowe kieliszki.

– Poczęstowałem się już przy barze – uprzedził lojalnie oficer.

– Proszę się nie krępować. – Rudnicki wzruszył ramionami. – Z jakichś powodów jest mi pan sympatyczny, pułkowniku.

Przez moment alchemik obawiał się, że przesadził, ostatnie zdanie zabrzmiało nieco protekcyjnie, a choć przewyższał Niemca pozycją społeczną, nie było żadną tajemnicą, że atrament na dokumentach potwierdzających jego tytuł jeszcze nie wysechł. Jednak tamten przyjął komplement z wyraźnym zadowoleniem.

– Czy moglibyśmy porozmawiać nieoficjalnie? – zapytał von Trosch.

– Oczywiście, choć nie gwarantuję, że odpowiem na każde pytanie – odparł Rudnicki, rozlewając alkohol.

Oficer zaakceptował warunek potakującym gestem i skosztował trunku.

– Znakomity koniak – pochwalił. – Ale do rzeczy, chciałbym wiedzieć, co pan sądzi o ostatnich wydarzeniach w mieście?

– Ma pan na myśli te morderstwa?

– Owszem. Specyficzne morderstwa – zaakcentował Niemiec. – Ciała bez żadnych ran, a mimo to leżące w kałuży krwi, albo zwłoki spalone niemal na węgiel. To robota ludzi czy *theokatáratos*?

Rudnicki ścisnął mocniej kieliszek, zakołysał szkłem, wchłaniając aromat wanilii, kwiatów i suszonych owoców.

– Dlaczego pyta pan o to akurat mnie? Macie przecież własnych ekspertów.

– Mamy – przytaknął Niemiec. – Tyle że najlepsi z nich zajęci są czym innym i został nam jedynie drugi sort. Tymczasem sprawa jest delikatna.

– A to dlaczego? Zbrodnia to zbrodnia.

– Zginęło trzech niemieckich żołnierzy i jeden oficer. Dlatego nadzoruję dochodzenie z ramienia armii. Jedną z hipotez zakłada, że sprawcami są sprzyjający Rosjanom mieszkańcy Warszawy.

– To jedyne ofiary?

– Nie. Zamordowano też kilku cywilów, w tym kobietę i dziecko.

– Ci żołnierze byli na patrolu?

– Tak, w okolicach enklawy.

Rudnicki zacisnął ze złością usta: wystarczyła chwila nieuwagi i oto niewinna z pozoru rozmowa zamieniła się raptem w coś niepokojąco podobnego do przesłuchania. Mógłby oczywiście posłać von Troscha do diabła, tylko co, jeśli Niemcy dojdą do wniosku, że za zbrodniami stoją Polacy? Zaraz po zajęciu Warszawy rozstrzelali kilkudziesiąt osób, oskarżając je o współpracę z Rosjanami.

– Stawiałbym na Przeklętych – powiedział po namyśle. – Prawdopodobnie udało im się jakoś sforsować barierę. Być może nie bez pomocy z zewnątrz, chociaż wątpię, żeby ta akcja była skierowana przeciwko waszym oddziałom. Myślę, że żołnierze stali się przypadkowymi ofiarami, podobnie jak i cywile. Być może zauważyli coś podejrzanego albo po prostu zostali zaatakowani, bo znaleźli się w pobliżu *theokatáratos*?

– Nie rozumiem. Zaatakowani? Ot tak, bez powodu?

Alchemik jednym haustem dokończył koniak i stanowczym gestem odsunął kieliszek. To nie był czas na picie, tym bardziej że wcześniej pozwolił sobie na kilka szklaneczek whisky.

– Przekłeci nie potrzebują powodu – wyjaśnił spokojnie. – W ich oczach jesteśmy tylko bydłem, zwierzyną łowną. Czują respekt jedynie przed siłą, a kilku żołnierzy nie stanowi dla nich żadnego zagrożenia.

– Skąd te przemyślenia?

– Rozmawiałem z jednym z nich – odparł Rudnicki, zanim zdał sobie sprawę, co i do kogo mówi.

– W Petersburgu? – rzucił szybko Niemiec. – Podobno doszło tam do regularnej bitwy?

Alchemik przytaknął, klnąc się w duchu od ostatnich.

– Brał pan udział w tym starciu?

– O tyle, o ile, generalnie Przeklętymi zajęli się Rosjanie.

– To była istota wyższego rzędu? Władca enklawy?

Rudnicki drgnął zaskoczony, najwyraźniej Niemcy otrzymali już relację z zająć w Petersburgu.

– Podobny przypadek miał miejsce w Wiedniu – oznajmił von Trosch. – Oczywiście słyszeliśmy, co stało się w Rosji, ale nie znamy detali.

– My? – uniósł brwi alchemik.

– Wywiad. *Abteilung drei b* – odparł oficer bez ogródek. – Proszę mnie dobrze zrozumieć, *Herr Baron*, w żadnym wypadku nie chciałbym, aby odniósł pan wrażenie, że usiłuję wpłynąć na pańską lojalność wobec przyjaciół. Niemniej jednak byłbym wdzięczny za wszelkie wskazówki dotyczące walki z *theokatáratos* i ogólnej sytuacji w enklawach. Bo tam coś się dzieje, prawda? I najważniejsze: czy ta... nadaktywność Przeklętych może dotyczyć też Warszawy?

– To więcej niż pewne – przyznał Rudnicki. – Wszystkie enklawy stanowią coś w rodzaju systemu naczyń połączonych, to, co dzieje się w jednej, prędzej czy później będzie dotyczyło i pozostałych.

– A co się dzieje?

– Do enklaw przybywają istoty wyższego rzędu i próbują wydostać się na wolność.

– A jednak Rosjanie sobie poradzili...

– Dość tego, pułkowniku! Proszę nie traktować mnie jak wiejskiego głupka! Jeśli chce pan coś wiedzieć, to proszę spytać wprost.

– Proszę wybaczyć. Interesuje mnie, jak Rosjanie poradzili sobie z agresją *theokatáratos*.

– To była operacja typu wojskowego. Samochody pancerne, lotnictwo, miny – wyjaśnił zwięźle Rudnicki.

– A ta istota, władca enklawy? Jak ją zabili? Bo z naszych doświadczeń wynika, że srebrne pociski tu nie wystarczą.

– Nie jestem pewien – stwierdził alchemik wymijająco. – Sam pan wie, pułkowniku, jak to wygląda, pewnych rzeczy się nie pamięta, co do innych pozostają wątpliwości.

– Ale był pan tam?

– Tak.

– Może pan to opisać? Każdy szczegół się liczy!

Rudnicki przedstawił przebieg potyczki, starannie pomijając własny udział w walce z Samaelem. Von Trosch wysłuchał relacji z uwagą, ale na jego twarzy wyraźnie widać było niedowierzanie.

– Ciężkie karabiny maszynowe? Naprawdę tylko w tym rzecz?

– Być może nie tylko – przyznał niechętnie Rudnicki.

– Słucham – ponaglił Niemiec.

Alchemik westchnął ciężko, nie miał najmniejszego zamiaru informować rozmówcy o przywiezionym z Petersburga artefakcie, z drugiej strony trudno było zignorować wątpliwości von Troscha; pomijając wszystko inne, informacja, jak zginął Samael, mogła przydać się i w Warszawie.

– Cóż, wydaje mi się, że powalił go dopiero strzał w głowę, jakieś dwa centymetry powyżej nasady nosa. Nie wiem, czy to zabiło władcę enklawy, bo zaraz potem dopadli go żołnierze z miotaczem ognia. Kiedy skończyli, z pewnością był martwy.

– Jest pan pewien?! – spytał gorączkowo pułkownik. – Jakim cudem dostrzegł pan to w ogniu walki?! Zaraz! To pan go trafił!

Rudnicki potwierdził nieartykułowanym pomrukiem.

– Mistrzowski strzał! Ale skąd pomysł, żeby celować w głowę, a nie na przykład w serce? I w to akurat miejsce?

– Przypadek – zbył go Rudnicki. – A odległość nie była zbyt wielka, trzydzieści, góra czterdzieści metrów.

Von Trosch pokręcił z powątpiewaniem głową, ale nie naciskał dalej.

– Tak czy owak, wygląda na to, że Hoffmann miał szczęście – sapnął.

– A co ma do tego Hoffmann?

– Chciał się z panem pojedynkować – przypomniał z uśmiechem pułkownik. – Biorąc pod uwagę pańską wprawę w posługiwaniu się bronią, lepiej, że go tu nie ma.

– Został przeniesiony?

– Nie, sam wyjechał. Pod pańską nieobecność w hotelu miał miejsce pewien nieprzyjemny incydent. W zasadzie seria incydentów, tak jak pan przewidział. Wielu gości zaczęło cierpieć na bezsenność, inni tracili koordynację ruchową i potykali się o własne nogi, a pewien węgierski pułkownik huzarów zasikał spodnie, konwersując z własną narzeczoną. Z początku myślał, że to choroba, bo niedawno leczył się na tyfus, ale ktoś z hotelowych gości szybko wyprowadził go z błędu, wyjaśniając rolę, jaką w tym wszystkim odegrał kapitan Hoffmann. Normalny człowiek zażądałby satysfakcji, ale zna pan tych Madziarów, dzikusy jeden w drugiego! Otóż nasz huzar wywlókł gówniarza z pokoju i w holu publicznie wyplazował szablą na goły tyłek. Nic dziwnego, że Hoffmann

postanowił zmienić otoczenie. À propos incydentów: rozumiem, że nic takiego nie będzie miało już miejsca?

– Ma pan moje słowo – zapewnił Rudnicki z kamiennym wyrazem twarzy.

– W takim razie dziękuję za koniak i rozmowę. *Herr Baron...*

Alchemik odkłonił się uprzejmie i wrócił do przeglądania dokumentów. Niestety, do obowiązków hotelarza należało też kontrolowanie płynności finansowej firmy.



Ludzie Ankwicza załadowali do powozu ostatnią partię cennych inkunabułów, po czym wsiedli do pojazdu. Prawdopodobnie zbędna ostrożność, ale Rudnicki wolał dmuchać na zimne, przeprowadzka do hotelu mogła zwrócić uwagę wrogów, a tych mu nie brakowało.

Alchemik wrócił do apteki po palto, wychodząc, omal nie zderzył się z Okoniową. Punktualna zwykle posługaczka spóźniła się niemal o godzinę.

– Proszę za mną – polecił. – Musimy porozmawiać.

Babina bez słowa wykonała polecenie, stanęła przed nim ze spuszczoną głową.

– Niech Okoniowa usiądzie – zaprosił.

– Postojem – odparła ponuro kobieta. – Przepraszam za opóźnienie, ale zlatałam się za tem almanakiem.

– Kiedy ja nie o tym, każdemu się zdarza, chciałem tylko... – Rudnicki urwał, wpatrując się w trzymaną przez posługaczkę książkę. – Po co Okoniowej Almanach Gotajski? – zapytał oszołomiony.

– To przez te kłamczuche Pęcławkową i jej kumy!

– A Pęcławkowa to?

– Służonca u ordynata Bielińskiego. I przewodniczonca naszego kółka czytelniczego w Zielonce.

– Może opowie Okoniowa od początku? – zaproponował.

– Mielimy wybory – odburknęła. – I kandydowałam. Przeczytałam o trzy ksionżki wiecej od tej jendzy! To ona wtedy wyciongnęła swojego pracodawce. Że niby godniejszy od was! – parsknęła gniewnie. – I że zwykły aptekarz nie

może się równać ze ślachim odnotowanym w almanaku! No to ja jej wtedy dałam! – Okoniowa zacisnęła złowrogo pięści.

Alchemik odchrząknął dyplomatycznie: pod okiem Okoniowej widniał potężny siniak.

– Rozumiem, że Okoniowa wygrała?

– Gdzie tam! Przepadłam z kretesem!

– Naprawdę? – odparł zdziwiony. – Przecież Okoniowa ma biceps jak moje udo!

– Tylko bez świństw! – zganiała go posługaczka surowo.

– Biceps to... Nieważne! – machnął ręką Rudnicki. – Więc ta Pęcławkowa pobiła Okoniową?

– Ona? Mnie?! – zachnęła się kobieta. – Ja jom pobiłam! Ale to tylko zwycienstwo fizykalne. Bo chociaż kłamała o tem Bielińskim, że on w almanaku, to przecie jednak ślachim i ordynat. A wy ino aptekarz.

– Znaczy Bielińskiego nie ma w almanachu?

– Jest, ale nie ten. O, patrzajcie! – Okoniowa z trzaskiem rzuciła na stół opasłe tomiszczce. – Pod literą B. Bieliński z almanaka zmarł w tysionc osiemset szećdziesiontym siódmym!

– Rzeczywiście – przyznał Rudnicki. – Wynika z tego, że mimo blagi Pęcławkowej moja niska ranga przeszkadza Okoniowej w zajęciu miejsca przewodniczącej kółka?

– Ano! – potwierdziła posługaczka.

Rudnicki podrapał się po głowie. Fakt, że jakaś nieznana mu bliżej służąca krytykuje jego pozycję społeczną, na równi rozbawił go, co zirytował. Do tego dochodził inny problem, chciał poprosić Okoniową, żeby sprzątała też w hotelu. Warunki lokalowe w „Azylu” były o niebo lepsze niż w mieszkaniu nad apteką, a po wykwaterowaniu niemieckich oficerów wystarczyło miejsca zarówno na kilkupokojowy apartament, jak i laboratorium. Tyle że utrzymywanie porządku w prywatnej części hotelu można było powierzyć jedynie zaufanej osobie.

– Ten Bieliński to zwykły szlachim?

– I ordynat – przypomniała posługaczka.

– To znaczy tylko tyle, że dziedziczy majątek rodowy – odparł lekceważąco Rudnicki. – Jak by to Okoniowej powiedzieć? Ja też jestem szlachimem. Do tego

niedawno otrzymałem tytuł barona, co oznacza, że mogę patrzeć z góry na pana ordynata. Nasze gazety jeszcze o tym nie pisały, ale mam gdzieś „Wiadomości Urzędowe” z Petersburga.

– Toście tera ekscelencja? – upewniła się posługaczka.

– Na to wychodzi.

– A za co dostaliście tego barona? I od kogo?

– Wyleczyłem następcę rosyjskiego tronu. Ale tytuł nadał mi król angielski przez swojego przedstawiciela! – dodał szybko. – To krewny cara, a więc i Aleksa.

– Znaczy nie Ruskie?

– Nie!

– Wiedziałaam, że dobre z was panisko – rozpromieniła się kobieta. – A wyleczyć dziecko nie grzech. To ja tera powiem Pęcławkowej, gdzie się może schować ten ichni ordynat – stwierdziła z satysfakcją. – A w ogóle to...

– Życzę powodzenia – pospiesznie przerwał jej Rudnicki. – Ale do rzeczy: chciałem prosić Okoniową, żeby sprzątała i w hotelu. Za dodatkową opłatą, rzecz jasna.

– Kiedy to okrutne gmaszysko! No, ze mnie też nie lebiega, ale jak mówi poeta Mickiewicz, trza mierzyć siły na zamiary.

– Chodzi tylko o moje mieszkanie. Trzy pokoje i laboratorium – zapewnił alchemik. – Resztą zajmie się hotelowy personel, ale wolę, żeby mi nie grzebali po szafach.

– Jak trzy pokoje, to posprzontam – zdecydowała posługaczka. – Bendem tera musiała do was mówić „panie baronie”? – rzuciła z nadzieją w głosie.

– Absolutnie zabraniam!

– Kiedy...

– Nie ma mowy! A teraz niech Okoniowa zabierze się wreszcie za porządki, bo po południu mam tu spotkanie z kandydatami na subiekta.

– To ja już pójdę – odparła naburmuszona.

– Z Bogiem! – odprawił ją alchemik.



Jorge Villanova, wysoki, szczupły mężczyzna o południowej karnacji, wyglądał

na dwadzieścia lat z okładem. Był szóstym i ostatnim z kandydatów, którzy pojawili się w odpowiedzi na ogłoszenie; jego poprzednicy nie mieli zielonego pojęcia ani o farmacji, ani o medycynie spagiryicznej, pomimo że Rudnicki wyraźnie zaznaczył, jakie umiejętności powinni posiadać chętni do pracy w aptece.

– Co pan robił do tej pory? – spytał.

– Studiowałem medycynę w Wiedniu, prywatnie zajmowałem się alchemią.

– Studiował pan? Z jakim wynikiem?

Młodzieniec bez słowa położył na stole plik papierów. Rudnicki uniósł brwi, czyżby w końcu trafił na odpowiednią osobę? Dokumenty potwierdzały, że Jorge Villanova ukończył uczelnię *summa cum laude*.

– Jest pan wyszkolonym lekarzem, dlaczego chce pan pracować w aptece? To nie zapewni panu ani takich pieniędzy, ani pozycji społecznej, jaką miałby pan jako medyk.

– Nie potrzebuję pieniędzy. Mój ojciec pochodzi z rodziny bankierów, od kilku lat dysponuję funduszem powierniczym, który pozwala mi zaspokajać wszelkie potrzeby.

– Więc w czym rzecz?

– Moją pasją jest alchemia. Może to przeznaczenie? – dodał z wątlym uśmiechem. – Rozumie pan, nazwisko zobowiązuje.

Rudnicki z trudem zachował powagę, Arnold de Villanova był znanym w średniowieczu lekarzem i alchemikiem, poszukiwaczem kamienia filozoficznego.

– Być może – przyznał. – A skąd to nazwisko? Mówi pan znakomicie po polsku, bez śladu obcego akcentu.

– Mój ojciec jest Hiszpanem, matka Polką. Była. Zmarła dwa lata temu.

– Wyrazy współczucia.

Villanova skwitował kondolencje niemal niedostrzegalnym skinieniem, na jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień, ale alchemik wyczuł, że chłopak nadal nie pogodził się ze stratą.

– Dlaczego zgłosił się pan akurat do mnie? – kontynuował Rudnicki. – Z pańskimi kwalifikacjami otrzymałby pan pracę w każdej aptece czy pracowni alchemicznej. Szczerze mówiąc, to właśnie ogłoszenie jednego z moich

konfratrów w „Kurierze” zainspirowało mnie do szukania pomocnika, sam nie daję rady zarządzać jednocześnie apteką i hotelem.

– Nazywa pan Markowskiego konfratrem? – Młodzieniec parsknął pogardliwie. – Zbytek łaski! W środowisku znane są zarówno żalosne kwalifikacje pana Markowskiego, jak i jego niezdrowe skłonności do wyciągania pieniędzy z braci alchemicznej, a także serwilizm wobec okupantów. Wie pan, że ten człowiek miał czelność podjąć próbę reaktywacji gildii?

– Nie, nie wiedziałem.

– No tak, dopiero co wrócił pan z Petersburga. Rzecz miała miejsce dosłownie kilka dni temu. Oczywiście poniósł spektakularną klęskę – dodał z zadowoleniem. – Na zwołane przez niego zebranie przyszło raptem dziesięć osób, w tym czterech jego przyjaciół. Po takiej kompromitacji nigdy nie odzyska poprzedniej pozycji.

– Rozumiem – wymamrotał Rudnicki. – Ale skąd pan wie o mojej podróży? Nasza prasa nic o tym nie wspominała.

– Za to rosyjska rozpisuje się w samych superlatywach. A co do naszych gazet, to tylko kwestia czasu. W końcu uratował pan życie carewicza. Przecież to sensacja!

– No dobrze – westchnął Rudnicki. – Mniejsza z tym. Przejdźmy do kwestii praktycznych. Jak pozyskałby pan olejki eteryczne do maści na siniaki?

– Wykorzystałbym przede wszystkim arnikę i owoce kasztanowca – odpowiedział natychmiast Villanova. – Jedną trzecią metodą wytlaczania, kolejną część poprzez destylację z parą wodną, a ostatnią za pomocą kalcynacji.

– Na czym polega kalcynacja?

– W przypadku medycyny spagiryicznej oznacza to uzyskanie popiołu z danego składnika. Na przykład rośliny. Najpierw umieszcza się ją w cieczy ekstrakcyjnej, a po upływie pewnego czasu podgrzewa wytloki w odpowiedniej temperaturze, żeby uzyskać...

– Wystarczy – przerwał mu alchemik. – *Tria Prima* albo Trzy Pierwsze?

– Sól, rtęć i siarka.

– Proszę omówić krótko element rtęci.

– Rtęć zdominowana jest przez Merkurego, w procesach spagiryicznych określa się tak element wodny stanowiący podstawowy czynnik życia zawarty

w roślinie. W praktyce oznacza to fermentację, a później destylację, aż do uzyskania alkoholu o odpowiednim stężeniu.

– Czemu służy dodawanie do preparatów popiołu z kalcynowanych składników?

– Znajdują się tam substancje, których nie można wyodrębnić innym sposobem. Na przykład minerały. Badania profesora...

Rudnicki powstrzymał młodzieńca ruchem dłoni, z namysłem rozejrzał się po pokoju – rozmawiali w salonie nad apteką.

– Ma pan tydzień na zapoznanie się z dokumentacją, przede wszystkim proszę zwrócić uwagę na receptury i cennik. W razie jakichś pytań jestem do dyspozycji. Później rozpocznie pan pracę, apteka otwarta jest od ósmej do czwartej po południu. Na razie będzie pan tylko sprzedawał leki i zajmie się przygotowaniem prostych preparatów. Konsultacje zdrowotne biorę na siebie, ale będzie mi pan asystował. Oczywiście może pan tu zamieszkać, ze względów praktycznych tak byłoby najwygodniej, ale zrozumieć, jeśli wybierze pan bardziej komfortowe lokum.

– Nie, nie, lokal mi odpowiada – zapewnił Villanova. – A co z laboratorium?

– Wszystko jest na miejscu. Przeprowadzając się do „Azylu”, zabrałem co prawda kilka specjalistycznych aparatów, ale nie są one niezbędne do sporządzania leków. Jeśli będzie czegoś brakowało, natychmiast to kupimy.

– A enklawa?

– Co z enklawą?

– Chodzi mi o pierwotną materię. Wiem, że wszelkie zaawansowane receptury bazują na tym składniku. Nie jestem wariatem! – zastrzegł Villanova.

– Nie zależy mi na posiadaniu mocy magicznych, a jedynie na prowadzeniu badań.

Rudnicki skrzywił się niechętnie, do szczęścia brakowało mu tylko nawiedzonego sprzedawcy prowadzącego samodzielne eksperymenty z *materia prima*. Z drugiej strony Villanova dowiódł swojej wiedzy, a innych kandydatów nie było. Czas podjąć decyzję: albo zaryzykuje i przyjmie do pracy młodzieńca, albo trzeba zamknąć aptekę. Jedno z dwóch...

– Od swojego personelu wymagam przede wszystkim rozwagi i wykonywania poleceń – oznajmił surowo. – Alchemia to dziedzina wymagająca cierpliwości

i dyscypliny. Czy to jasne?

– Jak najbardziej! Nie mam zamiaru prowadzić doświadczeń na własną rękę – zadeklarował Villanova.

– Trzymam pana za słowo. Być może za tydzień lub dwa porozmawiamy o recepturach z wykorzystaniem *materia prima*. Na dniach wybieram się do enklawy – dodał Rudnicki, widząc pytający wzrok rozmówcy.

– Jest pan pewien? – zapytał chłopak z wyraźnym zaniepokojeniem. – Przecież to niebezpieczne.

– Niestety – rozłożył ręce alchemik. – Nie ma innego wyjścia.

– Dysponuję niewielką ilością *materia prima* i jestem gotów oddać ją do pańskiej dyspozycji.

– Był pan w enklawie?

– Nie. Kupiłem ją od pewnego alchemika.

Rudnicki w zamyśleniu zabębnił w blat: niemal całą *materia prima* zużywały gildie, na czarny rynek trafiały tylko niewielkie ilości i po bająńskich cenach. I nic dziwnego, w rok po wybuchu wojny zabroniono swobodnego handlu pierwotną materią, głównie ze względów bezpieczeństwa. Władze – po obu stronach frontu – nie chciały ryzykować, że jakiś wariat zacznie używać magii w osobistych i niekoniecznie zgodnych z prawem celach. Były precedensy. Fakt, że Villanova przyznał się do nielegalnej transakcji, świadczył zarówno o zaufaniu, jak i głębokości portfela przyszłego pracownika.

– Używał pan tej substancji?

Villanova splótł nerwowo długie, szczupłe palce, pokręcił głową.

– Bałem się – oznajmił. – Wolałbym to zrobić pod kierownictwem jakiegoś doświadczonego adepta.

Rudnicki drgnął, ale niemal natychmiast zdał sobie sprawę, że chłopak użył słowa „adept” w potocznym znaczeniu.

– Rozsądnie – pochwalił. – A skąd taka hojność? Przecież spotkaliśmy się pierwszy raz w życiu.

– Niezupełnie, widziałem pana w czasie pojedynku z tym Rosjaninem, poza tym jest pan dość znaną postacią wśród zwolenników „królewskiej sztuki”. Swego czasu zamierzałem nawet starać się o członkostwo w gildii, ale kiedy zrezygnował pan ze stanowiska wielkiego mistrza... – Wzruszył ramionami. –

Co do hojności, to jak powiedziałem, dysponuję niebagatelny majątkiem, a nie chciałbym przedwcześnie stracić pryncypała. Być może człowieka, który podzieli się ze mną wiedzą – dorzucił po namyśle.

Rudnicki spojrział na zegarek, dochodziła piąta. Czas był wracać do hotelu, następnego dnia z samego rana czekała go wycieczka do enklawy. Trzeba było przygotować się i wypocząć.

– O dzieleniu się wiedzą porozmawiamy kiedy indziej – odparł z roztargnieniem. – Tymczasem proszę zająć się swoimi obowiązkami.

– Oczywiście! I powodzenia.

– Dziękuję – mruknął Rudnicki. – Tego nigdy za wiele.

Dzień był pogodny, wiosenne słońce złociło ściany budynków, zapalało wesołe błyski w szybach i witrynach mijanych sklepów, ale alchemik czuł dziwny, niepokojący chłód. Po raz kolejny miał przekroczyć granice enklawy. Tym razem z własnego wyboru.



Koła powozu turkotały po bruku, mącąc spokój śpiących jeszcze ulic. Lewy dyszlowy parsknął energicznie, wyrzucając parę z nozdrzy, poranek był wyjątkowo mglisty i chłodny.

– Dobry znak – rzucił rozparty obok alchemika Ankwicz.

Rudnicki wzruszył ramionami i otulił się skórzany, sięgającym kolan płaszczem. Wzięli lando ze składanym dachem, wozownia „Azyłu” nie była zbyt zasobna i składała się z trzech pojazdów, aktualnie poza będącą w remoncie berlinką i powozem, którym jechali, miała na stanie tylko dwuosobowe coupé. Do tego wszystkiego jedynie dwa konie, resztę zarekwirowali Niemcy.

– Oby – odburknął z powątpiewaniem w głosie.

Prawą ręką obejmował kolbę mosina, lufa spoczywała w zgięciu łokcia lewej, tak że w ułamku sekundy mógł się złożyć do strzału. Na przeciwległym siedzeniu rozpierała się Anastazja, ona jedna wybrała się do enklawy bez broni. Wiktoria obserwowała snujące się nad ziemią pasma mgły szeroko otwartymi oczyma, jej dłoń błędziła w okolicy pasa, muskając kaburę mauzera.

– Wyglądasz inaczej – odezwała się do alchemika.

– To znaczy?

– Jak żołnierz, a nie aptekarz.

– Ostatnio trochę postrzelałem – odparł obojętnie.

– Mnie bardziej przypomina pana Sumichrasta w Patagonii – włączyła się do rozmowy Anastazja. – Nieustraszonego podróżnika i łowcę dzikich zwierząt. Brakuje mu tylko hełmu z moskitierą.

Wiktoria zakryła usta, symulując atak kaszlu, a Ankwicz skrzywił się w oszczędnym uśmiechu.

– Coś w tym jest – przyznał.

Rudnicki zaklął wściekle, zacisnął dłoń na kolbie.

– Żartowałam – powiedziała Anastazja.

– Nie o to chodzi! – warknął. – Popatrzcie! Sępy już się zleciały.

Dziewczyna odwróciła się – siedziała tyłem do kierunku jazdy – i obrzuciła płonąącym wzrokiem zebrany pod bramą tłum.

– Ciekawe, jak się dowiedzieli?

– Musieliśmy załatwić formalności, pewnie jakiś kancelista się wygadał – wyjaśnił spokojnie Ankwicz. – To było do przewidzenia. Od dawna nikt nie próbował wejść do enklawy, stąd i asysta.

– Pół biedy teraz, ale po powrocie będą na nas czekać bandyci z całego miasta. Już dawno nie obrobili żadnego alchemika!

– Wtedy będą tu i moi ludzie – odparł fechmistrz. – Poza tym myślę, że nie docenia się pan, drogi baronie. Tak, wiem o pańskim awansie. Zaatakować człowieka, który zabił w publicznym pojedynku maga kalibru Poturina i wielokrotnie wychodził cało ze starć z Przeklętymi? Wolne żarty! To nie to samo, co obrobić jakiegoś biedaka z gildii, który po drugiej stronie zerwie kilka kwiatków i natychmiast ucieka z powrotem. Wczorajszy „Kurier Warszawski” zamieścił obszerną relację z wydarzeń w Petersburgu. Moim zdaniem nie powinien pan się bać bandytów, tylko napływu wszelkiej maści hipochondryków chcących, żeby leczył ich medyk cara.

– Skąd ten tytuł? – spytała Wiktoria, unosząc brwi.

– To długa historia – odpowiedział niechętnie alchemik. – Może rzeczywiście przesadzam.

Większość oczekujących u wejścia do enklawy stanowili mężczyźni, choć

widać było i kilka kobiet. Niemal wszyscy wytwornie albo przynajmniej dostatnio ubrani, jakby przybyli na bankiet czy raut.

– To nie męty – stwierdziła ze zdziwieniem Wiktorina.

– Rzeczywiście, wygląda na to, że przyszła nas pożegnać warszawska śmietanka – zauważył cierpko Rudnicki.

Oddział uzbrojonych po zęby niemieckich żołnierzy ustawił się w dwuszeręgu przed dziwnym pojazdem podobnym do wagonu kolejowego na kołach. Dowódca, postawny oficer z monoklem w oku, niecierpliwie zerknął na zegarek.

– Zna go pan? – spytał Ankwich.

– Tak. To niejaki von Trosch. Pięc po szóstej, spóźniliśmy się, a pan pułkownik nie lubi czekać.

Wysiedli, zabierając ze sobą broń i wyposażenie, niegłośny rozkaz von Troscha sprawił, że żołnierze ustawili się wzdłuż chodnika, uniemożliwiając gapiom wtargnięcie na jezdnię.

Niemiec powitał ich sztywnym wojskowym ukłonem, po czym zaprosił Rudnickiego do wartowni, wyraźnie dając do zrozumienia, że chce porozmawiać bez świadków.

– Coś się stało? – odezwał się zaniepokojony alchemik.

– Można tak powiedzieć – odparł sucho oficer. – Kilka dni temu wysłano do enklawy wzmocniony patrol. Nikt nie wrócił. Po rozmowie z panem doszedłem do wniosku, że mamy podobny problem, co Rosjanie, najwyraźniej i u nas *theokatáratos* przechodzą do ofensywy.

– Dlaczego pan mi to mówi?

– Po pierwsze, żeby pana ostrzec, po drugie, żeby zaoferować pomoc.

Rudnicki obrzucił pułkownika sceptycznym spojrzeniem, nie zdarzyło się jeszcze, aby Niemcy pomogli jakimukolwiek alchemikowi.

– W zamian za co?

– Moja oferta jest bezwarunkowa – odparł natychmiast von Trosch. – Niemniej jednak byłbym wdzięczny, gdyby poinformował mnie pan po powrocie o swoich wrażeniach.

– A konkretnie? Nie mam zamiaru mieszać się do polityki ani wykonywać zadań dla cesarskiej armii.

– Nikt pana o to nie prosi! – zapewnił oficer. – Ale Przekłęci są zagrożeniem

dla całego miasta. A jeśli znajdzie pan ślady zaginionego patrolu, wypadaloby o tym poinformować, choćby ze względów humanitarnych...

– To wszystko? – upewnił się nieufnie Rudnicki. – Żadnych haczyków?

– Ma pan moje słowo!

– No dobrze, w jaki sposób może mi pan pomóc?

– Mam do dyspozycji kompanię piechoty i wóz bojowy. Z powietrza będzie was ubezpieczał sterowiec.

– Gdzie ten sterowiec?

– Cóż, przyleci dopiero jutro, ale nie sądzę, żebyście tak szybko potrzebowali ewakuacji.

– Myślałem, że jakby co, wesprze nas ogniem.

– Nie, nie dostałem zgody na bombardowanie enklawy, a użycie karabinów maszynowych do ostrzeliwania celów naziemnych nie jest zbyt skuteczne. Za to gondola zaopatrzona jest w specjalne siedzisko z wyciągarką, choć szczerze mówiąc, nie jestem pewien, jak to zadziała. Załoga ćwiczyła manewr ewakuacji jedynie kilka razy i na poligonie... Niemniej jednak sterowiec może przekazywać nam informacje o waszym położeniu. W razie czego ruszymy wam na pomoc.

– Co to za konstrukcja? – Alchemik wskazał pancernego kolosa.

– Bussing A pięć P – powiedział z dumą von Trosch. – Trzy ciężkie karabiny maszynowe, obrotowa wieża, dziesięć szczelin strzeleckich, pancierz z walcowanych płyt stalowych. Niestety, dostałem go tylko na trzy dni, dlatego byłoby wskazane, żeby nie przeciągał pan swojego pobytu w enklawie.

– Rozumiem – mruknął Rudnicki. – I dziękuję. Nie wiem, czy natrafimy na pańskich ludzi, ale jeśli coś zauważymy... – Wzruszył wymownie ramionami.

Niemiec pożegnał go uściskiem dłoni i pierwszy wyszedł na zewnątrz. Potężne, wzmocnione srebrem wrota rozwarły się bezszelestnie – najwyraźniej ktoś nie pożałował smaru na zawiasy – i po chwili znaleźli się w enklawie.

– Idziemy w szyku romboidalnym – zarządził Ankwicz. – Ja na czele, z lewej panienka Wiktoria, z prawej pan Rudnicki. Anastazja pilnuje tyłów. Pamiętajcie, żeby utrzymywać pozycje tak, żeby w razie czego cała trójka mogła strzelać jednocześnie!

Alchemik zarepetował broń i na moment przybrał postawę strzelecką. Tym razem nie zobaczył niczego, zmieniony w inkluzji mosin sprawiał wrażenie

zwykłego karabinu.

– No to chodźmy! – burknął. – Lepiej, żebyśmy dotarli do biblioteki przed zmrokiem.

– Dlaczego? – spytała Wiktoria. – Można tu zabłądzić?

– Można. Ale bardziej boję się, że trafimy na istoty, które lubią polować w nocy.

Dziewczyna wzdrygnęła się i poprawiła ładownicę. Bogiem a prawdą, nie tylko Rudnicki wyglądał jak doświadczony podróżnik: wszyscy dźwigali torby z żywnością, amunicją i lekarstwami.

– Może przyspieszymy? – zaproponowała.

Przyspieszyli.



Rudnicki, klnąc z cicha, odkorkował zabezpieczoną woskiem butelkę i powąchał preparat. Ciemna, oleista ciecz nadal pachniała gorzkimi migdałami i opuncją.

– Co to jest? – spytała niespokojnie Wiktoria.

– Otwórz buzię! – polecił niecierpliwie alchemik.

Dziewczyna zmierzyła go niechętnym spojrzeniem, lecz posłusznie wystawiła pogryziony i opuchnięty język. Rudnicki zanurzył pędzelek w buteleczce i delikatnie posmarował rany.

– Oddychaj przez usta – rozkazał. – Trzeba go wysuszyć, bo ślinisz się jak buldog.

Wiktoria spojrzała gniewnie, ale nie odważyła się odezwać, ból musiał jej naprawdę dokuczać. Alchemik powtórzył procedurę, tym razem na języku utworzył się delikatny srebrzysty nalot.

– Chyba wystarczy – oznajmił po chwili.

– Kiedy będę mogła użyć tego słowa?

– Nieprędko. Nieźle się poharatałaś. Pomijając wszystko inne, to najbardziej bezużyteczne słowo na świecie. Nie działa – dodał, widząc pytający wzrok dziewczyny. – Kiedyś udało mi się za jego pomocą zabić muchę, zużywając tyle *materia prima*, ile ważył owad.

– Niemożliwe!

– Możliwe, możliwe.

– To co z tym można zrobić? A sam symbol? Może chociaż on działa?

Alchemik przecząco pokręcił głową.

– Próbowałem – zapewnił. – Na myszach. Malowałem go na drewnianych płytkach i wkładałem je do klatek z myszami. Bez skutku. Być może, gdybym użył słowa mocy wraz z pierwotną materią, ale to wariactwo, sama wiesz, jak trudno dostać choćby szczyptę tej substancji. Co prawda raz w Petersburgu...

– Tak?

– Ubiłem kilkunastu chłopca bez *materia prima*. Chyba.

– Przecież mówiłeś, że to niemożliwe!

Rudnicki wzruszył ramionami i opowiedział o walce w pałacu.

– Nie jestem pewien, zaraz potem straciłem przytomność. Może tylko mi się wydawało? Poza tym cały czas mam wrażenie, że z tym słowem mocy coś jest nie tak.

– A konkretnie? Czyżbyśmy je źle odczytali?

– To niemożliwe, ono naprawdę znaczy tyle, co „zgiń”, jednak jest tam coś jeszcze. Jakiś podtekst, a może... – urwał i wpatrzył się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń.

– Tak? – ponagliła go Wiktoria.

– Wiesz, co to antyseptyka?

– Mniej więcej. Chodzi o to, żeby zapobiegać wnikaniu drobnoustrojów do ran?

– Tak. Tylko że te drobnoustroje mogą egzystować i we wnętrzu człowieka, powodując wiele chorób. A gdyby spróbować je zniszczyć w ten sposób? Że też mi to nie przyszło wcześniej do głowy!

– Jesteś pewien, że nie zrobisz krzywdy pacjentowi?

– Całkowicie. Wypróbowałem to na sobie i Samarinie. Nie podziałało.

– A stałeś się zdrowszy?

– Nie mam pojęcia, żaden z nas nie był w tamtym momencie chory.

Dziewczyna skinęła głową, choć jej mina świadczyła wyraźnie, że jest mocno rozczarowana. Zapewne liczyła, że trafi jej się coś dużo bardziej przydatnego, tyle że to nie człowiek wybierał symbol, ale biblioteka. Tak chyba lepiej, doszedł do wniosku alchemik. Bo czort wie, jak sztyletnicy wykorzystaliby nową wiedzę

Wiktorii...

– Kiedy wracamy? – westchnęła.

– Jutro z rana.

– Czuję się całkiem dobrze – zaprotestowała. – Jest jeszcze jasno, w godzinę dojdziemy na plac Saski.

– Nie ma mowy! – uciął krótko Rudnicki. – Za duże ryzyko. Po pierwsze, nadchodzi noc, po drugie, wyjście z enklawy może rzeczywiście potrwać godzinę, a może dużo więcej. Nawet jeśli nikogo nie spotkamy po drodze. Bywa, że ulice strasznie meandrują – dodał tytułem wyjaśnienia.

– Jak to możliwe?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami. – Niemniej jednak fakt pozostaje faktem. Wreszcie, przyda nam się odpoczynek.

Zanim Wiktorია zdążyła odpowiedzieć, rozległo się pukanie i do pokoju weszli Ankwicz i Anastazja.

– To wszystko, co znaleźliśmy. – Fechmistrz zademonstrował sporych rozmiarów kosz. – Więcej zielska nie było.

– W najbliższej okolicy – uzupełniła Anastazja. – Chciałam przejść na sąsiedni skwerek, trzy ulice dalej, ale Zygmunt wołał nie ryzykować.

– Zauważyliście coś niepokojącego? – zmarszczył brwi alchemik.

– Niby nie – odparł z ociąganiem Ankwicz. – Ale czułem, że jesteśmy obserwowani, po pewnym czasie człowiek wyrabia sobie coś w rodzaju szóstego zmysłu.

Rudnicki podszedł do kosza i obejrzał zawartość. Większość stanowiły zioła, było też trochę majowych konwalii.

– Wyjdą z tego dwa, może trzy łuty *materia prima* – ocenił.

– To dużo czy mało? – spytała z ciekawością Wiktorია.

– Łut to nieco ponad dwanaście gramów, a jeden gram pierwotnej materii kosztuje kilkadziesiąt kilogramów srebra – wyjaśnił. – Oficjalnie. Bo na czarnym rynku sto, sto pięćdziesiąt.

– Więc to...

– Tak, to majątek – powiedział szorstko Rudnicki. – I żeby wyjaśnić do końca kwestie finansowe: zgodnie z przepisami dwie piąte należą się osobie, która zorganizowała wyprawę, w tym wypadku mnie, pozostała część dzielona jest

równy między wszystkich uczestników, nie wyłączając organizatora. Możecie odebrać swoją dolę bądź w pierwotnej materii, bądź w srebrze, oczywiście według oficjalnego kursu.

– Więc trzeba tylko spalić te zioła?

– Niezupełnie. To połowa metoda. W jej wyniku otrzymuje się co prawda *materia prima*, ale ze stratą. Lepiej przeprowadzić procedurę kalcynacji. Mam wszystko, co potrzebne, więc zabierzemy jutro gotowy produkt.

– No dobrze, ale nie chodziło mi o pieniądze. Nie tylko o pieniądze – uściśliła Wiktoria. – Na jak długo ci to wystarczy? W aptece?

– Bo ja wiem? – podrapał się po głowie Rudnicki. – W normalnej sytuacji pewnie na pół roku, ale od dawna mamy straszny deficyt medykamentów z *materia prima*. Pewnie na trzy, góra cztery miesiące. Dlaczego pytasz?

– Zastanawiam się nad kolejną wycieczką. Może dobrze by było zrobić jakieś zapasy? – poddała dziewczyna z niewinną miną.

– Najpierw musimy stąd wyjść w jednym kawałku – odburknął Rudnicki. – No i dotrzeć do „Azylu”. Tam nikt nas już nie napadnie, ale po drodze, kiedy tylko opuścimy enklawę, może być różnie.

– Moi ludzie będą już na nas czekać – zapewnił po raz kolejny Ankwicz. – Poza tym są jeszcze przyjaciele pani Wiktorii...

– Nie rozumiem...

– Nie sądzi pan chyba, że sztyletnicy pozwolą sobie odebrać należną im część kilku warszawskim obszczymurkom. Naprawdę nie przewiduję z tym żadnych kłopotów – oznajmił pewnie.

Wiktoria wyglądała na zaskoczoną słowami Ankwicza, po chwili wybuchnęła śmiechem, aby zaraz później skrzywić się z bólu.

– Lepiej mi po twoich lekarstwach, ale dalej boli – mruknęła. – Nie martw się, nie damy cię obrabować! Wracając do rzeczy: czekamy do rana?

– Czekamy – potwierdził twardo Rudnicki. – Odpoczywaj i oszczędzaj gardło.

Dziewczyna demonstracyjnie zrzuciła buty i wyciągnęła się na bogato zdobionym szezlongu. Zajęli mieszkanie tuż przy bibliotece, w najbardziej zwyczajnie wyglądającej – co nie znaczy, że zwyczajnej – kamienicy. Co prawda budynek nie miał kilku dodatkowych pięter jak biblioteka, ale wszechobecne rzeźby i witraże, wyobrażające okropieństwa, przy których chimery i gargulce

wydawały się kwintesencją piękna, świadczyły dobitnie, że to twór enklawy. Niemniej jednak pokoje wyposażone były w normalne meble, w tym łóżka, umożliwiające komfortowy wypoczynek.

Alchemik podniósł się z westchnieniem i pomaszerował do swojego pokoju, po drodze sprawdził drzwi wejściowe. Masywna żelazna zasuwka i dwa zamki sprawiały solidne wrażenie, jednak Rudnicki zdawał sobie sprawę, że dla wielu istot żyjących w enklawie nie są żadną przeszkodą.

– Proszę się nie niepokoić, będę spał w przedpokoju – poinformował Ankwicz.

Mężczyzna ustawił fotel naprzeciwko wejścia, o ścianę oparł amerykańską strzelbę okopową, na podłogę rzucił pas naboju.

Rudnicki podziękował gestem, fakt, że jakby co, fehmistrz podniesie alarm, uspokoił go na tyle, że zasnął, ledwo przyłożywszy głowę do poduszki.



Rudnicki ostrożnie wychylił się zza rogu – ulica wyglądała na pustą. Skinieniem dłoni przywołał pozostałych. Z samego rana, jeszcze w okolicach biblioteki, dwa niby-wilki zaatakowały Wiktorię, dlatego teraz fehmistrz zamykał szyk, a dziewczyna z paskudną raną łydki kuśtykała, wspierając się na ramieniu Anastazji. W tej sytuacji rolę zwiadowcy przyszło pełnić alchemikowi.

– Już niedaleko – odezwała się pocieszająco Anastazja.

Rudnicki odpowiedział jej nieartykułowanym pomrukiem i ruszył naprzód. Kilkadziesiąt metrów dalej widać było niezaznaczone na żadnych mapach skrzyżowanie.

Alchemik poruszał się ostrożnie, tak jak nauczył go Ankwicz: najpierw pięta, później zewnętrzny kant stopy, wreszcie śródstopie i palce. W ten sposób można było zminimalizować wywoływany przez kroki hałas. Tyle że fauna enklawy mogła kierować się i węchem. Albo zupełnie nieznanym ludziom zmysłem, pomyślał ponuro Rudnicki.

Skoczyły na niego jednocześnie z okien flankujących ulicę kamienic, opadły z gracją niesionych wiatrem jesiennych liści. Ta z prawej znalazła się tuż przy nim na odległość wyciągniętej ręki, druga kilka metrów dalej. Zanim zdążył nacisnąć spust, złotooka walkiria w mgnieniu oka wydarła mu broń. Rudnicki

nie próbował sięgnąć do buteleczki z homunkulusem, wiedział, że nie zdąży, wykonał jedynie pchnięcie, jakby dzierżył w dłoni szpadę. I wypluł z siebie kilka syczących, zdawałoby się, niemożliwych do wymówienia przez ludzkie gardło głosek. Nóż pojawił się tylko na ułamek sekundy, ale i to wystarczyło, aby napastniczka zwała się martwa na bruk. Druga zaatakowała zamaszystym, na szczęście niecelnym ciosem pazurzastej dłoni. Zanim zrobiła coś więcej, za jej plecami pojawił się znikąd drobny, niewysoki mężczyzna i złapał ją za kark. Rudnicki usłyszał suchy chrzęst łamanego kręgosłupa, po czym nieznajomy bez najmniejszego wysiłku cisnął demonem o ścianę.

– Nie strzelajcie! – krzyknął dziwnie akcentowaną ruszczyzną.

Zanim dokończył zdanie, Ankwicz stanął u boku Rudnickiego, ale alchemik zdawał sobie sprawę, że tylko nieoczekiwana interwencja ocaliła mu życie.

– Porozmawiajmy – poprosił mężczyzna, unosząc dłonie nad głowę. – Tu obok jest pusty dom. I kilku moich... przyjaciół.

– Baronie? – rzucił fechmistrz.

Rudnicki przełknął ślinę i rozejrzał się: demony, które go zaatakowały, leżały martwe, a nieznajomy przed momentem udowodnił, że nie stanowi zagrożenia, ale czy warto ryzykować? Zaproszenie mogło być zasadzką, z drugiej strony, biorąc pod uwagę fakt, że Wiktoria nie nadawała się do walki, przyda im się każda pomoc.

– Dobrze – zdecydował. – Za chwilę.

Podszedł do zwłok i wyciągnąwszy nóż, otworzył klatkę piersiową Przekłętej. Anastazja uklękła obok i pomogła Rudnickiemu wyciąć serce demona, nie przejmując się płamiącą ubranie posoką.

– No tak, przecież potrzebuje pan ingrediencji – odezwał się aprobującym tonem człowieczek.

Jego dłoń zagłębiła się w ciele drugiego trupa i zaraz ukazała, dzierżąc ociekający krwią ochłap.

– Proszę – powiedział.

– To hojna oferta – odparł z wahaniem Rudnicki.

Alchemik dałby głowę, że nieznajomy świetnie zdaje sobie sprawę, jak można wykorzystać serce *theokatáratos*.

– Może pan potraktować ten... prezent jako wyraz mojej dobrej woli. Naszej

dobrej woli – poprawił po chwili.

– No dobrze – westchnął Rudnicki. – Chodźmy spotkać się z pańskimi przyjaciółmi.



Alchemik usiadł ostrożnie, nie zdejmując palca ze spustu. Lufa trzymanego na kolanach karabinu nie celowała w nikogo konkretnego, ale Rudnicki nie miał zamiaru odkładać broni, przynajmniej dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

Mężczyzna, który przedstawił się jako Zav, wyglądał jak człowiek. Niski, drobnokościsty, o szczupłej, obsypanej piegami twarzy, sprawiał wrażenie nieszkodliwego lekkoducha. Na pierwszy rzut oka. Sympatyczny uśmiech i nieskoordynowane ruchy oraz łatwe do zauważenia roztargnienie nie mogły ukryć drzemiącej w nim siły. Nikt, kto przyjrzałby mu się uważniej, nie chciałby mieć go za wroga.

Zav jako jedyny zasiadł do stołu z Rudnickim i Anastazją, jego towarzysze ustawili się kilka metrów dalej. Za plecami alchemika czuwali Ankwicz i Wiktoria. Mimo że pora była przedpołudniowa, w pokoju panował półmrok, tak jakby wpadające przez okno światło przefiltrowano przez ciemne szkło.

– Może zaczniemy? – zaproponował Zav. – Powiem wprost: jesteśmy zainteresowani opuszczeniem enklawy. Nie mamy wrogich zamiarów! – zastrzegł się, widząc minę alchemika.

– Nikt was nie wypuści – odparł natychmiast Rudnicki.

– Kiedy nam nie chodzi o pokonanie muru, to możemy zrobić sami, potrzebujemy pomocy, żeby zaadaptować się do życia po tamtej stronie. Pieniądzy, ubrań, jakiegoś lokum. W zamian oferujemy wsparcie w walce z waszymi wrogami, wiedzę i, rzecz jasna, *materia prima*.

– Bez nas nie dojdziecie nawet do bramy – wtrąciła wysoka, rudowłosa kobieta.

Tej nikt nie pomyliłby z człowiekiem, błękitny odcień skóry i zielone, nakrapiane złotymi plamkami oczy świadczyły wyraźnie, że jest jedną z Przeklętych.

– A to dlaczego?! – warknął wyprowadzony z równowagi Rudnicki. – Do tej

pory dawaliśmy sobie radę!

Rudowłosa syknęła jak rozzłoszczona kotka, ale Zav uciszył ją jednym gestem.

– Dawaliście – przytaknął. – Nie lekceważymy pana, wiemy, że brał pan udział w zabiciu Samaela. Niemniej jednak bez naszej pomocy naprawdę nie wyjdziecie z enklawy. Sytuacja się zmieniła, a nie możecie liczyć na pomoc wojska jak w Petersburgu.

– Skąd wiecie o Samaelu? – Alchemik zmarszczył brwi.

– Mamy swoje źródła informacji. Ale do rzeczy, jak powiedziałem, nikt wam nie pomoże...

– Nieprawda! – przerwał ostro Rudnicki. – Jeden mój sygnał i żołnierze osłonią nasz odwrót.

– A jak pan przekaze ten sygnał? – spytał ironicznie Zav. – I komu?

– Załodze sterowca, która w tej chwili patroluje obszar enklawy – odpowiedział alchemik, modląc się w duchu, żeby aerostat był już na pozycji.

Na twarzy Przekłętego nie drgnął żaden mięsień, choć w jego oczach pojawiło się napięcie.

– Luna, sprawdź to, kochanie – poprosił miękko.

Kobieta nazwana Luną wyskoczyła przez okno, nie trując się korzystaniem z drzwi i schodów. Rudnicki poczuł, jak uwiera go kołnierzyk koszuli, znajdowali się na drugim piętrze. W otoczeniu *theokatáratos*, których trudno było zaliczyć do drobnicy...

– Założmy, że jest, jak pan mówi – podjął Zav – i wojsko wam pomoże. I co dalej? Jak mówiłem, sytuacja się zmieniła. Obecnie w warszawskiej enklawie istnieją trzy frakcje: część z nas chce tu pozostać, traktując enklawę jako swoiste terytorium łowieckie, inni pragną pokonać barierę, żeby przeżyć, bo jest oczywiste, że lada moment pojawią się tu istoty formatu Samaela. Korytarze łączące nasze światy są dostatecznie szerokie – dodał tytułem wyjaśnienia.

– Wspominał pan o trzech frakcjach.

– Nie wszyscy z nas nienawidzą ludzi, ja i moi przyjaciele wolelibyśmy koegzystencję na wzajemnie korzystnych warunkach. W odróżnieniu od tych, którzy chcieliby sforsować mur, aby zabijać.

Rudnicki drgnął, słysząc kroki na schodach, wycelował mosina w drzwi.

– Bez obaw! – uspokoił go Zav. – To Luna.

Alchemik niechętnie opuścił broń, jednak lewą rękę nadal trzymał w pobliżu buteleczki z homunkulusem.

– W powietrzu unosi się jakiś balon o dziwnym kształcie – zameldowała kobieta.

Dopiero teraz Rudnicki mógł się jej przyjrzeć dokładniej, wcześniej sylwetka Przekłętej tonęła w dziwnym, nienaturalnym półmroku. Gdyby nie wiedział, kim jest, dałby jej dwadzieścia, góra dwadzieścia pięć lat. Nie była idealnie piękna, doskonałość klasycznego profilu jak z greckich kamei psuła niewielka blizna na lewym policzku, ale alabastrowa cera i burza ciemnych loków w odcieniu zmoczonego deszczem hebanu czyniły ją więcej niż interesującą.

– To ten sterowiec? – upewnił się Zav.

– Owszem – potwierdził sucho Rudnicki. – Co teraz?

– Nic. Możecie odejść w każdej chwili – powiedział Przekłęty. – Ale powtarzam: jeśli się dogadamy, skorzystają na tym obie strony.

– Kuzynie – odezwała się Anastazja. – Chyba dobrze by było wysłuchać...

– Nie! Milcz! – uprzedził, widząc, że dziewczyna otwiera usta. – To moja decyzja i moja odpowiedzialność! Jeśli będę chciał znać twoje zdanie, zapytam. To samo dotyczy pana Ankwicza i Wiktorii. Jakies obiekcje?

– Żadnych – odpowiedział za wszystkich fehmistrz.

Rudnicki obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, ale w głosie Ankwicza słysząc było tylko niekłamaną aprobatę. I szacunek.

– Zaczniemy od owych tak zachwalonych przez was korzyści – alchemik zwrócił się do *theokatáratos*. – *Materia prima* potrafię sam zdobyć, a i z wrogami sobie radziłem. Niepotrzebna mi wasza pomoc.

Zav zagryzł wargi, lecz nie odwrócił wzroku.

– To nie do końca prawda, bo przecież wchodząc do enklawy, za każdym razem ryzykuje pan życie – odpalił. – My moglibyśmy dostarczyć panu pierwotną materię na każde życzenie. A i z wrogami może być różnie. Co, jeśli na swobodzie znajdzie się ktoś o mocy Samaela? Kto go powstrzyma?

– Wojsko – stwierdził obojętnie alchemik.

– Wątpię – odparł Przekłęty. – Na pewno nie to stacjonujące teraz w Warszawie. Oni tu długo nie zabawią.

- Nie rozumiem – wtrącił zaniepokojony Ankwicz. – Co pan ma na myśli?
- Nadchodzi przesilenie – odparł Zav. – Nie mogę podać szczegółów, bo brakuje mi wiedzy na temat waszego świata, jednego jestem pewien: ci żołnierze niedługo odejdą.
- Niemcy opuszczą Warszawę? Bzdura! – stwierdził Rudnicki.
- A jeśli tak się stanie, zmieni pan swoje nastawienie do mojej propozycji?
- Zastanowię się – odburknął alchemik. – Jednak to tylko część problemu. Dużo ważniejsza jest gwarancja, że nie skrzywdzicie nikogo po tamtej stronie.
- Nie damy takiej obietnicy – pokręcił głową Przekłety. – Przecież musimy się bronić.
- Kuzynko? – spytał Rudnicki.
- Niech złożą przysięgę w Kręgu – odparła natychmiast dziewczyna. – Obiecują, że nikogo pierwsi nie zaatakują. I w razie czego przyjmą twój wyrok.
- Jaki, do licha, wyrok?!
- W sprawach spornych. Ktoś to musi rozstrzygać – powiedziała. – A kto, jeśli nie ty?
- Na coś takiego moglibyśmy się zgodzić – powiedział ostrożnie Zav. – Z jednym zastrzeżeniem: musiałyby to dotyczyć i drugiej strony.
- To znaczy?
- Jeżeli stalibyśmy się obiektem agresji kogoś z ludzi, ukarałby pan i jego. Mam na myśli sytuacje niewymagające natychmiastowej reakcji czy obrony życia.
- Przecież nie mam żadnej władzy, która pozwoliłaby mi pełnić funkcję sędziego! – zaprotestował Rudnicki.
- Formalnie być może, ale przecież cała nasza umowa i tak byłaby nieoficjalna. I jeszcze jedno, proszę nie zwlekać z decyzją. Jak już wspomniałem, bariera wokół enklawy nie jest dla nas wielkim problemem. Jeżeli dojdziemy do wniosku, że jesteśmy zdani na siebie, nie gwarantuję bezpieczeństwa mieszkańcom Warszawy. I nie, to nie groźba! Zwyczajne stwierdzenie faktu. Przecież będziemy musieli się jakoś urządzić po tamtej stronie, zdobyć pieniądze i dokumenty. A bez pańskiej pomocy... – Rozłożył wymownie ręce.
- Czy coś takiego w ogóle jest możliwe? – alchemik zwrócił się do Ankwicza. –

Zdobycie dokumentów? Jestem aptekarzem, a nie fałszerzem!

– Wydaje mi się, że na to pytanie powinna raczej odpowiedzieć panienka Wiktoria – odparł dyplomatycznie fechmistrz. – Mam niewielkie rozeznanie w tej kwestii, choć słyszałem, że nie jest to takie trudne, jak by się wydawało.

Wiktoria odchrząknęła, po czym wzruszyła ramionami.

– To żaden problem – stwierdziła krótko. – Znam ludzi, którzy mogą to załatwić.

Jak zauważył Rudnicki, dziewczyna bynajmniej nie wyglądała na wystraszoną spotkaniem z *theokatáratos*. Sprawiała raczej wrażenie dziecka, które znalazło się bez opieki w sklepie ze słodyczami.

– Jeśli Niemcy opuszczą Warszawę, przemyślę pańską propozycję – powiedział Rudnicki, akcentując pierwsze słowo.

– Dobrze, to już niedługo – mruknął tamten. – Jeszcze jedno, gdybyśmy chcieli się z panem skontaktować, wyprawimy posłańca.

– Jakiego posłańca?

– Oto on.

Alchemik zacisnął zęby, na ramieniu Zava pojawił się znikąd czarny kruk. Ptaszysko przekrzywiło łeb i spojrzało na Rudnickiego czerwonym jak rubin okiem. Z otchłani niepamięci wychynęły strofy starego poematu recytowanego w dzieciństwie przez matkę:

*Hugin i Munin przemierzają świat,
każdego ranka, wciąż od nowa,
zawsze się lękam, że Myśl przerwie lot,
lub Pamięć wierności mi nie dochowa.*

Matka... Hanna, albo jak sama mówiła o sobie: Hanna Eriksdotter. Mimo że minęło już tyle lat, a wspomnienia z dzieciństwa wyblakły niczym stara pocztówka, Rudnicki wiedział, jak wyglądała, w gabinecie ojca od zawsze wisiał portret roześmianej dziewczyny z dołeczkami w policzkach, o oczach koloru morskich fal. Teraz znajdował się w hotelowym sejfie razem z resztą rodzinnych pamiątek.

– Wystarczy, że powie pan, co chce nam przekazać, a on wszystko powtórzy – kontynuował Zav, wyrывая alchemika z zamyślenia.

– Rozumiem – wymamrotał Rudnicki, wstając od stołu. – Musimy już iść. Do bramy niedaleko, ale w razie komplikacji...

Zav powstrzymał go gestem, alchemik odniósł wrażenie, że *theokatáratos* porozumiewają się w jakiś sposób tylko wiadomy i niezauważalny dla postronnych sposób.

– Nie będzie żadnych komplikacji – oznajmił po chwili wahania. – Dopilnujemy tego.

– Jeśli nas odprowadzicie, Niemcy to zauważą.

– Nie zauważą – zapewnił mężczyzna.

Ozłoczone słońcem ulice wydawały się całkowicie puste – żaden z Przeklętych nie wyszedł z nimi z mieszkania – a jednak Rudnicki czuł na karku nieprzyjemne mrowienie, tak jakby ktoś bacznie śledził każdy jego krok. Początkowo trzymał broń gotową do strzału, lecz w miarę jak zbliżali się do muru, jego czujność słabła. Kiedy ujrzeni wieże strażnicze, niepokojące uczucie zniknęło i alchemik przewiesił mosina przez ramię. Nawet jeśli co silniejszy z *theokatáratos* – wystarczy wspomnieć Samaela! – byli w stanie znieść bliskość srebra, to przecież nie bez trudu. Tu nikt ich już nie zaatakuje zniecka.

Jakby wtórując jego myślom, ogromne wrota otwarły się i von Trosch wyszedł im naprzeciw.

– Co z patrolem? – spytał szorstko.

– Nie natrafiłszy na żadne ślady – odparł Rudnicki. – Jednak sądzę, że ci ludzie nie żyją. Być może następnym razem coś znajdziemy.

– Nie będzie następnego razu, blokujemy enklawę do odwołania – poinformował ponuro von Trosch. – Nie mamy wyjścia, Rosjanie rozpoczęli ofensywę i przerwali front.

Alchemik niedowierzająco pokręcił głową: a jednak Zav miał rację, nadchodziło przesilenie...

VIII

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Rudnicki szarpnął do siebie metalowy uchwyt, drzwi ogromnej kasy pancernej uchylły się niechętnie, jeszcze jeden wysiłek i ujrzał starannie poukładane na półkach banknoty, sztaby srebra oraz rulony złotych i srebrnych monet. Alchemik otworzył sporej wielkości szkatułkę i umieścił w niej garść trzymarkówek wybitych z okazji dwudziestopięciolecia małżeństwa księżęcej pary von Anhalt. Jeden z hotelowych gości zapłacił właśnie rachunek.

Rudnicki przyglądał się przez chwilę zgromadzonym w sejfie zasobom, po czym wykonał kilka dziwnych ruchów, niczym dyrygent kierujący niewidzialną orkiestrą. Cicho szcęknęła zapadka i z tylnej ściany wysunęła się sprytnie ukryta szuflada. W schowku spoczywały trzy fiolki wielkości męskiego kciuka, wypełnione proszkiem koloru antracytu. Każda z nich warta była więcej niż kwartalny budżet miasta Warszawy. Cóż, ceny *materia prima* cały czas szły w górę.

Rudnicki ostrożnie przesypał szczyptę proszku do ampułki z barwionego szkła i zamknął pancerne drzwi, co wymagało trwających kilka minut manipulacji. Zanim wrócił do mieszkania – skarbiec znajdował się w hotelowej piwnicy – zgasił światło i przyjrzał się trzymanej w ręku buteleczce. W ciemności rozbłysła miniaturowa błękitna gwiazda. Z niewiadomych powodów *materia prima* wydzielala szafirową poświatę, co wykorzystywano zarówno do jej fałszowania, jak i badania autentyczności. Rzecz jasna, test był jedynie odruchem, alchemik nie miał wątpliwości, że jego skarby są bezpieczne, sejf stanowił tylko jedno z zabezpieczeń.

Wątlą, ubrana w zbyt obszerną sukienkę dziewczynka stała na ulicy tuż przy hotelu, oferując przechodniom kwiaty. Szwajcar na widok pryncypała ruszył z groźną miną w stronę dziecka, ale Rudnicki powstrzymał go leniwym gestem.

Rosnące dochody „Azylu” i nadspodziewany sukces ostatniej wyprawy nastawiły go przyjaźnie do świata. Wreszcie dziewczuszka nie była natrętna i w żaden sposób nie odstraszała hotelowych gości.

Kiedy wsiadał do powozu, dziewczynka podbiegła do niego i podała przywiedłą margerytkę z nieśmiałym uśmiechem na zabiedzonych buzi. Alchemik sięgnął do kieszeni, ale mała przecząco pokręciła głową i uciekła na swój posterunek. Rudnicki podziękował jej ukłonem, demonstracyjnie wpiął kwiatek w butonierkę, po czym zastukał gałką laski w sufit.

– Do apteki! – rzucił.

Nowy subiekt, Jorge Villanova, spisywał się znakomicie i apteka przeżywała prawdziwe oblężenie. Rudnicki zastanawiał się, czy jest to wynik zaopatrzenia w rzadko obecnie spotykane preparaty z *materia prima*, czy też część zasługi należy przypisać przystojnemu młodzieńcowi o smagłej cerze i ciemnych oczach. Odkąd Villanova podjął pracę w aptece, wśród klientów zaczęły dominować kobiety. Tak czy owak, nadszedł czas, aby jego pomocnik spróbował swoich sił w tworzeniu bardziej zaawansowanych preparatów.

Z zamyślenia wyrwało go szarpnięcie, powóz zatrzymał się nagle, a o bruk zastukały podkute żołnierskie buty. Zanim alchemik zdążył zareagować, w drzwiach stanął niemłody porucznik z twarzą przyozdobioną sumiastymi wąsikami.

– Proszę okazać dokumenty – zażądał znudzonym tonem.

Rudnicki obrzucił go zdziwionym spojrzeniem: mundur oficera, choć podobny krojem do niemieckiego, różnił się w szczegółach, a i w głosie wąsacza pobrzmiwał dziwny, słowiański akcent.

Porucznik ledwo rzucił okiem na paszport i oddał go z ukłonem.

– Przepraszam za kłopot, ekscelencjo – powiedział czystą polszczyzną. – Może pan jechać.

– Jest pan Polakiem?

Usta oficera drgnęły w powstrzymany uśmiech.

– Tak. Pewnie pierwszy raz widzi pan taki mundur. Generał von Beseler zdecydował się na utworzenie Polskich Oddziałów Samoobrony. Ze względu na ofensywę Rosjan niemieckie jednostki przerzucane są na front, a ktoś musi pilnować enklawy. Na razie jest nas niewielu, ot, kilka patroli, ale rekrutacja

idzie pełną parą. Mówią, że Austriacy zostali zupełnie rozbici i gdyby nie Niemcy, front wschodni przestałby istnieć – dodał przyciszonym głosem.

– Skąd te informacje?

– Z pierwszej ręki – zapewnił porucznik. – Rozmawiałem wczoraj z urlopowanymi żołnierzami, którzy przyjechali do Warszawy prosto z frontu. Podobno cesarz Wilhelm rozważa nawet powołanie *Polnische Wehrmacht*, bo państwa centralne poniosły ogromne straty. I żeby tylko to...

– Tak?

– Rosjanie używają magii. To nie pojedyncze przypadki, jak zdarzało się i dawniej, ale specjalne oddziały szturmowe, które przełamują front na najbardziej umocnionych odcinkach. Lada moment Rusczy wejdą na nasze ziemie.

Rudnicki zmarszczył brwi, ostatnio zajmowała go alchemia – trzeba było wykorzystać zdobytą w enklawie *materia prima* – i gazety czytał tylko sporadycznie. „Kurier Warszawski” rzeczywiście pisał coś o planowym skracaniu frontu, czyżby w ten sposób komentowano sukcesy Rosjan? No bo jakżeby inaczej? Przecież niemiecka cenzura nie pozwoliłaby zamieścić informacji o pogromie armii kajzera. Zaklął w duchu, przypominając sobie słowa Samarina. A więc to przed tym ostrzegał Saszka. *Gospodin graf* już wtedy musiał wiedzieć o nadchodzącej ofensywie i dlatego namawiał nas do wyjazdu z Warszawy, pomyślał. Znaczący Rosjanie chcą odbić Królestwo Polskie. Teraz dopiero zacznie się zawierucha, bo przecież Niemcy nie odpuszczą. Jeśli do tego rzeczywiście utworzą *Polnische Wehrmacht* i w Warszawie stanie choćby kilka tysięcy naszych pod bronią, bez wątpienia uaktywnią się wszelkiego typu organizacje niepodległościowe, bo przecież nie przepuszczą takiej okazji. A sztyletnicy?! Przecież i ci włączą się do tańca...

– Ekscelencjo? – oficer przerwał przedłużające się milczenie.

– Dziękuję, poruczniku...

– Zambrowicz – przedstawił się tamten natychmiast. – Mateusz Zambrowicz, do usług Waszej Ekscelencji.

– Proszę odwiedzić mnie kiedyś w hotelu. – Rudnicki podał wizytówkę. – I jeszcze raz dziękuję za informację.

Oficer strzelił obcasami i gestem nakazał przepuścić pojazd.

– Jedziemy do apteki? – upewnił się stangret.

– Owszem – potwierdził alchemik. – Choć pewnie mądrzej byłoby do ambasady Argentyny, żeby poprosić o azyl.

– Słucham?

– Nieważne, jedź! – uciął Rudnicki.

Zdezorientowany kuczer, jeden z ludzi Ankwicza, strzepnął lejcam i powóz potoczył się po bruku. W ciepły czerwcowy dzień Warszawa tętniła życiem. Chodniki wypełnione były spacerowiczami, elegancko ubrani panowie wymieniali uśmiechy z kobietami w zwiewnych sukniach i fantazyjnych kapeluszach, ale alchemik nie zwracał uwagi na otoczenie. Wojna, wojna, wojna, turkotały koła.



Rudnicki skontrolował działanie kolumny rektyfikacyjnej: Villanova utrzymywał stałą, odpowiednio wysoką temperaturę, deflegmator działał prawidłowo, odprowadzając destylat do skraplacza, w półmroku – laboratorium oświetlała tylko podsufitowa lampa naftowa – widać było nawet leciutki błękitnawy poblask gotowego produktu. Tyle że młodzieniec użył dziwacznej, wyciągniętej nie wiadomo skąd receptury.

– Jak pan myśli, nie popełniłem żadnego błędu? – odezwał się nerwowo subiekt.

– Zrobił pan wszystko zgodnie z przepisem – odparł wymijająco Rudnicki. – Zaraz zobaczymy, co z tego wyszło. À propos, jakie właściwości ma mieć ten preparat?

– Zgodnie z opisem to coś w rodzaju panaceum – wyznał nieśmiało młodzieniec.

Alchemik odchrząknął dyplomatycznie, jeszcze żadnemu adeptowi „królewskiej sztuki” nie udało się uzyskać uniwersalnego lekarstwa, nawet przy użyciu *materia prima*. Niemniej jednak próbowali niemal wszyscy, idea środka leczącego wszelkie choroby była nęcąca, och, jak nęcąca! Sam Rudnicki nie był tu wyjątkiem, poświęcił na eksperymenty dobry łut pierwotnej materii.

– Głupota, prawda? – powiedział Villanova. – Powinienem skupić się na

wytwarzaniu jakiegoś sprawdzonego leku.

– Niekoniecznie – zaprzeczył Rudnicki. – Bez eksperymentów nie ma postępu. No i w końcu zrobił pan to za moim przyzwoleniem, receptura wydała mi się dość interesująca.

– Naprawdę?

– Jak najbardziej. Tylko proszę się nie spodziewać jakichś spektakularnych efektów, z mojego doświadczenia wynika, że bardzo rzadko rezultat jest zgodny z oczekiwaniami.

– A konkretnie? – zainteresował się Villanova.

– Mniej więcej w jednym wypadku na sto.

– To niewiele. Wychodzi na to, że zmarnowałem tylko *materia prima*...

– Ja traktuję to jako inwestycję, musiałem sprawdzić, jak radzi pan sobie w laboratorium. No cóż, czas chyba zobaczyć, co panu wyszło. Proszę przygotować próbkę.

Rudnicki podszedł do regału i zdjął z półki klatkę. Jej lokator, szczur imieniem Albert, od roku testował nowe preparaty.

– Wyjątkowo dorodny – zauważył młodzieniec.

– Rzeczywiście, kiedyś przez przypadek uzyskałem środek wywołujący szybki przyrost mięśni.

– A te czerwone oczy?

– Próbowiałem opracować miksturę pozwalającą na lepsze widzenie w nocy. Niestety, coś poszło nie tak. – Alchemik wzruszył ramionami. – Ale do rzeczy...

Rudnicki napełnił wodą niewielką porcelanową miseczkę i dodał do niej kilka kropli świeżo uzyskanego preparatu.

– Na zdrowie! – mruknął, podsuwając naczynie szczurowi.

Albert obrzucił go zniesmaczonym spojrzeniem, po czym obwąchał miskę i ostrożnie zbliżył pyszczek do powierzchni cieczy.

– Nie podchodzi do tego zbyt entuzjastycznie – stwierdził z rozbawieniem Villanova.

– Jest weteranem. Zdarzało się, że testowane substancje wywoływały dość spektakularne skutki. Jedna przyprawiła go o biegunkę, inna okazała się silnym narkotykiem.

– A jednak próbuje. Tak jakby wiedział, czego pan od niego wymaga.

– Bo wie – sucho odparł Rudnicki. – Szczury są nadzwyczaj inteligentne. On zdaje sobie sprawę, że póki nie spróbuje, będzie pościł.

Tymczasem Albert wykonał parę niepewnych podskoków, jakby chciał ciężarem ciała wybić dziurę w klatce, po czym zwiotczał i upadł.

– Nie żyje! – krzyknął Villanova.

– Skąd! Przecież oddycha.

– Stracił przytomność?

– Na to wygląda – przyznał alchemik.

– I co teraz?

– Postaramy się zbadać właściwości pańskiego preparatu.

– A to w jaki sposób?

– Na początek organoleptycznie – odpowiedział z rozbawieniem Rudnicki.

Alchemik nalał odrobinę płynu do płaskiej miseczki, powąchał.

– Dziwny zapach – powiedział z namysłem. – Czuć silny alkohol, dziegieć, arcydzięgiel, herbatę.

– To nie jest niebezpieczne?

– Przy odrobienie ostrożności nie. Dzięki Albertowi wiemy, że ta substancja nie zabija od razu. Proszę zgasić lampę – polecił niespodziewanie.

Villanova wykonał polecenie i laboratorium pogrążyło się w ciemności.

– Tak jak myślałem – stwierdził z satysfakcją Rudnicki. – Widzi pan?

– Rzeczywiście – wymamrotał młodzieniec.

Sierść szczura pałała błękitną poświatą.

– Co to znaczy? – zapytał chłopak.

– A jak pan myśli? – odbił pytanie alchemik, zapalając światło.

– Bo ja wiem? Preparat przenika do włosów?

– To na pewno, ale dlaczego?

– Oddziałuje szczególnie intensywnie na tę część ciała?

– Najprawdopodobniej. Pozostaje sprawdzić, jak i dlaczego.

Rudnicki podszedł do klatki i delikatnie wystrzygł szczurowi sierść na obszarze o powierzchni jednomarkowej monety, po czym za pomocą pipetki nakapał na łysą skórę odrobinę płynu.

– Proszę go obserwować – polecił subiektowi. – W razie jakichkolwiek zmian musi pan mnie natychmiast powiadomić! Słowo „natychmiast” należy traktować

dosłownie: o każdej porze dnia i nocy. Szczególnie gdyby stan Alberta się pogorszył.

– Przecież to tylko szczur laboratoryjny – zauważył ze zdziwieniem Villanova.

– Mój szczur laboratoryjny – zaznaczył alchemik z naciskiem. – Nie jestem szczególnie sentymentalny, muszę jakoś testować leki, ale nie pozwolę, żeby zwierzak niepotrzebnie cierpiał. Czy to jasne?

– Najzupełniej – przytaknął młodzieniec. – Mogę spytać, dlaczego wprowadził pan preparat przez skórę? Czy jednoczesne zastosowanie wewnętrzne nie zafałszuje wyników testu?

– Trzeba będzie wziąć to pod uwagę – zgodził się Rudnicki. – Jednak w takich sytuacjach liczy się też czas, no i nie można zakładać z góry, że znamy najlepszy sposób zastosowania danego środka. Pamięta pan pierwsze eksperymenty z eterem?

Villanova z trudem opanował uśmiech: jeden z pionierów anestezjologii próbował podawać pacjentom eter doodbytniczo.

– No dobrze, wystarczy na dzisiaj – zdecydował Rudnicki. – Zajdę jutro skontrolować stan Alberta.

– Rozumiem, że nazwał pan szczura na cześć Alberta Wielkiego?

– Owszem – potwierdził alchemik, rozglądając się za kapeluszem.

– Przepraszam, ale miałbym jeszcze jedną sprawę.

Coś w głosie młodzieńca zaalarmowało Rudnickiego i ten zatrzymał się w pół ruchu.

– Tak?

– Słyszał pan o Polskich Oddziałach Samoobrony? Werbują chętnych. Na razie niemieckie władze pozwoliły na sformowanie trzech batalionów, ale możliwe, że na tym się nie skończy. Proszę mnie dobrze zrozumieć, alchemia to moja pasja, ale w tej sytuacji uważam za swój obowiązek zaciągnąć się do wojska. Von Beseler obiecał, że Polacy nie zostaną wysłani na front, a będą jedynie ochraniać enklawę. Co pan o tym myśli?

Rudnicki usiadł z westchnieniem na niewygodnym laboratoryjnym stolku i wskazał chłopakowi podobne siedzisko.

– A jak odnosi się do tego pańska rodzina?

Po twarzy młodzieńca przesunął się cień, widać było, że nie ma ochoty

odpowiadać, wreszcie wzruszył ramionami.

– Kiepsko – przyznał. – Moi krewni w ogóle nie rozumieją, w czym rzecz, a ojciec uważa, że w Warszawie jest wystarczająco wielu Polaków, żeby bronić miasta. Pan też sądzi, że taki półkrwi Hiszpan jak ja nie powinien wychodzić przed szereg? – rzucił wyzywająco.

Rudnicki westchnął ponownie, tym razem w duchu. Pytanie świadczyło, że Villanova sam dobrze nie wiedział, czego chce – nic niezwykłego w tym wieku! – a może po prostu szukał swojego miejsca na ziemi? Bo przecież mógł w każdej chwili zrezygnować z pracy w aptece, nikomu się nie tłumacząc.

– Przepraszam – wymamrotał Villanova, przerywając przedłużającą się ciszę. – Niepotrzebnie pana fatygowałem, ma pan na pewno dość swoich kłopotów. A moja sytuacja jest dość specyficzna.

– Nie aż tak bardzo – odburknął poirytowany alchemik. – Moja matka była Szwedką.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Ojciec brał udział w powstaniu z tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku, a wśród przodków matki zdarzali się berserkowie z Blekinge. Przynajmniej ona tak twierdziła – dodał z uśmiechem. – Dopiero po latach dowiedziałem się, co znaczy słowo „berserk”.

– Więc pan mnie rozumie!

– Pańskie uczucia i owszem, chęci zaciągnięcia się do wojska nie – zgasił go Rudnicki.

– Dlaczego? – Villanova zmarszczył brwi.

– Posiada pan jakieś talenty militarne?

– To znaczy?

– Umie pan strzelać, uprawia szermierkę?

– Nie, ale przecież przejdę przeszkolenie. Zresztą to chyba nic trudnego, mam dobry wzrok i jestem sprawny fizycznie.

– No dobrze, wyjdźmy na podwórze – zaproponował alchemik.

– A to po co?

– Zobaczy pan – uciał Rudnicki.

Tuż obok nowego trzepaka (Okoniowa zażądała wymiany zdemolowanego przez Samarina urządzenia) stał wkopany w ziemię słup z podziurawioną jak

sito tarczą strzelniczą. Alchemik sięgnął do kieszeni i po krótkich poszukiwaniach wyciągnął pilniczek do paznokci i notes.

– Odległość jest niewielka, dlatego będziemy strzelać do mniejszego celu – oznajmił.

Podszedł do tarczy i przybił pilniczką wyrwaną z notesu kartkę.

– No, nie taka znowu mała – oszacował Villanova. – Dobrze piętnaście metrów.

– Ma pan przecież dobry wzrok i jest sprawny fizycznie – przypomniał Rudnicki. – Będę strzelał pierwszy.

Alchemik stanął w niedużym rozkroku i ujął rewolwer oburęcznym chwytem. Spłoszone wystrzałami ptaki poderwały się do lotu, a poszarpana pociskami kartka sfrunęła na ziemię.

– Wszystkie w celu! – pogratulował Villanova.

– Na pewno i pan sobie poradzi.

– Zawsze nosi pan przy sobie broń?

– Od kiedy chciano mnie zabić. A teraz do rzeczy, proszę strzelać po mojej komendzie – powiedział Rudnicki, przyczepiając drugą kartkę. – Już!

Chłopak pociągnął nerwowo za spust i lufa nagana podskoczyła w górę. Żaden z trzech pocisków nie trafił nie to, że w kartkę, ale nawet w tarczę.

– Jak widać, wojak z pana nietęgi – skomentował alchemik. – Decyzja należy do pana, ba! mogę pana nawet zarekomendować, znam pewnego porucznika, ale nie ukrywam, że w mojej opinii będzie to marnotrawstwem. Bo i cóż pan zwojuje jako żołnierz?

– Kiedy chciałbym coś zrobić dla swojego kraju! Bo czuję się bardziej związany z Polską niż Hiszpanią.

– Niech pan robi, ale z głową. Ochotników nie zabraknie, bardziej obawiam się o inne kwestie, na przykład pieniądze i medykamenty. Tu może pan rzeczywiście pomóc – zaznaczył z naciskiem Rudnicki.

– A pan? Pan im pomoże?

Alchemik uzupełnił brakujące naboje i schował broń.

– Byłem w enklawie nie tylko ze względu na *materia prima* – wyznał niechętnie. – Podobnie jak w Petersburgu, i u nas zaczyna się coś dziać. A jeśli będzie trzeba, pomogę i pieniędzmi, i lekami. Ale dość o tym! Daję panu czas do

jutra, bo muszę wiedzieć, czy szukać drugiego pomocnika.

– Nie trzeba – odparł Villanova. – Przekonał mnie pan.



Obudziło go natarczywe stukanie. Rudnicki od pewnego czasu nie utrzymywał osobistej służby, chyba że za takową uznać posługaczkę. Wbrew namowom Anastazji nigdy nie zatrudnił nawet kamerdynera, a personel „Azylu” nie miał prawa wchodzić do apartamentów alchemika bez zezwolenia. Mimo to ktoś walił pięścią w drzwi sypialni, nie przejmując się zakazami ani nocną porą.

– Już idę! – wymamrotał Rudnicki, podnosząc się niechętnie z łóżka. – No co tam? – burknął, kiedy stanął w progu.

Intruzem okazał się jeden z ludzi Ankwicza, nazwiskiem Majewski. Ściągnięte niepokojem rysy mężczyzny i krew na mankietach śnieżnobiałej koszuli świadczyły, że nie niepokoił pracodawcy z błahego powodu.

– Jakaś kobieta przywiozła dorożką pannę Wiktorię – zaraportował. – Panienska jest nieprzytomna, to chyba krwotok wewnętrzny.

Rudnicki otrząsnął się ze snu w jednej chwili.

– Wiadomo, co się stało? – spytał pospiesznie.

– Nie. Tamta dziewczucha bredzi, że ją napadnięto, ale nie miałem czasu jej dopytywać. Od razu pobiegłem pana budzić.

– Przenieście Wiktorię do laboratorium na duży stół! – polecił alchemik. – A tamtą na razie zatrzymajcie.

Klnąc cicho, wyciągnął z szafy podręczną torbę z medykamentami i tak jak stał, w piżamie, pospieszył do laboratorium. Problemem był nie tylko stan Wiktorii, ale i to, kim była. Co, jeśli sztyletnicy obwinia Rudnickiego o napad na dziewczynę? Albo o to, że nie potrafił jej pomóc?

Kiedy wszedł do pomieszczenia, Wiktorii leżała już na stole, a Majewski podkładał pod jej głowę własną marynarkę. Z nosa i uszu dziewczyny sączyła się krew.

– Nóż! – zażądał Rudnicki.

– Mam tylko scyzoryk szwajcarski...

Alchemik wyrzucił z siebie kilka sylab i w jego dłoni pojawiło się połyskujące

oleiście ostrze. Kilkoma ruchami rozciął ubranie nieprzytomnej, po czym przystąpił do oględzin.

– Niech pan zostanie! – rozkazał, widząc, że Majewski z bladą jak papier twarzą odsuwa się w stronę drzwi.

Nie wyglądało na to, aby Wiktoria została pobita, na ciele dziewczyny Rudnicki nie znalazł ani jednego siniaka. Zatem skąd ten krwotok?

– Proszę przytrzymać jej głowę.

Majewski posłusznie wykonał polecenie, starając się patrzeć w inną stronę.

– Jeśli panienka się dowie, że oglądałem ją nagą, wyrwie mi serce gołymi rękoma. Albo wydlubie oczy – dodał ponuro.

– Jakby co, będę pierwszy w kolejce – odparł z roztargnieniem alchemik.

Rudnicki ostrożnie rozchylił usta dziewczyny, uniósł brwi na widok opuchniętego języka i krwawiących dziąseł. Wiktoria musiała użyć słowa mocy. I jak można wnioskować – skutecznie, inaczej napastnicy nie pozwoliliby odwieźć jej do hotelu.

– Wyjdzie z tego – zawyrokował, sięgając do torby.

– Chwała Bogu! Ciekawe, kto ją tak urządził? Jak znajdę tych gnojków...

– Ona ich zabiła – poinformował Rudnicki. – Użyła magii, stąd jej obrażenia. Żaden z nich nie zdążył jej nawet dotknąć.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie. Trzeba wypytać jej towarzyszkę, bo może przyjdzie nam usunąć zwłoki. Lepiej nie przyciągać uwagi policji. Niech pan przyprowadzi tę damę do mojego gabinetu.

– Kiedy to chyba nie do końca dama – wyznał Majewski z zakłopotaniem. – Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– Wszystko jedno – mruknął alchemik. – Później popilnuje pan Wiktorii, na razie położę ją u siebie.

Wziął dziewczynę na ręce i przeszedł do sypialni, laboratorium sąsiadowało z jego mieszkaniem. Dopiero teraz, kiedy opadło napięcie i mężczyzna wziął górę nad lekarzem, Rudnicki zaczął dostrzegać kształty Wiktorii, czuć ciepło jej skóry, zapach perfum. Wymyślając sobie w duchu od erotomanów, ułożył dziewczynę na łóżku i przebrał w jedną ze swoich piżam. Próbował nie zwracać uwagi na jej urodę, ale jego oczy, jakby obdarzone własną wolą, prześliznęły się

po piersiach, brzuchu, złączeniu ud. Z cichymi przekleństwami zapiął ostatni guzik i zaciskając pięści, odwrócił się tyłem do nieprzytomnej pacjentki. Na szczęście odgłos energicznych kroków skierował jego myśli na inne tory.

– Panna Julia Zabielska oczekuje w gabinecie – poinformował Majewski. – I miałem rację, kiedy wyjmowała dokumenty, dostrzegłem w jej torebce żółty bilet.

Rudnicki przytaknął: na terenie imperium rosyjskiego prostytutka była legalna, ale uprawiającym ją kobietom zabierano paszport i w zamian wydawano dokument żółtego koloru, potocznie nazywany żółtym biletem. Jego posiadaczki zobowiązane były między innymi do regularnego korzystania z łaźni i poddawania się badaniom lekarskim. Prostytutki złapane bez żółtego biletu były surowo karane, tak więc było prawdopodobne, że Zabielska mimo zmiany władzy nosiła przy sobie ów dokument niejako siłą przyzwyczajenia. Tylko dlaczego Wiktorii wystąpiła w obronie jakiejś ulicznicy? No i po czorta wykorzystywała magię, kiedy prościej, nie mówiąc o tym, że bezpieczniej, byłoby zastrzelić napastników, w ostateczności użyć noża? A do tego Wiktorii nie zabrakłoby ani umiejętności, ani zimnej krwi.

Alchemik narzucił na siebie szlafrok – wołał, żeby panna Zabielska nie zainteresowała się nim profesjonalnie – i przeszedł do gabinetu. Dziewczyna czekała na niego przy biurku, najwyraźniej nie śmiejąc skorzystać z fotela dla interesantów. Okrągła, nieco dziecinna w wyrazie buzia kontrastowała z dojrzałymi, kobiecymi kształtami. Świeża cera i naiwne, jak się wydawało, spojrzenie sugerowały, że nie pracowała zbyt długo w zawodzie. Ubrana była w sięgającą za kolana sukienkę z dyskretnym, choć apetycznie prezentującym się dekoltem. Mimo skromnego na pozór stroju było w niej coś, co potwierdzało słowa Majewskiego.

Rudnicki zasiadł za biurkiem, jednocześnie zachęcając dziewczynę do zajęcia miejsca w fotelu.

– Chciałem pani podziękować za przywiezienie Wiktorii – powiedział. – Mogłaby pani opowiedzieć, co się stało?

Dziewczyna nerwowo zmięła rękawiczki i zwilżyła językiem suche z emocji usta.

– Byłam na Smolnej, niedaleko dworca – odparła drżącym, nieco ochryplym

głosem. – Wtedy pojawiło się tych czterech. Wielkie draby z nożami w łapach, jeden miał kastet. Od jakiegoś miesiąca w tym rejonie grasuje banda Ślepego, mówią, że to ich teren, pozwalają tam pracować tylko swoim dziwkom, chociaż te ich profury są brzydkie jak noc i zarażają klientów.

Rudnicki z trudem powstrzymał uśmiech: żargonowe słowo „profura” oznaczało prostytutkę najniższego sortu. Widocznie panienska Zabielska miała się za stojącą wyżej w hierarchii społecznej.

– Myślałam, że mnie zabiją, próbowałam uciekać, ale złamałam obcas – kontynuowała. – Wtedy pojawiła się Wiktoriana.

– Zna ją pani?

– Znam. Stałyśmy kiedyś razem na Lipowej. Wiktoriana nie miała żółtego biletu, ale jak ją kiedyś wzięli, to zaraz wypuścili, wyjaśniła mi później, że ona z tych tajnych. I żaden faraon już się jej nie czepiał.

Alchemik uniósł brwi, fakt, że nie wszystkie prostytutki legitymowały się żółtym biletem, był tajemnicą poliszynela. Pozostałe – przeważnie w niczym nieprzypominające przedstawicielki najstarszej profesji świata – cieszyły się specjalnymi względami resortów mało zainteresowanych zdrowiem publicznym czy moralnością. I dzieliły się z nimi informacjami o niektórych klientach. O ich zajęciu nie wiedzieli nawet najbliżsi. Oczywiście myśl, że Wiktoriana mogłaby współpracować z policją czy ochroną, była absurdalna, ale jeśli ktoś nie wiedział, że jest jedną ze sztyletników, mógł się na to nabrać.

– Proszę kontynuować – ponaglił.

– Jeden rzucił się na Wiktorianę, ale ona pocięła go w mgnieniu oka. A później coś krzyknęła i pozostali natychmiast padli jak podcięci. Tylko że i ona zaczęła krwawić. Z ust, nosa, uszu... Zanim straciła przytomność, zdążyła mi podać pańskie nazwisko i adres hotelu. No to ją przywiozłam.

– Zwłoki zostały na ulicy?

– Niezupełnie. Jak odjeżdżałam, widziałam takiego jednego urkę z bandy Ślepego. Oni na pewno zabrali już swoich.

– To dobrze – mruknął Rudnicki. – Nie będziemy musieli się fatygować.

– Nie za dobrze – zaprzeczyła Zabielska, wyłamując palce. – Bo i on mnie widział. Pewnie już na mnie czekają. Wynajmuję pokój na Chmielnej – wyjaśniła. – Czy mogłabym...

– Tak?

– Czy mogłabym tu zostać przez jakiś czas? – wyszeptała ze spuszczoneym wzrokiem. – Odpracuję. Ja...

– Nie ma mowy o żadnej pracy! – przerwał jej Rudnicki. – Jest pani moim gościem. Z samego rana wyślę ludzi po pani rzeczy.

– Ale Ślepy...

– Ślepy jest już trupem – odparł zimno Rudnicki. – Ale mniejsza z tym, to pani nie dotyczy. Jeszcze jedno: skończyła pani jakąś szkołę?

– Miałam guwernantkę i uczyłam się dwa lata w pensji dla panien.

Alchemik skinął głową, słownictwo i maniery Zabielskiej wskazywały, że nie jest półanalfabatką jak większość prostytutek.

– Znakomicie! W takim razie będzie pani wiedziała, jak zachować się w towarzystwie. Proszę sobie wyobrazić, że jest pani jednym z gości „Azylu”.

– Może jednak lepiej, żebym pracowała jako pokojówka albo pomoc kuchenna? Rozumie pan, nie mam odpowiednich strojów, a przecież to najdroższy hotel w mieście. Stali bywalcy rozszyfrują mnie od razu, a nie chciałabym popsuć panu opinii.

– To rozsądna uwaga – przyznał Rudnicki. – Potrzebuje pani nowych ubrań, stosownych do statusu gościa. Proszę się teraz przespać, jeśli jest pani głodna, służba przyniesie coś z kuchni. A rano zrobi pani zakupy.

– Nie stać mnie na to.

– Proszę się nie martwić o finanse, wyślę z panią swojego człowieka, wszelkie wydatki zapiszecie na rachunek hotelu.

– To wszystko tylko dlatego, że przywiozłam Wiktorię? – spytała z niedowierzaniem dziewczyna.

– Tylko i wyłącznie. Proszę zapomnieć o dawnej profesji! – zaznaczył surowo alchemik.

– Tak, proszę pana – odparła pokornie.

– Dobrej nocy, *mademoiselle*.

– *Au revoir* – pożegnała go z uśmiechem.

Rudnicki odczekał, aż wyjdzie, i zadzwonił na służbę. Po chwili pojawił się zaspany portier.

– Rozkładane łóżko do mojej sypialni – zadysponował alchemik. – Tylko po

cichu, żeby nie rozbudzić chorej.

– Natychmiast!

Lepiej osobiście dopilnować panienki Wiktorii, pomyślał Rudnicki. Zarówno z przyczyn medycznych, jak i pozamedycznych...



Szare cienie krążyły we mgle, zbliżały się i oddalały, wirując w upiornym, szarpiącym nerwy tańcu. Stopniowo z tłumu bezimiennych, z grubsza tylko widocznych sylwetek wyłoniło się kilka widm. Rudnicki wzdrygnął się, widząc rozcięte gardło mężczyzny. Tchawica i tętnica szyjna, skonstatował ponuro. Pewnie nie zdążył nawet krzyknąć. Na kolejnym nie dostrzegł żadnych ran, tylko jego oczy przypominały ugotowane na twardo jajka. Tak samo białe i martwe. Alchemik stanowczym gestem odsunął walec i wziął głęboki oddech. O ile zbadanie zmienionego w inkluzji mosina nie nastęrczało specjalnych problemów: karabin ukazywał najbardziej wrażliwe miejsca celu, drugi artefakt opierał się wszelkim próbom oceny, wciąż nie wiadomo było, czemu służy. O ile służył czemukolwiek...

Rudnicki schował walec do sejfu, po czym podszedł do łóżka. Wiktoria oddychała spokojnie, tylko napięta, poszarzała skóra twarzy świadczyła, że coś jej dolega. Ostrożnie dotknął szyi dziewczyny, starając się wyrzucić z pamięci widziane przed momentem obrazy.

– Sześćdziesiąt na minutę – wymamrotał. – Tętno jak u sportowca.

– Ciekawe – wychrypiała dziewczyna.

Alchemik niemal wypuścił z ręki zegarek: Wiktoria ocknęła się w jednej chwili, od razu czujna i przytomna, badając wzrokiem otoczenie.

– Jak się czujesz? – spytał.

Otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale zaraz z bolesnym grymasem wskazała gardło.

– Lepiej, żebyś za dużo nie mówiła, dam ci kartkę i ołówek.

Wiktoria skinęła z aprobatą i poprawiła się na łóżku.

– Proszę.

Co z Julką? Jak się tu znalazłam?

Alchemik przedstawił krótko wydarzenia ostatniej nocy.

To hotelowy apartament?

– Niezupełnie, jesteś w mojej sypialni, tu było najbliżej – wyjaśnił.

Dziewczyna zerknęła na zbyt długi rękaw, uniosła brwi.

To twoja piżama? Kto mnie rozbierał?

– Owszem, moja. Pociąłem na tobie ubranie, musiałem sprawdzić, czy nie jesteś ranna. Być może powinienem wezwać pokojówkę, ale wystraszyłem się, że umrzesz mi na stole.

Wiktoria zbyła jego argumenty lekceważącym gestem.

Nic nie szkodzi. Mam nadzieję, że widok ci się spodobał – napisała, przesyłając Rudnickiemu psotny uśmiezek.

– Nie narzekam – odburknął. – A teraz powiedz mi, dlaczego użyłaś słowa mocy? No i jakim cudem to zadziałało?

To żaden cud. Przecież i tobie się udało.

– No tak, tylko że do dzisiaj nie wiem dlaczego.

Nie jestem pewna – odpisała. *Jestem adeptem tylko z nazwy.*

Na twarzy dziewczyny nie drgnął nawet jeden mięsień, a oczy koloru gorzkiej czekolady wpatrywały się w niego bez mrugnięcia, ale z jakichś powodów alchemik wiedział, że Wiktoria kłamie.

– W takim razie nie będę cię już niepokoił – powiedział sucho. – Za chwilę przyślę pokojówkę, żeby pomogła ci z kąpielą, leki są na stoliku, wiesz, co z nimi robić, procedura jest taka sama jak poprzednio. Dopóki nie poczujesz się lepiej, zamieszkam w jednym z wolnych...

Zanim skończył zdanie, złapała go za rękę ze zdumiewającą, zupełnie niedziewczęcą siłą.

Nie odchódź! – napisała pośpiesznie. *Co do słowa mocy, to zagadka nie jest zbyt trudna: wystarczyło przeprowadzić kilka doświadczeń. No i wiedzieć to, co ty.*

– Nie rozumiem...

To jak równanie z jedną, a w zasadzie kilkoma niewiadomymi. Przede wszystkim trzeba przyjąć za pewnik, że słowo działa. Pozostaje tylko kwestia spełnienia pewnych warunków.

– Ciekawe jakich?! – warknął Rudnicki. – Obracałem to na wszystkie strony.

Tak ci się tylko zdawało.

– To może mnie oświecisz?

Podstawowa sprawa to zagrożenie. Adept musi znaleźć się w realnym niebezpieczeństwie. Być może wystarczy, że ktoś lub coś zagraża jego bliskim, ale tego nie sprawdziłam. Rozumiesz teraz, dlaczego zaklinanie króliczków, pająków i myszek nie dawało rezultatu?

Alchemik z namysłem skinął głową. Wniosek był logiczny, jedyny raz, kiedy udało mu się użyć słowa, walczył o życie.

– No dobrze, a *materia prima*? Przecież kiedy zabiłem muchę... – urwał, widząc, że dziewczyna kreśli coś pospiesznie.

*Mucha nie stanowiła specjalnego zagrożenia, stąd konieczność użycia pierwotnej materii. Miałaś rację, że z tym słowem coś jest nie tak. Ono rzeczywiście oznacza „zgiąć”, ale odnosi się wyłącznie do zagrożenia. Nie zamordujesz w ten sposób nieznanego przechodnia. Dziwię się, że zdołałeś zabić owada. Być może wystarczyło, że był on dokuczliwy. Nie znamy zakresu tolerancji symbolu. W przypadku odpierania oczywistego ataku nie potrzeba *materia prima*. A przynajmniej nie musi jej używać adept.*

– Ona już tu jest! Pierwotna materia! Tylko w śladowych ilościach, prawda?

*Tak – odpisała dziewczyna. Nie jestem teologiem, ale skoro zostaliśmy stworzeni na podobieństwo Boga, to i w naszych ciałach powinien znajdować się pierwiastek nieśmiertelności. Zapewne w nieporównywalnie mniejszym stopniu niż u *theokátaratos*, ale jednak. A przecież wszędzie wokół znajdują się szczątki zmarłych. Nie tylko na cmentarzach. Przypuszczam, że w potrzebie adept korzysta z tych zasobów.*

Rudnicki przysiadł z westchnieniem na brzegu łóżka i pogładził Wiktorię po policzku. Dziewczyna mruknęła z zadowoleniem, musnęła wargami jego dłoń.

– I co mam z tobą zrobić? – zapytał.

Mam kilka pomysłów, ale porozmawiamy o tym, jak wyzdrowieję.

– Mimo wszystko nie wydajesz się zachwycona – zauważył.

Zapewniam cię, że twoje łóżko w pełni mi odpowiada.

– Miałem na myśli słowo mocy – sprostował Rudnicki z uśmiechem.

Wiktorcia skrzywiła się niechętnie, myślał, że zignoruje uwagę, ale w końcu sięgnęła po ołówek.

Bo ono nadal jest praktycznie bezużyteczne. Samo nakreślenie symbolu nie działa,

próbowałam! A wymówienie tych kilku sylab powoduje utratę przytomności, przy czym niemoc jest tym poważniejsza, im więcej było napastników. To już lepiej nosić przy sobie rewolwer.

– Więc dlatego doszłaś do siebie szybciej niż ja! Wtedy, w Petersburgu, zabiłem parunastu chłopca.

Dziewczyna potwierdziła pomrukiem.

– Co to oznacza? Że jeśli napastników byłoby ze dwudziestu, adept umarłby razem z nimi? Z wyczerpania?

Niestety tak. W dodatku, tracąc przytomność, mag jest całkowicie bezbronny. Gdyby nie Julka, nie wyszłabym z tego żywa, prędzej czy później znalazłby mnie ktoś z ludzi Ślepego i dobił.

– À propos: co z tym bandziorem? Mam się nim zająć?

Podoba mi się, kiedy jesteś taki opiekuńczy, ale nie trzeba. Ślepy to już przeszłość.

– A to jakim sposobem? Czyżby twoi ludzie cię ubezpieczali?

Po pierwsze, nie moi, tylko Cienia. To dość istotna różnica – odpisała z wyraźną irytacją. Po drugie, nikt mnie nie ubezpieczał, zagrożenie musiało być prawdziwe. Ale zostawiłam im list, w którym wyjaśniłam, gdzie pójdę... polować.

Rudnicki poklepał Wiktorię uspokajająco po ręce, podniósł głowę, słysząc ostry trzask. Na parapecie siedział czarny kruk i stukał dziobem w szybę.

– Ciekawe, czy to Pamięć, czy Myśl? – wymruczał pod nosem alchemik. Otworzył okno i powiedział tylko jedno słowo: – Czeka.



Kelnerka z ukłonem podała rachunek. Rudnicki oblizał łakomie srebrną łyżeczkę – lody były wyborne – i sięgnął po pugilares, zapłacił, zostawiając hojny napiwek. Położoną naprzeciwko apteki kawiarnię odwiedził tyle z łakomstwa, co z obowiązku, chcąc sprawdzić, jak sprawuje się nowy subiekt. Efekty niemal półgodzinnej obserwacji budziły szacunek: Villanova obsługiwał klientów szybko, sprawnie i bezkonfliktowo, niemal wszyscy z nich opuszczali aptekę z uśmiechem. Trzeba będzie zmienić wystrój, postanowił Rudnicki. Stary jest już zbyt skromny. Może dodać złoty napis na szybie?

Melodyjny dźwięk zaanonsował jego przybycie, Rudnicki zaskoczony spojrział

na zamontowany u drzwi dzwonek. Najwyraźniej Villanova wymienił stary, mosiężny na nowy, z czystego srebra.

– Zrobiłem to na własny koszt – zapewnił pospiesznie młodzieniec, wychodząc z za lady. – Jeden z klientów sprawiał dziwne wrażenie, wolałem nie ryzykować.

– A konkretnie?

– Wyglądał na takiego, który nie przepada za srebrem. Pomyślałem, że lepiej się zabezpieczyć.

– Dlaczego nie wysłał pan gońca do hotelu?

– Nie chciałem zawracać panu głowy, tym bardziej że ten... człowiek nie sprawiał wrażenia szczególnie groźnego, raczej zdeorientowanego.

– Czego chciał?

– Nie mam pojęcia, nie rozmawialiśmy, wyszedł natychmiast, kiedy wziąłem z półki buteleczkę z azotanem srebra. Wydawało mi się, że wpatruje się w preparaty z *materia prima*. Tak jakby potrafił w jakiś sposób wyczuć pierwotną materię.

– No dobrze, a co z Albertem?

– Najlepiej, jak sam pan zobaczy.

Rudnicki wspiął się po schodach w ślad za subjektem, Villanova otworzył laboratorium i przepuścił go przodem, ale nie zapalił światła. Kiedy alchemik podszedł do klatki, zauważył, że szczura otacza lekka poświata. Sierść na boku zwierzaka całkowicie odrosła.

– Co pan o tym myśli? – zapytał Villanovę.

– Cóż, o panaceum możemy zapomnieć, za to udało nam się uzyskać znakomity środek na porost włosów – stwierdził markotnie młodzieniec. – Tylko trzeba by coś zrobić z tym błękitnym poblaskiem, bo klienci mogą się wystraszyć.

– To i tak nieźle – pocieszył go alchemik. – Kilka moich preparatów okazało się zupełnie bezużytecznych.

Trzasnął przełącznik i pomieszczenie zalało światło elektrycznych lamp.

– Ma pan na myśli eksperymenty z *materia prima*? – upewnił się chłopak.

– A jakże! Straciłem dobre dwa łuty.

– Więc nie ma mi pan za złe porażki?

– Skąd! Zresztą nie jestem pewien, czy można to nazwać porażką. Nikt do tej pory nie opracował skutecznego leku zapobiegającego łysieniu. Może będziemy pierwsi?

Villanova przyjął żart z uśmiechem, ale widać było, że coś go gnębi. Nerwowym gestem poprawił krawat, kilkakrotnie zacierał dłonie, jakby mu było zimno.

– Co się stało? – spytał wprost alchemik. – Mogę w czymś pomóc?

– W zasadzie nie chodzi o mnie – odparł chłopak, przetykając ślinę. – Markowski znowu pojawił się na scenie.

– Dlaczego miałoby mnie to interesować? – zmarszczył brwi alchemik.

– Na ile śledzi pan aktualne wydarzenia?

– W ogóle nie śledzę – przyznał Rudnicki. – Polityka mnie nie interesuje. Czasem przeglądam gazety. Wiem, że Niemcy skracają front, a w Warszawie powstają jakieś dziwne organizacje, ot i wszystko.

– To już nie skracanie frontu, ale totalna klęska – sprostował Villanova. – Powodzenie rosyjskiej ofensywy przechodzi wszelkie wyobrażenia, armia austriacka przestała istnieć, a Niemcy gorączkowo koncentrują siły, żeby dać odpór Rosjanom. Tyle że nie bardzo im to wychodzi, bo we Francji nadal trwa jatka pod Verdun, a ententa przeszła do ofensywy, więc nie ma mowy o wycofaniu jednostek na wschód. Mobilizują nowe roczniki, ale wątpliwe, żeby oddziały złożone ze świeżo przeszkolonych szesnastolatków zatrzymały rosyjski walec.

– No dobrze, ale co z tego?

– Niemcy nie będą walczyć o Warszawę, spróbują zastopować Brusilowa gdzieś dalej na zachodzie, bliżej swoich terenów. Mają nadzieję, że rozciągnięte linie komunikacyjne w końcu spowolnią Rosjan. Dlatego chcą przekazać miasto Polakom, licząc, że ci nie oddadzą stolicy bez walki. Zezwolili na formowanie regularnych oddziałów i chcą powołać coś w rodzaju rządu. Polskiego rządu, z bardzo szerokimi uprawnieniami...

– I tu pojawia się *gospodin* Markowski? – domyślił się alchemik.

– Dokładnie tak. Jeśli wkręci się do nowo powstających władz, nie tylko będzie w stanie reaktywować gildię, rzecz jasna, pod swoim kierownictwem, ale i zemścić się na wszystkich, którzy kiedykolwiek weszli mu w drogę. Rozumie

pan, pierwsze, co zrobi nowy rząd po wycofaniu się Niemców, to wprowadzi prawo wojenne.

Rudnicki zaklął pod nosem, zbyt dobrze znał Markowskiego, aby wątpić, że ten przy pierwszej okazji spróbuje podporządkować sobie warszawskich alchemików. A może nie tylko alchemików? Kto wie jak daleko sięgają ambicje byłego mistrza gildii? Tylko co mógł zrobić? Nigdy nie miał żadnych znajomości wśród polityków.

– I tak nie mogę nic zrobić – powiedział na głos.

– Może pan pojawić się na kolejnym posiedzeniu ROW i przedstawić swoje stanowisko na temat Markowskiego – zaprzeczył młodzieniec.

– Co za ROW?

– Rada Obrony Warszawy. To właśnie ta organizacja ma przejąć całą władzę w mieście. Front zbliża się nieubłaganie, Rosjanie są tuż-tuż.

– Przecież niedawno czytałem, że walki toczą się w okolicach Kowla i Łucka!

– Obawiam się, że to przestarzałe informacje – odparł Villanova. – Tydzień temu Rosjanie zdobyli Białystok, a teraz Niemcy stawiają im rozpaczliwy opór na linii Bugu. I przegrywają...

– I każdy może uczestniczyć w tych posiedzeniach? – spytał z niedowierzaniem Rudnicki.

– Tylko elita: przedstawiciele największych ugrupowań politycznych, wojskowi, magowie, wybitni alchemicy. Na pewno otrzymał pan zaproszenie.

– Zaproszenie? – powtórzył bezmyślnie Rudnicki.

– Być może zawinił pański lokaj i zapodziało się wśród innych? Trudno powiedzieć, żebym był znaną osobistością, a przecież co dwa, trzy dni muszę opróżniać tacę.

Alchemik odchrząknął niepewnie, wołał nie informować pracownika, że nie posiada lokaja, a tacę z zaproszeniami opróżnia własnoręcznie, wyrzucając wszystkie do śmieci.

– Sprawdzę zaraz po powrocie do domu – obiecał.

– Proszę to zrobić. Następne posiedzenie zwołano na pojutrze. I jeśli byłoby to możliwe... – zawiesił głos.

– Tak?

– Chciałbym, żeby wziął mnie pan ze sobą jako asystenta. Tam tworzy się

historia! – dodał z roziskrzonym wzrokiem.

– Dlaczego nie? – Rudnicki wzruszył ramionami.

Wracając do hotelu, zauważył, że niemieckie patrole niemal zniknęły z ulic, w zamian za to wszędzie widać żołnierzy w charakterystycznych szarych uniformach, a rozlepione na słupach ogłoszeniowych plakaty krzyczą o utworzeniu *Polnische Wehrmacht*.

Alchemik przywołał gestem małego gazeciarza i kupił najnowszy numer „Kuriera Warszawskiego”. Na pierwszej stronie zamieszczono cytat z „Berliner Tageblatt”, w którym niejaki major Moraht usiłował zbagatelizować postępy rosyjskiej ofensywy i rozpisywał się na temat bohaterstwa okazywanego przez żołnierzy kajzera. Tuż obok znajdowała się mapka obrazująca zmiany linii frontu od początku rosyjskiego ataku. Trudno było o bardziej ironiczny komentarz: Niemcy cofnęli się o setki kilometrów.

Rudnicki złożył starannie gazetę i pomaszerował do hotelu, usiłując przypomnieć sobie po drodze, kto z personelu zanoszący mu do mieszkania zaproszenia przychodzące na adres „Azyłu”. Villanova miał rację, lepiej patrzeć na ręce Markowskiemu.

W holu czekała na niego Anastazja w towarzystwie wytwornie ubranej młodej panienki. Dopiero po chwili alchemik zauważył, że w wyglądzie towarzyszącej „kuzynce” kobiety jest coś znajomego.

– I jak pan znajduje mój nowy strój? – odezwała się nieśmiało Zabielska.

– *Comme il faut!* – pochwalił Rudnicki, siadając przy stoliku. – Jestem pewien, że goszczący w naszym hotelu mężczyźni będą zachwyceni. Niemniej jednak pozwolę sobie przypomnieć...

– Zapewniam pana, że zrozumiałam za pierwszym razem – przerwała mu Zabielska. – Nie mam zamiaru się kompromitować. I nie sądzi pan chyba, że uprawiałam swój zawód dla przyjemności?

– Znakomicie! – stwierdził alchemik. – Czy służba przydzieliła już pani lokum?

– Jeszcze nie.

Rudnicki uniesieniem ręki zwrócił na siebie uwagę portiera. Po chwili mężczyzna stanął przed pracodawcą.

– Czym mogę służyć? – zapytał.

– Apartament dla pani Zabielskiej – zadysponował alchemik.
– Jakiej klasy?
– Rubinowy.
– Proszę za mną. – Portier skłonił się przed Zabielską.
– Podziwiam twoją hojność – powiedziała Anastazja, obserwując odchodzącą dziewczynę.

Każdy z klientów „Azylu” oprócz kluczy do swojej kwatery otrzymywał niewielki żeton z wygrawerowaną nazwą hotelu. Ci, którzy opłacili podstawowy pakiet – z czystego srebra; żądający bardziej kosztownych usług – ze srebra ozdobionego rubinem; a najbardziej majątni otrzymywali znaczek z brylantem. Goście „Azylu” przyjęli ten zwyczaj z entuzjazmem, do dobrego tonu należało wpinanie hotelowych żetonów w klapę garnituru albo, w przypadku kobiet, noszenie ich na łańcuszku lub przy bransoletce. Nikt nie wiedział, że znaczek jest jednym z wielu zabezpieczeń przed *theokatáratos* i zawiera zabójczą dla większości Przeklętych dawkę alchemicznego srebra.

– Skąd znasz Zabielską? – odpowiedział pytaniem Rudnicki.

– Nie znam. Wiktoria zadzwoniła do mnie z samego rana i poprosiła, żebym pomogła dziewczynie robić zakupy. A dlaczego pytasz?

Alchemik poinformował, jaką rolę odegrała pani Zabielska, przy okazji wspominał o przysłanym przez Zava kruku.

– Musisz podjąć decyzję – stwierdziła Anastazja. – Jeśli będziesz zwlekał, tamci poradzą sobie sami, a wtedy stracisz nad nimi wszelką kontrolę.

– Wiem – przyznał posępnie Rudnicki. – Nie ma co przeciągać sprawy, załatwmy to od razu.

Przeszli do apartamentów alchemika i Rudnicki, przytykając palec do ust, wprowadził ją do sypialni. Wiktoria spała, lekko posapując, z odrzuconymi za głowę rękoma. Czarne ptaszysko siedziało nadal na parapecie.

Alchemik ostrożnie otworzył okno i powiedział tylko jedno zdanie:

– Jutro w hotelu.

Kruk błysnął czerwonym okiem i odleciał.



Czekali na Przeklętych w salonie Rudnickiego, alchemik bawił się nerwowo srebrnym nożem do papieru, Wiktoria i Anastazja wymieniały ploteczki. Na stole leżała sterta fałszywych paszportów i kartek żywnościowych.

– Odłóż go, a najlepiej schowaj – poleciła Anastazja. – Bo jeszcze nasi goście pomyślą, że to zasadzka.

Rudnicki westchnął, podszedł do stojącej w rogu komody i wrzucił nóż do szuflady. Wiedział, że dziewczynie nie chodzi wyłącznie o *theokatáratos*: przybierając postać człowieka, w znacznym stopniu uodporniła się na srebro, ale jego bliskość nadal wywoływała u niej dyskomfort. Nigdy nie przebywała w hotelu dłużej niż godzinę.

– Te dokumenty są pewne? – zapytał. – Bo jeśli policja...

– Nie ma takiej możliwości – zapewniła Wiktoria, wchodząc mu w słowo. – Wszystkie druki są autentyczne.

– Ile jestem ci winien?

– Nie mnie, tylko Cieniowi, i nie ty, tylko Zav. Nie ma obawy, stać ich na to – dodała niedbale.

– A z ciekawości, ile chce Cień?

– Dwa łuty *materia prima*.

– To paskarska cena!

– Nie dla nich.

– Niemniej jednak...

– To naprawdę nie twój problem – ponownie przerwała mu dziewczyna.

– Żebyście nie przesadzili! – ostrzegł alchemik. – Na waszym miejscu byłbym bardzo ostrożny z tym Zavem.

– Zawsze uważam na *theokatáratos*.

– Nie zrozumiałaś.

Wiktoria zmrużyła oczy, usłyszawszy ton alchemika.

– Wiesz o nim coś, czego ja nie wiem?

– Owszem. Przekłęci nie wybierają sobie imion ot tak – oznajmił Rudnicki, omijając wzrokiem Anastazję. – One zawsze w jakiś sposób ich określają.

– I co? Co mówi imię Zav?

– Zav? Nic. Chyba że to skrót od „Zavabe”. Według Księgi Henocha to jeden z upadłych aniołów, którzy pod wodzą Szemchazaja mieli zstąpić z nieba i pojąć

za żony córki człowiecze. Być może mam paranoję, ale kiedyś już spotkałem Przekłętego, który nosił imię upadłego anioła.

– Co to znaczy w praktyce?

– To, że jeśli go zlekceważysz, przyjdzie ci za to drogo zapłacić. Zresztą widziałś go w akcji w enklawie. A podejrzewam, że to jedynie drobny ułamek jego możliwości.

Zanim Wiktoria zdążyła odpowiedzieć, rozległo się dyskretne pukanie i czuwający pod drzwiami Majewski zaanonsował gości. Tym razem wszyscy wyglądali jak ludzie, choć kilku nosiło wyraźnie niedopasowane ubrania.

– Jest was ośmioro, a przekazał pan, że mamy oczekiwać dziewięciorga – powiedział alchemik. – Jakież kłopoty?

– Żadnych. Po prostu jedna z naszych przyjaciółek nie zakończyła jeszcze procesu... transformacji. Dołączy do nas za dzień czy dwa. Przepraszam za nasz wygląd, ale nie bardzo mogliśmy wybrzydnąć. I proszę się nie martwić, ludzie, którzy podzielili się z nami odzieżą, pozostają w dobrym zdrowiu i są co najwyżej lekko zdezorientowani. A teraz do rzeczy, co z dokumentami?

Rudnicki bez słowa wskazał stół.

– Potrzebny nam będzie krótki instruktaż – powiedział Zav, przeglądając papiery. – Na razie nie za dobrze orientujemy się w realiach.

– To nie kłopot – stwierdził Rudnicki. – Jeśli chcecie, możecie nawet zamieszkać w moim hotelu.

– Dziękuję, ale nie – odmówił stanowczo Przekłęty. – Jesteśmy w stanie jakoś sobie radzić z pańskimi zabezpieczeniami, teraz, kiedy staliśmy się na poły ludźmi, ale tak czy owak, to nic przyjemnego. Kolejna sprawa: ile jesteśmy winni za dokumenty?

– Dwa łuty *materia prima* – odparł szybko Rudnicki.

Zav bez słowa sprzeciwu podał mu fiolkę z czarnym proszkiem. Alchemik przyjrzał się jej pod światło; nie ulegało wątpliwości, że to pierwotna materia, lewe oko łzawiło mu od samego patrzenia na buteleczkę, a jednak otaczała ją biała, a nie błękitna poświata.

– Skąd ta dziwna aura? – zapytał.

– Nie ma w tym niczego nadzwyczajnego – uśmiechnął się leniwie Zev. – Kalcynacja nie jest ani najdoskonalszą, ani jedyną metodą otrzymywania

materia prima. Możemy o tym porozmawiać. Później – dodał znacząco.

Rudnicki westchnął w duchu i zaprosił gości do laboratorium. Wychodząc, przechwycił spojrzenie Anastazji i niemal niedostrzegalnym ruchem wskazał jej Wiktorię. Fakt, że *theokatáratos* tak uporczywie dążyli do uzyskania jego akceptacji, niepokoił. Alchemik był pewien, że Zav go nie okłamuje, jednak wątpliwe, aby Przeklęty był z nim całkowicie szczery. Prędzej czy później okaże się, do czego jest potrzebny istotom o mocy równej albo niewiele ustępującej Samaelowi.

Stanęli w kręgu, Rudnicki zmaterializował nóż, przejechał ostrzem po dłoni, wypowiedział słowa przysięgi, przyrzekając *theokatáratos* opiekę i sprawiedliwy sąd. Jego goście obiecali, że nie będą pierwsi atakować ludzi i poddadzą się wyrokom alchemika.

– Co teraz? – spytał Rudnicki.

– Poza tym, że jesteśmy sprzymierzeńcami? Cóż, spróbujemy odnaleźć się w waszym świecie – odpowiedział Zav. – Z pańską pomocą.

– Może wrócimy do salonu? – zaproponowała stojąca w drzwiach Anastazja.

Zza pleców dziewczyny wyglądała wyraźnie wściekła Wiktoria. Alchemik uśmiechnął się pod nosem – czyżby panienska Wiktoria chciała obejrzyć ceremonię? Oczywiście wyłącznie z czystej ciekawości, na pewno nawet do głowy by jej nie przyszło donosić o wszystkim sztyletnikom...

– Napijmy się herbaty – podtrzymał zaproszenie Rudnicki.

– Chętnie – zgodził się Zav. – Przy okazji wyjaśni nam pan, jak posługiwać się dokumentami.

– Oczywiście.

Przekłęci zasiedli za stołem, niektórzy bez wahania, w ruchach innych widać było niepewność, tak jakby ta banalna w końcu czynność była dla nich czymś obcym.

– Zacznijmy od kartek żywnościowych – powiedział alchemik.

Przekłęci posłusznie pochyłili się nad stołem i zaczęli studiować demonstrowany przez Rudnickiego druk.



Opary rozpuszczalnika dotarły do naczynia zawierającego kilka przywędłych kwiatów z enklawy i rośliny w mgnieniu oka rozsypały się w pył. Rudnicki jeszcze przez chwilę poddawał czarny proszek działaniu alkahestu, po czym zamknął wylot syfonu, odcinając dopływ pary, i wygasił ogień pod skonstruowanym kilka dni wcześniej urządzeniem.

– To chyba wszystko – powiedział niepewnie. – Pozostaje tylko sprawdzić, czy się udało.

Villanova zgasił światło i ostrożnie, żeby nie zawadzić o któryś z zastawionych alchemicznymi aparatami stołów, podszedł do pryncypała.

– Jest poświata – wyszeptał z nabożnym podziwem. – Dużo silniejsza niż ta błękitna. Udało nam się! Naprawdę nam się udało!

– Rzeczywiście – przyznał Rudnicki.

Alchemik podszedł do okna i rozsunął grube story, laboratorium zalała fala słonecznego światła.

– O ile ta pańska metoda jest skuteczniejsza od kalcynacji? – zapytał Villanova.

– Prawie dwukrotnie. Tylko że ja tego nie wymyśliłem, jeden ze starych traktatów zawierał zarówno opis całej procedury, jak i recepturę alkahestu – skłamał Rudnicki.

– Jest pan stanowczo zbyt skromny – zauważył młodzieniec. – To przecież epokowe odkrycie! I jestem pewien, że nie przejdzie bez echa.



Alchemik skrzywił się niechętnie, wolałby uniknąć wszelkiego rozgłosu, ale wątpił, żeby to było możliwe. Jeśli na rynku pojawi się nowy typ *materia prima*, zwróci to uwagę nie tylko alchemików czy lekarzy, ale i zaangażowanych w wojnę rządów. Zwiększenie produkcji pierwotnej materii posłuży w najlepszym wypadku do polepszenia opieki medycznej nad chorymi i rannymi, w najgorszym wpłynie na przebieg konfliktu.

– Liczę na pańską dyskrecję – powiedział po chwili. – Nie jestem jeszcze

gotowy zmierzyć się z konsekwencjami tego odkrycia.

– Nie rozumiem. Przecież to dla dobra ludzkości.

– Czyżby? Wiem z dobrego źródła, że Rosjanie wykorzystują w ofensywie magię. Ilu ludzi zginie, jeśli podam do publicznej wiadomości nowy sposób ekstrakcji? Bo przecież trudno się spodziewać, żeby uwikłane w wojnę i goniące resztkami sił państwa nie skorzystały z takiej okazji.

– W takim razie musi pan powołać nową gildię – zawyrokował młodzieniec. – Tylko w takim wypadku będzie można opatentować cały proces.

– Zwariował pan?! Jaką gildię? W odróżnieniu od Markowskiego nie mam obsesji na punkcie władzy. Po czorta mi nowe problemy? Pamięta pan, jak skończyła się moja kariera w Srebrnym Zamku? Ledwo uszedłem z życiem.

– To co innego, teraz założy pan lożę prywatną – odparł pewnie Villanova. – Żadnej demokracji, żadnych wyborów, pańska gildia, pańskie zasady. Nikt nie będzie knuł przeciwko panu, bo nie dostanie takiej szansy.

– O ile pamiętam, żeby założyć tego typu organizację, trzeba posiadać poparcie dwudziestu licencjonowanych alchemików. Skąd wezmę tylu chętnych? Większość moich konfratrów uciekła z Warszawy wraz z Rosjanami, inni wyjechali na prowincję.

– Wróć – odparł niewzruszenie Villanova. – Poza tym zapomina pan o młodych.

– Jakich, do licha, młodych?!

– Ja też posiadam licencję – przypomniał chłopak. – Jak i kilku moich przyjaciół. W ostatnich latach alchemia stała się bardzo popularna wśród młodzieży z dobrych domów, uprawianie królewskiej sztuki należy wręcz do dobrego tonu. Do tego cieszy się pan ogromną popularnością. Jeśli rozejdą się wieści, że organizuje pan gildię, niejeden przyjedzie do Warszawy tylko po to, żeby do niej wstąpić.

– Bo ja wiem? – wymamrotał Rudnicki.

– Nie ma innego sposobu, żeby opatentować proces ekstrakcji. Niech mi pan wierzy, zajmując się firmą ojca, musiałem być na bieżąco z przepisami.

– Myślałem, że... koncentrował się pan głównie na badaniach alchemicznych.

– Czyli prowadził życie bogatego próżniaka? – uśmiechnął się krzywo Villanova. – Nic z tych rzeczy, nie z moim ojcem. Staruszek jest dość

pryncypialny w takich sprawach. Nie chciałbym, żeby mnie wydziedziczył, a jeszcze mniej, żeby zerwał ze mną kontakty. Nigdy nie byłem z nim tak blisko jak z matką, ale w końcu to ojciec – stwierdził, rumieniąc się z zażenowania.

Alchemik skinął głową, starając się ukryć rozbawienie: Villanova, jak wielu młodych ludzi, nie potrafił mówić o uczuciach i prędzej by umarł, niż przyznał, że kocha ojca i zależy mu na jego uznaniu.

– Rozumiem – powiedział. – Tak więc jest pan pewien, że jeśli nie założę gildii, ta nowa procedura stanie się publiczną własnością?

– Prędzej czy później – przytaknął Villanova. – Dobrze jeszcze, jeśli tylko ktoś ukradnie formułę, a nie postanowi wydusić ją z pana czy ze mnie.

– Mógłbym zwiększyć ochronę.

– To nic nie da. Pokusa będzie zbyt silna, w końcu i tak ktoś spróbuje, przecież rzecz idzie o miliony!

Rudnicki przyznał chłopakowi rację pełnym rezygnacji gestem, wyglądało na to, że istotnie, trzeba będzie powołać gildię. A jeśli plotki o nowym, skuteczniejszym sposobie uzyskiwania *materia prima* rozejdą się po Warszawie, kłopotem będzie nie nabór, a raczej nadmiar chętnych. Bo kto nie chciałby mieć udziału w dochodowym przedsięwzięciu?

– No dobrze – zdecydował. – Zrobimy to. Założymy lożę alchemiczną.

– Jak ją pan nazwie?

– Bo ja wiem? Może Salamandra?

– Symbol ognia i siarki? Na temat i bez zadęcia – pochwalił Villanova. – A zatem Salamandra. Wracając do sprawy: przede wszystkim trzeba będzie opatentować rozpuszczalnik. Urządzenie do ekstrakcji to niemal kopia aparatu Soxhleta, moim zdaniem nie ma sensu się procesować.

– Zgoda.

Młodzieniec podwinął rękaw marynarki i zerknął na kosztowny złoty zegarek.

– Dochodzi jedenasta – poinformował. – Chyba musimy się zbierać. Rada rozpocznie posiedzenie za pół godziny, wypada przyjść punktualnie, tym bardziej że nie uczestniczył pan w poprzednich sesjach.

– Zdążymy – uspokoił go Rudnicki. – Powóz czeka przed hotelem. À propos prawników: wiedziałby pan, jak załatwić fałszywe dokumenty?

– W jakim sensie fałszywe? – zmarszczył brwi Villanova. – Mógłbym załatwić oryginalne, bank mojego ojca utrzymuje dobre stosunki z kilkoma ambasadami.

– Chodzi o to, że dane posiadaczy byłyby niekoniecznie autentyczne – doprecyzował alchemik.

– Ach, to! – machnął ręką chłopak. – Przecież w takiej sytuacji nikt nie pyta o prawdziwe personalia. Powiem, co trzeba wpisać, i na następny dzień otrzymam gotowe dokumenty.

– Naprawdę to takie proste?

– Zależy dla kogo. Dla mnie tak. Przeważnie urzędnicy nie mają nic przeciwko, żeby dorobić sobie do pensji, a przy okazji wyświadczyć przysługę instytucji w rodzaju banku. Wystarczy im zapewnienie, że żadna z osób, którym wydadzą paszport, nie jest poszukiwanym przestępcą. Bo nie jest, prawda?

– W żadnym wypadku! – zapewnił Rudnicki.

– W takim razie nie widzę problemu. Ile paszportów pan potrzebuje?

– Osiem. Nie! Dziewięć. Detalami zajmiemy się później. A teraz chodźmy, czas odnowić znajomość z panem Markowskim.

Kiedy wyszli na ulicę, kuczer otworzył przed nimi drzwi powozu. Po chwili jechali już rażnym kłusem w kierunku placu Teatralnego. Było jasno, a powietrze drgało od lejącego się z nieba żaru, ale mijane budynki i sylwetki ludzi miały w sobie coś posępnego, tak jakby przesłonił je bitewny kurz. Nic dziwnego, pomyślał Rudnicki. Front nieubłaganie zbliżał się do Warszawy.



Rada Obrony Warszawy liczyła dziesięć osób. Jak można się było spodziewać, w jej skład wchodziłi arystokraci, przywódcy największych partii politycznych i wojskowi. Ze względu na zbliżanie się frontu postanowiono zamienić ją w Rząd Tymczasowy, co wymagało rozszerzenia gremium i było tematem obecnej sesji. Obrady prowadził znany z umiarkowanych poglądów lider zreformowanej PPS Grochowiak, na miejsce zebrania wybrano salę namiestnikowską Pałacu Jabłonowskich. Członkowie rady siedzieli za stołem, flankowani przez umieszczone wzdłuż ścian sztandary, zaproszonych gości ulokowano naprzeciwko. Nie żeby było ich zbyt wielu, Rudnicki naliczył

zaledwie dwadzieścia krzesel, a kilka z nich pozostawało pustych. Z jakichś przyczyn obrady rozpoczęto przed czasem i Rudnicki wraz z Villanową wśliznęli się na salę niczym para spóźnionych uczniów.

Ku zaskoczeniu alchemika, Grochowiak przerwał obrady i powitał go serdecznie, żeby nie powiedzieć – z wyraźną ulgą. Reakcje pozostałych były rozmaite, od pełnej aprobaty po zdziwienie i obojętność, jedynie rysy Markowskiego zastygły w grymasie niechęci.

– Wydaje mi się, że należałoby powrócić do raportu pułkownika Stankiewicza – zaproponował siedzący po lewicy Rudnickiego mężczyzna. – Myślę, że pan Rudnicki powinien mieć pełny obraz sytuacji.

– Obecnie liczy się każda godzina, nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy tracić czas na spóźnialskich! – zripostował gniewnie Markowski.

Sąsiad alchemika, korpulentny starszy pan z imponującymi bokobrodami à la książę Lobkowitz, podniósł do oka monokl i przyjrzał się oponentowi z zimną ciekawością naukowca.

– Choćby dlatego, że pan Rudnicki jako jedyny ma jakieś pojęcie o bojowym zastosowaniu magii. A za kilka dni pod Warszawą staną nie tylko rosyjscy żołnierze, ale i imperialni magowie – odpowiedział.

– Zasługi pana Rudnickiego są mocno przesadzone. Podczas kiedy on leczył carską rodzinę, inni walczyli o niepodległą Polskę!

– Panowie, proszę powstrzymać się od emocji! – interweniował Grochowiak.

Rozwścieczony Rudnicki zacisnął pięści, ale zanim zerwał się z miejsca, sąsiad złapał go za rękę.

– Karl Rokitansky – przedstawił się szeptem. – Proszę nie zwracać uwagi na tę kreaturę, Markowski od początku usiłuje zająć miejsce w przyszłym rządzie. Jak na razie bez powodzenia, zaproszono go wyłącznie dlatego, że był przez jakiś czas mistrzem Srebrnego Zamku.

– Bardzo chętnie posłuchałbym o zasługach pana Markowskiego – odezwał się oficer o surowej, jakby wyciosanej z jednej bryły kamienia twarzy i oczach koloru wyblakłego błękitu.

– To Stankiewicz – poinformował półgłosem Rokitansky. – Ważna persona. Mówią, że ma kontakty ze sztyletnikami.

– Proszę bardzo! Nadszedł czas! Jestem tu per procura, jako przedstawiciel

prężnej, choć może nie największej organizacji walczącej o niepodległość – odrzekł Markowski. – Wróg u bram! Z oczywistych względów nie mogę powiedzieć za wiele, ale w przeszłości nie raz rzucaliśmy wyzwanie okupantowi.

– Na przykład? – zachęcił łagodnie Stankiewicz.

– Pamiętają państwo flagę nad Zamkiem Królewskim? To była nasza robota.

Niespodziewanie alchemikowi przeszła cała złość na Markowskiego, Rudnicki zatkał usta dłonią, aby opanować głośny i, nie ma co ukrywać, nieco historyczny śmiech. Nie wyszło i wszyscy obecni zwrócili się w jego stronę z minami oscylującymi między oburzeniem a niesmakiem.

– To niesłychane! Mówiłem, żeby nie zapraszać tu tego... aptekarza!

Markowski zerwał się z miejsca i spiorunował wzrokiem byłego konfratra.

– Proszę o spokój! – interweniował Grochowiak. – Jeśli chciałby pan, baronie, skomentować słowa przedmówcy, wystarczy podnieść rękę.

– Myślę, że zrobi to kto inny – stwierdził Rudnicki, odzyskując panowanie nad sobą.

– Czy może pan wyjaśnić?

– Za akcją, którą przed chwilą przypisał sobie pan Markowski, w rzeczywistości stali sztyletnicy. Nie sądzę, żeby puścili mu płazem to kłamstwo.

Na sali zapanowała martwa cisza, a Markowski skulił się jak kundel na widok bata.

– Jest pan tego pewien? – zapytał z niedowierzaniem w głosie Grochowiak.

– Całkowicie.

– To niemożliwe – wyjąkał Markowski. – Sztyletnicy? Po co mieliby... – urwał, zagryzając wargi.

Ktoś parsknął z niesmakiem, a oczy Stankiewicza przybrały odcień hartowanej stali. Rokitansky podniósł dłoń.

– Głos ma pan Rokitansky – zdecydował Grochowiak.

– Czy pan Markowski mógłby wyjaśnić, w jaki sposób sprawił, że nad Zamkiem pojawiły się polskie barwy? Bo nie ulega wątpliwości, że użyto tam słowa mocy, co potrafią jedynie ludzie zwani adeptami.

– Podtrzymuję swoje słowa – odparł łamiącym się ze wzburzenia głosem Markowski. – Czas pokaże, kto ma rację.

– Rzeczywiście – przyznał Rudnicki.

– Jak pan to rozumie? – zmarszczył brwi Grochowiak.

– Trudno mi powiedzieć, co zrobią sztyletnicy, kiedy dojdzie do nich, że ktoś przypisuje sobie ich osiągnięcia, ale jestem pewien, że na reakcję nie trzeba będzie długo czekać...

– Też tak myślę – zgodził się Stankiewicz. – W tej sytuacji proponuję odłożyć dyskusję do jutra.

– Poddaję wniosek pod głosowanie – oznajmił Grochowiak.

Początkowo rada podzieliła się na dwie równie liczne grupy i przez kilkanaście minut dyskutanci spierali się, uzasadniając swoje zdanie. W końcu zwolennicy Stankiewicza przeciągnęli na swoją stronę jednego z oponentów i wyraźnie zniecierpliwiony Grochowiak mógł zamknąć sesję informacją, że kolejna rozpocznie się następnego dnia z samego rana.

Rudnicki poczekał, aż większość zebranych opuści pomieszczenie, po czym ruszył do wyjścia. Odwrócił się, słysząc szybkie kroki; podekscytowany Villanova poinformował go szeptem, że pułkownik prosi, aby jeszcze został.

– Chce z panem porozmawiać w cztery oczy. Poczekam na zewnątrz – dodał.

– Stankiewicz? – upewnił się alchemik.

– Tak.

Rudnicki wzruszył ramionami, wrócił na swoje miejsce, po chwili oficer pojawił się w opustoszałej sali.

– Niezbyt tu wygodnie – przeprosił na wstępie Stankiewicz – ale możemy być pewni, że nikt nas nie podsłucha. Moi ludzie tego dopilnują.

– Czym mogę służyć? – rzucił niechętnie Rudnicki.

Posiedzenie rady mocno go rozczarowało, zagrożenie w żaden sposób nie wpłynęło na postawę rwących się do władzy karierowiczów w rodzaju Markowskiego, a szczytem naiwności byłoby przypuszczać, że pozostali kandydaci nie będą brali pod uwagę osobistych korzyści. Nie zachwyciły go też miałki przepychanki w radzie.

– Jest pan zawiedziony? – ni to stwierdził, ni to zapytał Stankiewicz.

– A pan nie? – odburknął niegrzecznie alchemik. – Prawdę mówią, że jeden Polak jest czarujący, dwóch to już awantura, a trzech... – nie dokończył, machnął z rezygnacją ręką.

– Nie jest tak źle – odparł z uśmiechem oficer. – To tylko kamuflaż. Pozywka dla rosyjskich i niemieckich szpiegów.

– Więc te kłótnie...

– Kłótnie są autentyczne – zapewnił Stankiewicz. – Tylko tak naprawdę radą niczym nie rządzi. A Rząd Tymczasowy jest już sformowany. I właśnie w jego imieniu chciałem z panem porozmawiać.

– Słucham.

– Korzystając z sytuacji, zamierzamy proklamować coś w rodzaju republiki. Na razie niewielkiej terytorialnie, ale niezależnej od wszystkich stron konfliktu.

– Zwariowaliście! Rosjanie wezmą Warszawę z marszu!

– Nie wezmą. Mamy trzydzieści tysięcy ludzi pod bronią, w ciągu tygodnia będzie ich dwa razy tyle. Niemcy zostawili nam sporo sprzętu, obrona miasta jest całkiem realna – zapewnił. – Przy tym Rosjanie nie mogą sobie pozwolić na oblężenie czy długotrwałe walki, bo ofensywa rządzi się swoimi prawami, albo będą kontynuować pościg, albo dadzą Niemcom czas na przegrupowanie i kontratak. Jak pan myśli, co jest dla nich ważniejsze: odrzucenie Niemców daleko na zachód czy zniszczenie niewielkiej terytorialnie Rzeczypospolitej Warszawskiej? Do tego dochodzą kwestie polityczne, zdobycie miasta siłą uniemożliwiłoby im przeciągnięcie na swoją stronę Polaków, a oni, tak jak i Niemcy, liczą na naszego żołnierza. Obie strony gonią już resztkami sił, zaczynamy coś znaczyć w tej grze.

– Naprawdę uważa pan, że obejdzie się bez walki?

– No nie! Rosjanie na pewno zaatakują, tyle że kiedy natrąfią na opór, będą musieli skonsultować się z politykami i Sztabem Generalnym. A wątpię, żeby ci forsowali zdobycie Warszawy za wszelką cenę. Musimy się utrzymać przez tydzień, góra półtora.

– Mimo wszystko sędzę, że to nierealne.

Stankiewicz zmierzył Rudnickiego taksującym spojrzeniem, widać było, że zastanawia się, czy argumentować dalej, czy zakończyć rozmowę.

– Mamy swoich magów, a nawet kilku adeptów – powiedział w końcu. – Poprą nas także sztyletnicy. Ich bojowcy nie są może adeptami w całym znaczeniu tego słowa, ale i tak ogromnie przewyższają sprawnością zwykłych żołnierzy. Damy radę! – zapewnił.

– Jeśli sytuacja przedstawia się tak, jak pan naświetlił, to do czego jestem wam potrzebny?

– Potrzebne nam pieniądze. Duże pieniądze – podkreślił oficer.

– A to w jakim celu? Z tego, co mi wiadomo, sztyletnicy dysponują niebagatelnym majątkiem zarówno w srebrze, jak i *materia prima*?

– I wszystko to będzie potrzebne do obrony miasta. Tymczasem pan posiada spory wolny od jakichkolwiek obciążeń kapitał.

– Nie dam wam *materia prima* – zastrzegł Rudnicki. – Widzę pana pierwszy raz w życiu. A i co do...

Oficer powstrzymał go gwałtownym gestem.

– Rozumiem pana, w końcu mógłbym okazać się kimś w rodzaju Markowskiego – powiedział, przygryzając usta. – Ale mogą za mnie poręczyć sztyletnicy. No i w końcu nie jestem samobójcą, ciekawe, jak długo bym pożył, gdybym pana oszukał?

– Nie utrzymuję kontaktów ze sztyletnikami.

– A panna Wiktoria? – przypomniał oficer. – Przecież nadal mieszka w pańskim hotelu. Najlepiej, gdybyśmy załatwili to jeszcze dzisiaj.

– Czego wam potrzeba?

– Czterdziestu kilogramów srebra – odparł Stankiewicz bez mrugnięcia okiem. – Nasze możliwości finansowe chwilowo się wyczerpały, a nie ma czasu, żeby organizować zbiórkę.

– Zbiórkę na co?

– Na *Panzerzug*. Odwrót Niemców na odcinku warszawskim osłania ciężki pociąg pancerny. Jego dowódca jest skłonny do... negocjacji, ale żąda zapłaty z góry. Wyobraża pan sobie, jak podniosłoby to nasz potencjał obronny?

– Dlaczego nie opanujecie pociągu siłą?

Stankiewicz spojrział na Rudnickiego ze zdumieniem i poluźnił kołnierzyk munduru.

– Bo nie chcemy zrywać stosunków z Niemcami – wyjaśnił cierpliwie. – Możemy utrzymać niezależność tylko w jeden sposób: lawirując między carem i kajzerem. Oczywiście Niemcy i tak będą wściekli, jeśli ukradniemy im pociąg, mają ich wszystkich zaledwie pięć czy sześć, ale co innego wojenny fortel, a co innego otwarty atak.

Rudnicki westchnął ciężko: jakkolwiek by uciekał od polityki, los i tak zmuszał go do podejmowania decyzji w całym tego słowa znaczeniu – politycznych. Oczywiście mógł odmówić, w końcu przybył tu tylko po to, żeby nie dopuścić do władzy Markowskiego, a ta kwestia wydawała się rozstrzygnięta raz na zawsze, ale co, jeśli Warszawa rzeczywiście szykuje się do walki? Wyglądało na to, że w sprawę zamieszani są sztyletnicy, a ci nie mieli w zwyczaju popierać z góry przegranych idei. Alchemik tylko raz spotkał się z przywódcą tajemniczej organizacji, lecz zapamiętał Cienia jako zimnego, pragmatycznego do bólu gracza. Czyżby rzeczywiście istniała szansa na stworzenie niezależnego, choćby i niewielkiego państwa? Co powiedziałby ojciec, gdyby Rudnicki – jakże wygodnie! – pozostał na stronie? Na pierwszy rzut oka wywody Stankiewicza brzmiały logicznie, a on sam sprawiał wrażenie przekonanego o ich słuszności, ale przecież wariatów nie brakowało...

– To awantura! – warknął.

– Istnieje pewne ryzyko – przyznał oficer. – Ale do rzeczy, jaką decyzję pan podjął?

– Jedźmy do hotelu – odparł Rudnicki. – Tak czy owak, trzeba porozmawiać z Wiktorią.

Zająwszy miejsce w powozie, alchemik spodziewał się, że korzystając z okazji, Stankiewicz będzie go dalej przekonywał do poparcia walki z Rosjanami, ale oficer siedział zamyślony, a ciszę zakłócał tylko turkot kół. Dojechali do „Azylu” w milczeniu.



Rudnicki rzucił na podłogę ostatnią sztabkę opatrzoną znakiem petersburskiej mennicy i dwujęzycznym, rosyjsko-angielskim napisem „czyste srebro”. Wiktor i Stankiewicz przyglądali się całej procedurze z pewnej odległości, alchemik poprosił ich, aby nie podchodzili do sejfu.

– Czterdzieści kilo – oznajmił.

– Prawie czterdzieści jeden – poprawił z szacunkiem oficer. – Uncja trojańska zawiera ponad trzydzieści jeden gramów srebra.

– Niech tam! – machnął ręką Rudnicki. – Zabierajcie.

– Mam pokwitować? – spytał Stankiewicz.

– Owszem.

Alchemik wyjął z opakowania igłę i poprosił oficera o wyciągnięcie dłoni.

– Spokojnie – powiedział. – Potrzebna mi tylko kropla pańskiej krwi.

– A to dlaczego?

Rudnicki uśmiechnął się zimno i wskazał retortę okrytą aksamitną płachtą.

– To moje zabezpieczenie, a zarazem gwarancja pańskiej uczciwości – poinformował. – Wie pan, czym jest homunkulus?

Poblady nagle Stankiewicz bez słowa skinął głową.

– Jakby co, wyślę go za panem. Dlatego dobrze by było, żeby w najbliższym czasie nasza armia wzbogaciła się o ten *Panzerzug*.

– Natychmiast pana o tym powiadomię! – obiecał oficer.

Alchemik wezwał Majewskiego, a ten zapakował sztabki srebra do solidnej skórzanej torby i podążył za Stankiewiczem. Wiktoria jeszcze przez chwilę stała u wejścia na schody, przypatrując się Rudnickiemu z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Co znowu? – zapytał.

– Urosłeś.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz, rozumiesz! Dawny Olaf Arnoldowicz nigdy nie odważyłby się tak odezwać do kogoś pokroju Stankiewicza i podejmować, było nie było, ryzykownych decyzji. Bo zdajesz sobie sprawę, że srebro to najmniejsze, co możesz stracić?

– Jakby co, poproszę o azyl w Argentynie – westchnął.

– Niezły pomysł – przyznała dziewczyna. – Czasem sama miałabym ochotę wyjechać daleko stąd.

– Rozumiem, że powstrzymuje cię sprawa, a raczej SPRAWA? – skomentował ironicznie.

– Przestań – poprosiła. – Takie kpiny z twoich ust bołą.

– Przepraszam, już nie będę. W końcu i sam jestem w to uwikłany. Jak myślisz, mamy jakieś szanse czy to tylko po raz kolejny rojenia grupki marzycieli?

– Teoretycznie... – Wzruszyła ramionami. – Jedno jest pewne: nie obejdzie

się bez ofiar.

Rudnicki skinął głową, nie ulegało wątpliwości, że nawet jeśli wyliczenia Stankiewicza spełnią się co do joty, przez tydzień czy dwa Warszawa będzie brodziła we krwi.

– Idę do laboratorium – oznajmił, zamykając sejf. – Muszę oderwać się od tego wszystkiego.

– A ja odwiedzę chyba naszą nową gwiazdę, mademoiselle Zabielską. Może i na mnie ktoś zwróci uwagę? – dodała, rzucając Rudnickiemu zalotne spojrzenie.

Alchemik skrzywił się niechętnie. Była prostytutka zachowywała się nienagannie, ale właśnie jej powściągliwość w połączeniu z wyraźnie zauważalną aurą zmysłowości sprawiła, że dziewczyna stała się najbardziej popularnym gościem hotelu. Szeptano, że jest arystokratką incognito, i każdy jej gest wywoływał komentarze podekscytowanych gości.

Wiktor roześmiała się na widok miny Rudnickiego i wbiegła na schody, ukazując zgrabne kostki. W normalnej sytuacji alchemik poświęciłby dziewczynie więcej uwagi, ale od momentu opuszczenia Pałacu Jabłonowskich męczyła go jakaś niejasna myśl. I nie chodziło bynajmniej o srebro. Biorąc pod uwagę ostatnie sukcesy finansowe, utrata kilkudziesięciu kilogramów kruszcu była znaczącym wydatkiem, ale na pewno nie groziła ruiną. Markowski? No, ten nie stanowił już żadnego zagrożenia, a jednak alchemik cały czas miał przed oczyma postać byłego konfratra.

Rudnicki potarł skronie, usiłując sobie przypomnieć, w czym rzecz. Problem w tym, że Markowski nie powiedział niczego nadzwyczajnego, a jedynie wygłosił pean na swoją cześć.

– Pomyślmy – wymamrotał na głos alchemik.

Rewelacje o „prężnej organizacji” to taka sama blaga jak i przypisanie sobie akcji na placu Zamkowym, doszedł do wniosku. A zresztą nawet gdyby ktoś go popierał, to zajmą się nim sztyletnicy.

– Per procura! – krzyknął Rudnicki, uderzając się w czoło. – O to chodziło! Jak mogłem być tak głupi?!

Nie gasząc nawet światła, popędził do laboratorium.



Otworzył klatkę i na grzbiecie uspiętego chloroformem szczura wymalował starannie symbol śmierci. Podręczniki magii nie raz i nie dwa wspominały o rytuałach, których celem było działanie w czyimś imieniu, innymi słowy: „per procura”. Jedną z przyczyn podobnych praktyk było przerwienie na kogoś innego negatywnych skutków zaklęcia. A co, jeśli można tak zrobić z konsekwencjami wyjątkowo potężnego słowa mocy? Z definicji nieprzeznaczonego dla ludzi?

Wykonany przy użyciu *materia prima* znak przypominał jedną z figur Chładnego i lekko opalizował, sierść na grzbiecie zwierzęcia wyglądała jak wystrzyżona, tym razem symbol musiał być widoczny dla wszystkich. Rysowanie go na posadzce czy ścianach niczego nie dawało, może teraz podziała? Alchemik zdecydowanym gestem zatrzasnął klatkę – szczur zaczął się poruszać – i podszedł do terrarium.

Czort wie czy to wystarczy, pomyślał. Żmija zygzakowata nie jest specjalnie jadowita, jej ukąszenia są groźne głównie dla dzieci i starców, ale z drugiej strony nawet zdrowy, silny mężczyzna może dostać martwicy tkanek, pomijając inne niezbyt przyjemne objawy. A przecież według słów Wiktorii podstawowym czynnikiem aktywującym słowo mocy było zagrożenie. Jednak Rudnicki nie miał w zwyczaju używać do badań niebezpiecznych zwierząt, wystarczały mu szczury i myszy. Żmija była nowym nabytkiem, alchemik chciał uzyskać od niej nieco jadu.

Uzbrojony w rozwidlony kij, ostrożnie dźwignął gada i cisnął w odległy kąt. Rozwścieczony wąż ruszył naprzód z mylącą oczy leniwą gracją. Rudnicki z przerażeniem uświadomił sobie, że żmija kilkoma skrętami prężnego ciała przebyła połowę drogi i lada chwila zaatakuje. W tym momencie teorie o względnej nieszkodliwości jadu tych stworzeń wydały mu się dużo mniej wiarygodne niż przed chwilą.

– DASZ’ DANTHAR! – krzyknął z desperacją.

Wąż zwiotczał w pół ruchu niczym porzucona przez dziecko zabawka. Alchemik spojrzał na klatkę – szczur leżał martwy w kałuży krwi. On sam nie odczuł nawet najmniejszego dyskomfortu, żadnego bólu głowy, nie mówiąc

o krwawieniu. Eksperyment w pełni potwierdził teorię.

Rudnicki odruchowo sięgnął do przycisku elektrycznego dzwonka, aby wezwać służbę, ale po namyśle cofnął dłoń, w tym wypadku lepiej było posprzątać laboratorium samemu. Wyciągnął z kąta kartonowe pudło po medykamentach i wrzucił do pojemnika martwe zwierzaki.



Na korytarzu minął spieszącą gdzieś pomoc kuchenną, przez moment poczuł

kwiatowo-szyprowy, zupełnie niepasujący do służącej, choć dziwnie znajomy zapach przemieszany z aromatem potraw. Odprowadził dziewczynę rozbawionym spojrzeniem, najwyraźniej panienka kokietowała kogoś z personelu.

Na podwórzu kilku krzepkich mężczyzn rozładowywało wóz wypełniony świeżo kupionymi warzywami. Powitali pryncypała z szacunkiem, lecz bez unizoności, po czym wrócili do pracy. Rudnicki podszedł do śmietnika i z ulgą pozbył się swojego ciężaru. To by było tyle, pomyślał. Teraz trzeba by zbadać, jak daleko można pójść tą drogą? Możliwości wydawały się nieograniczone. Teoretycznie. Jednak czy do zabicia człowieka lub grupy ludzi wystarczyłby szczur? Mocno wątpliwe, dlatego szczegóły tego akurat eksperymentu lepiej trzymać w tajemnicy, doszedł do wniosku alchemik.

Tuż przed laboratorium zatrzymał się ponownie, w korytarzu nadal można było wyczuć lekki zapach perfum, tym razem udało mu się zidentyfikować markę: N' Aimez Que Moi. Być może ze względu na nazwę, „Nie kochaj nikogo poza mną”, ta akurat kompozycja robiła furorę wśród żołnierzy, którzy przed wyjazdem na front obdarowywali nią swoje wybranki. Rudnicki znał tylko jedną osobę, która używała tych perfum: Wiktorię.

Alchemik wpadł do laboratorium i podbiegł do wychodzącego na podwórze okna. Panienka Wiktorina właśnie skończyła grzebać w śmietniku i trzymała za ogon truchło szczura.

Rudnicki otworzył z trzaskiem okno, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, dziewczyna rzuciła mu ni to wyzywające, ni to skruszony spojrzenie i wybiegła za bramę. Ot i sekret mojej nadzwyczajnej atrakcyjności w oczach płci pięknej, pomyślał, zaciskając zęby. Teraz już wiadomo, dlaczego Wiktorina wolała dochodzić do zdrowia w hotelu, a nie pod opieką sztyletników...

IX

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Szum wody stopniowo narastał, w miarę jak zbliżał się do wodospadu, z jeziorka u stóp kaskady wynurzyła się Anna, wyciągnęła dłoń. Samarin chciał podejść do dziewczyny, ale jakaś nieznana siła zatrzymała go w pół kroku. Niespodziewanie poczuł ból w ramieniu. Ręka Samarina odruchowo poszukała broni, jednak kiedy tylko dotknął zimnej stali, ktoś złapał go żelaznym chwytem za nadgarstek.

– Obudź się wreszcie!

Samarin przetarł oczy i rozejrzał się wokół. Stara lampa naftowa z porysowanym kloszem dawała niewiele światła, widać było tylko sylwetkę w wojskowym mundurze i zarys mebli. Chwilę później z półmroku wynurzyła się zatroskana twarz Matuszkin.

– Co znowu? – burknął Samarin. – Dopiero co zasnąłem!

– Śpisz już pięć godzin – sprostował zjadliwym tonem Matuszkin. – Ale mniejsza o to. Młody znowu miał jedno z tych swoich widzeń.

Dopiero ta informacja skutecznie przegnała senne otępienie. Niespełna dwudziestoletni junkier Anvelt, najmłodszy żołnierz oddziału Omega, jako jedyny potrafił sięgnąć umysłem w przyszłość. Nie był w stanie kontrolować swojego daru i większość „przebłysków”, jak je nazywał, dotyczyła spraw bez większego znaczenia, ale czasami trafiały się i inne wizje. Jedna z nich na przykład pozwoliła uprzedzić sztab o niemieckim kontrnatarciu. Od tej pory nikt nie lekcewał ostrzeżeń Anvelta.

– I co zobaczył?

– Naszych żołnierzy „koszonych jak łąn zboża” – zacytował z niesmakiem Matuszkin. – Pieprzony poeta!

– Gówniarz jest nieco egzaltowany, ale nie ma zwyczaju przesadzać.

– Niestety. I co robimy?

– Do Jakimowa nie ma nawet co chodzić – stwierdził z rezygnacją Samarin.

Matuszkin przysunął sobie kulawy stołek i usiadł ciężko przy posłaniu przyjaciela.

– W gnatach mi strzela – mruknął, masując krzyże. – A przecież jestem młodszy od ciebie.

– Niewiele – odciął się Samarin. – Nic dziwnego, gonimy za Szwabami już drugi miesiąc, nie ma nawet czasu porządnie się wyspać – dodał poważniejszym tonem.

– Do Jakimowa? – podjął temat Matuszkin. – Rzeczywiście nie ma sensu. Wygłosiłby tylko kolejną patriotyczną pogadankę. Stawka? – poddał z wahaniem.

– Zobaczymy. Na razie daj tu młodego.

Matuszkin gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi i zawołał junkra. Rozległ się tupot podkutych butów i szczupły młodzieniec w okularach zameldował się regulaminowo. Mimo późnej pory miał na sobie pas z ładownicą i karabin Mosina. Najwyraźniej dopiero co wrócił z patrolu.

– No, co tam? – rzucił Samarin. – I przestań się prężyć, siadaj.

Anvelt posłusznie przycupnął na brzegu łóżka.

– Widziałem scenę z natarcia na Warszawę – powiedział, przygryzając wargi.

– Ponosiliśmy ogromne straty.

– To akurat nic nadzwyczajnego, zapewne Polacy przygotowali się do obrony miasta. Wywiad donosi, że Hunowie zostawili im pełne magazyny broni.

– Ci ludzie nie padali pod ogniem, to była magia...

– Jesteś pewien?!

– Całkowicie.

– Przecież to niemożliwe. Nie ma takiego słowa mocy, które działałoby więcej niż na kilka, góra kilkanaście osób!

– Widziałem setki zabitych. Może tysiące – stwierdził z uporem junkier.

Samarin odesłał go energicznym gestem, podkręcił knot lampy.

– Co o tym sądzisz? – spytał.

– Bo ja wiem? – Matuszkin wzruszył ramionami. – Może jednak Polacy coś wymyślili?

– Warszawa nigdy nie była centrum alchemii czy magii! Skąd u nich tacy adepci?

– A Olaf?

– On raczej nie zwykł mieszać się do polityki.

– Nie zwykł, to prawda. Ale jeśli myślisz, że będzie się beczynn timer przyglądał, jak ostrzeliwujemy Warszawę, to chyba masz nie po kolei w głowie. Zresztą jest obciążony dziedzicznie.

– To znaczy?

– Wiesz, że jego ojciec brał udział w buncie tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego?

Samarin przytaknął bez słowa.

– Matka była Szwedką z Blekinge. Przyznaj, że rebelianci i wikingowie wśród przodków to dość specyficzna mieszanka.

– Coś w tym jest – zgodził się niechętnie Samarin. À propos, skąd te informacje o matce?

– Poprosiłem o materiały z archiwum. Tak z ciekawości. *Gospodin* Rudnicki ma tam całkiem pokaźną teczkę.

– No dobrze, co proponujesz?

– Te wizje młodego to tylko jedna z opcji? Znaczy to, co zobaczył, może się wydarzyć, a może i nie?

– Nie mam pojęcia. Jak dotąd jego wizje spełniały się co do joty. Niemieckie natarcie doszło do skutku, tyle że byliśmy na nie przygotowani. Ale Anvelt nie widział wtedy naszej klęski, a jedynie nacierające szwabskie oddziały. Teraz to co innego. No i jeszcze Kruczkow, pamiętasz?

– No tak, Kruczkow... – wymamrotał Matuszkin.

Jeden z najbardziej nieprawdopodobnych „przebłysków” dotyczył niejakiego sierżanta Kruczkowa. Anvelt przepowiedział mu, że ten wpadnie pod samochód i ożeni się w tym samym tygodniu. Nie dość tego: jego wybranka będzie bogatą i piękną kobietą. Sierżant, mężczyzna o nienachalnej urodzie, wyśmiał, rzecz jasna, młodzieńca. Tyle że kiedy wrócił z urlopu, był już żonaty z córką znanego w Petersburgu kupca Filimonowa. Poznali się, kiedy na trotuar wjechał prowadzony przez pijanego kierowcę automobil. Kruczkow zdążył usunąć z drogi pojazdu idącą obok damę, choć sam został przy tym niegroźnie

poturbowany. A ta, jak w bajce, nagrodziła go za męstwo...

– Więc uważasz, że strat nie da się uniknąć?

– Trzeba się z tym liczyć – odparł ponuro Samarin. – Być może uda się je zminimalizować. No i przede wszystkim musimy chronić oddział. Bo pierwsze, co przyjdzie do łba temu kretynowi, to wysłanie nas do okopów.

Matuszkin westchnął z rezygnacją, *gieniał ot infantierii* Jakimow jako świeżo upieczony porucznik brał udział w ostatniej wojnie z Turcją i usilnie starał się robić wrażenie oficera starej daty, ale było tajemnicą poliszynela, że jego udział w kampanii ograniczał się do przesiadywania w sztabie. Na polu walki przejawiał przerażającą ignorancję, a jego taktyka sprowadzała się do frontalnego ataku, a jeśli ten nie skutkował, Jakimow odwoływał się do oddziału Omega.

– W takim razie musisz skontaktować się ze Stawką albo przynajmniej z Brusilowem – orzekł. – Tylko oni mogą powstrzymać Jakimowa.

– Zaraz się za to zabiorę – obiecał Samarin. – Wyślę szyfrówkę do Brusilowa.

Oficer schylił się i wyciągnął spod łóżka buty z wysokimi cholewami, sięgnął po czyste skarpety. Po chwili wahania założył pas i skontrolował broń. Co prawda Nowomińsk znajdował się dobre trzy wiorsty za linią frontu, ale lepiej było uważać, niemieccy dywersanci już kilkakrotnie atakowali obiekty na zapleczu, niedawno próbowali wysadzić w powietrze tory kolejowe niedaleko Sokołowa.



Samarin z westchnieniem spojrział na parkiet porysowany ciężkimi wojskowymi buciorami – sztab ulokował się w pałacu Dernałowiczów – i usiadł w wygodnym, choć wyraźnie niepasującym do pozostałych fotelu. Pastelowe obicia pozwalały przypuszczać, że przywleczono go z damskiego buduaru. Fotele przeznaczono jedynie dla starszych oficerów, młodszy musieli zadowolić się skromniejszymi siedziskami. Wnioskując z tłoku na sali, Jakimow zaprosił większość oficerów od dowódców batalionów w górę, co samo w sobie stanowiło kiepski prognostyk: najwyraźniej generał miał zamiar zarządzić natarcie, nie poświęcając uwagi i czasu takim drobiazgom jak rozpoznanie sił przeciwnika. A te, jak wynikało ze wstępnych ustaleń, były niebagatelne.

– *Gospoda oficery, komandujuszczij!* – zaanonsował adiutant dowódcy.

Wszyscy poderwali się na baczność, wstał też Samarin, choć bez pośpiechu, z wyraźnie widoczną i na zimno wykalkulowaną dezynwolturą.

Niepewne ruchy i czerwona twarz Jakimowa sugerowały, że generał, nie bacząc na wczesną porę, zdążył się pokrzepić znakomitą polską wódką. Jego pierś jak zwykle zdobiły dwa rzędy odznaczeń, w tym medal „Na pamiątkę wojny rosyjsko-tureckiej 1877–1878”. Nie żeby było się czym chwalić, co poświadczał ciemnobrązowy kolor błyskotki. Tego typu odznaczenia przyznawano żołnierzom i urzędnikom nieuczestniczącym w działaniach bojowych. Ci, którzy brali udział w walkach, otrzymali medale srebrne albo jasnobrązowe.

Jakimow usadowił z namaszczeniem tęgi zad za okrągłym, inkrustowanym stołem i przepłukawszy gardło łykiem herbaty z samowara, rozpoczął naradę. Tytułem wstępu rzucił kilka gromów na „zdradzieckich Lachów”, którzy po raz kolejny ośmielili się zbuntować przeciwko imperium, po czym zaczął przydzielać zadania. Zgodnie z przewidywaniami rozkazy sprowadzały się do wyznaczenia kierunków ataku poszczególnych oddziałów 8. Armii. Adiutant Jakimowa, kapitan Uwarow, nanosił pozycje wybranych pułków na mapę guberni warszawskiej.

Piętnaście minut, pomyślał markotnie Samarin. Ledwo kwadrans wystarczy, żeby posłać na śmierć tysiące żołnierzy. W jakich czasach żyjemy? Czy ludzkość definitywnie oszalała?

– *Gospoda*, czy ktoś chce coś dodać? – rzucił na zakończenie Jakimow.

Nikt z zebranych się nie odezwał, ton generała mówił wyraźnie, że pytanie zostało zadane retorycznie.

– Ja – powiedział niegłośnie Samarin.

Sumiaste, rozczapierzone na końcach wąsy Jakimowa zjeżyły się złowrogo, przez co generał do złudzenia przypominał starego morsa, po czym dowódca 8. Armii odrzucił postulat niecierpliwym gestem.

– Aleksandrze Borysowiczu! – odezwał się karcąco. – Znowu pan. A przecież oddział Omega nie bierze udziału w ataku. Został pan zaproszony jedynie grzecznościowo.

– Niemniej jednak chciałbym zabrać panom jakieś pięć minut.

Grzecznościowo.

Na szerokim, prostackim obliczu Jakimowa zagrały mięśnie, czoło przecięty poziome zmarszczki.

– No dobrze – przyzwolił niechętnie. – Pięć minut, z zegarkiem w ręku!

Samarin podszedł do mapy i korzystając z notatek, uzupełnił schemat ataku, zaznaczając polskie pozycje.

– Jak sami widzicie, Polacy dysponują solidnie skonstruowaną, głęboko urzutowaną linią obrony. Tymczasem nasz plan przewiduje uderzenie w miejscach, gdzie opór będzie najsilniejszy.

– To jakieś bzdury! – krzyknął Jakimow, waląc pięścią w stół. – Skąd takie dane? Polacy nie posiadają niczego poza bronią ręczną i niewielką ilością amunicji!

– Wysłałem zwiad lotniczy.

– Co takiego! Jakim prawem?!

– Prawem dowódcy oddziału Omega! – odpalił Samarin. – Nasz samolot został szybko przepędzony przez aeroplany wroga, ale pilot zdążył zrobić zdjęcia. Z fotografii tych wynika jasno, że Polacy nie tylko dysponują artylerią, ale mają też ciężkie działa. Zdołaliśmy zidentyfikować baterię sFH trzynaście.

Ktoś zaklął, kto inny otarł pot z czoła. *Schwere Feldhaubitze 13* była postrachem frontu.

– One biją na osiem wiorst – wymamrotał suchy, czarniawy major z oznaczeniami artylerii na mundurze. – A my mamy tylko trochę zakichanych siedemdziesiątekszóstek! Potrzebujemy haubic Schneidera!

– No, no, tylko bez defetyzmu! – odezwał się karcąco Jakimow. – Jeśli nawet Polacy posiadają kilka armat, w niczym nie zmienia to sytuacji. Taka zbieranina nie zatrzyma rosyjskiej armii. Ten cały *Polnische Wehrmacht* powstał ledwo parę tygodni temu!

– To prawda – potwierdził Samarin. – Choć trzon polskich sił stanowią weterani, na pewno nie brakuje tam kiepsko wyszkolonych rekrutów. Tyle że bronić się jest dużo łatwiej, niż atakować. Niestety, to nie wszystko: junkier Anvelt miał wizję, w której zobaczył, jak ponosimy ogromne straty, i to nie od broni, ale magii.

– Proponuje pan wstrzymać natarcie z powodu bredni słabego na umyśle

młodzieńca? – spytał zjadliwie Jakimow. – To śmieszne! A co do magii, to przecież nie dorównają naszym mistrzom!

– Nie będziemy tego sprawdzać – odparł zimno Samarin. – Przynajmniej dopóki nie przeprowadzimy pełnego rozpoznania.

– Zapomina się pan, generale! – wrzasnął Jakimow z apoplektycznymi wypiekami na twarzy. – To ja wydaję tu rozkazy i jeśli tak zadecyduję, pomaszeruje pan w pierwszym szeregu do ataku!

– W odróżnieniu od niektórych nie raz i nie dwa stawałem do walki w pierwszym szeregu. A oddział Omega od dzisiaj podlega tylko Stawce.

– Co pan chce przez to powiedzieć?!

– Chodzi panu o mój udział w walce czy tę drugą kwestię?

– Ja pana...

Samarin położył na stole wypełniony ołówkiem blankiet.

– To szyfrogram ze sztabu – oznajmił sucho. – Decyzja o wyłączeniu spod pańskiej władzy oddziału Omega. I jeszcze jedno, z Petersburga jedzie do nas eszelon z uzupełnieniami, będzie tu za dwa dni. Otrzymamy ciężkie działa i kilka wozów pancernych, a Siły Powietrzne oddadzą do naszej dyspozycji trzy eskadry aeroplanów. Stawka uznała, że zdobycie Warszawy jest celem priorytetowym. Ach, prawie bym zapomniał! Przyjedzie też generał Brusilow, który osobiście skontroluje nasz odcinek frontu. A teraz pozwolę panowie, że was pożegnaję, i tak zająłem więcej niż pięć minut.

Samarin opuścił salę, słysząc za plecami szmer prowadzonych półgłosem rozmów i sapanie rozwścieczonego Jakimowa. Matuszkin w towarzystwie kilku żołnierzy, w tym junkra Anvelta, czekał na niego tuż przy wyjściu.

– Jak poszło? – zapytał.

– Zrobiłem, co mogłem – odburknął Samarin. – Przekazałem informacje zebrane przez zwiad lotniczy i poinformowałem o wizycie Brusilowa.

– Myślisz, że to powstrzyma naszego niezwycięzonego wodza?

– Co najwyżej skłoni go do większego pośpiechu. On pewnie wyobraża sobie, że przywita Brusilowa na dworcu i zamelduje o zdobyciu Warszawy. Niemniej jednak...

– Tak?

– Jeśli przegra, a przegra! nie darują mu tego. Ani Stawka, ani żołnierze. Co

innego atakować z marszu, nie mając informacji o wrogu, czasem takie ryzyko się opłaca, inna rzecz rzucać ludzi do samobójczego natarcia na dobrze umocnione pozycje. Za dwa dni ten kretyn nie będzie już dowódcą.

– Ale zanim go zdymisjonują, zginie wielu dobrych żołnierzy.

– Tego nie unikniemy – przyznał szorstko Samarin. – To wojna! A w ogóle co tu robisz?

– Uznałem, że lepiej będzie, żebyś miał towarzystwo, przynajmniej do przyjazdu Brusilowa. Na wszelki wypadek.

– Myślisz, że Jakimow mógłby...

– Nie wiem, ale po czorta ryzykować? Znając twoje zdolności dyplomatyczne, jestem pewien, że zyskałeś śmiertelnego wroga.

Samarin machnął ręką z rezygnacją.

– Anvelt! – rzucił pułkownik.

– *Słuszajus', wasze wysokobłagorodie!*

– Zwalniam cię ze wszystkich zajęć. Siedź na dupie i medytuj, nie pokazuj się w obozie. Ty nie dostaniesz obstawy, musisz sam o siebie zadbać. I pamiętaj, żadnych spacerów w świetle księżyca!

Młodzieniec wywrócił oczyma, ale nie zaprotestował. Jeszcze w trakcie szkolenia Matuszkin przyłapał go na randce z miejscową ślicznotką, poza koszarami i bez przepustki. A noc rzeczywiście była księżycowa...

– *Tak toczno!* – wyskandował służbiście.

– Rzeczywiście chcesz go zostawić samemu sobie? – upewnił się Samarin, patrząc na odchodzącego chłopaka.

– No co ty! Paru ludzi będzie go miało na oku dzień i noc, ale Anvelt nie musi o tym wiedzieć. Jeszcze spróbowałby im się wymknąć na spotkanie z jakąś wiejską pięknoscią. Moim zdaniem, jeśli Jakimow postanowi jakoś zareagować, to łatwiej mu będzie wykończyć gówniarza niż ciebie.

– Nie odważyłby się!

– Mam nadzieję. Ale nie ma co tu stać, wracajmy.

Ruszyli w stronę centrum miasteczka, obaj zatrzymali się w niepozornej kamienicy niedaleko dworca. Jakimow i jego pochlebcy wybrali bardziej okazałe budynki, przeważnie usytuowane na peryferiach, nie biorąc pod uwagę, że na wojnie lepiej się nie afiszować ze swoją rangą, no i warto zapewnić sobie

możliwość odwrotu.

– Może przeniesiemy się na inny odcinek frontu? – zaproponował po chwili Matuszkin. – Po cholere męczyć się z Jakimowem? A i ta cała Warszawa... Nie podoba mi się to wszystko.

Samarin roześmiał się bezradośnie, już na początku ofensywy oddział Omega został podzielony tak, żeby każda armia dysponowała kompanią omegan, a on, jako dowódca, mógł przejąć kontrolę nad każdą z nich. Do 8. Armii sprowadziły go rozpaczliwe skargi żołnierzy, wysyłanych do akcji w razie najdrobniejszych nawet trudności.

– Myślisz, że mnie się podoba? Nie chcę walczyć z Olafem. A i Anna nie będzie zachwycona, że biorę udział w szturmie Warszawy.

– To co tu jeszcze robisz?! – warknął Matuszkin. – Załatwiłeś sprawę z Jakimowem, nasi są bezpieczni, więc...

– Sam nie wiem – wszedł mu w słowo Samarin. – Mam jakieś przeczucie. Wydaje mi się, że jestem tu potrzebny – dodał z nieszczęśliwą miną.

– Wiesz, że to idiotyzm? Kierowanie się takimi przeczuciami?

– Och, zamknij się!

– *Tak toczno-s!*

Samarin pogroził przyjacielowi pięścią, dawniej dodawano literę „s”, kończąc zdanie, aby podkreślić szacunek dla rozmówcy, jako że zastępowała ona słowo *sudar*, „pan”. Jednak obecnie miało to mocno ironiczny charakter.

– Może poćwiczymy? – zasugerował. – Przyda ci się odrobina ruchu, ostatnio tylko chlejesz.

– Dlaczego nie? Dawno nie wygarbowałem ci skóry. Ale może zrobić trening dla całej kompanii? Ludzie mieliby się czym zająć.

Samarin potwierdził nieartykułowanym pomrukiem, lepiej było trenować, niż zastanawiać się, kto zginie w zarządzonym przez Jakimowa natarciu.

– Zrobimy tak – zdecydował.



Z oddali dochodził huk armat, od czasu do czasu wprawne ucho mogło wychwycić grzechot ciężkich karabinów maszynowych. Za oknem rżały konie,

słysząc było komendy i turkot kół, służby medyczne pracowały pełną parą, dzień i noc ewakuując rannych. A tych przybywało...

Zadumę przerwało Samarinowi energiczne pukanie, w drzwiach ukazał się wartownik.

– Przepraszam, że przeszkadzam, *wasze priewoschoditelstwo*, major Milutin chce się z panem widzieć – zameldował.

– Niech wejdzie – polecił Samarin.

– Major jest w szpitalu – odparł niepewnie żołnierz. – Na operacji. Zanim dopadły go łapiduchy, poprosił, żeby go pan odwiedził.

Samarin zaklął pod nosem i rzucił się do wyjścia, w biegu chwycił pas z rewolwerem.

– Gdzie nasz samochód?!

– Szofer czeka na ulicy – zapewnił pośpiesznie wartownik.

Generał usadowił się na siedzeniu obok kierowcy i ponaglił go niecierpliwym gestem.

– Do szpitala! – rozkazał.

Szofer zawrócił i po chwili skręcił w boczną uliczkę.

– Za duży tłok – wyjaśnił. – Musimy jechać okrężną drogą, a przy szpitalu lepiej wysiąść i dalej iść piechotą, bo tam jest straszny rozgardiasz. Z frontu wracają sanitarki, a w drugą stronę jadą wozy z zaopatrzeniem.

– Jakież wieści?

– Nic nowego, ale szpital podobno jest przepełniony.

Samarin zaklął ponownie, od początku natarcia Jakimow wprowadził pełną blokadę informacyjną, a samego Samarina nie wpuszczano do sztabu.

– Stój! – polecił, widząc zatłoczone skrzyżowanie. – Dalej dam już sobie radę.

Z furgonów z oznaczeniami Czerwonego Krzyża dochodziły jęki rannych, od czasu do czasu pokrzykiwania woźniców, usiłujących jak najszybciej dojechać do szpitala. Ostatni odcinek generał przebył niemal biegiem, uskakując przed wozami i konnymi gońcami. Najwyraźniej łączność telefoniczna została przerwana.

Wpadł do holu, wykrzykując nazwisko Milutina. Dopiero po paru minutach podszedł do niego zmęczony sanitariusz.

– Milutin Płaton Olegowicz? – upewnił się, wertując sfatygowany rejestr.

– Tak!

– Pierwsze piętro, sala numer dziewięć – poinformował, nie poświęcając oficerowi nawet sekundy więcej.

Samarin zacisnął zęby na widok wystawionych na korytarz łóżek i krzątającego się wokół personelu. Zanim zdążył nacisnąć klamkę, wyrosła przed nim przysadzista matrona pod sześćdziesiątkę.

– To sala dla pacjentów tuż po operacji! – oznajmiła wrogo. – Proszę nie zakłócać im spokoju.

– Szanowna pani...

– Margarita Jegorowna – przedstawiła się szorstko.

– Margarito Jegorowna, muszę koniecznie porozmawiać z majorem Milutinem – powiedział. – On sam mnie tu wezwał.

– Za dwa dni, nie wcześniej – odrzekła bez namysłu.

– Margarito Jegorowna, naprawdę chce pani, żeby ta jatka trwała dalej? Muszę mieć wiadomości z frontu, wtedy, być może, uda mi się coś z tym zrobić.

– Dlaczego nie zawraca pan głowy sztabowcom?

– Protestowałem przeciwko ofensywie, więc generał Jakimow zabronił wpuszczać mnie do sztabu.

Kobieta obrzuciła go chmurnym spojrzeniem, ściągnęła usta.

– Pięć minut – stwierdziła po namyśle. – I proszę nie przeciągać, major jest bardzo osłabiony. Amputacja.

Samarin wzdrygnął się, czując, jak po kręgosłupie spływa mu strużka potu. Jak większość żołnierzy bardziej bał się kalectwa niż śmierci.

– Co z nim?

– Prawa ręka. Wybuch granatu niemal urwał mu dłoń. Nie było czego ratować.

– Dobrze, pięć minut – obiecał.

Kobieta bez słowa otworzyła przed nim drzwi. Zastawiona łózkami sala sprawiała przygnębiające wrażenie, w rogu przy stoliku czuwała młoda, dwudziestokilkuletnia pielęgniarka. Zmęczona twarz dziewczyny świadczyła, że w szpitalu nikt nie przejmuje się dziesięciogodzinnym dniem pracy. Widząc Samarina, położyła palec na ustach.

Oficer podszedł do niej ostrożnie, szeptem zapytał o Milutina.

– Łóżko przy oknie – wskazała. – Tylko proszę go nie męczyć, ciężko przeszedł operację.

General skinał głową i podszedł do okna. Widział Milutina kilka razy na naradach sztabowych, ale teraz ledwo poznał majora. Na czole i szyi oficera wystąpiły sine żyły, przez bandaż okrywający kikut przebijały czerwone plamy. Jednak najbardziej zaniepokoił go szklisty wzrok mężczyzny.

– Majorze Milutin – powiedział niegłośnie, siadając na brzegu łóżka – chciał pan się ze mną widzieć.

Ranny wymamrotał coś niezrozumiałego, jęknął, zagryzając usta.

– Milutin, raport!

Tym razem oficer spojrział na Samarina przytomniej.

– To pan, generale? Dobrze, że pan przyszedł. To natarcie...

– Tak?

– Ponosimy potworne straty – powiedział Milutin, cedząc słowa przez zęby. – Jakimow fałszuje statystyki, bo boi się, że Brusilow wykorzysta je, żeby pozbawić go funkcji. Musi pan koniecznie zdobyć prawdziwe dane! Na moich oczach Trzydziesty Siódmy Pułk Wanagina został zdziesiątkowany, a dwa inne wycofały się, tracąc niemal połowę stanu.

– Co się stało?

– Z początku Polacy wciągnęli nas w pułapkę, oddali nasyp kolejowy niedaleko Stanisławowa. Kiedy ruszyliśmy dalej, wpadliśmy prosto pod ogień ciężkich haubic. Wanagin postanowił obejść stanowiska Polaków i po kilkugodzinnym marszu udało nam się zająć ich z flanki. Mają za mało sił, żeby utrzymać ciągłą linię frontu – dodał wyjaśniająco. – Kiedy wycofali artylerię, ruszyliśmy w pościg, nacierając w kierunku Wołomina. Dwa bataliony wpadły w zasadzkę, polska piechota kontratakowała z pobliskiego lasu, a kiedy podciągnęliśmy odwody, ostrzelał nas niemiecki pociąg pancerny.

– Niemcy sprzymierzyli się z Polakami?!

– Chyba nie – odparł po namyśle Milutin. – Teraz przypominam sobie, że pociąg miał polskie oznaczenia. Jeszcze jedno: nie wszyscy z tych piechurów byli zwykłymi żołnierzami.

– Nie rozumiem.

– Polaków było wszystkiego ze trzy setki, a jednak rozbili w puch dwa

bataliony. Sam widziałem, jak jeden z nich został otoczony przez kilkunastu naszych i tylko on wyszedł cało ze starcia... W końcu skosiła go seria z maxima. Kiedy obejrzałem trupa, odkryłem, że na przedramieniu ma tatuaż w kształcie sztyletu oplecionego płomieniem.

– Było coś dziwnego w tym tatuażu? – spytał szybko Samarin.

– Tak. On się poruszał. Wyglądało to, jakby płomień pełgał na klindze sztyletu.

– Jak ocenia pan sytuację?

– Do dzisiejszego ranka posunęliśmy się naprzód dziesięć, może dwadzieścia wiorst. A opór Polaków tężeje. Mają nawet aeroplany, sam widziałem trzy albatrosy.

– Jak pan myśli, zdobędziemy Warszawę?

– Nie czuję się kompetentny, jestem tylko...

– To ja decyduję, kto tu jest kompetentny – uciął Samarin. – Słucham.

– Myślę, że tak. W końcu. O ile nie pojawią się nowe okoliczności.

– To znaczy?

– Mam na myśli polskich magów, a może i adeptów. Do tej pory nie spotkaliśmy się z działaniami tego typu, ale to nie znaczy, że tak będzie i dalej. Wreszcie zadaniem Ósmej Armii nie jest obleganie Warszawy, tylko pościg za Niemcami. A jeśli się wykrwawimy, będą potrzebne uzupełnienia. Zanim je ściągniemy, minie co najmniej tydzień, może więcej, a przez ten czas Szwaby zorganizują obronę.

– Myśli pan, że Jakimow wykorzysta Ósmą Armię przeciwko Polakom?

– Na pewno nie całą. Obecnie mamy tu sześć dywizji piechoty i dwie kawalerii, pozostałe następują Niemcom na pięty. Jednak jeśli nasze ataki nadal będą nieskuteczne, może ściągnąć pozostałe jednostki, co nieuchronnie osłabi nacisk na Niemców.

– Oni dokładnie tego się spodziewali, przecież nie zostawili Polakom tego sprzętu ot tak – skomentował gorzko generał.

– Niestety – przytaknął Milutin, krzywiąc się z bólu. – Na razie posiadamy przewagę liczebną, wątpię, żeby Warszawy broniło więcej niż pięćdziesiąt tysięcy ludzi, ale jeśli tamci zmobilizują rezerwy, mogą i podwoić tę liczbę. O ile nie braknie im broni.

– Nie braknie. Już Niemcy się o to postarali.

– Pewnie tak. Dlatego uważam, że...

Przerwał mu skrzyp sfatygowanych drzwi, w progu stanęła Margarita Jegorowna, wymownym gestem pokazując zegarek.

– Muszę już iść – powiedział Samarin. – Gdyby czegoś pan potrzebował, proszę się nie krępować.

– Środki przeciwbólowe – wymamrotał oficer. – Nikt nie przewidział takiej liczby rannych i trzeba oszczędzać. Gdyby udało się panu coś zdziałać w tej sprawie, byłbym wdzięczny. I pewnie nie tylko ja...

– Postaram się – obiecał Samarin.



Eszelon otwierały dwie lokomotywy, w ślad za nimi ciągnął się sznur wagonów wyładowanych sprzętem wojskowym, całość zamykała salonka. Brusilow przybył do Nowomińska. I nie z pustymi rękoma, Samarin zauważył celujące w niebo lufy haubic Schneidera. Wreszcie będzie czym walczyć przeciwko niemieckim sFH 13, pomyślał.

Prężący się na peronie pamiętającym początki kolei warszawsko-terespolskiej Jakimow skinął dłonią i wojskowa orkiestra zagrała dziarskiego marsza. Zgrzyt hamulców zagłuszył muzykę, spod kół poleciały iskry i pociąg zatrzymał się z idealną precyzją przed grupką oficerów. Brusilow wysiadł poprzedzany jedynie przez adiutanta, przyjął meldunek Jakimowa, po czym wskazał gniewnie orkiestrę. Muzyka urwała się jak ucięta nożem.

Samarin postąpił naprzód, ale w tym samym momencie Matuszkin złapał go za rękaw.

– Co znowu?! – warknął generał.

– Jest chyba ktoś, z kim powinieneś się przywitać, zanim pogadasz z Brusilowem – powiedział półgłosem.

Przyjaciel bez słowa wskazał salonkę: z wagonu wyszła Anna. Od niedawna hrabina Samarin.

Oficer, nie żałując łokci, przedarł się przez tłum otaczający Jakimowa i zastąpił żonie drogę.

– Zwariowałaś?! – krzyknął ze złością. – Co ci wpadło do głowy, żeby pojawić się na froncie?!

– Ja też cię kocham – odparła niezmiészana. – Chciałam cię zobaczyć, to takie dziwne? No i miałam eskortę.

– Jaką, do licha, eskortę?! I kto pozwolił ci podróżować wojskowym eszelonem?

Samarin odwrócił się, słysząc dyskretne chrząknięcie. Wsparty na szabli Brusilow obserwował go z rozbawieniem w oczach.

– Obawiam się, że wina leży po mojej stronie – poinformował. – Nie mogłem oprzeć się prośbom pańskiej żony.

– Co najwyżej współwina, Aleksieju Aleksiejewiczu – sprostowała Anna z uśmiechem. – Pomysł był mój.

– Anna Piotrowna przekonała mnie też do zabrania medykamentów. Wnioskując z pańskiego raportu, chyba się przydadzą. – Brusilow uniósł pytająco brwi.

– To na pewno! – przytaknął ponuro Samarin. – Szczególnie środki przeciwbólowe.

– Oczekuję pana w sztabie, z uwagi na okoliczności – dowódca skłonił się przed Anną – za godzinę.

– *Słuszajus', wasze wysokopriewoschoditielstwo!*

Samarin złapał żonę za rękę i zaprowadził do samochodu, kierowca bez komendy ruszył w stronę kwatery generała. Ze względu na szofera siedzieli w milczeniu, choć Anna bez żenady tuliła się do męża.

Żołnierz zaparkował przed kamienicą na Dworcowej, wyskoczył z samochodu, aby otworzyć drzwi pasażerom.

– Bądź tu za pół godziny – polecił Samarin.

– Tak jest! – odpowiedział tamten z szerokim uśmiechem.

– Rozpuścił się jak dziadowski bicz – wymruczał generał.

– Dość skromne mieszkanko – zauważyła Anna. – Myślałam, że wysokie szarże kwaterują w pałacach.

– Tylko te głupie – odburknął.

Przyciągnął żonę do siebie, wtulił twarz w jej włosy.

– Anna – wyszeptał. – Anna...

Oddała uścisk, ale po chwili wyswobodziła się z jego objęć.

– Nie przyjechałam tu dla kilku marnych pocałunków – oznajmiła surowo. – Ściągaj z siebie ten mundur!



Samarin odpowiedział na salut wartownika, zapukał. Brusilow zrezygnował z sali odpraw i zajął jedno ze skromniejszych pomieszczeń. Mina spotkanego na korytarzu Jakimowa świadczyła, że dowódca 8. Armii nie jest zachwycony postępowaniem przedstawiciela Stawki. Cóż, to dopiero początek twojej drogi na sam dół, najlepiej do piekła, pomyślał ponuro Samarin. Według zebranych naprędce informacji w ciągu dwóch dni zginęło osiem tysięcy żołnierzy, a trzy razy tyle zostało rannych.

– Wejść!

– *Wasze wysokopriewoschoditelstwo...*

– No, no, bez gimnastyki – upomniał go przyjaźnie Brusilow. – I proszę zwracać się do mnie, używając imienia i *otczestwa*, tak jak pańska żona. Zanim zajmiemy się innymi problemami, chciałbym panu pogratulować i wyrazić najwyższe uznanie w imieniu imperatora i Stawki. Oddział Omega nie tylko stanął na wysokości zadania, ale i przewyższył nasze nadzieje.

– Dziękuję, Aleksieju Aleksiejewiczu.

– Proszę siadać. A teraz do rzeczy: dowództwo nie jest zadowolone z generała Jakimowa, stąd wszelkie jego działania od tej pory będą konsultowane ze mną. Także te dotyczące ataku na Warszawę.

– Czy to naprawdę rozumne? W świetle tego, co zobaczył Anvelt... – Samarin umilkł, powstrzymany gestem rozmówcy.

– Wierzę pańskiemu żołnierzowi – powiedział poważnie Brusilow. – Niemniej jednak bunt Polaków jest nam teraz bardzo nie na rękę.

– Nie możemy sobie pozwolić na marnowanie sił i środków – wypalił Samarin. – Nie w tym momencie!

– I tak, i nie – odparł z westchnieniem Brusilow. – Nasze rezerwy są na wyczerpaniu, a żołnierze pełni entuzjazmu, ale zmęczeni. Linie komunikacyjne rozciągają się na tysiące kilometrów. Jeśli Niemcy podejmą kontrofensywę,

możemy tego nie wytrzymać. Na południu dotarliśmy do Karpat, Stawka chce zatrzymać natarcie na linii Wisły. To końcówka naszej ofensywy, kolejna ruszy w przyszłym roku. Niestety, wtrącili się panowie Polacy, jak zwykle, w najmniej dogodnym dla nas momencie.

– Co pan proponuje?

– Mamy tydzień na zdobycie Warszawy. Później zaczniemy umacniać pozycje, żeby powstrzymać ewentualne kontruderzenie armii kajzera. Jeżeli w ciągu paru dni nie dokonamy przełomu, przyjdzie nam podjąć rozmowy z Polakami. Dlatego zorganizujemy zmasowany atak na Warszawę, z udziałem pańskich ludzi i przy użyciu ciężkiego sprzętu.

– Cóż, w takim razie przygotowuję plan działań. Sam obejmę dowództwo...

– Wykluczone! – przerwał mu Brusilow. – Co do kwestii organizacyjnych pozostawiam panu całkowitą swobodę, natomiast nie ma mowy, aby narażał się pan na pierwszej linii.

– A to dlaczego? Do tej pory, o ile nie walczyłem razem z żołnierzami, to przynajmniej pozostawałem w pobliżu oddziału.

– Jak każdy dobry dowódca – przytaknął z aprobatą Brusilow. – Ale nie tym razem. Jak już zaznaczyłem, wierzę w wizję tego pańskiego Anvelta. Tak więc możliwe są dwie opcje: albo rzeczywiście poniesiemy duże straty, ale nie zmieni to sytuacji i opłaci nam się w ostatecznym rozrachunku, albo też przewaga wroga będzie tak wyraźna, że trzeba będzie natychmiast przerwać działania bojowe. W tym drugim przypadku będzie pan prowadził negocjacje z Polakami.

– Nie jestem dyplomata.

– Za to jest pan spokrewniony z Olafem Rudnickim. To pański kuzyn, nieprawdaż?

– A co on ma z tym wspólnego? Nigdy nie angażował się w politykę.

– Nadal nie jest zaangażowany. Przynajmniej oficjalnie. Lecz wiem z pewnego źródła, że kilkakrotnie spotykał się z władzami Rzeczypospolitej Warszawskiej.

– Może zasięgaliby jego opinii? – poddał niepewnie Samarin. – Olaf jest wybitnym alchemikiem i magiem.

– Możliwe. Tylko że to niczego nie zmienia, nieważne, czy pański krewniak współpracuje z nimi jako konsultant, czy też popiera aktywnie działania Rządu

Tymczasowego, tak czy owak, utrzymuje z nimi kontakt. Nie bez znaczenia są też jego zasługi dla imperium. Jeśli dojdzie do układów z Polakami, naszym dyplomatom łatwiej będzie rozmawiać z kimś, kto dowiódł, że jest godny zaufania, no i nie przejawia jakiejś szczególnej rusofobii. Nie sądzę też, żeby Polacy mieli coś przeciwko, jeśli poprosimy, żeby wszedł w skład delegacji. Z tego, co nam wiadomo, cieszy się powszechnym szacunkiem. Ale zostawmy tę kwestię, obecnie mamy ważniejsze tematy. Czy ma pan jakieś uwagi na temat ofensywy?

Samarin położył na stole cienką tekturową teczkę.

– Owszem – powiedział z rezygnacją.

Wnioskując po zachowaniu Brusilowa i grzecznym, choć nieznoszącym sprzeciwu tonie, nie było sensu nalegać na udział w szturmie.

– Przede wszystkim ponieśliśmy ogromne straty.

– Generał Jakimow zapewnił mnie, że straciliśmy góra półtora tysiąca żołnierzy w zabitych i trzy tysiące w zaginionych i rannych.

– Według bardzo ostrożnych obliczeń pan generał kilkakrotnie zaniżył dane – poinformował z zimną złością Samarin. – Mój zastępca, pułkownik Matuszkin, zwizytował okoliczne lecznice. Oto rezultaty. – Podsunął teczkę.

Brusilow przymrużył oczy – najwyraźniej nie przepadał za okularami – i zagłębił się w lekturze.

– To nie mogło nie wpłynąć na postawę żołnierzy – uznał po chwili.

– Wpłynęło – zapewnił Samarin. – Szpitale są przepełnione, brakuje leków, a w szczególności środków przeciwbólowych. Morale żołnierzy wyraźnie spadło.

– Pańska żona skłoniła mnie do zabrania zapasów medykamentów, zaraz wydam rozkaz, żeby je rozdzielić między szpitale i punkty opatrunkowe. Skąd u niej takie rozeznanie w temacie?

– Pracowała przez jakiś czas jako sanitariuszka. Odznaczono ją Orderem Czerwonego Krzyża dla Niewiast i Dziewcząt – uzupełnił z dumą Samarin.

– Jest Polką, prawda?

– Tak.

– To dobrze. Dodatkowy czynnik, który uwiarygodni pana w oczach Polaków. Jakby co – dodał z roztargnieniem Brusilow. – Choć trzeba mieć nadzieję, że do tego nie dojdzie. To wszystko?

– Nie. Pozostaje jeszcze jedna kwestia: sztyletnicy. To tajna organizacja, odłam PPS-u. Swego czasu dokonali udanego zamachu na generała Skałona. Nie są magami, a tym bardziej adeptami, jednak dysponują pewnymi... zdolnościami. Przede wszystkim ogromną sprawnością bojową. Jeden sztyletnik wystarczy za dziesięciu żołnierzy, i to nie jest metafora – zastrzegł Samarin.

– Ilu ich jest?

– Trudno powiedzieć, nie mniej niż kilkudziesięciu, nie więcej niż kilkuset. Niestety, w tej kwestii nie mamy pewnych informacji, to dość hermetyczna organizacja.

Brusiłow pokiwał głową, obracając w dłoni wieczne pióro.

– Kłopotliwe – skomentował. – Jak pan ocenia uzbrojenie Polaków?

– Dotychczasowe działania wskazują, że mają pod dostatkiem artylerii, nie wyłączając ciężkich haubic. Do tego przynajmniej kilka samolotów i pociąg pancerny.

– Co takiego?!

– Ciężki niemiecki *Panzerzug*.

– Jeszcze tego nam brakowało – mruknął do siebie Brusiłow. – À propos Niemców, jak pan myśli, będą wspierać Polaków?

– Z informacji zdobytych przez rozmaite agendy naszego wywiadu wynika, że między Polakami a Niemcami nie istnieje żadne konkretne porozumienie – odparł ostrożnie Samarin. – Wydaje się, że ci ostatni pozostawili w Warszawie trochę sprzętu, który i tak byłoby im trudno ewakuować, w nadziei, że miasto będzie się bronić. No i pozwolili na tworzenie *Polnische Wehrmacht*.

– Pociąg pancerny też byłoby im ciężko ewakuować?

– *Panzerzug* to zagadka – przyznał Samarin. – Nie można też wykluczyć, że Niemcy dostarczą Polakom sprzętu w przyszłości, nawet jeśli nie mieli takiego zamiaru. Dla nich to idealna sytuacja, w końcu Warszawa wiąże część naszych sił. Co im szkodzi poprzeć niepodległościowe dążenia Polaków, w końcu i tak stracili te tereny.

– Toteż to – przytaknął z namysłem Brusiłow. – W żadnym wypadku nie możemy dopuścić, żeby Polacy poparli kajzera. Jeśli nie przełamamy polskiej obrony w ciągu tygodnia, trzeba będzie pójść na ustępstwa i zaakceptować status Rzeczypospolitej Warszawskiej jako niepodległego państwa, nalegając

jedynie, żeby zachowało neutralność wobec obu walczących stron. Zdaje pan sobie sprawę, generale, że dla nas to skrajnie niewygodna opcja?

– Oczywiście, trzeba będzie skorygować plan umocnienia się na linii Wisły.

– Czort z tym! – machnął ręką Brusilow. – To problem taktyczny. Gorzej, że Polska znowu stanie się podmiotem polityki międzynarodowej. Następstwa tego faktu mogą być nieobliczalne! Prawda, że nie tylko dla nas, ale i dla Niemców. Bo trudno przecież przypuścić, żeby Polacy pałali miłością do państw, które zabrały im ziemię, zniewoliły i próbowały wynarodowić.

Samarin odchrząknął dyplomatycznie.

– To dość radykalne podejście – zauważył. – Nie żebym się nie zgadzał z pańską analizą, jednak obawiam się, że wiele osób widzi to inaczej.

– Nie wątpię! – parsknął Brusilow. – Dla nich historia zaczyna się od ostatniego rozbioru Polski, a Polacy są tylko buntownikami, z niewiadomych przyczyn nienawidzącymi naszego imperium. Tyle że to złudzenia. Niebezpieczne złudzenia, na które ani ja, ani pan nie możemy sobie pozwolić – podkreślił. – Ale dość o tym, miejmy nadzieję, że to kwestia akademicka i za parę dni będziemy organizowali w Warszawie defiladę zwycięstwa. Wtedy pomyślimy o jakiejś osłodzie dla Polaków. Nie będę zabierał panu więcej czasu – zakończył.

Wracając do swojej kwatery, Samarin czuł ulgę przemieszana z rozczarowaniem. Oddział Omega miał walczyć bez niego, niby nic nowego, w końcu oficerowie jego rangi rzadko biją się w okopach, a jednak generał miał dziwne wrażenie, że tym razem grozi im szczególne niebezpieczeństwo i konieczność obserwowania starcia z oddali wywoływała podszytą niepokojem frustrację. Z drugiej strony natarcie miało zdusić kolejną niepodległościową inicjatywę Polaków, co ze względu na żonę przyjmował z mieszanymi uczuciami. No i po drugiej stronie barykady – niechby i formalnie! – znajdowali się Olaf i Anastazja. Gdyby nie wizja Anvelta, nie posiadałby się z radości, że ominie go szturmowanie Warszawy. Do tego dochodziły obawy Brusilowa, Polacy od zawsze byli mu sympatyczni, jednak myśl, że w przypadku niepowodzenia imperium będzie musiało paktować z własnymi poddanymi, budziła irytację.

– Szlag by to! – wymamrotał pod nosem. – Nic, tylko się spać.



Zadzwończyły szyby, Samarin złapał stojącą na brzegu stołu filiżankę, chroniąc ją przed upadkiem. Anna dołała mu herbaty, podsunęła kawałek własnoręcznie upieczonego ciasta. Podziękował, ale wyraz jego twarzy świadczył, że myślami przebywa gdzie indziej.

– Pyszności! – oświadczył Matuszkin, nerwowo wyglądając przez okno.

Co prawda ulica była idealnie pusta – mieszkańcy Nowomińska pozostali w domach, o ile nie pochowali się w piwnicach – ale huk armat oznajmił początek szturm. Usytuowane na przedmieściu baterie haubic ostrzeliwały polskie pozycje.

– Może przestaniemy udawać, że nic się nie dzieje? – spytała zirytowana Anna. – Obaj siedzicie jak na szpilkach!

– Martwimy się o swoich ludzi – wyjaśnił Matuszkin. – Słyszałaś o wizji młodego?

Anna potakująco skinęła głową.

– Saszka został zaproszony do sztabu Brusilowa, mają tam łączność radiową i telefoniczną z frontem, ale ze względu na ciebie... – nie dokończył zdania.

Dziewczyna popatrzyła z namysłem na wpatzonego w przestrzeń męża, wreszcie pocałowała go w skroń.

– Idźcie! – zdecydowała.

– Nie mogę zostawić cię w takiej chwili! – obruszył się Samarin. – Przecież wiem, co czujesz.

– To nie jest... łatwe – przyznała cicho. – Ale siedząc tu, niczego nie zmienimy. Idźcie!

– A jeśli wygramy?

– Tak?

– Czy ty...

Matuszkin zaklął na głos i wyszedł.

– Czekam na ulicy! – zawołał przez drzwi.

– Co ja?

– Czy mnie nie znienawidzisz?

– Nie potrafiłabym już – wyznała, spuszczając wzrok. – Wiesz przecież. A ty?

Co, jeżeli Warszawa się obroni?

Samarin przyklęknął przy krześle żony, pocałował ją w dłoń.

– Nigdy! – zapewnił. – Jesteś najlepszym, co mi się zdarzyło w życiu. A po skończonej ofensywie złożę raport o zwolnienie z armii. Obiecuję! Niech inni zajmują się wojaczką, ja mam już dość.

– Uciekaj! – poleciła z bladym uśmiechem.

Pocałował ją jeszcze raz, zbiegł pospiesznie po schodach. Przed bramą kamienicy stało kilkunastu żołnierzy pod dowództwem junkra Anvelta.

– Co to ma znaczyć? – rzucił Samarin, marszcząc brwi.

– Zabezpieczenie – odparł niecierpliwie Matuszkin. – Na wszelki wypadek.

Wsiadaj!

– Na jaki wypadek? – burknął generał, sadowiac się obok kierowcy.

– Gdyby ktoś sobie przypomniał, że twoja żona jest Polką, matole! A młody i tak nie bierze udziału w szturmie. Nic jej nie będzie! – dodał, widząc minę Samarina. – Sam Anvelt to jednoosobowa armia.

Generał skrzywił się niechętnie, lecz po chwili dał sygnał do odjazdu. Anvelt nie trafił do oddziału Omega ze względu na wizję, ta zdolność ujawniła się stosunkowo niedawno; chłopak był, jak to określały regulaminy, „pyromagiem”. Mówiąc wprost, potrafił posługiwać się symbolem ognia, kiedyś na oczach całej kompanii podpalił austriacki skład amunicji z odległości dobrej wiorsty. A w czasie niemieckiego kontrataku niemal w pojedynkę zlikwidował oddział szturmowy. Samarin wciąż miał koszmary, w których czuł smród palonego ludzkiego mięsa. Nie, cokolwiek by się stało, z Anveltem Anna będzie bezpieczna.

Wartownicy przed budynkiem sztabu dwukrotnie sprawdzili ich dokumenty, choć znali generała z widzenia. Samarin wątpił, aby Brusilow zajmował się takimi drobiazgami jak sposób pełnienia służby wartowniczej, ale żołnierze musieli wyczuć, że dowodzenie przejął ktoś, kto nie toleruje najmniejszych nawet uchybień. Twierdzenie, jakoby przedstawiciel Stawki miał jedynie konsultować plany Jakimowa, było tylko przejawem kurtuazji.

W zastawionej sprzętem łączności sali balowej panowało wyraźnie wyczuwalne napięcie, większość oficerów skupiła się przy wielkim stole. Samarin podszedł bliżej, Brusilow osobiście nanosił poprawki na mapę

przedstawiającą Warszawę i okolice.

– Jak sytuacja? – zapytał szeptem.

– Wszystko zgodnie z planem – odparł Brusilow, nie odwracając się. – Opór Polaków wzrasta zgodnie z moimi przewidywaniami. Ale powoli zaciskamy pierścień wokół Warszawy.

Samarin rozejrzał się, na twarzach obecnych widać było zmieszanie, najwyraźniej nie wszyscy podzielali optymizm dowódcy.

– Jedno mnie martwi – kontynuował Brusilow.

– Tak?

– Nigdzie nie widać aeroplanów wroga, a przecież nasz sterowiec atakuje ich linie obronne. Atakuje z powodzeniem – dodał w zamyśleniu. – Cóż, musimy poczekać. Może napijemy się herbaty?

– Chętnie – wymamrotał zaskoczony Samarin.

Po chwili wniesiono na salę samowary, oficerowie zasiedli przy stolikach, choć nerwowe spojrzenia rzucane w kierunku telefonistów świadczyły, że ostatnie, o czym teraz myślą, to delektowanie się lubianym przecież napojem.

– Polacy są dobrymi żołnierzami, to nie ulega wątpliwości – stwierdził w ciszy Brusilow. – Wielka szkoda, że nasi politycy nie potrafili tego wykorzystać. Być może kiedy zdobędziemy Warszawę, kilka gestów dobrej woli zmieni sytuację.

– Proszę wybaczyć, *wasze wysokopriewoschoditelstwo*, ale koncesje dla buntowników? – odezwał się wąsaty oficer z pagonami majora.

– Polityka to sztuka kompromisu – wyjaśnił niezmiuszany Brusilow. – Bywa, że i na wojnie trzeba pogodzić się z pewnymi ustępstwami. W ostatecznym rozrachunku liczy się tylko efekt.

– *Wasze wysokopriewoschoditelstwo!* – zawołał jeden z telefonistów. – Zaczęło się!

– Melduj! – polecił Brusilow zimnym, zupełnie innym niż przed chwilą tonem.

– Na odcinku pułkownika Skaryszewa padły dwa bataliony. Dosłownie, kilkuset chłopów zważyło się na ziemię w ułamku sekundy. Także Libicki i Kniaziew donoszą o magach, którzy potrafią jednym słowem zabijać całe oddziały!

– Pod Radzyminem załamał się atak pułku Nachimowa! – wykrzyczał inny.

– Przekazać rozkazy grupom szturmowym oddziału Omega!

Spojrzenia obecnych skupiły się na Samarinie.

– Może przedstawi pan kolegom swój plan? – zaproponował Brusilow. – I wyjaśni, dlaczego jesteśmy przygotowani na taki obrót spraw.

Samarin zamieszał herbatę, zwilżył suchy jak wiór język, przełknął, parząc sobie gardło.

– Jeden z moich ludzi ma wizje – oznajmił spokojnie. – Te jego... przeczucia zawsze się sprawdzają, dlatego kiedy powiedział mi, że ujrzał, jak nasi żołnierze umierają zabijani przez polskich magów, od razu zaczęliśmy pracować nad sposobem ich eliminacji. W sumie nie ma w tym niczego zaskakującego, cały czas spotykamy się na froncie z takimi przypadkami, tyle że na mniejszą skalę. Być może Polacy odkryli nowe słowo mocy albo udoskonalili stare? Nie ma to większego znaczenia, zasada działania pozostaje ta sama: zanim adept użyje swoich zdolności, musi ujrzeć cel. A porażenie dziesiątek czy setek ludzi naraz wymaga zajęcia odpowiedniego stanowiska. Trzeba też pamiętać, że użycie jakiegokolwiek symbolu wywołuje u maga skrajne zmęczenie, dlatego o ile ktoś potrafiłby nawet zabijać całe grupy ludzi, na pewno nie będzie w stanie robić tego zbyt często. Z tego właśnie powodu postara się objąć jednym rzutem oka jak największą liczbę wrogich żołnierzy.

– Czyli zajmie stanowisko na pewnej wysokości? – odezwał się któryś z oficerów.

– Tak. Drzewo, pagórek, wieża kościelna, coś w tym rodzaju. Jak powiedziałem, użycie magii na froncie nie jest rzadkością, dlatego już wcześniej wypracowaliśmy pewne procedury.

– Snajperzy? – rzucił ktoś domyślnie.

– Albo grupy szturmowe. Czasami mag jest tak dobrze ukryty, że nie ma możliwości, żeby go trafić.

– Grupy szturmowe? Przecież to oczywiste, że tamci będą chronić swoich magów!

– Specyficzne grupy szturmowe – uzupełnił Samarin. – Magia na magię. Wybacz panowie, że nie będę wdawał się w szczegóły. Moi ludzie są w stanie określić, gdzie użyto słowa mocy, to jak zapalenie pochodni w ciemnościach, a reszta to kwestia doświadczenia, no i odrobiny wojennego szczęścia – dodał,

wzruszając ramionami.

– Przyszła szyfrówka z dwunastej kawaleryjskiej, Polacy kontratakują na odcinku Jabłonna–Wołomin! – krzyknął z pobladłą twarzą starszy, szpakowaty telegrafista. – Generał Krejter melduje, że straty sięgają czterdziestu procent stanu! Biełgorodzki Pułk Ułanów przestał istnieć!

– Natychmiast wysłać im odwody! – zarządził z kamienną twarzą Brusilow. – Taube! – zwrócił się do swojego adiutanta. – Kogo mamy w pobliżu?

– Drugą brygadę Dwunastej Dywizji Piechoty. Pułki Ukraiński i Odeski – zameldował chorobliwie chudy pułkownik z monoklem w oku.

– W porządku, niech wzmocni ich jeszcze dywizjon moździerzowo-artyleryjski.

– *Słuszajus', wasze wysokopriewoschoditielstwo!*

Samarin wyciągnął papierośnicę, obrócił ją w dłoniach niezdecydowanym gestem. Salę wypełnił gwar przyciszonych rozmów, oficerowie dyskutowali o przebiegu operacji, starając się nie przeszkadzać telefonistom.

– Musimy czekać – ponownie stwierdził Brusilow.

Generał sprawdził kilka detali na mapie, po czym podszedł do Samarina.

– Można? – zapytał.

– Oczywiście, *wasze...* Aleksieju Aleksiejewiczu! Papierosa?

– Poproszę.

Zanim Samarin sięgnął po zapałki, ogień podał któryś z młodszych oficerów. Po chwili do stołu przysiedli się i inni.

– Moja matka była Polką – zagaił ni stąd, ni zowąd Brusilow. – Pańska żona mi ją przypomina: ten sam temperament i oddanie najbliższym. W trakcie naszej podróży wypomniała nam, Moskałom, wszystkie grzechy od czasów Katarzyny Wielkiej – dodał z dobrodusznym uśmiechem.

Wokół rozległ się nerwowy chichot, ku zdziwieniu Samarina żaden z oficerów nie wyglądał na oburzonego.

– Było nas tam kilkunastu, ale Anna Piotrowna bynajmniej nie przejęła się faktem, że jest w mniejszości, i atakowała nas, proszę mi wybaczyć to porównanie, jak mały, dzielny foksterierek sforę brytanów.

– To do niej podobne – przyznał melancholijnie Samarin.

– Meldunek z Czterdziestej Dziewiątej Dywizji! Raportują likwidację dwóch

polских magów!

– Magów, a nie adeptów? – spytał szybko Brusilow.

– Niestety, tylko magów – potwierdził telefonista.

– To dopiero początek – machnął ręką Brusilow. – Wierzę w ludzi generała Samarina.

– Mam nadzieję, że ta taktyka sprawdzi się i pod Warszawą – mruknął sceptycznie łysy jak kolano oficer w mundurze artylerzysty. – Bo na pierwszy rzut oka wygląda na to, że jeśli chodzi o magię, to Polacy nas wyprzedzili.

– Och, niech pan nie będzie takim zrzędą, Dracenko! – zganiał go bez gniewu Brusilow. – Pan wszędzie widzi tylko trudności. Choć w tym wypadku może coś jest na rzeczy – przyznał.

Samarin przyjrzał się artylerzyście z nowym zainteresowaniem: generał Dracenko wsławił się w czasie odwrotu po przegranej bitwie pod Mukdenem brawurowymi kontratakami artylerii, które spowolniły japońską ofensywę i pozwoliły wycofać się resztkom wojsk Kuropatkina.

– Ale nie czuję się kompetentny w tym temacie – kontynuował Brusilow. – Lepiej objaśni to dowódca oddziału Omega.

– Wszystko jest możliwe – powiedział Samarin, gasząc papierosa. – Cóż chcecie, panowie? To wojna! A wśród Polaków nie brakuje utalentowanych magów czy alchemików.

– Przepraszam, *wasze priewoschoditelstwo* – odezwał się młody kapitan. – Ma pan na myśli Olafa Rudnickiego? On jest teraz w Warszawie, prawda?

– Także jego – potwierdził z westchnieniem Samarin.

– Ale przecież człowiek, który narażał życie, żeby uratować carewicza, nie będzie chyba popierał buntowników?

– Jeszcze jak będzie! – zapewnił Dracenko. – Pod tym względem wszyscy Polacy mają nie po kolei w głowie! Krzyknij takiemu „ojczyzna wzywa!”, a zaraz chwyci za szablę. Wierzcie mi, wiem, co mówię, moja żona też jest Polką. Kiedyś w czasie kampanii tureckiej zachorowałem na dur brzuszny, a to, sami wiecie, nieprzyjemna rzecz. Elwira – głos mu złagodniał – przebywała w obozie razem z innymi żonami oficerów. Kiedy dowiedziała się o mojej chorobie, przejechała dwieście wiorst chłopską furą bez eskorty tylko po to, żeby mnie pielęgnować. Wyrzuciła ordynansa za drzwi i siedziała przy mnie dzień i noc, póki nie

wydobrzałem. Jednym słowem: ideał. A wystarczyło, że kiedyś wspomniałem coś niepochlebnego o buncie z osiemset trzydziestego, i cisnęła we mnie wazę z zupą! Rozumiecie? Ot tak, bez słowa!

– I co? Trafiła? – spytał z ciekawością Brusilow.

– Dzięki Bogu, nie.

Oficerowie ryknęli śmiechem.

– I co pan zrobił, *wasze priewoschoditelstwo*? – zainteresował się któryś z młodszych oficerów.

– Jak to co? Uciekłem. W zasięgu ręki miała jeszcze półmisek z pieczystym.

Kolejny wybuch wesołości przerwało poruszenie wśród telefonistów, Brusilow uciszył wrzawę jednym ruchem dłoni.

– Meldujcie! – rzucił krótko.

– Generałowie Szachowski i Kaganow zgłosili śmierć dwóch polskich adeptów, a grupa Omega przydzielona do Czterdziestego Czwartego Pułku Kamczackiego informuje o eliminacji trzeciego, chociaż nie potwierdzają tego na sto procent.

– Znakomicie! Przekazać wszystkim sygnał do natarcia.

Na sali długo słyhać było tylko podekscytowane głosy telefonistów i stukanie telegrafu.

Samarin z namysłem pokiwał głową.

– To odpowiedni moment – stwierdził. – Nie sądzę, żeby Polacy mieli więcej niż kilku magów tej klasy. Jednak trudno zakładać, że zabiliśmy wszystkich.

– Nawet jeśli został im jeden czy dwóch adeptów, nie będą zbyt długo zdolni do obrony okrężnej. Nie przy takiej dysproporcji sił. Pozostaje nam tylko czekać – powtórzył po raz kolejny Brusilow.



Samarin zerknął na duży ścienny zegar, dochodziło wpół do szóstej po południu. Atmosfera w sztabie daleka była od entuzjazmu, Polacy odparli wszystkie ataki, a w dodatku zdobyli baterię ciężkich haubic, które niedoświadczony oficer rozmieścił zbyt blisko stanowisk wroga. Niewątpliwie odczuli utratę magów, ich adepci ujawniali się z rzadka i ostrożnie, natychmiast zmieniając miejsce

ukrycia, za to straty ponoszone z powodu użycia słów mocy szły w tysiące.

– Siódmy Korpus rozpoczął natarcie na Radzymin – zameldował pułkownik Taube.

Brusiłow skwitował informację potakującym gestem, tym razem powstrzymując się od komentarza. Milczeli i pozostali sztabowcy, nikt nie miał ochoty na czcze dyskusje czy żarty. Kwadrans wcześniej podano skromny posiłek, ale tylko kilka osób skorzystało z poczęstunku, za to niemal wszyscy palili, powietrze w sali pociemniało od tytoniowego dymu. Oficerowie wpatrywali się w ogromną, umieszczoną na ścianie mapę przedstawiającą linię frontu, jednak czerwone chorągiewki symbolizujące polskie jednostki uparcie tkwiły w miejscu.

– Ech, gdyby mieć tu choć jednego muromca – westchnął Dracenko. – Widziałem kiedyś tego potwora w akcji, to naprawdę robi wrażenie.

Szmer aplauzu potwierdził, że i inni chcieliby wzmocnienia sił 8. Armii, przedłużający się pat niepokoił.

– A do tego jeszcze orkiestrę reprezentacyjną i balet z Sankt Petersburga – uzupełnił ironicznie Brusiłow. – To tak nie działa, panowie. Albo nasze rachunki są ścisłe i wtedy wygramy bez dodatkowej pomocy, albo trzeba będzie odstąpić od Warszawy, bo jeśli Polacy wezmą górę, pierwsze, co zrobią, to umocnią swoje pozycje i powiększą armię. A wtedy nawet eskadra muromców nie zmieni sytuacji.

– *Wasze wysokopriewoschoditelstwo!* Generał Ellis melduje, że grupa Omega zabiła kolejnego adepta, a czołówka Trzynastej Dywizji wdarła się do Radzymina!

– Konkretnie, człowieku! – wypluł z siebie Brusiłow, po raz pierwszy tracąc zimną krew. – Kto się wdarł?!

– Wileński Pułk Piechoty – zameldował kolejny telefonista.

– To dobrzy żołnierze. Kto tam dowodzi? Wasiliew-Czczel? No, ten nie pozwoli się wyrzucić z miasta. Wracaj do pracy – powiedział dowódca już spokojniej. – I przekazać wszystkim jednostkom, żeby nadal naciskały na Polaków!

– *Słuszajus', wasze wysokopriewoschoditelstwo!*

Brusiłow podszedł do mapy i z wyraźną satysfakcją przesunął czerwoną

chorągiewkę.

– Zaczęło się – oznajmił. – Myślę, że przekroczyliśmy punkt krytyczny, teraz Polaków mógłby uratować tylko cud.

Cisza pękła i oficerowie zaczęli się przekrzykiwać, komentując postępy operacji. Samarin postanowił rozprostować nogi, dopiero teraz poczuł napięcie do bólu mięśnie. Na korytarzu wykonał kilka przysiadów, po czym sięgnął po papierosa. Widząc łakome spojrzenia wartowników, podsunął im papierośnicę.

– Dawno przy sztabie? – zagaił.

– *Nikak niet!* – odparł dziarsko krępy mężczyzna z zawadiackim, podkreślonym wąsem. – Dopiero od miesiąca. Wcześniej wojowałem w Dwunastym Husarskim, a Wańka – wskazał towarzysza – w Siedemdziesiątym Czwartym Stawropolskim.

– Siódmy Korpus – mruknął generał. – Teraz wasi biją się o Radzymin.

– Służyłem z Polakami – westchnął nazwany Wańką mężczyzna. – Dobrzy koledzy i żołnierze. A teraz z nimi walczymy.

– Tak trzeba! – zganił go wąsacz. – Nie byłoby tego, jakby się nie zbuntowali! Prawda, *wasze priewoschoditelstwo?*

Zanim Samarin zdążył odpowiedzieć, w drzwiach stanął Brusilow. Wartownicy zamarli z papierosami w dłoni, ale generał nie zaszczycił ich nawet spojrzeniem.

– Aleksandrze Borysowiczu – powiedział – mam dla pana przykrą wiadomość.

– Straciliśmy Radzymin?

– Nie, z tym wszystko w porządku, miasto jest już całkowicie w naszych rękach, przełamaliśmy front i ruszamy w pościg za Polakami. Chodzi o pańską żonę...

Samarin zgiął się wpół jak po uderzeniu w brzuch, jakaś zimna stalowa łapa zacisnęła się na sercu.

– Co z Anną?! – spytał bez tchu.

– Przed chwilą telefonował junkier Anvelt. Zaatakowano pańską kwaterę. Na szczęście ochrona odparła napad, ale Anna Piotrowna została ranna. Wysłałem już pluton alarmowy, ale...

Samarin nie czekał, aż generał dokończy, i rzucił się do biegu. Słyszał za sobą tupot ciężkich wojskowych butów, najwyraźniej Brusilow wysłał kogoś za nim.

Wypadł na ulicę i zaklął bezsilnie, bo samochód zniknął razem z kierowcą.

– Proszę poczekać! Za chwilę będą tu kozacy, konno będzie szybciej niż automobilem!

Samarin zerknął przez ramię: Taube.

– Obedrę go ze skóry! – wyszczał. – Miał czekać na mnie przed pałacem!

Pułkownik pocieszającym gestem położył Samarinowi dłoń na ramieniu.

– To nic poważnego, mam na myśli ranę pańskiej żony – powiedział. – Anvelt zaznaczył to kilkakrotnie. On...

Gwałtowny tętent oznajmił przybycie kozaków, dowódca zeskoczył z siodła w pełnym galopie niczym cyrkowiec.

– Esauł Woronczenko – przedstawił się krótko.

– Konia! – krzyknął Samarin.

Woronczenko skinął ręką i jeden z żołnierzy podprowadził potężnego czarnego ogiera, przytrzymał strzemień.

– Za mną! – warknął generał.

Runęli naprzód jak do szarży, na szczęście ulice były niemal puste, nieliczni przechodnie umykali na boki, ktoś krzyknął, kto inny zatrzasnął okiennice.

Okolice dworca obstawione były wojskiem, ale widząc Samarina, żołnierze natychmiast się rozstąpili. Generał zsunął się z konia, jakby mu ubyło dwadzieścia lat, zatrzymał się na moment, zamrugał z niedowierzaniem. Fasada budynku była okopcona, zniknęły okna, a bruk pokrywały płatki sadzy.

Z bramy wyszedł Matuszkin, podtrzymując kulejącego Anvelta. Z twarzy młodzieńca widać było tylko oczy, resztę pokrywały bandaż.

– Co tu się stało, do cholery?!

– Magia, a cóż by innego? – odparł ponuro Matuszkin. – Pierdolona...

– Kochanie!

Nagle na ulicę wybiegła Anna, rzuciła się mężowi w ramiona. Na prawym policzku i szyi miała opatrunki, oficer poczuł drażniący zapach maści na oparzenia.

– Nic ci nie jest? – wymamrotał gorączkowo.

– To drobiazg, pan Anvelt mnie uratował.

– Odepchnął ją i zasłonił własnym ciałem – wyjaśnił Matuszkin. – Nieźle mu się dostało.

Dopiero teraz Samarin zauważył, że chłopak ma bandażę nie tylko na twarzy, a z munduru pozostały osmolone strzępy.

– Polacy? – wycedził przez zęby.

– Bo ja wiem? Sam zobacz. – Matuszkin wskazał leżące na chodniku zwłoki.

Samarin podszedł bliżej, Anna odwróciła wzrok, ale nie puściła ręki męża.

– Nie powinnaś na to patrzeć – upomniał ją łagodnie.

– Nie patrzę!

Zwłoki były spalone, jakby wyciągnięto je z pogrzebowego stosu, ale na piersi jednego z zabitych można było odczytać litery: DVN.

– *Dominus vitae necisque?*

– A jak myślisz? – odburknął Matuszkin.

– Cóż, kiedy wejdziemy do Warszawy, porozmawiam sobie na ten temat z kilkoma osobami – stwierdził Samarin złowrogo. – A w szczególności z pewnym alchemikiem.

– Zwariowałaś?!

– Och, wiem, że Olaf tego nie zrobił, ale pewnie będzie wiedział, skąd wiatr wieje. On zawsze za dużo wie.

– Szkoda, że młody dał się ponieść entuzjazmowi, w zasadzie nie ma czego badać.

Samarin spojrział na chłopaka, ponownie przeniósł wzrok na zwłoki. Niektóre były tak zwęglone, że rozpadały się w oczach.

– Myślę, że wiemy dostatecznie dużo – zawyrokował. – Dobra robota, junkrze Anvelt! A reszty dowiemy się w Warszawie.

Matuszkin przytaknął ruchem głowy.

– To już niedługo – powiedział.

Podmuch wiatru przyniósł odgłosy kanonady, wymiół z ulicy smród spalenizny. Na chwilę.

– Niedługo – powtórzył generał.

X

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Rudnicki precyzyjnym, odmierzonym ruchem nadgarstka strząsnął kroplę złotego płynu w oczodoł pacjenta. A raczej w to, co jeszcze kilka godzin wcześniej było oczodołem. Ranny zawył nieludzko i wyprężył się na stole operacyjnym, naciągając do granic możliwości grube skórzane pasy. Dwóch sanitariuszy rzuciło się, aby go unieruchomić.

– Dajcie mu trochę morfiny – polecił Rudnicki.

Całą twarz pacjenta pokrywała gaza przesiąknięta krwią i płynem surowicznym, efekt działania rosyjskich adeptów. Ci z upodobaniem stosowali słowa mocy związane z żywiołem ognia.

Alchemik odwrócił się, słysząc energiczne kroki, zamrugał ze zdziwienia na widok Staszka Wieleckiego.

– Co tu robisz? – zapytał. – Co się z tobą działo?

Ostatni raz widzieli się dwa lata wcześniej, w warszawskiej Cytadeli. Po odwrocie Rosjan Rudnicki nieraz zastanawiał się, jaki los spotkał ułaskawionych przez cara zamachowców, choć prawda, że wyłącznie z powodu matki Staszka, którą regularnie odwiedzał.

– Może porozmawiamy na zewnątrz? – zaproponował Wielecki. – Nie chciałbym niepokoić rannych, a i tobie przyda się chwila oddechu.

Alchemik rozprostował ramiona, przegiął się w tył, aż mu chrupnęło w kręgosłupie.

– Co prawda, to prawda – potwierdził. – Nie spałem od wczoraj. A podobno nasze pozycje były nie do sforsowania – dodał złośliwie.

Wielecki nie odpowiedział na prowokację, najwyraźniej wyrósł już z dziecięcych ataków złości.

– Sytuacja się zmieniła – stwierdził sucho, kiedy wyszli na ulicę. – Ale o tym

porozmawiamy w drodze.

Jakby wtórując jego słowom, przed szpital zajechał automobil.

– Oszalałeś?! Jestem tu potrzebny!

– Gdzie indziej jeszcze bardziej! – uciął Wielecki. – Wsiadaj!

Z samochodu wyskoczyło dwóch mężczyzn, jeden z nich wymownym gestem otworzył drzwi maszyny. Nie ulegało wątpliwości, w jakim celu przybyli. Alchemik skłął się w duchu, nie miał przy sobie broni ani nawet buteleczki z homunkulusem. W chronionym przez wojsko szpitalu czuł się bezpiecznie.

– Tu wszędzie są patrole – powiedział, starając się opanować drżenie głosu. – Wystarczy, że krzyknę, a...

– Niczego to nie zmieni – wszedł mu w słowo Wielecki. – Najwyżej zginie kilku Bogu ducha winnych wartowników. Wsiadaj! – powtórzył.

Rudnicki przez moment zastanawiał się nad podjęciem walki, ale w końcu zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Szamotanina mogła ściągnąć ochronę, a nie miał ochoty oglądać kolejnych śmierci.

– Teraz do rzeczy – zagaił Staszek. – Przede wszystkim bardzo cię przepraszam, ale musiałem wykonać rozkaz.

– Jaki, do cholery, rozkaz? I dlaczego nie dałeś znaku, że żyjesz? Twoja matka odchodzi od zmysłów!

Przez twarz Wieleckiego przemknął grymas bólu, lecz zniknął tak szybko, że alchemik zaczął wątpić w świadectwo własnych oczu.

– Działam z rozkazu Cienia – odparł po chwili. – A co do mamy, to lepiej, żeby nie wiedziała – dodał cicho. – I dość o tym! Teraz będziemy rozmawiali o tobie.

– Gdzie jedziemy?

– Na lotnisko. Zaraz zmienimy środek transportu.

– Chcicie mnie wsadzić w aeroplan?! Nie umiem kierować taką maszyną!

– Bez obaw, nikt tego od ciebie nie wymaga. I nie zgadłeś, choć byłeś blisko: chodzi o sterowiec. Zaraz wszystko wyjaśnię – uprzedził, widząc minę Rudnickiego. – Wiesz, że ponosimy duże straty?

– Lepiej niż ktokolwiek inny! – warknął alchemik. – Od paru dni nie wychodzę ze szpitala.

– No tak, tylko że żołnierzy można zastąpić, jakkolwiek brutalnie by to zabrzmiało. A magów i adeptów nie. Rosjanie mają specjalny oddział, który

zajmuje się magią, nazywają go Omega. Dowodzi nim twój znajomy, hrabia Samarin.

– W jakim sensie zajmuje?

– Zabija wrogich magów, w razie potrzeby wspiera natarcie własnych sił. Omega składa się z adeptów, którym towarzyszą żołnierze wytrenowani do współpracy z magami.

– Co ja mam z tym wspólnego?

– Jesteś adeptem – wyjaśnił Wielecki. – I w tym momencie potrzebujemy twoich umiejętności bojowych, a nie medycznych.

– Chcecie mnie zmusić do walki?

– Nie, moje rozkazy są precyzyjne, sam podejmiesz decyzję. Ja jedynie umożliwię ci użycie słowa mocy.

– Więc ten aerostat...

– Tak. Polecimy w rejon najbardziej zaciętych walk.

Rudnicki rozejrzał się dyskretnie; gdyby niespodziewanie wyskoczył z pojazdu... Do Lotniska Mokotowskiego jeszcze kawałek drogi, jeśli automobil zwolni na zakręcie, być może nadarzy się okazja. Niestety, kierowca pędził jak do pożaru.

– Dlaczego ja?! – rzucił wściekle. – Mało wam pomogłem?! Pułkownik Stankiewicz zapewniał mnie, że macie pod dostatkiem magów i adeptów!

– Nie mamy – odparł spokojnie Wielecki. – Już nie. I pomogłeś nam jak nikt inny, nie zapomnimy ci tego. Zarówno pociąg pancerny, jak i sterowiec stanowią ważny element obrony miasta.

– A co ma do tego sterowiec? Dałem pieniądze tylko na *Panzerzug*.

– Dzięki twojej hojności kupiliśmy i sterowiec. Nie! Stankiewicz cię nie oszukał! Nie ośmieliłby się. Po prostu jak to w handlu, stargowaliśmy cenę pociągu tak, że wystarczyło i na sterowiec.

– I co teraz? Mam umrzeć, bo przeliczyliście się z siłami? Bo żaden adept nie przeżyje tego, co proponujesz.

– Przeżyje – odparł dziwnym, zdławionym tonem Wielecki. – Nikt z naszych nie zginął z tego powodu, wszystkich dorwali Rosjanie. Mamy jeszcze dwóch adeptów i grupę magów, ale nie na kierunku głównego natarcia. Tamci nie mogą się ruszyć, bo Rosjanie natychmiast przełamują nasze linie obrony.

– Więc ja mam zatrzymać Rosjan? W pojedynkę?

– Nie! Przewidzieliśmy taki rozwój sytuacji i posiadamy odpowiednie rezerwy. Nie doceniliśmy tylko grupy Omega. No i kto mógł się spodziewać, że natarciem będzie kierował sam Brusilow? Poprzedni dowódca Ósmej Armii to niekompetentny błazen.

– Czego ode mnie chcecie?

– Żebyś użył słowa mocy, nic więcej. Wzniesiemy się na wysokość kilometra, może wyżej, tak że będziesz widział nacierających Rosjan.

– Ilu mam zabić? – zapytał z goryczą Rudnicki. – Setki? Tysiące? Nie wiem, czy jestem na to gotowy.

– Dokonasz wyboru tam, w powietrzu. Tylko pamiętaj, że niezależnie od tego, co zrobisz, my będziemy walczyli do końca.

– Masz na myśli sztyletników?

– Nie, Polaków – stwierdził sucho Wielecki. – Byłeś w okopach?

– Nie miałem czasu wizytować linii frontu. Może nie jestem bohaterem, ale myślę, że moja praca w szpitalu też jest coś warta!

– Nikt nie powątpiewa w twoją odwagę – zapewnił ze zdziwieniem w głosie Wielecki. – Po prostu tam lepiej widać pewne zmiany. Paniusie z warszawskiego beau monde’u łamią sobie paznokietki, kopiąc rowy strzeleckie, i donoszą żywność żołnierzom często pod ostrzałem Rosjan. Do wojska zgłaszają się nawet dzieci arystokratów. Już nie jesteśmy rozbici na sto wrogich sobie frakcji. Taka szansa nie trafia się co dzień!

– Ale Rosjanie wygrają?

Staszek przygryzł wargi, zaprzeczył gestem.

– Uzyskali przewagę – przyznał. – Jednak ich siły są na wyczerpaniu. Jeśli powstrzymamy ich dzisiaj, jutro albo pojutrze wyślą parlamentariuszy.

– I wszystko zależy ode mnie? Przecież to bzdura!

– Niezupełnie, Cień ma plany na każdą okazję, bardzo bym się zdziwił, gdyby nie przewidział i takiej sytuacji. Jednak... – zawahał się wyraźnie, nie kończąc zdania.

– Tak?

– Grasz w szachy?

– Skąd! Dlaczego pytasz?

– Wiesz, co to gambit? Czasem gracz poświęca jedną lub kilka bierek, żeby uzyskać lepszą pozycję i pokonać przeciwnika. Tylko że tym razem Cień gra żywymi figurami i wołałbym, żeby obyło się bez takich sztuczek. A to zależy od ciebie, bo on nie cofnie się przed niczym. O wygraną jestem spokojny, pozostaje kwestia ceny. Cień zaakceptuje każdą, ja wołałbym minimalizować straty.

Rudnicki poczuł mróz na skórze, tajemniczego przywódcę sztyletników spotkał tylko raz, ale i tego wystarczyło, żeby zgodzić się z oceną Staszka, Cień był zimnym, bezlitosnym graczem, bezgranicznie oddanym idei niepodległości. Losy jednostek znaczyły dla niego tyle, co garść suchych liści.

– Więc nie mam wyjścia – powiedział głucho.

– A ja? Myślisz, że ja mam jakiś wybór? – zaśmiał się bezradośnie Wielecki. – Jak mówiłem, działałam z rozkazu Cienia, ale nie z jego inicjatywy, to Wiktoria zaproponowała, żeby w razie czego poprosić cię o pomoc, on pewnie wołałby swoje szachowe kombinacje.

– No tak, panienka Wiktoria, mogłem się spodziewać, że o mnie nie zapomni. Ciekawe, dlaczego ona nie poleci z wami sterowcem?

Kierowca obejrzał się do tyłu, samochodem zarzuciło, zapiszczały opony. Wielecki przywołał go do porządku głuchym warknięciem.

– Wiktoria nie żyje – powiedział. – Poległa, broniąc Radzymina.

Słowo „poległa” zadudniło głucho, niczym sypana na trumnę ziemia, jednak w głosie Staszka było coś jeszcze: bezbrzeżna, nieogarniona rozpacz.

– Znałeś ją dobrze? – zapytał Rudnicki przez ściśnięte gardło.

– Tak. Ostatnio... zaczęliśmy się oddalać. Myślałem nawet, że kogoś poznała, ale przecież nie miała kiedy. Chyba że w tym twoim hotelu?

– Nie – odpowiedział alchemik, odwracając twarz. – Zauważyłbym.

– Tak też myślałem.

– Jesteśmy na miejscu – zameldował kierowca.

Już w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku rosyjskie władze przekształciły część wojskowego placu ćwiczeń na Mokotowie w prowizoryczne lotnisko. Po zajęciu Warszawy Niemcy zmodernizowali je, budując między innymi hangar dla sterowców. Jeden z takich aerostatów unosił się tuż nad ziemią.

– Wsiadamy – zarządził Wielecki.

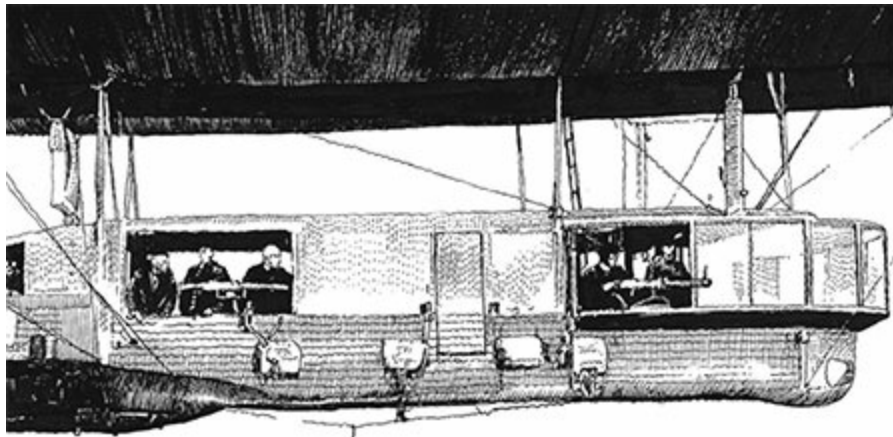
Rudnicki posłusznie opuścił automobil, oszołomiony wiadomością o śmierci

Wiktorii, nawet nie pomyślał o ucieczce.

– Jak zginęła? Zabili ją ludzie Samarina?

– Nie, zwykła zbląkana kula. Pech.

Gondola sterowca wyładowana była skrzynkami z amunicją, a przy stanowiskach karabinów maszynowych czuwali mężczyźni w skórzanych kombinezonach lotniczych. Najwyraźniej sztyletnicy nie mieli zamiaru polegać wyłącznie na magii.



Wielecki bez słowa wskazał przyśrubowane do podłogi krzesło tuż przy oknie.

– Stąd będziesz miał dobry widok – powiedział.

Rudnicki poczuł lekki wstrząs i sterowiec oderwał się od ziemi, po chwili płynęli już nad miastem. Zafascynowany widokiem alchemik wychylił się na zewnątrz, pęd powietrza rozburzył mu włosy.

– Włóż to – poprosił Wielecki, podając Rudnickiemu solidny skórzany płaszcz. – Parę kilometrów nad ziemią robi się zimno.

– Nie wiem, czy z takiej wysokości dojrzę kogokolwiek – zaprotestował alchemik.

– Więc jednak chcesz to zrobić?

– Tak.

– Dostosujemy się do twoich życzeń – zapewnił Staszek. – Ale później nasz LZ wejdzie do walki i być może będziemy musieli uciekać przed samolotami, a wtedy liczy się głównie pułap. Możemy wznieść się dużo wyżej niż najlepsze z rosyjskich maszyn.

– Rozumiem. Ile razy zdążę powtórzyć słowo mocy, zanim umrę?

– Nic ci nie będzie – zapewnił Wielecki. – Wiktoria opracowała pewną... procedurę, która chroni adepta przed śmiercią, jednak nie wolno ci użyć magii więcej niż dwa razy! Istnieją pewne ograniczenia. Ale nie potrzeba nam więcej, z wysokości kilometra czy półtora przy dobrej widoczności, a dzień zapowiada się słoneczny, jednym rzutem oka obejmiesz kilka tysięcy ludzi. Twoim zadaniem jest likwidacja, a przynajmniej przetrzebieenie pułków idących w awangardzie, resztą zajmą się inni.

– Jesteś pewien, że to wystarczy?

– Całkowicie.

Przez jakiś czas lecieli skąpani w porannej jutrzence, później znaleźli się w cieniu, a sterowiec otoczyły mlecznobiałe, wilgotne opary. Kiedy przebili się przez warstwę chmur, słońce ponownie ozłociło wnętrze gondoli, ale temperatura wyraźnie spadła. Aerostat żeglował po niebie z leniwą gracją właściwą jedynie niektórym żaglowcom i morskim ptakom, wyznaczając swój własny szlak w przestworzach. Zdawało się, że wojna i wszystkie przyziemne troski zostały gdzieś daleko, tylko niegłośny szum silników przypominał

o rzeczywistości. Nagle idyllę zakłóciły odgłosy strzałów.

– Przestrzeliwanie karabinów – wyjaśnił lakonicznie Wielecki. – Zaraz zaczniemy wytracać wysokość, zbliżamy się do Radzymina.

Alchemik przełknął z wysiłkiem ślinę, skronie pulsowały w rytmie uderzeń serca.

– Jestem gotowy! – powiedział ochryple.

– Najpierw lewa, później prawa burta – rzucił nieznoszącym sprzeciwu tonem Staszek. – I pamiętaj! Nie więcej niż dwa razy!

Rudnicki posłusznie przeszedł na lewą stronę gondoli i spojrzał w dół, widok przywodził na myśl mapę z żółtymi plamami łąk i zielonymi kleksami lasów.

– Jeszcze chwila. Nasz LZ to nie myśliwiec.

– LZ?

– Skrót od *Luftschiff Zeppelin*.

– To nie jest twój pierwszy lot, prawda?

– Owszem, miałem być kapitanem podobnej maszyny, ale wyszło inaczej.

– Myślałem, że...

– Nieważne! Skoncentruj się, zaraz będziemy nad naszymi pozycjami.

Huk armat i brutalny warkot karabinów maszynowych potwierdziły jego słowa. Rudnickiemu wydało się nawet, że słyszy krzyk atakujących żołnierzy.

– Teraz! Widzisz wszystko wyraźnie?

– Widzę – potwierdził nieswoim głosem. – To na pewno Rosjanie?

– Na pewno!

Mrowie sylwetek w zielonych mundurach zalewało żałośnie wątlą linię okopów bronionych przez szarą piechotę, nie trzeba było wielkiej wiedzy wojskowej, aby zrozumieć, kto wygrywa. Z żółcią podchodzącą do gardła alchemik wychylił się za burtę i wykrzyczał: DASZ' DANTHAR! Poczul, jak jego kręgosłup wibruje niczym kamerton, przepelniło go poczucie niedającej się opisać potęgi. Jednym susem dopadł przeciwległej burty i ponownie wymówił słowo mocy. Przez moment nic się nie działo, Rudnicki odniósł wrażenie, że wszyscy zamarli niczym owady zatopione w bursztynie, ale w uderzenie serca później Rosjanie zaczęli umierać. Ciała setek i tysięcy żołnierzy zaścieliły ziemię na podobieństwo porzuconych przez lalkarza marionetek.

– Udało się! – zawołał. – Udało! Staszek, widziałeś?!

Ale Wielecki niczego już nie widział, leżał na podłodze podtrzymywany przez starszego mężczyznę o surowej twarzy, z oczu i ust sączyła mu się krew.

– Pa... miętaj, nie wolno ci więcej... – wyszeptał.

Rudnicki jednym ruchem rozerwał mu koszulę, zamarł, widząc tatuaż. Na piersi Staszka widniał symbol śmierci.

– Nie!

Sięgnął do kieszeni po buteleczkę z *materia prima*, ale starszy sztyletnik powstrzymał go stanowczym gestem.

– Jemu już nic nie pomoże – powiedział. – Przyjął na siebie konsekwencje tego, co pan zrobił. Per procura.

Rudnicki ukrył twarz w dłoniach, zakołysał się jak pijany.

– Wiktoria – wymamrotał. – Co ty zrobiłaś, dziewczyno...

– Pomogła nam wygrać wojnę – odpowiedział poważnie sztyletnik. – I proszę nie wstawać, atakujemy.



Umieszczone po obu stronach gondoli karabiny zaniosły się ujadaniem, a aerostat podskoczył, zwalniając ładunek bomb. Gdzieś obok rozerwało się prute kulami poszycie, ktoś klął, kto inny wołał o pomoc. Atakowali.



Lokaj podał idealnie ścięte jajka po wiedeńsku, ale Rudnicki nakazał zabrać je ze

stołu. Nieduża miska z resztkami owsianki świadczyła, że śniadanie było więcej niż skromne.

– *Gołubczik* – załamała ręce Tatiana Olegowna. – Wychudniesz mi na śmierć!

Kucharka przybiegła do jadalni natychmiast, jak tylko służba zaczęła odnosić nietknięte potrawy. Alchemik odpowiedział jej bladym uśmiechem, przecząco pokręcił głową.

– To tylko zmęczenie – skłamał. – Pracowałem wczoraj do późna.

– Może chociaż malin? Prosto z ogrodu – zapewniła.

– Odrobinę – zgodził się Rudnicki.

Sztywnym, niezbornym gestem sięgnął po pucharek z owocami, dodał łyżeczkę pachnącego lipą miodu. Skosztował, czując na sobie wzrok Tatiany Olegowny. Ciekawe, czy byłaby tak troskliwa, gdyby dowiedziała się, ilu Rosjan wczoraj zabiłem, pomyślał ponuro. Pewnie dosypałaby mi do zupy arseniku...

– Przybył pan Villanova – zaanonsował lokaj.

– Prosić – zdecydował Rudnicki.

Ruchem głowy dał znać, aby zostawiono go sam na sam z gościem. Tatiana Olegowna wykonała polecenie z wyraźnym ociąganiem.

Alchemik wstał i przywitał się z młodzieńcem uściskiem dłoni.

– Jadł pan śniadanie? – zapytał.

– W zasadzie tak. Jakies dwie godziny temu – odparł Villanova, obrzucając łakomym spojrzeniem obficie zastawiony stół.

– Czym chata bogata – zaprosił Rudnicki. – W zasadzie zrobi mi pan przysługę, moja kucharka uważa, że za mało jem.

– Źle się pan czuje? – zaniepokoił się chłopak.

– To nic takiego, lekka niedyspozycja.

Villanova odpowiedział nieartykułowanym pomrukiem, zajęty pałaszowaniem wypieków Tatiany Olegowny.

– Pyszności – skomplementował. – Pańska kucharka to prawdziwa czarodziejka.

– Odziedziczyłem ją po księciu Oboleńskim i rzeczywiście warta jest każdego pieniędzy.

– Słyszał pan, że Rosjanie odstąpili od Warszawy? Stankiewicz to geniusz! Wciągnął Rosjan w zasadzkę, podobno wczoraj zniszczył cały korpus! A oni już

myśleli, że mają Warszawę na tacy!

Rudnicki zrobił głęboki wdech, nie pomogło. Zerwał się z krzesła i popędził do toalety. Opróżnił żołądek, dręczony skurczami i potwornym bólem.

– Potrzebna panu pomoc? – zapytał przez drzwi zaniepokojony Villanova.

– Nie, dziękuję, proszę wracać do stołu.

Wyprostował się z jękiem, obmył twarz zimną wodą, przepłukał usta. Lustro pokazało mu twarz o chorobliwie wyostrzonych rysach, cienie pod oczyma nadawały jej wyraz znużenia.

– Szlag! Raczej nie jesteście chodzącą reklamą swojego zawodu, Olafie Arnoldowiczu – wymamrotał.

Kiedy wrócił do jadalni, Villanova nalał mu herbaty.

– To powinno pomóc – zauważył neutralnym tonem. – Byłem wczoraj w Szpitalu Dzieciątka Jezus, ale pana nie zastałem. Powiedziano mi, że wyjechał pan w pilnej sprawie. Odwiedziłem także hotel. A jeden ze szpitalnych posługaczy powiedział mi, że widział pana wsiadającego do samochodu...

Rudnicki przełknął kilka łyków gorzkiego napoju, spojrzał na rozmówcę spod oka.

– I cóż z tego?

– Nic – zmieszał się chłopak. – Po prostu zastanawia mnie...

– Tak, brałem udział w walkach – przerwał mu alchemik. – Pracując w szpitalu, uratowałem życie dwudziestu, może trzydziestu osobom. Wczoraj zabiłem setki, o ile nie tysiące.

– Więc to pan... W mieście mówią, że jakiś potężny mag pomógł powstrzymać rosyjskie natarcie.

– Potężny mag... – wymamrotał z goryczą Rudnicki. – Pewnie! Per procura!

– Nie rozumiem...

– Nieważne. – Alchemik machnął ręką. – Co pana sprowadza?

– Dwie sprawy. Załatwiłem dokumenty, o które pan prosił, niestety, formalności nieco się przeciągnęły ze względu na sytuację, no i chciałem przypomnieć, że o dwunastej mamy zebranie założycielskie gildii.

– Rzeczywiście, wypadło mi to z pamięci – przyznał Rudnicki bez entuzjazmu. – Jak rozumiem, należy się liczyć z perturbacjami? Bo przecież Markowski nie dopuści, żeby w Warszawie powstała prywatna gildia, do tego

kierowana przeze mnie.

Na twarzy młodzieńca odmalowała się konsternacja i Villanova z niezwykłą uwagą zaczęła obserwować adamaszkowy obrus.

– Co znowu? Czyżbym przeoczył coś jeszcze?

– Obawiam się, że tak, chociaż to w zasadzie dobra wiadomość. Przynajmniej dla nas.

Alchemik zmarszczył brwi, w słowach chłopaka zabrzmiała ledwo skrywana satysfakcja.

– Tak?

– Cóż, uprzedzał pan Markowskiego, że sztyletnicy nie puszczą mu kłamstwa płazem...

– I co, zabili go?!

– Nic z tych rzeczy. Jednak ani Markowski, ani jego przyjaciele nie odważą się wejść panu w drogę. Już nie. Markowski leży w Szpitalu Czerwonego Krzyża z poważnymi oparzeniami twarzy.

– No dobrze, ale co to ma wspólnego ze mną?

– Ktoś mu wypalił na czole słowo „kłamca”. Rozżarzonym żelazem. I obok pieczęć w kształcie sztyletu oplecionego płomieniami.

Rudnicki zaklął wściekle, rąbnął pięścią w stół.

– Nie miałem z tym nic wspólnego!

– Nikt pana o to nie podejrzewa. No a przynajmniej nikt z tych, którzy pana znają – dodał ciszej.

– To jeszcze nie wszystko, prawda?

Młodzieniec nie odpowiedział.

– Panie Villanova!

– Niektóre pisma, w tym „Kurier Warszawski”, nie tylko przytaczają pańską wypowiedź z zebrania ROW, ale sugerują wręcz, że jest pan kimś w rodzaju przedstawiciela sztyletników, „Kurier” nazwał pana „namiestnikiem”.

– No to koniec ze mną – skonstatował z rezygnacją Rudnicki. – Jaki nakład ma ta trupia gazeta? Dziesięć? A może dwadzieścia tysięcy? Już się nie wywinę od tego „namiestnika”.

Villanova uśmiechnął się pod nosem, ze względu na dużą liczbę nekrologów „Kurier Warszawski” nazywany był często gazetą trupów.

– Może nie będzie tak źle – powiedział bez przekonania. – Tak czy owak, obecnie jest nam to na rękę. Wątpię, żeby ktoś spróbował przeszkadzać panu w założeniu gildii.

– Dzięki Bogu i za to! – odburknął alchemik. – Ma pan przy sobie te papiery?

– Oczywiście.

Młodzienc sięgnął do kieszeni i wyłożył na stół plik urzędowo wyglądających dokumentów.

– Dziewięć paszportów, tak jak pan prosił. Wystarczy wkleić fotografie.

Rudnicki podziękował, z roztargnieniem ułamał kawałek kruchej babeczki.

– Ile jestem panu winien?

– Nic. Proszę to potraktować jako mój wkład.

– Przecież nawet nie wie pan, o co chodzi!

– Przypuszczam, że prędzej czy później wyjaśni mi pan, w czym rzecz – odparł niewzruszenie chłopak.

Rudnicki westchnął bezradnie, jego stosunki z Villanową coraz mniej przypominały układ pryncypał – subiekt, a coraz bardziej upodobniały się do relacji mistrza i ucznia.

– Uprzedzam, że niedługo sztyletnicy mogą mieć zastrzeżenia i do mojej postawy.

– Rozumiem, chociaż sędzę, że to przesada. O ile się orientuję, ta organizacja robi wszystko, żebyśmy odzyskali niepodległość. A przecież mało kto zrobił dla tej idei tyle co pan?

– To kwestia względna – odparł Rudnicki. – Zresztą mniejsza z tym. Rozumiem, że czas się zbierać? – dodał, spoglądając na zegar.

– Najwyższy – przytaknął Villanova. – Co prawda nie mamy daleko, ale nie wypada się spóźnić.



Na sali nie było tłoku, ale tylko kilka krzeseł pozostało wolnych, widocznie pomysł stworzenia prywatnej gildii zainteresował nadspodziewanie wielu alchemików. Wśród zebranych znalazła się nawet grupa dawnych konfratrów Rudnickiego z łoży Srebrny Zamek.

Alchemik stanął za pulpitem imitującym mównicę – spotkanie zwołano w sali kinowej na pierwszym piętrze hotelu – i krótko powitał przybyłych. Zanim skończył, jeden z siedzących w pierwszym rzędzie mężczyzn wstał, domagając się głosu.

A jednak nie obejdzie się bez perturbacji, pomyślał smętnie Rudnicki. Bo trudno przypuszczać, że były sekretarz Srebrnego Zamku, prawa ręka Markowskiego, chce przekazać mi wyrazy poparcia...

– Proszę – zezwolił. – Byłe krótko.

– Nie ma pan prawa ograniczać mojej ani czyjejkolwiek wypowiedzi – oświadczył bezczelnie Budziewicz. – Jak na razie jest pan osobą prywatną, nowa gildia jeszcze nie powstała i nie wiadomo, czy w ogóle powstanie, a...

– Dość tego! – przerwał Rudnicki, popierając swoje słowa wymownym gestem.

Zanim Budziewicz zdążył zareagować, dwóch ludzi Ankwicza ujęło go pod ręce i wyprowadziło z pomieszczenia. Na sali zaległa pełna napięcia cisza.

– Najwyraźniej zaszło nieporozumienie – powiedział gniewnie Rudnicki. – Nie jestem zainteresowany dyskusją na temat zasad, na jakich powinna działać moja gildia. Ja je już ustaliłem, a przynależność do Salamandry nie jest obowiązkowa. Nie rozumiem też, dlaczego pofatygowali się tu moi dawni konfratry. Naprawdę spodziewają się panowie, że ponownie zaufam ludziom, którzy już raz mnie zdradzili? Powołuję nową gildię z dwóch powodów. Chcę kontynuować studia nad „królewską sztuką”, co trudno robić w samotności, i mam zamiar opatentować pewne procedury. Dochody z tych ostatnich pozwolą członkom gildii na niespotykaną do tej pory swobodę badań. Dlatego nie przewiduję żadnych, najskromniejszych nawet składek, natomiast oświadczam wyraźnie, że mam zamiar zarządzać gildią jednoosobowo. Jeśli komuś to nie odpowiada, droga wolna!

Nikt się nie poruszył, wszyscy siedzieli jak zaczarowani. Rudnicki miał nadzieję, że przynajmniej niektórzy byli bardziej zainteresowani możliwością prowadzenia alchemicznych eksperymentów niż udziałem w zyskach.

– Byłych kolegów ze Srebrnego Zamku nie zatrzymuję – kontynuował po krótkiej przerwie. – Jak już zaznaczyłem, nie mam zamiaru popełnić po raz drugi tego samego błędu.

Rudnicki pogratulował sobie stanowczości: na twarzach mężczyzn opuszczających salę nie sposób było dostrzec nawet cienia wstydu, malowało się na nich jedynie przemieszane z irytacją rozczarowanie. Najwyraźniej doszli do wniosku, że niesłusznie pozbawiono ich należnych profitów.

– A teraz pan Villanova zajmie się formalnościami. Wszyscy, którzy zechcą stać się członkami loży, podpiszą odpowiednie dokumenty. Zapraszam panów!

– A panie? Czy w Salamandrze jest miejsce dla kobiet?

Wyglądem przypominała karykaturę z pisma wyśmiewającego emancypację kobiet: krótkie, ścięte po męsku włosy, sztuczkowe spodnie, surdut, kamizelka. Brakowało jej tylko monokla i cygara. Nie była brzydka, ale kanciaste ruchy i ostry głos nie dodawały nieznamojemu wdzięku.

Alchemik zaklął w duchu, ledwo poradził sobie z Budziewiczem i niedobitkami z dawnej gildii, a jakaś nawiedzona sawantka postawiła pod znakiem zapytania wszystkie jego zamiary. Co prawda wojna zmieniła niektóre priorytety, nikt nie mógł zaprzeczyć, że kobiety świetnie się sprawdziły w roli pielęgniarek, nie było też tajemnicą, że wiele z nich pracowało w fabrykach, zastępując powołanych do wojska mężczyzn, ale większość społeczeństwa nadal pozostawała konserwatywna. Jeśli przyjmie do loży kobietę, może zrazić wielu starszych wiekiem alchemików; jeżeli odrzuci, rozczaruje młodzież. Szlag...

– To zależy, jakie umiejętności panienka posiada – odpowiedział po namyśle.

– Pani – poprawiła go spokojnie. – Jestem wdową. Helena Smith – przedstawiła się z lekkim ukłonem. – Moje umiejętności? Na pewno nie dorównują pańskim – stwierdziła z nieoczekiwaną skromnością. – Niemniej jednak nie jestem chyba ostatnia, dwukrotnie udało mi się przeprowadzić z powodzeniem transmutację. Uzyskałam też *aurum potabile*.

– Czego użyła pani do pierwszej przemiany? – spytał szybko Rudnicki.

– Fosforu.

– W jakiej postaci?

Przez wąskie wargi kobiety przewinął się porozumiewawczy uśmiech.

– Przyrządziłam roztwór metodą kalcynacji. Z ziół rosnących na mokradłach.

Alchemik skinął głową, z jakichś przyczyn niektóre rośliny występujące na terenach podmokłych zawierały więcej fosforu niż inne. Sama procedura uzyskiwania pitnego złota nie stanowiła nijakiej tajemnicy, opisywało ją

przynajmniej kilka traktatów, jednak trzeba było umieć oddzielić ziarno od plew ze względu na hermetyczny język, jakiego używali dawni adepci „królewskiej sztuki”. Bezkrytyczne podejście do starych receptur owocowało często fiaskiem eksperymentu, zdarzało się też, że w rezultacie zamiast leku otrzymywano silną truciznę. Historia alchemii notowała liczne przypadki otrucia preparatami, które miały w założeniu przedłużyć życie i leczyć choroby.

– Jakiego koloru był produkt finalny?

– Czarnego.

– Proszę zgłosić się do pana Villanovy – zdecydował Rudnicki.

Wychodząc, słyszał szmer rozmów, w których powtarzało się nazwisko najnowszej adeptki. Wbrew obawom nie wychwycił w nich akcentu potępienia, a raczej podekscytowanie. Cóż, zobaczymy, jaka będzie reakcja pozostałych gildii, pomyślał. Do tej pory ani jedna loża nie przyjęła w swoje szeregi kobiety...



Rudnicki dopił kawę i uniesieniem dłoni wezwał kelnera. Siedział przy swoim ulubionym stoliku w rogu hotelowego holu, skąd miał znakomity widok na wejście i recepcję. Nie żeby było co obserwować, zbliżający się front wypłoszył z Warszawy większość gości. Jeśli sytuacja wkrótce się nie zmieni, hotel zacznie przynosić straty.

– Słucham pana?

– Proszę podać butelkę wina i jakieś słodczyce – zadysponował.

Tymczasem w holu pojawiła się Zabielska w lekkiej letniej sukience i filuternym kapelusiku. Tym razem, wyjątkowo, bez towarzyszącego jej zazwyczaj kółka adoratorów.

Alchemik uklonił się i wykonał zapraszający gest. Dziewczyna usiadła na brzeżku krzesła, spojrzała na alchemika z obawą. Rudnicki domyślał się przyczyn takiej reakcji: pani Zabielska już któryś tydzień z rzędu cieszyła się statusem gościa najbardziej ekskluzywnego hotelu w mieście. Nie ulegało wątpliwości, że prędzej czy później przyjdzie jej zrezygnować z tych luksusów, a było oczywiste, że na uprawianie najstarszego zawodu świata nie ma już ochoty.

– Jak się pani czuje w „Azylu”? – zapytał, nalewając jej wina.

– Znakomicie. To jest jak sen – odpowiedziała szczerze. – Coraz lepiej mówię po francusku, zaczęłam nawet uczyć się angielskiego.

– Gratuluję, ale mam wrażenie, że obecnie nie gościmy chyba żadnego Anglika.

– Hrabina Stavrodakis spędziła pół życia w Anglii – odpowiedziała z ledwo wyczuwalnym chłodem.

– Ta staruszka?

– Tak. Mamy wiele wspólnych tematów.

Rudnicki siłą woli powstrzymał się od drażnienia, co może łączyć teściową greckiego konsula z prostytutką. No, niechby i była prostytutką.

– Obie czujemy się samotne – wyjaśniła. – Hrabina cierpi na bezsenność i kiepsko widzi w nocy, a do tego nie toleruje światła elektrycznego. Czytam jej wieczorami.

– Nie bardzo rozumiem, ona pani płaci?

– Ależ skądże! I ja potrafię zrobić coś bezinteresownie.

– Proszę o wybaczenie – mruknął Rudnicki. – Nie jestem w najlepszej kondycji intelektualnej.

– Niech pan nie przeprasza. Biorąc pod uwagę, czym jeszcze niedawno zarabiałam na życie...

Alchemik uśmiechnął się z uznaniem, dziewczyna okazała się nad podziw bystra i przewidująca, bo założyłby się, że jej nagły afekt do hrabiny Stavrodakis spowodowany jest nie tylko współczuciem. Panienska Zabielska zabezpieczała sobie odwrót. Na wszelki wypadek. Lepiej być damą do towarzystwa, niż sprzedawać się w bramach albo obskurnych hotelikach.

– No dobrze – powiedział. – Rozumie pani chyba, że moja hojność nie jest ani nieograniczona, ani bezterminowa?

Bez słowa skinęła głową.

– Istnieją dwa sposoby rozwiązania tego... problemu. Może pani odejść, wówczas dam pani pewną sumę pieniędzy i pozwolę zatrzymać garderobę. Z wdzięczności za udzieloną Wiktorii pomoc.

– A ta druga opcja? – rzuciła z zimną krwią.

Rudnicki uniósł brwi, ponownie zdumiało go opanowanie dziewczyny

i słownictwo zupełnie nieprzystające do ulicznicy. Zabielska uczyła się w zadziwiającym tempie.

– Będzie pani pracować dla mnie. Od razu muszę uprzedzić, że może się to okazać i niebezpieczne, i nieprzyjemne.

– Nie ma pan chyba zamiaru wzbogacić oferty hotelu o...

– W żadnym wypadku! – uspokoił ją alchemik. – Choć niewykluczone, że będzie pani musiała pozwolić niektórym gościom na pewną bliskość, a może nawet intymność.

– A konkretnie?

– Mam wrogów. Potężnych wrogów. Większość z nich nie jest w stanie nawet zbliżyć się do hotelu, ale nie wykluczam, że niektórzy, choć wrażliwi na srebro, potrafią poradzić sobie z zabezpieczeniami. Cóż... – Wzruszył ramionami. – Nie ma barier nie do pokonania.

– Ma pan na myśli Przeklętych?

– Owszem – przyznał bez ogródek. – Jeśli zgodzi się pani na moją propozycję, nauczę panią, jak z nimi walczyć, przyznam miesięczne wynagrodzenie i pozwolę mieszkać dalej w hotelu.

– Tu prosiłabym o szczegóły.

– Kilogram srebra, bądź to w kruszcu najwyższej próby, bądź jego odpowiednik w dowolnej walucie.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się w nagłym szoku, to była fortuna wystarczająca do przeżycia w dostatku kilku lat. Albo założenia własnego interesu.

– Miesięcznie? – upewniła się.

– Miesięcznie – przytaknął Rudnicki.

– I mogłabym zrezygnować w każdej chwili?

– W zasadzie tak, z jednym zastrzeżeniem, nie wcześniej niż po pół roku.

Zabielska zwilżyła suche z emocji wargi, na jej twarzy odbiła się cała gama sprzecznych emocji: obawa, nadzieja, nieufność, wreszcie chciwość. Ta ostatnia zwyciężyła...

– Zgadzam się! – powiedziała szybko. – A co, jeśli „Azylu” nie odwiedzi nikt z Przeklętych?

– Nasza umowa nadal pozostanie aktualna. Tak czy owak, będzie pani moimi

oczyma i uszami wśród hotelowych gości. Oczywiście mam na myśli poważne sprawy, a nie dochodzenie w sprawie zaginionej srebrnej łyżeczki.

– Naprawdę nie martwią pana straty? Niektóre hotele zbankrutowały przez takie kradzieże.

– Czy słyszała pani, żeby w „Azylu” coś przepadło? – odpowiedział pytaniem alchemik.

– Chyba nie – odparła z namysłem dziewczyna. – Ale przecież nikt się nie przyzna, że ktoś z klientów jest złodziejem, bo obniżyłoby to rangę hotelu, a i trudno grzebać w rzeczach gości.

– U mnie nic nie ginie – poinformował Rudnicki. – Literalnie, nic. Poza zwykłym srebrem istnieje też dużo cenniejsze srebro alchemiczne, pochodzące z transmutacji. Zarówno używane w „Azylu” sztucce, jak i żetony określające status gości zawierają niewielkie ilości tego metalu. A alchemiczne srebro można łatwo wykryć za pomocą prostych manipulacji magicznych.

– Więc od razu pan wie, kto dokonał kradzieży?

– Tak. Taka osoba musi oddać należący do hotelu przedmiot i oczywiście natychmiast przestaje być naszym gościem. Wszyscy nasi goście zdają sobie sprawę, że nie opłaca im się zabierać niczego na... pamiątkę.

– Sprytne! – pochwaliła.

– Dziękuję.

– Czy to alchemiczne srebro służy tylko jako znacznik?

– Nie, przede wszystkim jest dużo skuteczniejsze, jeśli chodzi o oddziaływanie na *theokatáratos*. Niektórzy z Przeklętych są w stanie dotknąć zwykłego srebra, ale o ile mi wiadomo, kontakt z kruszcem po transmutacji demaskuje ich momentalnie.

– Kiedy zaczynamy?

– Od zaraz. Jutro umówię panią z maestrem Ankwiczem, on udzieli pani paru lekcji samoobrony. Tymczasem proszę założyć ten drobiazg.

Rudnicki położył na stole srebrny wisior w kształcie serca, wysadzany drobnymi diamentami.

– Tak, to alchemiczne srebro – poinformował, widząc pytanie w oczach dziewczyny. – Pani pierwsze zadanie będzie polegało na zbliżeniu się z tą ozdóbką do każdego z hotelowych gości na odległość mniejszą niż pół metra. To

wszystko, rzecz jasna, bez wzbudzania podejrzeń. Jeśli dostrzeże pani jakąś nietypową reakcję, proszę mnie natychmiast poinformować.

– Ile mam czasu na realizację tego zadania?

– Kilka dni wystarczy? Nie sądzę, żeby jakikolwiek mężczyzna zaprotestował, jeśli przysiądzie się pani do niego czy zaproponuje, bo ja wiem...? Spacer? Gorzej z kobietami, jednak...

– Jestem w dobrych stosunkach ze wszystkim paniami, włączając w to mężatki – przerwała mu Zabielska. – One wiedzą, że nie będę kłusowała na ich terytorium.

– Znakomicie! W takim razie nie zatrzymuję pani.

Dziewczyna pożegnała go lekkim ukłonem i podeszła do recepcji. Jeden z gości hotelowych właśnie pytał o coś konsjerża. W ruchach Zabielskiej widać było nieledwie dziecięcy entuzjazm, wyglądała, jakby ktoś ofiarował jej gwiazdkę z nieba. Pewnie uznała, że to jej życiowa szansa, pomyślał Rudnicki. A może doszła do wniosku, że ma do czynienia z naiwniakiem, który płaci krocie za nic? Alchemik zakotłosał kieliszkiem i dopił wino, starając się odpędzić wyrzuty sumienia. Wiedział, że panienka Zabielska ma niewielkie szanse, aby przeżyć najbliższe pół roku, bo to, że *theokatáratos* prędzej czy później zaatakują „Azył”, było pewne jak wschód słońca. Wbrew temu, co jej powiedział, dziewczyna miała nie tyle walczyć z Przekłętymi, co raczej stanowić część systemu wczesnego ostrzegania.

Dyskretne chrząknięcie wyrwało go z zadumy, Rudnicki podniósł wzrok. Przy stoliku stał wyprężony na baczność oficer w średnim wieku. W twarzy mężczyzny było coś znajomego.

– Porucznik Zambrowicz? Przepraszam, już kapitan – poprawił się alchemik, spojrzawszy na pagony. – Bardzo się cieszę, że przeżył pan tę jatkę – powiedział szczerze.

– Jestem zaszczycony, że ekscelencja mnie pamięta – odparł oficer, strzelając obcasami.

– Czym mogę służyć? I proszę siadać!

– Niestety, jestem na służbie. Generał Stankiewicz chciałby z panem porozmawiać.

– Generał? No tak...

Najwyraźniej wygrana bitwa o Warszawę zaowocowała lawiną awansów.

– I w jakiej sprawie?

– Nie jestem upoważniony...

Umilkł pod surowym spojrzeniem Rudnickiego.

– Rozpoczynamy rozmowy z Rosjanami – odparł szeptem. – Zarówno generał, jak i Rząd Tymczasowy chcą, żeby wszedł pan w skład delegacji. Chodzą plotki, że Rosjanie wręcz zażądali pańskiej obecności.

– Kto będzie reprezentował cesarstwo?

– Proszę wybaczyć, ale tego naprawdę nie wiem. Za wysokie progi, jestem tylko oficerem łącznikowym.

– No dobrze – westchnął Rudnicki. – Jak rozumiem, generał oczekuje mnie natychmiast?

– Jeśli tylko to panu odpowiada. Nikt nie ośmieliłby się nalegać.

Alchemik zmarszczył brwi, w głosie Zambrowicza brzmiał autentyczny strach połączony z niemal bałwochwalczym uwielbieniem. Nietrudno było zgadnąć, z jakiego powodu: jeśli oficer kręcił się przy sztabie, musiał wiedzieć, kto zapoczątkował kontrofensywę pod Radzyminem. Kilka tygodni i rzecz stanie się publiczną tajemnicą. Szlag!

– W takim razie jedźmy – zdecydował.

Nie ma co odwlekać egzekucji, pomyślał. No i ciekawe, czego chcą Rosjanie? Bo raczej trudno powiedzieć, aby był ulubieńcem rosyjskich elit czy cara.

Wsiedli do oczekującego przed hotelem samochodu, pojazd natychmiast otoczyło kilkunastu ułanów. Odjechali obserwowani przez tłum gapiów. Rudnicki zaklął ponownie. Nie ma rady, trzeba zacząć się przyzwyczajać do bycia ekscelencją...



Stankiewicz przyjął go w zwykłej czynszowej kamienicy na Krakowskim Przedmieściu, tylko rozstawione wokół posterunki świadczyły, że budynek jest siedzibą sztabu. Wbrew obawom Rudnickiego generał ani słowem nie nawiązał do niedawnych wydarzeń, a od razu przystąpił do rzeczy.

– Za dwa dni spotkamy się z rosyjską delegacją – oświadczył po krótkim

powitaniu. – Niebawem czekają nas też podobne rozmowy z Niemcami. Chcielibyśmy, żeby reprezentował pan Rzeczpospolitą Warszawską.

– Nie jestem dyplomata.

– Dyplomatów mamy pod dostatkiem, brakuje nam znawców alchemii i magii. Wreszcie, nie będzie pan sam.

Rudnicki przytaknął niechętnie. Bitwa o Warszawę wykazała, że magia i alchemia są taką samą bronią jak armaty czy aeroplany, i tylko głupiec ignorowałby ten fakt. A skoro tak, wśród członków delegacji musi znaleźć się ktoś zorientowany w niuansach magii czy „królewskiej sztuki”.

– No dobrze, czego ode mnie oczekujecie? I komu będę podlegał?

– Formalnie Grochowiakowi, to właśnie on stanie na czele delegacji. W rzeczywistości jedynie Rządowi Tymczasowemu, a ściślej mówiąc, Tajnej Radzie. To trzyosobowe gremium decyzyjne. A oczekujemy od pana pomocy w zawarciu jak najlepszego dla nas układu.

Rudnicki przewrócił oczyma, najwyraźniej pasja konspiratorów w tworzeniu kolejnych tajnych organizacji nie miała sobie równych, a zwycięstwo jeszcze ją pogłębiło.

Stankiewicz roześmiał się na widok miny alchemika.

– To konieczne – zapewnił. – Zarówno Rosjanie, jak i wywiad kajzera robią, co mogą, żeby ustalić, kto tu naprawdę rządzi. Na razie ugrzęźli, próbując ustalić hierarchię w ROW, ale prędzej czy później odkryją, że rada to tylko przykrywka. Wówczas członkowie rządu znajdą się w niebezpieczeństwie. Dlatego na wszelki wypadek stworzyliśmy Tajną Radę, łatwiej pilnować trzech osób niż kilkunastu.

– Czy to nie doprowadzi do dyktatury? Nie chciałbym pewnego pięknego dnia obudzić się w państwie rządzonym przez jakiegoś tajemniczego lalkarza.

– To ryzyko, jakie musimy podjąć. Na razie mamy wojnę i pełna demokracja jest tak czy owak niemożliwa. A później kto wie? – Wzruszył ramionami. – Jestem tylko żołnierzem, to nie mój poziom.

– A czyj?

– Niech pan porozmawia z Cieniem – poradził oficer. – Może on rozwieje pańskie wątpliwości?

– Od śmierci Wiktorii nie mam możliwości...

– Ja jestem pańskim kontaktem zarówno ze sztyletnikami, jak i Tajną Radą – przerwał mu Stankiewicz. – À propos: oni chcą zwrócić panu pieniądze. Proszę tylko powiedzieć, jak i kiedy.

– Myślałem, że to darowizna.

– Tak by było w przypadku przegranej. Obecnie wiele osób odkryło w sobie palącą potrzebę wspierania naszej sprawy – wyjaśnił z kamiennym wyrazem twarzy. – Dlatego nasze finanse mają się znakomicie i nie chcemy wykorzystywać prawdziwych patriotów, takich jak pan. Wiemy, że ten wydatek poważnie nadszarpnął pański budżet, a hotel niemal nie przynosi zysków.

– Śledzicie mnie?!

– Obserwujemy – poprawił Stankiewicz. – Dyskretnie i wyłącznie dla pańskiego bezpieczeństwa. Jest pan zbyt ważny dla naszej sprawy, żeby zaniechać ostrożności.

– Gdzie odbędą się negocjacje?

– Myślimy o tym. Na pewno w Warszawie, bo okoliczne miejscowości są zniszczone, a trzeba mieć na uwadze rangę spotkania. Rosjanie nie postawili żadnych warunków co do wyboru miejsca.

– Może w „Azylu”? – zaproponował Rudnicki. – Nie chcę zwrotu pieniędzy, za to opłacilibyście wszystkie wydatki związane z pobytem obu delegacji.

– Interesująca propozycja – przyznał oficer. – Wizyta dyplomatów na pewno przyciągnie do hotelu wielu gości, nam z kolei odpadnie część problemów z zapewnieniem bezpieczeństwa wysłannikom cara – dodał z uśmiechem.

Coś w tonie oficera zaalarmowało Rudnickiego.

– Czyżby?

– Pewnie nie ma pan czasu czytać gazet?

– Niespecjalnie – przyznał alchemik. – W zasadzie większość prenumeruję ze względu na moją posługaczkę. Ona z zapalem studiuje te ploteczki. Nie byłoby jej na to stać, więc... – Wzruszył ramionami.

– Tuż przed rozpoczęciem rosyjskiej ofensywy „Przegląd Poranny” opisał historię pewnego niemieckiego przemysłowca, który zatrzymał się w pańskim hotelu. Podobno został on w nocy zaatakowany przez, cytuję: „niskiego osobnika wątlej postury, o łajdackim wyglądzie”, dysponującego jednakowoż nadludzką siłą. Pan Volker twierdzi, że mimo zązartego oporu został powalony na bruk

i zegnał się z życiem, kiedy napastnik przez przypadek dotknął hotelowego znaczka... – Stankiewicz zrobił wymowną pauzę.

– Tak? – ponaglił Rudnicki.

– O, widzę, że to pana zainteresowało?

– Owszem.

– Żeby nie przedłużać: Volker zaklina się, że żeton spalił bandycie rękę i tamten uciekł, krzycząc z bólu. Szczerze mówiąc, uważałem to za blagę, ale w tym momencie nie jestem już tego taki pewien. Mógłby pan to jakoś skomentować? Czy naprawdę kawałek srebra mógłby tak podzielać na jednego z *theokatáratos*?

– Teoretycznie...

– Nie mówi mi pan wszystkiego – stwierdził z wyrzutem Stankiewicz.

– Każdy ma swoje sekrety – odparł wymijająco alchemik. – Powiedzmy, że żeton to jedno z moich zabezpieczeń. Wracając do rzeczy: czy mogę uznać, że umówiliśmy się w kwestii hotelu? Bo musiałbym mieć czas na przygotowanie „Azylu” dla potrzeb delegacji.

– Tak, myślę, że jestem w stanie przekonać radę do tego pomysłu, jednak pod pewnymi warunkami.

– A mianowicie?

– Pozostawimy panu ochronę przed Przeklętymi i magią, natomiast sami zajmiemy się bardziej prozaicznymi zagrożeniami. Chciałbym też, żeby zgodził się pan na wystawienie wart wokół hotelu i pozwolił działać naszym ludziom na terenie „Azylu”.

– Co do posterunków, zgoda. Sam chciałem o to poprosić, trzeba jakoś utrzymać w ryzach gapiów, a tych pewnie nie zabraknie. Jednak agenci w hotelu... – Rudnicki pokręcił głową.

– Ufamy panu – podkreślił z naciskiem generał. – Jednak musimy mieć kontrolę nad sytuacją.

– Dysponuję wykwalifikowaną ochroną!

– Mimo wszystko. A jeśli coś pójdzie nie tak i będzie pan potrzebował wsparcia? Proszę pamiętać, że jako członek delegacji nie zawsze będzie mógł pan trzymać rękę na pulsie.

– No dobrze – westchnął alchemik. – Ale nie więcej niż dwóch.

– To stanowczo za mało!

– Niekoniecznie. Rozumiem, że chciałby pan ulokować ich w pobliżu Rosjan? Stankiewicz przytaknął bez słowa.

– Mogę ich włączyć w skład personelu. Najlepiej, gdyby mieli jakieś doświadczenie w branży jako służący albo kelnerzy. Niech pan pomyśli, dwóch sztyletników w bezpośrednim otoczeniu delegatów – kusił Rudnicki.

– Myślałem, że nie przepada pan za sztyletnikami.

Alchemik skrzywił się bezwiednie, szarpnął nerwowo guzik przy kołnierzyku.

– Nie zawsze podobają mi się ich metody – powiedział, odwracając wzrok. – W tym wypadku nie ma to żadnego znaczenia. Jeśli hipotetyczny wróg przeniknie do hotelu, nie powstrzymają go zwykli ludzie. Wreszcie nikt nie zwróci uwagi na dwóch nowych służących, więc jakby co, będziemy mieli przewagę zaskoczenia. Co innego, jeśli po okolicy będą się kręcić tabuny ponurych osiłków.

– Niech pan się zgodzi na trzech i załatwione! – rzucił Stankiewicz. – Proszę pamiętać, że będę musiał przekonać nie tylko Tajną Radę, ale i Cienia. A dodatkowy człowiek nie zawadzi.

– Będą do mojej dyspozycji? – upewnił się Rudnicki.

– Całkowicie!

– Niech przyjdą do mnie jak najszybciej, im prędzej zapoznają się z hotelem i swoimi obowiązkami, tym lepiej.

Oficer skinął głową i wstał, sygnalizując koniec rozmowy. Jeszcze tylko krótki, energiczny uścisk dłoni i alchemik ruszył do wyjścia. Dopiero teraz dotarło do niego, czego się podjął, i otarł chusteczką zroszone potem czoło. Nie wiedział, czy ktokolwiek spróbuje przeszkadzać w rokowaniach z Rosjanami, ale trzeba było się z tym liczyć. Przede wszystkim niezadowolony będzie kajzer, bo przecież Niemcy organizowali i zbroili *Polnische Wehrmacht*, aby Polacy spowolnili rosyjski walec, a nie zawarli układ z Rosją po kilku zaledwie dniach walk. Ten ukradziony *Panzerzug* pewnie też nie poprawi sytuacji. Z drugiej strony może nie będzie tak źle? Jak by na to nie patrzeć, Rzeczpospolita Warszawska starła się z carską, a nie niemiecką armią, stąd sojusz polsko-rosyjski w zasadzie jest wykluczony. A przecież tego najbardziej baliby się Niemcy. Rudnicki wątpił, aby problemem była sama Rzeczpospolita, w końcu

obejmowała niewielki obszar i powstała na terenach już wcześniej utraconych przez armię kajzera.

Szofer otworzył przed nim drzwi samochodu, ale alchemik podziękował gestem i wezwał dorożkę. Fiakier wzdrygnął się, usłyszawszy adres, i z wyraźną niechęcią ruszył naprzód. Po wybudowaniu Dworca Wiedeńskiego Marszałkowska przeżywała rozkwit, ale okres świetności miała już za sobą, bliskość ogrodu Saskiego, a co za tym idzie enklawy skutecznie odstraszała mieszkańców i inwestorów. Połowa okazałych kamienic, jakimi chlubiła się niegdyś Marszałkowska, stała pusta, bali się tam zachodzić nawet bezdomni. Anastazja nie podzielała tych lęków i nie tylko zamieszkała w pobliżu enklawy, ale i skupowała okoliczne rezydencje, prawda, że za bezcen.

Trzeba koniecznie skonsultować się z „kuzynką”, doszedł do wniosku Rudnicki. Bo poza Niemcami istnieje tylko jedno poważne zagrożenie dla rozmów: *theokatáratos*...



Anastazja przyjęła go w salonie urządzonej dostatnio, choć bez nuworyszowskiej przesady, intarsjowane biedermeierowskie meble stwarzały wrażenie komfortu i wygody, okna ozdabiały fantazyjnie upięte firanki w kolorze brązu i złota, a odpowiednio dobrane tapety i dywany podkreślały elegancki charakter pomieszczenia. W stroju dziewczyny jak zwykle dominowały czerń i srebro.

– Czym mogę ci służyć, kuzynie? – zapytała bez cienia ironii w głosie. – Zanieczyliście mnie ostatnio – dodała z wyrzutem, dolewając mu herbaty.

– Wybacz – przeprosił. – Byłem zajęty.

Dziewczyna zbyła jego wyjaśnienia niedbałym gestem.

– Słyszałam co nieco o twoich wyczynach – stwierdziła spokojnie. – Wdałeś się w niebezpieczną grę.

– A będzie jeszcze gorzej – odparł ponuro Rudnicki. – Podjąłem się organizacji spotkania z Rosjanami.

– W „Azylu”?

– Tak.

– To niegłupi pomysł. Czego ode mnie oczekujesz?

– Pomocy. Priorytetem jest zapewnienie bezpieczeństwa obu delegacjom. Problem w tym, że będę uczestniczył w rozmowach, więc nie mogę jednocześnie pilnować hotelu. Myślałem, że ty i Ankwicz...

– Zygmunt na pewno się zgodzi, uwielbia rywalizację, a to przecież nieliczne wyzwanie.

– A ty?

– Nie mogę długo przebywać w „Azylu”, przybierając taką, a nie inną postać, uodporniałam się na srebro, ale ta tolerancja ma swoje granice. Stopniowo dyskomfort przechodzi w fizyczny ból, dreszcze i drgawki, wreszcie niemal nie mogę myśleć. Wątpię, żebym się na coś przydała w takim stanie.

– A gdybyś nie czuła tych... sensacji?

– Ciekawe, jakim cudem. Przedwczoraj spotkałam na ulicy Zabielską, kiedy podeszła się przywitać, mało nie zemdlałam. To ten żeton hotelowy, prawda?

– Tak, te znaczki zawierają odrobinę alchemicznego srebra.

– Ładna „odrobina”! Zapomnij!

Alchemik sięgnął do kieszeni i położył na stole komplet biżuterii: kolczyki, wisior, pierścionek i bransoletkę. Błyskotki nie porażały szczególnym pięknem, wykonano je z gładkiego srebrzystego metalu bez żadnych zdobień, tylko na wewnętrznej stronie można było dostrzec drobne, niemal niewidoczne gołym okiem znaki.

– Co to jest? – spytała nieufnie Anastazja.

– Prezent. Spokojnie, nic ci nie będzie – dodał, widząc, jak dziewczyna dotyka kolczyków czubkiem palca. – Założysz?

Anastazja wzruszyła ramionami i spełniła prośbę, po czym stanęła przed lustrem.

– Nic nadzwyczajnego – oceniła. – Coś takiego mogłaby włożyć wiejska dziewczucha na zabawę w remizie strażackiej. Zaraz! Czuję... chłód. To magia? – spytała ostro.

– Tak. Masz w domu coś ze srebra?

– Komplet sztuców, a co?

– Każ je przynieść.

Anastazja sięgnęła po niewielki mosiężny dzwoneczek, po chwili w pokoju

pojawiła się starsza kobieta o surowej, poranej zmarszczkami twarzy. Mimo że ubrana w biały fartuszek, w niczym nie przypominała pokojówki, oszczędne, zdecydowane ruchy przywodziły na myśl żołnierza, a oczy nieustannie omiały otoczenie w poszukiwaniu zagrożenia.

– Przynieś sztucce, wiesz które – poleciała krótko dziewczyna.

Służąca spojrzała na Anastazję z dezaprobatą, po czym odwróciła się i wyszła bez słowa.

– Ona nie jest człowiekiem, prawda? – powiedział Rudnicki z rezygnacją.

– Nie jest – przytaknęła Anastazja.

– Ilu was uciekło z enklawy?

– Nie mam pojęcia, potrafimy się maskować.

– A jednak Samael natychmiast poznał, kim jesteś.

– Tylko dlatego, że tego chciałam. Ale mniejsza z tym, są i sztucce. Co teraz?

Dziwna służąca położyła na stole okazałe pudło i stanęła u boku Anastazji.

– Dotknij srebra.

Dziewczyna przygryzła wargi i musnęła palcem nóż.

– Dotknęłam, i co?

– Nie tak.

Alchemik złapał ją za nadgarstek i przytrzymał, zmuszając do położenia dłoni na sztuccach. Błysnęło ostrze, ale Anastazja powstrzymała towarzyszkę stanowczym gestem.

– To nieprzyjemne, ale nic więcej – powiedziała ze zdziwieniem. – Jakbym zanurzyła rękę w zimnej wodzie. Jak to zrobiłeś?

– Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? – odpowiedział pytaniem. – Ja i Saszka znaleźliśmy cię w enklawie.

– Trudno zapomnieć – odburknęła.

– Wysłano nas, żebyśmy zbadali, jakim cudem *theokatáratos* pojawili się w Warszawie. Pomogli im jacyś magowie, rysując na sklepieniach kanałów glify, które częściowo zneutralizowały srebro. Zapamiętałem je.

– I co z tego? Przecież symbole działają tylko wtedy, gdy adept rozumie ich znaczenie, czyli musi poznać je w bibliotece.

– Chyba niezupełnie. Wydaje mi się, że jest i inny sposób. Widzę linie pól wokół takich znaków, co pozwala mi w jakimś stopniu poznać ich strukturę, a co

za tym idzie i właściwości. Kiedy je odwzoruję, działają, choć pewnie z dużo mniejszą efektywnością, niż gdybym poznał je w bibliotece.

– No dobrze, ale to tylko zwykły, a nie alchemiczny metal. Nawet z tymi zabawkami nie wytrzymam długo w „Azylu”.

– Trzeba by to sprawdzić. Bo chyba twoja odporność na srebro zwiększa się wraz z czasem, jaki przeżyłaś w tej postaci?

– Teoretycznie.

– To odnosi się do wszystkich *theokatáratos*, prawda? Jeszcze trochę i będziecie niepokonani.

– Nie. To tak nie działa. Istotnie, nasza wrażliwość na srebro zmniejsza się z czasem, ale tylko do pewnego stopnia.

– A konkretnie?

Anastazja sięgnęła po filiżankę, skosztowała aromatycznego napoju, w widoczny sposób usiłując zyskać na czasie. Wreszcie odesłała gestem służącą.

– Za kilka lat mogę nie reagować tak ostro na zwykłe czy nawet alchemiczne srebro, ale dotyczy to wyłącznie odległości, z jakiej będę mogła je znosić. Jeśli srebro wejdzie w kontakt z moją krwią, umrę, nawet za tysiąc lat.

Rudnicki odchrząknął niepewnie, uświadomiwszy sobie, że owe „tysiąc lat” nie jest figurą retoryczną, ale suchym stwierdzeniem faktu: Przekłęci byli nieśmiertelni.

– To jak? Odwiedzisz mnie? – ponaglił.

– Odwiedzę – westchnęła. – I powiadomię Zygmunta.

– On wie, kim jesteś?

– Lubię go, ale nie aż tak. Dlaczego pytasz?

– Z ostrożności – odburknął. – Wolę wiedzieć, o czym mogę przy nim mówić. Jeszcze trochę, a pogubię się w tych wszystkich bizantyjskich intrygach.

– À propos intryg...

– Tak?

– Wiesz, że Markowski chce zabrać dom cioci? Jego totumfacki, niejaki Budziewicz, skierował do ROW pismo, w którym proponuje konfiskatę majątku Marii Pawłowny na rzecz jakiejś nieistniejącej fundacji charytatywnej.

– Na jakiej podstawie? I dlaczego nieistniejącej?

– O ile wiem, motywuje to koniecznością odebrania zagrabionego mienia

zaborcom. A fundacja ma powstać w bliżej nieokreślonej przyszłości. Pan Budziewicz solennie to obiecuje...

– Jakże ma szansę?

– Spore. Rozdał parę łapówek, sprawa rozstrzygnie się lada moment. Chciałam to załatwić po swojemu, ale skoro tu jesteś, pomyślałam, że może uda ci się jakoś powstrzymać tę procedurę bez użycia metod... niekonwencjonalnych.

Alchemik wzdrygnął się, widząc wyraz oczu dziewczyny, przez chwilę miał wrażenie, że zajrzał w studnię bez dna.

– Zajmę się tym – obiecał zimno. – To dotyczy tylko domu cioci czy w ogóle majątków Rosjan?

– Całego mienia porosyjskiego.

– Znakomicie! – mruknął. – Tym razem *gospodin* Markowski ugryzł więcej, niż może połknąć, choć dziwi mnie, że odważył się na coś takiego po tym, jak potraktowali go sztyletnicy.

– O czym mówisz?

Rudnicki przedstawił w kilku słowach, w jaki sposób sztyletnicy ukarali Markowskiego za publiczne kłamstwo.

– Rzeczywiście dziwne – przyznała. – Bo to przecież tchórz. Musi mieć kogoś za plecami. Naprawdę dasz radę to odkręcić?

– Jeśli nie, pozwolę ci się nim zająć – odparł ponuro alchemik.

– Pozwolisz? – uniosła brwi Anastazja.

– Miałem na myśli, że wyrwiesz mu serce z moim błogosławieństwem – doprecyzował z irytacją. – Nie czepiaj się słówek! Ale myślę, że przekonam tych urzędasów, że to kiepski pomysł. To tylko banda nadętych figurantów, pozbawiona realnej władzy.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie.

– Cóż, w takim razie zobaczymy się jutro, dziś mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Ale pomysł mi się podoba. Wiesz, z tym sercem.

– Przecież żartowałem!

– Ja nie.



Mimo popołudniowej pory w Pałacu Jabłonowskich panował spory ruch, interesanci przepychali się przez zatłoczone korytarze, stali w kolejkach lub po prostu omawiali najnowsze zarządzenia Rady Obrony Warszawy. Przez pierwsze pół godziny Rudnicki wędrował od okienka do okienka, usiłując znaleźć urzędnika zajmującego się nieruchomościami, wreszcie skierowano go do odpowiedniego gabinetu. Tabliczka na drzwiach informowała, że zajmuje go radca Ostapowicz. Najwyraźniej kwestia nieruchomości interesowała wielu warszawiaków, bo pod drzwiami kłębiło się kilkanaście osób. Po upływie kolejnej godziny zasuszony asystent Ostapowicza, w trudnym do określenia wieku, poinformował alchemika, że pan radca go przyjmie.

Centralnym punktem przestronnego pomieszczenia było monstrualnej wielkości biurko, wzdłuż ścian ustawiono sięgające sufitu regały. Wszystkie półki ugięły się pod ciężarem dokumentów. Sam Ostapowicz okazał się mężczyzną w średnim wieku, o gabarytach dostosowanych do rozmiarów mebla, za którym zasiadał. Siwe, krótko przycięte włosy kontrastowały z apoplektyczną cerą, szeroka, grubo ciosana twarz o wydętych lubieżnie wargach nie sprawiała przyjemnego wrażenia.

– Słucham! – burknął, widząc Rudnickiego.

Alchemik zacisnął zęby i spokojnym, wyważonym tonem zapytał o kamienicę należącą do księżnej Samarin.

– Dlaczego to pana interesuje?

– Jestem krewnym Marii Pawłowny, a doszły mnie słuchy, że majątek księżnej usiłuje przejąć kilku hochsztaplerów.

– Doprawdy?

– Owszem. Interesują pana nazwiska tych oszustów?

– Mógłbym zerknąć na pańskie dokumenty? – zripostował urzędnik.

Rudnicki położył na biurku paszport. Ostapowicz przewertował go z roztargnieniem, ale zamiast oddać, przycisnął do blatu wielką, mięsistą łapą.

– Żadnych pytań, dlaczego powołałem się na pokrewieństwo z księżną Samarin mimo posiadania innego nazwiska? Żadnych wątpliwości? – zakpił alchemik.

Było oczywiste, że urzędnik spodziewał się tej wizyty. Biorąc pod uwagę to, co powiedziała Anastazja, nietrudno domyślić się dlaczego.

Ostapowicz zmilczał przytyk, Rudnicki dopiero po chwili uświadomił sobie, że kancelista zniknął.

– Mógłbym dostać z powrotem swój paszport?

– Zdecydowanie nie! – odparł ze złośliwym uśmiechem Ostapowicz. – Widzi pan, zaraz po zwycięstwie nad Rosjanami mieliśmy w urzędach serię sabotaży. Moskalofile chcieli sparaliżować działanie nowo powstałych organów władzy, dlatego generał Stankiewicz przydzielił nam ochronę. No i proszę, znowu się przyda!

Rudnicki poderwał się z krzesła, słysząc trzask otwieranych drzwi, do gabinetu wpadło dwóch żołnierzy z bagnetami na karabinach, a kancelista złapał alchemika za ramię.

– Precz! – warknął z wściekłością Rudnicki, dając ujście przepelniającej go furii.

Tak jak w czasie rozmowy ze Schlatzem, poczuł, że jego słowa niosą ze sobą pogłos przypominający łoskot lawiny. Pomocnik Ostapowicza osunął się bezwładnie na dywan, szyby w oknach popękały, a zaskoczeni żołnierze zamarli jak zaczarowani.

– Opuścić broń! – rozkazał.

Młody, góra dwudziestoletni chłopak próbował podrzucić karabin do ramienia, ale zamiast tego nacisnął spust, o mało nie trafiając kancelisty, po czym mauzer wypadł mu z rąk. Drugi, nieco starszy, wykonał polecenie, wpatrując się niewidzącymi oczyma w przestrzeń.

Rudnicki zabrał broń, rozładował i cisnął ze złością w kąt. Ostapowicz bez powodzenia usiłował schować się pod biurkiem.

– Nie... nie, proszę – zakwilił. – To nieporozumienie.

– Co tu się dzieje? – zapytał szorstki, przywykły do rozkazywania głos.

Alchemik podniósł swój paszport i ostrożnie schował do kieszeni, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów.

– To pan, baronie? – odezwał się zdziwiony Stankiewicz.

Generał stanął w progu, za jego plecami widać było kilku oficerów. Jeden z nich wszedł do gabinetu i obrzuciwszy wartowników zniesmaczonym

spojrzeniem, podniósł porzucone karabiny.

– Dzięki Bogu! – zawołał radca. – To ten dywersant. Dywersant! – zawył.

– Zwariował pan? Baron Rudnicki?!

Ostapowicz zamarł z otwartymi ustami. Najwyraźniej fakt, że dowódca armii Rzeczypospolitej Warszawskiej zna alchemika, zaskoczył go nieprzyjemnie.

– Co tu się stało?

– Nic specjalnego – odparł sucho Rudnicki. – Prężna grupa lokalnych cwaniaków postanowiła skorzystać z zamieszania i przejąć nieruchomości należące do Rosjan. W tym także własność mojej ciotki, księżnej Samarin. To wszystko, rzecz jasna, w porozumieniu z radcą Ostapowiczem. Wyobraża pan sobie reakcję rosyjskiej delegacji na coś takiego?

– Wyobrażam – przyznał Stankiewicz tonem zimnym jak grudniowa zawierucha. – Wie pan, kto za tym stoi?

– Nasz wspólny znajomy Markowski.

– Ten sam...

– A jakże!

– Cóż, możliwe, że to rzeczywiście tylko próba kradzieży. Jednak niewykluczone, że kryje się za tym coś jeszcze, bo Markowski ostatnio trochę za często wchodzi nam w drogę. No nic, zajmę się tym osobiście. Pan powinien skoncentrować się na przygotowaniu spotkania, nasi ludzie czekają już w hotelu.

– Już idę – mruknął Rudnicki. – A co z nimi? – Wskazał podbródkiem obu urzędników. – Wolałbym, żeby nie polecili do Markowskiego z relacją o tym... incydencie.

– Och, proszę się nie niepokoić! Oni nigdzie się nie wybierają – zapewnił Stankiewicz. – Wracając do tematu porosyjskiego mienia: przejęliśmy i Cytadelę, a tam zawsze znajdzie się miejsce dla takich jak oni.

Ostapowicz zatrzepotał rękoma, poczerwieniał i spazmatycznie dysząc, złapał się za pierś. Zaniepokojony alchemik postąpił krok naprzód, ale niewysoki, łysawy oficer w stopniu majora zastąpił mu drogę.

– Poradzimy sobie już sami – zapewnił stanowczo, choć z szacunkiem, po czym przywołał gestem kilku żołnierzy.

Po chwili wyprowadzono zapewniających o swojej niewinności urzędników.

– Pozwoli pan, baronie, że korzystając z okazji, przedstawię panu moich współpracowników – odezwał się Stankiewicz. – W razie potrzeby udziela panu wszelkiej pomocy.

Rudnicki nie znał wojskowej etykiety, ale zachowanie prężących się przed nim na baczność oficerów sugerowało, że traktują go jak kogoś stojącego dużo wyżej w hierarchii społecznej. Do hotelu odwoziło alchemika samochodem dwóch małomównych sierżantów, a jeden z nich eskortował go aż do wejścia.



Rudnicki zlustrował ustawionych w karnym szeregu mężczyzn. Śnieżnobiałe koszule, muszki, ciemne garnitury i czarne buty nie odbiegały od przyjętych dla służby standardów, wyróżniała ich jedynie srebrna litera A na marynarkach. No i niektórzy nosili przy sobie broń.

Przysłani przez Stankiewicza sztyletnicy spędzili większość nocy, ucząc się podawać do stołu, niestety, żaden z nich nie miał doświadczenia w branży kelnerskiej. Alchemik wydał polecenie, aby wyznaczano ich jedynie do najprostszych czynności, wszystko inne mogło ujawnić, że nie mają nic wspólnego z personelem hotelu, no i skompromitować „Azyl”.

Pospieszne kroki oznajmiły nadejście Majewskiego. Mężczyzna odpowiadał za ochronę głównego wejścia i parteru. Na pierwszym piętrze, gdzie ulokowano negocjatorów, czuwał Ankwicz.

– Jada! – zameldował.

Rudnicki bez pośpiechu zszedł do holu, skinieniem głowy powitał zgromadzonych oficjeli. Stankiewicz i Grochowiak odклонili się uprzejmie, ale większość członków Rady Obrony Warszawy zignorowała alchemika z zimną krwią. Zapewne nikt ich nie powiadomił, że i on wchodzi w skład polskiej delegacji, albo uznali go za mało znaczącego figuranta.

Przed hotel zajęchały eskortowane przez kawalerzystów samochody, kompania honorowa sprezentowała broń. Rudnicki natychmiast rozpoznał osobę, która jako pierwsza przekroczyła próg „Azylu”: Aleksiej Aleksiejewicz Brusilow. Od dłuższego czasu podobiznę generała można było znaleźć niemal w każdej gazecie.

Brusiłow przywitał się z członkami polskiej delegacji, ominął zręcznie blokujących mu drogę urzędników i stanął przed alchemikiem.

– Cieszę się, że w rozmowach będzie uczestniczył ktoś o pańskim talencie i kompetencjach – oznajmił, podając mu rękę.

– Jestem zaszczycony – wymamrotał Rudnicki. – Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia.

Szmer zaskoczenia i osłupiałe miny polskich polityków sprawiły mu niemałą przyjemność. Jesteście próżni, Olafie Arnoldowiczu, pomyślał.

– Konkrety to sprawa dyplomatów, ja jestem tylko zwykłym żołnierzem, jednak liczę na sukces rokowań. Nie mamy żadnego powodu, aby przedłużać działania wojenne, nie sądzę też, żeby próba sił stanowiła najlepszy wybór dla waszej młodej republiki.

– I ja wolałbym obustronnie korzystne porozumienie – odparł alchemik z zimną krwią. – Jednak, jak sam pan rozumie, ekscelencjo, pozostaje kwestia zabezpieczenia interesów Rzeczypospolitej Warszawskiej.

– Proszę nie zapominać o imperium rosyjskim – upomniał go z dobrodusznym uśmiechem rozmówca. – I my mamy pewne oczekiwania.

– Nie wątpię, ekscelencjo, ale czuję się w obowiązku zaznaczyć, że w delegacji pełnię jedynie rolę eksperta.

– W dziedzinie alchemii czy także magii bojowej? – zapytał Brusiłow, mrużąc oczy.

Rudnicki opanował nerwowy grymas, mimo to poczuł, jak po plecach spływają mu krople potu. On wie, doszedł do wniosku alchemik. Rosjanie wiedzą, że uczestniczyłem w walkach! Szlag!

– W obu – wyręczył go od odpowiedzi Stankiewicz.

Oficer pojawił się u boku Rudnickiego niczym dżin z butelki.

– Kontrnatarcie pod Radzyminem było prawdziwym majstersztykiem – skomplementował Stankiewicza Rosjanin. – Byłbym wdzięczny, gdyby znalazł pan dla mnie chwilę, generale. Chciałbym wyjaśnić kilka detali pańskiej strategii. Jak zawodowiec z zawodowcem.

– Do usług, ekscelencjo – skłonił się Stankiewicz.

– À propos rozmów – Brusiłow zwrócił się do alchemika. – Myślę, że znajdzie pan wspólny język przynajmniej z jednym z członków naszej delegacji. Nie

muszę go chyba przedstawiać.

Z grupy rosyjskich wojskowych wyszedł postawny oficer przy szabli i orderach, w galowym generalskim mundurze.

– Nie musi pan – wymamrotał Rudnicki.

Rysy Samarina wyostrzyły się od czasu ich ostatniego spotkania, w kącikach oczu osiadły zmarszczki nadające twarzy Rosjanina surowy wyraz.

– Witaj, kuzynie – powiedział.

Szorstki, gwałtowny uścisk dłoni Saszki niósł przeznaczoną tylko dla alchemika informację: coś było nie tak. Bardzo nie tak.

XI

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Rudnicki lubił ciepłe letnie wieczory i przytłumione odgłosy szyszykującego się do snu miasta. Przez szeroko otwarte okno wpadało pachnące kwiatami i słońcem powietrze, czasem wiatr delikatnie poruszał firanę, słychać było zapowiadający deszcz śpiew wilgi zadomowionej w pobliskim ogrodzie. Alchemik siadał wtedy w ulubionym fotelu z podnóżkiem, zapalał lampę naftową i kartkował leniwie jakąś książkę, bardziej dla przyjemności niż z potrzeby czytania. Jednak dziś nie było mowy o odpoczynku, naprzeciwnie siedział sprężony jak do skoku Samarin.

– Muszę wiedzieć, kto zaatakował moją kwaterę! – powtórzył po raz kolejny Rosjanin. – Oni chcieli zabić Annę!

– Nie można tego odłożyć na później? Kiedy skończymy negocjacje? Obiecuję ci, że osobiście...

– Dopóki nie wyjaśnisz tej sprawy, możecie zapomnieć o negocjacjach! – przerwał mu Samarin. – Wierz mi, wiem, co mówię. Nikt nie będzie się układał z terrorystami. To oficjalne stanowisko rządu Jego Wysokości – zapewnił. – Rozpoczęliśmy rozmowy tylko dlatego, żeby okazać dobrą wolę.

– Jeszcze dzisiaj Brusilow zapewniał mnie, że nie macie zamiaru kontynuować walk – odparł gniewnie Rudnicki.

– Bo i nie mamy. Ale od tego do porozumienia droga daleka. Warszawa nie jest samowystarczalna. Co, jeśli zablokujemy miasto? Na jak długo wystarczy wam żywności? Nawet jeśli pozostanie wam jakieś połączenie z terenami kontrolowanymi przez Niemców, będziecie mieli kłopoty. Duże kłopoty. No i nie wiadomo, czego w takiej sytuacji zażąda od was kajzer – dodał Samarin z wyraźnym akcentem złośliwości. – Zrozum, to nie jest moja osobista sprawa. W rządzie i wśród doradców Jego Wysokości ścierają się dwie frakcje: jedna chce

porozumienia, druga wręcz przeciwnie...

– Może to prowokacja ze strony waszych fanatyków czy choćby ochrony? Bo oni chyba nie lubią cię za bardzo?

– Myślałem i o tym – przyznał Samarin. – Jednak wątpię. Za duże ryzyko. Gdyby okazało się, że to ktoś z naszych, głowy poleciałyby jak gruchy. Imperator czasami ociąga się z podjęciem pewnych decyzji, ale to nie ten przypadek.

– No dobrze! – prychnął alchemik. – Wiemy, że jesteś dowódcą oddziału Omega, ale co dałoby nam zabicie Anny?

– Niewiele – wycedził Samarin. – Ale mogło chodzić o mnie. W końcu mój oddział wykończył większość waszych magów.

– Zemsta? – rzucił z powątpiewaniem Rudnicki. – Poznałeś Stankiewicza. To nie jest ktoś, kto mściłby się za takie rzeczy.

– A sztyletnicy? Taka akcja byłaby w ich stylu.

Alchemik pokręcił przecząco głową.

– Rozmawiałem kiedyś z ich przywódcą – powiedział. – To najbardziej zimnokrwisty gracz, jakiego kiedykolwiek spotkałem. On nie kieruje się emocjami. Wreszcie nie jesteś niezastąpiony, twoja śmierć nie powstrzymałaby ofensywy, co najwyżej wprowadziła trochę zamieszania. A gdyby zginęła Anna... Nie, wykluczone! – zakonkludował stanowczo.

– Chyba czegoś pan nie dopowiedział, *gospodin alchimik!* – warknął gniewnie Samarin. – A to nie czas i miejsce na tajemnice!

Rudnicki westchnął ciężko, wolałby nie pokazywać wszystkich kart, ale nie miał wyjścia, jeśli chciał przekonać Saszkę.

– Rozmawialiśmy i o tobie – poinformował. – Oni od dawna wiedzieli o Sekretnej Służbie. Jednak uważali, że jako jeden z nielicznych Rosjan pozytywnie nastawionych do Polaków jesteś zbyt cenny, żeby w jakikolwiek sposób ci szkodzić.

Samarin siedział długo w milczeniu, wreszcie potarł skronie zmęczonym gestem.

– Może zmienili zdanie? – powiedział bez przekonania. – A jeśli nie oni, to kto? Amici Mortis?

– Kto wie? – Alchemik wzruszył ramionami. – Trzeba pogadać o tym z Anastazją, ale to już jutro.

– Dlaczego nie dzisiaj?

– Bo godzinę temu wróciła do domu. Ona nie może zbyt długo przebywać w hotelu. Zapomniałaś, kim jest?

– Dziwię się, że w ogóle może, skoro „Azyl” jest nafaszerowany srebrem.

– Istnieją pewne niuanse – stwierdził enigmatycznie Rudnicki. – No i trzeba też wziąć pod uwagę, że nasza kuzyneczka zajmuje nieostatnie miejsce w hierarchii *theokatáratos*.

Samarin machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę, widać było, że nie ma ochoty podejmować tematu. No i nic dziwnego, pomyślał alchemik. Pewnie do dzisiaj wyrzuca sobie, że nie powiedział carowi, kim naprawdę jest Anastazja...

– W takim razie wracam do siebie – zdecydował Rosjanin. – Mam nadzieję, że barek w moim apartamencie jest dobrze zaopatrzony – dodał, popatrując spod oka na Rudnickiego. – Bo na przyjęciu powitalnym alkoholu było tyle, co kot napłakał.

– Co robić? – rozłożył ręce Rudnicki. – Protokół dyplomatyczny. Tylko nie przesadz, lepiej, żebyś był jutro trzeźwy.

Samarin mruknął coś pod nosem i wyszedł, pożegnawszy się niedbałym skinieniem. Alchemik wdusił przycisk umieszczony pod blatem stołu, zerknął niecierpliwie na drzwi. Już jakiś czas temu kazał zamontować instalację łączącą mieszkanie z recepcją. Jeden dzwonek oznaczał „przysłać Majewskiego”.

– Wejść! – zawołał, słysząc energiczne pukanie.

– Tak, szefie?

Oczy przybyłego prześliznęły się po pokoju, rutynowo kontrolując otoczenie, lecz ruchy zdradzały znużenie. Najwyraźniej wielogodzinny dyżur dał mu się we znaki.

– Ściągnij mi na jutro Villanovę – polecił alchemik. – Powiedzmy, na dziesiątą.

Od czasu kiedy panienska Zabielska przywiozła do hotelu ranną Wiktorię, Majewski stał się jego prawą ręką. Inteligentny mężczyzna o szczupłej, nerwowej twarzy nie wyglądał na ochroniarza, niemniej był jednym z najlepszych uczniów Ankwicza.

Majewski kiwnął głową na znak, że zrozumiał polecenie.

– Coś jeszcze? – zapytał.

– Jak sytuacja?

– Na razie spokojnie. Także na zewnątrz. Żołnierze otoczyli hotel podwójnym kordonem, ustawili szlabany na ulicy. Mają nawet kulomioty.

– To dobrze, lepiej na zimne dmuchać. A teraz idź spać, jutro będzie ciężki dzień.

Kiedy za Majewskim zamknęły się drzwi, alchemik podszedł do okna, odetchnął głęboko. Na ulicy zapłonęła gazowa latarnia, w chwilę później rozjarzyła się kolejna. Rozświetlone ciepłym, żółtym blaskiem okna kamienic mrugały dobrodusznie, obiecując swoim lokatorom spokojny sen, ale Rudnicki wiedział, że nie należy do świata, gdzie jedyne niebezpieczeństwo czai się w opowiadanych na dobranoc bajkach. Tej nocy towarzyszyć mu miała zimna stal, a czas do rana odliczać będą kroki warty.



Anastazja oblizwała łyżeczkę, sięgnęła po kolejną porcję lodów. Samarin sapnął zniecierpliwiony, a alchemik obserwował dziewczynę z coraz większym niepokojem. Jej zachowanie nie wróżyło niczego dobrego, Anastazja unikała odpowiedzi tylko wtedy, gdy musiała zastanowić się nad tematem. Znaczy sprawa jest poważna...

– To zemsta – powiedziała wreszcie.

– Za co? – wybuchnął Samarin. – No owszem, zwalczałem Amici Mortis, ale przecież nie ja jeden. Dlaczego nie atakują ciebie czy Olafa? Albo żandarmów?

– Nie chodzi o Amici Mortis, oni niewiele znaczą dla *theokatáratos*, a to Przeklęci chcą się na tobie zemścić. Zabiłeś księcia – wyjaśniła, widząc pytający wzrok Rosjanina.

– Uważasz, że to ktoś z akolitów Samaela? – spytał szybko Rudnicki.

– Raczej nowy książę. Albo Szepczący. Jeden z tych, którzy próbują się tu przedostać...

– Myślisz, że zamierza rozliczyć się ze mną za śmierć przyjaciela? – wtrącił z niedowierzaniem Samarin.

– Przyjaciela? W żadnym wypadku! Tacy jak oni nie mają przyjaciół, co

najwyżej sojuszników, ale nie o to chodzi. Mówiłam wam, że naszym przekleństwem jest chęć dominacji. Ktoś, kto będzie chciał przejąć władzę nad petersburską, a może nie tylko petersburską enklawą, musi udowodnić, że jest lepszy od innych... pretendentów. A najłatwiej zrobić to, zabijając tego, kto pokonał Samaela. Albo sprawić, żeby cierpiał – dodała ciszej.

– Więc możliwe, że atak wymierzony był w Annę?

– Tak.

– Oni nie odpuszczają? – wycedził Samarin przez zaciśnięte zęby.

Anastazja przytaknęła, unikając wzroku Rosjanina.

– Co mam zrobić? Przecież nie zamknę Anny w klatce!

– Można zabrać się do tego od drugiej strony – powiedziała dziewczyna.

– To znaczy?

– Wykończyć wszystkich zamieszanych w zamach.

– Ciekawe jak? Wszystkie tropy wiodą do Warszawy, a nie mam tu teraz żadnej władzy! Wreszcie, nawet gdyby mi się to udało, to co dalej? Zabiję paru magów, a reszta się uspokoi, ot tak? Sama mówiłaś, że oni niewiele znaczą dla Przeklętych.

– Masz status dyplomaty – przypomniał Rudnicki. – Nie będziesz nikogo zabijał. Ja się tym zajmę – dodał, uprzedzając protest Samarina.

– Ty też jesteś członkiem delegacji – zauważyła Anastazja.

– Tylko jako ekspert. Zresztą... – nie dokończył, widząc w drzwiach lokaja.

– Generał Stankiewicz – zaanonsował służący.

– Prosić!

Widać było, że dowódca sił zbrojnych Rzeczypospolitej Warszawskiej stara się zachować spokój, ale mina i sztywne, kanciaste ruchy oficera świadczyły o skrajnym wzburzeniu.

– Musimy natychmiast porozmawiać, baronie! – oznajmił bez wstępu. – Na osobności.

– Rozumiem, że Rosjanie sprawiają problemy? – westchnął z rezygnacją Rudnicki.

– Owszem, ale...

– Proszę siadać, właśnie dyskutujemy, jak pokonać impas w rozmowach. Bo o to chodzi, prawda?

– Tak. Zaraz na początku spotkania książe Oboleński dał do zrozumienia, że nie ma mowy o jakimkolwiek porozumieniu, póki nie wyjaśnimy sprawy zamachu na rodzinę jednego z rosyjskich generałów. Do tego miał czelność zasugerować, że możemy mieć z tym coś wspólnego! Gdyby nie to, że jest członkiem delegacji...

– Spokojnie, Saszka! – interweniowała Anastazja.

Samarin już wstawał z niewróżącym nic dobrego wyrazem twarzy.

– Chodzi o żonę mojego kuzyna, notabene Polkę – wyjaśnił Rudnicki. – Właśnie tłumaczyłem mu, że to nie my. Siadaj! – burknął pod adresem stojącego z zaciśniętymi pięściami Rosjanina. – Pozwoli pan, generale, że przedstawię swoją kuzynkę Anastazję, bo hrabiego Samarina pan już zna.

Stankiewicz skłonił się bez słowa i zajął miejsce za stołem. Dziewczyna przyniosła dodatkowe nakrycie i nalała mu herbaty.

– Mimo że przekonaaliśmy kuzyna do swojej wersji, to za mało, żeby załatwić sprawę. Potrzeba dowodów, że za zamachem stał ktoś inny. Niezbitych dowodów – podkreślił Rudnicki. – Bo sprawcą całego zamieszania jest nie mój kuzyn, tylko frakcja, która nie chce ugody z Polakami.

– To oczywiste. – Stankiewicz szybko odzyskał panowanie nad sobą. – Co możemy zrobić? – zwrócił się do Samarina.

– Wykryć i zlikwidować winnych – odpowiedział krótko Rosjanin.

– Czyli kogo?

– Najprawdopodobniej za atakiem stoją *theokatáratos* i popierający ich magowie – powiedział alchemik. – Przypuszczam, że działają na terenie Warszawy.

– Na pewno! – potwierdził gniewnie Samarin. – Mamy świadka, który widział napastników tuż przed napadem na mój dom, ten człowiek zeznał, że rozmawiali po polsku. Niewiele przy nich znaleźliśmy, bo jeden z ludzi, którzy chronili Annę, jest pyromagiem, ale zachowały się podeszwy butów z nazwą warszawskiej firmy i żeton kelnerski z lokalu na Woli.

– Dlaczego padło na pana? – spytał Stankiewicz.

– Mój kuzyn oczyścił enklawę w Petersburgu, zabijając przy okazji jej władcę – wyjaśniła Anastazja.

– To tylko zemsta czy może także próba storpedowania rozmów pokojowych?

Samarin zmierzył generała chłodnym spojrzeniem, wreszcie wzruszył ramionami.

– Czort wie. Anastazja?

– To możliwe, wszystko, co odwraca uwagę od warszawskiej enklawy, jest dobre dla *theokatáratos* – przyznała.

– Co możemy zrobić? – powtórzył Stankiewicz, tym razem kierując pytanie do Rudnickiego.

– Potrzebuję specjalnych pełnomocnictw i swobody działania, bo nie mogę prowadzić dochodzenia, jednocześnie uczestnicząc w rozmowach. Niemniej jednak wolałbym zachować status dyplomaty, choćby dlatego, że będę musiał przekroczyć linię frontu. Chcę zbadać wszystko na miejscu, być może rosyjscy eksperci coś przeoczyli.

– Jeśli chodzi o pełnomocnictwa, to nie widzę problemu, natomiast nie wiem, jak podejść do tego nasi... partnerzy – stwierdził sceptycznie Stankiewicz. – Prowadząc śledztwo na ich terenie, wchodziłby pan w kompetencje rosyjskiego kontrwywiadu, a nie jest to instytucja, która dopuszcza postronnych do swoich spraw.

– Nie będzie żadnych przeszkód – zapewnił Samarin. – Olaf ma poparcie Stawki i Jego Wysokości.

– Rozumiem postawę imperatora, w końcu baron Rudnicki ocalił następcę tronu, ale Stawka? Czyżby coś mi umknęło?

Alchemik zmarszczył brwi: w głosie Stankiewicza nie było agresji, ale jego ton wyraźnie dawał do zrozumienia, że albo otrzyma wyjaśnienia, albo nie będzie mowy o żadnym śledztwie.

– Chodzi o rozgrywki między armią a ochroną – wyjaśnił zwięźle Samarin. – Po próbie zamordowania carewicza część napastników uciekła do enklawy. Ci, co przeżyli... Ścigałem ich, ale natknąłem się na Przeklętych i straciłem niemal cały oddział. Olaf wyciągnął mnie stamtąd wbrew życzeniu ochrony, która wołałaby, żebym nie wrócił. To wszystko.

– Rozumiem, w takim razie zajmę się formalnościami – zdecydował Stankiewicz.

– Ja także muszę poinformować swoich przełożonych – poparł go Samarin.

Obserwując wychodzących oficerów, Rudnicki nie mógł oprzeć się wrażeniu,

że uczestniczy w jakiejś skomplikowanej rozgrywce, w której obie strony traktują go jak pionka. Schlatze miał rację, pomyślał posepnie. Teraz wszystko jest grą. Tylko tak, jak na szachownicy Akbara, figurami są żywi ludzie...



Alchemik jeszcze raz przeczytał dokument potwierdzający zgłoszenie patentu na otrzymywanie *materia prima* metodą „ekstrakcji Rudnickiego”.

– Nie mógł pan wymyślić innej nazwy? – zapytał.

– Nie wyraził pan żadnych życzeń w tym względzie, a nazwa wydała mi się adekwatna – rozłożył ręce Villanova.

– No dobrze, a dlaczego nie ma tu żadnych zastrzeżeń dotyczących stosowania metody poza finansowymi? Zaraz wszystkie walczące strony zaczną wytwarzać *materia prima* na kilogramy!

– Nie zaczną – uspokoił go młodzieniec. – Właśnie ze względów finansowych. Proszę spojrzeć na wysokość opłat.

– Rzeczywiście wysokie, ale...

– Nieopłacalnie wysokie – wszedł mu w słowo chłopak. – I cena rośnie od każdego wytworzonego grama substancji. W postępie geometrycznym. Jedynym wyjątkiem są przypadki, kiedy udzieli pan swojej zgody i *materia prima* będzie wytwarzana do celów medycznych, pod kontrolą wyznaczonych przez pana inspektorów. Niech mi pan wierzy, to najlepsza umowa, jaką można było podpisać. W innym wypadku każda ze stron znalazłaby jakiś pretekst, żeby obejść pański patent. W końcu mamy wojnę i można do woli szermować sloganami o interesie społecznym czy stanie wyższej konieczności. A tak metoda dostępna jest dla wszystkich, tyle że wykorzystanie jej po prostu się nie opłaca.

– Myśli pan, że to zadziała?

– Na pewno utrudni wykorzystanie ekstrakcji dla celów wojskowych, bo każdy złapany na jej stosowaniu zostanie uznany za złodzieja, a tego nie chciałby żaden rząd. Czy uniemożliwi? Wątpię. Tyle że w dalszej perspektywie, bo zorganizowanie tajnych laboratoriów potrwa. Naprawdę zrobiłem, co mogłem – dodał z lekką urazą.

– Proszę mi wybaczyć – usprawiedliwił się Rudnicki. – Ostatnio jestem przemęczony. Nie wątpię, że dołożył pan wszelkich starań, żeby spełnić moją prośbę.

– Nic się nie stało – zapewnił chłopak.

– Jak gildia?

– Mamy już sześćdziesięciu czterech członków – odparł z entuzjazmem Villanova. – Niestety, wynika z tego inny problem: potrzebujemy siedziby. Przeglądałem oferty nieruchomości i...

Rudnicki powstrzymał go znużonym gestem.

– Wykluczone – powiedział. – Nie teraz. Nie mam pieniędzy. Po zakończeniu rozmów miasto zwróci mi koszty, ale na razie nie ma mowy o większych wydatkach. Wszystko pochłania hotel.

– Pewnie nie pozwoli mi pan się tym zająć?

– Ma pan na myśli sfinansowanie zakupu jakiejś posesji? Nie pozwolę. Łoża jakoś wytrzyma tydzień czy dwa bez stałego lokum.

– A pani Smith?

– Nie rozumiem.

– Może ona mogłaby wesprzeć gildię?

Rudnicki sapnął gniewnie, ale pohamował wybuch wysiłkiem woli.

– Mam prosić ją o pieniądze?!

– Myślałem, że pan wie – powiedział nagle poczerwieniały Villanova.

– O czym, na litość boską?!

– Kim jest pani Smith. Pamięta pan, jak zareagowali nasi konfratry? Nie było żadnych protestów, prawda? A przecież trudno ich uznać za zwolenników emancypacji kobiet.

– Tu mnie pan ma – przyznał Rudnicki. – Nie zwróciłem na to uwagi, a powinienem. Mógłby mnie pan zatem oświecić? Czego nie wiem o naszej sawantce?

– Jej mąż, Ezra Smith, stworzył w Stanach Zjednoczonych i Europie prawdziwe imperium hotelowe, a ona jest jego jedyną spadkobierczynią. Z tego, co mi wiadomo, kontynuuje zresztą działalność męża. Wszyscy uznali przyjęcie jej do łoża za gwarancję stabilności finansowej.

– Mam rozumieć, że moi koledzy doszli do wniosku, iż pani Smith będzie

opłacała rachunki gildii? – spytał z niedowierzaniem alchemik.

– Obawiam się, że tak. Podobnie jak i ona sama...

Alchemik rąbnął pięścią w stół i przez dobrą chwilę komentował sytuację, używając słów powszechnie uważanych za niegodne dżentelmena.

Drzwi apartamentu otworzyły się z trzaskiem, do pokoju wpadł jeden z ochroniarzy.

– Wszystko w porządku? – upewnił się.

– W największym – burknął Rudnicki. – Ale dziękuję za czujność. Proszę wezwać do mnie Majewskiego. Gdzie ona mieszka? – zwrócił się do Villanovy.

– Kupiła willę na Miodowej.

– Ma pan przy sobie dokumenty, o które prosiłem?

– Oczywiście. Może mógłbym w czymś pomóc?

– Dziękuję, już pan pomógł. Proszę nadal zajmować się kwestiami organizacyjnymi.

Młodzieniec położył na stole teczkę i pożegnał się z wyraźnym ociąganiem. Najwyraźniej miał nadzieję, że dowie się, po co pryncypałowi dziewięć paszportów dyplomatycznych.

– Szefie?

Majewski wyglądał na wypoczętego i gotowego do akcji. Alchemik miał nadzieję, że nie przecenił możliwości podwładnego: unieszkodliwienie śledzących Rudnickiego sztyletników mogło być niełatwe.

– Zmiana planu – oznajmił Rudnicki. – Najpierw pojedę na Miodową. Nic nie róbcie, dopóki nie zakończę wizyty i nie wsiądę do powozu. I pamiętaj, masz ich tylko obezwładnić!

Majewski był jednym z ludzi, którzy ochraniaли alchemika w dniu, kiedy Wiktoria porwała go i zawiozła na rozmowę z Cieniem. Ocknął się związany i z bólem głowy w jakimś zaułku. Teraz pałał żądzą odwetu.

– Spokojnie, szefie, wszystko będzie w porządku. Nie jestem wariatem.

– Mam nadzieję – mruknął Rudnicki. Ostatnie, czego mu było trzeba, to wojna ze sztyletnikami.



Tym razem Helena Smith ubrana była tradycyjnie, długa dżersejowa suknia pochodziła z najnowszej paryskiej kolekcji, a głowę ozdabiał delikatny diadem z motywem ważki. Luksusowo urządzonej salon, w którym przyjęła alchemika, przypominał bardziej muzeum niż apartament mieszkalny, na ścianach wisiały obrazy znanych malarzy, bogato zdobione meble pochodziły z okresu *ancien régime*'u.

Rudnicki skosztował znakomitej chińskiej herbaty, poczekał, aż gospodyni odprawi służbę. Zauważył, że kobieta nerwowo gniecie w dłoni koronkową chusteczkę, a jej oczy pociemniały z niepokoju.

– Czym mogę służyć? – spytała, przerywając niezręczną ciszę.

– Chciałbym wyjaśnić pewną kwestię, ponieważ mam wrażenie, że przy naszym ostatnim spotkaniu źle mnie pani zrozumiała.

– Czyżby po zastanowieniu doszedł pan do wniosku, że alchemia to nie zajęcie dla kobiet? – rzuciła z goryczą.

– Nic z tych rzeczy! – zapewnił Rudnicki. – Chciałem jedynie poinformować, iż w gildii Salamandra ma pani takie same prawa i obowiązki jak każdy inny alchemik i że te ostatnie nie obejmują żadnych dodatkowych opłat. Proszę wybaczyć, ale dopiero dzisiaj dowiedziałem się, kim pani jest.

Kobieta spojrzała na niego ze zdumieniem, po chwili zarumieniała się jak pensjonarka.

– To najmiłsza rzecz, jaka spotkała mnie od momentu przyjazdu do Warszawy! – wykrzyknęła. – Nie mogę uwierzyć, że wreszcie trafiłam na łożę, w której będę traktowana na równi z mężczyznami!

– To prywatna gildia i wszelkie decyzje podejmuję jednoosobowo – powiedział Rudnicki. – A dla mnie ważny jest przede wszystkim talent.

Mina Heleny Smith upewniła alchemika, że gospodyni pojęła aluzję.

– W jaki sposób mogłabym go zademonstrować?

– Niedawno opatentowałem nową, bardziej wydajną metodę uzyskiwania *materia prima*. Mój sekretarz, pan Villanova, organizuje laboratorium, które pozwoli na jej zastosowanie, i przydałby mu się pomocnik.

– Co to za metoda?

Rudnicki położył na stole plik dokumentów.

– To opis patentu i moje notatki – wyjaśnił. – Proszę się z nimi zapoznać

i jutro zgłosić do Villanovy.

– Dziękuję, mistrzu. Ja...

Alchemik powstrzymał kobietę stanowczym gestem, wdzięczność okazywana przez milionerkę była krępująca, tym bardziej że kierował nim czysty pragmatyzm. Na razie ufał tylko Villanovie, a ten rzeczywiście potrzebował pomocy w laboratorium. Bo kto poza chłopakiem nie skorzystałby z okazji i nie spróbował ukraść nieco wartęj fortunę substancji? Tylko ten, kto sam posiada miliony...

– W takim razie pozwoli pani, że się pożegnam.

Gospodyni zerwała się z miejsca i odprowadziła Rudnickiego do wyjścia, pożegnała – a jakże! – uściskiem dłoni.

Alchemik westchnął w duchu: sawantka w każdym calu. Trzeba będzie coś z tym zrobić, zdecydował. W przyszłości. Obecnie miał ważniejsze sprawy.

W powozie czekał już Majewski, nie sposób było nie zauważyć rozpierającej go satysfakcji. Znacząca akcja się udała, dobre i to. Teraz czas na negocjacje z *theokatáratos* i Zavem. Oby równie szczęśliwe.

– Ruszaj! – polecił alchemik, stukając w dach gałką laski. – Na Pańską!



Ulica Pańska nie należała do najwytworniejszych, zamieszkiwali ją głównie robotnicy, nie brakowało też ludzi z marginesu. Obdrapane czynszowe kamienice i stojące w bramach prostytutki nie były najlepszą wizytówką okolicy, ale najwyraźniej Przeklętym to nie przeszkadzało. Dom, który wybrał Zav, nie wyróżniał się niczym szczególnym, ot, jeszcze jedna rezydencja drobnego kupca czy rzemieślnika. Szary, zaniedbany, ale z kratami w oknach na parterze.

Drzwi otworzyła mu kobieta o alabastrowej cerze i czarnych jak heban włosach. Bez słowa odebrała od alchemika laskę i kapelusz, po czym zaprowadziła go do salonu. Mimo że z zewnątrz budynek wyglądał obskurnie, pokoje urządzone z przepychem godnym sułtańskiego pałacu: podłogę pokrywały puszyste orientalne dywany, meble zastawione były cennymi bibelotami, a na ścianach pyszniły się kindżały, jatagany i japońskie miecze.

– Zav zaraz przyjdzie – poinformowała.

– Luna, prawda? Widzieliśmy się w warszawskiej enklawie – przypomniał Rudnicki.

– Luna – potwierdziła z promiennym uśmiechem.

Dyskretne chrząknięcie oznajmiło przybycie Zava. Mały, niepozorny człowieczek ubrany był w elegancki garnitur zeszpecony krwawą plamą i dziurą w okolicy serca.

– Małe nieporozumienie z miejscową ferajną – wyjaśnił, widząc pytający wzrok alchemika. – Jeszcze nie zdążyłem się przebrać. Ale do rzeczy, czym mogę panu służyć? Luna, kochanie, zostaw nas na chwilę.

Ku zdumieniu alchemika kobieta wykonała polecenie z wyraźną niechęcią. Czyżby od ostatniego spotkania zmienił się układ sił wśród Przeklętych? Jeszcze tego mi brakowało, pomyślał ze złością Rudnicki.



– Zanim przejdziemy do rzeczy, drobna uwaga – powiedział Zav. – Bo chyba nie za bardzo orientuje się pan w naszej etykiecie.

– W ogóle się nie orientuję – odparł zaniepokojony alchemik. – Czyżbym zrobił coś nie tak?

– Niezupełnie. Wśród *theokatáratos*, jak nas nazywacie, cieszy się pan pewnym szacunkiem, podobnie jak arystokraci w waszym społeczeństwie.

– To chyba dobrze? – zaryzykował Rudnicki.

– W zasadzie tak. Przynajmniej w kontaktach z mężczyznami.

– Można jaśniej?

– Jeśli ktoś taki jak pan sugeruje kobiecie, którą widział raz w życiu, że ją pamięta, to sygnał oznaczający... zainteresowanie. Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie mam nic przeciwko, Luna nie jest moją niewolnicą, ale chciałbym, żeby był pan świadomy konsekwencji.

Alchemik z trudem przełknął ślinę i otarł zroszone potem czoło.

– Dzień... dziękuję za ostrzeżenie – wymamrotał.

– A teraz: czemu zawdzięczam pańską wizytę?

Rudnicki zamrugał jak człowiek, który usiłuje oprzytomnieć, budząc się z koszmaru. Zav wyrażał się jak kulturalny, wykształcony mężczyzna, jednak nie można było zapominać, że nie jest człowiekiem. Podobnie jak Luna...

– Jesteście obserwowani – oświadczył bez ogródek alchemik. – Ludzie, którzy was śledzą, sztyletnicy, nie są waszymi wrogami, ale pewnie chcieliby, żebyście wzięli udział w ich grze. Nie wiem, jak daleko mogliby się posunąć, gdyby pan odmówił, dlatego przyniosłem wam nowe dokumenty.

Zav uniósł brwi w prawdziwym bądź udawanym zdziwieniu.

– Zauważyliśmy ich – powiedział. – Niemniej dziękuję, bo zdobycie paszportów zabrałoby nam trochę czasu.

– Zamierzał pan coś z tym zrobić?

– Owszem, nie lubię, kiedy ktoś usiłuje mnie kontrolować.

– Mam nadzieję, że bez ekscesów?

– Nie jestem zwolennikiem konfrontacji – odparł sucho Zav. – Chyba że nie ma innego wyjścia – dodał, spoglądając na zniszczoną marynarkę. – Ale wracając do sprawy, jak mogę się odwdziżyć?

– Te dokumenty to prezent. Gdyby nie moja nieostrożność, sztyletnicy nie zwróciliby na was uwagi. Niemniej jednak mógłby mi pan pomóc. Prawdopodobnie. Wówczas ja będę panu winien przysługę.

Zav zachęcił go gestem, aby kontynuował.

– W Warszawie przebywają magowie i Przekłęci zamieszani w atak na rodzinę mojego przyjaciela. Problem w tym, że jest on członkiem rosyjskiej delegacji i dopóki nie wyjaśnię tej kwestii, nie dojdzie do żadnych konkretnych ustaleń, bo Rosjanie nie będą negocjowali z terrorystami.

– Rozumiem, że napastnicy byli Polakami?

– Przynajmniej niektórzy, ale to nie jest sprawa polityczna, chodzi o intrygę *theokatáratos*. Jednak potrzebuję dowodów, inaczej sytuacja drastycznie się pogorszy.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Nie jestem detektywem, zresztą nie ma czasu na normalne śledztwo. Czy mógłby pan pomóc mi znaleźć winnych?

– Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym znać więcej szczegółów.

Alchemik przedstawił zwięzłe informacje przekazane mu przez Samarina.

– Jak daleko możemy się posunąć?

– Przypuszczam, że nie ma żadnych ograniczeń, dochodzenie jest nieoficjalne.

– No dobrze, mógłby pan zdobyć przedmioty, które znaleziono przy napastnikach?

– Myślę, że tak.

– Nie mogę wysledzić nikogo z Przeklętych, o ile w danym momencie nie używa magii, a i to nie zawsze – powiedział z namysłem Zav. – Jednak jeśli dostanę coś, czego dotykali napastnicy, będę mógł ustalić, kto się z nimi kontaktował na kilka dni przed atakiem. Większość tych osób nie będzie miała nic wspólnego ze sprawą, to może być ktokolwiek: woźnica, kelner, nawet przypadkowy przechodzień, ale może w tym gronie znajdzie się i ktoś zamieszany w spisek.

– A w jaki sposób to ustalimy?

– Nieoficjalnie – stwierdził spokojnie Zav. – A jak inaczej?

Rudnicki wzdrygnął się, widząc zimny wzrok rozmówcy.

– Rozumiem – powiedział. – W takim razie skontaktuję się z panem, jak tylko wrócę.

– Nie ze mną, nigdy nie zajmowałem się tym rodzajem magii, najlepsza w tej dziedzinie jest Luna. Jestem pewien, że zrobi wszystko, żeby panu pomóc – oznajmił bez cienia ironii Zav.

Wracając do hotelu, alchemik czuł ciarki na skórze, kilkakrotnie rozcierał marznące mimo ładnej pogody ręce. Biorąc pod uwagę zamieszanych w spisek magów i *theokatáratos*, przeżycie kilku następnych dni będzie prawdziwym

osiągnięciem, pomyślał ponuro. Jeśli dodać do tego Lunę i sztyletników, bo trudno przypuszczać, żeby byli zachwyceni faktem, że ktoś ich wymanewrował, najwyższy czas pisać testament...



Przesłaniająca wzrok szara mgła rozwinęła się nagle, tak jakby poszarpał ją gwałtowny podmuch wiatru. Z sinego tumanu wyłoniła się sylwetka mężczyzny, Rudnicki poznał go od razu, codziennie widział tę twarz w lustrze. Rozpoznał też okolicę: walec ukazał mu Mińsk Mazowiecki, do niedawna nazywany Nowomińskiem. Ki czort? Czy to znaczy, że powinien zabrać artefakt na rosyjską stronę? W jakim celu? I czym jest ta wizja? Przepowiednią, ostrzeżeniem, a może po prostu grą wyobraźni?

Obrócił walec w dłoni, ale scena zniknęła, tylko tajemnicze symbole pełgające po powierzchni przedmiotu nadal zmieniały się jak w kalejdoskopie. Rudnicki schował artefakt do wyłożonej filcem tuby i wrzucił go do walizki. Polskie władze potwierdziły jego status dyplomaty, a biorąc pod uwagę, że rosyjska delegacja miała nadal przebywać w „Azylu”, raczej nic mu nie groziło za linią frontu. Przynajmniej ze strony Rosjan.

Dyskretne pukanie przerwało mu rozmyślenia.

– Idę już, idę! – zawołał.

Przed hotelem czekał samochód otoczony przez oddział ułanów. Jeden z żołnierzy otworzył przed alchemikiem drzwi maszyny.

– Skąd wzięliście tego cadillaca? – spytał Samarin, kiedy tylko ruszyli. – To bardzo rzadki model.

– Nie wiem, nie znam się na tym – odparł Rudnicki.

Szofer odchrząknął dyplomatycznie, najwyraźniej czekając na pozwolenie włączenia się do dyskusji.

– Proszę wyjaśnić tę kwestię generałowi – polecił alchemik.

– To żadna tajemnica, ekscelencjo. Auto sprowadził amerykański konsul, przed wyjazdem z Warszawy poprosił, żeby zaopiekować się jego dobytkiem. Pozwolił nam używać samochodu pod warunkiem, że o niego zadbamy.

– Nam?

– Polskim Siłom Zbrojnym. To najbardziej reprezentacyjny wóz w mieście, dlatego generał Stankiewicz przeznaczył go dla potrzeb delegacji.

Rudnicki z trudem opanował uśmiech, Samarin wzdrygnął się wyraźnie na dźwięk terminu „Polskie Siły Zbrojne”.

– Ciekawe, czy nie zaopiekujecie się też naszymi majątkami – rzucił złośliwie Rosjanin.

– Wasze majątki są tak samo bezpieczne u nas jak nasze u was – zripostował Rudnicki.

– Ciotka prosiła mnie, żebym zobaczył, co z jej domem, ale nie miałem czasu się tym zająć.

– Możesz ją uspokoić, wszystko w porządku, sam sprawdzałem.

– A to z jakiej okazji? Bo z tego, co słyszałem, i ty masz co robić. Podobno założyłeś prywatną gildię?

– Założyłem – przyznał alchemik. – Z jakiej okazji? Kilku cwaniaków uznało, że w zamieszaniu nikt się nie zorientuje, jeśli przejmą nieruchomości należące do Rosjan. Spodobał im się i pałacyk ciotki.

– I co się stało?

– Nic nadzwyczajnego. Siedzą teraz w Cytadeli i zastanawiają się, gdzie popełnili błąd. Tym razem *gospodin* Markowski nie wywinie się tak łatwo – dodał z satysfakcją.

– Markowski? Były mistrz Srebrnego Zamku?

Rudnicki potwierdził nieartykułowanym pomrukiem.

– Co znaczy: tym razem? Próbował czegoś i wcześniej?

– Owszem, ale to nie miało nic wspólnego z ciotką.

– A konkretnie?

– Chciał wkręcić się do rządu – wyjaśnił niechętnie Rudnicki.

– Nie boisz się, że znowu spróbuje? Stwierdzi, że więzienie było zemstą wrogów, a on jest patriotą czystym jak łza Chrystusa?

– Trudno mu będzie z tym napisem na mordzie – odburknął alchemik.

– Napisem na mordzie?

– To naprawdę nic ciekawego.

– Ale chyba nie tajemnica? Może opowiesz? Do naszych linii jeszcze kawałek drogi.

– Cóż, ja też chciałbym o coś spytać.

Samarin posłał przyjacielowi zniesmaczone spojrzenie, ale nie odrzucił propozycji.

– Zrobiłeś się strasznie interesowny, wiesz? No, o co chodzi?

– Takie są skutki uprawiania polityki, widać zbrukałem swoją czystą duszę – odgryzł się Rudnicki. – Brusilow zasugerował, że brałem udział w walkach. Skąd ten pomysł?

– A co, nie brałeś?

– Mógłbyś odpowiedzieć na pytanie?

Samarin umilkł, zakręcił młynka palcami, widać było, że zastanawia się, czy kontynuować temat. Wreszcie zaklął pod nosem i machnął ręką.

– Niech ci będzie – zdecydował. – I tak prędzej czy później doszlibyście do tego. Tak jak i wy, mamy swoich ekspertów w komisji. Jeden z nich wyczuł cię z odległości wiorsty.

– Wyczuł?

– Ludzie uprawiający magię wytwarzają wokół siebie coś w rodzaju aury. Rzecz jasna, mam na myśli użycie słów mocy, a nie jakieś wiejskie gusła. Niektórzy potrafią to dostrzec. No więc zostałeś dostrzeżony.

– Z odległości wiorsty?!

– Podobno płoniesz niczym bożonarodzeniowa choinka. Nasz ekspert stwierdził, że coś takiego widział tylko raz w życiu, w czasie szturmie Radzymina. Tylko że tamten mag zginął. Nietrudno było wywnioskować, że użycie tak potężnej mocy musiało być związane z walką.

Rudnicki zacisnął zęby: mag, który zginął w bitwie o Radzymin? To mogła być Wiktoria. To musiała być Wiktoria!

– Jak możesz o tym mówić tak...

– Lekko? – podpowiedział Samarin.

– Owszem!

– To nie tak, ale jestem żołnierzem, przyzwyczailem się, że na wojnie giną przyjaciele – odparł znużonym tonem Rosjanin. – Ty jeszcze nie. I życzę ci, żebyś nie musiał.

Rudnicki odetchnął głęboko, rozluźnił napięte mięśnie.

– Pamiętasz tę flagę nad Zamkiem Królewskim?

– Pewnie! Żandarmi jeszcze przez pół roku żegnali się, przechodząc przez plac Zamkowy, a naczelnik warszawskiej ochrony o mało nie trafił do wariatkowa. Dlaczego pytasz?

– Markowski przypisał sobie ten wyczyn, a ja zarzuciłem mu blagę. W parę dni później sztyletnicy wypalili mu na czole słowo „kłamca”.

– Skąd wiedziałeś, że to nie on? Zaraz! To byłeś ty! Jak mogłem się nie domyślić?! A myślałem, że nie angażujesz się w politykę. Nie angażowałeś – doprecyzował.

– Musiałem wezwać sztyletników na pomoc, a oni wystawili mi rachunek.

– A teraz? Też spłacasz jakiś dług?

– A ty?! – odparował gniewnie alchemik.

– Ja wycofuję się z gry, mam dosyć wojaczki. No i ktoś musi się zatroszczyć o wnuki dla Marii Pawłowny – dodał już innym, weselszym tonem.

– Chyba prawnuki?

– Jak zwał, tak zwał. Wolę jej nie przypominać, że jest moją babcią.

– Rozsądna decyzja – przyznał Rudnicki. – Nie martwisz się, że dzieci odziedziczą po tobie i rozum, i urodę? – spytał kpiąco.

Samarin szturchnął przyjaciela karcąco, ale zaraz znowu spochmurniał.

– W tej chwili martwię się tylko o Annę.

– Znajdziemy ich – obiecał alchemik.

– Oby! – odparł głucho Rosjanin.

Resztę drogi przejechali w milczeniu.



Rudnicki podszedł do bramy kamienicy, w której kwaterował Samarin, i zerknął na walec. Po raz kolejny. Ale jedyne, co zobaczył, to szara mgła. Miał nadzieję, że przemierzając część trasy, jaką musieli przebyć spiskowcy, uaktywni artefakt, lecz ten nadal pozostawał uśpiony.

– I co? – zapytał Samarin.

Alchemik bezradnie rozłożył ręce.

– Tak też myślałem. Co teraz?

– Nic już tu chyba nie zdziałamy – powiedział Rudnicki. – Jutro wracamy do

Warszawy. Z żetonem.

Samarin skinął głową, alchemik wytłumaczył mu wcześniej, w jaki sposób można użyć przedmiotów należących do napastników.

– Mam nadzieję, że to coś da – odparł ponuro.

– Olafie Arnoldowiczu?

Junkier Anvelt nie wyglądał na pyromaga, bardziej przypominał roztargnionego studenta, jednak na wpół zagojone oparzenia na twarzy i szacunek okazywany mu przez innych żołnierzy wskazywały, że lekceważenie młodzieńca byłoby poważnym błędem.

– Tak?

– Jakie właściwości posiada ten przedmiot?

– Żebym to ja wiedział – westchnął Rudnicki. – Kilka razy ujrzałem na powierzchni walca jakąś scenkę. Ostatnio samego siebie tu, na tej ulicy. Dlatego wzięłem artefakt ze sobą.

– Mógłbym na niego zerknąć?

– Oczywiście.

– Może nie tutaj? – zaproponował kwaśno Samarin. – Wejźmy do środka.

W salonie zastali panią domu, Anna powitała ich uprzejmie i kazała służbie podać herbatę, ale gniewne spojrzenie, jakim obdarzyła męża, świadczyło, że ma dosyć przymusowej izolacji. Z rzuconej mimochodem uwagi Anvelta alchemik wywnioskował, że od czasu zamachu nie opuszczała mieszkania.

– Znaleźliście coś? – spytała bezceremonialnie.

– Niestety nie – przyznał Rudnicki.

– Jutro wyjedziemy do Warszawy i... – zaczął Samarin.

– Zwariuję tu sama! – wykrzyknęła Anna. – Jak długo jeszcze nie będę mogła wyjść na ulicę?!

– Myślę, że nie ma specjalnego zagrożenia – odezwał się nieśmiało Anvelt.

– Akurat! – warknął Samarin. – Co znowu?! – szczerknął pod adresem alchemika.

Rudnicki podszedł do Anny i przyjrzał jej się badawczo. Błękitna żyłka na szyi kobiety pulsowała gwałtownie, skronie zrosił pot, a skóra przybrała niezdrowy, blady odcień.

– Jak się pani czuje? – spytał, ignorując przyjaciela.

– Nie najlepiej – przyznała. – Ostatnio często boli mnie głowa i serce bije, jakbym przebiegła wiorstę.

– Można? – Wyciągnął dłoń.

Anna bez oporu pozwoliła zbadać sobie puls.

– Sto trzydzieści uderzeń na minutę – oznajmił Rudnicki. – To nie jest normalne. Łagodny przypadek klaustrofobii – zawyrokował.

– Co to znaczy? – zapytał Samarin. – Przecież do tej pory wszystko było w porządku!

– Dlatego mówię, że łagodny – powtórzył alchemik. – Trzeba coś z tym zrobić.

– Nie puszczę jej nigdzie!

– Wolisz, żeby sama wybiegła na ulicę, kiedy wyjedziesz? Bo ta panika będzie narastać. Może wyszlibyśmy na spacer? Myślę, że nasza trójka zapewni twojej żonie dostateczną ochronę.

– Tak, szczególnie ty!

– Dość tego! – interweniowała Anna. – Saszka!

– No dobrze – powiedział Samarin spokojniej. – Jak to sobie wyobrażasz?

– Normalnie, pójdziemy się przejść – wzruszył ramionami Rudnicki. – Naprawdę uważasz, że gdzieś w pobliżu czają się magowie z Amici Mortis? O ile zauważyłem, teren wokół dworca jest intensywnie patrolowany. Więc?

– Niech będzie – rzucił chmurnie Samarin. – Przespacerujemy się po Dworcowej.

– Zaraz będę gotowa – zapewniła Anna.

– Akurat! – mruknął pod nosem Samarin, patrząc na wychodzącą żonę. Oficer usiadł i zachęcił gości do zajęcia miejsc za stołem. – To „zaraz” trochę potrwa – stwierdził z ironią.

Rudnicki wyjął walec z pojemnika i postawił przed Anveltem.

– Mogę dotknąć? – poprosił podekscytowany młodzieniec.

– Oczywiście.

– Nic nie widzę – poskarżył się junkier. – Mówił pan, że na powierzchni ukazują się jakieś symbole.

– Być może nie każdy je dostrzega, proszę spojrzeć, o tu... – Rudnicki zamilkł, dostrzegłszy, jak z szarej mgły wyłania się nieznajoma twarz.

– Co się dzieje? – spytał zaniepokojony Samarin.

- Papier! Dajcie mi jakiś papier!
- Nie mam pojęcia, gdzie...
- Może być zapisany? – wtrącił Anvelt.
- Jakikolwiek!

Alchemik położył dłoń na podsuniętej kartce i wymówił słowo mocy, starając się utrzymać w umyśle ujrzany przed chwilą obraz.

– Prawie jak fotografia – zauważył z podziwem Anvelt. – To ktoś zamieszany w sprawę?

- Prawdopodobnie.
- Wydaje mi się, że gdzieś go widziałem – stwierdził z namysłem Samarin.
- Nie wyróżnia się niczym szczególnym. – Anna zajrzała mężowi przez ramię. – Tyle że wygląda na wojskowego. Zwróćcie uwagę na wąsy i brodę. Zajęci podobizną mężczyźni nie zauważyli, kiedy wróciła do salonu.
- Można? – kontynuowała.
- Tylko nie z bliska – powiedział czerwony jak burak Anvelt. – Proszę...
- Słucham?

– Nie mieliśmy pod ręką papieru i *gospodin* Anvelt poratował nas, ofiarując list od znajomej pani – wyjaśnił generał, kryjąc uśmiech.

– I co z tego?

– Jak by to powiedzieć? Wnioskując z kilku linijek, które niechcący przeczytałem, to dość osobisty list. Niejaka Daszeńka pisze w nim, co pozwoli sobie zrobić, jak zostanie złapana...

– *Wasze priewoschoditelstwo!*

Anna trzepnęła męża po ręce i wymownym gestem kazała mu schować kartkę.

– Daj spokój chłopakowi – poparł ją Rudnicki. – Gdyby nie on, nie mielibyśmy żadnego punktu zaczepienia.

- Przecież żartowałem. Dobra robota, junkrze Anvelt.
- Tym razem młodzieniec zarumienił się z zadowolenia.
- To co, idziemy? – ponagliła niecierpliwie Anna.
- Idziemy – westchnął Samarin.

Pierwszy, wbrew etykiecie, wyszedł Anvelt, dopiero później Samarin z żoną. Rudnicki zamykał szyk. Mam nadzieję, że rzeczywiście nie ma tu magów

z Amici Mortis, pomyślał alchemik. Bo jakby co, Saszka skróci mnie o głowę. I co gorsza, będzie miał rację...



Rudnicki spojrział na zegarek, spacerowali już dobre pół godziny. Anna zjadła lody w usytuowanej naprzeciwko dworca kawiarni, a Samarin wraz z alchemikiem wypili w bufecie po kuflu kiepskiego piwa. Pozostający na służbie Anvelt zadowolił się kwasem chlebowym.

– Lepiej ci? – spytał żonę Samarin.

Anna z wdzięcznością skinęła głową. Z jej oczu znikł wyraz paniki, na twarz wróciły kolory.

– Dużo lepiej – potwierdziła. – Dziękuję.

– Olaf? Jak długo Anna wytrzyma w zamknięciu?

– To zależy. Kiedy zaczęła pani odczuwać te dolegliwości? Migreny, napady paniki?

– Jakiś tydzień po ataku, z początku nie przejmowałam się tym, myśląc, że to nerwy – odpowiedziała.

– Dwa, góra trzy dni – orzekł alchemik.

– Zdążymy?

– Trudno powiedzieć, ale mam chyba lepszą propozycję.

– Tak?

– Może zabierzemy panią Annę ze sobą? Do Warszawy? Zamieszkałyby w „Azylu”, dałbym wam wspólny pokój – kusił. – Wątpię, żeby w okolicy było bezpieczniejsze miejsce.

Zachwycona Anna przyklasnęła.

– Zgódź się, proszę! – zawołała. – To znakomity pomysł!

– Bo ja wiem? Z Nowomińska do Warszawy kawałek drogi, a łatwiej zaatakować konwój niż umocniony budynek w mieście.

– Niby tak, ale przecież mamy eskortę. I to nie na pokaz – dodał znacząco.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Czekał, co tam się... Anvelt! – krzyknął Samarin do junkra. – Wezwij patrol!

Chłopak zastąpił drogę obszarpańcowi, który koniecznie chciał wręczyć

Annie na wpół zwiędły bukiet kwiatów.

– To tylko pijak! – uspokoił generała młodzieniec. – Ledwo trzyma się na nogach.

– Jest i patrol – mruknął Rudnicki.

Niemłody, gładko wygolony wachmistrz o zaciętym wyrazie twarzy kroczył już ku nim, trzymając rękę na kaburze, w ślad za nim podążało dwóch żołnierzy.

– Czy on nie jest podobny? – zauważyła Anna.

– Do kogo? – nie zrozumiał Rudnicki.

– Do tego mężczyzny z portretu. Tylko bez brody i wąsów.

Samarin zaklął i sięgnął po broń, ale żołnierze mierzyli już do niego z karabinów.

– Anvelt! – krzyknął rozpaczliwie generał, odpychając żonę.

Junkier uderzeniem w podbródek powalił pijaka i wyskandował kilka sylab. Zapachniało ozonem, w kierunku patrolu pomknęły ogniste błyskawice. Pochłonięci przez płomienie żołnierze zawirowali w bezgłośnej agonii, ale wachmistrz rzucił się naprzód iście tygrysim skokiem i wykonawszy przewrót przez bark, znalazł się tuż przy chłopaku. Tanecznym ruchem uniknął ciosu Anvelta i skontrował wysokim kopnięciem podobnym do tych, jakie alchemik widział w wykonaniu francuskich bokserów.

Pęknięta szczęka, może wstrząs mózgu, zdiagnozował z zadziwiającym spokojem Rudnicki. Anvelt nam już nie pomoże.

Tymczasem zamachowiec starł się z Samarinem. Alchemik wypowiedział słowo mocy, chciał wypowiedzieć, kiedy nagle poczuł odrętwienie w ustach, jak u dentysty. Gwałtownym gestem nakazał Annie uciekać i odwrócił się w kierunku napastnika. W samą porę, bo ten kopnięciem w głowę unieszkodliwił nie wiadomo jak i kiedy powalonego generała.

Rudnicki zaatakował pierwszy podstępny oburęcznym uderzeniem w krtani i krocze. Bezskutecznie. Alchemikowi zdawało się, że ręce przeciwnika zrobione są z żelaza, każde dotknięcie tamtego sprawiało przeraźliwy ból. No i jak długo może potrwać wymiana ciosów z kimś, kto w parę sekund pokonał żołnierzy pokroju Anvelta i Samarina?

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast wraz z trzaskiem kruszonych żeber i smakiem krwi w ustach. Niedługo...

Nieoczekiwanie wachmistrz okręcił się na pięcie, zajęczał. Alchemik zamrugał, usiłując coś dostrzec przez krew zalewającą oczy: w plecach napastnika tkwił niewielki damski nóż. *Salvavirgo*, pomyślał, przypominając sobie lekcje Ankwicza. Anna trafiła precyzyjnie w nerkę, jednak zabrakło jej zdecydowania bądź siły, bo widać było kilka centymetrów i tak niedługiej klingi. Rudnicki wepchnął ją aż po rękojeść i przekręcił ostrze w ranie. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, był przeraźliwy ryk.



Z niebytu wyrwał go szczęk sztućców. Podniósł ciężkie powieki i natychmiast zamknął oczy, oślepiony jasnym słonecznym światłem. Po chwili przekręcił się ostrożnie, przyjmując pozycję półleżącą. Na sąsiednim łóżku siedziała Anna. Delikatnie karmiła męża. Bandaż na głowie Samarina świadczył, że oficer nie wyszedł ze starcia bez szwanku, ale nie wydawało się też, żeby odniósł poważne obrażenia.

– Obudziłeś się? To dobrze – powitał Rudnickiego generał. – Najwyższy czas.

– Co się stało?

– Dostałeś to, co ci się należało, czyli solidny łomot. Mało nas wszystkich nie utrupili! Oto, czym się kończy słuchanie głupich propozycji!

Mimo sarkastycznego tonu Rudnicki nie wychwytał w głosie przyjaciela prawdziwego gniewu.

– Co z Anveltem? – zainteresował się alchemik.

– Złamana zuchwa i kilka żeber – odparła Anna. – Co do pana, to tylko zebra i trochę siniaków – dodała, uprzedzając kolejne pytanie.

Rudnicki skrzywił się z bólu i obmacał ciasny jak gorset opatrunek.

– Ile?

– Dwa złamane i jedno pęknięte.

– Saszka?

– Jakże jestem wdzięczny, że w końcu zainteresowałaś się i moją skromną osobą!

– Lekki wstrząs mózgu. Ten wachmistrz go znokautował – odpowiedziała za męża Anna.

– A pani?

– Nic mi się nie stało.

– Całe szczęście, bo niewiele brakowało.

– Niewiele – przytaknął Samarin. – Myślę, że oni szykowali się do kolejnego ataku na moją kwaterę. Gdybyśmy wyjechali, zostawiając Annę samą... – nie dokończył.

– Nie jest pan głodny? – zapytała Anna alchemika.

– Nie, ale napiłbym się wody.

– Da pan sobie radę? – upewniła się, podając mu szklanekę.

– Tak. Prawą rękę mam w porządku, tylko lewa boli przy poruszaniu, pewnie to te żebra.

– On był z Amici Mortis – kontynuował Samarin.

– Miał stosowny tatuaż? – domyślił się alchemik.

– To także. Oprócz tego jakieś dziwne symbole, podobnie jak ci wasi sztyletnicy.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz, rozumiesz! Zabiliśmy kilku w czasie ostatnich walk, więc to żadna tajemnica.

Rudnicki poczuł, jak żółć podchodzi mu pod gardło, na szczęście chłodna woda zmyła z ust metaliczny posmak.

– Przepraszam – burknął Samarin. – Nie chciałem cię... – Machnął ręką z rezygnacją. – No, sam wiesz. Wojna to wojna. Wracając do tematu: pewnie dlatego tak szybko sobie z nami poradził. Nie mówiąc o tym, że zakneblował nas jakimś zaklęciem. Słyszałeś o czymś takim?

Alchemik zaprzeczył.

– Nie. Tylko że to nie było zaklęcie, ale słowo mocy. Nic innego nie dałoby takiego efektu.

– Czyli musiał mieć dostęp do biblioteki?

– Na pewno.

– W Warszawie?

– Czort wie. Może w Warszawie, a może u was. Niewykluczone też, że zupełnie gdzie indziej. Bo ja wiem? Choćby w Tokio czy Rio de Janeiro.

Samarin poprawił się na łóżku i podejrzliwie zmrużył oczy.

– Coś wiesz czy tak sobie dywagujesz?

– Nie wiem niczego konkretnego, ale sam rozumiesz, że jeśli to spiszek Przeklętych, to granice, w tym i te polityczne, nie mają żadnego znaczenia.

– No tak. A może zapytałbyś kogoś ze swoich? No wiesz, jednego z adeptów?

– Jakich, do licha, adeptów?!

– Tych, którzy kładli naszych tysiącami pod Radzyminem! – warknął oficer. – Może oni wiedzą więcej niż ty?

– Obawiam się, że nikt nie wie na ten temat więcej niż ja – odparł z kamienną twarzą Rudnicki.

Samarin ponuro skinął głową, kiedy dotarło do niego znaczenie słów alchemika.

– Zmieniłeś się – powiedział.

– A ty nie? – odparował sucho Rudnicki. – Naprawdę chcesz rzucić mundur?

– Naprawdę. Wystarczy mi przygód do końca życia. No i starzeję się, tracę odporność.

Anna opiekuńczym ruchem pogładziła męża po głowie.

– Jakies dwa miesiące temu przycisnęliśmy Węgrów i jeden z ich pułków kontratakował – powiedział, ukrywając na moment twarz w dłoniach. – Huzarzy – dodał z przekąsem. – Pokieroszowali pułk dońskich kozaków, rozbili dwa bataliony piechoty, zdobyli prowizoryczne umocnienia i prawie dotarli do sztabu. Trzeba było wiać. Zebrałem, kogo się dało, i udało nam się wymknąć, ale tuż pod miastem wpadliśmy na ich patrol. Wystrzelałem wszystkie naboje, kiedy najechał na mnie jakiś Madziar z szablą. Karabinek przeciwko szabli to żadna broń, więc rzuciłem mu go w twarz i wyciągnąłem nagana. Nie spodziewał się tego, bo miałem na sobie zwykły szynel bez oznaczeń, a gdzie u szeregowca krótka broń? Jednym słowem, wziąłem Madziara do niewoli.

– I co dalej?

– Kazałem mu jechać przed sobą i zapowiedziałem, że najmniejszy podejrzanym ruch i strzelam.

– Każdy by tak zrobił.

– Pewnie! Tylko że w pewnym momencie sięgnął za pazuchę, a ja nacisnąłem spust.

– Przecież go ostrzegałeś.

– Ostrzegałem – przyznał głucho Samarin. – Powinienem gnać do lasu, bo wokół roilo się od węgierskich żołnierzy, ale coś mnie podkusiło i postanowiłem obszukać trupa. Sam nie wiem dlaczego. Przede wszystkim sprawdziłem, po co sięgał. No i okazało się, że nie miał żadnej ukrytej broni, trzymał w ręku fotografię żony i dzieci. Pewnie chciał poprosić o litość...

– To nie twoja wina!

– Nie moja – przyznał Samarin. – Ale mam już dosyć. I dość o tym! Jak się czujesz? Możesz chodzić?

– Chyba tak.

– Spróbuj. Dobrze by było, jakbyśmy jutro wrócili do Warszawy. Będziemy podróżować z wszelkimi wygodami, bo naprawiono tory, więc podstawią nam pociąg.

Rudnicki opuścił nogi na podłogę, po czym wstał ze stęknieniem, ostrożnie przeszedł kilka kroków. Zaklął pod nosem, widząc, w co go ubrano.

– Dam radę – zawyrokował, okrywając się pospiesznie kocem.

– To dobrze. Wysłałem telegram opisujący wczorajsze zajście, więc niebawem rozpoczną się poważne negocjacje. Nikt już nie wierzy, że ten poprzedni atak to wasza robota.

– Ale? – poddał alchemik, obserwując minę Samarina.

– Spodziewam się, że polski rząd zrobi wszystko, żeby zakończyć tę sprawę.

– Nie mogę niczego obiecywać w imieniu...

– Podobnie jak pewien adept – wszedł mu w słowo generał.

– O to nie musisz się martwić – zapewnił Rudnicki. – Dorwiemy ich wszystkich!

– Mam nadzieję, że ten twój mag jest naprawdę dobry.

– Najlepszy. Ale mniejsza z tym, jeszcze nie podziękowaliśmy naszej wybawczyni.

– Mów za siebie!

Rumieniec na twarzy Anny sugerował, że lepiej nie dopytywać o szczegóły.

– Pani Anno...

– Proszę mówić mi po imieniu – zaproponowała. – Już drugi raz ratuje mi pan życie.

Alchemik skwitował propozycję uśmiechem i pocałował ją w policzek.

– Gdzie nauczyłaś się tak władać nożem? No i skąd masz *salvavirgo*?
– Od Józefa Andriejewicza. On dał mi nóż i nauczył kilku sztuczek. Ale, ale!
Nic jeszcze nie zjadłeś!
– Nie jestem głodny.
– Organizm rekonwalescenta potrzebuje składników odżywczych – pouczyła go Anna. – Zaraz podam ci zupę.

Rudnicki otworzył usta, lecz napotkawszy twardy wzrok Anny, ugryzł się w język.

– Rozsądna decyzja – skomentował z rozbawieniem Samarin.

Alchemik pogroził przyjacielowi pięścią, po czym usadowił się wygodnie na łóżku. Mimo braku apetytu troska Anny sprawiała mu przyjemność, poza tym trudno klócić się w szpitalnej koszuli i kalesonach wyglądających, jakby uszyto je w czasach wojny krymskiej. Lepiej zachować choćby pozory powagi...



Rudnicki spojrzął spod oka na Samarina. Generał skosztował szarlotki, choć dało się zauważyć, że nie jest specjalnie zainteresowany ofertą kulinarną zakładu: spotkanie w położonej niedaleko hotelu kawiarni było tylko pretekstem do przekazania znalezionej przy jednym z zamachowców kelnerskiego żetonu. Za to Luna próbowała różnych rodzajów ciasta z dziecięcym entuzjazmem.

– I co? – rzucił niecierpliwie Rosjanin. – Może pani ustalić, gdzie są zamachowcy?

– Osoby, które stykały się z zamachowcem – sprostowała z lekkim zdziwieniem dziewczyna. – Tak, to nic trudnego.

– Ile ich jest?

– W tym momencie dwanaście.

– Co znaczy: w tym momencie?

– Wyczuwam je. Jednak ten... czar ma ograniczony zasięg. Nie wykluczam, że gdzieś poza obszarem, który mogę kontrolować, przebywa ich więcej.

– Dwanaście to sporo – zauważył alchemik.

– Owszem – potwierdziła. – A może być ich więcej. Dlatego najlepiej będzie,

jak sama się tym zajmę. Przeprowadzę wstępną selekcję, odsięję osoby przypadkowe. Tym bardziej że będzie to wymagało sporego wysiłku – dodała neutralnym tonem.

Rudnicki skrzywił się i odruchowo dotknął lewego boku. Co prawda dzięki alchemicznym preparatom nie odczuwał specjalnego bólu, ale w jego wypadku nadal nie było mowy o pełnej sprawności. Podobnie rzecz miała się z Samarinem, oficer cierpiał na zawroty głowy.

– Nie ma mowy! – zaprotestował generał. – Chcę przesłuchać tych magów!

– Może najpierw ustalmy, ilu ich jest? – zaproponował Rudnicki. – Bo nie ma sensu, żebyśmy biegali po mieście za jakimiś płótkami czy dorożkarzem, który przewiózł tego terrorystę.

– Potrafi pani odróżnić maga czy Przekłętego od postronnego człowieka? – rzucił z niedowierzaniem Samarin.

– Potrafię, choć nie od razu – odparła Luna.

Rudnicki nie dziwił się wątpliwościom Saszki, dziewczyna wyglądała na góra dwadzieścia lat, a jej uroda wręcz porażała. Blizna na policzku zniknęła bez śladu, a bujne włosy zyskały kolor starej miedzi. Tylko oczy pozostały te same. Najwyraźniej *theokatáratos* zmienili lokum, wygląd i dokumenty, doszedł do wniosku alchemik.

– Nie ma nikogo lepszego – zaznaczył z naciskiem Rudnicki. – Ile czasu pani potrzeba? – zwrócił się do dziewczyny.

– Jutro będę wszystko wiedziała.

– W takim razie nie będę pani zatrzymywał.

Luna wstała z niedbałą, kocią gracją i pożegnała ich skinieniem głowy.

– Kim jest ta dziewczucha? – spytał generał. – Mam uwierzyć, że w ciągu jednego dnia znajdzie wszystkich podejrzanych? Przecież to wariactwo! Nie ma maga o takiej potędze. Nie może być!

Alchemik upił łyk kawy, żeby zyskać na czasie. Nie miał ochoty przyznawać się do kontaktów z *theokatáratos*, z drugiej strony, jeśli nie przekona Samarina i ten zakwestionuje dobrą wolę Polaków w tropieniu spiskowców, negocjacje utkną w martwym punkcie albo, co gorsza, zostaną zerwane. Z aluzji zarówno Saszki, jak i Brusilowa wynikało, że przeciwnicy porozumienia z Rzeczpospolitą Warszawską czekają wręcz na jakiś pretekst, aby zablokować rozmowy.

A wówczas przyjdzie mu odpowiadać nie tylko przed Stankiewiczem i tajemniczą radą, ale też sztyletnikami...

– Daj słowo, że nie zdradzisz jej tożsamości – powiedział.

– A to dlaczego? Przecież obie strony wiedzą, że dostałeś *carte blanche*. Co w tym dziwnego, że korzystasz z pomocy maga, niechby i w spódnicy? Z jakiego powodu miałbym coś ukrywać przed swoimi?

– Nie tylko przed swoimi. Przed wszystkimi.

– To jakiś żart?

– A wyglądam na rozbawionego? – odburknął Rudnicki. – Albo dasz słowo, albo niczego się nie dowiesz.

– Niech ci będzie! – wycedził przez zęby Samarin.

Alchemik bez zdziwienia przyjął decyzję generała, w tym momencie najważniejsze było bezpieczeństwo Anny.

– Przekłęci od dłuższego czasu są w stanie sforsować granice dowolnej enklawy – zaczął bez wstępu. – Srebro jest dla nich zabójcze, tak jak dla nas ogień, ale potrafią na krótko zneutralizować jego działanie.

– Taką ilość jak w otaczającym enklawę murze? Niemożliwe! Nie bez pomocy ludzi.

– Możliwe, możliwe! Oczywiście nie chodzi o zwykłą faunę, ale istoty wyższego rzędu. Dzikie zwierzęta instynktownie boją się ognia, podobnie jak zamieszkująca enklawy fauna srebra. Tyle że to drobnica. My nauczyliśmy się kontrolować ogień, *theokatáratos* srebro. No, do pewnego stopnia, bo jednak bliskość tego metalu jest dla nich dużo większym kłopotem niż pożar dla nas. Niemniej jednak nie zmienia to faktu, że srebro nie jest dla Przeklętych nieprzekraczalną barierą, jak myśleliśmy w czasach, kiedy do enklaw przybywały jedynie prymitywne byty. Teraz korytarze łączące nasze wszechświaty poszerzyły się na tyle, że mogą nimi przejść naprawdę potężne istoty.

– Więc...

– Tak, Luna jest jedną z Przeklętych. Nie wszyscy *theokatáratos* chcą wojny z ludźmi.

– Jak możesz to tolerować? Bo jest ich więcej, prawda?

– Owszem – przyznał Rudnicki. – Zrozum, oni sami pokonali barierę i mój

sprzeciw niczego by nie zmienił. Co innego, jeśli chodzi o urządzenie się po drugiej stronie: ubrania, pieniądze, dokumenty. Tu rzeczywiście im pomogłem. W zamian za przysięgę, że nie zaatakują żadnego człowieka i jakby co, poddadzą się mojemu osądowi.

– Ilu ich tu jest? – spytał ostro oficer.

– Nie mam pojęcia, nie sądzisz chyba, że każdy z nich pyta mnie o zgodę na sforsowanie bariery?

– Przecież nawet Samael musiał negocjować...

– Tylko dlatego, że chciał przejść na drugą stronę z całym liczącym dziesiątki, a może setki zwolenników orszakiem! – przerwał mu alchemik. – To nie bariera go powstrzymywała, tylko obecność wojska. Gdybyśmy się na niego nie natknęli, pewnie dałby sobie radę i z pilnującymi muru wartownikami. Zresztą...

– Panie generale?

Stojący przy stoliku młody porucznik wyglądał na zdenerwowanego, widać było, że nie jest zachwycony koniecznością przerwania rozmowy obcemu dyplomacie.

– Tak? – odezwał się zaniepokojony Samarin.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale musi pan natychmiast wrócić do hotelu. Złapaliśmy człowieka, który włamał się do pańskich apartamentów.

– Co z moją żoną?!

– Wszystko w porządku – zapewnił porucznik. – Nic jej się nie stało.

Rosjanin zaklął wściekle i rzucił się do wyjścia, Rudnicki pokuśtykał w ślad za nim, trzymając się za bok.



Niewysoki, chudy człowieczek o pokrytej krwią twarzy leżał przywiązany do wmurowanych w ceglaną podłogę uchwyty. W ustach nieprzytomnego mężczyzny tkwił knebel. Nie wyglądał groźnie, ale widoczny spod podartej koszuli tatuaż mówił sam za siebie: DVN, jak *dominus vitae necisque*...

Rudnicki nie wiedział, czemu miały służyć żelazne kłamry, hotelowych piwnic nie budowano z przeznaczeniem na więzienie, ale najwyraźniej ludzie Majewskiego potrafili improwizować.

– Kto go schwytał? – warknął Samarin.

Generał zdążył porozmawiać z żoną, mimo to nadal kipiał gniewem.

– Hotelowa ochrona – odparł Stankiewicz. – Choć w zasadzie nie mieli wiele do roboty. Alarm podniosła jedna z klientek, niejaka Zabielska, chyba nawet próbowała go powstrzymać, ale ten tu ogłuszył ją jednym ciosem. Wtedy przybiegła pańska posługaczka – zwrócił się do Rudnickiego. – Sprzątała tuż obok, w laboratorium, więc usłyszała krzyk Zabielskiej.

– Żyje? – rzucił bez tchu Rudnicki.

– Okoniowa? Żyje. Gorzej z naszym jeńcem.

– Nie rozumiem...

– Szczerze mówiąc, sam nie do końca poukładałem sobie to w głowie – wyznał Stankiewicz. – Wygląda na to, że babina złamała miotłę na napastniku, a ponieważ trzymał się jeszcze na nogach, poprawiła pięścią. Rezultat pan widzi...

– Okoniowa? – powtórzył alchemik.

Stankiewicz przytaknął, z trudem powstrzymując śmiech.

– Tak czy owak, trzeba ją przesłuchać. Kazałem umieścić obie panie w apartamencie Zabielskiej, pod ochroną.

– Chodźmy! – ponaglił niecierpliwie Rudnicki.

Podeksytowani goście obsiedli wszystkie stoliki w holu, gwar dochodził też z hotelowej jadalni. Najwyraźniej incydent był szeroko komentowany. Żołnierze przed drzwiami Zabielskiej nie imponowali posturą, ale emanowali charakterystyczną dla weteranów pewnością siebie. Sztyletnicy, pomyślał alchemik.

Rudnicki nacisnął klamkę i wszedł bez pukania. Okoniowa siedziała na brzeżku krzesła i pochlipywała żałośnie, blada jak ściana Zabielska stała przy niej, tłumacząc coś cichym głosem.

Na widok pracodawcy posługaczka zerwała się na równe nogi.

– Co mnie za to bendzie? – wyszłochała.

– Jak się Okoniowa czuje? – zapytał niespokojnie alchemik.

– Nic mnie nie jest, tylko miotłę złamałam.

– Może Okoniowa powie, co się stało?

– No usłyszałam krzyki, wienc wybiegłam na korytarz i zobaczyłam, jak ten

szczurek bije panienkę Julkę. No to go trzasłam miotłom w kark...

– I co dalej?

– Pad na kolana i zaczął na mnie syczeć. Ja tam nie znam obcych języków, bo prosta kobieta jestem, ale tak mnie się wydało, że to jakie sprośności. No to go jeszcze raz zmacałam.

– Miotłą?

– Ni... Ino renkom. – Zademonstrowała pięść wielkości dorodnego kalafiora. – No a on jak się krwiom zalał, tak już i nie wstał. Złociutki, niech mnie pan nie wyrzuca! Skond miałam wiedzieć, że on taki słabosilny bendzie? A tera gadajom, że to hotelowy gość i że go utrupiła, nieszczensna!

– Niech się Okoniowa uspokoi, nic mu nie jest. Uratowała Okoniowa nie tylko panią Zabielską, ale i żonę generała Samarina. Bo on chciał ją zabić. A to, że zameldował się w hotelu, nie ma znaczenia, takich klientów nam nie trzeba.

Posługaczka otworzyła szeroko oczy i otarła łzy kraciastą chusteczką niewiele mniejszą od prześcieradła.

– Znaczy dobrze zrobiłam?

– Bardzo dobrze! – potwierdził alchemik.

– Mademoiselle Zabielska – włączył się Stankiewicz – mogłaby pani coś do tego dodać?

Dziewczyna spojrzała pytająco na Rudnickiego.

– Może pani mówić swobodnie – zachęcił alchemik.

– Pan Nikopulos niemal od razu zwrócił moją uwagę – odparła. – Nie zareagował na amulet, który noszę, ale spojrzał na mnie, jakby wyczuł, że mam przy sobie coś magicznego. Śledziłam go i kiedy spróbował włamać się do apartamentu generała Samarina, podniosłam krzyk. Rzucił się na mnie tak szybko, że nawet nie zdążyłam wyciągnąć noża, niczego więcej nie pamiętam, musiałam stracić przytomność.

– Śledziła go pani? – uniósł brwi Stankiewicz.

– Pani Zabielska jest moim pracownikiem – wyręczył dziewczynę Rudnicki. – Wykonywała swoje obowiązki.

– Dobra robota! – ocenił z aprobatą Stankiewicz. – Dziękuję paniom w imieniu rady. Rozumie pan, że w tych okolicznościach będziemy musieli zrewidować naszą umowę? – zwrócił się do alchemika. – Taki incydent nie może

się powtórzyć. Natychmiast przyślę tu swoich ludzi.

Rudnicki niechętnie przytaknął.

– W takim razie pójde uspokoic delegatów.

– Chwileczkę! – Samarin zatrzymał jeszcze Stankiewicza w drzwiach. – Mógłbym być obecny przy przesłuchaniu tego Indykopulosa? – spytał złym głosem.

– Nie widzę przeszkód. Powiadomię pana, kiedy odzyska przytomność. Myślę, że ze względu na charakter sprawy dobrze by było, gdyby i pan dołączył do nas, baronie.

– Oczywiście – obiecał zrezygnowany Rudnicki.

Zabielska poruszyła się niespokojnie, dopiero teraz alchemik zauważył, że spod pudru na skroni dziewczyny wyziera okazały siniak.

– Co ze mną? Naprawdę starałam się go zatrzymać...

– A co ma być? – zdziwił się Rudnicki. – Otrzyma pani stosowną gratyfikację i kilkudniowy urlop. Na razie proszę odpoczywać.

– Nie zwolni mnie pan?

– Skąd! Przecież wykryła pani zamachowca i naraziła życie w obronie hotelowego gościa. Jestem pani niezmiernie wdzięczny – zapewnił.

– Jak i ja – poparł go Samarin. – Obu paniom. Mam nadzieję, że uczynią mi panie ten zaszczyt i przyjmą zaproszenie na skromny podwieczorek. Moja żona chciałaby wam osobiście podziękować. A teraz wybaczcie, nie będziemy wam już przeszkadzać, na pewno musicie odpocząć.

Zapowiada się upojny wieczór, pomyślał markotnie Rudnicki. Bo nie ulega wątpliwości, że przesłuchanie niedoszłego mordercy odbędzie się w trybie nieoficjalnym...



Kelnerka podała kawę i tort, Rudnicki podziękował zdawkowym uśmiechem, niecierpliwie zerknął na zegarek. Dochodziła dziesiąta rano, Luna miała zjawić się lada chwila, tymczasem Samarina nadal nie było. Być może odsypiał zarwaną noc? Alchemik bez problemu ocucił jeńca, jednak okazało się to jedynym i ostatnim sukcesem. Odzyskawszy przytomność, zamachowiec

błyskawicznie ocenił sytuację i natychmiast wprowadził się w rodzaj kataleptycznego transu, z którego nie udało się go już wybudzić. Widząc, że więzień nie reaguje na bodźce ani magiczne inkantacje, alchemik zignorował narzekania wyraźnie sfrustrowanego Rosjanina i poszedł spać. Niestety, nie był to koniec kłopotów, z samego rana doręczono mu kopertę zawierającą czystą kartkę. Kiedy jej dotknął, na papierze pojawiła się lakoniczna informacja – numery kwater, w których zostali pochowani Staszek Wielecki i Wiktoria. Podpisu nie znalazł, chyba że jako taki potraktować symbol oplecionego płomieniami sztyletu.

– Dzień dobry. To prawidłowy zwrot? Gdzie pański przyjaciel? – spytała Luna.

Rudnicki zerwał się pospiesznie, podsunął dziewczynie krzesło.

– Jak najbardziej prawidłowy – zapewnił. – Zaraz powinien przyjść, tymczasem proszę się częstować.

– Co to za ciasto?

– Tort czekoladowy na karlsbadzkich opłatkach – wyjaśnił, nakładając jej solidną porcję. – Coś do picia?

– Poproszę.

Alchemik przywołał kelnerkę i zamówił dwie kawy, bo w drzwiach kawiarni stanął Samarin. Ponura mina Rosjanina i podkrążone z niewyspania oczy świadczyły, że niewiele wskórał.

– On nie reaguje na ból! – rzucił po krótkim powitaniu.

Rudnicki bez słowa podsunął mu kawę. Generał opróżnił filiżankę kilkoma łykami, odetchnął głęboko.

– Da się coś z tym zrobić?

– Wątpię.

– A o co chodzi? – zainteresowała się Luna.

Alchemik opisał zwięźle sytuację.

– Ach... – W oczach Przekłętej zalśniło zrozumienie, jakby właśnie coś się wyjaśniło. – Tego typu transu nie można przerwać – powiedziała. – Nie przesłuchacie go już.

– Może za jakiś czas sam się ocknie? – zasugerował Rosjanin.

Luna pokręciła przecząco głową.

– Nie. Mówiąc obrazowo, on odciął od mózgu cały system nerwowy. Coś

takiego zawsze kończy się śmiercią. Nie przesłuchacie go – powtórzyła. – Ale może nie ma potrzeby? Jest ktoś, kto odpowie na wasze pytania. No a przynajmniej na niektóre z nich.

– No właśnie, jak pani misja? Ustaliła pani, kto jest zamieszany w zamach? – rzucił Rudnicki.

– Tak. Choć większość uciekła.

– Co takiego?! – warknął Samarin, zaciskając pięści.

– To nie moja wina – usprawiedliwiła się Luna. – Oni czekali na sygnał od tego... Nikopulosa. Kiedy go nie otrzymali, zorientowali się, że zginął albo został schwytany, i uciekli.

– Skąd pani zna jego nazwisko?

– Schwyciłam człowieka, który mi je podał – wyjaśniła.

– Chcielibyśmy poznać wszystkie szczegóły – poprosił alchemik.

– Znalazłam trzy osoby, które miały kontakt z zabitym zamachowcem. Dwie z nich nie miały związku z Amici Mortis. Nie zrobiłam im krzywdy – powiedziała niczym domagające się pochwały dziecko.

– Bardzo dobrze! – przyklasnął Rudnicki.

– A trzecia? – spytał niecierpliwie Samarin.

– To niejaki Mykoła Rebak.

– Ukrainiec?

– Tak, ale jego narodowość nie ma żadnego znaczenia, liczy się tylko przynależność do Przyjaciół Śmierci.

– Zna pani łacinę? – zmarszczył brwi Rudnicki.

– Tak.

– A jakieś inne dawne języki?

– Grekę, hebrajski, aramejski, starofrancuski – wyrecytowała po namyśle.

– Imponujące!

Nagrodziła go uśmiechem gorącym jak roztopiony metal.

– Jeszcze bardziej imponujące będzie wyciągnięcie informacji od tego chachoła! – burknął Samarin. – O ile nie wpadnie w fakirską ekstazę jak tamten gad!

– Nie wpadnie – zapewniła Luna.

– A to dlaczego?

– Żeby wejść w trans, trzeba rozluźnić całe ciało. Sam proces trwa niedługo, ale może go powstrzymać każdy bodziec, który uniemożliwi delikwentowi pełny relaks. Na przykład ból czy niewygodna pozycja.

– Dobrze wiedzieć – mruknął łagodniejszym tonem Rosjanin. – Choć ceglaną posadzkę trudno nazwać wygodnym miejscem.

– To niewielka uciążliwość – machnęła ręką Luna. – Co innego na przykład powieszenie głową w dół. Dlatego Rebak odpowie na nasze pytania.

Rudnicki wzdrygnął się, słysząc spokojny głos dziewczyny, najwyraźniej Luna nie widziała niczego szczególnego w fakcie, że potraktowała człowieka jak wieprzową półtuszę.

– Musiałam to zrobić, żeby zapobiec komplikacjom – kontynuowała. – Nic mu nie jest. On mieszka na Kawęczyńskiej, możemy tam jechać w każdej chwili.

– Zostawiła go pani samego?! – wykrzyknął Samarin. – A jak ucieknie?!

– Niemożliwe. Może sam pan oceni?

– Chętnie – burknął Samarin. – Chodźmy.



Zawieszony na podsufitowym haku Rebak na pewno nie myślał o tym, jak się uwolnić, spazmatyczne dyszenie sugerowało, że brakuje mu tchu, ciasno owinięta wokół torsu lina czyniła męczarnią każdy oddech. Skrępowane na plecach ręce uniemożliwiały wyzwolenie się z więzów.

– Rzeczywiście, solidna robota – przyznał niechętnie Samarin. – Trzeba by go ściągnąć.

Luna wydobyła skądś wąski, paskudnie wyglądający nóż, jednym ruchem przecięła linę. Bez najmniejszego wysiłku złapała padające ciało i oparła jeńca o ścianę.

– Proszę. Możecie zaczynać – oświadczyła.

– Nic... nie... powiem! – wydyszał Rebak.

Okrągła, nalana twarz Ukrainca spływała potem, lecz oczy patrzyły wyzywająco.

Zimny, okrutny uśmiech przewinął się przez usta Samarina, ale alchemik powstrzymał towarzysza stanowczym gestem.

– Nasz przyjaciel Mykoła chyba nie do końca zdaje sobie sprawę, z kim ma do czynienia – rzucił zjadliwie. – Trzeba by go wyprowadzić z błędu.

– Naprawdę mogę? – upewniła się Luna.

– Naprawdę.

Dziewczyna położyła dłoń na kolanie jeńca, chrzest przypominający łamanie chrustu świadczył o nieprawdopodobnej sile ucisku. Po chwili z ust mężczyzny wyrwało się wysilone, przeciągłe wycie, a spomiędzy smukłych palców trysnęła krew.

Rebak szarpnął głową i zwiotczał, ale Luna przyjęła to jako coś oczywistego. Uniosła ubrudzoną szkarłatem dłoń, zdawało się, dotknęła tylko czoła więźnia, jednak lewe, wrażliwe oko alchemika pokazało, jak bezkształtna plama zmienia się w skomplikowany, nieregularny glif.

– Co to za symbol? – zapytał bez zastanowienia.

– Więc pan go widzi?

– Owszem – potwierdził Rudnicki, klnąc w duchu swoją bezmyślność.

– Pozwala kontrolować odczucie bólu i niektóre czynności życiowe pokonanego wroga – wyjaśniła.

Alchemik odetchnął z ulgą, dziewczyna nie wyglądała na urażoną.

– Nauczyć pana?

– To możliwe?

– Jak najbardziej. Proszę podać mi rękę. O tak!

Luna delikatnie ujęła Rudnickiego za nadgarstek i poprowadziła wskazujący palec po krwawym wzorze. Alchemik poczuł wstrząs, jakby trafiło go wyładowanie elektryczne, i w jednej chwili zrozumiał znaczenie symbolu.

– W ten sposób można by odjąć ból nieuleczalnie chorym – wymamrotał.

– Rzeczywiście – przyznała dziewczyna. – Za cenę nieznacznej utraty sił witalnych.

– To skróciłoby im życie, prawda?

Luna potwierdziła lekkim ruchem głowy.

– Przepraszam, że przerywam tę fascynującą dyskusję, ale proponuję zająć się przesłuchaniem *gospodina* Rebaka – wtrącił kwaśno Samarin. – Bo czas leci, a zanim obie strony podpiszą układ, wypadłoby postawić kropkę nad i.

– Może go pani ocucić? – poprosił Rudnicki.

– VARTHASSOL – szepnęła Luna.

Alchemik zamrugał z zaskoczeniem, widząc, jak zmienia się kształt symbolu. Przez ciało mężczyzny przeszedł dreszcz, po czym Ukrainiec otworzył oczy, ale tym razem w jego spojrzeniu widać było tylko obłądny strach.

– Nie męczcie! – zaskowyczał. – Ja wszystko...

– Odpowiadaj na pytania! – przerwał mu Samarin. – Dlaczego chcieliście zabić moją żonę?

– Chodziło o pana – odparł pospiesznie Rebak. – Ona miała być tylko przynętą, ułatwić nam robotę. Gdyby zginęła, można było przewidzieć, że będzie pan na pogrzebie, i przygotować zamach. Bo cały czas przebywał pan w otoczeniu adeptów i żołnierzy.

– Chcieliście zemścić się za Samaela?

– Nie wiem... Przyszły rozkazy. Nic nie wiem! – krzyknął rozpaczliwie.

– Co teraz? Dalej będziecie mnie ścigać? Co z moją żoną?

– Nie wiem! Warszawska organizacja została rozbita, dlatego wczorajsza akcja się nie udała. Część naszych zginęła w nieudanych zamachach w Nowomińsku, czterech miesiąc temu tu, w mieście, został nam tylko jeden adept, Nikopulos. A jego schwytaliście w hotelu.

– Olaf, tych czterech to wasza robota?

– Na pewno nie – zaprzeczył alchemik.

– Raczej nasza – odparła Luna. – Natknęliśmy się na nich przypadkiem, a ponieważ zachowywali się agresywnie... – Wzruszyła wymownie ramionami.

Mina generała wyrażała skrajną konsternację, najwyraźniej Samarinowi trudno było przyjąć do wiadomości, że zawdzięcza coś *theokatáratos*.

– A ci, co uciekli?

– To płotki jak ja. Pomocnicy, bez zdolności magicznych i wtajemniczenia w rytuał krwi.

– Jaki rytuał?

– Nie znam szczegółów, ale oni posiadają moce podobne do adeptów.

– Pewnie chodzi o naznaczenie krwią demonów – poddał Rudnicki. – Chcesz jeszcze o coś spytać? Bo jeśli nie, oddam go ludziom Stankiewicza.

– Możesz wezwać patrol. – Przyjaciół machnął ręką. – Reszta to drobiazgi. Jeszcze dziś poinformuję księcia Oboleńskiego i Jego Wysokość, że za atakami

stała gildia Amici Mortis. A teraz wybaczcie, czas na mnie.

Alchemik zostawił Lunę z Rebakiem i wyszedł szukać telefonu. Przynajmniej jedna sprawa załatwiona, pomyślał. Niestety, nie można było tego powiedzieć o innych kłopotach. Właśnie stał się dłużnikiem Przeklętych, niepokoiła też wiadomość od sztyletników. Czym była? Przekazaną z kurtuazji informacją? A może zawołaną groźbą? Jedno było pewne: Cień niczego nie robi bez powodu...



Opatrzony wzbudzającymi respekt pieczęciami traktat między Imperium Rosyjskim a Rzeczpospolitą Warszawską roił się od górnolotnych sformułowań nawołujących do przyjaźni i pokoju, jednak można go było nazwać co najwyżej deklaracją nieagresji. Ograniczoną w czasie deklaracją, bo układ zawarto na sześć miesięcy. Co będzie dalej? Tego nikt nie wiedział, jednak było oczywiste, że rozstrzygnięcie zapadnie nie w gabinetach dyplomatów, ale na polu walki – Niemcy szykowali potężną kontrofensywę, a wyczerpani wysiłkiem wojennym Rosjanie gorączkowo umacniali swoje pozycje. Front przebiegał wzdłuż Wisły, z jednym istotnym wyjątkiem: w centrum rosyjskich linii niczym zwornik w bramie tkwiła Rzeczpospolita Warszawska.

Nie trzeba było geniusza, aby zrozumieć, że zajęcie Warszawy jest kluczem do demontażu całego systemu rosyjskiej obrony. Zdawano sobie z tego sprawę zarówno w Berlinie, jak i Petersburgu. Rzeczpospolita Warszawska tkwiła między młotem a kowadłem.

Alchemik ocknął się z zamyślenia, słysząc szelest papieru. Grochowiak otworzył tekst traktatu na ostatniej stronie.

– Ekscelencjo – powiedział z szacunkiem – czekamy tylko na pański podpis.

Rudnicki umoczył pióro w kałamarzu i starannie wykaligrafował imię i nazwisko. Burzliwe oklaski zabrzmiały dziwnie głucho i nie na miejscu, ci, dzięki którym dyplomaci we frakach i galowych mundurach mogli zawrzeć układ, leżeli teraz w mogiłach oznaczonych zwykłymi brzożowymi krzyżami. Wśród nich Staszek i Wiktorja.

Butelki szampana oddały tryumfalną salwę, napełniono kieliszki, błysnęło

unoszone w toastach szkło. Pół roku spokojnego życia to dużo czy mało? I czy choć pół roku? Bo przecież kajzer nie musiał przejmować się traktatem, podobnie jak *theokatáratos*.

– Za porozumienie! – powtórzył wraz z innymi alchemik.

Trunek smakował słońcem, z delikatną, ledwie wyczuwalną nutą wanilii. Nieoczekiwanie Rudnicki poczuł przyływ nadziei, może obmyta krwią republika przetrwa nadchodzącą próbę? Cóż, czas pokaże.

Koniec części drugiej

Zwroty obcojęzyczne i ciekawostki

czulent (gulasz z koszerne go mięsa z cebulą i ciecierzycą), **kugel** (babka ziemniaczana z cebulą) – tradycyjne żydowskie potrawy.

Ludendorff – niemiecki generał, w czasie I wojny światowej miał swój udział w największych zwycięstwach Niemiec, między innymi bitwach pod Tannenbergiem i nad jeziorami mazurskimi, przyjmował kapitulację belgijskiej twierdzy Liège. Odznaczony orderem Pour le Mérite (Za Zasługę), został mianowany generalnym kwatermistrzem armii niemieckiej i odgrywał czołową rolę w państwie (wraz z Hindenburgiem).

Etot łże-czinownik? – Ten fałszywy urzędnik?

Ja, natürlich – Tak, oczywiście.

Na zdorowie, rodimyj – Na zdrowie, kochany.

Vaterland – ojczyzna.

Nasze wam pocztienije, s kistoczkoj, s palcem diewiat', s ogurcom piatnadcat' – „Pozdrawiamy serdecznie, z pędzelkiem, z palcem dziewięć, z ogórkiem piętnaście”. Sposób, w jaki rosyjscy fryzjerzy witali dawniej klientów, proponując golenie. Zwrot „z pędzelkiem” oznaczał użycie mydła do golenia (nanoszono je pędzelkiem), „z palcem dziewięć” – zabieg, podczas którego wypychano od środka policzek klienta palcem, aby lepiej wygolić zarost (za dziewięć kopiejek), „z ogórkiem piętnaście” – to propozycja użycia zamiast palca „jednorazowego” ogórka, co było bardziej higieniczne, ale kosztowało piętnaście kopiejek. Obecnie zastosowanie tego zwrotu w charakterze powitania („nasze wam

z pędzelkiem”) nosi charakter ironiczno-zartobliwy.

naczalnik – urzędnik, przedstawiciel władz.

Sobstwiennyj Jego Impieratorskiego Wielicestwa Konwoj – elitarny oddział ochraniający cara i jego rodzinę.

gospodin – pan.

gosudar' impierator – tu: Najjaśniejszy Pan.

italiaszka – pogardliwy zwrot oznaczający tyle co „makaroniarz”.

tante – ciocia.

maman – mama.

barysznia – panienka.

dottore – doktor.

sigil – termin pochodzący od łacińskiego słowa „pieczęć”, rozpropagowany przez angielskiego okultystę Austina Spare’a, który proponował wykorzystywanie sigili poza rytuałami (wcześniej były używane w charakterze obrazkowych sygnatur w obrzędach magicznych). Technika „sigilizacji”, czyli graficznego przedstawienia pożądanego przez maga rezultatu, stała się podstawą magii chaosu.

Słuszajus', Wasze Wielicestwo – Słucham, Wasza Wysokość.

Soldat, ko mnie! – Żołnierzu, do mnie!

Skobielew – rosyjski generał wsławiony licznymi zwycięstwami, nowoczesnym stylem dowodzenia i osobistą odwagą. Szczególnie zasłużył się w czasie wojny rosyjsko-tureckiej 1877–1878. Uwielbiany przez żołnierzy i społeczeństwo, kawaler najwyższych rosyjskich i zagranicznych odznaczeń. Był wykształcony (znał osiem języków), w szczególności znakomicie władał francuskim. Jego śmierć obrosła legendą, Skobielew zmarł niespodziewanie w 1882 roku w hotelu „Anglia”, zamieszkiwanym przez panienki lekkiego prowadzenia (co stało się kanwą powieści Akunina „Śmierć Achillesa”). Sam fakt odwiedzin w takim przybytku nikogo nie dziwił: Skobielew rozszedł się z żoną, frejliną carycy, księżną Gagariną. Podejrzewano samobójstwo, morderstwo na zlecenie Bismarcka (Skobielew miał brać udział w przygotowywaniu planu wojny na wypadek starcia z Niemcami), a nawet interwencję rosyjskich służb specjalnych, ponieważ generał był zwolennikiem liberalnej polityki Aleksandra II i od początku panowania Aleksandra III wszedł z nim w ostry konflikt. Podobno proponował nawet aresztować cara i zmusić do podpisania konstytucji. Generał słynął z bujnej brody i wąsów, a do dziś w świecie kulinarnym znane są bitki Skobielewa. Miał i swój „polski” epizod, w latach sześćdziesiątych XIX wieku był oficerem Lejb-Gwardyjskiego Grodzieńskiego Pułku Huzarów, którego koszary znajdowały się w warszawskich Łazienkach. Na ochotnika zgłosił się do tłumienia powstania styczniowego.

Winowat, Wasze Wysoczestwo – Zawiniłem, Wasza Wysokość.

Dorogoj graf – Drogi hrabio.

Je ne sais pas, sire – Nie wiem, panie.

Oui, ma tante – Tak, ciociu.

Gospodnia ziemia i ispotnienije jeja, wsielennaja i wsi żywuszczyi na niej – Pana jest ziemia i to, co ją napęlnia, świat i jego mieszkańcy.

diejstwitielnyj sztatskij sowietnik – rzeczywisty radca stanu.

Saszka-Miłaszka – trudna do przetłumaczenia gra słów, „miłaszka” oznacza tyle co brzdąc, szkrab, ale także ktoś miły czy kochany.

kapitan pierwszej rangi – stopień odpowiadający polskiemu komandorowi lub pułkownikowi w carskiej piechocie.

Pli! – Pal!

Tows! – skrót od *gotowsia* (przygotuj się!).

Wtoraja szerienga, pli! – Drugi szereg, pal!

Ko mnie, riebiata! Ko mnie! – Do mnie, chłopcy! Do mnie!

„Michaś był tłusty, zdrów najzupełniej...” – wierszyk pochodzący ze zbioru „Złota różdżka” Heinricha Hoffmanna. Ten niezwykły utwór (i kilka podobnych) powstał przypadkiem, kiedy pewien XIX-wieczny psychiatra szukał gwiazdkowego prezentu dla swojego syna. Ponieważ nie znalazł niczego interesującego, postanowił sam napisać i zilustrować książeczkę z bajkami, która błyskawicznie stała się światowym bestsellerem. Pierwotnie nazywała się ona „Wesołe historie i uciészne obrazki z piętnastoma kolorowanymi tablicami dla dzieci w wieku 3–6 lat”. W Polsce najbardziej znana wersja nosiła nazwę „Złota różdżka”. Dzieci wręcz uwielbiały te makabryczne historyjki na pograniczu rzeczywistości i fantazji, a dorośli przypisywali im walory dydaktyczne. Czego tam nie było? Wspomniany wyżej Michaś umiera, bo nie słucha starszych i nie chce jeść zupy, niegrzeczna Kasia (bawiła się zapalkami) płonie żywcem, znęcający się nad zwierzętami zły Józio zostaje pokąsany przez psa, a wyśmiewających się z ciemnoskórego przechodnia urwisów czarodziej farbuję na czarno... Dziś większość ekspertów zapewne zaprotestowałaby stanowczo przeciwko zabawianiu dzieci takimi historyjkami, jednak wypada pamiętać, że

dzieci przepadają za (kontrolowaną) makabrą, a bajki Hoffmanna nie tylko starały się kształtować charakter maluchów, ale i ostrzegać przed niebezpiecznymi zabawami. O ich popularności świadczy fakt wielokrotnego wznawiania.

Russo-Bałt – jeden z pierwszych produkowanych w Rosji samochodów pancernych (obok wozu Nakaszidze-Charron). W 1914 roku sformowano kompanię samochodów pancernych złożoną z silnie uzbrojonych (Russo-Bałt posiadał trzy ciężkie karabiny maszynowe Maxim) maszyn. Russo-Bałty brały udział między innymi w bitwie przasnyskiej, gdzie dokonały przełamania frontu wraz z pojazdem typu Mannesmann-Mulag uzbrojonym w armatę 47 mm Hotchkissa.

gospoda oficery – panowie oficerowie.

sudarnia – pani.

Tak toczno! – Tak jest!

Ilia Muromiec – rosyjski samolot bombowy skonstruowany w 1913 roku przez Igora Sikorskiego. Seryjną produkcję rozpoczęto w 1914 roku w Russko-Bałtijskim Wagonnym Zawodzie (Rosyjsko-Bałtyckiej Fabryce Wagonów). Nazwa fabryki pochodzi z czasów, kiedy była ona filią niemiecko-holenderskiej firmy Van der Zypen und Charlier, wytwarzającej wagony kolejowe. Zakład posiadał wydziały: samochodowy, lotniczy i okrętowy. Ilia Muromiec był pierwszym na świecie produkowanym seryjnie ciężkim bombowcem. Uzbrojony w karabiny maszynowe, mógł unieść od kilkuset do tysiąca pięciuset kilogramów bomb (w zależności od typu).

Kleif – niemiecki przenośny miotacz ognia (*Kleinflammenwerfer*), obsługiwany przez dwie osoby. Notabene jego konstruktor Richard Fiedler przed wybuchem wojny próbował sprzedać swój wynalazek Rosji, jednak rosyjscy urzędnicy

odrzućili tę propozycję, uznając miotacz ognia za broń o „wątpliwym znaczeniu”. Pierwsze rosyjskie miotacze ognia (konstrukcji Towarnickiego) trafiły na front dopiero jesienią 1916 roku. W 1917 roku rosyjska armia posiadała już około dziesięciu tysięcy lekkich miotaczy Towarnickiego (nie licząc innych typów).

wasze priewoschoditelstwo – tytuł przysługujący oficerom i urzędnikom trzeciej i czwartej rangi (według rosyjskiej Tabeli Rang), takim jak na przykład generał-major, generał-porucznik, kontradmirał czy rzeczywisty radca stanu. Oficerów i urzędników dwóch pierwszych rang tytułowano: *wasze wysokopriewoschoditelstwo*.

Stawka – Stawka Wierchownogo Głównokomandujuszczego – organ dowódczo-sztabowy przy Naczelnym Dowódcy armii rosyjskiej, koordynował działania wszystkich frontów i rodzajów wojsk, początkowo stacjonował w Baranowiczach, a od 1915 roku w Mohylewie.

bon ton – dobry ton, odpowiedni sposób zachowania się w towarzystwie.

sanctum sanctorum – „święte świątych”, najświętsza część świątyni Salomona w Jerozolimie, przenośnie miejsce dostępne tylko dla wtajemniczonych.

Waprosow niet – Nie ma pytań.

Brusiłow, ofensywa Brusiłowa – Aleksiej Aleksiejewicz Brusiłow urodził się w 1853 roku w rodzinie z wojskowymi tradycjami, jego ojciec, Aleksiej Nikołajewicz, dosłużył się stopnia generała-porucznika. Matka, Maria Luiza Niestojemska, była Polką. Takie polsko-rosyjskie pary nie były niczym niezwykłym, Polki cieszyły się opinią kobiet wyjątkowo atrakcyjnych. Nawet Mikołaj II romansował za młodu z primabaleriną Matyldą Krzesińską, która ostatecznie poślubiła wielkiego księcia Andrzeja Władimirowicza (wnuka cara Aleksandra II). Brusiłow ukończył elitarny korpus paziów, brał udział w wojnie

rosyjsko-tureckiej 1877–1878, przez pewien czas pełnił funkcję zastępcy dowódcy Warszawskiego Okręgu Wojskowego, ale dopiero w czasie I wojny światowej jego gwiazda zaświeciła pełnym blaskiem. Ofensywa Brusilowa nie należy do najgłośniejszych epizodów I wojny, jako że mimo początkowych sukcesów załamała się na bagnach Polesia, bardziej z winy nieudolności i nonszalancji części rosyjskich generałów niż w wyniku oporu przeciwnika. Większość rosyjskiej generalicji nie lubiła i obawiała się Brusilowa, stąd niechętnie podchodziła do nowatorskich sposobów prowadzenia działań wojennych, jakie zaproponował Aleksiej Aleksiejewicz, i odstąpiła od nich natychmiast po zakończeniu pierwszego etapu natarcia. Słaby i niezdecydowany car nie potrafił ani zdyscyplinować podległych sobie dowódców, ani wykorzystać potencjału ofensywy. A ten był gigantyczny. Rosyjskie natarcie zdemolowało armię austro-węgierską do tego stopnia, że Austro-Węgry z partnera stały się satelitą Niemiec, ponieważ to właśnie na Niemcach spoczął cały ciężar powstrzymania rosyjskiego walca. Gdyby zachodni alianci skoordynowali (tak jak powinni) swoje działania z Rosjanami, uniemożliwiając państwu centralnym wycofanie części jednostek z frontu zachodniego, ofensywa Brusilowa zmieniłaby losy nie tylko wojny, ale i świata, gdyż prawdopodobieństwo antyrządowych wystąpień w Rosji (w tym i bolszewickiego przewrotu) spadłoby drastycznie. Ofensywa Brusilowa przysłużyła się pośrednio sprawie niepodległości Polski, gdyż ogromne straty Austro-Węgier były jednym z istotnych czynników, które wpłynęły na ogłoszenie Aktu 5 listopada, obiecującego powstanie państwa polskiego, co miało umożliwić pełne wykorzystanie zasobów mobilizacyjnych Królestwa Kongresowego. Rozczarowany nieudolnością cara Brusilow opowiedział się za abdykacją Mikołaja II, a po rewolucji odrzucił ofertę białych i poparł bolszewików. Służył w Armii Czerwonej na wysokich stanowiskach, zmarł w 1926 roku na zapalenie płuc. Został pochowany z honorami wojskowymi na cmentarzu Nowodziewiczym.

ad hoc – zwrot oznaczający działanie, bez przygotowania.

Brata russkaja brigada... / Złote pola Galicji / braliśmy w ten czas ponury, /

i dostałem w nagrodę / dwa żelazne kostury. // Trzech nas poszło wojować, / chłopców młodych i śmiałych, / dwóch zostało w Przemyślu, / w ziemi mokrej i szarej (tłum. aut.) – anonimowy tekst pochodzi z okresu I wojny światowej i nawiązuje do bitwy z 1914 roku, w wyniku której Rosjanie pokonali wojska austro-węgierskie, opanowali Galicję i Bukowinę oraz rozpoczęli oblężenie twierdzy Przemyśl.

summa cum laude – z najwyższą pochwałą, dawna forma oceny stosowana na dyplomach.

coupé – karetka miejska na dwie osoby, popularna od lat trzydziestych XIX wieku jako pojazd dla dżentelmenów.

Hugin i Munin przemierzają świat... – Hugin (Myśl) i Munin (Pamięć) to imiona kruków nordyckiego boga Odyna. Fragment pochodzi z poematu *Grímnismál*, z Eddy poetyckiej.

faraon – żargonowa nazwa policjanta w carskiej Rosji.

Au revoir – Do widzenia.

comme il faut – odpowiedni, jak należy.

bokobrody à la książę Lobkowitz – ród Lobkowitz (Lobkowitz) to znana arystokratyczna rodzina czeskiego pochodzenia, imponujące bokobrody nosił zarówno polityk Ferdinand von Lobkowitz, jak i adiutant generalny za panowania cesarza Karola I, Zdenko von Lobkowitz.

incognito – nieoficjalnie, anonimowo.

per procura – w zastępstwie, z upoważnienia.

beau monde – francuski termin oznaczający wyższe sfery bądź wytworne

towarzystwo.

gotubczik – kochaniutki.

aurum potabile – pitne złoto, specyfik stworzony ponoć przez Paracelsusa, mający posiadać właściwości lecznicze, alchemicy traktowali go jako uniwersalne panaceum.

carte blanche – dosłownie: „biała karta”, oznacza możliwość swobodnego działania, nieograniczone pełnomocnictwa.

salvavirgo – niewielki, składany nóż typu *navaja*, noszony dawniej przez kobiety w celach samoobrony.

dominus vitae necisque – pan życia i śmierci.

ancien régime – dosłownie „stare rządy”, czas, kiedy we Francji rządziła arystokracja.

chachoł – używana przez Rosjan pogardliwa nazwa Ukraińców.



Historyk, doktor nauk humanistycznych, pedagog, autor artykułów na temat historii, walki nożem i okinawskiego karate. Interesuje się działaniami służb specjalnych. Jako pisarz zadebiutował w 2006 roku, od tego czasu wydał osiem powieści oraz tom opowiadań.

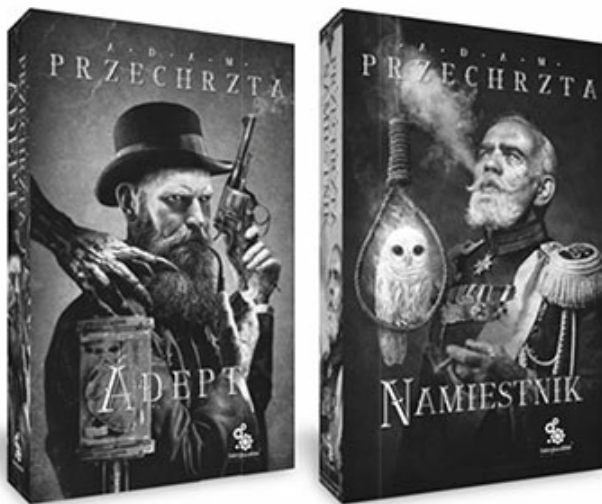
Jest laureatem Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego, w 2014 roku otrzymał Srebrne Wyróżnienie za „Gambit Wielopolskiego”.

Zwolennik czytania przy jedzeniu. Czytuje wszystko, od podręczników pszczelarstwa poprzez literaturę głównonurtową i fantastyczną aż po romanse dla pań. Te ostatnie przeważnie w poczekalni u dentysty. Marzy o świętym spokoju.



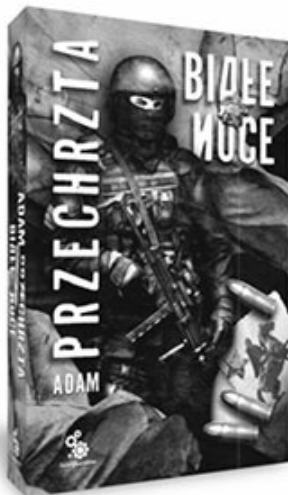
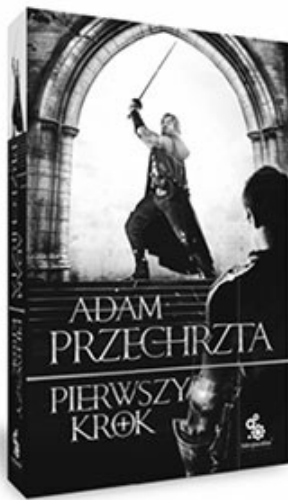
Cykl Wojenny:

1. Demony Leningradu
2. Demony wojny, cz. 1
3. Demony wojny, cz. 2
4. Demony czasu pokoju



Cykl Materia Prima:

1. Adept
2. Namiestnik



Pozostałe książki autora
wydane nakładem naszego wydawnictwa:

- Pierwszy krok
- Chorągiew Michała Archanioła
- Wilczy Legion
- Białe noce



MIROSLAV ŽAMBOCH

OSTATNI BIERZE WSZYSTKO

(FRAGMENT)

Długi sprint

Kłęczałem nad bratem i łzy cisnęły mi się do oczu. Był martwy. Zwykły, najzwyklejszy upadek z konia, a on nie żył. Głowę miał nienaturalnie waykręconą, kręgi szyjne złamane. Płakałem i narzekałem, ale gdzieś wewnątrz pomału, pomału i niechętnie, wracałem do rzeczywistości. Nie o to chodzi, że go tak kochałem. Mój brat, książę Maxmilian, był czasami bardzo arogancki, ale kto by nie był na jego miejscu? Od małego karmili go papką z byczych i tygrysiich jąder, każdy jego posiłek sprawdzał królewski toksykolog, a odkąd nauczył się czytać, spędzał sześć godzin w towarzystwie czarodziejów swego ojca. Rezultat był taki, że mierzył siedem stóp, ważył przeszło trzysta funtów i w wieku

dwudziestu siedmiu lat posiadał umiejętności dziewięćdziesięciu ośmiu procent czarodziejów z całego Kontynentu. A teraz leżał tu nieżywy. Za siedem tygodni miał zostać koronowany. To z tego powodu się martwiłem. Następstwo tronu przeszło na mnie. Brat przygotowywał się do owego wydarzenia przez całe życie, a mnie pozostało czterdzieści dziewięć dni.

Wróciłem na zamek i oddałem stajennemu konie wraz z ciałem brata. Dziedziniec natychmiast wypełnił się ludźmi, ale nikt nie odważył się rozmawiać zbyt głośno. Pierwszy raz w życiu znalazłem się w centrum uwagi i nie było to nic przyjemnego. Starłem się nie zauważać mnóstwa spojrzeń oscylujących pomiędzy profesjonalną oceną rzeźnika starającego się określić wytrzymałość sztuki przeznaczonej na rzeź a rozbawionym zastanawianiem się bukmachera typującego kurs dotyczący wyrzutka. Engod, najmłodszy członek osobistej straży ojca, wykrzywił się do mnie wyzywająco. Jego ród należał do jedenastu, spośród których wybierało się nowego króla, jeśli książę został zabity podczas koronacji. Engod miał dwóch starszych braci. Obaj przeszli takie same przygotowania jak Max, obaj należeli do elity czarodziejów i byli zabójcami. Mieli trzydzieści dni na to, żeby wziąć mnie na cel.

Schowałem się do swojej wieży, główne drzwi zamknąłem na zawore. Nie posiadałem własnej straży. Żaden zawodowiec nie przyjąłby służby dla księcia narodzonego jako drugi syn, a najmowanie do tego nieprofesjonalistów z zewnątrz miało się z celem. Takich nawet ja zdołałbym załatwić. Kiedy potrzebowałem podeprzeć swój autorytet, pożyczalem go od brata. Jaki był, taki był, ale żyliśmy w zgodzie.

Pokoje wyglądały tak samo przytulnie jak wcześniej, ale czułem się tak, jakbym już do nich nie należał, jakbym przybył tu tylko z wizytą. Z wściekłością zdarłem ze ściany plany winnic i sklepów winiarskich. Od osiemnastu lat starałem się pozbyć przeznaczonej mi roli królewskiego pomagiera, chłopaka do najbrudniejszych zadań, który będzie zakulisowo wspierał niezakłócony tok władzy. Postarałem się o to, żeby uważano mnie za głupka, który nic nie wie i którego nie ma sensu wciągać w polityczne intrygi. Klany przestały mnie zapraszać na coroczne bale, na których zawiązywano i zrywano tajne pakt, wymieniano informacje i typowano ogiery rozplodowe dla poprawy genetycznego potencjału klanów. Przezywali mnie zielarzem lub też

kupczykiem. Moim marzeniem było stworzenie winnic produkujących lepsze wino niż czerwone, jakie dostarczali nam handlarze. W tym roku uzbierałem kilka pierwszych koszyków. Otworzyłem butelkę białego i nalałem sobie pełny puchar. Schowałem je na jakąś uroczystą okazję, ale ponieważ w najbliższej przyszłości żadnej takiej okazji nie będzie, nie było sensu dłużej go oszczędzać. Obserwowałem przez okno maskaradę na dworze. Kapitan straży ojca witał właśnie grupkę dyplomatów guunskiego cesarza. Wszystko odbywało się bezbłędnie, nawet śmierć następcy tronu nie zdołała zakłócić biegu kółek mechanizmu. Cesarz władał połową Kontynentu i według wszystkich znaków na ziemi zaczął ostrzyć sobie zęby na resztę. Ta reszta oznaczała z tuzin większych królestw i dziesiątki małych niezawisłych państw albo towarzystw handlowych. Na pierwszy rzut oka była to łatwa zdobycz dla liczącej dwieście tysięcy żołnierzy cesarskiej armii. Jednak tamtejsi władcy mieli należytą wiedzę dotyczącą prowadzenia wojny. Jeden zespół składający się z czarodzieja bojowego i dwóch specjalnie wyćwiczonych rycerzy zdołałby w okamgnieniu zmieść z tego świata nawet tysiąc ludzi. Cesarz oczywiście wiedział o tym i posłał emisariuszy, żeby wyjednać u ojca ograniczenia w użyciu siły podczas ewentualnej wojny.

Nagle zjeżyły mi się włoski na potylicy. Ktoś stał tuż za mną. Dla człowieka, który skrycie zachodzi cię od tyłu, była w Vegasz tylko jedna odpowiedź. Kabura spleciona z włókien szialinu zareagowała na znany jej wzór napięcia ścięgien, w dłoń wśliznęło mi się wąskie ostrze. Uniosłem puchar ku ustom, wykorzystując ten ruch do przeniesienia ciężaru ciała na drugą nogę. Odwróciłem się piruetem, ostrze ze świstem przecięło powietrze. Zauważyłem tylko niewyraźną sylwetkę, coś lekko mnie dotknęło, zmieniłem się w wirującą frygę i straciłem równowagę. Tuż przed tym, jak wpadłem na ścianę, odrzuciłem nóż. Trochę niepewnie wstałem i odwróciłem się ku swemu ojcu.

– Niewiele brakowało, a bym się pocałował – powiedziałem zamiast pozdrowienia.

Ubrany był jak zwykle w luźne czarne spodnie, szarą bluzę i skórzaną kamizelkę. Na nogach miał lekkie buty. Zawsze chciałem się dowiedzieć, z czego mają zrobione podeszwy. Jeśli nie patrzyło się na twarz ojca, łatwo było wziąć go za koniuszego albo łowczego. Żyłasty, włosy przetykane siwizną, skóra na twarzy i rękach ogorzała od słońca i wiatru.

– Tak myślałem, że możesz się pociąć.

Nie cierpiałem tego tonu. Jakby każde słowo przed wypowiedzeniem przecedził przez pół tuzina filtrów. Głos doskonale pozbawiony emocji, stworzony do rozkazywania i czarowania. Nienawidziłem jego pewności siebie i arogancji. Bałem się go.

– Jak na staruszka, jesteś całkiem szybki – powiedziałem, napełniłem dwa puchary i podałem jeden ojcu.

Dziwne, ale go przyjął.

– Nie. Wkrótce nie będę miał dość sił, żeby utrzymać porządek na swoich ziemiach.

Kpił sobie. Miał pięćdziesiąt lat i każdego mężczyznę ze swojej osobistej jednostki wyniosłby z areny w zębach. Przestało go to po prostu bawić, a myślał, że mój brat jest wystarczająco przygotowany do przejęcia korony.

– A czy nie mógłbyś swojej abdykacji odłożyć na kilka miesięcy?

– Nie.

To była iście królewska odpowiedź.

– A czy jesteś świadomy, ojcze, że mogę nie przeżyć koronacji? Nie przygotowawaliście mnie do niej już od dzieciństwa jak Maxa. Trochę więcej czasu by mi pomogło.

Milczał.

– Zabiją mnie i królem zostanie ktoś inny. Skończy się dynastia Maatenów.

Wzruszył ramionami.

– Taki jest zwyczaj. Ceremonia koronowania rozpocznie się zgodnie z planem. Tutaj masz klucze do komnat Maxa. Może tam znajdziesz coś, co ci pomoże.

Odwrócił się, aby odejść, w drzwiach zatrzymał się jeszcze na moment.

– Zażądałem próbki z twoich zbiorów. Całkiem niezłe. Z radością powitałbym, gdybyś mnie w przyszłości dopisał do listy swoich uprzywilejowanych klientów.

Poczekalem, aż zamknie za sobą drzwi, i rzuciłem pucharem o ziemię.

– A to łajdak, niegodziwiec!

Kiedy byłem już pewny, że ojciec wyszedł na zewnątrz, z wściekłością kopnąłem w drzwi. Aby się uspokoić, wypilem duszkiem puchar wina i nalałem

sobie kolejny. Brat nie uznawał zwyczajnych kluczy. Twierdził, że można je łatwo dorobić. Zamiast nich używał doskonale wyszlifowanych wałeczków z niebieskiego szafiru. Pęk leżący na moim stole liczył ich cały tuzin. Nie było w nich nic magicznego – aby otworzyć drzwi, wystarczył właściwy rozmiar i właściwy materiał. Nie mogłem sobie wyobrazić nikogo, kto miałby dostęp do tak wielkich klejnotów i nie wahał się ich zniszczyć. Oczywiście oprócz księcia z Vegasz. Nie miałem ochoty na wizytę w komnatach Maxa. Nie lubiłem czarodziejów ani ich przyborów, a co więcej, Max bez wątpienia przygotował dla nieproszonych gości mnóstwo oryginalnych zasadzek. Nie miałem nastroju do pełnego mitręgi przechodzenia przez teren najeżony pułapkami.



COPYRIGHT © BY Adam Przechrzta
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2017

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-242-7

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Dark Crayon

PROJEKT OKŁADKI Dark Crayon, black gear Paweł Zaręba, „Grafficon” Konrad Kućmiński

ILUSTRACJE Przemysław Truściński

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska

OPRACOWANIE OKŁADKI ORAZ SKŁAD „Grafficon” Konrad Kućmiński

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

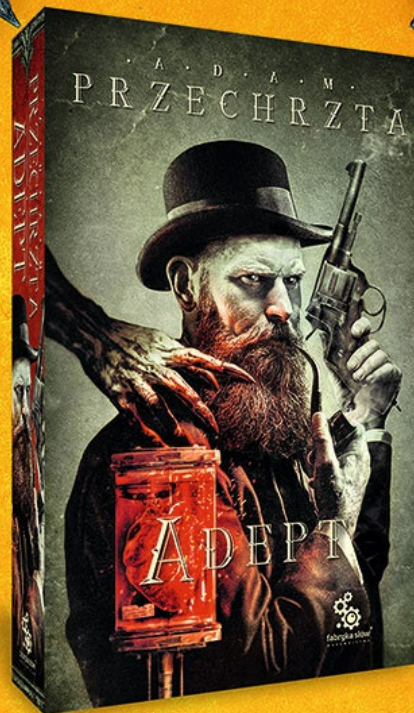
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

www.fabrykaslow.com.pl

e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

www.facebook.com/fabryka



Czytając „Adepta”, nie mogłam pozbyć się uczucia, że poruszam się po dawnej Warszawie, która jest spowita mrokiem, a za rogiem może kryć się niebezpieczeństwo. Autor fenomenalnie przedstawił życie panujące w danym czasie, stroje, szczególnie dam, oraz wplótł w to fantastyczne elementy.

W tym tomie Adam Przechrztła skupił się na kreowaniu świata, co według mnie udało mu się rewelacyjnie. „Adept” okazał się kompletnie inną powieścią, niż się spodziewałam, mimo to jestem nią zachwycona.

Efantastyka

· A · D · A · M ·
P R Z E C H R Z T A

NAMIESTNIK

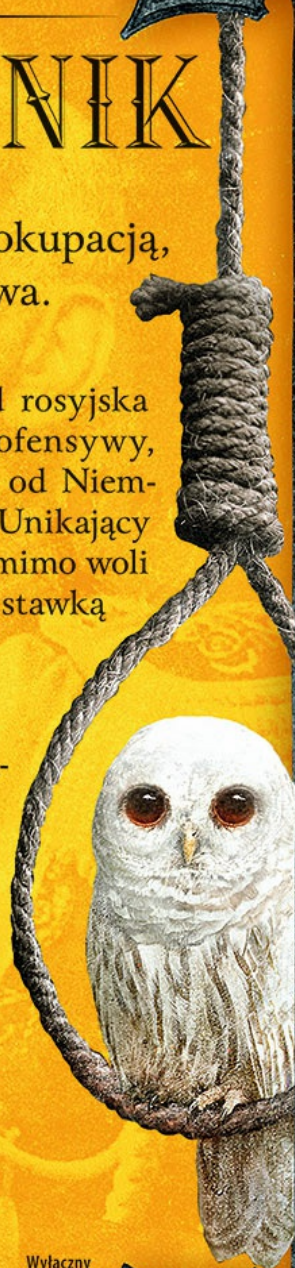
Warszawa pod niemiecką okupacją,
trwa I wojna światowa.



Odepchnięta daleko na wschód rosyjska armia szykuje się do kontrofensywy, a tymczasem Rudnicki otrzymuje od Niemców propozycję nie do odrzucenia. Unikający mieszania się do polityki alchemik mimo woli zostaje wciągnięty do gry, w której stawką jest życie, a nawet więcej.



Tymczasem w enklawach pojawiają się istoty używające – i nie bez powodu! – imion upadłych aniołów. Swoje plany mają też sztyletnicy. Drogi Rudnickiego i Samarina przecinają się ponownie, choć tym razem każdy z nich walczy pod inną flagą. Nadchodzi przesilenie...



fabryka słów
WYDAWNICTWO

fabrykaslow.com.pl



Polub nas na
facebooku

Wylączny
dystybutor

